

**Guterson David**

# **Cedry pod śniegiem**

*Przełożył Łukasz Nicpan*

## PODZIĘKOWANIA

Winien jestem podziękowania wielu osobom, które przyczyniły się do powstania tej książki, a więc Mike'owi Hobbsowi ze szpitala Harborview w Seattle za pomoc w kwestiach dotyczących się medycyny sądowej, Philowi McCruddenowi za to, że zabierał mnie ze sobą na łososie i zechciał uważnie przeczytać rękopis powieści, Steve'owi Shapiro za informacje na temat sieci skrzelowych, Leonardowi Hayashida za taktowne i wyczerpujące komentarze, Waltowi i Millie Woodwardom, właścicielom i wydawcom „Bainbridge Review”, za okazane zaufanie i odwagę, Ann Radwick za wynajdowanie źródeł odnoszących się do zagadnień lokalnych, Murray Guterson i Robowi Crichtonowi za rozjaśnianie nieprzeniknionych zawłości prawa, Frankowi Kitamoto i Hisie Matsudaira za pomoc w moich pracach badawczych i wywiadach, Towarzystwu Historycznemu Bainbridge za umożliwienie dostępu do swoich archiwów i muzeum, bibliotece Suzzallo Uniwersytetu stanu Washington za udostępnienie mi zbiorów mikrofilmowych, kapitanowi Alanowi Gillowi za informacje o statkach i żegludze oraz za cenne uwagi o niniejszej książce, wreszcie Robin Guterson za jej gotowość do prowadzenia ze mną przez wiele lat rozmów o mojej powieści.

Chciałbym też wyrazić moją wdzięczność wobec następujących źródeł pisanych: pięknej książki Dudleya Witneya *The Lighthouse* — ilustrowanej historii architektury latarni morskich, *Piloting, Seamanship and Small Boat Handling* Charlesa F. Chapmana, *Guide to Boatmanship* Brandta Aymara i Johna Marshalla, *Disaster Log of Ships* Jima Gibbisa — ilustrowanego opisu katastrof morskich od Kalifornii po Alaskę, *hland in the Sound* Hazel Heckman — psychologicznego i kulturowo wiernego obrazu wyspiarskiego życia w stanie Washington, cudownej *Alaska Blues* Joe Uptona — pięknie napisanej książki o rybołówstwie przemysłowym na wodach przybrzeżnych, oraz *Stepping Forward* Sallie Tisdale — pełnej wnikliwych i olśniewających opisów lasów na północnym wybrzeżu Pacyfiku.

Czerpałem również hojnie z pozycji takich jak: *A Short History of World War II* Jamesa L. Stokesbury'ego, *Iwo Jima* Richarda F. Newcomba, *Island Fighting* Rafaela Steinberga, *The Battle of Leyte Gulf* Edwina P. Hoyta, *The Good War* Studsa Terkela oraz *76 Hours: The Invasion of Tarawa* Erica M. Hammela i Johna E. Lane'a — książek przygnębiających, lecz wielce pożytecznych.

Zaciągnąłem ponadto dług wdzięczności wobec następujących dzieł: cudownej książki Ronalda Takakiego *Strangers from a Different Shore* — historii Amerykanów pochodzenia azjatyckiego, *Nisei Daughter* Moniki Sonę i *Through Harsh Winters* Akemi Kikumura — dwóch wstrząsających opisów rodzin Amerykanów japońskiego pochodzenia przed drugą wojną światową, w czasie wojny i po niej, *Anatomy of a Jury* Seymour Wishram — wyczerpującego opisu naszego wymiaru sprawiedliwości w sprawach karnych, pracy *Justice at War* Petera Ironsa, przynoszącej wiadomości na temat obozów internowania w latach wojny, *Japanese Americans: From Relocation to Redress* w opracowaniu Rogera Danielsa, Sandry C. Taylor i Harry'ego H. L. Kitano, książki *Manzanar* Johna Armora i Petera Wrighta, z fotografiami Anseli Adamsa i komentarzem Johna Herseya, wreszcie wobec pozycji takich jak *The Japanese Cult of Tranquility* Karlfrieda Grafa von Durckheim, *The Japanese Tea Ceremony* Julii V. Nakamura i *The Way of Zen* Alana W. Wattsa.

Wśród dzieł dotyczących problematyki lokalnej, którym również wiele mam do zawdzięczenia, chciałbym wymienić *Bainbridge Through Bifocals* Elsie Franklund Warner, *A History of Bainbridge Island* Katy Warner, *They Cast a Long Shadow*, pracy wydanej przez okręg oświatowy Bainbridge, rubryce „Garden Nostalgia”, drukowanej w piśmie ogrodników z Bainbridge „Garden News”, oraz Towarzystwu Japońsko-Amerykańskiemu Wyspy Bainbridge za wystawę fotograficzną „For the Sake of the Children”.

Wszystkich, których wkład pominąłem przez pospolite dziury w pamięci lub braki charakteru, proszę o wybaczenie. U nich także zaciągnąłem wielki dług wdzięczności.

W życia wędrowce, na połowie czasu, Straciwszy z oczu szlak niemylnej drogi, W głębi ciemnego znalazłem się lasu. Jak ciężko słowem opisać ten srogi Bór, owe stromych puszczy pustynne dzicze, Co mię dzisiaj jeszcze nabawiają trwogi.

Dante: *Boska Komedia*

(tłum. Edward Porębowicz)

Harmonia, podobnie jak wiatr od rufy, należy do zjawisk wyjątkowych.

Harrvey Oxenhorn: *Tuning the Rig*

Oskarżony Kabuo Miyamoto siedział sztywno wyprostowany za stołem oskarżenia, opierając na nim lekko dłonie, w dumnej pozie człowieka, który odizolował się od otoczenia, w każdym razie na tyle, na ile to możliwe na własnym procesie. Jedni spośród publiczności twierdzili później, że jego bezruch wyrażał pogardę wobec sądu, inni utrzymywali, że pokrywał strach przed nieuchronnym wyrokiem. Jakkolwiek było naprawdę, Kabuo rzeczywiście nie okazywał żadnych uczuć, nie drgnęła mu nawet powieka. Miał na sobie białą, zapiętą pod szyją koszulę i szare, starannie zaprasowane spodnie. Od całej jego postaci, zastygłej w wyniosłej, niemal władczej postawie, a szczególnie od grubego karku i barczystych ramion, była niepospolita siła. Rysy miał regularne, choć twarz nieco kanciastą. Krótka przy skórze ostrzyżona głowa jeszcze bardziej uwydatniała jego muskularną budowę. Mimo wagi oskarżenia, jakie mu przedstawiono, siedział nieruchomo, utkwivszy przed siebie spojrzenie ciemnych oczu, i sprawiał wrażenie nieobecnego duchem.

Na sali nie było ani jednego wolnego miejsca, ale nie wyczuwało się atmosfery karnawału, jaka na prowincji towarzyszy nieraz procesom o zabójstwo. Licząca ponad osiemdziesiąt osób publiczność sprawiała raczej wrażenie dziwnie przygaszonej i zamyślanej. Większość zebranych знаła osobiście rybaka Carla Heinego, męża i ojca trójki dzieci, spoczywającego obecnie w grobie na luterzańskim cmentarzu na wzgórzu Indian Knob. Prawie wszyscy uznali za wskazane ubrać się odświętnie, jak do kościoła w niedzielę, a ponieważ sala rozpraw, choć obskurna, kojarzyła się im z podniosłością domu modlitwy, zachowywali też powagę jak podczas nabożeństwa.

Królestwo sędziego Llewellyna Fieldinga, zlokalizowane na końcu wilgotnego, pełnego przeciągów korytarza na drugim piętrze sądu okręgowego, było — jak na przybytek sprawiedliwości — dobrze już podniszczone i ciasne. Pomalowana na kolor szary sala odznaczała się surową prostotą: nieduża publiczność, skromny stół sędziowski, miejsce dla świadka, podium ze sklejki dla sędziów przysięgłych, odrapane stoły obrony i oskarżenia.

Sędziowie przysięgli, z przybranym wyrazem wystudiowanej bezstronności na twarzach, siedzieli w skupieniu, pragnąc się połączyć w rozpatrywanej sprawie. Mężczyźni w ich gronie — dwóch ogrodników, emerytowany poławiacz krabów, księgowy, stolarz, szkutnik, sklepikarz i młodszy rybak — mieli na sobie, co do jednego, marynarki i krawaty. Kobiety — emerytowana

kelnerka, sekretarka z tartaku i dwie podenerwowane żony rybaków — ubrane były, co do jednej, w odświętne sukienki. Funkcję sędziego zastępczego pełniła fryzjerka.

Na prośbę sędziego Fieldinga urzędnik sądowy Ed Soames napalił dobrze w kotłowni, podnosząc znacznie ciśnienie pary w postępujących kaloryferach, które co jakiś czas posykiwały żałośnie w czterech kątach pokoju. Wytwarzany przez nie obezwładniający wilgotny żar sprawił, że w powietrzu zawisła zatęchła woń pleśni.

Od rana padał śnieg. Sypał za czterema wysokimi ostrołukowymi oknami sali sądowej, których oprawne w ołowiane ramki szyby wpuszczały do środka niewiele przyćmionego grudniowego światła. Wiatr od morza miotał o nie płatkami śniegu, które topniały i spływały na parapety. Na brzegu wyspy za murami sądowego gmachu rozłożyło się miasteczko Amity Harbor. Na paru wzgórzach majaczyło w śnieżycy kilka wychłostanych wiatrem, podupadłych wiktoriańskich willi, pozostałości po odeszłej w przeszłość epoce żeglarskiego rozmachu. Za nimi, niczym ściana ciemnej zieleni, stały nieruchome cedry. Śnieg zacierał wyraźne kontury porośniętych cedrami wzgórz. Wiatr od morza niósł w głąb lądu śniegowe płatki i okrywał nimi z puszystą nieustępliwością najwyższe gałęzie drzew.

Oskarżony tylko kątem oka i cząstką świadomości obserwował śnieżycę za oknem. Przebywał na wygnaniu w więzieniu okręgowym już od siedemdziesięciu siedmiu dni — przesiedział w areszcie ostatnie dni września, cały październik, cały listopad i pierwszy tydzień grudnia. W jego piwnicznej celi nie było okna ani żadnego innego otworu, przez który mogłoby się przedostawać do środka światło jesieni. Uzmysłowił sobie teraz, jak bardzo mu brakowało tej pory roku, która już odeszła, przeminęła. Śnieżycą, którą ukradkiem śledził, miotane wichurą o szyby puszyste białe płatki, poraziła go swoją niezwykłą urodą.

San Pedro, wysepka z pięcioma tysiącami przemoczonych dusz, zawdzięcza swą nazwę Hiszpanom, którzy zabłąkali się w cieśninę i dobili do brzegu w roku 1603. Podobnie jak wielu ich ziomków w owym czasie, puścili się na morze w poszukiwaniu Przejścia Północno-Zachodniego. Ich pilot i kapitan, Martin de Aquilar z wyprawy Vizcaino, posłał na brzeg kilku marynarzy, aby wśród rosnących nad wodą choin kanadyjskich wybrali drzewce na takielunek. Ledwo członkowie tej ekspedycji wylądowali na plaży, zostali niemal natychmiast wycięci w pień przez oddział łowców niewolników z plemienia Indian Nootka.

Potem pojawili się w tych stronach osadnicy, głównie różni wykolejeńcy i odmieńcy, którzy odbili od szlaku oregońskiego. W roku 1845 zarżnięto kilka dzikich świń — uczynili to rozwścieczeni sporem granicznym Anglicy z Kanady — i od tamtego czasu San Pedro właściwie nie zaznało przemocy. Najbardziej krwawym wydarzeniem ostatnich dziesięciu lat było postrzelenie 4 lipca 1951 roku jednego z mieszkańców wyspy przez podpitego żeglarza ze Seattle.

Amity Harbor, jedyne miasteczko na wyspie, zapewniające głębokie kotwicowisko dla flotyli sejnerów i jednoosobowych łodzi do połowu sieciami skrzelowymi, było dziwną, zlewaną deszczami i chłostaną wiatrami nadmorską miejsciną, zapuszczoną i zapleśniałą. Deski poszycia domów wyblakły na wietrze i słońcu, rynny zardzewiały na kolor matowopomarańczowy. Długie stoki wzgórz rozkładały się szeroko, strome i nagie. Ujęte w wysokie cembrowiny rynsztoki wzbierały w zimowe noce rwącymi potokami deszczówki. Morskie wiatry często wprawiały w gwałtowne kołysanie jedyną w miasteczku sygnalizację uliczną lub wywoływały filowanie świateł, a następnie pozbawiały mieszkańców prądu na kilka dni. Główna ulica mieściła sklep spożywczy Petersena, pocztę, sklep z towarami żelaznymi Fiska, aptekę Larsena, sklepik z mydłem i powidłem, który należał do pewnej mieszkanki Seattle, biura elektrowni Puget Sound, drogerię, salon odzieżowy Lottie Opsvig, agencję handlu nieruchomościami Klause Hartmanna, kawiarnię „San Pedro”, restaurację „Amity Harbor”, wreszcie obskurną, nędzną stację benzynową, której właścicielami i zarazem jedynymi pracownikami byli bracia Torgensenowie. Fabryczka konserw rybnych w porcie tchnęła smrodkiem łososiowych ości, a nasączone kreozotem pale przystani promowej sterczały wśród floty przeżartych pleśnią kutrów. Geniusz tego miejsca — deszcz — cierpliwie rujnował dzieła ludzkich rąk. W zimowe wieczory spadał na chodniki szumiącymi płachtami ulewy i czynił Amity Harbor niewidzialnym.

San Pedro odznaczało się ponadto zieloną urodą, która poetycznie nastrajała mieszkańców wyspy. Wokół wznosiły się wyniosłe wzgórza okryte ciepłą zielenią cedrów. Domy na wyspie były omszałe i przesiąknięte wilgocią, a stały pośród odludnych dolin porośniętych lucerną, zbożami pastewnymi i truskawkami. Rozrzucone bezładnie cedrowe płoty ciągnęły się wzdłuż poprowadzonych nonszalancko, ocienionych drzewami dróg, wijących się wśród łąk, na których krzewiły się paprocie. Krowy przeżuwały trawę, woniejąc słodko obornikiem i opędzając się od natarczywych muszek. Tu i ówdzie widniały przy drodze aromatyczne kopczyki trocin i kurhany cedrowej kory, pozostawione przez kogoś z

mieszkańców wyspy, który próbował swoich sił jako stolarz, na własną rękę przepiłowując pnie drzew. Na plażach lśniły wylizane przez wodę kamyki i wałeczki piany. Wyspę opasywało kręgiem kilkanaście zatok i zatoczek, upstrzonych przyjemnym dla oka bezładem żaglówek i letnich domków, San Pedro oferowało bowiem kotwicowiska o krystalicznie czystej wodzie.

W sali rozpraw sądu w Amity Harbor, naprzeciwko czterech wysokich okien, ustawiono stół, mający pomieścić reporterów, którzy licznie zjechali na proces. Ci przybysze z szerokiego świata — po jednym z Bellingham, Anacortes i Victorii i aż trzech ze Seattle — nie zachowywali takiej powagi, jaka cechowała miejscowych obywateli zasiadających na miejscach dla publiczności. Nonszalancko rozwaleni na krzesłach, podpierali rękami brody i poszeptywali między sobą jak spiskowcy. Ponieważ tuż za plecami mieli kaloryfer, oblewali się potem.

Ishmael Chambers, choć tylko dziennikarz prasy lokalnej, również się pocił. Był trzydziestoletnim wysokim mężczyzną o surowych rysach twarzy i zgaszonych oczach weterana wojennego. Lewą rękę amputowano mu dwadzieścia kilka centymetrów poniżej stawu barkowego, więc rękaw marynarki nosił spięty spinaczem na wysokości łokcia. Zauważył, że banda przyjezdnych reporterów odnosi się do publiczności na sali z niechęcią, znamionując pogardę dla wyspy i jej mieszkańców. Oblewając się potem, prowadzili między sobą pogaduszki w atmosferze sprzyjającej zapadnięciu w letarg. Trzech rozluźniło krawaty, dwaj inni zdjęli marynarki. Byli reporterami, czyli osobnikami zawodowo zblazowanymi, którym nic nie mogło zaimponować, zbyt otrzaskanymi ze światem, żeby się wysilać na formalną układność, jakiej mieszkańcy San Pedro żądali milcząco od przybyszów ze stałego lądu. Ishmael — krajowiec — nie chciałby się do nich upodobnić. Oskarżony Kabuo Miyamoto był jego znajomym, kolegą ze szkoły średniej, więc Ishmael nie poważyłby się, wzorem tych reporterów, zdjąć marynarki na jego procesie. Tuż przed dziewiątą rano tego dnia zamienił kilka słów z jego żoną. Siedziała na ławce na korytarzu gmachu sądu plecami do okna, pod drzwiami nieczynnego biura urzędu podatkowego, starając się najwyraźniej opanować przed rozprawą.

— Dobrze się czujesz? — zapytał, na co odwróciła się od niego bez słowa. — Proszę cię, Hatsue...!

Wtedy zwróciła na niego oczy. Stwierdził później, już po procesie, że zalegający w jej oczach mrok przesłonił mu pamięć o tamtych dniach. Zapamiętał surowy kok, w jaki związała na karku swoje czarne włosy. Właściwie nie okazała mu niechęci ani nienawiści, a jednak odczuł jej chłód.

— Odejdź — powiedziała cicho i oczy jej zabłyśły. Wciąż nie potrafił odgadnąć, co jej spojrzenie wyraża: potępienie, smutek czy ból?

— Odejdź — powtórzyła i znowu odwróciła od niego oczy.

— Nie bądź taka — wyszeptał.

— Odejdź.

— Nie bądź taka, Hatsue — zaskomlał błagalnie.

— Odejdź.

Siedząc w sali rozpraw z kropelkami potu na skroniach, Ishmael poczuł zakłopotanie, że tkwi między tymi przyjezdnymi reporterami, i postanowił znaleźć sobie po porannej przerwie bardziej neutralne miejsce wśród publiczności. Tymczasem wyglądał przez okno na miedziony wiatrem śnieg, który pokrył już miękką, tłumiącą dźwięki pierzyną ulice wokół gmachu sądu. Miał nadzieję, że śnieżycyca będzie trwała i okryje wyspę tą cudowną zimową nieskazitelną, tak rzadką i drogocenną, jaką pamiętał z dzieciństwa i za jaką tęsknił.



Pierwszym świadkiem, jakiego powołał tego dnia oskarżyciel, był szeryf okręgowy Art Moran. W dniu śmierci Carla Heinego, szesnastego września, miał u siebie w biurze istną rewolucję: przeprowadzał inwentaryzację i zatrudnił do pomocy w tym dorocznym urwaniu głowy, podejmowanym na zlecenie władz okręgowych, nowego stenografa sądowego, panią Eleanor Dokes (siedziała teraz skromnie przed stołem sędziowskim i z cichą sumiennością protokołowała każde wypowiedziane słowo). Art Moran i pani Dokes wymienili zdziwione spojrzenia, kiedy zastępca szeryfa Abel Martinson zawiadomił przełożonego przez niedawno zakupioną krótkofalówkę, że łódź Carla Heinego „Susan Marie” widziano dryfującą w zatoce White Sand.

— Abel powiedział, że sieć została wyrzucona i ciągnęła się za kutrem — wyjaśnił Art Moran. — Od razu mnie to zaniepokoiło.

— Czy „Susan Marie” znajdowała się w ruchu? — zapytał Alvin Hooks, stawiając stopę na podium miejsca dla świadka, jakby gawędził sobie z Artem przy parkowej ławce.

— Tak mi powiedział Abel.

— A światła połowowe były zapalone? Czy tak panu zameldował zastępca Martinson?

— Zgadza się.

— Za dnia?

— Abel porozumiał się ze mną gdzieś tak o wpół do dziesiątej rano.

— Proszę mnie poprawić, jeśli jestem w błędzie — poprosił oskarżyciel. — Zgodnie z prawem sieci skrzelowe powinny zostać wybrane przed dziewiątą rano, czy tak, szeryfie Moran?

— Zgadza się. Przed dziewiątą rano.

Oskarżyciel okręcił się na pięcie jak żołnierz na placu musztry i założywszy ręce za siebie zrobił małe kółko na woskowanej podłodze sali sądowej.

— I co pan następnie zrobił? — zapytał świadka.

— Powiedziałem Ablowi, żeby został tam, gdzie jest. Żeby się nie ruszał z miejsca, że podjadę po niego motorówką.

— Nie zatelefonował pan do morskiej straży granicznej?

— Postanowiłem się z tym wstrzymać. Doszedłem do wniosku, że najpierw sam powinienem się rozeznać, co i jak.

Alvin Hooks kiwnął głową.

— Czy mieściło się to w granicach pańskich kompetencji, szeryfie?

— To kwestia oceny, proszę pana. Czuję, że to mój obowiązek.

Oskarżyciel ponownie skinął głową i zerknął na ławę przysięgłych. Docenił znaczenie odpowiedzi świadka: rzucała na niego korzystne światło, zapewniała autorytet człowieka sumiennego, przymiot prawdziwie bezcenny.

— Zechce pan opowiedzieć sądowi przebieg wypadków — podjął — jakie się rozegrały rankiem dnia szesnastego września.

Art Moran łypnął na prokuratora podejrzliwie. Był z natury człowiekiem nerwowym, denerwował się nawet przy codziennych spotkaniach. Szeryfem został właściwie wbrew własnej woli, a nawet ku swojemu ogromnemu zaskoczeniu. W mundurze koloru wątroby, czarnym krawacie i wyglansowanych butach wyglądał jak człowiek źle obsadzony w życiu, który fatalnie się czuje w ekwipunku swojej profesji, jakby ubrał się na bal kostiumowy i paradował w przebraniu. Szeryf Art Moran był mężczyzną szczupłym, niepokaźnym, hołdującym zwyczajowi zucia gumy owocowej (w tym momencie jej nie żuł głównie przez szacunek dla amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości, w który, mimo jego wad, całym sercem wierzył). Po pięćdziesiątce stracił sporo włosów, a jego płaski brzuch, zawsze przywodzący myśl o niedożywieniu, sprawiał ostatnio wrażenie zapadniętego z głodu.

Noc przed procesem Art Moran spędził bezsennie. Zastanawiał się nad swoją w nim rolą i zamknięszy oczy przypominał sobie rozwój wypadków, jakby mu się przydarzyły we śnie. Rano szesnastego września wraz ze swoim zastępcą Ablem Martinsonem popłynął motorówką policyjną do zatoki White Sand. Powolny przypływ zaczął się mniej więcej trzy i pół godziny wcześniej, o szóstej trzydzieści. Teraz, wczesnym przedpołudniem, słońce lśniło na wodzie niczym szklivo i przyjemnie grzało w plecy. Poprzedniej nocy nad okręgiem Island County wisiała mgła gęsta jak wata. Nad ranem nieruchome białe opary popruły się bezszelestnie na niewidzialnych szwach i zmieniły w skłębione bałwany, które pelzły nad powierzchnią morza. Wokół motorówki mknącej w kierunku „Susan Marie” unosiły się ostatnie kłaczkę tej nocnej mgły, żeglując w stronę palącego słońca.

Abel Martinson, z jedną ręką na gazie motorówki, a drugą opartą na kolanie, poinformował szeryfa, że Erik Syversten, rybak z Port Jensen — Erik młodszy, nie omieszkał dodać — natknął się na „Susan Marie” dryfującą na południe od przylądka White Sand z

wyrzuconą siecią i, jak się wydaje, bez żywej duszy na pokładzie. Choć od świtu upłynęło już ponad półtorej godziny, na kutrze paliły się nadal światła pozycyjne. Abel pojechał na przylądek White Sand i z lornetką na szyi poszedł na koniec pomostu. Stwierdziwszy, że „Susan Marie” rzeczywiście dryfuje w głębi zatoki w kierunku północno-północno-zachodnim, połączył się przez radio z szeryfem.

Po kwadransie podpłynęli po gładkiej wodzie zatoki do dryfującej łodzi i Abel zgasił silnik. Art wyłożył odbijacze, po czym obaj obłożyli cumy na knagach na dziobie.

— Wygląda na to, że palą się wszystkie światła — zauważył Art, postawiwszy nogę na nadburciu „Susan Marie”. — Co do jednego.

— A faceta nie widać — stwierdził Abel.

— Na to wygląda — przytaknął szeryf.

— Wypadł za burtę — orzekł jego zastępca. — Mam złe przeczucia.

Art skrzywił się niechętnie.

— Miejmy nadzieję, że nie — mruknął. — A w ogóle nie gadaj takich rzeczy.

Obszedł od tyłu nadbudówkę i mrużąc oczy spojrzał w górę na takielunek „Susan Marie” i na końcu stabilizatorów. Czerwone i białe światła na maszcie paliły się przez cały ranek; oba światła na sieci płonęły blado w porannym słońcu. Podczas gdy Art Moran w zamyśleniu przyglądał się światłom, Abel Martinson odciągnął klapę wjazdu do ładowni, po czym przywołał swojego szefa.

— Znalazłeś coś? — zapytał Art.

— Sam zobacz.

Przykucnęli nad kwadratowym włazem do ładowni, z której buchnął im w nozdrza smród łososi. Abel przesunął promieniem latarki po nieruchomych, milczących rybach.

— Srebrne łososie — mruknął. — Będzie z pięćdziesiąt sztuk.

— To znaczy, że przynajmniej raz wybrał sieć — stwierdził Art.

— Na to wygląda.

Zdarzało się już, że rybak, nawet przy dobrej pogodzie, wpadał do pustej ładowni, rozbijał sobie głowę i tracił przytomność. Art słyszał o kilku takich wypadkach. Przyglądał się rybie.

— Jak myślisz, o której zarzucił sieć?

— Trudno powiedzieć. Może o wpół do piątej? O piątej?

— Gdzie łowił, jak sądzisz?

— Pewnie na North Bank — odrzekł Abel. — A może na Ship Channel albo Elliot Head. Tam poszła ryba.

Szeryf sam się już tego domyślił. San Pedro żyło łososiem i miejsca, gdzie ryba najchętniej pokazywała się nocą, były tematem stałych rozważań. Wypowiedzenie głośno tego przypuszczenia w tym właśnie momencie pomogło szeryfowi zebrać myśli.

Obaj mężczyźni kucali jeszcze przez chwilę nad otwartą ładownią, pozwalając sobie na krótką przerwę w pracy. Nieruchoma góra łososi niepokoiła Artę z jakiegoś niejasnego powodu, którego nie umiałby na poczekaniu wyjaśnić, więc tylko przyglądał się jej w milczeniu. Potem wstał z chrupnięciem w kolanach i odwrócił się od ciemnego wnętrza ładowni.

— Rozejrzyjmy się lepiej — mruknął.

— Dobra — zgodził się Abel. — Może jest w kabinie? Może stracił przytomność?

„Susan Marie” była zadbaną, typową dla San Pedro dziesięciometrową łodzią do połowów z rufy, ze sterówką z tyłu śródokręcia. Schylając głowę, Art Moran wszedł do kabiny i na chwilę znieruchomiał w progu. Na środku podłogi walał się blaszany kubek do kawy — pierwsza rzecz, jaką zauważył. Po prawej stronie koła sterowego stał akumulator. Pod prawą burtą znajdowała się krótka koja, zasłana wełnianym kocem. Abel przesunął po niej promieniem latarki. Wisząca nad kołem sterowym lampa była zapalona; na ścianie połyskiwała migotliwie plama wpadającego przez okno słonecznego blasku. Widok tej kabiny przygnębił szeryfa jakąś niezwykłą, pedantyczną schludnością. Wisząca na drucie nad podstawą kompasu kiełbasa bujała się lekko w rytm kołysania się łodzi, poza tym nic się w tym pomieszczeniu nie ruszało. Nie było też słycać żadnych dźwięków, prócz stłumionych trzasków wydobywających się od czasu do czasu z ukaefki. Zwróciwszy na nie uwagę, Art zaczął kręcić gałką nadajnika, nie mając po temu lepszego powodu niż ten, że nie wiedział, co dalej robić. Znalazł się w kropce.

— Niedobrze mi to wygląda — stwierdził Abel.

— Rozejrzyj się lepiej — burknął szeryf. — Byłbym zapomniał: zobacz, czy bączek jest podciągnięty.

Abel Martinson wystawił przez drzwi głowę.

— Wisi — oznajmił. — Co teraz?

Przyglądali się sobie przez chwilę, po czym Art westchnął i usiadł na brzegu koi Carla Heinego.

— Może wlaźł pod pokład? — zasugerował Abel. — Może miał jakieś kłopoty z silnikiem?

— Przecież siedzę na jego silniku — mruknął Art. — Człowiek by się tam nie wcisnął, za ciasno.

— Czyli że wypadł za burtę — orzekł Abel i pokręcił głową.

— Na to wygląda — przyznał szeryf.

Popatrzyli na siebie i odwrócili oczy.

— Może ktoś go zabrał na swoją łódź? — podsunął Martinson. — Może się zranił, wezwał przez radio pomoc, ktoś go zabrał i...

— Nie zostawiałby tak łodzi — przerwał mu Art. — A zresztą już byśmy o tym wiedzieli.

— Kiepska sprawa — mruknął zastępca szeryfa.

Art wetknął do ust następny listek owocowej gumy do żucia. Wolałby nie mieć do czynienia z tą sprawą. Lubił Carla Heinego, znał jego bliskich, spotykał ich co niedziela w kościele. Carl pochodził z rodziny zasiedziałej na wyspie od pokoleń. Jego dziadek, urodzony w Bawarii, obsadził truskawkami trzydzieści akrów najlepszej ziemi pośrodku wyspy. Również jego ojciec uprawiał truskawki, dopóki w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym nie trafiła go apopleksja. Etta Heine, matka Carla, sprzedawała wówczas te trzydzieści akrów Jurgensenom; Carl walczył wtedy na wojnie. Rodzina Heine to byli spokojni, ciężko pracujący ludzie. Większość mieszkańców San Pedro ich lubiła. Art przypomniał sobie, że Carl służył jako artylerzysta na USS „Canton”, który zatonął podczas inwazji na Okinawę. Carl przeżył wojnę — w przeciwieństwie do wielu innych chłopców z wyspy — wrócił do domu i wiódł życie rybaka.

Na morzu jego blond włosy zrudziały. Ważył przeszło sto kilogramów, lecz na jego wagę składały się głównie mięśnie klatki piersiowej i pleców. Wybierając w zimowe dni ryby z sieci, wkładał wełnianą czapkę, którą zrobiła mu na drutach żona, i polową wysłużoną kurtkę od munduru. Nie przesiadywał w knajpie „San Pedro” ani nie popijał kawy w kawiarni „San Pedro”. W niedzielę rano zasiadał z żoną i dziećmi w ostatniej ławce luterńskiego kościoła na First Hill z otwartym psalterzem w wielkich jak bochny, kwadratowych dłoniach i z wyrazem spokoju na twarzy mrugał powiekami w bladym blasku padającym z sanktuarium. W niedzielne popołudnia siadał natomiast na rufie swojej łodzi i szyl w milczeniu sieci lub je cierpliwie cerował. Pracował w pojedynkę. Był uprzejmy, lecz nie zanadto przyjacielski. Prawie zawsze chodził w kaloszach, podobnie zresztą jak wszyscy rybacy z San Pedro.

Jego żona również pochodziła ze starej wyspiarskiej rodziny Varigów — przypomniał sobie Art; jej ojciec, który niedawno ją odumarł, siał trawę na siano i wyrabiał gont na kilku wykarczowanych akrach na Cattle Point. Carl nazwał swoją łódź imieniem żony, a w roku 1948 wybudował przestronny drewniany dom kawałek drogi na zachód od Amity Harbor, przewidziawszy w nim mieszkanie dla swej matki. Tymczasem Etta, przysadzista, surowa kobieta, mówiąca z lekkim niemieckim akcentem, nie chciała się do syna przeprowadzić — z dumy, jak mówiono. Mieszkała w miasteczku, nad sklepem odzieżowym Lottie Opsvig na Main Street. Carl meldował się u jej drzwi w każde niedzielne popołudnie i zabierał matkę do swojego domu na kolację. Art obserwował nieraz, jak wspinają się razem w deszczu ulicą Old Hill — Etta pod parasolką, wolną ręką zgarniając klapy grubego zimowego palta, Carl z rękami w kieszeniach kurtki, w nasuniętej na oczy wełnianej czapce. Pocziwe chłopisko — ocenił w duchu Art — choć milczek, ponurak jak jego matka, tyle że winę za to, przyznawał szeryf, ponosiła częściowo wojna. Co prawda rzadko się śmiał, ale nie sprawiał wrażenia człowieka nieszczęśliwego czy zawiedzionego. Jego śmierć zasmuci mieszkańców San Pedro. Nikt nie będzie miał ochoty dociekać jej przyczyn — tu, gdzie tylu żyło z rybołówstwa. Ciągły strach przed morzem, tłący się pod powierzchnią codziennego życia, na nowo roznieci się w sercach wyspiarzy.

— Słuchaj, Art — odezwał się Abel Martinson, opierając się o drzwi sterówki, kiedy łódź obróciła się na fali. — Wybierzmy lepiej jego sieć.

— Też tak myślę — zgodził się szeryf z westchnieniem. — Dobra, bierzmy się do roboty. Ale pomalutku, po kawałeczku.

— Ma elektryczny rozrusznik — zauważył Abel. — Silnik stoi pewnie od jakichś sześciu godzin, a przecież te wszystkie światła żrą prąd jak jasna cholera. Lepiej podładuj mu akumulator, Art.

Art kiwnął głową i przekręcił kluczyk tkwiący obok koła sterowego. Rozrusznik zaskoczył od razu; silnik kichnął, po czym zaczął pyrkotać na wolnym biegu, łomocząc miarowo pod deskami podłogi. Szeryf wolno zamknął ssanie.

— Dobra — mruknął. — Gra?

— Chyba nie miałem racji — stwierdził Abel Martinson. — Chodzi jak ta lala.

Wyszli z kabiny. „Susan Marie” ustawiła się lewą burtą niemal prostopadle do krótkiej, stromej fali. Pchnięta silnikiem, zaczęła kołysać się lekko na boki i szeryf, który szedł przodem

przed swoim zastępcą, potknął się, uchwycił wspornika i skaleczył sobie rękę u nasady kciuka. Wyprostowawszy się, oparł nogę na nadburciu i spojrzał na morze.

Światło poranka nabrało blasku i rozłożyło się niczym czysty obrus na wodach zatoki, nadając im srebrzystego lśnienia. Jak okiem sięgnąć, nie było widać żadnego kutra, jedynie samotny kajak płynął równoległe do porośniętego drzewami brzegu mniej więcej ćwierć mili od łodzi Carla Heinego; siedziały w nim jakieś dzieci w kamizelkach ratunkowych i machały połyskującymi w słońcu wiosłami. „Niewiniątka” — pomyślał Art.

— Dobrze, że ta łajba się obróciła — powiedział głośno. — Potrzebujemy czasu, żeby wybrać tę sieć.

— Powiedz, kiedy będziesz gotów — odrzekł Abel.

Szeryfowi przemknęło przez głowę, że powinien wyjaśnić to i owo swojemu zastępcy. Dwudziestoczteroletni Abel Martinson był synem murarza z Anacortes. Nigdy dotąd nie widział człowieka wylawanego siecią, co Artowi zdarzyło się już dwukrotnie. Rybakom przydarzały się czasami takie wypadki — ręka lub rękaw wplątywały się im w sieć i nawet w dobrą pogodę wypadali za burtę. Takie ryzyko należało do ich zawodu, wiązało się nieodłącznie z pracą na morzu, o czym Art Moran jako miejscowy szeryf wiedział aż za dobrze. Wiedział, co naprawdę znaczy wybieranie sieci, i zdawał sobie sprawę, że Abel Martinson nie ma o tym pojęcia.

Postawił stopę na pedale wyciągarki i zerknął na swojego zastępcę.

— Uważaj na sieć — polecił cicho. — Będę ją wybierał wolniusieńko. Przygotuj się, bo może będziesz musiał mi pomóc.

Abel kiwnął głową.

Art nacisnął stopą pedał. Sieć drżała przez chwilę, gdy lina wybierała luz, a potem bęben zaczął ją nawijać, pokonując opór morza. Silnik zabuksował pod obciążeniem i zaczął rzeźić na niższych obrotach. Mężczyźni stali po obu stronach toczyska; szeryf naciskał nogą pedał, a jego zastępca wpatrywał się w sieć, która wolno nawijała się na bęben. Kilkanaście metrów od kutra nadbora, górna lina sieci, zeszła z kursu i wibrując kroiliła białym szwem wody zatoki. Nadal płynęli pod prąd pływu, z grubsza na północno-północny zachód, ale słaby wiatr od południa zmienił się w sam raz na tyle, by popychać ich lekko w stronę portu.

Wybrali już z sieci dwadzieścia kilka łososi, trzy zabłąkane ciemniki, dwa rekiniki psie, długi, splątany kłęb morszczyzny i kilka uwięzionych w okach meduz, kiedy pod wodą zamigotała twarz Carla Heinego. Przez chwilę Art sądził — a raczej łudził się rozpaczliwie — że ulega

przywidzeniu, do jakich mają skłonność ludzie morza, ale potem, w miarę jak sieć nawijała się na wał, ukazała się również broda Carla i jego twarz się dopełniła. Martwe oczy rybaka patrzyły w słońce, a z jego włosów srebrnymi strużkami ściekała woda. Niepodobna się było dłużej ludzić: to była twarz Carla — twarz z otwartymi ustami — więc Art Moran mocniej nacisnął stopą pedał wyciągarki. Topielec, zaplątany lewą sprzączką sztormiaka w okach sieci, którą zarabiał na życie, uniósł się wyżej; jego podkoszulek, podmywany bąbelkami morskiej wody, przylepił się do klatki piersiowej i barków. Rybak zwiślał bezwładnie, nogami zanurzony w wodzie; w sieci obok jego ciała trzepotał łosoś; skóra na wystających ponad fale obojczykach Carla była zaróżowiona i połyskiwała lodowato. Można by sądzić, że sparzono go w morzu.

Abel Martinson zaczął wymiotować. Wychylił się za rufę kutra i rzygał, odchrząknął — i znowu chwycił go torsje, jeszcze gwałtowniejsze.

— Nic, nic, synek — pocieszył go Art. — Weź się w garść, chłopie.

Zastępca szeryfa nie odpowiadał. Wycierał chusteczką usta, dyszał ciężko i kilka razy splunął do morza. Potem zwiesił głowę i zaczął walić pięścią w pawęż.

— Chryste Jezu! — wychrypiał.

— Będę go podnosił pomaluszku, synku — zapowiedział Art. — Uważaj, żeby głową nie tłukł o pawęż. Weź się w garść, chłopie. Odpychaj jego głowę od rufy.

W końcu byli jednak zmuszeni podciągnąć podborę i unieść nieboszczyka w górę, obejmując go siecią jak hamakiem. W ten sposób wydobyli Carla z morza; Abel wciągał go przez burtę, podczas gdy szeryf ostrożnie przydeptywał pedał wyciągarki i wpatrywał się w rufę zmrużonymi oczami, trzymając w zębach porcję owocowej gumy do żucia. Wspólnymi siłami położyli trupa na tylnym pokładzie. W zimnej słonej wodzie ciało szybko zeszywniało; prawa stopa zastygła nad lewą, dłonie skostniały z zagiętymi palcami. Usta topielca pozostawały otwarte, podobnie jak oczy, których źrenice jednak zniknęły; Art stwierdził, że obróciły się wstecz i patrzyły teraz w głąb czaszki. Naczynka krwionośne białek popękały i w głowie trupa lśniły dwa szkarłatne oczodoły.

Abel Martinson wpatrywał się w nie jak zahipnotyzowany.

Szeryf stwierdził, że nie jest w stanie działać zgodnie z wymogami swej profesji. Stał nad topielcem obok swojego młodego zastępcy i myślał o tym, o czym się zwykle myśli w podobnych okolicznościach, a mianowicie o brzydocie i nieuchronności śmierci. Choć czuł, że



powinien coś zrobić, by dać podwładnemu lekcję właściwego zachowania, nie potrafił przerwać zaległej ciszy. Stali więc i gapili się na zwłoki Carla, których widok im obu odebrał mowę.

— Rozbił sobie głowę — stwierdził po pewnym czasie Abel Martinson, wskazując ranę we włosach Carla Heinego, której Art dotąd nie zauważył. — Musiał się uderzyć o burzę, wypadając z łodzi.

Rzeczywiście, czaszka Carla Heinego była strzaskana tuż powyżej lewego ucha. Kość pękła i w głowie zmarłego widniało wyraźne wgłębienie. Art Moran odwrócił od niego wzrok.

Nels Gudmundsson, adwokat wyznaczony do obrony Kabuo Miyamoto, podniósł się z miejsca, żeby wziąć w krzyżowy ogień pytań Arta Morana. Podnosił się powoli, z namysłem i starczą niezdarnością, następnie odchrząknął chrapliwie, żeby oczyścić gardło z flegmy, i zatknął kciuki pod szelki. Miał siedemdziesiąt dziewięć lat i był ślepy na lewe oko; zmętniała źrenicą dostrzegał jedynie plamy mroku i światła. Za to prawe oko, jakby chciało zadośćuczynić kalece za niesprawność lewego, sprawiało wrażenie nadnaturalnie spostrzegawczego, niemal proroczo przenikliwego, i gdy staruszek kuśtykał przez salę w stronę Arta Morana, tańczyły mu przed nim drobinki światła.

— Dzień dobry, szeryfie — przywitał świadka.

— Dzień dobry.

— Chciałbym się tylko upewnić co do kilku kwestii, nie jestem bowiem pewien, czy dobrze usłyszałem pańskie słowa. Twierdzi pan zatem, że wszystkie światła na łodzi, na „Susan Marie”, były zapalone, czy tak?

— Tak jest.

— W kabinie również?

— Tak.

— I światła masztowe?

— Tak.

— Połowowe i sieciowe też? Wszystkie co do jednego?

— Tak, proszę pana — przytaknął Art Moran.

— Dziękuję — rzekł Nels. — Czyli jednak dobrze zrozumiałem pańskie słowa. Więc paliły się wszystkie światła, co do jednego.

Zamilkł na chwilę i opuścił wzrok, jakby chciał przyjrzeć się uważnie własnym dłoniom, nakrapianym wątrobianymi plamami i drżącym od czasu do czasu: Nels cierpiał na postępującą neurastenię. Jej głównym objawem było wrażenie gorąca, które co jakiś czas rozpałało zakończenia nerwów jego czoła, aż zaczynały mu w widoczny sposób pulsować tętnice na skroniach.

— Powiedział pan, że noc z piętnastego na szesnasty września była mglista, zgadza się, szeryfie?

— Tak.

— Czy mgła była gęsta?

— Jak mleko.

— Pamięta to pan?

— Owszem. Uderzyło mnie to nawet. Widzi pan, około dziesiątej wieczorem wyszedłem na ganek. Od przeszło tygodnia nie widziałem ani strzępka mgły, a wtedy nie mogłem dostrzec niczego dalej niż na dziesięć kroków.

— O dziesiątej wieczorem?

— Tak.

— A potem?

— Położyłem się do łóżka, o ile dobrze pamiętam.

— Położył się pan do łóżka. A czy pan pamięta, o której pan wstał, szeryfie? Mam na myśli dzień szesnasty września?

— O piątej rano.

— Pamięta pan tak dokładnie?

— Bo zawsze wstaję o piątej rano. Więc i szesnastego wstałem o piątej.

— Czy mgła wisiała nadal?

— Tak.

— Równie gęsta jak o dwudziestej drugiej poprzedniego dnia?

— Tak, powiedziałbym, że niemal tak samo, może troszkę mniej.

— A zatem rano wciąż wisiała mgła.

— Tak. Gdzieś tak aż do dziewiątej. Potem zaczęła się przeredzać. Kiedy wypływaliśmy motorówką, prawie całkiem się rozwiała, jeśli do tego pan zmierza.

— Równo do dziewiątej czy w przybliżeniu do dziewiątej?

— Równo do dziewiątej.

Nels Gudmundsson uniósł głowę, poprawił muszkę i pociągnął się za fałdę skóry na podbródku, bo taki miał zwyczaj, kiedy się nad czymś zastanawiał.

— Czy silnik na „Susan Marie” zapalił od razu, szeryfie? — zapytał. — Nie miał pan trudności z uruchomieniem go?

— Żadnych.

— Mimo że te wszystkie światła czerpały prąd, akumulator się nie rozładował?

— Widocznie.

— Nie zdziwiło to pana, szeryfie, nie przypomina pan sobie? Nie zastanowiło pana, że mimo tylu lamp pobierających prąd akumulator pozostał dostatecznie naładowany, by silnik mógł zapalić bez żadnych trudności, jak to pan wyraził?

— Wtedy się nad tym nie zastanawiałem — przyznał Art Moran — więc muszę odpowiedzieć: nie, nie zdziwiło mnie, przynajmniej nie wtedy.

— A teraz nie wydaje się to panu dziwne?

— Trochę — przytaknął szeryf. — Rzeczywiście.

— I dlaczegoż? — dociekał Nels.

— Bo te światła zżerają mnóstwo prądu. Przypuszczam, że w try miga wyczerpałyby akumulator, podobnie jak w samochodzie. Więc musi mnie to trochę dziwić, owszem.

— Musi to pana dziwić — powtórzył Nels Gudmundsson i znowu zaczął pocierać i skubać obwisły podbródek.

Następnie podszedł do stołu z dowodami rzeczowymi, wziął do ręki jakąś teczkę, wrócił do Arta Morana i podał mu ją.

— Pański raport — oświadczył. — Ten, który został dopuszczony jako dowód podczas bezpośredniego przesłuchania, prowadzonego przez pana prokuratora. Czy to ten sam, szeryfie?

— Tak.

— Zechce go pan z łaski swojej otworzyć na stronie siódmej.

Szeryf spełnił jego prośbę.

— Czy strona siódma — zapytał Nels — zawiera spis przedmiotów znalezionych na pokładzie „Susan Marie”, łodzi Carla Heinego?

— Tak.

— Czy zechciałby pan odczytać sądowi pozycję oznaczoną numerem dwudziestym siódmym?

— Oczywiście. Pozycja dwadzieścia siedem: zapasowy akumulator typu D-8, o sześciu ogniwach.

— Zapasowy akumulator typu D-8, o sześciu ogniwach — powtórzył Nels. — Dziękuję panu. Akumulator D-8, o sześciu ogniwach. Czy zechciałby pan przejść teraz do pozycji numer czterdzieści dwa, szeryfie, i zapoznać sąd z jej treścią?

— Pozycja czterdziesta druga — czytał Art Moran. — Akumulatory typu D-8 i D-6 w studziencie akumulatorowej. Każdy o sześciu ogniwach.

— Akumulatory typu D-6 i D-8? — upewnił się Nels.

— Tak.

— Dokonałem pewnych pomiarów w sklepie z artykułami gospodarstwa domowego — oznajmił starszek. — Akumulator typu D-6 jest szerszy od D-8 o dwa i pół centymetra. Nie pasowałby do studzienki akumulatorowej „Susan Marie”, szeryfie, ponieważ jest o dwa i pół centymetra za szeroki.

— Carl dokonał małej przeróbki domowym sposobem — wyjaśnił Art. — Poszerzył boczną ściankę studzienki, żeby zrobić miejsce dla D-6.

— Poszerzył boczną ściankę?

— Tak.

— Widział to pan?

— Owszem.

— Poszerzony metalowy płaszcz?

— Tak jest.

— Płaszcz wykonany z miękkiego metalu?

— Dość miękkiego. Odkuł go, żeby zrobić miejsce dla akumulatora D-6.

— Żeby zrobić miejsce dla akumulatora D-6 — powtórzył Nels. — Ależ, szeryfie, czy nie powiedział pan przed chwilą, że zapasowy akumulator był typu D-8? Czyż Carl Heine nie miał pod ręką akumulatora typu D-8, który pasowałby do studzienki bez potrzeby jej rozkuwania i poszerzania?

— Zapasowy akumulator był rozładowany — odparł Art Moran. — Zbadaliśmy go po doholowaniu łodzi do portu. Nie było w nim napięcia, panie Gudmundsson. Zero.

— Zapasowy akumulator był rozładowany — powtórzył Nels. — Podsumujmy zatem: znalazł pan na łodzi zmarłego zapasowy, rozładowany akumulator typu D-8, czynny akumulator tego samego typu, pracujący w studziencie, a oprócz tego czynny akumulator typu D-6, za duży do danej studzienki, co wymagało jej przeróbki, poszerzenia płaszcza z miękkiego metalu?

— Zgadza się — przytaknął szeryf.

— Doskonale — ucieszył się obrońca. — Zechciałby pan teraz otworzyć swój raport na stronie dwudziestej siódmej, która zawiera wykaz przedmiotów znalezionych na kutrze oskarżonego. Proszę przeczytać sądowi pozycję dwudziestą czwartą.

Art Moran zaczął przewracać strony.

— Pozycja dwudziesta czwarta. Dwa akumulatory typu D-6 w studziencie. Każdy po sześć ogniów.

— Dwa akumulatory typu D-6 w studziencie kutra Kabuo Miyamoto — stwierdził Nels. — A czy znaleźliście na pokładzie akumulator zapasowy, szeryfie?

— Nie, nie ma o nim mowy w wykazie.

— Oskarżony nie miał na pokładzie zapasowego akumulatora? Wypłynął na połów bez zapasowego akumulatora?

— Najwidoczniej, proszę pana.

— A zatem — zrekapitulował Nels. — Dwa akumulatory typu D-6 w studziencie i ani śladu akumulatora zapasowego. Proszę mi powiedzieć, szeryfie: czy akumulatory typu D-6, znalezione na łodzi oskarżonego, były tego samego rodzaju co akumulatory typu D-6 znalezione w studziencie akumulatorowej zmarłego Carla Heinego, na pokładzie „Susan Marie”? Tego samego rozmiaru, tej samej marki?

— Tak — odrzekł szeryf. — To wszystko były akumulatory tego samego typu, D-6.

— Czyli akumulatory typu D-6, działające na łodzi zmarłego, mogłyby — hipotetycznie, skoro były identyczne — zastąpić akumulatory oskarżonego?

— Tak sędzę.

— Ale, jak pan przed chwilą powiedział, oskarżony nie miał na pokładzie zapasowego akumulatora, czy tak?

— Tak.

— Doskonale, szeryfie. Pozwoli pan, że zadam panu teraz kilka pytań na inny temat. Proszę mi powiedzieć: czy wyciągając zmarłego, wyławiając go w sieci z morza, nie napotkaliście żadnych przeszkód?

— Owszem — przytaknął Art Moran. — Chcę powiedzieć, że był bardzo ciężki, więc jego dolne kończyny... nogi, stopy... mogły się łatwo wyśliznąć. Wisiał tylko na jednej sprzączce sztormiaka, więc baliśmy się, że jak wyciągniemy go z wody, może nam się urwać, wypadnie z

sieci, puści sprzączka albo guma wokół niej i stracimy go na dobre. Nogi zwisały mu w wodzie, rozumie pan, nie zaplątały się w sieć.

— A czy może nam pan powiedzieć, co pan i pański zastępca, pan Martinson, przedsięwzięliście, by temu zapobiec?

— Podciągnęliśmy sieć, a potem wybraliśmy podborę, czyli dolną linę. Zrobiliśmy z sieci coś w rodzaju kołyski, obejmującej również jego nogi. Potem wciągnęliśmy go na pokład.

— Więc mieliście z tym trochę kłopotu — stwierdził Nels.

— Owszem, trochę.

— Nie udało się go wam wciągnąć gładko?

— Z początku. Musieliśmy trochę szarpać siecią, żeby go w nią zawinąć. Ale jak już mieliśmy go w środku, dalej poszło dość gładko, nie powiem.

— Czy jest rzeczą możliwą, szeryfie — zapytał Nels Gudmundsson — by podczas tego szarpania siecią i tych trudności przy wyciąganiu go, o jakich pan wspomniał, zmarły uderzył głową w pawęż, nadburcie rufy bądź wał sieciowy? Czy to możliwe?

— Nie wydaje mi się. Zauważyłbym, gdyby do czegoś takiego doszło.

— Nie wydaje się panu — powtórzył Nels Gudmundsson. — A kiedy wyciągaliście ciało z sieci i kładliście na pokładzie? Zmarły był roslym mężczyzną, sam pan to powiedział, ważył ponad sto kilogramów, a do tego już zeszywniał. Czy trudno go było przemieszczać, szeryfie?

— Rzeczywiście, był ciężki, diabelnie ciężki. Ale nas było dwóch i zachowywaliśmy ostrożność. O nic go nie uderzyliśmy.

— Jest pan tego pewien?

— W każdym razie nie pamiętam, żebyśmy go o coś uderzyli, panie Gudmundsson. Byliśmy ostrożni, jak już powiedziałem.

— Ale nie jest pan tego pewien — stwierdził Nels. — Postawię pytanie inaczej: czy nie żywi pan w tej kwestii żadnych wątpliwości? Czy jest rzeczą możliwą, szeryfie Moran, by w trakcie przemieszczania tak nieporęcznych i ciężkich zwłok, w trakcie operowania urządzeniem dźwigowym, z którym wcześniej rzadko miewał pan do czynienia, wreszcie w trakcie wykonywania trudnego zadania wciągania na pokład topielca ważącego ponad sto kilogramów, zmarły uderzył o coś głową już po śmierci? Czy to jest możliwe?

— Owszem — przytaknął Art Moran. — Sądzę, że to jest możliwe, lecz mało prawdopodobne.

Nels Gudmundsson zwrócił się w stronę sędziów przysięgłych.

— Nie mam więcej pytań — oświadczył, po czym z powolnością, która go wielce krępowała, ponieważ jako młody mężczyzna był szczupły i wysportowany, po salach sądowych poruszał się z gracją, mając świadomość, że jego sylwetka budzi podziw, wrócił na swoje miejsce za stołem obrony, zza którego przyglądał mu się Kabuo Miyamoto.



Pierwszego dnia procesu sędzia Lew Fielding ogłosił poranną przerwę w rozprawie za kwadrans jedenasta. Następnie obrócił się do okna i wpatrywał się przez chwilę w ciche kurtyny sypiącego śniegu. Potem potarł siwiejące brwi i koniuszek nosa, powstał, wygładził czarną togę, przecesał palcami włosy i powlókł się do swojego gabinetu.

Oskarżony Kabuo Miyamoto nachylił się do Nelsa Gudmundssona i ledwo dostrzegalnie kiwał głową, gdy obrońca szeptał mu coś do ucha. Po drugiej stronie sali Alvin Hooks podpierał rękami brodę i stukał rytmicznie obcasem w podłogę, z lekka poirytowany, lecz bynajmniej nie rozczarowany. Publiczność podnosiła się z miejsc; niektórzy ziewali i wychodzili na korytarz, gdzie panowała mniej krępująca atmosfera, inni z wyrazem nabożnego zachwytu gapili się przez okna na padający śnieg, którego płatki pędziły ku nim torem paraboli i rozbijały się o szyby. Twarze, oblane wpadającym przez wysokie okna przyćmionym grudniowym światłem, sprawiały wrażenie spokojnych, a nawet nabożnie skupionych. Jedyne osoby zamiejskowe myślały z obawą o powrocie autem do domu.

Ed Soames wyprowadził sędziów przysięgłych, żeby mogli się napić letniej wody z termosu i skorzystać z toalety, następnie wrócił na salę i obszedł ją dokoła, przykręcając zawory grzejników. Mimo to w sali panowała nadal nieznośna duchota; uwięzione w czterech ścianach ciepło nie zamierzało się ulatniać. Para osiadała na górnych częściach okien, jeszcze bardziej tłumiąc wątłe światło i pogrążając salę rozpraw w półmroku.

Ishmael Chambers znalazł sobie miejsce w rzędach dla publiczności, usiadł i stukał się gumką na końcu ołówka w dolną wargę. Podobnie jak inni mieszkańcy San Pedro dowiedział się o śmierci Carla Heinego po południu szesnastego września, w dniu, w którym znaleziono ciało. Zadzwoił do wielbnego Gordona Grovesa z luterańskiego kościoła w Amity Harbor, żeby spytać o temat niedzielnego kazania i móc sparafrazować później jego słowa w cotygodniowej rubryce „Kościoły na naszej wyspie”, drukowanej w jego tygodniku — „Kurierze San Pedro”, obok rozkładu jazdy promu z Anacortes. Nie zastał wielbnego Grovesa, ale jego żona Lillian poinformowała reportera o śmierci Carla Heinego, którego znaleziono zaplątanego we własnej sieci.

Ishmael Chambers początkowo jej nie uwierzył: Lillian Groves miała opinię plotkarki. Nie był skłonny uwierzyć w podobną wiadomość i po odłożeniu słuchawki zamyślił się nad

usłyszaną nowiną. Następnie, wciąż pełen niedowierzania, wykręcił numer biura szeryfa i poprosił o potwierdzenie informacji Eleanor Dokes, osobę, której co prawda również niezupełnie ufał. Tak, odpowiedziała, Carl Heine utonął. Tak, podczas połowu. Znaleziono go zaplątanego w jego własną sieć. Szeryfa w tej chwili nie ma. Pani Dokes przypuszcza, że poszedł się zobaczyć z koronerem.

Ishmael niezwłocznie zadzwonił do koronera. Zgadza się, potwierdził Horace Whaley, niestety, mnie może pan wierzyć: Carl Heine nie żyje. Straszne, prawda? Pomyśleć: człowiek, który przeżył Okinawę! Carl Heine, wprost nie do wiary! Roztrzaskał sobie o coś głowę.

Szeryf? Przed chwilą wyszedł ze swoim zastępcą. Mówili, że jadą do portu.

Ishmael Chambers odłożył słuchawkę. Siedział z dłonią na czole i przypominał sobie Carla Heinego ze szkoły. Skończyli ją obaj w roku 1942. Grali razem w drużynie futbolowej. Pamiętał, jak jechał z nim autobusem drużyny na mecz ze szkołą z Bellingham na jesieni 1941. Jechali ubrani w kostiumy, z kaskami na kolanach, każdy chłopak wiozł własny ręcznik. Ishmael przypominał sobie, że Carl siedział obok niego z ręcznikiem owiniętym wokół swojej grubej niemieckiej szyi i wyglądał przez okno na pola. Zapadał krótki listopadowy zmierzch. Carl obserwował gęsi śnieżne, lądujące w niskiej, podtopionej powodzią pszenicy. Zaciskał kwadratową, porośniętą blond zarostem szczękę, a głowę odchylił do tyłu. „Widzisz te gęsi, Chambers?” — mruknął.

Ishmael wsunął notes do kieszeni spodni i wyszedł na Hill Street. Nie zamknął na klucz redakcji „Kuriera” — trzech pokoi, w których niegdyś mieściła się księgarnia i sklep z gazetami, stąd liczne dotychczas półki pod ścianami. Księgarnia, jak się okazało, nie mogła liczyć na znaczniejsze obroty z powodu usytuowania na stromym zboczu; kąt nachylenia Hill Street odstręczał turystów. Ishmael lubił tę ulicę właśnie za jej niedostępność. Zasadniczo nie miał nic przeciwko letnikom ze Seattle, którzy przez całe lato tłumnie odwiedzali San Pedro — wyspiarze nie żywili zbyt dużej sympatii do „mieszczuchów” — ale nie przepadał też specjalnie za widokiem włóczących się po Main Street tabunów. Turyści przypominali mu o innych miejscach świata i budzili w nim dokuczliwą wątpliwość, czy zamieszkiwanie na San Pedro było istotnie marzeniem jego życia.

Nie zawsze żywił tak mieszane uczucia wobec swej małej ojczyzny. Kiedyś miał okazję dowiedzieć się, co naprawdę wobec niej czuje. Po wojnie, jako dwudziestotrzyletni młodzieniec z amputowaną ręką, bez żalu opuścił wyspę, żeby wstąpić na uniwersytet w Seattle. Zamieszkał w

pensjonacie na Brooklyn Avenue i początkowo zapisał się na kurs historii. Nie czuł się w owym czasie szczególnie szczęśliwy, ale też nie różnił się pod tym względem od innych weteranów. Nie opuszczała go dręcząca świadomość, że nosi rękaw spięty spinaczem, co go krępowało, ponieważ wprawiało w zakłopotanie innych. Skoro jego otoczenie nie mogło o tym zapomnieć, nie mógł zapomnieć i on. Zdarzało się, że zachodził do knajp w pobliżu kampusu i pozwalał sobie na zachowanie swobodne i bez troskie, typowe dla młodszych studentów. Później jednak zawsze czuł się z tego powodu głupio. Nie przejawiał skłonności do żłopania piwa i gry w bilard. Znacznie lepiej czuł się w łóżach z wysokimi oparciami w głębi restauracji „Day’s” na University Way, gdzie popijał kawę i czytał książki historyczne.

Następną jesieni zapisał się na kurs literatury amerykańskiej. Melville, Hawthorne, Twain. W swoim młodzieńczym cynizmie gotów był uznać *Moby Dicka* za lekturę niestrawną — pięćset stron o pościgu za wielorybem? — tymczasem powieść okazała się zajmująca. Przeczytał całą podczas dziesięciu posiedzeń za wysokim przepierzeniem łoży w restauracji „Day’s”, zastanawiając się od początku nad naturą wielorybów. Narrator, co stwierdził przeczytawszy pierwsze zdanie powieści, nosił jego imię: Ishmael. Imiennik okazał się gościem w porządku, ale do Ahaba młody Chambers nie mógł nabrać szacunku i ta postać obrzydziła mu w rezultacie całą książkę.

*Huckleberry Finna* przeczytał będąc dzieckiem, ale niewiele z tej lektury zapamiętał. Przypominał sobie tylko, że powieść wydała mu się wówczas zabawniejsza — wszystko wydaje się w tym wieku zabawniejsze — ale treść wyleciała mu z pamięci. Ludzie opowiadają z miłością i znanstwem o książkach, które czytali przed laty, ale Ishmael podejrzewał, że udają. Zastanawiał się czasem, co się stało z książkami, które kiedyś przeczytał — czy zapisały się gdzieś w jego duszy? James Fenimore Cooper, sir Walter Scott, Dickens, William Dean Howells. Nie sądził, aby ich dzieła wciąż istniały w jego pamięci. W każdym razie nie mógł ich sobie przypomnieć.

*Szkarłatną literę* przeczytał w trakcie sześciu posiedzeń. Kończył, gdy zamykano restaurację. Kucharz wyszedł przez wahadłowe drzwi i oznajmił, że zamykają lokal. Ishmael był na ostatniej stronie, kiedy go tak obcesowo wyprosiono. Ostatnie słowa powieści: „Na czarnym polu litera A, czerwona” — doczytał na chodniku przed restauracją. Co to miało znaczyć? Mógł się tylko domyślać prawdziwego sensu tych słów, nawet mając do pomocy przypis u dołu strony. Ludzie mijali go w pośpiechu, październikowy wiatr chłostał w twarz, a on stał z otwartą książką,

zakłopotany takim zakończeniem historii Hester Prynne; niewiasta zasługiwała mimo wszystko na lepszy los.

Doszedł do wniosku, że książki to niezła rzecz, ale i na tym koniec — nie zapewnią mu utrzymania. Uznawszy tę prawdę, zwrócił się ku dziennikarstwu.

Będąc w jego wieku ojciec Ishmaela, Arthur Chambers, pracował jako drwal. Przez cztery i pół roku tyrał w tartaku w Port Jefferson; nosił wtedy sumiaste wąsy, impregnowane buty do pół łydki, wystrzępione szelki i długie wełniane kalesony. Dziadek Ishmaela był prezbiterianinem ze Szkocji, babka irlandzką fanatyczką z bagnistego rejonu nad Lough Ree; spotkali się w Seattle pięć lat przed wielkim pożarem, pobrali i wychowali sześciu synów. Tylko najmłodszy, Arthur, został nad Puget Sound. Dwóch jego braci zostało żołnierzami najemnymi, jeden zmarł na malarię nad Kanałem Panamskim, inny został inspektorem w Indiach i Birmie, ostatni w wieku siedemnastu lat kładł tory na wschodnim wybrzeżu, a potem wszelki śluch po nim zaginął.

Arthur założył „Kurier San Piedro”, czterostronicowy tygodnik, gdy miał dwadzieścia kilka lat. Za oszczędzone pieniądze kupił prasę drukarską, skrzynkowy aparat fotograficzny oraz wilgotne, niskie pomieszczenie biurowe na tyłach magazynów przetwórci rybnej. Inauguracyjny numer „Kuriera” donosił na czołówce: „SĄD PRZYSIĘGLYCH W SEATTLE UWALNIA GILLA”. Ocierając się na korytarzu sądu o reporterów ze „Stara”, „Timesa”, „Evening Post”, „Daily Cali” i „Seattle Union-Record”, Arthur relacjonował proces burmistrza Hiram Gilla, oskarżonego o udział w aferze alkoholowej. Wydrukował długi artykuł o George’u Vandeverze, adwokacie szarlatanem, broniącym członka międzynarodówki robotniczej po masakrze w Everett. W jednym ze wstępniaków wzywał do wykazania zdrowego rozsądku, kiedy Wilson ogłosił wypowiedzenie wojny; w innym wychwalał świeżo wprowadzone przedłużenie kursów promów na zawietrzną stronę wyspy. Zamieścił ogłoszenie o zebraniu Towarzystwa Rododendrona oraz o wieczorku tańczącym w siedzibie organizacji farmerów amerykańskich, urządzonym przez Horatia Marchesa z Cattle Point, któremu urodził się syn Theodore Ignatius. Wszystkie te wiadomości wydrukowano grubym centurionem — już w roku 1917 przestarzałym — z cienkimi jak włos odstępami pomiędzy siedmioma kolumnami druku oraz podtytułami złożonymi tłustą wypukłą czcionką z szeryfami. Wkrótce potem wcielono Arthura do Amerykańskich Sił Ekspedycyjnych generała Pershinga. Walczył pod Saint-Mihiel i Belleau Wood, potem wrócił do domu i swojej gazety. Poślubił dziewczynę ze Seattle z rodu Illini, pszenicznowłosą, gibką, o sarnim spojrzeniu. Jej ojciec, kupiec galanterii męskiej z First Avenue w Seattle i spekulant

handlu nieruchomościami, niechętnym okiem patrzył na Arthura, którego miał za prostego drwala pozującego na dziennikarza, człowieka bez widoków na przyszłość, niegodnego jego córki; mimo to młodzi pobrali się i zajęli płodzeniem dzieci. Po wyteżonych wysiłkach udało im się jednak spłodzić tylko jedno; drugie zmarło podczas porodu. Zbudowali dom w South Beach z widokiem na morze i wytyczyli ścieżkę na plażę. Arthur okazał się zdolnym i przezonym ogrodnikiem, baczny obserwator życia na wyspie, a z czasem został również małomiasteczkowym dziennikarzem w pełnym tego słowa znaczeniu: poznał możliwości, jakie słowo drukowane stwarzało ludziom wpływowym, szanowanym, piastującym stanowiska publiczne. Przez wiele lat nie brał urlopu. W wigilię Bożego Narodzenia, podczas tygodnia przedwyborczego oraz czwartego lipca wypuszczał wydanie specjalne. Ishmael nie zapomniał, jak w każdy wtorkowy wieczór u boku ojca obsługiwał prasę drukarską. Arthur przyśrubował ją do podłogi w magazynie szkutniczym na Andreason Street, obskurnej budzie, która cuchnęła stale tuszem litograficznym i antymonem z maszyny do składania. Prasa była ogromnym urządzeniem zielonkawego koloru, złożonym z wałków, cylindrów i kół pasowych osadzonych w żeliwnej obudowie; ruszała z oporami dziewiętnastowiecznego parowozu, a pracując skrzypiała i postękiwała. Do Ishmaela należało łamanie składów, obsługa kałamarzy i pełnienie funkcji chłopca na posyłki. Arthur, który z upływem lat wszedł z tą maszyną w relację symbiotyczną, nurkował pod nią, sprawdzając blachy i cylindry drukujące. Stał ledwie o centymetry od klekoczących wałków, nic sobie nie robiąc z niebezpieczeństwa, jakie mu z ich strony groziło, gdyby bowiem — jak to obrazowo wyjaśniał synowi — dostał się między nie rękaw jego kitla, machina by go wciągnęła, pękłby jak dziecięcy balon i rozprysnął się po ścianach. Nie zostałyby po nim nawet kosteczka — potęgował Arthur atmosferę grozy — znajdowano by później jedynie kostne odłamki, podobne do strzępków białego konfetti, rozrzucone między walającymi się na podłodze zaplamionymi odbitkami drukarskimi.

Grupa przedsiębiorców z izby handlowej usiłowała nakłonić Arthura, żeby wystartował w wyborach do legislatury stanu Washington. Przybyli do jego domu ubrani w płaszcze i kraciaste szaliki, pachnący pomadą do włosów i mydłem do golenia, i zasiedli nad kieliszkami nalewki z jeżyn. Arthur odmówił ubiegania się o wybór, oświadczywszy dżentelmenom z Amity Harbor, że jest człowiekiem wolnym od złudzeń i woli układać zdania i przystrzygać żywopłoty z morwy. Podwinięte do łokci rękawy prążkowanej koszuli odsłaniały owłosione przedramiona, szelki napinały się na muskularnym klinie szerokich pleców. Na nieco spłaszczonym nosie Arthura

Chambersa — zimą 1915 roku złamało mu przegrodę nosową smagnięcie zerwanego kabla, którym wciągano pnie — siedziały okrągłe okulary w metalowej oprawce, stanowiąc ładny kontrast wobec kościstej i długiej szczęki. Panowie z Amity Harbor nie znaleźli argumentów, które mogliby przeciwstawić jego stanowisku, zadartemu podbródkowi i oślej szczęce. Odeszli zawiedzeni.

Rygorystyczna lojalność wobec zasad zawodu dziennikarza sprawiła, że Arthur stawał się z latami coraz bardziej wstrzemięźliwy w mowie oraz uczynkach i coraz bardziej skrupulatny, jeśli idzie o prawdę w najbliższych nawet artykułach. Ishmael pamiętał, że był moralnym skrupulatem i choć starał mu się dorównać pod tym względem, jednak przejścia wojenne — utrata ręki — nie ułatwiały mu tego zadania. Miał skłonność do wyrokowania „od ręki”: posługiwał się tym wyrażeniem na własny użytek w przyпыlywie czarnego humoru. Przestał lubić ludzi, stracił również serce do przedmiotów. Wolałby, żeby tak nie było, ale nic na to nie mógł poradzić. Cynizm weterana stał się przywarą jego charakteru, która nie dawała mu spokoju. Od końca wojny miał wrażenie, że świat przewrócił się do góry nogami. Nie potrafiłby nawet wyjaśnić, dlaczego wszystko wydaje mu się takie głupie. Ludzie wydawali mu się wręcz koszmarnie głupi. Uważał, że są tylko ożywionymi worami pełnymi jakiejś galarety, sznurków i płynów. Przez poszarpane otwory oglądał wnętrzości rozbebeszonych trupów, widział mózgi wylewające się z głów. Na takim tle sprawy codziennego życia wydawały się kompletnie, szokująco śmieszne. Stwierdził, że irytują go nawet zupełnie obcy ludzie. Zagadnięty przez kolegę ze studiów, odpowiadał opryskliwie i niechętnie. Nigdy nie miał pewności, czy jego rozmówcy potrafią się zdobyć na taką swobodę wobec jego kalectwa, by mówić to, co naprawdę myślą. Wyczuwał ich chęć, by okazywać mu współczucie, co go szalenie drażniło. Brak ręki i bez tych komplikacji był faktem dostatecznie tragicznym, a do tego, w najgłębszym przekonaniu Ishmaela, kalectwem odrażającym. Gdyby zechciał, mógłby wzbudzić odrazę kolegów, przychodząc na wykłady w koszuli z krótkimi rękawami, obnażającej bliznowatą tkankę na kikucie, nigdy jednak tego nie zrobił. W gruncie rzeczy nie chciał ludzi odpychać. Nabral jednak przeświadczenia, że ludzkie działania, nie wyłączając jego własnych, są kompletną głupotą, a jego osoba działa bliźnim na nerwy. Choćby i bardzo pragnął pozbyć się tego nieszczęsnego przekonania, nie miał wyjścia, musiał mu hołdować. Było z nim zrośnięte i znosił je w milczeniu. Później, kiedy wyrósł z wieku młodzieńczego i wrócił na rodzinną wyspę, światopogląd zaczął mu się zmieniać. Ishmael nauczył się odnosić do wszystkich serdecznie, kryjąc się za

wystudiowaną i z gruntu fałszywą fasadą. Do cynizmu człowieka rannego na wojnie dodały się nieuchronny cynizm wchodzącego w wiek średni mężczyzny i zawodowy cynizm dziennikarza. Ishmael zaczął myśleć o sobie jako o jednorękim starym kawalerze po trzydziestce, z rękawem spiętym spinaczem. Ostatecznie nie było to najgorsze, więc nie chodził już taki poirytowany jak kiedyś w Seattle. Gdyby jeszcze nie ci turyści — pomyślał, schodząc w dół Hill Street do portu. Przez całe lato zerkali na jego spięty spinaczem rękaw ze zdumionymi minami osób nie przyzwyczajonych do podobnego widoku; jego współziomkowie z wyspy już się takiej niegrzeczności oduczuli. Turyści z lodami i niewinnymi twarzami wzbudzali w kalece dawną irytację, nie chcianą i pełną złości. Dziwne, ale Ishmael pragnął lubić wszystkich ludzi, nie wiedział tylko, jak się do tego zabrać.

Jego matka, która miała pięćdziesiąt sześć lat i mieszkała samotnie w starym domu na południowym skraju wyspy, gdzie Ishmael spędził dzieciństwo, wykazywała synowi, kiedy przyjeżdżał do niej z miasteczka w odwiedziny, że z cynizmem, choć skądinąd w jego przypadku zrozumiałym, jest mu zupełnie nie do twarzy. Przedtem podobny cynizm prezentował jego ojciec, dodawała, ale i jemu nie było z nim do twarzy.

— Kochał z całego serca ludzkość, ale raczej nie lubił ludzi — mówiła Ishmaelowi. — Ty jesteś taki sam, wiesz? Pod tym względem wykapany ojciec.

Art Moran opierał jedną nogę na wbitym obok pomostu palu i rozmawiał z kilkoma rybakami, kiedy Ishmael Chambers zjawił się tego popołudnia w porcie w Amity Harbor. Zebrali się przed łodzią Carla Heinego, zacumowaną między „Erikiem J”, kutrem do połowu z dzioba, należącym do Marty’ego Johanssona, a „Tordenskoldem”, sejnerem z Anacortes. Kiedy Ishmael podchodził do grupki rybaków, powiał południowy wiatr, sprawiając, że zaskrzypiały cumy pozostałych łodzi: „Advancera”, „Providence”, „Ocean Mist”, „Torvanger” — typowych na San Pedro kutrów, łowiących sieciami skrzelowymi. „Mystery Maid”, szkuner do połowów halibuta i dorsza, ostatnio szwankował i teraz przechodził remont. Zdjęto płat poszycia kadłuba na prawej burcie i wymontowano silnik, odkrywając wał korbowy i łożyska. Na dziobie leżała sterta rur, dwie zardzewiałe beczki po ropie, rozbita szklana płyta i korpus akumulatora, pełen pustych puszek po farbie. Na wodzie, pod strzępami chodnika, który przybito gwoździami, żeby spełniał rolę portowych odbijaczy, polśniewała warstewka oliwy.

Tego dnia zgromadziło się w porcie mnóstwo mew. Zwykle żerowały wokół przetwórnicy łososia, tymczasem teraz siedziały na bojach i innych pławach zupełnie nieruchomo, jak ulepione z gliny, bądź kołysały się na fali, aby co jakiś czas wzbicie się w górę i poszybować z wiatrem, kręcąc na wszystkie strony łebkami. Niektóre lądowały na opuszczonych łodziach i przeszukiwały je zawzięcie w poszukiwaniu odpadków. Rybacy strzelali do nich czasami śrutem na kaczki, ale przeważnie mewy zaznawały w porcie zupełnej swobody, pstrząc nabrzeża siwawymi odchodami.

Dale Middleton i Leonard George, obaj w umorusanych smarem kombinezonach, siedzieli przed „Susan Marie” na przewróconej beczce po ropie. Jan Sorensen opierał się o zbitą ze sklejki skrzynię na śmieci, Marty Johansson stał na szeroko rozstawionych nogach, splótszy ramiona na półobnażonej piersi, okrytej jedynie wpuszczonym za spodnie podkoszulkiem. Obok szeryfa stał William Gjovaag z cygarem w palcach. Abel Martinson przysłuchiwał się rozmowie rybaków, siedząc na nadburciu „Susan Marie” ze zwieszonymi nad wodą nogami.

Rybacy z San Pedro — przynajmniej w tamtych czasach — wypływali na połów o zmierzchu. Większość z nich łowiła sieciami skrzelowymi; wychodzili na łowiska w pojedynkę i wyrzucali sieci w miejscach, któredy chodziły łososie. Sieci wisały niczym kurtyny w ciemnej wodzie — śmiertelne pułapki na nie podejrzewające niczego ryby.

Rybak łowiący sieciami skrzelowymi spędzał nocne godziny w zupełnej ciszy, kołysząc się na fali i cierpliwie czekając. Dobrze, jeśli był z natury samotnikiem, w przeciwnym bowiem razie raczej nie mógł liczyć na powodzenie w tym zawodzie. Łosoś chodził czasem tak wąskimi ławicami, że rybacy byli zmuszeni zbliżać się jeden do drugiego na odległość wzroku, co powodowało kłótnie. Rybak odcięty od ryby przez konkurenta, łowiącego w gorze prądu, mógł podpłynąć do takiego intruza, żeby powygrażać mu osęką i skłąć go od ostatnich jako złodzieja ryb. Od czasu do czasu zdarzały się na morzu hałaśliwe pojedynki na wyzwiska, ale najczęściej rybacy spędzali nocę w zupełnej samotności, nie mając się nawet z kim pokłócić. Ci, którym zbrzydło takie odludkowe życie, rzucali rybaczenie w pojedynkę i dołączali do załóg sejnerów bądź szkunerów łowiących halibuty sznurami haczykowymi. Stopniowo ustalał się podział: Anacortes, miasteczko na lądzie stałym, stawało się portem macierzystym dużych kutrów, z załogą czterech lub więcej ludzi, Amity Harbor zaś przytuliskiem jednoosobowych łodzi, łowiących sieciami skrzelowymi. Mieszkańcy San Pedro szczycili się tym, że ich pobratymcy mają odwagę łowić w pojedynkę nawet w sztormową pogodę. Z czasem w wyspiarskich duszach



ugruntowało się przekonanie, że łowienie w pojedynkę jest szlachetniejszą formą rybołówstwa, i synowie rybaków marzyli po nocach o wychodzeniu w morze w jednoosobowych łodziach i wyciąganiu siecią z jego otchłani ogromnych łososi, co miało im zaskarbić uznanie współziomków.

W zbiorowej wyobraźni mieszkańców San Pedro ustaliło się mniemanie, że trudzący się w ciszy, samotny rybak jest wzorem przyzwoitego człowieka. Osobnik zanadto towarzyski, spragniony pogaduszek i śmiechu, który mełł ozorem i zbyt gorliwie szukał kompanii innych ludzi, nie zasługiwał na szacunek. Tylko ten, kto z powodzeniem zmagał się z żywiołem, mógł rościć sobie prawo do ludzkiego uznania.

Rybacy z San Pedro stali się milczkami. Tylko od czasu do czasu, zresztą ku swojej niezmiernej uldze, gawędzili ze sobą o świcie po powrocie do portu. Choć zmęczeni i jeszcze zajęci robotą, wymieniali między pokładami uwagi o wydarzeniach minionej nocy oraz sprawach, które tylko oni byli w stanie pojąć. Poufałość tych pogwarek, wymiana opinii z ludźmi wyznającymi te same poglądy przygotowywały ich do spotkania z żonami bez owego chłodu, jaki w przeciwnym razie przynosiłoby z morza do domu. Byli więc, krótko mówiąc, samotnikami podwójnie: z racji zawodu i z powodu geografii, ponieważ żyli na wyspie, a choć nachodziła ich czasem chęć, by sobie pogadać, stwierdzali, że już od tego odwykli.

Podchodząc do gromadki rybaków zebranych przed „Susan Marie”, Ishmael zdał sobie sprawę, że nie należy do tego bractwa, co gorsza, zajmując się słowami, jest dla niego kimś podejrzanym. Przemawiało za nim jedynie widoczne kalectwo i status weterana, którego przeżycia wojenne pozostaną na zawsze tajemnicą dla każdego, kto nie walczył na wojnie. Tajemniczość zaś należała do przymiotów, które rybacy samotnicy skłonni byli cenić, i częściowo równoważyła ich podejrzliwość wobec składacza słów, który całe dnie przesiadywał nad maszyną cło pisania.

Skinąwszy mu głowę i przemieściwszy się nieco, przyjęli go do swojego grona.

— Przypuszczam, że już słyszałeś nowinę — odezwał się szeryf. — Pewnie nawet wiesz więcej ode mnie.

— Wprost trudno w to uwierzyć — odrzekł Ishmael.

William Gjovaag wetknął cygaro między zęby.

— Zdarza się — mruknął. — Taki już los rybaka.

— Niby tak, a jednak... — rzekł Marty Johansson. — Mój Boże!

Pokręcił głową i zakołysał się na piętach. Szeryf zdjął nogę z pala, podciągnął spodnie, postawił na palu drugą nogę i oparł łokieć na jej kolanie.

— Rozmawiałaś już z Susan Marie? — zapytał Ishmael.

— Tak — odrzekł Art. — Boże przenajświętszy!

— Co ona teraz pocnie z trójką dzieci? — zapytał Ishmael.

— Pojęcia nie mam — przyznał szeryf.

— Powiedziała coś?

— Ani słowa.

— A niby co miała powiedzieć? — zainteresował się William Gjovaag. — Co kobiecisko może w tej sytuacji powiedzieć, na Boga Ojca?

Ishmael wywnioskował z jego uwagi, że Gjovaag nie przepada za dziennikarzami. Williama, ogorzałego od słońca i wiatru, wytatuowanego, brzuchatego mężczyznę o wodnistych oczach miłośnika dżinu, przed pięcioma laty opuściła żona; mieszkał na kutrze.

— Przepraszam, panie Gjovaag — wybąkał Ishmael.

— A na cholerę mi pańskie przeprosiny? — odburknął rybak. — Chrzań się pan, panie Cząber.

Zebrani roześmiali się, z czego Ishmael Chambers wniósł, że ich grubiaństwa wobec niego są do pewnego stopnia niewinne i dobroduszne.

— Czy wiadomo już, co się wydarzyło? — zapytał szeryfa.

— Właśnie próbuję to ustalić. O tym rozmawiamy.

— Art chce się dowiedzieć, gdzie który z nas łowił — wyjaśnił Marty Johansson. — Człowiek...

— Nie potrzebuję wiedzieć, gdzie każdy z was łowił — przerwał mu szeryf. — Próbuję tylko ustalić, gdzie ostatniej nocy łowił Carl. Kto go widział, kto z nim ostatni rozmawiał. O to mi chodzi, Marty.

— Ja go widziałem — odezwał się Dale Middleton. — Razem wyszliśmy z zatoki.

— Chciałeś chyba powiedzieć, że wyszedłeś z a nim — dociął Dale'owi Marty Johansson. — Założę się, że uczepliłeś się go jak rzep psiego ogona, co nie?

Młodszy rybacy, jak Dale Middleton, przesiadywali codziennie w kawiarni „San Piedro” lub restauracji „Amity Harbor”, węsząc za informacjami. Chcieli się dowiedzieć, gdzie pokazała się ryba, jak ostatniej nocy poszło kolegom i gdzie próbowali szczęścia. Rybacy doświadczeni i

mający powodzenie, tacy jak Carl Heine, z zasady zbywali ich nagabywania. W rezultacie musieli się liczyć z tym, że będą śledzeni: ten, kto milczał, z reguły włókł za sobą ogon. W mgliste noce tacy tropiciele musieli się trzymać blisko upatrzonej ofiary, a mimo to łatwo ją gubili; uciekali się wtedy do pomocy nadajników radiowych, łączyli się z podobnymi sobie nieudacznikami i stwierdzali zazwyczaj, że ci z tych samych powodów szukają połączenia z nimi; strapione głosy nawoływały się na falach eteru w nadziei uchwycenia choć strzępków cennych informacji. Najbardziej — wedle standardów obowiązujących na San Piedro — szanowani rybacy nikogo nie śledzili i zachowywali ciszę w eterze. Jeśli komuś zdarzyło się podpłynąć do kutra takiej znakomitości, przekonawszy się, kogo ma przed sobą, natychmiast zmieniał kurs, bo wiedział, że ani sobie nie pogada, ani nie dowie się niczego na temat poszukiwanej ryby. Jedni bowiem dzielili się swoją wiedzą, inni nie. Carl Heine należał do tej drugiej kategorii.

— No dobra, tropiłem go — przyznał Dale Middleton. — Gość zawsze wracał z pełną ładownią.

— O której to było? — zapytał szeryf.

— Gdzieś tak o wpół do siódmej.

— Widziałeś go potem?

— Aha, na ławicy Ship Channel Bank. Razem z innymi cwaniakami polował na kizucze.

— W nocy była mgła — zauważył Ishmael Chambers. — Musieliście łowić burta w burzę.

— Wcale nie — odrzekł Dale. — Widziałem, jak wyrzucał sieci, zanim mgła zgęstniała. Gdzieś tak o wpół do ósmej, ósmej...

— Ja też go widziałem — odezwał się Leonard George. — Na ławicy. Sieci miał już wydane.

— O której to mogło być? — zapytał szeryf.

— Dość wcześnie. Gdzieś tak o ósmej.

— Później już nikt go nie widział? Żaden z was go nie widział po ósmej?

— Przed dziesiątą stamtąd wybyłem — wyjaśnił Leonard George. — Nie było tam czego szukać, ani śladu ryby. Powlokłem się na Elliot Head, wolno jak zółw z powodu tego mglistka. Musiałem włączyć sygnał mgłowy.

— Ja też — oznajmił Dale Middleton. — Prawie wszyscy się stamtąd zabrali. Popłynęliśmy podbierać rybę Marty'emu. — Uśmiechnął się szeroko. — Mieliliśmy całkiem udaną noc.

— Carl też popłynął na Elliot Head? — spytał szeryf.

— Ja go tam nie widziałem — stwierdził Leonard. — Ale to niczego nie dowodzi, bo, jak już mówiłem, mgła była gęsta jak mleko.

— Osobiście wątpię, żeby się ruszał — wtrącił Marty Johansson. — Twierdzą tak, bo Carl nie lubił się szwendać. Jak raz się zdecydował na jakieś łowisko, już się go trzymał. Pewnie i na Ship Channel udało mu się wyciągnąć trochę ryby. Na Elliot Head go w każdym razie nie widziałem.

— Ja też nie — przytaknął Dale Middleton.

— Ale widziałeś go na Ship Channel — przypomniał szeryf. — Kto jeszcze oprócz niego tam był, pamiętasz?

— Czekaj pan... — zastanowił się Dale. — Najmarniej jeszcze parę łodzi, może nawet więcej niż parę, ale kto detalicznie, tego panu za Boga nie powiem.

— Mleko — przytaknął Leonard George. — Mgła gęsta jak mleko. Człowiek własnej ręki nie mógł dojrzeć.

— Jakich łodzi? — zapytał Art Moran.

— No cóż — mruknął Leonard — niech pomyślę. „Kasilof”, „Islander”, „Mogul”, „Eclipse”. Mówię cały czas o Ship Channel...

— „Antarctic” — dorzucił Dale Middleton.

— Zgadza się, „Antarctic” — przytaknął Leonard.

— A w eterze? — zapytał szeryf. — Nie słyszeliście kogoś, kogo nie widzieliście?

— Vance'a Cope'a — rzekł Leonard. — Znasz Vance'a? Pływa na „Providence”. Rozmawiałem z nim chwilkę.

— Chwilkę? Gadaliście i gadaliście — sprostował Marty Johansson. — Słyszałem was przez całą drogę na przylądek. Bój się Boga, Leonard...!

— Ktoś jeszcze? — dopytywał się szeryf.

— „Wolf Chief” — przypomniał sobie Dale. — Słyszałem głosy Jima Ferry'ego i Hardwella. „Bergen” też się kręcił na Ship Channel.

— Nikt więcej?

— Chyba nie — powiedział Leonard.

— A ten „Mogul”, czyja ta łajba? — zapytał Art.

— Moultona — odpowiedział mu Marty Johansson. — Odkupił ją zeszłej wiosny od Laneyów.

— A „Islander”?

— Miyamoto, tego średniego — odparł Dale Middleton. — Chyba się nie mylę, co?

— Najstarszego — sprostował Ishmael Chambers. — Kabuo jest najstarszy. Średni, Kenji, pracuje w przetwórni.

— Wszystkie żółtki są do siebie podobne — prychnął Dale. — Nigdy nie potrafiłem ich odróżnić.

— Japonce — mruknął William Gjoavaag i wrzucił niedopałek cygara do wody obok burty „Susan Marie”.

— No dobra — powiedział Art Moran. — Jak zobaczycie któregoś z tych facetów: Hardwella, Cope’a, Moultona czy innego, powiedzcie im, żeby się do mnie zgłosili. Chcę się dowiedzieć, czy nie rozmawiali z Carlem tej nocy. Chcę ich wszystkich u siebie widzieć.

— Nasz szeryfunio coś zważniał — zauważył Gjoavaag. — Czy to nie był zwyczajny wypadek?

— Przypuszczalnie — przyznał Art Moran. — Ale zginął człowiek, William, więc muszę sporządzić raport.

— Dobry człowiek — orzekł kiwając głową Jan Sorensen, który mówił z duńskim akcentem. — I dobry rybak.

Szeryf zdjął nogę z pala i poprawił patkę koszuli.

— Abel, odprowadź motorówkę, spotkamy się potem w biurze. Chciałbym się trochę przejść z panem Chambersem, mam z nim do pogadania.

Jednak dopiero kiedy opuścili port i skręcili w Harbor Street, Art Moran porzucił jałową pogawędkę i przystąpił do rzeczy.

— Słuchaj, wiem, co ci chodzi po głowie — zwrócił się do Ishmaela. — Masz zamiar kropnąć artykułik, w którym stwierdzisz, że szeryf Moran podejrzewa morderstwo i nawet rozpoczął już śledztwo. Nie mylił mnie przecucie?

— Pojęcia nie mam, co napiszę. Jak dotąd nic jeszcze nie wiem o tej sprawie. Miałem nadzieję, że ty mnie oświecisz.

— Jasne, jasne, że cię oświecę — przytaknął Art Moran. — Ale musisz mi najpierw coś obiecać. Nie napiszesz ani słówka na temat śledztwa, zgoda? Jeśli chcesz zacytować moje oświadczenie w tej sprawie, oto ono: Carl Heine utonął przez przypadek albo coś w tym guście, już ty to ubierzesz w słowa. Byłeś nie wspominał o śledztwie, bo żadnego śledztwa nie prowadzę.

— Chcesz, żebym skłamał? — zaciekał się Ishmael Chambers. — Wydrukował lipne oświadczenie?

— Między nami? — upewnił się szeryf. — Faktycznie, rozpocząłem śledztwo. Jest w tej sprawie kilka zastanawiających szczegółów. Może się okazać, że to nic nie znaczące błahostki, ale tego na razie nie umiemy stwierdzić. Mogło to być morderstwo, mogło być nieumyślne zabójstwo, mógł być wypadek, jak wolisz. Rzecz w tym, że tego na razie nie wiemy. A jeśli ogłosisz moje podejrzenia wszem i wobec na pierwszej stronie „Kuriera”, mamy duże szanse nigdy się nie dowiedzieć.

— A faceci, z którymi rozmawiałeś, Art? Mam ci powiedzieć, co oni teraz zrobią? William Gjovaag poleci oznajmić całemu światu, że wędzysz wokół tej sprawy, szukając mordercy.

— A, to zupełnie inna para kaloszy. To będzie plotka, prawda? Na tej wyspie plotki zawsze będą kursować, nawet gdybym nie prowadził żadnego śledztwa w jakiegokolwiek sprawie. Proszę bardzo, niech sobie morderca główkuje... jeśli w ogóle istnieje, pamiętaj!... czy to, co słyszysz, to tylko plotki, czy może coś więcej. Pozwólmy raz plotkom działać na naszą korzyść, niech się tamten martwi. Przecież ja tak czy owak muszę wypytywać ludzi, nie mam wielkiego wyboru, prawda? Jeśli chcą zgadywać, do czego zmierzam, ich rzecz, nic na to nie poradzę. Ale nie chcę mieć na pierwszej stronie gazety ogłoszenia, że szeryf prowadzi jakieś śledztwo.

— Rozumiem z tego, że twoim zdaniem ten ktoś, kimkolwiek jest, mieszka na naszej wyspie. Czy to właśnie...

— Posłuchaj — powiedział Art Moran, przystając. — Jeśli chodzi o „Kurier San Pedro”, żaden „ktoś, kimkolwiek jest” nie istnieje, rozumiemy się? Chcę, żeby to było całkiem jasne.

— Dla mnie jest. W porządku, napiszę, że twoim zdaniem to był wypadek. Informuj mnie, gdyby pojawiło się coś nowego.

— Załatwione — zgodził się szeryf. — Jeśli coś odkryję, ty dowiesz się o tym pierwszy. No i co? Zadowolony?

— Niezupełnie. Nadal stoi przede mną zadanie kropnięcia tego artykułiku. Czy więc odpowie mi pan, szeryfie, na kilka pytań, dotyczących wypadku Carla Heinego?

— Teraz mówisz jak człowiek — ucieszył się Art Moran. — Wal!

Kiedy poranna przerwa w rozprawie dobiegła końca, Horace Whaley, koroner okręgowy, złożył cichym głosem przysięgę na Biblię, usiadł ostrożnie na miejscu dla świadka, zacisnął palce na poręczach dębowego krzesła i mrugając powiekami spojrzął zza okularów w metalowej oprawce na Alvina Hooksa. Horace Whaley był z natury odludkiem, zbliżał się do pięćdziesiątki i miał po lewej stronie czoła rozległą plamę koloru portweinu, której często machinalnie dotykał. Zadbany i schludny, chudy jak bocian, choć nie aż tak kościsty jak Art Moran, nosił krochmalone spodnie, podciągnięte wysoko na wąskich biodrach, a rzadkie, przylizane brylantyną włosy zaczesywał na lewą stronę. Zza szkielek okularów błyszczały łzawo nieco żabie oczy: koroner miał nadczynność tarczycy. Każdy jego ruch zdradzał jakąś niepewność i nerwową ostrożność.

W czasie wojny przez blisko dwa lata służył jako lekarz wojskowy na Pacyfiku. Cierpiał wtedy na bezsenność i chorobę tropikalną w formie ogólnie złego samopoczucia, co — w jego własnej ocenie — upośledzało jego sprawność. Oszołomionemu bezsennością umierali ranni, za których ponosił odpowiedzialność. Ci okryci krwawymi ranami żołnierze zlatli się w jego wyobraźni w prześladowający go od tamtej pory koszmar senny.

Szesnastego września, zajęty papierkową robotą, siedział za biurkiem w swoim gabinecie. Wieczorem poprzedniego dnia w okręgowym domu starców wyspy San Pedro zmarła wiekowa starowinka; inna, niewiele młodsza, odeszła z tego świata, rąbiąc szczapki na podpałkę. Znalazło ją dziecko, które taczka przywiozła jej jabłka — babuleńka wisiała na pniaku, a jej koza trącała ją pyszczkiem w twarz. Horace wypisywał dwa akty zgonu w trzech egzemplarzach, kiedy zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę z uczuciem irytacji; od wojny nie potrafił robić kilku rzeczy naraz, więc, będąc zajęty, nie miał ochoty z nikim rozmawiać.

Tak oto dowiedział się o śmierci Carla Heinego, człowieka, który przeżył zatonięcie „Cantona” i — podobnie jak sam Horace — inwazję na Okinawę, tylko po to, jak się okazało, żeby zginąć w wypadku na kutrze.

W dwadzieścia minut później Art Moran i Abel Martinson wnieśli na noszach ciało — obute stopy wystawały poza nosze, szeryf sapał z wysiłku, a jego zastępca zaciskał wargi i marszczył czoło — i położyli je na stole do sekcji. Zwłoki były okryte, niczym całunem, dwoma białymi wełnianymi kocami marynarki wojennej, których dziewięć lat po wojnie był na San Pedro taki dostatek, że niemal każdy kuter woził ich po kilka. Horace Whaley odwinął róg jednego z kocy, dotknął palcami piętna na czole i spojrzął na Carla Heinego. Na pierwszy rzut



oka stwierdził, że szczęka zmarłego opadła, a język zniknął w głębi przepastnej, zeszywniałej jamy ustnej. Naczynka krwionośne spojówek popękały.

Koroner przykrył twarz nieboszczyka i zwrócił się do stojącego obok Arta Morana.

— Jasny gwint! — mruknął. — Gdzie go znaleźliście?

— W zatoce White Sand — odrzekł Art.

Potem opowiedział o dryfującym w zupełnej ciszy kutrze, o zapalonych światłach na pokładzie „Susan Marie” oraz o tym, jak razem z Ablem wydobyli zaplątane w sieć zwłoki, jak potem Abel poszedł po furgonetkę, pożyczył nosze od straży pożarnej, po czym obaj, w asyście gapiącej się i zadającej pytania grupki rybaków, położyli Carla na noszach i przywieźli tutaj.

— Muszę teraz pojechać do jego żony — zakończył szeryf. — Nie chcę, żeby dowiedziała się o wypadku od kogoś innego. Niedługo wracam, Horace. Najpierw muszę się jednak zobaczyć z Susan Marie.

Martinson stał w nogach stołu sekcyjnego i przywykał do myśli, jak zauważył Horace, o prowadzeniu rozmów w obecności nieboszczyka. Nosek prawego buta Carla Heinego wystawał spod kocy tuż przed nim.

— Abel — zwrócił się szeryf do swego zastępcy. — Zostałbyś tu z koronerem? Pomógłbyś mu, gdyby potrzebował.

Chłopak skinął głową, a następnie położył kapelusz, który dotąd trzymał w ręku, obok tacy z narzędziami.

— Dobra — mruknął. — Zrobi się.

— Świetnie — ucieszył się Art. — Za chwileczkę wracam. Za jakieś pół godziny, góra godzinę.

Po jego wyjściu Horace przyjrzał się ponownie twarzy Carla Heinego, ignorując milczącą obecność młodego zastępcy szeryfa, po czym przemył nad zlewem okulary.

— Wie pan co — powiedział, zakręcając wodę. — Niech pan idzie na drugą stronę korytarza i usiądź sobie w moim gabinecie. Znajdzie tam pan różne pisma, radio i termos z kawą, gdyby miał pan ochotę się napić. Kiedy będę musiał obrócić ciało, zawołam pana. Myślę, że to dobry pomysł, prawda?

— Dobra — zgodził się młodzieniec. — Niech mnie pan zawoła.

Wziął kapelusz i wyszedł. „Zabawny dzieciak” — skonstatował w duchu Horace Whaley. Wytarł ręcznikiem okulary i — jako człowiek skrupulatny — włożył chirurgiczny fartuch. Potem

naciągnął rękawiczki, odrzucił koce z ciała Carla Heinego i zakrzywionymi nożyczkami zaczął metodycznie rozcinać sztormiak, wrzucając skrawki gumowanego materiału do płóciennego worka. Uporawszy się ze sztormiakiem, zabrał się za podkoszulek, potem rozciął robocze spodnie, bieliznę i ściągnął z nieboszczyka buty i skarpetki, z których wyciekła woda. Całe ubranie włożył do zlewu.

W jednej kieszeni sztormiaka znalazł pudełko zapalek, przeważnie już wypalonych, w drugiej szpulkę szpagatu. Do szlufki roboczych spodni była przywiązana pusta, nie zamknięta na zatrzask pochwa noża.

Wskazówki zegarka, jaki znalazł w przedniej lewej kieszeni, stanęły o godzinie pierwszej czterdzieści siedem. Horace włożył zegarek do koperty.

Stwierdził, że ciało jeszcze nie odtajało, mimo trwającej co najmniej dwie godziny podróży z zatoki White Sand do portu obok przystani promowej, a stamtąd na skrzyni furgonetki Abla Martinsona w górę First Hill do zaułka za gmachem sądu, gdzie w piwnicach za podwójnymi drzwiami mieściły się kostnica i biuro koronera. Było różowe jak mięso łososia; gałki oczne obróciły się źrenicami w głąb czaszki. Było ponadto bezwstydnie potężne, krępe i mocno umięśnione, o szerokiej piersi i węzlastych mięśniach czworogłowych ud. Horace Whaley nie mógł ukryć podziwu, patrząc na ten okaz brodatego blond olbrzyma; Carl mierzył metr dziewięćdziesiąt wzrostu, ważył ponad sto kilogramów i był zbudowany jak posąg mocarza z granitu — choć trzeba powiedzieć, że było coś wulgarnego, małpio zwierzęcego w budowie jego ramion i barków. Odnotowawszy mimochodem rozmiary i tężyznę genitaliów zmarłego, Horace poczuł przyływ dobrze mu znanej zazdrości. Rybak nie został obrzezany, jądra miał jędrne i nieowłosione; zanurzone w lodowatej wodzie skurczyły się i zbliżyły do podbrzusza. Penis Carla — co najmniej dwa razy większy, mimo zmarznięcia, od członka koronera — spoczywał, gruby i różowy, na lewym udzie nieboszczyka.

Horace zakaszłał sucho i obszedł stół sekcyjny. Świadomym wysiłkiem woli zmusił się — było to bowiem konieczne — by zacząć myśleć o Carlu jako o zwłokach, a nie człowieku, którego znał. Prawa stopa nieboszczyka zakleszczyła się pod lewą i Horace zaczął się z nią mocować, chcąc ją uwolnić; ciągnął z całej siły, żeby rozciągnąć więzadła w pachwinie zmarłego; w końcu udało mu się tego dokonać.

Zadanie koronera polega na wykonywaniu czynności, o jakich większość ludzi nie ma bladego pojęcia. Horace Whaley był zasadniczo lekarzem domowym, jednym z trzech na San

Piedro. Leczył rybaków, ich żony i dzieci. Jego koledzy nie kwapili się do przeprowadzania sekcji zwłok, toteż zadanie owo — niejako automatycznie — jemu przypadło. Oglądał więc widoki, na jakie większość ludzi nie mogłaby nawet patrzeć. Minionej zimy widział ciało poławiacza krabów, wydobyte z zatoki West Port Jensen po dwóch miesiącach leżenia w wodzie. Jego skóra przypominała mydło; wydawało się, że jest w niej zamknięty niczym w bursztynie. Na atolu Tarawa Horace oglądał ciała żołnierzy, którzy przez wiele dni pływali twarzami w dół w płytkiej ciepłej wodzie, aż skóra zaczęła odchodzić od ciała. Zapamiętał zwłaszcza jednego, z którego ręk obrała się jak wiotkie przezroczyste rękawiczki; zeszyły mu nawet paznokcie. Przy zwłokach nie znaleziono identyfikatorów, mimo to Horace mógł zdjąć wyjątkowo dokładne odciski palców i dokonać identyfikacji.

Na temat utonięć wiedział niejedno. W 1949 roku widział rybaka, któremu twarz objadły kraby i raki. Żerowały głównie na najmniejszych częściach — jak powieki, wargi, w mniejszym stopniu uszy — toteż twarz topielca nabrała w tych miejscach barwy intensywnie zielonej. Podobne zjawisko Horace obserwował również podczas wojny na Pacyfiku, mianowicie u żołnierzy, którzy zginęli w płytkich zatoczkach poodpływowych: ich ciała pozostały nie naruszone poniżej linii wodnej, natomiast wyżej objedzone do kości przez moskity. Widział też człowieka — w połowie mumię, w połowie szkielet — pływającego w Morzu Chińskim, który był objedzony od spodu, podczas gdy jego plecy, wysuszone słońcem, zbrązowiały i zrobiły się skórzaste. Po zatonięciu „Cantona” w promieniu wielu kilometrów pływały ludzkie szczątki, którymi nawet rekiny wzgardziły. Marynarka wojenna nie miała czasu ich wyławiać; musiała się troszczyć o żywych.

Carl Heine był czwartym rybakiem, którego sekcję zwłok Horace przeprowadzał w ostatnich pięciu latach. Dwaj zginęli w czasie jesiennych sztormów, a ich ciała morze wyrzuciło na mulisty brzeg wyspy Lanheedron. Trzeci, przypomniał sobie koroner, stanowił ciekawy przypadek; utonął przed czterema laty, w roku 1950. Nazywał się Vilderling, Alec Vilderling. Jego żona pracowała jako maszynistka u Klause Hartmanna, agenta handlu nieruchomościami w Amity Harbor. Vilderling i jego partner wyrzucili sieć i w blasku letniego księżyca osuszali po zawietrznej nadbudówki butelkę portorykańskiego rumu. W pewnej chwili Vilderling, najwyraźniej przyciśnięty potrzebą, rozpiął rozporek, zachwiał się i wypadł za burtę, a następnie, ku przerażeniu partnera, zatrzepotawszy kilka razy rękami, zniknął pod wodą posrebrzaną księżycem. Okazało się, że nie umiał pływać. Jego dziewiętnastoletni towarzysz, niejaki Kenny

Lynden, wskoczył za nim do morza. Vilderling zaplątał się w sieci. Szamotał się, kiedy chłopak próbował go uwolnić. Choć przymroczony rumem, Kenny Lynden zdołał go jakoś odciąć scyzorykiem i wyciągnąć na powierzchnię. Więcej nie mógł dla kolegi zrobić i biedak wyzionął ducha.

Interesujące, przypomniał sobie Horace Whaley, było to, że — z czysto technicznego punktu widzenia — Alec Yilderling nie utonął. Zakrztusił się morską wodą, ale jego płuca pozostały suche. Koroner początkowo zasugerował w notatkach do raportu, że krtań zmarłego zacisnęła się — zamknięcie kurczowe — by płyn nie dostał się głębiej do układu oddechowego. To jednak nie tłumaczyło wyraźnego rozdęcia płuc, które musiało spowodować ciśnienie morskiej wody, więc po namyśle zrewidował początkową hipotezę i ostatecznie napisał w raporcie, że słona woda, którą połknął Alec Vilderling, została wchłonięta przez jego system krwionośny, kiedy denat jeszcze żył. W takim razie za oficjalną przyczynę zgonu, stwierdził Horace, należy przyjąć anoksję — niedotlenienie mózgu — oraz ostre zaburzenie równowagi krwi. Głównym zadaniem, przed jakim stał obecnie, zamyślony nad nagim ciałem Carla Heinego, było dokładne określenie przyczyny jego zgonu — a raczej ustalenie, w jaki sposób nieboszczyk stał się nieboszczykiem, ponieważ myślenie o leżącej na stole bryle mięsa jako o Carlu uczyniłoby zadanie koronera bez porównania trudniejszym. Toż nie dalej jak przed tygodniem, ubrany w kalosze i czysty podkoszulek — kto wie, czy nie ten sam, który Horace pociął przed chwilą na strzępy zakrzywionymi nożyczkami chirurgicznymi — Carl wniósł do gabinetu Whaleya w Amity Harbor swojego najstarszego, sześciolatniego synka, który rozharatał sobie stopę o metalową rozpórkę przewróconej taczki. Carl unieruchomił chłopca na stole, kiedy Horace nakładał mu szwy. W odróżnieniu od innych ojców, którym podobne zadanie przypadło w udziale, nie pocieszał syna, nie pozwalał mu się tylko ruszać, a malec zapłakał tylko raz, przy pierwszym wkłuciu igły, a potem wstrzymywał jedynie dech. Po założeniu szwów Carl zdjął chłopca ze stołu i trzymał go w ramionach, jak się trzyma niemowlę. Horace powiedział, że stopa powinna być uniesiona, i poszedł po kule. Następnie Carl Heine, jak to miał w zwyczaju, wyjął z portfela nowe banknoty i zapłacił za zabieg gotówką. Nie rozplęwał się w podziękowaniach i zachowywał milczenie, powściągliwość brodatego, mrukliwego olbrzyma, który nie ma zamiaru ulegać konwenansom wyspiarskiego życia. Mężczyzna jego postury, pomyślał Horace, musi się strzec, by nie podkreślać swojej siły i nie grozić nią, w przeciwnym razie ryzykuje, że sąsiedzi zaczną go unikać. Carl nie wysiłał się jednak zbytnio, aby neutralizować tę naturalną nieufność,

jaką przeciętny człowiek żywi do mężczyzny tak wyjątkowej postury. Żył po swojemu, nie tracąc energii na gesty, które miałyby przekonywać innych o jego łagodności. Horace przypomniał sobie, jak pewnego dnia otwierał i zamykał ostrze scyzoryka na swoim udzie, ale nie potrafiłby powiedzieć, czy wynikało to z przyzwyczajenia, było następstwem nerwowego tikku czy demonstracją męskości. Carl raczej nie miał przyjaciół; nie było nikogo, kto miałby prawo przekomarzać się z nim w żartach albo gawędzić lekkim tonem na błahe tematy, choć młody Heine pozostawał w dobrych stosunkach niemal ze wszystkimi znajomymi. Mężczyźni podziwiali go ponadto jako siłacza i dobrego rybaka, znał się bowiem na swoim fachu jak mało kto, a wykonywał go — mimo swojej szorstkości — niemal z elegancją; ich podziw był jednak zabarwiony nieufnością, jaką budziła jego postura olbrzyma i posępna powaga.

Nie, Carl Heine stanowczo nie należał do ludzi sympatycznych, ale nie był też ponurakiem. Kiedyś, przed wojną, grał w drużynie futbolowej, jak inni chłopcy w jego wieku: miał liczne grono przyjaciół, nosił kurtkę reprezentanta szkoły, odzywał się, kiedy nie było po temu szczególnego powodu, po prostu dla zabawy. Taki był aż do wybuchu wojny — tej samej, na którą poszedł i Horace Whaley. Jak miał wyjaśnić innym zmianę, jaka w nim zaszła? Skończyło się gadanie na wiatr, nie wiadomo po co, otwieranie ust dla samego otwierania. Jeśli inni mieli ochotę dopatrywać się w jego milczeniu mrocznego ponuractwa, w porządku, sponurzał, bo czyż nie? W Carlu Heinem zalegał mrok wojny, podobnie jak w nim samym, koronerze Whaleyu.

Nie w Carlu, w nieboszczyku! Ma myśleć o Carlu jako o nieboszczyku, worze bebecłów, a nie człowieku, który przed niewidoma dniami przyprowadził do jego gabinetu synka, w przeciwnym razie nie będzie w stanie wykonać swojego zadania.

Horace Whaley umieścił poduszkę prawej dłoni na splocie słonecznym zmarłego, przycisnął lewą i zaczął naciskać, jak ratownik próbujący reanimować topielca. Po jakimś czasie na ustach i wokół nosa trupa pojawiła się piana, podobna do piany do golenia, tyle że nakrapiana różowymi punkcikami krwi z płuc.

Horace przerwał pompowanie, nachylił się nad zmarłym i przyjrzał się uważnie owej pianie. Dłonie w rękawiczkach miał jeszcze czyste, nie dotykały niczego, prócz zimnej klatki piersiowej trupa, wziął więc z tacy na narzędzia ołówki i notes i zanotował sobie barwę i gęstość wyciśniętej z nieboszczyka piany, której starczyłoby na pokrycie brodatej szczęki i wąsów zmarłego. Horace wiedział, że piana powstała w następstwie zmieszania się podczas oddychania

powietrza, śluzu i wody morskiej, co oznaczało, że zmarły jeszcze żył, kiedy nakryły go fale, jeszcze wtedy oddychał.

Czy była to jednak anoksja, jak w wypadku Aleca Vilderlinga, czy zachłyśnięcie się wodą i asfiksja, zaduszenie się? Jak większości ludzi Whaleyowi nie wystarczyło wiedzieć, musiał wyobrazić sobie plastycznie przebieg danego zdarzenia. Zresztą takie przedstawienie go sobie w wyobraźni należało do jego obowiązków, dopiero wtedy do oficjalnego rejestru zgonów okręgu Island County mogła zostać wpisana prawda, jakkolwiek by była bolesna. Przebieg toczzonej w ciemności walki Carla Heinego, jego wysiłki, by zatrzymać oddech, masa wody, która wdarła się do jam ciała, powodując głęboką utratę przytomności i końcowe drgawki, wreszcie ostatnie hausty oddechu w uścisku śmierci, po których mózg przestał cokolwiek rejestrować — to wszystko było zapisane w tej bryle mięsa, leżącej na stole sekcyjnym Horace'a Whaleya. Do obowiązków koronera należało ustalenie prawdy.

Przez chwilę stał ze splecionymi na brzuchu rękami i zastanawiał się, czy otworzyć klatkę piersiową nieboszczyka i poszukać zmian w sercu i płucach. Naraz zauważył — jak mógł nie dostrzec jej wcześniej? — ranę głowy powyżej lewego ucha zmarłego.

— Masz sobie! — mruknął.

Nożycami fryzjerskimi wycinał włosy nieboszczyka, póki nie ukazały się wyraźnie zarysy rany. Kość była złamana i wgnieciona na długości około dziesięciu centymetrów. Skóra uległa przerwaniu; przez rozerwane powłoki czaszki prześwitywała różowa tkanka mózgu. Cokolwiek spowodowało ranę — prawdopodobnie jakieś wąskie, płaskie narzędzie szerokości około pięciu centymetrów — pozostawiło wyraźny odcisk na głowie nieboszczyka. Identyczne ślady na zwłokach Horace widywał co najmniej kilkadziesiąt razy podczas wojny na Pacyfiku; powstawały w następstwie boju lufa w lufę, walki wręcz, ciosu zadanego z wielką siłą kolbą karabinu. Japoński żołnierz, wyszkolony w *kendo*, walce na miecze, zabijał w ten sposób wyjątkowo sprawnie. Przeważnie, przypominał sobie Horace, zadawali morderczy cios właśnie nad lewym uchem, uderzając z prawej strony.

Horace obsadził ostrze w jednym ze skalpeli i wbił je w głowę nieboszczyka. Przycisnął ostrze do kości i prowadził przez włosy, wycinając na ciemieniu łuk, biegnący od ucha do ucha zmarłego. Zrobił to nacięciem ruchem wprawnym i pewnym, jakby rysował ołówkiem paraboliczną linię na czaszce trupa. Następnie odwinął skórę nieboszczyka, jak łupinę grejpfruta lub pomarańczy, zdzierając ją z czoła aż po nos.

Potem w ten sam sposób odwinął skórę na potylicy, odłożył do zlewu skalpel, umył ręce nie zdejmując rękawiczek, wytarł je, wyjął z szafki na instrumenty piłkę do metalu i wziął się za przepiłowywanie czaszki nieboszczyka.

Po kilkunastu minutach stało się konieczne przekroczenie zwłok, więc — acz niechętnie — poszedł do gabinetu po drugiej stronie korytarza, gdzie Abel Martinson siedział beczynnym na krześle z nogą założoną na nogę i kapeluszem na kolanach.

— Potrzebuję pańskiej pomocy — oświadczył koroner.

Zastępca szeryfa wstał i włożył na głowę kapelusz.

— W porządku — powiedział. — Jestem gotów.

— To nie będzie przyjemne — ostrzegł Horace. — Zrobiłem nacięcie na czubku głowy. Czaszka jest odsłonięta. Apetycznie to nie wygląda.

— Rozumiem. Dziękuję, że mnie pan uprzedził.

Weszli do kostnicy i w milczeniu obrócili zwłoki; Abel Martinson pchał je z jednej strony, koroner ciągnął z drugiej. Potem Abel pochylił się nad zlewem i zwymiotował. Wycierał właśnie usta chusteczką, kiedy w progu stanął Art Moran.

— Co jest? — zapytał.

Zamiast odpowiedzi Abel wskazał mu zwłoki Carla Heinego.

— Znowu mnie wzięło — powiedział.

Szeryf spojrział na wywróconą na nice, obraną niczym grejpfruit twarz Carla i na krwawą pianę, która wyglądała na jego brodzie jak piana do golenia, i szybko odwrócił wzrok.

— Nie mogę patrzeć na takie rzeczy — wyznał Abel Martinson. — Bebechy mi się od tego przewracają.

— Nie mam ci tego za złe — mruknął Art. — Boże złoty! Boże przenajświętszy!

Nie odszedł jednak i przyglądał się, jak koroner metodycznie pracuje piłką, a potem zdejmuje pokrywę czaszki i kładzie ją obok ramienia zmarłego.

— To jest opona twarda — poinformował szeryfa Horace, używając skalpela jako wskazówki. — Ta błona tutaj. Tuż pod czaszką, widzisz? To właśnie jest opona twarda.

Wziął w ręce głowę nieboszczyka i z wysiłkiem — więzadła szyi napięły się bowiem wyjątkowo mocno — przekręcił ją na lewą stronę.

— Podejdź no tu, Art — poprosił.

Można by sądzić, iż szeryf zdaje sobie sprawę, że to niezbędne, nie ruszał się jednak z miejsca. Z pewnością nauczył się już w swojej pracy, pomyślał Horace, że zdarzają się w niej przykre momenty nie do uniknięcia. Gdy nadchodzą, najlepiej działać szybko i bez wahania, jak to z zasady czynił sam Horace Whaley. Szeryf należał jednak do osób dziedzicznie obciążonych lękiem, nie miał więc najmniejszej ochoty sprawdzać, co się kryje pod twarzą Carla Heinego.

Horace Whaley zdawał sobie sprawę, że Art Moran wcale się do tego nie pali. Znał tę jego reakcję, nieraz był świadkiem, jak bił się z myślami, żując gumę owocową, wykrzywiając twarz, trąc kciukiem wargi i mrużąc oczy.

— To zabierze tylko chwilkę — kusił go koroner. — Rzucisz tylko okiem, Art. Musisz przecież wiedzieć, o co chodzi. Nie prosiłbym cię, gdyby to nie było ważne.

Następnie pokazał szeryfowi zakrzepłą krew i rozdarcie opony twardej, przez które prześwitywał mózg.

— Widzisz, został dość mocno uderzony jakimś płaskim przedmiotem. Przypomina mi to rany po kolbie, jakie widywałem kilka razy w czasie wojny. Cios *kendo*, jakich używają Japończycy.

— *Kendo*? — zdziwił się Art.

— To taka walka na kije. Japończycy ćwiczą się w niej od dziecka. Uczą się, jak zabijać za pomocą kija.

— Potworność — mruknął szeryf. — Boże miłosierny!

— Teraz się lepiej odwróć — doradził Horace. — Przetnę oponę twardą. Chciałbym ci coś jeszcze pokazać.

Szeryf odwrócił się z godnością.

— Zbladłeś — powiedział do swojego zastępcy. — Czemu nie usiądziesz?

— Nic mi nie jest. — Abel opierał się o szafkę, ścisnął w dłoni chusteczkę i gapił się w zlew.

Horace pokazał szeryfowi trzy fragmenty czaszki nieboszczyka, które utkwily w tkance mózgowej.

— Od tego zginął? — zapytał Art.

— To bardziej skomplikowane — odrzekł Horace Whaley. — Możliwe, że otrzymał cios w głowę, wypadł za burtę i utonął. Możliwe też, że uderzył się w głowę już p o utonięciu albo kiedy się zanurzał. Całkowitej pewności nie mam.



— Możesz to ustalić?

— Spróbuję.

— Kiedy byłbyś gotów?

— Muszę mu najpierw otworzyć klatkę piersiową, Art, przyjrzeć się sercu i płucom.

Niewykluczone jednak, że nawet to niewiele mi powie.

— Klatkę piersiową?

— Zgadza się.

— Jakie masz przypuszczenia? — spytał szeryf.

— Przypuszczenia? Najróżniejsze, stary. Wszystko mogło się zdarzyć, mało to wypadków chodzi po ludziach? Może miał atak serca i wypadł za burtę, może wylew, może się upił? Ale przede wszystkim muszę ustalić, czy najpierw został uderzony w głowę, a dopiero potem wypadł za burtę. Ta piana mówi mi bowiem — wskazał ją skalpelem — że jeszcze oddychał, kiedy szedł pod wodę. Moja hipoteza robocza brzmi więc: utonięcie. Rana głowy była oczywiście czynnikiem dodatkowym. Może uderzył się w półkluzę? Zagapił się, wyrzucając sieć, zahaczył sprzączką i wypadł za burtę? Byłbym skłonny przyjąć taką hipotezę, ale całkowitej pewności nie mam. Licho wie, co się okaże, kiedy obejrzą sobie jego płuca i serce.

Art Moran tarł kciukiem wargi, mrugał oczami i wpatrywał się bacznie w koronera.

— Ta rana głowy — mruknął — wydaje mi się... dość podejrzana, nie sądzisz?

— Możliwe — przytaknął Horace Whaley.

— Może go ktoś uderzył? — podsunął szeryf. — Istnieje taka możliwość?

— Chcesz odstawiać Sherlocka Holmesa? — zainteresował się Horace. — Bawić się w detektywa?

— Niekoniecznie. Zresztą Sherlocka Holmesa tu nie ma, a ta rana w głowie Carla jest, prawda?

— Zgadza się — przytaknął koroner. — Trafnie to ująłeś.

Następnie dodał, że jeśli Art Moran ma ochotę bawić się w Sherlocka Holmesa, powinien zacząć szukać Japońca, którego karabin nosi ślady krwi na kolbie — praworęcznego Japońca, jeśli chodzi o ścisłość.

Horace Whaley głaskał znamię na czole i spoglądał w okno na sypiący śnieg. Padał coraz gęstszy. Wiatr bił w gmach sądu cichymi tumanami, aż ze strychu docierało skrzypienie belek, podtrzymujących maltretowany wichurą dach. „Zamarzną mi rury” — przestraszył się Horace.

Nels Gudmundsson dźwignął się z krzesła i wetknął kciuki pod szelki. Dostrzegł zdrowym okiem, że sędzia Lew Fielding przysypia z głową opartą na dłoni lewej ręki. W tej pozycji trwał przez całe zeznanie Horace’a Whaleya. Nels wiedział jednak, że słuchał uważnie. Pod powłoką drzemiącego pierdoły krył się czujny umysł. Sędzia zwykł po prostu czuwać z sennym wyrazem oblicza.

Nels podszedł z widocznym wysiłkiem do miejsca dla świadka: cierpiał na zapalenie stawów biodrowych i kolanowych.

— Dzień dobry, Horace — przywitał koronera.

— Dzień dobry, Nels.

— Sporo nam tu opowiedziałeś — zauważył obrońca. — Opowiedziałeś sądowi ze szczegółami o sekcji zwłok, którą przeprowadziłeś, o swoim wieloletnim doświadczeniu lekarza badającego i tak dalej, o co cię zresztą proszono. Słuchałem cię uważnie, podobnie jak wszyscy. Muszę wszelako stwierdzić, że to i owo nie daje mi spokoju.

Zamilkł i pociągnął za fałdę skóry u podbródka.

— Tak? — zainteresował się Horace Whaley.

— Na przykład ta piana — rzekł Nels. — Nie jestem pewien, Horace, czy dokładnie zrozumiałem, co masz na myśli.

— Mianowicie?

— Zeznałeś, że nacisnąłeś na klatkę piersiową zmarłego i wkrótce potem pojawiła się na jego ustach i w nosie szczególnego rodzaju piana.

— Zgadza się — rzekł Horace. — Powiedziałbym, że to normalne w przypadkach utonięcia. Może się nie pokazać zaraz po wyciągnięciu topielca z wody, ale niech tylko ktoś zacznie zdejmować z niego ubranie albo podejmie próbę reanimacji, natychmiast się pojawia, i to w znacznych zazwyczaj ilościach.

— Co ją wywołuje?

— Wydobywa się pod wpływem ciśnienia. Powstaje w następstwie reakcji chemicznej zachodzącej w płucach, kiedy woda miesza się z powietrzem i śluzem.

— Woda, powietrze i śluz — podsumował Nels. — Ale co sprawia, że te składniki się ze sobą mieszają? Na czym polega reakcja chemiczna, o której mówisz, Horace?

— Powoduje ją proces oddychania. Zachodzi pod wpływem oddychania. Jest...

— I tu się właśnie zgubiłem — przerwał mu obrońca. — To znaczy wcześniej, podczas twojego zeznania. Powiedziałeś, o ile się nie mylę, że piana tworzy się tylko wtedy, kiedy woda, śluz i powietrze mieszają się ze sobą w procesie oddychania?

— Zgadza się.

— Ale przecież topielec nie oddycha — zauważył Nels. — Więc jakże ta piana... Chyba rozumiesz, dlaczego się zgubiłem?

— Oczywiście! Sądzę, że potrafię to wyjaśnić. Wzmiankowana piana tworzy się w początkowej fazie tonięcia. Ofiara jeszcze walczy. W końcu zaczyna łykać wodę, a wtedy powietrze z płuc zostaje pod jej ciśnieniem wyparte — właśnie wtedy tworzy się piana, o której mówiłem w zeznaniu. Wspomniana reakcja zachodzi, gdy tonący przestaje oddychać, gdy wydaje ostatnie tchnienie.

— Rozumiem. Zatem ta piana mówi ci, że Carl Heine w istocie utonął, czy tak?

— No cóż...

— Informuje cię, na przykład, że nie został najpierw zamordowany — powiedzmy, na pokładzie swojej łodzi — i dopiero potem wyrzucony za burtę? Ponieważ gdyby tak było, taka piana by nie wystąpiła, nieprawdaż? Czy właściwie rozumiem przebieg tej reakcji chemicznej? Nie może ona zajść, jeśli ofiara nie oddycha w chwili zanurzania się? Czy tak należy rozumieć to, co przed chwilą powiedziałeś, Horace?

— Owszem — przytaknął koroner. — O tym mnie właśnie informuje. Jednakże...

— Przepraszam — przerwał mu Nels. — Zechciej chwileczkę poczekać.

Podszedł do stolika, za którym siedziała pochylona nad stenogramem Eleanor Dokes. Precyzyjnie obok niej, skinął na urzędnika sądowego Eda Soamesa, po czym wybrał jakiś dokument ze stołu z dowodami rzeczowymi i wrócił do świadka.

— Słuchaj, Horace — rzekł — wręczam ci oto dowód, który wcześniej, podczas bezpośredniego przesłuchania, zidentyfikowałeś jako swój protokół z sekcji zwłok, który, jak

zeznałeś, dokładnie oddaje twoje ustalenia i wnioski. Zechciej przeczytać sobie po cichu ustęp czwarty na stronie czwartej, a my tymczasem cierpliwie poczekamy.

Podczas gdy Horace czytał, Nels podszedł do stołu obrony i napił się wody ze szklanki. Gardło zaczęło odmawiać mu posłuszeństwa, głos stał się chrapliwy i ostry.

— Już — odezwał się Horace. — Przeczytałem.

— Świetnie — ucieszył się Nels. — Czy mam zatem rację twierdząc, iż akapit czwarty na stronie czwartej twojego raportu z sekcji zwłok stwierdza, że przyczyną śmierci Carla Heinego było utonięcie?

— Tak.

— Twój wniosek więc brzmi: utonął?

— Tak.

— Czy to konkluzja jednoznaczna? Czy miałeś jakieś wątpliwości?

— Oczywiście, że miałem. Wątpliwości ma się zawsze. Człowiek nie jest...

— Chwileczkę, Horace — przerwał mu Nels. — Chcesz powiedzieć, że twój raport nie jest ścisły? Czy to pragniesz nam powiedzieć?

— Raport jest ścisły — zaprzeczył Horace Whaley. — Jednakże...

— Czy mógłbyś odczytać sądowi ostatnie zdanie czwartego akapitu na stronie czwartej raportu z sekcji zwłok, który masz przed sobą? Tego, który przed chwilą przeczytałeś sobie cicho? Zechciej przeczytać je nam na głos.

— Proszę. Stwierdzam w nim, cytuję: „Obecność piany w drogach oddechowych oraz wokół ust i nosa wskazuje ponad wszelką wątpliwość, że denat żył w momencie zanurzenia”. Koniec cytatu.

— Stwierdzasz „ponad wszelką wątpliwość”, że Carl Heine żył w chwili zanurzenia? Czy tak napisałeś w swoim raporcie, Horace?

— Owszem, tak napisałem.

— „Ponad wszelką wątpliwość” — powtórzył z naciskiem Nels Gudmundsson, zwracając się do ławy przysięgłych. — Dziękuję, Horace. To ważne stwierdzenie. Rad jestem, że je usłyszałem. Ale jest w twoim raporcie coś jeszcze, o co pragnąłbym cię zapytać.

— Proszę, pytaj — Horace zdjął okulary i zaczął gryźć jeden z uchwyty.

— Strona druga zatem — rzekł Nels. — Drugi akapit od góry, jeśli się nie mylę? — Podszedł do stołu obrony i przekartkował kopię dokumentu. — Tak, zgadza się, akapit drugi — potwierdził. — Czy zechciałbyś przeczytać go sądowi? Wystarczy właściwie pierwsza linijka.

— Cytuję — zaczął sztywno Horace Whaley. — „Stwierdzono wtórne, niewielkie i świeże skaleczenie prawej dłoni, ciągnące się od zagięcia między kciukiem a palcem wskazującym do zewnętrznej strony nadgarstka”.

— Zatem rozcięcie, czy tak? — zapytał Nels. — Carl Heine skaleczył się w dłoń?

— Owszem.

— Czy wiadomo ci, jak mogło do tego dojść?

— Niestety nie. Mogę się tylko domyślać.

— To nie będzie konieczne. Stwierdzasz ponadto w swoim raporcie, że rozcięcie owo było „świeże”. Czy potrafiłbyś określić, jak świeże?

— Powiedziałbym, że bardzo świeże.

— Bardzo — powtórzył Nels. — Co to znaczy „bardzo”?

— Bardzo świeże — rzekł z naciskiem Horace. — Przypuszczam, że rozciął sobie rękę tej samej nocy, najwyżej kilka godzin przed śmiercią. To właśnie znaczy „bardzo świeże”.

— Kilka godzin? — zaciekawił się Nels. — Więc na przykład dwie?

— Możliwe.

— A może trzy? Albo cztery, Horace? Albo dwadzieścia cztery?

— Wykluczone! Rana była świeża. Najwyżej cztery godziny. Nie więcej niż cztery, zdecydowanie.

— Świetnie. A zatem rozciął sobie dłoń nie więcej niż cztery godziny przed utonięciem.

— Zgadza się — przytaknął Horace Whaley.

Nels Gudmundsson zaczął pociągać się znowu za fałdę skóry na podbródku.

— Jeszcze jedno, Horace. Muszę cię zapytać o jeszcze jedną kwestię, która mnie zastanowiła w twoich zeznaniach. Chodzi o tę ranę głowy.

— Tak? Słucham.

— Czy mógłbyś ją nam jeszcze raz opisać?

— Oczywiście. To było rozcięcie długości mniej więcej siedmiu centymetrów, tuż powyżej lewego ucha. Kość została w tym miejscu złamana na odcinku około dziesięciu

centymetrów. Przez rozcięcie można było dojrzeć tkankę mózgową. Z wgniecenia czaszki wnoszę, że ranę spowodował jakiś przedmiot wąski i płaski. To z grubsza wszystko.

— Ranę zadano więc jakimś przedmiotem wąskim i płaskim — powtórzył Nels. — Czy stwierdziłeś to bezpośrednio, Horace, czy taki wyciągasz wniosek?

— Moim zadaniem jest wyciąganie wniosków — stwierdził z naciskiem coroner. — Jeśli nocny stróż zostanie podczas napadu rabunkowego uderzony w głowę łomem, rany głowy, jakie mu zadano, będą wskazywały na użycie łomu. Gdyby go uderzono młotkiem z noskiem kulistym, to również dałoby się stwierdzić. Taki młotek pozostawia ślady o kształcie półksiężycowatym, z kolei rany zadane łomem mają kształt podłużny. Inne są rany po uderzeniu kolbą pistoletu, inne po uderzeniu butelką. Jeśli człowiek przewróci się, jadąc motocyklem z prędkością sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę i przeszoruje głowę po nawierzchni żwirowej, powstanie otarcie niepodobne do żadnego innego. Konkludując: owszem, z rany na głowie zmarłego wywnioskowałem, że spowodował ją jakiś przedmiot wąski i płaski. Zadanie coronera polega na wyciąganiu wniosków.

— Ciekawy jest twój przykład z motocyklistą — ożywił się Nels Gudmundsson. — Chcesz powiedzieć, że niekoniecznie trzeba zostać czymś uderzonym, żeby powstała któraś z tych charakterystycznych ran? Że jeśli ofiara została pchnięta na jakiś przedmiot — dajmy na to na żwirową nawierzchnię — nadany jej ruch może również spowodować zaobserwowane obrażenia?

— Owszem — przyznał Horace Whaley. — Różnicy nie potrafimy stwierdzić.

— Czy zatem w danym przypadku — ciągnął Nels Gudmundsson — rana na głowie Carla Heinego, o której mowa, mogła powstać w następstwie ciosu w głowę czy może uderzenia ofiary o jakiś przedmiot? Czy obie te ewentualności są równie prawdopodobne, Horace?

— Niepodobna tego rozstrzygnąć. Można jedynie stwierdzić, że przedmiot, z którym zetknęła się głowa nieboszczyka — niezależnie od tego, czy w ruchu znajdowało się narzędzie czy ofiara — był płaski, wąski i dostatecznie twardy, by spowodować wgniecenie czaszki.

— A więc przedmiot płaski, wąski i dostatecznie twardy, by spowodować pęknięcie czaszki denata. Na przykład nadburcie kutra, Horace? Czy to możliwe?

— Owszem, możliwe. Jeśli wpadł na nie z dostateczną prędkością. Choć nie bardzo sobie wyobrażam, jak mogłoby do tego dojść.

— A bęben sieciowy? Lub półkluza na rufie łodzi? Czyż nie są wąskie i płaskie?

— Owszem. Istotnie, dość płaskie. Jednakże...

— Może uderzył głową w którąś z nich? Czy istnieje taka możliwość?

— Oczywiście, możliwość istnieje — zgodził się Horace. — Jednakże...

— Pozwól, że zapytam cię o coś jeszcze — przerwał mu Nels. — Czy koroner jest w stanie ustalić, czy rana podobna do tej, o jakiej mówimy, powstała przed śmiercią czy po niej? Powiedzmy, by wrócić do twojego wcześniejszego przykładu, czy mógłbym otruć nocnego stróża, poczekać, aż skona, a potem uderzyć nieboszczyka w głowę łomem, powodując dokładnie takie same obrażenia, jak gdybym go zabił tym drugim sposobem?

— Pytasz o ranę na głowie Carla Heinego?

— Tak. Chcę od ciebie wyciągnąć wszystko, co o niej wiesz. Czy otrzymał ranę i dopiero potem umarł? Czy też jest możliwe, że rana głowy powstała dopiero po śmierci? To znaczy zadano mu ją... powinienem może raczej powiedzieć: jego zwłokom ją zadano... już po utonięciu? Może wtedy, kiedy szeryf Moran i jego zastępca, pan Martinson, wyciągali je z wody w sieci?

Horace Whaley zamyślił się nad odpowiedzią. Zdjął okulary i zaczął pocierać czoło. Następnie włożył je z powrotem i splótł na piersi ręce.

— Nie wiem — przyznał. — Nie potrafię odpowiedzieć na takie pytanie, Nels.

— Nie wiesz, czy rana głowy powstała przed śmiercią czy po śmierci denata? To chciałeś powiedzieć, Horace?

— Owszem, to właśnie chciałem powiedzieć.

— Ale przyczyną zgonu było bezsprzecznie utonięcie, czy tak?

— Tak.

— Więc nie rana głowy spowodowała zgon Carla Heinego?

— Nie. Jednakże...

— Nie mam więcej pytań — oświadczył Nels Gudmundsson. — Dziękuję, Horace. To wszystko.

Art Moran ze złośliwą satysfakcją przyglądał się mękom Horace'a Whaleya. Nie zapomniał mu tego Sherlocka Holmesa. Pamiętał, jak po wyjściu z biura koronera zawahał się na chwilę, nim ruszył w górę Mili Run Road, żeby zawiadomić żonę Carla Heinego o śmierci męża.

Oparłszy się o błotnik furgonetki Martinsona, przyjrzał się swojej dłoni, którą skaleczył rano o wspornik na łodzi Carla. Potem zaczął gmerać po kieszeniach, szukając listka owocowej gumy do żucia — najpierw przeszukał kieszenie koszuli, potem, z rosnącą irytacją, spodni. Zostały mu jeszcze dwa listki, osiem zdążył już przeżuć. Wetknął jeden z nich do ust, drugi zachowując na później, i usiadł za kierownicą furgonetki swojego zastępcy. Jego własny wóz stał zaparkowany w miasteczku niedaleko portu; zostawił go tam rano, kiedy pojechał po motorówkę. Prowadząc furgonetkę Abła czuł się jak idiota, ponieważ chłopak, co tu gadać, poświęcał jej stanowczo za dużo czasu. Był to wysoko zawieszony dodge, pomalowany w Anacortes na kolor wiśniowy z fikuśnym prążkowanym deseniem, z ozdobnym przedłużaczem rury wydechowej, umocowanym z tyłu błyszczącej kabiny — furgonetka nastoletniego szpanera, krótko mówiąc. Wypisz wymaluj wóz, jakie się widuje w miastach na lądzie stałym, jak Everett czy Bellingham, i w jakich małolaty rozbijają się do późna w sobotnie wieczory oraz po meczach futbolowych. Art pomyślał sobie, że Abel Martinson musiał być za swoich szkolnych lat niezgorszym łobuziakiem i choć zmienił się od tamtego czasu, żał mu się było rozstawać z tą furgonetką, ostatnim reliktem jego dawnej osobowości. Będzie jednak musiał, zawyrokował w duchu Art, i to już niedługo. Taka jest kolej rzeczy.

Po drodze do domu Susan Marie Heine układał sobie w głowie stosowne oświadczenie i obmyślał, jak się zachować. W końcu uznał, że powinien przybrać postawę wojskowego, z pewnymi marynarskimi dodatkami — przynoszenie wdowie wiadomości o śmierci męża na morzu należało do tych zadań, które od wieków, jak sobie wyobrażał, wypełniano z powagą, ale i tragicznym stoicyzmem. „Proszę mi wybaczyć, pani Heine, ale z przykrością muszę powiadomić panią o śmierci męża, Carla Heinego, który zginął ostatniej nocy w wypadku na morzu. Ze chce pani przyjąć wyrazy współczucia od nas wszystkich...”

Źle! Susan Marie była jego znajomą, nie mógł jej potraktować jak obcej. Ostatecznie co niedziela widywał ją w kościele, a potem w zakrystii, gdzie po nabożeństwie rozlewała herbatę i kawę. Obowiązki gospodyni pełniła ubrana jak z żurnala, w toczku na głowie, tweedowej garsonce i beżowych rękawiczkach: odbierając kawę z jej pewnej ręki, Art Moran odczuwał żywą przyjemność. Blond włosy upinała pod toczkiem, a na szyi, która szeryfowi przywodziła na myśl alabaster, nosiła podwójny sznur sztucznych pereł. Była, krótko mówiąc, atrakcyjną, dobiegającą trzydziestki kobietą, która przyprawiała mężczyzn o szybsze bicie serca. Nalewając kawę tytułowała go zawsze szeryfem Moranem, a potem wskazywała paluszkami w rękawiczkach



ciastka i miętówki na stole, jakby mógł ich nie zauważyć. Następnie uśmiechała się zachwycająco, ustawiała serwis do kawy na tacy, a szeryf nasypywał sobie cukru.

Perspektywa obwieszczania jej nowiny o śmierci męża była dla Arta więcej niż niemiła, toteż jadąc do domu Heinów usiłował znaleźć odpowiednie słowa, jakąś formułkę, która ułatwiłaby mu przekazanie wiadomości, jaką przynosił. Wyglądało jednak na to, że taka formuła nie istnieje.

Niedaleko domu Heinów na Mili Run Road był parking, przy którym Art Moran zbierał w sierpniu jeżyny. Zatrzymał się na nim pod wpływem impulsu, ponieważ nie czuł się jeszcze przygotowany do zadania, jakie go czekało. Silnik dodge'a pracował na wolnym biegu; szeryf wetknął do ust ostatni listek gumy owocowej i zapatrzył się na drogę prowadzącą do gospodarstwa Heinów.

Oto dom, jakiego można się było spodziewać po Carlu, pomyślał: surowy, czysty, na swój szorstki sposób nobliwy, nie wyrządzający światu afrontu swym widokiem, ale też nie zapraszający gości. Stał pięćdziesiąt metrów od drogi na trzech akrach pola, na którym rosła lucerna, truskawki, maliny i warzywa w zadbanym ogródku. Carl własnoręcznie karczował tę ziemię, z charakterystycznym dla siebie pośpiechem i dokładnością; grube drewno sprzedał braciom Thorsenom, gałęzie spalił i sam wylał fundamenty, a uporał się ze wszystkim w ciągu jednej zimy. W kwietniu były już posadzone truskawki, stała drewniana szopa, a latem Carl zaczął murować ściany z klinkierowej cegły. Zamierzał — tak przynajmniej plotkowano po nabożeństwach w kościele — wznieść elegancki bungalow, jaki przed laty postawił na rodzinnej farmie pośrodku wyspy jego ojciec. Chciał mieć, jak ktoś powiedział, kąt przy kominku, ogromne palenisko, alkowy, wbudowane ławeczki pod oknami, boazerię, boniowany cokół ganku i kamienne murki wzdłuż ścieżki od furtki. W miarę postępu prac okazało się jednak, że Carl jest na to wszystko zbyt prostolinijski — był starannym budowniczym, lecz nie artystą, jak to ujęła jego żona — z boazerii na przykład całkiem zrezygnował, nie zbudował też komina z rzecznych kamieni, jaki stał na widocznym miejscu w starym domu jego ojca (należącego obecnie do Bjorna Andreasona); zadowolił się kominem z cegły klinkierowej. Zbudował w końcu toporny, solidny dom, posyty cedrowym gontem, świadectwo solidności budowniczego i niczego więcej.

Art Moran trzymał nogę na pedale hamulca, gryzł się czekającym go zadaniem, żuł gumę i przyglądał się w milczeniu najpierw ogrodowi, potem frontowemu gankowi, podpartemu

zweżającymi się ku górze słupami, wreszcie fragmentom nadmiernie rozbudowanego szczytowego dachu, który przebijała para mansardowych okien, zbudowanych, wbrew pierwotnemu pomysłowi zachowania asymetrii, po bożemu, bo symetrycznie. Szeryf pokręcił głową, przypomniawszy sobie, że w październiku poprzedniego roku odbyło się tu parafialne spotkanie towarzyskie, w którym brał udział, znał więc wnętrze tego domu, wiedział, że pokoje na piętrze mają odsłonięte krokwie, a na dole stoją nadmiernie okazałe meble Susan Marie. Przypomniawszy to sobie postanowił, że tym razem nie wejdzie do środka. Podjął tę decyzję nagle i dla samego siebie nieoczekiwanie. Z kapeluszem w ręku stanął na ganku, przekazał tragiczną wiadomość, a potem się oddalił, nie wchodząc do środka. Zdawał sobie sprawę, że tak się nie godzi, ale — z drugiej strony — czy mógł zrobić coś więcej? Zadanie było zbyt trudne, nie na jego nerwy. Potem zadzwonił do swojego biura, do Eleanor Dokes, i poprosił ją, żeby zawiadomiła starszą siostrę Susan Marie, która prędko się zjawi. A on tymczasem? Nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Nie będzie w stanie siedzieć przy wdowie w takiej sytuacji, to nie na jego nerwy. Poprosił, żeby zechciała mu wybaczyć, ale wzywają go obowiązki niecierpiące zwłoki... sprawy zawodowe... Przekazał wiadomość, złożył kondolencje, po czym, jak przystało na człowieka taktownego, zostawił Susan Marie samą.

Na wolnym biegu pojechał w dół i skręcił w drogę dojazdową do domu Heinów. Na wschodzie, za rzędami porządnie utrzymanych malin, nad wierzchołkami porastających wzgórce cedrów, rozciągało się morze. Kiedy szeryf wyjechał z cienia, oblało go światło pogodnego wrześniego dnia, bezchmurnego i ciepłego jak w czerwcu, co jest rzadkością w tych stronach. Ujrawszy połyskujące w słońcu baranki fal, Art Moran pojął, że Carl zbudował tu dom nie tylko z powodu dobrego nasłonecznienia, ale i dla rozległego widoku, jaki się stąd rozciągał: uprawiając maliny i truskawki, miał zawsze przed oczami przestwór słonej wody.

Szeryf zatrzymał furgonetkę za samochodem Heinów i zgasił silnik. Ledwie przekręcił kluczyk w stacyjce, zza węgła domu wybiegli dwaj synowie Carla: malec w wieku trzech, może czterech lat, a za nim utykający sześciolatek. W krótkich spodenkach, bez koszul, bosy, stanęli przy krzaku rododendrona i wytrzeszczyli na przybysza oczy.

Art wyjął z kieszeni papierki i wypluł do niego gumę. Nie będzie przecież oznajmiał nowiny, z jaką przyjechał, smoktając owocową gumę do żucia.

— Cześć, basałyki! — zawołał wesoło przez otwarte okno auta. — Mama w domu?

Bracia mu nie odpowiedzieli, gapili się tylko w milczeniu. Zza rogu domu wyszedł owczarek niemiecki; starszy chłopiec złapał go za obroź i przytrzymał.

— Noga! — rozkazał psu.

Art Moran uchylił drzwiczki, podniósł z fotela kapelusz i włożył na głowę.

— Policjant — szepnął młodszy z chłopców i schował się za brata.

— Nie policjant, lecz jakiś szeryf — sprostował starszy.

— Zgadza się, chłopcy! — zawołał Art. — Jestem szeryf Moran. Mama w domu?

Starszy szturchnął braciszka łokciem.

— Leć po mamę — nakazał.

Podobni do ojca jak dwie krople wody. Wyrosną na takich samych olbrzymów jak Carl, pomyślał Art, to już widać. Opalone, grubokościste niemieckie dzieciaki.

— Idźcie się bawić — powiedział. — Sam zapukam. Idźcie się bawić.

Uśmiechnął się do młodszego.

Nie ruszyli się z miejsca. Stojąc obok krzewu rododendrona patrzyli, jak szeryf z kapeluszem w ręku wchodzi na ganek. Zapukał do drzwi, które się same otworzyły, i Art Moran ujrzał przed sobą salonik Carla. Wsadził głowę do środka i czekał. Ściany były obite lakierowanymi sosnowymi deskami o błyszczących oślepiająco sękach. W oknach wisiały czyste, gładkie żółte firanki, ozdobione kokardami, marszczone, obszyte falbanką. Okrągłe, plecione maty z wełny pokrywały większą część ułożonej z desek podłogi. W odległym kącie czerniało pianino, inny zajmowało cylindryczne biurko. W pokoju stały ponadto dwa identyczne dębowe fotele bujane, wyściełane haftowanymi poduszkami, bliźniacze taborety po obu stronach podniszczonej kanapy oraz pluszowy fotel obok poślacanej mosiężnej lampy stojącej. Fotel przysunięto do zbudowanego przez Carla, przesadnie wielkiego kominka, w którego palenisku stały wysokie żłobkowane wilki pod polana. Ten schludny pokój, zalany ciepłym miodowym światłem, zrobił na szeryfie niemałe wrażenie. Na ścianach wisiały fotografie przedstawiające członków obu rodzin, Heine i Vargi, przodków Carla i Susan Marie: postawnych, szacownych Niemców o tępych obliczach, którzy nie zwykli się uśmiechać przed obiektywem aparatu fotograficznego.

Za ten ładny, czysty i przytulny salonik Art Moran wyraził w duchu uznanie dla Susan Marie, jak przedtem dla Carla za komin i mansardowe okna. Stał w drzwiach i podziwiał widoczną wokół dbałość gospodyni, gdy na szczycie schodów ukazała się ona sama.

— Szeryf Moran! — zawołała. — Witam!

Zorientował się od razu, że jeszcze nic nie wie i że to on będzie posłem tragicznej nowiny. Nie mogąc się zdobyć na jej ogłoszenie, stał z kapeluszem w ręku, pocierał kciukiem wargi i mrużył oczy, czekając, aż Susan Marie zejdzie ze schodów.

— Dzień dobry, pani Heine — wybąkał.

— Właśnie położyłam spać naszą najmłodszą pociechę — oznajmiła.

Zupełnie nie przypominała tej eleganckiej kobiety z kościoła, ponętnej żony rybaka, podającej herbatę i kawę. Miała na sobie szarą spódnicę, była bez butów i nie umalowana. Na jej lewym ramieniu wisiała mokra pieluszka, a włosy domagały się mydła. W ręku trzymała butelkę ze smoczkiem.

— Czym mogę panu służyć, szeryfie? Carla jeszcze nie ma.

— Właśnie to mnie sprowadza — wykrztusił. — Obawiam się, że przynoszę złe wieści, pani Heine... Najgorsze z możliwych...

Chyba nie od razu zrozumiała. Patrzyła na szeryfa takim wzrokiem, jakby przemówił do niej po chińsku. Potem ściągnęła pieluszkę z ramienia i uśmiechnęła się do niego, uznał więc za swój obowiązek wyrażenie się jaśniej.

— Carl nie żyje — oznajmił. — Zginął tej nocy w wypadku na kutrze. Znaleźliśmy go rano w zatoce White Sand, zaplątanego w sieć.

— Carla? — zdziwiła się Susan Marie. — To niemożliwe!

— Niestety. Wiem, że to się wydaje niemożliwe. Wolałbym, żeby tak było. Proszę mi wierzyć, wolałbym, żeby to nie była prawda. Ale to jest prawda. Przyjechałem ją pani oznajmić.

Bardzo dziwnie przyjęła jego słowa. Szeryf nie mógł przewidzieć takiego zachowania. Cofnęła się nagle, zamrugła powiekami, usiadła ciężko na najniższym stopniu schodów, butelkę postawiła obok siebie na podłodze, oparła łokcie na kolanach i zaczęła się kiwać w przód i w tył, wykręcając w rękach pieluszkę.

— Wiedziałam, że to się kiedyś stanie... — wyszeptała.

Potem przestała się kiwać i zapatrzyła się tępo przed siebie.

— Przykro mi — wybąkał Art. — Zamierzam... chyba zadzwonię do pani siostry i poproszę, żeby tutaj przyjechała. Nie ma pani nic przeciwko temu, pani Heine?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, powtórzył tylko, że mu przykro, i przeszedł obok niej, kierując się do telefonu.



Z tyłu sali sądowej siedziało dwudziestu czterech mieszkańców wyspy pochodzenia japońskiego w ubraniach, które wkładali tylko na uroczyste okazje. Żadne prawo nie nakazywało im zajmowania wyłącznie poślednich miejsc, usuwali się jednak w cień, ponieważ San Pedro milcząco tego od nich wymagało, nie nazywając swego żądania prawem.

Rodzice i dziadkowie Japończyków przybywali na wyspę, począwszy od roku 1883, kiedy to dwaj z nich — niejaki Joe i Charles Jose — zamieszkali w przybudówce w pobliżu Cattle Point. Trzydziestu dziewięciu Japończyków pracowało w tartaku w Port Jefferson, ale rachmistrz spisowy nie zadał sobie trudu zapisania ich nazwisk, odnotowując ich jako Japończyka numer 1, Japończyka numer 2, Japończyka numer 3, Japończyka Charliego, Starego Japońca Sama, Japończyka Wesółka, Japończyka Karła, Szczerbatego, Czyścibuta i Kurdupła — a więc pod ich przezwiskami, a nie prawdziwymi nazwiskami.

Na przełomie wieku przybyło na San Pedro ponad trzystu Japończyków, w większości członków załóg szkunerów, którzy wyskakiwali ze statków w porcie Port Jefferson z zamiarem pozostania w Stanach Zjednoczonych. Wielu z nich dopłynęło do brzegu bez centa przy duszy i błąkało się po wyspie, żywiąc się jeżynami i grzybami, dopóki nie trafili do „Japońskiego Miasteczka”, osady składającej się z trzech łaźni, dwóch zakładów fryzjerskich, dwóch kościołów (buddyjskiej świątyni i kościoła misji baptystów), hotelu, sklepu spożywczego, placyku do gry w baseball, lodziarni, sklepiku sprzedającego tofu oraz pięćdziesięciu nie pomalowanych, obskurnych domów, zwróconych frontem do błotnistych ulic. W ciągu tygodnia uciekinierzy ze statku dostawali pracę w tartaku — przy układaniu tarcicy w stosy, zmiataniu trocin, transportowaniu płyt drewnianych, oliwieniu maszyn — płatną jedenaście centów za godzinę.

W rejestrach, przechowywanych w archiwum hrabstwa, odnotowano, że w roku 1907 osiemnastu Japończyków odniosło rany lub zostało trwale okaleczonych w tartaku w Port Jefferson. W tych księgach zapisano między innymi, że dwunastego marca Japończyk numer 107 stracił rękę, pracując na pile tarczowej, i otrzymał odszkodowanie w wysokości 7 dolarów 80 centów, a dwudziestego dziewiątego maja Japończyk numer 57 doznał zwichnięcia prawego biodra, kiedy przywaliła go sterta tarcicy.

Gdy ścięto już wszystkie rosnące na wyspie drzewa, a San Piedro upodobiło się do wielkiego karczowiska, w roku 1921 tartak zlikwidowano. Właściciele tartaku sprzedali swe udziały i opuścili wyspę. Japończycy przygotowali ziemię pod uprawę truskawek, bo w tamtejszym klimacie udawały się one znakomicie, a założenie plantacji nie wymagało wielkiego nakładu finansowego. Człowiek, jak mówiło porzekadło, potrzebował tylko jednego konia, jednego pług i fury dzieciaków.

Wkrótce niektórzy z Japończyków wydzierżawili niewielkie poletka i stanęli na własnych nogach, jednakże większość pozostała najemnikami i nadal pracowała na ziemi będącej własnością *hakujin*. Prawo stanowiło, że nie mogą posiadać ziemi, dopóki nie uzyskają obywatelstwa Stanów Zjednoczonych; stanowiło ponadto, że nie mogą otrzymać obywatelstwa dopóty, dopóki są Japończykami.

Japończycy odkładali zarobione dolary do słoików na przetwory i po jakimś czasie pisali do rodziców w Japonii, prosząc o przysyłanie kandydatek na żony. Niektórzy donosili kłamliwie, że dorobili się fortun, bądź przysyłali swoje stare zdjęcia, toteż zza oceanu zaczęły napływać kandydatki na żony. Zamieszkiwały z mężami w oświetlonych lampami naftowymi chatynkach z cedrowych deszczulek, pełnych szpar, przez które wdzierał się wiatr, i spały na siennikach. Już o piątej rano widziało się państwa młodych na truskawkowych poletkach. Jesienią wrywali chwasty, kucając między grządkami, lub wiadrami wylewali gnojówkę, w kwietniu zakładali przynęty na ślimaki i ryjkowce. Z latami przycinali pędy coraz starszych roślin: jednorocznych, dwuletnich, trzyletnich. Pełni chwasty, szukali grzybów, chrząszczy i pleśni, która się rozwijała po obfitszych deszczach.

W czerwcu, kiedy truskawki dojrzewały, wychodzili z łubiankami w pole i zbierali owoce. Każdego roku zjawiali się Indianie z Kanady, żeby razem z nimi pracować dla *hakujin*. Przybysze ci spali w polu na miedzy, w stodołach lub starych kumikach. Niektórzy dostawali pracę w przetwórni truskawek. Bawili dwa miesiące, do końca zbioru malin, po czym znikali.

Truskawki wysypywały każdego lata, więc przez okrągły miesiąc było co zbierać. W godzinę od świtu napełniały się kopiasto pierwsze łubianki, a brygadzysta — biały — zapisywał w czarnym kajecie rzymskie liczby obok nazwisk zbieraczy. Sortował owoce do cedrowych koszy, które brygada pakowaczy ładowała na platformy, a zbieracze wracali między numerowane rzędy, kucali i dalej napełniali łubianki.

Na początku lipca, kiedy kończyły się zbiory, przypadał dzień wolny od pracy: Święto Truskawki. Wybraną młodą dziewczynę koronowano na Truskawkową Królową; *hakujin* wydawali ucztę, na której podawano łososie; oddział ochotniczej straży pożarnej rozgrywał towarzyski mecz baseballowy z drużyną Ogniska Japońskiego. Zrzeszenie Ogrodników prezentowało kosze truskawek i fuksji, a izba handlowa ‘ przyznawała nagrody w konkursie na najpiękniejszą platformę paradną. W pawilonie tanecznym w West Port Jensen zapalano nocą latarnie. Turyści ze Seattle wylewali się z wycieczkowych parowców; tańczono polkę, galopkę, allemande i bostona. Zjawiali się wszyscy — farmerzy, urzędnicy, rybacy, poławiacze krabów, stolarze, tracze, tkacze sieci, właściciele gospodarstw warzywniczych, handlarze starzyzną, agenci handlu nieruchomościami, wierszokleci, ministrowie, prawnicy, żeglarze, dzicy lokatorzy, specjaliści od budowy tartaków, złodzieje drewna cedrowego, brygadziści, kierowcy wielkich ciężarówek, hydraulicy, zbieracze grzybów i przycinacze ostrokrzewów. Rozkładali się pod drzewami w Burchillville i Sylvan Grove, popijali portwajn i słuchali orkiestry szkolnej, grającej powolne marsze Sousy.

Gwóźdź programu całej imprezy — po części bachanaliów, po części święta plemiennego *potlach*, po części tradycyjnej kolacji z Nowej Anglii — stanowiła koronacja Truskawkowej Królowej, koniecznie japońskiej dziewicy, odzianej w atłasy i ze starannie przypudrowaną twarzą. Dokonywano tego obrzędu o zachodzie słońca pierwszego dnia święta, w trakcie osobliwej uroczystej ceremonii przed gmachem sądu okręgowego. Otoczona koszykami truskawek, dziewczyna pochylała głowę, na którą wkładał koronę burmistrz Amity Harbor, przepasany czerwoną szarfą i dzierżący w ręku ozdobne berło. W zapadłej ciszy ogłaszał następnie uroczyście, że Ministerstwo Rolnictwa, skąd otrzymał właśnie list, przyznało ich pięknej wyspie nagrodę za najpiękniejszą truskawkę Ameryki bądź że królowi Jerzemu i królowej Elżbiecie, bawiącym niedawno w Vancouver, podano na śniadanie najdorodniejsze truskawki z San Pedro. Zrywały się oklaski, a burmistrz podnosił wysoko berło, drugą rękę trzymając na kształtnym ramieniu młodziutkiej panny. Dziewczyna pełniła rolę bezwiednego pośrednika między dwoma społecznościami, rolę ludzkiej ofiary, dzięki której uroczystości mogły się toczyć bez przejawów wrogości.

Następnego dnia, zwykle dopiero koło południa, Japończycy przystępowali do zbioru malin.



Taką koleją biegło na San Pedro życie. W dniu ataku na Pearl Harbor wyspa liczyła ośmiuset czterdziestu trzech mieszkańców pochodzenia japońskiego, w tym dwunastu uczniów ostatniej klasy szkoły średniej w Amity Harbor, którzy tej wiosny nie mieli jednak dokończyć nauki. Wczesnym rankiem dwudziestego dziewiątego marca 1942 roku piętnaście ciężarówek War Relocation Authority, wojennego urzędu do spraw przemieszczenia ludności, zwiozło wszystkich mieszkających na San Pedro Amerykanów pochodzenia japońskiego na przystań promową w Amity Harbor, po czym załadowano ich na statek, czemu się przyglądali ich biali sąsiedzi, którzy specjalnie wstali wcześniej, żeby, mimo zimna, przyglądać się usuwaniu Japończyków ze swego grona. Byli w tym tłumie przyjaciele deportowanych, ale głównie zwykli gapie, a także rybacy, którzy przyglądali się wywózce oparci o nadbudówki swoich łodzi, zacumowanych w porcie Amity Harbor. Uważali oni, podobnie jak większość mieszkańców wyspy, że decyzja o deportacji Japończyków jest słuszna, przeświadczeni, że jej powody są uzasadnione: toczyła się wojna, co zmieniało wszystko.

W czasie porannej przerwy w rozprawie żona oskarżonego podeszła do stołu obrony i poprosiła o pozwolenie na rozmowę z mężem.

— Będzie pani musiała rozmawiać z nim przez stół — oświadczył Abel Martinson. — Pan Miyamoto może się do pani odwrócić, ale tylko tyle. Nie mogę pozwolić, żeby się ruszał z miejsca, rozumie pani.

Od siedemdziesięciu siedmiu dni Hatsue Miyamoto zjawiała się codziennie o trzeciej po południu w więzieniu okręgowym, żeby zobaczyć się z mężem. Początkowo przychodziła sama i rozmawiała z nim przez szybę, a potem Kabuo poprosił, żeby przyprawiała dzieci, więc odtąd tak zawsze robiła; dwie dziewczynki, w wieku ośmiu i czterech lat, dreptały za nią, a niespełna rocznego synka niosła na rękach. Kabuo już siedział w więzieniu, kiedy pewnego ranka chłopczyk zaczął chodzić; Hatsue przyniosła go jednak na popołudniowe widzenie z mężem jak zwykle na rękach i malec zrobił cztery kroczyki na oczach uszczęśliwionego ojca, który przyglądał się temu zza szyby w pokoju widzeń. Potem Hatsue podniosła malca do mikrofonu w szklanej przegrodzie i Kabuo powiedział do syna:

— Możesz chodzić dalej niż ja! Pochodź trochę za mnie, dobrze?

Teraz, w sali rozpraw, odwrócił się do żony i zapytał:

— Jak się czują dzieci?

— Brakuje im ojca.

— Pan Nels stara się temu zaradzić — rzekł Kabuo.

— Pan Nels ma zamiar się wynieść — oświadczył adwokat. — Zastępca szeryfa Martinson powinien uczynić to samo. Nie mógłbyś stanąć gdzieś dalej, Abel? Miałbyś ich przecież na oku. Pozwól ludziskom na chwilę intymności.

— Nie mogę — stwierdził Abel. — Art by mnie zabił.

— Art cię nie zabije — uspokoił go adwokat. — Doskonale wiesz, że pani Miyamoto nie wsunie mężowi do ręki żadnej morderczej broni. Odsuń się kawałek, daj ludziom pogadać.

— Nie mogę — powtórzył Abel. — Przykro mi.

Odsunął się jednak na metr i udawał, że nie słucha. Nels się pożegnał i wyszedł.

— Gdzie je zostawiłaś? — zapytał Kabuo żonę.

— U twojej matki. Jest z nimi pani Nakao. Wszyscy nam pomagają.

— Ładnie wyglądasz. Tęsknię za tobą.

— Wyglądam okropnie. A ty wyglądasz jak żołnierz generała Tojo. Lepiej przestałbyś siedzieć tak sztywno wyprostowany. Wydajesz się taki wysoki, że sędziowie przysięgli jeszcze się ciebie przestraszają.

Pożerał ją łakomym wzrokiem, więc domyśliła się, o czym myśli.

— Przyjemnie znaleźć się poza celą — rzekł. — To wspaniałe uczucie.

Hatsue miała ochotę dotknąć męża. Chętnie objęłaby go za szyję lub pogładziła po twarzy. Po raz pierwszy od siedemdziesięciu siedmiu dni nie przedzielała ich szyba. Przez siedemdziesiąt siedem dni słyszała głos męża jedynie przez filtr mikrofonu. Przez cały ten czas ani chwili nie czuła się spokojna, ani razu nie przestała wyobrażać sobie, co może ich czekać. W nocy brała dzieci do swojego łóżka, a potem daremnie starała się zasnąć. Jej siostry, kuzynki i ciotki dzwoniły rano i zapraszały ją na lunch. Szła, bo czuła się samotna i była spragniona brzmienia ludzkich głosów. Kobiety robiły kanapki, piekły ciasteczka, parzyły herbatę i gawędziły w kuchni, a dzieci bawiły się same; tak upłynęła jesień, pora jej życia wziętego pod klucz, uwięzionego.

Czasami Hatsue zasypiała po południu na kanapie. Podczas gdy ona spała, krewniaczki zajmowały się jej dziećmi, za co im potem wylewnie dziękowała. Dawniej nie pozwoliłaby sobie nigdy zasypiać w środku wizyty, wyłączać się i dopuszczać, by jej dzieci hasały po cudzym domu.

Skończyła trzydzieści jeden lat i wciąż była powabną kobietą. Stawiała kroki jak osoby z płaskostopiem lub boso chodzące chłopki, miała drobne piersi i talię osy. Na co dzień nosiła męskie spodnie koloru khaki, szarą bawełnianą bluzę i sandaalki. Latem najmowała się do pracy przy zbiorze truskawek, chcąc przynieść do domu dodatkowe pieniądze, toteż w sezonie jej ręce były poplamione sokiem owoców. Do pracy w polu zakładała głęboko nasunięty na czoło słomkowy kapelusz, czego zaniedbywała za młodu, toteż wokół jej oczu rysowały się już zmarszczki. Była kobietą wysoką, mierzyła ponad metr siedemdziesiąt, mimo to potrafiła dość długo kucać między rzędami truskawek, nie odczuwając bólu.

W ostatnim czasie zaczęła malować oczy i kłaść szminkę. Nie była próżna, ale rozumiała, że jej uroda zaczyna przygasać. Nie przejmowała się tym zbyt, z wiekiem bowiem zdawała sobie coraz jaśniej sprawę, że są w życiu rzeczy ważniejsze od wyjątkowej piękności, z jakiej zawsze słynęła. W młodości była tak niezwykle piękna, że jej uroda stała się wręcz własnością powszechną. Na Świącie Truskawki w roku 1941 ukoronowano ją jako królową. Kiedy miała trzynaście lat, matka ubrała ją w jedwabne kimono i posłała do pani Shigemury, która uczyła młode dziewczęta tańczyć *odori* i parzyć herbatę zgodnie z rytuałem. Siedząc przed lustrem, plecami do pani Shigemury, Hatsue dowiadywała się, że jej włosy są *utsukushii*, więc ścięcie ich byłoby czymś w rodzaju herezji. Pani Shigemura nazywała je — po japońsku — rzeką tęczowego onyxu i określała jako najistotniejszą cechę postaci Hatsue, równie wyjątkową i nadzwyczajną, jaką u dziewczynki w jej wieku byłaby na przykład łysina. Hatsue dowiedziała się, że może je nosić na wiele sposobów: poskromione szpilkami, splecione w gruby warkocz, spływający przez ramię i pierś, uwite w kunsztowny kok na karku bądź szesane do tyłu w sposób podkreślający szerokie i gładkie płaszczyzny policzków. Pani Shigemura unosiła w dłoniach pasma jej włosów i mówiła, że w dotyku przypominają rtęć i że Hatsue powinna się nauczyć grać na nich z uczuciem jak na instrumencie strunowym albo flecie. Potem rozczesywała je szczotką na plecach dziewczyny, aż rozkładały się niczym wachlarz i połyskiwały falami fantastycznej czerni.

W środowe popołudnia pani Shigemura wprowadzała podopieczną w tajniki ceremonii parzenia herbaty, a także kaligrafii i malowania pejzaży. Pokazała jej, jak układać kwiaty i jak na specjalne okazje pudrować twarz ryżowym pudrem. Pouczyła Hatsue, żeby nigdy nie chichotała i nie patrzyła prosto na żadnego mężczyznę. Jeśli chce utrzymać piękną cerę — pani Shigemura twierdziła, że Hatsue ma skórę gładką jak lody waniliowe — musi się wystrzegać słońca. Nauczyła też wychowankę śpiewać z należytą powagą, z gracją siedzieć, chodzić i stać. Te

ostatnie nauki pani Shigemury nie poszły w las: ruchy Hatsue odznaczały się nadal niezwykłym wdziękiem, poczynając od pięt, a na czubku głowy kończąc. Cała postać Hatsue promieniowała gracją.

Życie jej nie pieściło — praca w polu, internowanie, znowu praca w polu, do tego obowiązki domowe — ale studia u pani Shigemury nauczyły ją opanowania w obliczu przeciwności. Po części była to kwestia właściwej postawy i oddechu, ale w większym jeszcze stopniu ducha. Pani Shigemura nauczyła Hatsue, jak szukać zespolenia z Kosmosem, nauczyła ją wyobrażać sobie, że jest listkiem na ogromnym drzewie: perspektywa śmierci na jesieni, mówiła, jest błahostką wobec radosnego odkrycia uczestnictwa w życiu samego drzewa. W Ameryce, powtarzała nauczycielka, ludzie boją się śmierci, bo życie jest tu oddzielone od Istnienia. Japończyk powinien pamiętać, że życie zawiera w sobie również śmierć; kiedy Hatsue wniknie w tę prawdę, zdobędzie spokój ducha.

Pani Shigemura uczyła Hatsue siedzieć nieruchomo; twierdziła, że nie osiągnie należytej dojrzałości ktoś, kto nie umie długo usiedzieć w bezruchu. Zamieszkiwanie w Ameryce czyni to zadanie trudniejszym, mówiła, bo życie tutaj jest pełne nieszczęść i napięć. Z początku trzynastoletnia Hatsue nie potrafiła usiedzieć nieruchomo nawet pół minuty, a potem, kiedy już uspokoiła ciało, stwierdziła, że niespokojny pozostaje nadal jej umysł. Stopniowo jednak tłący się w niej bunt przeciwko wyciszeniu i bezruchowi wygasł. Pani Shigemura wyraziła zadowolenie i stwierdziła, że zaczął się proces przewycięzania zaburzonego *ego* dziewczyny. Powiedziała Hatsue, że umiejętność trwania w bezruchu wyjdzie jej na dobre. Doświadczy harmonii istnienia pośród zmian i zamętu, jakie nieuchronnie niesie ze sobą życie.

Kiedy Hatsue wracała do domu przez las z lekcji u pani Shigemury, opadały ją czasem obawy, że mimo tylu ćwiczeń nie osiągnęła stanu wyciszenia. Zwalniała wtedy kroku, a czasem siadała pod drzewem, zrywała kwiaty i zastanawiała się nad własnym przywiązaniem do świata iluzji — swojego pragnienia, by żyć i cieszyć się rozrywkami, strojami, makijażem, tańcem i kinem. Odnosiła wrażenie, że swoją postawą udało jej się zwieść panią Shigemurę, ale w głębi duszy czuła, że pragnienie światowego szczęścia jest w niej przerażająco nieodparte. Nakaz ukrywania wewnętrznych przeżyć był jednak tak przemożny, że idąc do szkoły średniej osiągnęła już znaczną biegłość w okazywaniu spokoju, którego w istocie nie czuła. Tak oto rozwinęła w sobie sekretne życie, które ją napawało niepokojem i z którym starała się walczyć.

Pani Shigemura rozmawiała z nią otwarcie i bez obsłonek o sprawach płci. Podniosłym tonem jasnowidzki przepowiedziała, że biały mężczyzna zapłonie pożądaniem do Hatsue i zagnie parol na jej cnotę. Twierdziła, że biali mężczyźni noszą w sercach tajemną żądzę do japońskich niewinnych dziewczec. Spójrz tylko na ich czasopisma i filmy — mówiła. Kimona, sake, ściany z papieru ryżowego, uwodzicielskie i potulne gejsze. Biali mężczyźni marzyli w skrytości ducha o namiętnych Japonkach — dziewczętach o gładkiej skórze i długich, szczupłych nogach, które w upalne dni brodziły boso po ryżowych polach — mieli na ich temat brudne myśli.

Biali mężczyźni byli niebezpiecznymi egocentrykami, najświęciej przekonanymi, że Japonki płoną do nich pożądaniem z powodu ich białej skóry i odwagi, której źródłem była przecież ambicja. Wystrzegaj się białych mężczyzn, pouczała wychowankę pani Shigemura, wyjdź za mąż za młodzieńca swojej rasy, człowieka o sercu mężnym i przepelnionym dobrocią.

Rodzice posłali córkę do pani Shigemury po to, by nie zapomniała, że jest przede wszystkim Japonką. Ojciec Hatsue przyjechał do Ameryki prosto z rodzinnego kraju i zajął się uprawą truskawek, choć pochodził z rodu, który od niepamiętnych czasów trudnił się garncarstwem. Matka Hatsue, Fujiko — córka ubogich rodziców spod Kure, ciężko pracujących sklepikarzy i sprzedawców ryżu — przyjechała do Ameryki na pokładzie statku „Korea Maru” jako narzeczona ze zdjęcia dla Hisao. Małżeństwo wyswatał *baishakunin*, który napłótl rodzinie Shibayamów, że kandydat na męża dorobił się w Nowym Świecie fortuny. Ale Shibayamowie posiadali okazały dom, więc uznali, że Fujiko, córka przeznaczona do zamęścia, zasługuje na coś lepszego niż małżeństwo z robotnikiem najemnym z Ameryki. Wtedy *baishakunin*, którego zadaniem było zdobywanie narzeczonych, pokazał im dwanaście akrów doskonałej ziemi w górach, które, jak powiedział, potencjalny narzeczony zamierzał sprzedać przed powrotem z Ameryki. Rosły na niej brzoskwinie, hebanowce i smukłe wysokie cedry, a wśród nich stał piękny nowy dom, otoczony trzema skalniakami. Wreszcie, zauważył swat, sama Fujiko chce przecież jechać: jest młoda, ma dziewiętnaście lat i pragnie zobaczyć trochę świata za morzem, zanim się poświęci obowiązkom małżeńskim.

Podróż przez ocean Fujiko przechorowała, czuła się fatalnie, miała ściśnięty żołądek i wciąż wymiotowała, a po przybyciu do Seattle stwierdziła, że poślubiła biedaka. Dłonie Hisao były pokryte odciskami i bąblami, a jego ubranie cuchnęło odrażająco potem. Okazało się, że ma wszystkiego parę dolarów i kilkanaście centów. Błagał Fujiko, żeby mu przebaczyła jego podstęp. Początkowo mieszkali w pensjonacie na Beacon Hill, gdzie ściany były wylepione

zdjęciami z czasopism, a biali ludzie na ulicach traktowali ich z upokarzającą pogardą. Fujiko podjęła pracę w portowej garkuchni, sama zaczęła cuchnąć potem i pokaleczyła sobie dłonie, tyrając dla *hakujin*.

Po urodzeniu się Hatsue, pierwszej z pięciu córek, przeprowadzili się do pensjonatu na Jackson Street, należącego do przybyszów z prefektury Tochigi-ken, którym wiodło się w Stanach zadziwiająco dobrze: ich kobiety nosiły jedwabne kimona i jasnoczerwone pantofelki na korkowej podeszwie. Na ulicy cuchnęło jednak gnijącymi rybami, kapustą, fermentującymi w zalewie z wody morskiej rzodkiewkami, pomyjami z przepelnionych rynsztoków i spalinami autobusów. Fujiko przez trzy lata sprzątała tam pokoje, aż pewnego dnia Hisao wrócił do domu z nowiną, że znalazł pracę w przedsiębiorstwie produkującym konserwy. W maju rodzina Imadów wsiadła na statek i popłynęła na wysepkę San Pedro, gdzie nietrudno było o pracę na licznych plantacjach truskawek.

Praca okazała się jednak ciężką harówką — Hatsue i jej siostry miały zakosztować jej w życiu w nadmiarze — trzeba się było stale schylać i pracowało się na słońcu. Mimo to była o niebo lepsza od pracy w Seattle: równe rzędy truskawek spływały płynnie ze wzgórz, wiatr przynosił zapachy morza, a rankiem szare światło świtu przypominało nieco Japonię, za którą Hisao i Fujiko tęsknili.

Początkowo mieszkali w kącie stodoły, wspólnie z jakąś indiańską rodziną. Mając siedem lat, Hatsue ścinała paprocie w lesie i u boku matki przycinała krzewy ostrokrzewu. Hisao sprzedawał okonie i plótl bożonarodzeniowe wieńce. Napelniwszy monetami woreczek po ziarnie, wzięli w dzierżawę siedem akrów pokrytych karczami i porośniętych klonami, kupili konia do pług i zaczęli karczunek. Przyszła jesień, liście klonów zwinęły się w piątki i opadły, a potem deszcze zmieniły je w brunatną pulpę. Zimą 1931 roku Hisao spalił sterty gałęzi i powyrywał z ziemi pniaki. Powoli rósł dom z cedrowych deszczulek. Ziemia została zaorana i obsiana, zanim nastały pierwsze jaśniejsze wiosenne dni.

Hatsue wzrastała wykopując małże na South Beach, zrywając jeżyny, zbierając grzyby, opielając truskawki i matkując czterem młodszymi siostrzyczkom. Kiedy miała dziesięć lat, chłopiec od sąsiadów nauczył ją pływać i pozwolił jej używać pudełka z szybką w dzień, by mogła zaglądać pod powierzchnię fal. Korzystali z niego oboje, wystawiając plecy na promienie słońca, i obserwowali razem rozgwiazdy oraz skalne kraby. Woda Pacyfiku parowała ze skóry dziewczyny, pozostawiając osad w postaci warstewki soli. Któregoś dnia chłopiec pocałował

Hatsue. Najpierw zapytał, czy mu wolno, a nie otrzymawszy odpowiedzi, przechylił się nad pudełkiem i musnął wargami jej wargi. Poczła słony smak jego rozgrzanych ust, które zresztą zaraz cofnął i wpatrywał się w nią przez chwilę, mrugając powiekami. Potem dalej oglądali przez szybkę ukwiały, strzykwy i wieloszczety. Hatsue przypomniała sobie po latach, w dniu swojego ślubu, że pierwszy pocałunek złożył na jej ustach chłopiec od sąsiadów, Ishmael Chambers, kiedy trzymali się oboje oszklonego pudełka, unosząc się na powierzchni oceanu. Zaprzeczyła jednak, gdy mąż zapytał ją, czy się już kiedyś całowała.

— Gęsto sypie — powiedziała teraz do niego, wskazując oczami okna sali rozpraw. — Prawdziwa śnieżycą. Pierwsza w życiu twojego syna.

Kabuo odwrócił głowę w stronę okna i Hatsue dostrzegła nad zapiętym kołnierzykiem koszuli mocne jak postronki ścięgnięta jego szyi. Nie stracił w więzieniu swej siły — siły wewnętrznej, jak to rozumiała, wpływającej z ducha, mocy, którą dostrajał do okoliczności życia. W celi więziennej skupiał się na tym, żeby ją zachować.

— Opatrz piwniczkę, Hatsue — przypomniał — żeby ci warzywa nie pomarzęły.

— Już opatrzyłam.

— To dobrze. Wiedziałem, że nie zapomnisz.

Przez chwilę przyglądał się w milczeniu płatkom śniegu za oprawnymi w ołów szybami, po czym odwrócił się i spojrzał na żonę.

— Pamiętasz śnieżycę w Manzanar? — zapytał. — Kiedy tak pada, zaraz mi się przypomina. Zaspy, wichura, pękaty piec i gwiazdy za oknem.

W normalnych warunkach nie przemówiłby do niej tak romantycznie. Możliwe, że to więzienie nauczyło go wyjawiać myśli, jakie zazwyczaj skrywał.

— Wtedy również siedzieliśmy w więzieniu — przypomniała. — Zaznaliśmy tam i wiele dobrego, lecz jednak byliśmy w więzieniu.

— Nie, to nie było więzienie — zaprzeczył. — Wtedy nam się tak wydawało, bo nie znaliśmy prawdziwego więzienia. Ale to jednak nie było więzienie.

W duchu przyznała mu rację. Wzięli ślub w obozie internowania w Manzanar, w obitej papą buddyjskiej kaplicy. Matka Hatsue przedzieliła kotarą z wojskowych kocy zagęszczony pokoik rodziny Imadów i na noc poślubną oddała nowożeńcom dwie prycze przy piecu. Zestawiła je nawet, żeby utworzyły nieco szersze łóżce, i własnoręcznie wygładziła prześcieradła. Cztery młodsze siostry Hatsue stały przy zasłonie z kocy i przyglądały się cichej krzątaniu

matki. Fujiko podłożyła węgiel do brzuchatego piecyka, wytarła ręce w fartuch, pokiwała głową i powiedziała, żeby za trzy kwadransy zamknęli drzwiczki pieca. Potem zabrała córki, zostawiając Hatsue i Kabuo samych.

Ubrani w weselne stroje całowali się stojąc przy oknie; Hatsue czuła zapach ciepłej szyi i ust Kabuo. Na dworze sypał śnieg i zacinał w ścianę baraku.

— Wszystko będzie słychać — szepnęła Hatsue przy uchu męża.

Obejmując ją w pasie, odwrócił się i zawołał w stronę zasłony:

— Znajdźcie jakąś dobrą muzykę w radiu, chętnie posłuchamy!

Czekali. Kabuo powiesił marynarkę na wieszaku. Po chwili rozległa się muzyka country and westem, nadawana przez jakąś stację w Las Vegas. Kabuo usiadł, zdjął buty, ściągnął skarpetki i włożył je do butów, które wsunął pod pryczę. Rozwiązał krawat.

Hatsue usiadła obok męża. Przez chwilę przyglądała się profilowi jego twarzy i bliźnie na szczęce; potem zaczęli się całować.

— Musisz mi pomóc zdjąć sukienkę, Kabuo — wyszeptwała. — Rozpina się na plecach.

Rozpiął zatrzaski, przebiegając palcami wzdłuż jej kręgosłupa. Wstała i zsunęła z ramion sukienkę, która upadła na podłogę. Hatsue podniosła ją i powiesiła na wieszaku obok marynarki Kabuo.

Wróciła do łóżka w samej halce i biustonoszu i usiadła obok męża.

— Nie chcę, żeby nas było słychać — szepnęła. — Nawet z tym radiem. Moje siostry na pewno podsłuchują.

— Dobrze — odszepnął. — Będziemy cicho.

Rozpiął koszulę, ściągnął ją i złożył w nogach pryczy. Zdjął podkoszulek. Kabuo był bardzo silny. Hatsue dostrzegła węzły mięśni na jego brzuchu. Cieszyła się, że wyszła za takiego mężczyznę. Pochodził, podobnie jak ona, z rodziny plantatorów truskawek. Umiał się obchodzić z roślinami, wiedział, które rozłogi przycinać, a których nie. Latem jego dłonie również plamił czerwony sok owoców, wżerał się w skórę i przenikał ją swoim zapachem. Hatsue miała świadomość, że częściowo z powodu tego zapachu zapragnęła związać swoje życie z tym mężczyzną; choć to może wydawać się dziwne, w wyborze męża kierowała się węchem. Poza tym wiedziała, że Kabuo marzy o tym samym co ona — mianowicie o farmie truskawkowej na San Pedro. Ich marzenia do tego się ograniczały: posiadać własną farmę, żyć wśród swoich bliskich i czuć woń truskawek za oknem. Niektóre z rówieśnic Hatsue, jej dobre koleżanki, były



przeświadczone, że szczęście czeka na nie gdzie indziej, toteż marzyły o wyjeździe do Seattle lub do Los Angeles. Nie umiałyby sprecyzować, co je ciągnie do wielkiego miasta, wiedziały jednak, że pragną tam jechać. Hatsue również czuła kiedyś podobny pociąg, ale uwolniła się od niego jak od mary sennej, odkrywszy swoją prawdziwą potrzebę: pragnęła cichego, spokojnego życia plantatora truskawek na wyspie San Pedro. Wiedziała, czuła to całą swoją istotą, czego chce, i wiedziała również, dlaczego tego chce. Rozumiała, jakim szczęściem jest praca na roli, do której można wychodzić u boku ukochanej osoby. Kabuo odczuwał podobnie i tego samego oczekiwał od życia. Mogli więc ułożyć wspólne plany: kiedy wojna się skończy, wrócą na San Pedro. Kabuo wyrósł na wyspie, podobnie jak Hatsue, czuł ziemię, znał się na uprawie truskawek i wiedział, jak dobrze jest mieszkać wśród ludzi kochanych. To jego, nikogo innego, opisywała przed laty pani Shigemura, kiedy mówiła Hatsue o miłości i małżeństwie, i teraz dziewczyna całowała Kabuo właśnie za to. Delikatniej niż usta całowała następnie jego brodę i czoło, a potem oparła podbródek na czubku jego głowy, chwyciła męża palcami za uszy i wdychała zapach jego włosów, pachnących wilgotną ziemią. Kabuo objął ją i przytulił. Całował jej piersi nad brzeżkiem biustonosza.

— Ślicznie pachną — wyszeptał.

Potem odsunął się, rozpiął spodnie i ułożył je obok koszuli. Siedzieli obok siebie w samej tylko bieliźnie. Nogi Kabuo bieleły w padającym przez okno świetle gwiazd. Hatsue dostrzegła, jak w majtkach męża naprężył się członek, wypychając czubkiem tkaninę. Podciągnęła nogi na łóżko i oparła brodę na kolanach.

— Jestem pewna, że one podsłuchują — szepnęła.

— Mogłybyście zrobić trochę głośniej?! — zawołał Kabuo. — Słabo tu słyhać!

Muzyka country and western zabrzmiała nieco głośniej, mimo to starali się nadal zachowywać jak najciszej. Leżeli przytuleni, twarzami do siebie; Hatsue czuła na brzuchu sterczący członek męża. Wsunęła rękę pod jego majtki, dotknęła żołądki i twardego trzonu penisa. W pękatym piecu płonął z trzaskiem ogień.

Dziewczyna przypomniała sobie, jak trzymając się pudełka z szybką całowała się z Ishmaelem Chambersem, opalonym na brązowo chłopcem od sąsiadów, z którym często zrywała jeżyny, wchodziła na drzewa, łowiła okonie. Myślała o nim, kiedy Kabuo całował jej piersi, a potem sutki przez stanik. Uznała Ishmaela za swojego pierwszego kochanka, bo gdy się z nim całowała, mając dziesięć lat, doznała dziwnego uczucia, a już za chwilę poczuje w sobie nabrzmiały

członek innego mężczyzny. W swoją poślubną noc tylko na moment jednak, niemal przez przypadek, przypomniała sobie o Ishmaelu Chambersie, pewnie dlatego, że wszystkie romantyczne chwile są ze sobą połączone — nawet te z dawno minionej przeszłości.

Potem mąż Hatsue zdjął jej halkę, majtki i biustonosz, a ona ściągnęła mu spodenki. Leżeli teraz nadzy, widziała jego twarz, oświetloną wpadającym przez okno blaskiem gwiazd, dobrą twarz, ciepłą, świadczącą o sile ducha. Na dworze dął porywisty wiatr i wdzierał się ze świstem w szczeliny między deskami. Hatsue objęła dłonią twardy członek i poczuła, jak zadrżał, gdy zacisnęła palce, a potem, nie wypuszczając go z ręki, położyła się na plecach, bo tak chciała się kochać, a Kabuo nakrył ją swym ciałem, podłożywszy jej dłonie pod pośladki.

— Robiłaś to kiedyś? — zapytał szeptem.

— Nigdy — odszepnęła. — Jesteś pierwszy...

Czubek penisa znalazł punkt, którego szukał, i Kabuo na chwilę znieruchomiał. Zaczął całować usta żony, ujął wargami jej dolną wargę i ssał delikatnie, a potem przytulił ją mocniej i jednocześnie wdarł się w nią z taką siłą, aż usłyszała kłaśnięcie moszny o swoje pośladki. Poczowała całą sobą, że to, co się stało, jest dobre i właściwe, i jej ciało otworzyło się radośnie na przyjęcie tego przeżycia. Wygięła w górę plecy, aż jej piersi rozplaszczyły się na klatce piersiowej Kabuo, i przebiegł ją dreszcz.

— To jest cudowne — szepnęła. — To wydaje się takie dobre i właściwe, Kabuo.

— *Tadaima aware ga wakatta* — odpowiedział. — Zrozumiałem teraz najgłębsze piękno.

Osiem dni później wyjechał do Camp Shelby w stanie Missisipi, gdzie dołączył do drużyny szturmowej 442 pułku. Oznajmił żonie, że musi iść na wojnę; jest to konieczne, by mógł wykazać się odwagą i dowieść swojej lojalności wobec ojczyzny — Stanów Zjednoczonych.

— Dowodząc tego, możesz stracić życie — powiedziała Hatsue. — Przecież ja wiem, że jesteś odważny i lojalny.

Mimo to pojechał. Wiele razy, jeszcze przed ślubem, prosiła go, zaklinała, żeby nie jechał, twierdził jednak, że musi wziąć udział w wojnie. To nie tylko kwestia honoru, powtarzał, musi pójść również dlatego, że ma japońskie rysy. Musi coś udowodnić, wziąć na swe barki ciężar, jaki ta szczególna wojna na niego nakłada, bo jeśli on go nie poniesie, to kto? Hatsue stwierdziła, że nie zdoła odwieść męża od raz powziętego zamiaru; odkryła ponadto drzemiący w nim upór oraz tę cechę jego charakteru, którą nieodparcie pociągala walka. Stwierdziła, że są w

jego duszy zakątki, do których nie ma dostępu, gdzie w cichości podejmował samodzielne decyzje. Odkrycie to nie tylko napełniło ją rezerwą wobec męża, ale i przejęło obawą o ich wspólną przyszłość. Jej życie było teraz zespolone z życiem Kabuo, sądziła więc, że każdy zakątek jego duszy powinien stać przed nią otworem. Jego zamknięcie się w sobie składała na karb wojny, więziennego życia w obozie, ciśnienia trudnych czasów, wreszcie wygnania z rodzinnych stron. Wielu mężczyzn szło na wojnę wbrew swoim kobietom, co dnia opuszczały obóz całe gromady młodych mężczyzn. Hatsue powtarzała sobie, że musi się z tym pogodzić, jak jej doradzały matka i teściowa, nie występować przeciwko potężnym mocom, z którymi i tak nie da się walczyć. Teraz ona znalazła się we wzburzonym nurcie dziejów, podobnie jak przedtem Fujiko. Musi się im poddać, w przeciwnym bowiem razie zatruje ją własna gorycz i nie wyjdzie z wojny nie zmieniona, na co wciąż miała nadzieję.

Stopniowo przywykała do tęsknoty za mężem i nauczyła się sztuki długiego czekania — kontrolowanej hysterii, podobnej nieco do tego stanu uczuć, w jakim Ishmael Chambers przyglądał się pani Miyamoto na sali sądowej.

Przyglądając się Hatsue, Ishmael przypominał sobie, jak wykopywali razem wielkie jadalne małże pod urwistym cyplem na South Beach. Hatsue szła przez płycizny z ogrodniczą łopatką i blaszanym, ciekącym wiadrem z przerdzewiałym dnem. Miała czternaście lat i nosiła czarny kostium kąpielowy. Szła bosą, omijając kaczenice, przez płytkie, powstałe po odpływie muliste rozlewiska, zasłane połyskliwymi wachlarzami wysuszonych słońcem morskich wodorostów. Ishmael miał na nogach kalosze, a w ręku trzymał ogrodniczy szpadeł. Słońce przypiekało mu ramiona oraz nagie plecy i wysuszało błoto na rękach i kolanach.

Szli tak prawie dwa kilometry. Co jakiś czas robili postój, żeby sobie popływać. Podczas odpływu wynurzały się piaskołazy, wyrzucając strumienie wody podobne do miniaturowych, ukrytych wśród morskiej trawy gejzerów. Z błotnistych równin tryskały na pół metra w górę dziesiątki małych fontann, malały, znowu strzelały wyżej, a potem znikwały. Wielkie małże wyciągały do słońca szyje, na których końcach połyskiwały podobne do warg syfony. Muliste poodpływowe rozlewiska przypominały łąkę porośniętą lśniącymi białymi kwiatami.

Ishmael i Hatsue klękali nad syfonem małża, żeby oszacować jego wartość. Zachowywali się cicho i unikali gwałtownych poruszeń — ruch wzbudzał nieufność tych stworzeń i powodował, że szybko chowały szyje. Klęcząc z łopatką w ręku obok wiadra, dziewczynka badała ciemną wargę małża, jej rozmiar, barwę i obwód wilgotnego pyszczka. Orzekła, że zatrzymali się przy piaskołazie.

Mieli oboje po czternaście lat i było lato — nic na świecie nie liczyło się dla nich bardziej od jadalnych małży.

Podeszli do następnego syfonu i znowu przyklękli. Siedząc na piętach, Hatsue wykręciła włosy, aż woda pociekła po jej nagim ramieniu. Potem wprawnie rozrzuciła je na plecach, żeby wyschły w słońcu.

— Jadalny — oceniła szeptem.

— Ładny — przytaknął chłopiec.

Dziewczynka pochyliła się i wetknęła palec wskazujący do syfonu. Patrzyli, jak małż zaciska się na palcu, a potem chowa szyję. Hatsue wsunęła jej śladem olszynowy patyk; zniknęło go w mule ponad pół metra.

— Siedzi tam — stwierdziła. — Ale wielki!

— Teraz moja kolej — upomniał się chłopiec.

Wręczyła mu łopatkę.

— Rączka się obluzowała — ostrzegła. — Uważaj, żeby się nie złamała.

Najpierw wykopał małże niejadalne, patyczki i różne morskie żyjątka, potem zbudował tamę na wypadek, gdyby zaczął się przyptyw; Hatsue wybierała tymczasem wodę przeciekającym wiadrem. Leżała na brzuchu na rozgrzanym mule, nogi miała opalone na brązowo, gładkie jak aksamit.

Kiedy cały patyk został odsłonięty, Ishmael wyciągnął się obok dziewczynki i patrzył, jak pracuje szpadelkiem. Ukazał się otwór w płaszczu muszli, w którym skryła się szyja mięczaka. Leżeli oboje na skraju jamki, każde z opuszczoną w dół, zabłoconą ręką, i kopali wokół małża, aż odkopali jedną trzecią muszli.

— Wyciągnijmy go — zaproponował Ishmael.

— Lepiej się pod niego podkopmy.

To Ishmael nauczył Hatsue wykopywać małże, robili to razem już od czterech lat, ale w końcu uczennica przegoniła nauczyciela. Ona komenderowała, a on się jej słuchał.

— Mocno się trzyma — stwierdziła. — Przerwie się, jak zaczniemy ciągnąć. Lepiej się nie spieszyć i jeszcze trochę pokopać.

Kiedy wreszcie przyszła pora wyciągać małża, Ishmael wsunął rękę do otworu najgłębiej jak mógł, przywierając policzkiem do mułu. Przed oczami miał pachnące solą kolano Hatsue, tak blisko, że zasłaniało mu cały świat.

— Ostrożnie — napomniała go dziewczynka. — Pomału! Nie spiesz się. Delikatnie. Najlepiej ciągnąć powoli.

— Wychodzi — stęknął. — Czuję to.

Hatsue odebrała małża z rąk przyjaciela i opłukała go w płytkim rozlewisku. Przetarła dłonią muszlę, oczyściła długi syfon i nogę. Ishmael włożył go następnie do wiaderka. Przyglądał się mięczakowi z podziwem; czysty i delikatny, największy, jakiego dotąd widział, przypominał wielkością i kształtem filet z indyczej piersi. Chłopaka zawsze zdumiewała grubość i mięsistość tych stworzeń.

— Ładna sztuka — ocenił.

— Wielki — przyznała Hatsue. — Ogromniasty!

Stała na płyciźnie i obmywała z piasku nogi, a Ishmael zasypywał jamkę. Przyptyw wzbierał powoli na rozgrzanej słońcem plaży, liżąc im stopy wodą ciepłą jak w lagunie. Usiedli obok siebie w płytkiej zatoczce twarzami do otwartego oceanu i wsunęli nogi w splątany kłęb morszczyków.

— Ocean się nigdzie nie kończy — powiedział Ishmael. — Na ziemi jest w ogóle więcej wody niż lądu.

— Gdzieś się kończy — odrzekła Hatsue. — Albo ciągnie się w kółko.

— Na jedno wychodzi. Czyli że nie ma końca.

— Gdzieś musi być brzeg, na którym jest teraz przyptyw — powiedziała dziewczynka. — Tam jest właśnie koniec oceanu.

— Nie, on się nigdzie nie kończy. Styka się tylko z innym oceanem, a ich wody się mieszają.

— Wody oceanów się nie mieszają. Mają różną temperaturę i różne stężenie soli.

— Mieszają się pod spodem — wyjaśnił Ishmael. — Tak naprawdę całą ziemię pokrywa jeden ocean.

Przykrył uda pasmem wodorostów i wyciągnął się w pozycji pólężącej, podparty na łokciach.

— Nie ma jednego oceanu — sprostowała Hatsue. — Są cztery: Ocean Atlantycki, Ocean Spokojny, Ocean Indyjski i Arktyczny. Każdy inny.

— A czym się na przykład różnią?

— Różnią się i tyle! — Dziewczynka przyjęła pozycję taką jak Ishmael; włosy spadały lśniąca falą z tyłu jej pleców. — Różnią się i już — przesądziła.

— Nie wydaje mi się — zaoponował. — Woda jest wszędzie wodą. Nazwy na mapie nic nie znaczą. Myślisz, że przepływając łódką z jednego oceanu na drugi, zobaczyłabyś jakąś tabliczkę albo coś? One...

— Słyszałam, że kolor wody się zmienia. Atlantyck na przykład jest podobno brązowawy, a Ocean Indyjski niebieski.

— Gdzieś to słyszała?

— Już nie pamiętam.

— To nieprawda.

— A właśnie, że prawda!

Zamilkli oboje, tak że słyhać było jedynie plusk fal. Ishmael był dojmująco świadom istnienia nóg i ramion dziewczyny. Z kącików jej ust wyparowała woda, pozostawiając białe osady soli. Chłopak obserwował kątem oka paznokcie, kształt palców u nóg i dołeczek na szyi Hatsue. Znał ją od sześciu lat, a właściwie jakby nie znał. Coraz częściej nie dawała mu spokoju jej pełna chłodu skrytość.

W ostatnim czasie wciąż myślał o Hatsue i czuł się nieszczęśliwy; całą wiosnę strawił na zastanawianiu się, jak wyznać to przyjaciółce. Łamał sobie nad tym głowę popołudniami, siedząc na urwistym cyplu South Beach, gryzł się tym w szkole — i nie dochodził do żadnych wniosków, wciąż nie wiedział, jak wyjawić Hatsue zamęt ducha, jaki przeżywał.

Dar wymowy całkiem go opuścił. W obecności dziewczyny nabierał przeświadczenia, że odkrycie przed nią własnych uczuć byłoby błędem nie do naprawienia. Skrytość Hatsue nie zachęcała do szczerych wyznań, choć od paru lat chodzili razem na przystanek szkolnego autobusu, spotykali się na plaży i w lesie, zbierali truskawki na tych samych farmach w sąsiedztwie. Jako dzieci bawili się razem z młodszymi siostrami Hatsue i ze swoimi rówieśnikami — Sheridanem Knowlesem, Arnoldem i Billym Krugerami, Larsem Hansenem, Tiną i Jean Syvertsen. Kiedy mieli po dziewięć lat, lubili spędzać popołudnia w dziupli w pniu pewnego cedrowego drzewa; leżąc na brzuchu słuchali szelestu deszczu w bluszczach i paprociach. W szkole udawali jednak nieznajomych, czego Ishmael nie był w stanie pojąć, choć skądinąd rozumiał, że to nieodzowne, gdyż Hatsue była Japonką, a on białym i nic nie można było na tę zasadniczą odmienną poradzić.

Teraz miała czternaście lat i pod jej kostiumem kąpielowym zaczęły się zaokrąglać piersi, małe i twarde jak jabłuszka. Chłopak nie umiałby powiedzieć, jakie jeszcze zaszły w niej zmiany, ale że zaszły, dostrzegł nawet na twarzy przyjaciółki; zmieniła się na przykład karnacja jej skóry. Zauważał te zmiany, przyprawiały go o napięcie i zakłopotanie, szczególnie gdy siedzieli tak blisko siebie jak w tej chwili.

Serce zaczęło mu okropnie walić, jak zresztą zawsze ostatnimi czasy w obecności Hatsue. Nie znajdował słów, by wyrazić to, co go gnębiło, język mu stanął kołkiem. Czuł, że dłużej nie wytrzyma narastającego napięcia, musi otworzyć serce, musi wyznać dziewczynie miłość. Poruszała go nie tylko jej uroda, ale i wspólne przeżycia — tu, na plaży, nad wodą, wśród skał i w lasach za plecami. To była kraina ich lat dziecińczych, na zawsze nią pozostanie, a Hatsue była jej duszą. Wiedziała, gdzie szukać grzybów, jagód dzikiego bzu, kłączy paproci; od lat je razem

zbierali. W jej towarzystwie Ishmael czuł się swobodnie jak w towarzystwie najbliższego przyjaciela — w każdym razie do niedawna, od kilku miesięcy cierpiał bowiem przez Hatsue. Zdawał sobie sprawę, że będzie cierpiał nadal, jeśli czegoś z tym nie zrobi. Decyzja należała do niego. Wymagała odwagi tak wielkiej, że aż zrobiło mu się słabo. Była zbyt trudna. Zamknął oczy i wymamrotał:

— Bardzo cię lubię, Hatsue. Wiesz, co mam na myśli, prawda? Zawsze cię lubiłem.

Nie odpowiedziała. Nawet na niego nie spojrzała; opuściła wzrok. Przełamawszy lęk, Ishmael nabrał odwagi, przysunął się do dziewczyny i musnął wargami jej usta. Były gorące. Poczł zapach soli i ciepły oddech Hatsue. Przyciskał się do niej tak mocno, aż musiała podeprzeć się ręką, żeby nie upaść plecami w płytką wodę. Ishmael poczuł dotyk jej zębów i zapach wnętrza ust. Ich zęby lekko o siebie zazgrzytały. Chłopak zamknął oczy, a kiedy je otworzył, zobaczył, że Hatsue z całej siły zaciska powieki, żeby na niego nie patrzeć.

Kiedy przestali się całować, zerwała się, chwyciła wiadro z małżem i puściła się biegiem wzdłuż plaży; biegać potrafiła szybko, o czym świetnie wiedział, wstał więc tylko po to, by odprowadzić ją wzrokiem. Kiedy zniknęła w lesie, położył się z powrotem w płytkiej wodzie i przez kilkanaście minut przeżywał pocałunek. Postanowił wtedy, że będzie zawsze kochał tę dziewczynę, cokolwiek się zdarzy; nie tyle zresztą postanowił, co zaakceptował rzecz nieuchronną. Od razu poczuł się lepiej, choć już w następnej chwili ogarnął go niepokój, przestraszył się bowiem, że pocałunkiem mógł coś popsuć. Dla niego, czternastolatka, ich miłość była zdarzeniem nieuniknionym, najnaturalniejszym w świecie. Zaczęła się w dniu, gdy pocałowali się po raz pierwszy, wtedy na morzu, trzymając się pudełka ze szklanym dnem, i będzie trwała wiecznie. Był tego pewien, podobnie jak tego, że Hatsue odwzajemnia jego uczucia.

Przez następne dziesięć dni zapamiętałe pracował — chwycił się najróżniejszych zajęć: pełł chwasty, mył okna — i zadreślał się myślami o Hatsue. Z rozmysłem unikał plaży — bał się tam pojawić. Coraz bardziej posępniał i chmurniał. Naprawiając druty, które podtrzymywały maliny pani Verdy Carmichael, sprzątając jej cienistą szopę na narzędzia i przygotowując wiązki cedrowych szczapek na podpałkę, ani na chwilę nie przestawał myśleć o Hatsue Imada. Pomógł Bobowi Timmonsowi zdrapać starą farbę z szopy i opełł grządki kwiatów pani Herberty Crow, która zajmowała się układaniem bukietów i traktowała matkę Ishmaela z góry. Pani Crow



dziabła ziemię gracką o klonowym trzonku, klęcząc obok Ishmaela i przerywając co chwila pracę, żeby obetrzeć pot z czoła i oświadczyć, że Ishmael wygląda jej na przygnębionego. W końcu postanowiła, że muszą usiąść na ganku za domem i napić się mrożonej herbaty w wysokich szklankach i zjeść po kawałku cytrynowego ciasta. Wskazując na drzewo figowe, poinformowała młodego Chambersa, że posadziła je przed wieloma laty — przed iloma dokładnie, już nawet nie pamięta. Przyjęło się wbrew wszystkim przeciwnościom i obecnie rodziło obfitość słodziuteńkich fig. Pani Crow dodała, że bardzo lubi te owoce. Następnie, pociągnawszy łyżeczek herbaty, zmieniła temat — rodziny, zamieszkałe wzdłuż South Beach, oznajmiła, są przez mieszkańców Amity Harbor uważane za samozwańczą arystokrację, bandę malkontentów, odludków i dziwaków; dotyczy to również rodziny Ishmaela. Czy orientuje się, że jego dziadek pomagał wbijać pale pod pomost w zatoce South Beach? Rodzina Papineau, ciągnęła pani Crow, nie bez powodu cierpi biedę, że aż piszczy: żadne z nich nie splamiło się w życiu pracą. Co innego Imadowie, ci zawsze ciężko pracowali, nie wyłączając ich pięciu córek. Ebertowie najmują do pracy zawodowych ogrodników i rozmaitych przyjezdnych specjalistów — hydraulicy, elektrycy i majstrowie od wszystkiego zjeżdżają do nich furgonetkami i odwalają za nich brudną robotę — co się zaś tyczy rodziny pani Crow, oni zawsze najmowali do pracy wyłącznie ludzi z sąsiedztwa. Ona i jej mąż mieszkają w South Beach od czterdziestu lat — uświadomiła Ishmaelowi starsza pani. Pan Crow pracował w przemyśle węglowym, potem wyrabiał deski szalunkowe, a ostatnio wziął się za budowę okrętów i obecnie bawi w Seattle, gdzie finansuje budowę fregat i trałowców dla marynarki wojennej pana Roosevelta (choć pan Roosevelt obchodzi jej męża tyle co zeszłoroczny śnieg, dodała pani Crow) — ale czemuż to Ishmael jest taki przygnębiony?

— Rozchmurz się, chłopcze! — zawołała i napiła się herbaty. — Życie jest piękne!

Najbliższej soboty Ishmael wybrał się na ryby z Sheridanem Knowlesem. Siedząc u wioseł, zadreślał się myślami o Hatsue, gdy w pewnej chwili dojrzał pana Crow. Wsparty dłońmi o kolana, małżonek pani Herbery wślepiał się w teleskop ustawiony na trójnogu pośrodku tarasowego trawnika i śledził zazdrosnym okiem jachty przybyszów ze Seattle, przepływające w pobliżu cypla South Beach w drodze na kotwiczowiska w Amity Harbor. Pan Crow odznaczał się chwiejnym charakterem i wysokim myślącym czołem Szekspira. Z jego ogrodów, obsadzonych niskimi żywopłotami z różanecznika, kameliami, różami, pociętych szpalerami bukszpanów, roztaczał się rozległy widok na spienione białymi grzywaczami morze i szare,

spalone słońcem kamienie plaży. Dom państwa Crow zwracał ku słońcu jedną rozległą, nieskazitelnie czystą ścianę, przedzieloną zamkniętymi na okiennice oknami, z trzech zaś pozostałych stron obrastały go majestatyczne cedry. Pan Crow wszczął prawdziwą wojnę o międzę z Bobem Timmonsem, sąsiadem od północy, utrzymując, że zagajnik choinowy Boba rośnie na jego ziemi. Pewnego ranka, kiedy Ishmael miał osiem lat, zjawiono się dwóch geometrów z teodolitami i alidadami, którzy powiązali na granicy obu posiadłości czerwone chorągiewki. Podobna ceremonia powtarzała się w nieregularnych odstępach czasu przez kolejne lata; poza osobami geometrów nic się nie zmieniało, jedynie cedry rosły coraz wyższe, powiewając na tle nieba giętkimi, podobnymi do zielonych biczów wierzchołkami. Wsparłszy się pod boki, Bob Timmons — przybysz z górzystego New Hampshire, blady, milczący i stanowczy człek o purytańskiej moralności — przyglądał się obojętnie pomstującemu pod nosem panu Crow, który przemierzał gniewnie granice ich ziem, polśniewając wysokim czołem.

Ishmael najmował się ponadto do pracy u państwa Etheringtonów, dziarskich letników ze Seattle. Każdego roku w czerwcu na San Pedro zjeżdżali gromadnie letnicy, spragnieni balsamicznego powietrza South Beach. Halsując z zapalem, krążyli po morzu w maleńkich żagłówkach. Kiedy nachodziła ich ochota na terapię pracą fizyczną, malowali domy, gracowali ogródki, zamiatali, sadzili rośliny; poza tymi zajęciami chętnie wylegiwali się na plaży. Wieczorami płonęły ogniska, smażono piaskołazy, omułki, okonie, wyciągano łodzie na brzeg, opłukiwano szlauchami i chowano do szopy łopaty i grabie. Etheringtonowie pijali dżin z tonikiem.

Na przylądku Miller Bay, za równinnymi połaciami mułu, mieszkał kapitan Jonathan Soderland, który rok po roku wyruszał swym rozsypującym się żaglowcem handlowym „CS. Murphy” na wyprawy kupieckie na Morze Arktyczne. Kiedy się postarzał i stracił siły do tych wypraw, wziął na siebie rolę miejscowej atrakcji — gładząc śnieżnobiałą brodę, ubrany w bawełniane długie spodnie na wystrzępionych szelkach, snuł letnikom morskie opowieści i pozował im do zdjęć, stojąc przy kole sterowym „Murphy’ego”, na trwale unieruchomionego w piachu. Ishmael pomagał czasem kapitanowi rąbać drwa na opał.

Jedynym działającym na South Beach przedsięwzięciem nastawionym na zysk — poza plantacją truskawek rodziny Imadów — była znajdująca się po drugiej stronie zatoki Miller Bay, ocieniona drzewami Chróściny, farma niebieskich lisów Toma Pecka. Poszarpując rdzawą kozią bródkę i ssąc cybuch fajki, Tom hodował w sześćdziesięciu przepelnionych kojcach

amerykańskie niebieskie lisy dla ich lśniących futer. Świat nie pomógł mu w tym zadaniu, jedynie w czerwcu tego roku Ishmael oraz dwaj inni chłopcy, zatrudnieni przez hodowcę, drucianymi szczotkami wyszorowali klatki. Tom miał swoją prywatną mitologię; składały się na nią wojny z Indianami, poszukiwanie złota i egzekucje najemników. Znany był z tego, że w kaburze pod pachą nosi deringera. Dalej w głębi zatoki rodzina Westinghouse'ów zbudowała wśród trzydziestu akrów daglezji rezydencję w stylu Newport. Zniechęcony powszechną zgnilizną moralną wschodniego wybrzeża, za której wyjątkowo ohydny przejaw uznał porwanie syna Lindbergha, sławny ów fabrykant, producent sprzętu gospodarstwa domowego, oraz jego wysoko urodzona bostońska małżonka zjechali na ustronne wybrzeże San Pedro wraz z trzema synami, pokojówką, lokajem i dwójką prywatnych guwernerów. Któregoś popołudnia Ishmael pomagał Dale'owi Papineau, samozwańczemu stróżowi kilku należących do letników domów, przycinać gałęzie olch, zwieszające się nad długą alejką dojazdową, prowadzącą do rezydencji Westinghouse'ów.

Pomagał również Dale'owi przy czyszczeniu rynien w domu państwa Etheringtonów. Odnosił wrażenie, że Etheringtonowie go lubili — był dla nich barwną postacią z małej wysepki, częścią miejscowego folkloru. Po przymrozkach i kilkudniowych ulewach Dale obchodził z latarką domy, którymi się opiekował — kuśtykając, bo dokuczało mu biodro, które sobie zwichnął, kiedy pracował w fabryce kreozotu (rwało go w dni wilgotne oraz zimne bądź zarazem wilgotne i zimne), zaglądał do garaży i piwnic, mrużąc oczy, bo z próżności nie nosił okularów, i czyścił ze szlamu studzienki ściekowe. Jesienią palił stosy gałęzi — chuda, mającą w szarym zmierzchu figura w płóciennych rękawiczkach i przetartej, wystrzępionej na łokciach kraciatej kurtce — i grabił liście u Virginii Gatewood. Popękały mu naczynka krwionośne na policzkach, co wyglądało tak, jakby nosił pod skórą rozgniecione jagody; jabłko Adama miał wydatne niczym podgardle u ropuchy. Przypominał Ishmaelowi pijanego stracha na wróble.

W cztery dni po pocałunku na plaży, krótko po zmierzchu — w lesie panował już mrok, ale truskawkowe pola oblewało jeszcze szare światło — Ishmael przykucnął na skraju farmy Imadów i przez pół godziny obserwował ich dom. Ku własnemu zaskoczeniu wcale go to nie nudziło, więc został na następne pół godziny. Doznawał czegoś w rodzaju ulgi, mogąc leżeć z policzkiem przy ziemi pod gwiazdną kopułą i żywić nadzieję ujrzenia Hatsue. Do porzucenia tego punktu obserwacyjnego skłoniła go wreszcie obawa, że zostanie odkryty i uznany za podglądacza. Już się podnosił, kiedy skrzypnęły drzwi, wytrysnęła z nich smuga światła i na

ganek wyszła Hatsue. Podeszła do jednego z podpierających daszek narożnych słupków, postawiła na poręczy wiklinowy kosz i zaczęła zdejmować pranie.

Stała w kręgu słabego światła i ściągała ze sznurka prześcieradła. Ishmael uznał, że jej ramiona wyglądają w tym oświetleniu wręcz zachwycająco, a ich ruchy są pełne gracji. Trzymając w zębach spinacze, składała porządnie ręczniki, spodnie, koszule robocze i wkładała je do kosza. Skończywszy, oparła się na chwilę o narożny słupek, drapała się w szyję i patrzyła w gwiazdy. Potem powąchała świeżo wysuszone pranie, wzięła kosz i zniknęła w głębi domu.

Następnego dnia po zmierzchu Ishmael wrócił na pole Imadów; zachodził tam przez pięć kolejnych wieczorów i zapamiętane szpiegował. Powtarzał sobie codziennie, że robi to po raz ostatni, jednak gdy nazajutrz wychodził o zmroku na spacer, nogi same zanosily go na pagórek nad truskawkowym polem Imadów, gdzie przystawał, przepelniony uczuciem wstydu i grzechu. Zastanawiał się, czy inni chłopcy również oddają się takiemu chorobliwemu podglądactwu. Spotkała go nagroda, gdy Hatsue ponownie wyszła na ganek, by zdjąć pranie. Patrzył zachłannie, jak z wdziękiem unosi nad głowę ręce, jak wrzuca spinacze do stojącego na poręczy wiadra, jak składa koszule, prześcieradła i ręczniki. Innym razem wyszła na chwilę na ganek wytrzeć letnią sukienkę. Nim wróciła do domu, zgrabnym ruchem zgrnęła i związała w kok włosy.

Ostatniego wieczoru swego szpiegowania Ishmael miał okazję obserwować, jak ukochana opróżnia kubek ze śmieciami. Ukazała się, jak zwykle znienacka, w smudze światła padającego na ganek, o niecałe pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym przykucnął, i cicho zamknęła za sobą drzwi. Kiedy szła w stronę Ishmaela, serce najpierw skoczyło mu do gardła, a potem zamarło. Widział jej twarz, słyszał stukot sandałów. Hatsue skręciła między grządki truskawek, postawiła wiadro dnem do góry na kupie kompostu, spojrzęła na księżyc — niebieskawa poświata oświetliła jej twarz — po czym inną drogą wróciła do domu. Jej postać migęła Ishmaelowi w prześwitach między pędami malin, zanim wyłoniła się przed gankiem: jedną rękę związała na karku włosy, w drugiej trzymała wiadro. Gdy po chwili ukazała się w oknie kuchni, jej głowę otaczała świetlista aureola. Przygięty nisko do ziemi, Ishmael podkradł się bliżej i ujrzał, jak Hatsue odgarnia włosy z oczu, a z jej palców kapię mydliny. Na krzakach wokół niego dojrzewały truskawki, ich woń przepajała wieczorne powietrze. Podkradł się jeszcze bliżej. W pewnym momencie zza rogu domu wyłoniła się suka Imadów — żółtawy stary ogar o zepsutych zębach, zapadniętym grzbiecie i załzawionych smutnych ślepiach — i chłopak zdrętwiał, gotów do ucieczki. Suka węszyła chwilę, zaskomlała, podeszła do niego, pozwoliła się pogłaskać po

łbie i za uszami, polizała mu rękę i legła na ziemi. Ishmael podrapał ją po brzuchu. Suka wywaliła szary jęzor; jej klatka piersiowa unosiła się jak miech.

Po chwili na ganek wyszedł ojciec Hatsue i przywołał po japońsku psa. Raz, a potem jeszcze raz, gardłowym, niskim głosem. Suka podniosła łeb, szczeękła dwa razy, dźwignęła się z ziemi i oddaliła kuśtykając.

Tego wieczora Ishmael ostatni raz szpiegował pod domem Imadów.

W dniu rozpoczęcia sezonu truskawkowego, o wpół do szóstej rano, spotkał Hatsue na leśnej ścieżce pod nieruchomymi cedrami. Wybierali się oboje do pracy u pana Nitty, który płacił zbieraczom lepiej niż inni plantatorzy na wyspie — trzydzieści pięć centów za łubiankę.

Ishmael dogonił dziewczynę i przywitał się; w ręku niósł drugie śniadanie. Żadne nie wspomniało ani słowem o pocałunku na plaży sprzed dwóch tygodni. Szli ścieżką w milczeniu, aż Hatsue powiedziała, że mają szansę zobaczyć jelenia z czarnym ogonem, żerującego na pędach paproci — poprzedniego ranka widziała bowiem łanię.

W miejscu, gdzie ścieżka schodziła do plaży, pochylały się nad wodą smukłe drzewa Chróściny. Oliwkowozielone, mahoniowe, jasnoczerwone i popielate, zwieszały gałęzie, obciążone szerokimi błyszczącymi liśćmi i aksamitnymi owocami, rzucając cień na kamienistą plażę i połacie łą. Hatsue i Ishmael spłoszyli siedzącą na gnieździe błękitną czaplę o piórach koloru mułu; zaskrzeczała, wzbijała się w powietrze i rozpościerając szeroko skrzydła, przeleciała nad zatoką Miller Bay z elegancją, mimo że zerwała się do lotu spłoszona; usiadła na martwym wierzchołku dalekiego drzewa.

Ścieżka okrążyła zatokę, schodziła w bagienną kotlinkę, zwaną Diabelskim Dołem — teren tak podmokły, że rosnące tam jeżyny i kępy dziewięciornika spowijała stale snująca się nisko mgła — pięła się na ocienione cedrami i świerkami zbocze, po czym zbiegała w dolinę Center Valley, gdzie rozciągały się urodzajne pola starych gospodarstw rolnych: Andreasonów, Olsenów, McCullych i Coxów. Do uprawy gruntów używano tam siwych wołów, potomków bydła sprowadzonych na San Pedro dawniejszymi czasy do ściągania pni zrąbanych drzew. Były to zwierzęta wielkie i śmierzące. Ishmael i Hatsue zatrzymali się na chwilę, by popatrzeć na jedno z nich, czochrające się zadem o słup ogrodzenia.

Na farmie państwa Nittów pracowali już Indianie z Kanady. Pani Nitta, drobna kobiecina o talii wąskiej jak puszka konserwowej zupy, fruwała w słomkowym kapeluszu między rzędami owoców, ruchliwa niczym koliber. Uzębienie, podobnie jak mąż, miała usiane złotymi

plombami, pobłyskującymi w słońcu, gdy się uśmiechała. Po południu siadała pod płóciennym parasolem, rozkładała na skrzyni z cedrowego drewna zeszyt z rachunkami, do jednej ręki brała ołówek, drugą przyciskała do czoła. Charakter pisma miała nienaganny — kartki jej ksiąg rachunkowych wypełniały rzędkie cyferek wąskich i wytwornych. Pisała z cichym skupieniem sądowego stenografa, często temperując ołówek.

Ishmael i Hatsue rozdzielili się, każde przyłączyło się do swojego grona kolegów. Farma była tak rozległa, że zbieraczy w szczycie sezonu przywoził pod rdzewiejącą bramę wynajęty specjalnie na tę okazję, poobijany autobus szkolny. Nad polami unosił się nastrój radosnej rywalizacji, w żniwach brały bowiem udział dzieci dopiero co zwolnione ze szkoły. Małolaty z San Pedro uwielbiały pracę w polu, po pierwsze dlatego, że dostarczała okazji do towarzyskich spotkań, po drugie zaś, bo przywykły ją uważać za część letnich wakacji. Wilgotny upał, smak owoców na języku, beztroskie pogwarki, perspektywa wydania zarobionych pieniędzy na napoje gazowane, sztuczne ognie, przynętę na ryby i kosmetyki — wszystko to zwabiało do pana Nitty zastępy młodych ochotników. Dzieci przez cały dzień klęczały obok siebie, schylone nisko nad ziemią w skwarnych promieniach słońca. Zawiały się tam i kończyły romanse; chłopcy i dziewczęta całowali się na skraju pól bądź wracając w parach do domu przez las.

Ishmael co pewien czas spozierał ukradkiem na pracującą o trzy rzędkie dalej Hatsue. Staranna fryzura dziewczyny wkrótce się rozsypała, a na jej obojczykach zaślśniły kropelki potu. Hatsue Imada cieszyła się reputacją zręcznej i wydajnej zbieraczki; napełniała dwie łubianki w czasie, gdy inni ledwie półtorej. Pracowała w gronie przyjaciółek, kilku japońskich dziewcząt w słomkowych kapeluszach, które ocieniały im twarze, kucających między rzędkami ramię przy ramieniu. Udawała, że go nie zna, kiedy ją mijał z napełnioną kopiasto łubianką; gdy zaś wracał z pustą, pracowała w wielkim skupieniu, nie spiesząc się, ale i ani chwili nie odpoczywając. Ishmael przykucnął na swoim miejscu o trzy rzędkie od dziewczyny i spróbował skupić się na pracy, lecz kiedy w pewnej chwili podniósł oczy, Hatsue wkładała właśnie truskawkę do ust, więc zastygł w bezruchu, by napaść wzrok tym widokiem. Dziewczyna odwróciła głowę i spojrzenia ich spotkały się, lecz że nie dostrzegł w jej oczach żadnych uczuć, uznał to za czysty przypadek; nie zamierzała niczego mu przekazać. Obróciwszy głowę, zjadła następną truskawkę, powoli, bez śladu zmieszania. Następnie zmieniła nieco pozycję i wróciła do metodycznej pracy.

Późnym popołudniem, około wpół do piątej, na truskawkowe pola nasunął się cień gęstych chmur. Jasne czerwcowe światło przygasło i zszarzało, a od południowego zachodu

powiał lekki wiatr. Zapachniało deszczem i powiało chłodem, czuło się, że za chwilę spadną pierwsze krople. Powietrze zgęstniało; wiatr zaszumiał w rosnących na skraju pól cedrach i potargał ich wierzchołki. Zbieracze w pośpiechu napełniali ostatnie łubianki i ustawiali się w kolejce przed siedzącą pod parasolem panią Nittą, która stawiała ptaszki przy ich nazwiskach w zeszytach i wypłacała należność. Wyciągając szyje, zbieracze obserwowali chmury i wysuwali dłonie, żeby sprawdzić, czy jeszcze nie pada. Początkowo tylko kilka kropel wzbilo wokół nich małe obłoczki kurzu, a potem, jakby w niebie otworzyły się nagle upusty, chlusnęła im w twarze letnia ulewa, więc rzucili się w poszukiwaniu schronienia — we wrotach stodoły, w czymś samochodzie, w szopie do przechowywania truskawek, pod konarami cedrów. Niektórzy stali w miejscu, trzymając nad głowami łubianki z zebranymi owocami, które nasiąkały wodą.

Ishmael zauważył, że Hatsue biegnie przez wyżej położone pola państwa Nittów i znika w cedrowym lesie. Ruszył za nią między grządkami truskawek, zrazu powoli, pozwalając, by deszcz siekł go w twarz — przemokniętemu do suchej nitki, było mu już i tak wszystko jedno, poza tym deszcz był ciepły — a potem pobiegł truchtem przez las. Ścieżka nad South Beach, nakryta gęstym baldachimem cedrów, dawała w ulewę najlepsze schronienie, Ishmael zamierzał więc wrócić do domu razem z Hatsue, choćby milcząc, skoro taka była jej wola, ale gdy dojrzał ją w pobliżu farmy państwa McCully, zwolnił kroku i szedł za dziewczyną w odległości kilkudziesięciu metrów. Deszcz głuszył wszelkie odgłosy, a poza tym chłopak i tak nie wiedział, o czym by chciał z nią rozmawiać. Wystarczyło mu, że ją widzi, podobnie jak na truskawkowym polu lub wtedy, gdy przyczajony za cedrową kłodą obserwował, jak zdejmuje ze sznurka pranie. Będzie szedł za nią wijącą się ścieżką do domu i słuchał szumiącego w koronach drzew deszczu.

W miejscu, gdzie ścieżka schodziła na plażę nad zatoką — gęstniał tam niedawno przekwitły wiciokrzew, wśród którego zwieszały pędy jeżyny i kwitło kilka ostatnich dzikich róż — Hatsue skręciła w las. Ishmael podążył za nią przez kotlinkę zarośniętą paprociami, gdzie leśne poszycie nakrapiały białe kwiatuszki wilca. Brzegi kotlinki spinał niczym most obwieszony bluszczem zwalony pień cedru; Hatsue prześliznęła się pod nim i skręciła w boczną ścieżynę, biegnącą wzdłuż płytkiego strumyka, na którym trzy lata wcześniej puszczali razem łódeczki z patyków. Pokonawszy zakręty ścieżki, dziewczyna przeszła po przewróconym pniu na drugą stronę strumienia, wspięła się po stoku porośniętym cedrami i w jego połowie dała nurka do dziupli w pniu drzewa, gdzie się bawili we dwójkę, gdy mieli po dziewięć lat.

Ishmael przykucnął na deszczu pod sklepieniem gałęzi i obserwował dziuplę w cedrowym pniu. Kosmyki mokrych włosów spadały mu na oczy. Usiłował zgadnąć, co też przywiodło tu Hatsue; on sam zdążył już niemal zapomnieć o tej kryjówce, oddalonej od domu rodziców o dobre pół kilometra. Przypomniawszy sobie, jak przed laty utykali mech pod nogi i wylegiwali się beczynnie, gapiąc się w sklepienie dziupli. Można w niej było klęczeć, ale już nie stać, wygodnie natomiast leżeć. Chodzili tam razem z innymi dziećmi i bawili się w zbiegów, którzy się ukrywają; ostrzyli szczyrkami olszynowe kijki, sposobiąc się do obrony. Wnętrze dziupli napełniło się strzałami, które miały zostać użyte w wymyślonych potyczkach, a potem zostały naprawdę wystrzelone w bitwach, jakie toczyli między sobą. Ze szpagatu i cisowego drewna porobili sobie małe łuki; dziupla w cedrowym drzewie była czymś w rodzaju fortu, skąd wyruszali do walki, gonili się po zboczu wzgórza i strzelali do siebie z łuków. Ishmael siedział w kucki i przypominał sobie tamte zabawy w wojnę, których gwałtowność odstraszyła w końcu siostry Syvertsen, a potem dziewczęta Imadów. W pewnej chwili stwierdził, że Hatsue przygląda mu się z otworu dziupli.

Nie odwrócił wzroku; ukrywanie się nie miałooby sensu.

— Lepiej wejść — zaproponowała. — Po co masz moknąć?

— Dobrze.

We wnętrzu drzewa klęknął na mchu, czując, jak pod koszulą ocieka wodą. Hatsue siedziała w przemoczonej letniej sukience; słomkowy kapelusz o szerokim rondzie leżał obok niej.

— Śledziłeś mnie, prawda?

— Nie miałem takiego zamiaru — usprawiedliwił się. — Tak jakoś wyszło. Chyba rozumiesz? Zobaczyłem, jak skręcasz, i... tak jakoś samo wyszło. Przepraszam. Rzeczywiście, śledziłem cię — przyznał.

Założyła włosy za uszy.

— Jestem cała mokra. Przemokłam do nitki.

— Ja też. Ale to nawet dość przyjemne. Tu w każdym razie jest sucho. Pamiętasz tę dziuplę? Dzisiaj wydaje się mniejsza.

— Stale tu przychodzę. Żeby myśleć. Nikt tu nie zagląda. Od lat nikogo tutaj nie spotkałam.

— O czym myślisz, kiedy tu przychodzisz?



— Właściwie sama nie wiem. O różnych rzeczach. Widzisz, to taka moja „świętynia dumania”.

Ishmael położył się na brzuchu, podparł rękami brodę i zapatrzył się w deszcz. W dziupli było przytulnie. Wiedział, że nikt ich tutaj nie odkryje. Otaczające ich złotawe ściany połśniewały szkliście. Do wnętrza wlewało się zadziwiająco dużo zielonkawego światła z cedrowego boru. Deszcz bębnił o baldachim liści i spadał na paprocie, a te drżały pod każdą kroplą. Ulewa zapewniała Ishmaelowi i Hatsue jeszcze bezpieczniejsze schronienie — nikt na świecie nie szukałby ich w tej dziupli wśród lasu.

— Przepraszam, że pocałowałem cię wtedy na plaży — wybąkał chłopak. — Przykro mi. Zapomnijmy o tym.

Początkowo nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Taka zwłoka w odpowiadaniu była zresztą dla Hatsue typowa. Ishmael zawsze potrzebował słów, nawet wówczas, gdy nie potrafił ich znaleźć — ona umiała milczeć w sposób, do jakiego nie czuł się zdolny.

Wzięła do ręki słomkowy kapelusz i zamiast Ishmaelowi przyglądała się nakryciu głowy.

— Niech ci nie będzie przykro — odezwała się po chwili, nie podnosząc oczu. — Mnie nie jest z tego powodu przykro.

— Mnie właściwie również nie — przyznał.

Wyciągnęła się obok niego na plecach. Zielonkawe światło padało na jej twarz. Miał ochotę dotknąć wargami jej ust i już ich nie odrywać. Wiedział, że gdyby to zrobił, nigdy by nie żałował.

— Uważasz, że zrobiliśmy coś złego? — spytała.

— Inni by tak uważali. Twoje przyjaciółki by tak uważały. Twoi rodzice zresztą również — dodał.

— Twoi też.

— Twoi prędzej niż moi. Gdyby się dowiedzieli, że leżymy razem w tej dziupli... — Pokręcił głową i zaśmiał się cicho. — Twój ojciec by mnie pewnie zarębał maczetą. Porębałby mnie na kawałki.

— Nie sądzę. Ale masz rację, że by się na nas gniewał za to, co robimy.

— A co my takiego robimy? Po prostu rozmawiamy.

— A jednak! Nie jesteś Japończykiem, a ja jestem tu z tobą sama.

— I co z tego?

Leżeli obok siebie w dziupli cedru i rozmawiali tak przez pół godziny, a potem zaczęli się całować. We wnętrzu drzewa było to bezpieczne, więc całowali się przez następne pół godziny. Na zewnątrz padał deszcz, a Ishmael leżał z zamkniętymi oczami na puszystym mchu i wdychał zapach Hatsue. Myślał o tym, że nigdy nie był równie szczęśliwy, i czuł niemal ból, że taka chwila się już nigdy nie powtórzy, choćby żył nie wiedzieć jak długo.

Uświadomił sobie, że siedzi na sali sądowej, w której toczy się proces o zabójstwo, i patrzy na Hatsue, rozmawiającą ze swoim mężem Kabuo Miyamoto, oskarżonym w tym procesie. Zmusił się do odwrócenia wzroku.

Na salę weszli przysięgli, potem sędzia Fielding, a na miejsce dla świadka wezwano matkę Carla Heinego. Mieszkała w mieście już od dziesięciu lat, a mimo to wciąż wyglądała jak wieśniaczka: tęga, przywiedła i ogorzała od wiatru. Usadowiwszy się na krześle dla świadka, poprawiła na sobie ubranie, czemu towarzyszył piskliwy szelest trących o siebie sztuk gładkiej bielizny — grubej nylonowej halki, pasa kupionego w sklepie Lottie Opsvig i gorsetu, przepisanego pani Heine przez pewnego lekarza z Bellingham na rwę kulszową. O dolegliwość tę Etta obwinała farmę, na której przetyrała dwadzieścia pięć lat — pogoda czy słońce — u boku męża, Carla seniora. W zimie, wydychając z ust kłęby pary, chodziła w kaloszach, płaszczu i chustce zawiązanej na supeł pod obwisłym podbródkiem. Przycupnąwszy na zydlu, doiła krowy rękami w wełnianych rękawiczkach o jednym palcu, które sama zrobiła nocami na drutach, siedząc w łóżku obok chrapiącego Carla. Latem przebierała truskawki, przycinała rozłogi i wyrywała chwasty, zerkając spod oka na Indian i Japończyków, których najmowali co roku do pracy przy zbiorze owoców.

Urodziła się w Bawarii — dotąd zachowała akcent z rodzinnych stron — w gospodarstwie mlecznym niedaleko Ingolstadt. Męża poznała na farmie pszenicznej swojego ojca w pobliżu Hettinger w Dakocie Północnej. Uciekli razem koleją linii Northern Pacific do Seattle (zapamiętała na całe życie śniadanie w wagonie restauracyjnym), gdzie Carl pracował przez dwa lata w odlewni na Harbor Island, a przez następny rok przy załadunku tarcicy w porcie. Etta, córka farmera, polubiła Seattle. Pracowała jako szwaczka na Second Avenue; szyła na akord płaszcze. Plantacja truskawek na San Pedro, dokąd pojechali kiedyś z wizytą na Boże Narodzenie, należała do ojca Carla, mężczyzny tęgiej postury. Carl opuścił ojcowiznę, kiedy miał siedemnaście lat, żeby szukać przygód po świecie. Po śmierci ojca wrócił w rodzinne strony, przywożąc ze sobą żonę.

Etta próbowała polubić San Pedro, choć wilgotny klimat wyspy przyprawił ją o chroniczny kaszel i bóle krzyża. Urodziła czworo dzieci i nauczyła je ciężko pracować, ale najstarszy syn wyjechał do fabryki w Darrington, a średni i najmłodszy poszli na wojnę, z której

wrócił tylko najmłodszy, Carl junior. Czwarte dziecko, dziewczynka, uciekła z domu — podobnie jak wcześniej jej matka — i pojechała do Seattle.

Etta nabrała wstrętu do truskawek, serdecznie jej obrzydły: nie brała ich w ogóle do ust. Jej mąż uwielbiał truskawki, tymczasem ona zupełnie straciła do nich serce. Dla Carla były one słodkimi klejnotami, purpurowymi precjozami, cukrowymi kulami, soczystymi rubinami, owocami okrytymi świętą tajemnicą. Znał ich sekrety, tajniki ich wzrostu, codzienną reakcję na promienie słońca. Twierdził, że kamienie ułożone pomiędzy rzędami gromadzą ciepło i w nocy ogrzewają jego ukochane rośliny; Etta zbywała milczeniem te wywody męża. Zanosila mu jajka na twardo i szła do obory po mleko, rzucała indykom i kurom karmę z kieszeni fartucha, zmiatała gnój z podłogi w sieni, napełniała koryto świniom i sprawdzała w chatach zbieraczy, czy nie załatwiają się do puszek po konserwach, które jej podkradli.

Serce Carla odmówiło posłuszeństwa pewnej pięknej październikowej nocy w 1944 roku. Żona znalazła go w wychodku; siedział z głową opartą o ścianę, ze spuszczonej spodniami. Carl junior walczył gdzieś na wojnie, więc Etta skorzystała z okazji i sprzedała farmę Ole Jurgensenowi. Dzięki tej transakcji Ole wszedł w posiadanie sześćdziesięciu pięciu akrów ziemi w centrum wyspy, a pani Heine zdobyła sumę, która przy oszczędnym życiu mogła jej starczyć na długo. Oszczędność, tak się szczęśliwie składało, miała zaś we krwi: znajdowała w niej rozkosz równą tej, jaką Carl czerpał z uprawy truskawek.

Alvin Hooks, oskarżyciel — nawiasem mówiąc, sprawił na niej wrażenie bystrzejszego, niż sądziła — okazał żywe zainteresowanie jej sprawami majątkowymi. Przechadzał się przed Etta, umieściwszy zgrabnie lewy łokieć w zagłębieniu prawej dłoni i kciukiem podparłszy brodę. Owszem, odpowiedziała na jego pytanie, sama prowadziła rachunki na farmie. Nie, gospodarstwo nigdy nie przynosiło kokosów, ale bądź co bądź te trzydzieści akrów ziemi pozwalało im jakoś przeżyć dwadzieścia pięć lat — raz lepiej, raz gorzej, dodała, w zależności od cen, jakie płaciła fabryka przetworów. W dwudziestym dziewiątym spłacili ostatnie długi, co pozwoliło im trochę odetchnąć, ale znów potem zaczął się Wielki Kryzys. Ceny truskawek spadły, trzeba było opłacić mierniczych z Anacortes, zdarzały się lata bez słońca. Jednej wiosny nocne przymrozki zwarzyły owoc, innej nie udało się osuszyć pól i truskawki wygniły. Jednego roku nękał farmę grzyb, innego plaga szkodników. Jakby tego było mało, w trzydziestym szóstym Carl złamał nogę i tylko kuśtykał wzdłuż rzędów o kulach domowej roboty, szukając porzuconych palików i wiader. To znów wpadł na pomysł, żeby obsadzić pięć akrów malinami;

poszła na ten eksperyment fura pieniędzy — koszta drutu, cedrowych palików, robocizny. Ponosili ciężkie straty, póki się nie nauczył usuwać suche pędy, żeby maliny owocowały. Innym znów razem spróbował nowej odmiany truskawek, która się nie udała, bo dał za dużo azotu: wszystko poszło w liście, rośliny wystrzeliły wysokie i bujne, a owoce wyrosły małe i twarde, mizerne żniwo.

Owszem, zna oskarżonego Kabuo Miyamoto, nawet od dość dawna, jak jej się zdaje. Będzie już dwadzieścia lat z okładem, jak jego rodzina najęła się u nich do zbioru truskawek — oskarżony, jego rodzice, dwóch braci i dwie siostry — nieźle ich pamiętała. Dobrzy z nich byli pracownicy, trzymali się przeważnie w swoim gronie. Łubianki przynosili kopiasto nałożone; notowała ich liczbę w zeszycie i wypłacała należność. Z początku mieszkali w jednej z chat dla zbieraczy; zapamiętała, że dolatywał z niej zapach gotowanych okoni. Wieczorami widywała ich czasem siedzących pod klonem: jedli ryż i ryby z blaszanych talerzy. Pranie suszyli na sznurku rozpiętym między dwoma drzewkami na łące, gdzie rosła babka i dmuchawce. Nie mieli samochodu, więc pojęcia nie ma, jak je tam zawozili. O świcie ich dzieci szły z wędkami nad zatokę, żeby łowić z pomostu, lub płynęły na skały i zarzucały na dorsza. Widywała je czasem o siódmej wieczorem na drodze, gdy wracały do domu niosąc ryby nawleczone na sznurek, grzyby, pędy paproci, małże bądź pstrągi, jeśli dopisało im szczęście. Szły boso, patrząc pod nogi. Nosiły słomkowe kapelusze, jak wszyscy zbieracze.

O tak, pamięta tych ludzi doskonale, jak mogłaby ich zapomnieć? Wpatrywała się w Kabuo z miejsca dla świadka i oczy zachodziły jej łzami.

Dostrzegłszy jej wzburzenie, sędzia Fielding zarządził przerwę w rozprawie i Etta Heine wyszła za Edem Soamesem na korytarz, gdzie usiadła w ciszy i pogłężyła się we wspomnieniach.

\*\*\*

Zenhichi Miyamoto stanął w drzwiach jej saloniku pod koniec trzeciego sezonu, jaki jego rodzina przepracowała na farmie. Etta zmywała właśnie naczynia w kuchni, kiedy poczuła na sobie jego spojrzenie. Skinął jej głową, a ona tylko popatrzyła na niego i wróciła do zmywania. Potem do drzwi podszedł z fajką w ręku Carl, jej mąż, i zaczął rozmawiać z gościem. Etta nie mogła dosłyszeć, o czym rozmawiają, więc zakręciła wodę i nadstawiła uszu.

Po jakimś czasie obaj mężczyźni wyszli z domu na pole. Widziała ich przez okno w kuchni: zatrzymali się, Japończyk wskazywał coś ręką, znowu ruszyli. Ponownie się zatrzymali, znowu to jeden, to drugi wskazywał coś ręką. Carl przypalił fajkę i podrapał się za uchem,

Zenhichi wyciągnął rękę na zachód i zatoczył półkole trzymanym w niej kapeluszem, który włożył następnie na głowę. Potem obaj przeszli jeszcze kawałek między rządkami truskawek, wspięli się na pagórek i skręcili na zachód za krzakami malin.

Kiedy Carl wrócił do domu, Etta postawiła na stole dzbanek z kawą.

— Czego chciał? — zapytała.

— Kupić ziemię — odrzekł mąż. — Siedem akrów.

— Które siedem?

Carl odłożył fajkę na stół.

— Ten kawałek od zachodu i od środka. Do tego poletka kompostowe z północy i z południa. Powiedziałem mu, że najlepiej, jakby wziął te siedem od północnego zachodu. Rozumie się, gdybym w ogóle nosił się z zamiarem sprzedaży. Trzeba uczciwie przyznać, że to same pagórki.

Etta naląła kawy dla nich obojga.

— Niczego nie sprzedajemy — oświadczyła stanowczo. — Nie teraz, kiedy ceny na ziemię tak nisko stoją. Pójdą w górę, wtedy się zobaczy.

— Tam jest pagórkowato — powtórzył Carl. — Trudno obrobić. Dobre nasłonecznienie, ale marny odpływ wody. Najgorszy kawałek ziemi na całej farmie. Miyamoto zdaje sobie z tego sprawę, dlatego o ten prosił. Wie, że to jedyny kawałek, którego ewentualnie gotów byłbym się pozbyć.

— Chciał ten kawałek od środka — zauważyła Etta. — Wykombinował sobie, że mogą mu się dostać dwa dobre ary, jeśli się nie pomiarkujesz.

— Możliwe — zgodził się z nią Carl. — Ale się pomiarkowałem.

Wypili kawę. Carl zjadł kromkę chleba z masłem, posypaną cukrem. A potem jeszcze jedną. Wiecznie chodził głodny. Lepiej go było ubierać niż karmić.

— I co mu odpowiedziałeś? — zacięła się Etta.

— Powiedziałem mu, że się nad tym zastanowię. Widzisz, zamierzałem już zachwycić tych pięć akrów od zachodu, za bardzo się trzeba naharować, żeby wyplenić z nich oset.

— Nie sprzedawaj — poradziła. — Byłbyś tego żałował, Carl.

— To przyzwoici ludzie — odpowiedział. — Możesz być pewna, że by ci nie hałasowali. Nie byłoby u nich awantur. To ludzie, z którymi można się dogadać. Są pod tym względem lepsi od niejednego. — Wziął do ręki fajkę i zaczął się nią bawić; lubił czuć ją w dłoni. —

Powiedziałem mu zresztą, że jeszcze się zastanowię. To przecież nie znaczy, że muszę mu zaraz sprzedawać, prawda? Po prostu się zastanowię.

— Zastanów się, byle dobrze — ostrzegła go Etta. Wstała i zaczęła sprzątać ze stołu. Była gotowa walczyć w tej sprawie do upadłego; siedem akrów stanowiło blisko czwartą część ich całej posiadłości. — Te siedem akrów będzie kiedyś dużo więcej warte — przepowiedziała. — Lepiej nie wypuszczać ich z garści.

— Niewykluczone — mruknął Carl. — Będę musiał to sobie rozważyć.

Stała przy zlewku tyłem do niego i wzięła się za zmywanie naczyń.

— Ale z drugiej strony przydałoby się trochę gotówki, prawda? — odezwał się po chwili. — Potrzebujemy tego i owego, a...

— O nie, na to mnie nie nabierzesz — ostrzegła. — Nawet nie próbuj kusić mnie nową sukienką do kościoła, Carl! Sama mogę ją sobie kupić, jak zechcę. Czy to jesteśmy już takimi nędzarami, żeby wyprzedawać się Japończykom? I to dlaczego? Dla nowego ubrania, dla kapciucha drogiego tytoniu do fajki? Uważam, że powinieneś trzymać się tej ziemi pazurami, Carl, i nie zmienić mojego zdania modny kapelusik od Lottie. A poza tym — dodała, odwracając się w stronę męża i wycierając ręce w fartuch — czy tobie się zdaje, że ten gołodupiec ma zakopaną na polu skrzynię ze skarbami? Tak ci się wydaje?

Myślisz, że aż się pali, by opróżnić ją przed tobą lub innym podobnym frajerem, co? Ten golec nie ma złamanego centa! Ma tylko tyle, ile u nas zarobił i co dostaje od Thorsenów i tych katolików... jak im tam?... no, tych, co mieszkają przy South Beach obok przystani. Ten żółtek jest goły, Carl! Będzie ci płacił ratami po ćwierć dolara, które ty będziesz nosił do miasteczka na drobne wydatki. Kupisz sobie tytoniu do fajki, a za resztę gazetę. Twoje siedem akrów pójdzie na rozkurz w sklepiku w Amity Harbor!

— Ci katolicy nazywają się Heppler — przypomniał żonie Carl. — Miyamoto, o ile się nie mylę, już dla nich nie pracuje. Zeszłej zimy robił cedrowe sworznie dla Torgersona i dobrze na tym, jak mi się zdaje, zarobił. Ten człowiek ciężko pracuje, Etto, doskonale o tym wiesz. Widziałaś go przy robocie w polu, więc nie muszę ci mówić. A tego, co zarabia, prawie nie wydaje. Żywią się okoniami i ryżem, którego wór kupił hurtowo w Anacortes. — Carl podrapał się pod pachą, grubymi palcami pomasaował klatkę piersiową, po czym wziął do ręki fajkę i zaczął się nią bawić. — Miyamotowie to wyjątkowo czysti ludzie — rzekł. — Nigdy nie byłaś w ich chacie? Można by tam jeść z podłogi, dzieciaki śpią na matach i nie ganiają z umorusanymi

gębami, zdrapali nawet grzyb ze ścian. Pranie na sznurze przypinają spinaczami, które ktoś podrzeźbił. Wstają skoro świt, nie robią awantur, nie skarżą się, nie skamlą o pomoc...

— Tak samo jak Indiance — zauważyła Etta.

— A Indian nie traktują jak śmieci — podjął Carl. — Okazują im uprzejmość, pokazują drogę do latryny, nowym pokazują ścieżkę do solanki, mówią, gdzie najłatwiej o małże. Nie przeszkadza mi, że mają skośne oczy. Mnie to nie robi różnicy, Etto. Ludzie jak ludzie. Do tego czysti, porządni. Nic im nie można zarzucić. Pytanie tylko, czy w ogóle chcemy sprzedać tę ziemię. Miyamoto twierdzi, że jest gotów wyłożyć od ręki pięćset dolarów. Pięćset dolarów, Etto! Resztę rozłożylibyśmy mu na dziesięć lat.

Etta odwróciła się z powrotem do zlewu. Otóż i macie, oto cały Carl! — pomyślała z irytacją. Włóczyłby się tylko po polach, gadał ze zbieraczami, żarł truskawki i oblizywał się, kurzył fajeczkę i jeździł do miasta, żeby kupić worek gwoździ. Wszedł do komitetu organizacyjnego Święta Truskawki, oceniał udekorowane rolwagi podczas parady, pomagał smażyć łososie na przyjęciu. Zaangażował się po uszy w zakup nowych terenów wystawowych, namawiał mieszkańców Amity Harbor, żeby ofiarowywali drewno i co tam trzeba na tancbudę w West Port Jensen. Wstąpił do masonerii i do organizacji Odd Fellows, pomagał prowadzić księgowość w stowarzyszeniu farmerów. Wieczorami wystawał przed chatami zbieraczy, pytlował z Japońcami i zadawał się z Indianami, przyglądał się, jak ich kobiety tkają swetry, a mężczyźni wyciągał na wspominki o starych dobrych czasach sprzed powstania truskawkowych farm. Cały Carl! Po skończeniu zbiorów jechał na odludzia, o których mu naopowiadano, i szukał tam grotów strzał, odłamków starych kości, muszli mięczaków morskich i czego się tylko da. Jednego razu wybrał się z nim pewien stary wódz; wrócili z grotami strzał i do drugiej nad ranem siedzieli na ganku pykając z fajek. Carl częstował starego rumem — Etta słyszała z sypialni, jak się nim obaj raczą, coraz bardziej pijani. Leżała z otwartymi oczami, nadstawiała uszu na nocne odgłosy i słuchała, jak Carl i sędziwy wódz żłopią rum. W oddali rżał jakiś koń, a wódz opowiadał o słupach totemicznych, kanu i starodawnym obrzędzie *potlacz*, w którym kiedyś uczestniczył. Wychodziła za męża córka innego wodza, opowiadający wygrał zawody w rzucaniu oszczepem, a następnego dnia ten drugi \* wódz, ojciec panny młodej, umarł nagle we śnie, tak że w rezultacie ojciec był martwy, córka zamężna, a goście przedziurawili kanu gospodarza, złożyli w nim jego zwłoki i wcisnęli je w dziuplę drzewa, licho wie czemu.



O drugiej nad ranem Etta podeszła w szlafroku pod drzwi i nakazała staremu wozowowi, żeby się zabierał do domu. Jest już późno, nie zabłądzi, bo gwiazdy świecą jasno, a ona nie toleruje smrodu rumu u siebie w domu.

— No cóż — powiedziała obecnie do męża, stanąwszy w drzwiach kuchni ze splecionymi na piersiach rękami, świadoma, że przemawiając z tego miejsca ma nad nim przewagę — ty jesteś w tym domu mężczyzną, ty tu nosisz gacie, dalej, sprzedaj naszą własność Japończykom, a przekonasz się, co z tego wyniknie!

Umowa, wyjaśniła na prośbę Alvina Hooksa, gdy wznowiono posiedzenie sądu, przewidywała zapłatę gotówką w wysokości pięciuset dolarów oraz kontrakt dzierżawny na osiem lat, po których upływie ziemia przechodziła na własność dzierżawcy. Carl miał otrzymywać dwieście pięćdziesiąt dolarów co sześć miesięcy, 30 czerwca i 31 grudnia, oprocentowanych na sześć i pół procent w skali roku. Jeden egzemplarz umowy miał przechowywać u siebie Carl, drugi Zenhichi, a trzeci przeznaczony był dla inspektora podatkowego, gdyby jakiś zechciał go sobie obejrzyć. Małżonkowie Miyamoto tak czy owak nie mogli w roku 1934 wejść w posiadanie ziemi — wyjaśniła Etta. Pochodzili z Japonii, oboje się tam urodzili, więc zakazywało im tego prawo. Carl zachowywał do czasu tytuł własności, a gdyby zjawiała się kontrola, nazwałby ich umowę dzierżawą. Całe to matactwo obmyślił jej mąż, ona, Etta, pilnowała tylko, żeby wszystko odbywało się zgodnie z umową, i na tym jej rola się kończyła. Prowadziła księgi rachunkowe, sprawdzała, czy procenty zostały naliczone prawidłowo. Sama nigdy by nie wpadła na podobny pomysł.

— Chwileczkę — przerwał jej sędzia Fielding, po czym wygładził na sobie togę i zamrugął powiekami. — Przepraszam, że pani przerywam, pani Heine, ale sąd miałby w tej kwestii parę słów do powiedzenia. Proszę mi wybaczyć.

— Nic nie szkodzi — powiedziała Etta.

Sędzia Fielding podziękował jej skinieniem głowy, a następnie zwrócił się do ławy przysięgłych.

— Darujmy sobie szeptane narady przy stole sędziowskim zaczął. — Pan Hooks i ja moglibyśmy, co prawda, wymienić poglądy w tej sprawie, ale jestem przekonany, że nawet gdybyśmy to uczynili, doszlibyśmy do wspólnego wniosku, takiego mianowicie, że jestem zmuszony przerwać zeznania świadka dla wyjaśnienia pewnej kwestii prawnej.

Potań brwi, wypił łyk wody, odstawił szklanę i podjął: — Świadek powołała się na martwą już ustawę stanu Washington, która w czasach, o jakich mowa, zabraniała cudzoziemcowi, nie posiadającemu obywatelstwa, nabywać nieruchomości. Wzmiankowana ustawa stanowiła dalej, że nikt nie może, pod żadną postacią, pod żadnym pozorem i w żadnej formie, mieć tytułu własności w imieniu cudzoziemca, nie będącego obywatelem Stanów Zjednoczonych. W roku zaś, o ile się nie mylę, 1906 minister sprawiedliwości nakazał wszystkim sądom federalnym odmawiać naturalizacji cudzoziemcom pochodzenia japońskiego. Z czego wynika, jeśli trzymać się ściśle litery prawa, że imigranci z Japonii w żadnym razie nie mogli posiadać ziemi w stanie Washington. Pani Heine zeznała, że jej mąż nieboszczyk, działając w porozumieniu ze zmarłym ojcem oskarżonego, zawarł umowę na podstawie korzystnej dla obu stron, acz dość swobodnej, pozwolę sobie zauważyć, wykładni tego prawa. Obeszli je, mówiąc najogólniej. Małżonek świadka i ojciec oskarżonego zawarli, jednym słowem, pozorną umowę dzierżawną, która w istocie ukrywała prawdziwą transakcję handlową. Przekazano z ręki do ręki znaczną zapłatę gotówką i sporządzono fałszywe dokumenty na wypadek kontroli władz stanowych. Dokumenty te — wraz z egzemplarzami opisanymi tu przez panią Heine, tymi, które przechowywał jej małżonek oraz „nabywca” — zostały przedstawione, jak państwo może pamiętać, jako dowody oskarżenia w obecnym procesie. Sprawcy tego czynu, co pani Heine zechciała uprzejmie zauważyć, odeszli już z tego świata, więc kwestia ich winy nie podlega kompetencji ziemskich trybunałów. Jeśli strony bądź świadek czują potrzebę dalszych wyjaśnień w tej sprawie, mają prawo się ich domagać — dodał sędzia. — Chciałbym jednak podkreślić, że przedmiotem zainteresowania tego sądu nie jest naruszenie martwej już, dzięki Bogu, ustawy stanowej o posiadaniu ziemi przez cudzoziemców. Może pan kontynuować, panie Hooks.

— Jeszcze jedno — wtrąciła Etta Heine.

— Słuchamy — udzielił jej głosu sędzia.

— Skoro Japończycy nie mogli legalnie posiadać ziemi, zupełnie nie rozumiem, jak państwo Miyamoto mogli sądzić, że weszli w posiadanie naszej. Oni...

— Zechce mi pani jeszcze raz wybaczyć, pani Heine — przerwał jej sędzia. — Przepraszam, że pani przerywam, ale jestem zmuszony przypomnieć pani, że obecny tu pan Miyamoto jest sądzony za zabójstwo pierwszego stopnia, taki jest przedmiot zainteresowania tego sądu, a wszelkie spory dotyczące prawa własności ziemi będzie musiał rozstrzygnąć sąd

cywilny. Zechce się pani zatem ograniczyć do odpowiedzi na zadawane pytania. Proszę kontynuować, panie Hooks — zakończył sędzia.

— Dziękuję — rzekł Alvin Hooks. — Pozwolę sobie jednak zauważyć dla porządku, że świadek starała się jedynie zrekonstruować fakty, dotyczące się własności ziemi, w bezpośredniej odpowiedzi na zadane jej w trakcie przesłuchania pytanie. Zwracam też uwagę, że informacja ta jest kluczowa dla niniejszej sprawy, jako że precyzyjne przedstawienie umowy zawartej między oskarżonym a świadkiem może wyjaśnić motyw popełnienia przez oskarżonego morderstwa. Ponadto...

— Wystarczy — przerwał mu sędzia Fielding. — Wygłosił już pan swoje oświadczenie wstępne, panie prokuratorze. Proszę kontynuować zadawanie pytań.

Alvin Hooks skinął głową i podjął przechadzkę po sali.

— Cofnijmy się jeszcze na chwileczkę, pani Heine — rzekł. — Skoro prawo, jak pani stwierdziła, zabraniało państwu Miyamoto posiadania ziemi, jaki był właściwie cel tamtej umowy sprzedażnej?

— Chodziło o to, żeby mogli wносить raty — wyjaśniła Etta. — Prawo pozwalało im posiadać ziemię, jeśli mieli obywatelstwo. Dzieci Miyamotów tu się porodziły, więc pewnie przyznano im obywatelstwo. Po skończeniu przez nie dwudziestu lat ziemia mogłaby zostać na nie przepisana. Prawo przewidywało, że mogli to zrobić, mogli przepisać ziemię na dzieci, kiedy te skończą dwadzieścia lat.

— Rozumiem — powiedział Alvin Hooks. — Tymczasem oni, czyli rodzina oskarżonego, państwo Miyamoto, nie mieli w roku 1934, o ile pani wiadomo, dzieci liczących sobie lat dwadzieścia, czy tak, pani Heine?

— Najstarszy siedzi tutaj — powiedziała Etta, wskazując Kabuo. — Jeśli mnie pamięć nie myli, miał wtenczas dwanaście lat.

Alvin Hooks odwrócił się i spojrzał na oskarżonego, jakby nie był pewny, kogo pani Heine ma na myśli.

— Oskarżony? — upewnił się. — W roku 1934?

— Tak jest — potwierdziła Etta. — Oskarżony. Na tym polegała cała sztuczka z tą ośmioletnią dzierzawą. Przed upływem tego terminu Kabuo kończył dwadzieścia lat.

— Czyli w roku 1942 — podpowiedział jej prokurator.

— Zgadza się, w 1942 — przytaknęła. — W listopadzie czterdziestego drugiego kończył dwadzieścia lat, trzydziestego pierwszego grudnia mieli wpłacić ostatnią ratę i ziemia zostałaby zapisana na jego nazwisko, tak to miało być.

— Miało? — podchwycił Alvin Hooks.

— Nie zapłacili ostatniej raty. Ściśle mówiąc, dwóch ostatnich rat. Nigdy ich nie wpłacili. Dwóch ostatnich, z ogólnej liczby szesnastu.

Splotła ręce na piersiach, zacięła usta i zamilkła.

Nels Gudmundsson zakaszłał.

— Pani Heine — podjął Hooks. — Rozumiem więc, że państwo Miyamoto nie wywiązali się z uiszczenia w roku 1942 dwóch kolejnych rat. I co pani wtedy zrobiła?

Nie od razu mu odpowiedziała. Potarła nos, po czym na powrót splotła na piersiach ręce. Przypomniała sobie, jak Carl wrócił któregoś popołudnia do domu z obwieszczeniem, które znalazł na ulicy w Amity Harbor. Usiadł przy stole, wygładził je i przeczytał wolno, słowo po słowie. Etta stała nad mężem i czytała obwieszczenie nad jego ramienia.

INSTRUKCJA DLA OSÓB POCHODZENIA JAPOŃSKIEGO ZAMIESZKAŁYCH W NASTĘPUJĄCYCH OKRĘGACH — obwieszczał nagłówek na plakacie, po czym następowało wyliczenie tych okręgów: Anacortes, Bellingham, San Juan i San Pedro oraz liczne miejscowości w dolinie Skagit; pozostałych miejsc już nie pamiętała. W obwieszczeniu nakazywano Japończykom opuszczenie wymienionych obwodów do godziny dwunastej w południe 29 marca. Mieli zostać ewakuowani przez Czwartą Armię.

Etta policzyła na palcach. Japończykom dano na przygotowania do wyjazdu dokładnie osiem dni. Mogli ze sobą zabrać pościel, bieliznę, przybory toaletowe, zapasowe ubrania, sztuce, talerze, miski i kubki. Mieli związać swój dobytek w porządne tobołki, opatrzywszy wszystkie przedmioty nazwiskiem. Rząd miał przydzielić każdemu z nich numer. Pozwolono im zabrać ze sobą wszystko, co zdołają unieść, z wyjątkiem zwierząt domowych. Rząd gwarantował, że przechowa ich meble. Pozostawiwszy meble pod opieką rządu, Japończycy mieli się zameldować w punkcie zbiórki na nabrzeżu portowym w Amity Harbor. Transport również zapewniał im rząd.

— Boże drogi! — westchnął Carl, wygładzając kciukiem plakat i kręcąc głową.

— Nie znajdziemy w tym roku zbieraczy — stwierdziła Etta. — Chyba że uda się sprowadzić paru Chińczyków z Anacortes, bo o Japońców będzie nam teraz trudno.

— Nie będziemy się martwić na zapas, Etto — mruknął Carl. — Boże drogi! — powtórzył i pokręcił głową, po czym podniósł rękę, a plakat zwinął się samoczynnie. — Osiem dni, mój Boże!

— Będą się teraz na gwałt wyprzedawać — zapowiedziała Etta. — Przekonasz się. Ze wszystkich gratów, garnków, patelni. Wyprzedaż pójdzie, że hej! Zobaczysz, że tak zrobią: będą wciskać swoje manele każdemu, kto zechce je kupić.

— Ludzie to, niestety, wykorzystają — powiedział Carl, nie przestając kręcić swoją wielką głową.

Siedział za stołem, oparłszy na nim ręce. Etta wiedziała, że weźmie się zaraz do jedzenia i nakruszy jej w całej kuchni. Domyśliła się tego, bo wyglądał jak człowiek zgłodniały.

— Niedobrze, bardzo niedobrze — mruknął. — Tak się nie godzi.

— To są Japonce — przypomniała mu. — Japonce, z którymi toczymy wojnę. Nie możemy przecież pozwolić, żeby wszędzie węszyli ich szpiedzy.

Carl pokręcił głową i odwrócił się do żony porywczo mimo swojej wagi.

— Nie pasujemy do siebie — stwierdził sucho. — Ty i ja po prostu do siebie nie pasujemy.

Oczywiście wiedziała, co miał na myśli, mimo to przełknęła ripostę. Ostatecznie nie po raz pierwszy stawiał jej taki zarzut. Mogła go przeboleć.

Przez jakiś czas stała przed mężem, podparłszy się pod boki, żeby mu pokazać, co myśli o jego skrupałach, lecz Carl wytrzymał jej spojrzenie.

— Miejsze choć trochę chrześcijańskiego miłosierdzia! — mruknął. — Na miły Bóg, kobieto, czy ty nie masz serca?

Wyszła do sieni. Trzeba było opleć truskawki i zadać pomyj świniom. Powiesiła fartuch na haczyku i usiadła na zydłu, żeby wciągnąć gumki. Mocowała się z nimi, rozmyślając o tym, co powiedział Carl — że oni dwoje do siebie nie pasują, stara śpiewka — kiedy w drzwiach stanął Zenhichi Miyamoto, zdjął kapelusz i skinął jej głową.

— Słyszeliśmy już, co was spotkało — przywitała go Etta.

— Mąż w domu, pani Heine? — Miyamoto oparł kapelusz o udo, a następnie schował go za plecy.

— Owszem — powiedziała, po czym zawołała w stronę drzwi: — Ktoś do ciebie, Carl!

Kiedy wszedł do sieni, oświadczyła:

— Równie dobrze możecie rozmawiać w mojej obecności, bo ta sprawa i mnie dotyczy.

— Dzień dobry, panie Zenhichi — przywitał gościa Carl. — Proszę do mieszkania.

Etta odstawiła gumowce i weszła za Japończykiem do kuchni.

— Niech pan siada, panie Zenhichi — poprosił Carl. — Żona zaraz zrobi panu kawy.

Popatrzył na Ettę, a ona przytaknęła tylko głową, następnie zdjęła z haczyka czysty fartuch, przepasała się nim i napełniła dzbanek do kawy.

— Widzieliśmy to obwieszczenie — rzekł Carl. — Osiem dni to diablo mało czasu. Jak można się przygotować do wyjazdu w osiem dni? To nie w porządku — dodał. — Tak się zwyczajnie nie robi.

— Cóż począć? — odrzekł Zenhichi. — Zabijemy deskami okna, zostawimy cały dobytek. Gdyby pan zechciał, mógłby pan uprawiać nasze pole, panie Heine. Jesteśmy panu wdzięczni, że je nam pan sprzedał. Rosną na nim piękne dwuletnie truskawki. Zapowiada się bogaty plon. Proszę go zebrać, panie Heine, i sprzedać do przetworni, a pieniądze sobie zatrzymać. Inaczej owoc zgnije i nikt na tym nie zyska.

Carl zaczął się drapać po twarzy. Siedział naprzeciwko gościa i drapał się po twarzy. Przy małym Japończyku o jasnym spojrzeniu wydawał się zwalisty i grubo ciosany. Byli mniej więcej w tym samym wieku, a jednak Japoniec wyglądał na młodszego co najmniej o piętnaście lat. Etta postawiła na stole filiżanki na spodeczkach i otworzyła cukiernicę. Całkiem sprytnie to sobie wykombinował — pomyślała. Ofiarowuje nam truskawki, które w danej chwili nie przedstawiają dla niego żadnej wartości. Naprawdę sprytnie. A potem gada o zapłacie.

— Jestem panu bardzo zobowiązany — powiedział Carl. — Dobrze, zbierzemy wasz plon. Jestem panu zobowiązany, panie Zenhichi.

Japończyk skinął głową. Te żółtki zawsze kiwiają głową — uświadomiła sobie Etta. W ten sposób osiągają nad człowiekiem przewagę — udają potulnych, a myślą swoje. Kiwiają głowami, nic nie gadają, gapią się w ziemię i przywłaszczają sobie cudzy majątek, jak te ich siedem akrów.

— A jak zamierza pan uregulować swoje zobowiązania, jeśli zbierzemy pańskie truskawki? — zapytała od pieca. — To nie jest...

— Chwileczkę, Etto — przerwał jej mąż. — Nie ma potrzeby omawiać tego właśnie w tej chwili. — Odwrócił się do Japończyka i zapytał: — A co słyhać u pana w domu? Jak tę wiadomość przyjęła pańska rodzina?

— Krzątają się, pakują, przygotowują do wyjazdu. Uśmiechnął się, błyskając w oczy Etty swoimi dużymi zębami.

— Czy możemy wam jakoś pomóc? — spytał Carl.

— Zbierzcie nasze truskawki. To będzie już wielka pomoc.

— Nie możemy wam pomóc w żaden inny sposób? Nie możemy dla was zrobić nic więcej?

Etta postawiła dzbanek z kawą na stole. Spojrzała, że Miyamoto trzyma kapelusz na kolanach. Carl odgrywa gościnnego gospodarza, ale tego nie zauważył. Japoniec musi siedzieć z kapeluszem pod stołem jak chłop, który zmoczył portki.

— Carl naleje panu kawy — powiedziała, usiadła, wygładziła fartuch i splotła dłonie na stole.

— Pozwólmy się jej najpierw zaparzyć — rzekł Carl.

Siedzieli i czekali, aż kawa naciągnie, kiedy w drzwi kuchni wpadł Carl junior. Wracał ze szkoły, choć było dopiero pięć po wpół do czwartej. Musiał chyba biec. Trzymał w ręku książkę: podręcznik do matematyki. Kurtkę miał poplamioną na zielono trawą, twarz zarumienioną od wiatru i lekko spoconą. Etta domyśliła się, że jest głodny; nieodrodny syn swojego ojca: nic tylko by jadł.

— Tam znajdziesz trochę jabłek, synu — powiedziała, wskazując spiżarnię. — Weź jedno, nalej sobie szklankę mleka i idź na dwór. Jak widzisz, mamy gościa, rozmawiamy.

— Już o wszystkim słyszałem — powiedział chłopak. — Byłem...

— Idź i weź sobie jabłko — ponagliła go. — Mamy gościa, Carl!

Poszedł do spiżarni, skąd wrócił z dwoma jabłkami. Potem wyjął z lodówki dzbanek z mlekiem i nalał sobie szklankę. Jego ojciec sięgnął tymczasem po dzbanek z kawą i napełnił filiżankę Miyamoto, potem żony, a na końcu swoją. Carl junior przyglądał się przez chwilę rodzicom i gościowi, trzymając jabłko w jednej, a szklankę w drugiej ręce, po czym skierował się do saloniku.

— Marsz na dwór! — nakazała mu matka. — Nie będziesz mi tu jadł!

Chłopak zawrócił do drzwi. Zdążył już odgryźć kęs jabłka i opróżnić szklankę. Był już prawie tak wielki jak ojciec, choć miał dopiero osiemnaście lat. Wprost trudno uwierzyć, jak on rośnie! Odgryzł następny kęs jabłka.

— Czy Kabuo jest w domu? — zapytał.

— Właśnie wrócił — odparł z uśmiechem Miyamoto. — Tak, jest w domu.

— Zajrzę do niego — oznajmił młody Carl.

Przeszedł przez kuchnię, odstawił szklankę do zlewu i wypadł z kuchni.

— Zostawiłeś książkę! — krzyknęła za nim Etta.

Chłopak wrócił i zaniósł książkę na górę. Potem wpadł do spiżarni, wziął następne jabłko, a przechodząc obok stołu, pomachał rodzicom.

— Zaraz wrócę — oznajmił.

Jego ojciec podsunął Japończykowi cukiernicę.

— Słodzi pan? — zapytał. — Może śmietanki?

Miyamoto kiwnął głową.

— Dziękuję — powiedział. — Jest doskonała. Tylko cukier, proszę.

Posłodził pół łyżeczki, zamieszał, po czym ostrożnie oparł łyżeczkę o spodeczek. Zaczekał, aż gospodarz podniesie filiżankę, dopiero wtedy podniósł swoją i pociągnął drobny łyk.

— Doskonała kawa — pochwalił.

Popatrzył na Ettę i uśmiechnął się do niej leciutko; zawsze się tak uśmiechał.

— Pani syn bardzo wyrósł — rzekł, nie przestając się uśmiechać, a następnie skłonił głowę. — Chciałbym państwu zapłacić. Jeszcze dwie ostatnie raty i będziemy kwita. Dzisiaj przyniosłem sto dwadzieścia dolarów. Więcej...

Carl odstawił filiżankę i energicznie pokręcił głową.

— Wykluczone — rzekł. — Nawet nie ma o czym mówić, Zenhichi! Zbierzemy wasze plony, a w lipcu się zobaczy. Jakoś się dogadamy. Może tam, dokąd was wywiozą, dadzą wam jakąś pracę, kto wie? Nie ograbię pana w takiej chwili ze wszystkich oszczędności. Proszę mi o tym nawet nie wspominać, panie Zenhichi.

Japończyk rozłożył na stole wachlarzem, jakby wykładał karty, sto dwadzieścia dolarów w dziesiątkach, piątkach i banknotach jednodolarowych.

— Proszę to wziąć — powiedział. — Stamtąd, dokąd jedziemy, przyślę państwu resztę. Zapłacę wszystko co do grosza. Jeśli nie uda mi się zebrać potrzebnej sumy, przypadną państwu w tym roku moje zbiory. Potem, w grudniu, rozliczylibyśmy ostatnią ratę. Rozumie pan? Ostatnią.



Etta założyła ręce na piersiach; przewidywała, że ten zółtek nie odda swoich truskawek za darmo!

— Pańskie zbiory! — prychnęła. — A bo to można na nie liczyć? Przecież przed czerwcem i tak nikt nie wyznacza cen. Dobrze, założmy, że ma pan ładne dwuletnie rośliny, jak pan zapewnia. Założmy, że wszystko dobrze pójdzie: zdobędziemy robotników do pielienia, nie będzie plagi szkodników, przygrzeje słońce, wszystko się dobrze ułoży, owoce pięknie dojrzeją, zbiory się udadzą. Odliczywszy wydatki na robociznę i nawozy sztuczne, w najlepszym razie zbierze pan truskawki warte dwieście dolarów. I to w dobrym roku, przy korzystnych cenach, jak wszystko dobrze pójdzie. A jeśli zdarzy się rok zły lub tylko przeciętny? Jeśli owoc opanuje grzyb, spadnie zbyt dużo deszczu lub przytrafi się któraś z tuzina innych bied, co wtedy? Wtedy można liczyć na zbiory warte sto, góra sto dwadzieścia dolarów, zgadza się? Nawet nie starczy na spłatę raty, czyli dwustu pięćdziesięciu dolarów.

— Państwo to wezmą. — Zenhichi ułożył banknoty w kupkę, którą pchnął w stronę pani Heine. — Tu jest sto dwadzieścia dolarów. Jeśli truskawki przyniosą sto trzydzieści, będzie w sam raz na następną ratę.

— Sądziłam, że pan nam te truskawki daje — parsknęła Etta. — Czy nie przyszedł pan tutaj z zamiarem ofiarowania ich nam? Czy nie powiedział pan, żebyśmy je sprzedali do przetwórci, a pieniądze zatrzymali? Tymczasem teraz liczy pan sobie za swoje zbiory sto trzydzieści dolarów! — Przysunęła do siebie kupkę banknotów i nie przestając mówić, przeliczyła je. — Sto trzydzieści, przy ryzyku, że nie uda nam się aż tyle wyciągnąć z pańskich zbiorów, plus te sto dwadzieścia jako zaliczka. Czyli nasze ryzyko w zamian za przyjęcie jej w marcu zamiast w czerwcu? Czy na to pan rachował idąc tutaj?

Japończyk wpatrywał się w nią, mrugając powiekami. Zamilkł, nie dotknął też więcej filiżanki z kawą. Zesztywniał i zlodowaciał. Etta domyśliła się, że jest zły, ale hamuje swój gniew. „Bestia jest dumny” — pomyślała. „Plunęłam na niego, a on udaje, że nic się nie stało. Odgania to od siebie mruganiem”.

Przeliczyła pieniądze, odłożyła stosik banknotów na stół i na powrót splotła na piersiach ręce.

— Może jeszcze kawy? — zapytała.

— Nie, dziękuję — odrzekł Miyamoto. — Proszę, niech państwo wezmą te pieniądze.

Wielka jak bochen dłoń Carla przesunęła się po stole, nakryła kupkę banknotów i odepchnęła ją w kierunku filiżanki gościa.

— Nie weźmiemy tych pieniędzy, panie Zenhichi. Nie weźmiemy ich, niezależnie od tego, co mówi moja żona. Zachowała się wobec pana niegrzecznie i chcę pana za to przeprosić.

Potem popatrzył na Ettę, a ona wytrzymała jego wzrok.

Wiedziała, co czuł, ale trudno — chciała, żeby zrozumiał, w co się pakuje, i że robią go w konia. Ani myślała spuszczać głowę. Starli się spojrzeniami.

— Przepraszam — odezwał się gość. — Bardzo przepraszam.

— Będziemy się martwić, jak przyjdą zbiory — rzekł Carl. — Kiedy już dojedziecie tam, dokąd was wywożą, niech pan do nas napisze. Zbierzemy wasze truskawki, odpiszemy panu i wtedy się zobaczy. Zdajmy się na rozwój wypadków, oto moja rada. Jestem pewien, że uda się panu spłacić ostatnie raty, może jeszcze zanim wrócicie, i będziemy kwita. Wszystko się dobrze ułoży. Teraz ma pan jednak ważniejsze sprawy na głowie, niech jej pan sobie niepotrzebnie nie zaprzęta naszymi rozliczeniami. I bez tego ma pan dosyć zmartwień. Gdybym mógł panu w czymś pomóc, na przykład w pakowaniu rzeczy, niech mi pan da znać, panie Zenhichi.

— Spłacę te raty, zapewniam państwa. Znajdę jakiś sposób, żeby wam przysłać pieniądze.

— W porządku. — Carl wyciągnął do niego rękę, którą tamten uściśnął.

— Dziękuję, Carl. Spłacę te raty. Nie martwcie się.

Etta przyglądała się Japończykowi. Uświadomiła sobie, że w ogóle się nie starzeje; uderzyło ją to nie po raz pierwszy, ale wyjątkowo wyraźnie. Nie zgarbił się, zachował jasne spojrzenie, skórę jędrną, brzuch płaski i twardy. Przpracował dziesięć lat na tych samych co ona polach, a nie postarzał się ani o dzień. Zawsze schludnie ubrany, głowę trzymał prosto, twarz miał ogorzałą od słońca, cerę czerstwą i zdrową. Tajemnica tej wiecznej młodości musiała mieć coś wspólnego z różnicą, jaka między nimi istniała. Widocznie znał sekret, jak powstrzymać proces starzenia, gdy tymczasem ona, Etta, posunęła się w latach i opadła z sił. Znał sekret, ale zachowywał go dla siebie, nosił w głowie zakorkowany jak w butelce. Może zawdzięczał go swojej japońskiej religii, zastanawiała się, a może się taki po prostu urodził? Obawiała się, że nigdy nie pozna prawdy.

Jej syn wrócił tamtego wieczoru do domu z bambusową wędką, przypomniała sobie, siedząc na miejscu dla świadka. Wpadł do kuchni z potarganą przez wiatr czupryną, chłopaczysko wielkie niczym szczeniak doga. Wielki młody mężczyzna, jej syn.

— Spójrz, mamó! — zawołał. — Kabuo mi ją pożyczył!

Zaczął wychwalać zalety wędkę. Etta obierała właśnie nad zlewem ziemniaki na kolację. Carl unosił się nad walorami sprzętu: łączony bambus, dzieło niejakiego pana Nishi, pierścienie gładziuterikie, owinięte jedwabiem. Snuł plany połowów z łódki; poprosi Erika Evertsa albo innego kolegę, żeby z nim popłynął swoim kanu. Zaopatrzy wędzisko w lekki kołowrotek, zobaczysz, jak będzie furkotał.

— Gdzie tata? Pójdę mu ją pokazać.

Nie przerywając obierania ziemniaków, Etta nakazała synowi to, co mu zresztą nakazać musiała: żeby natychmiast odniósł tę wędkę; Japonce są im winni pieniądze, pożyczanie od nich wędkę jest w tej sytuacji niestosowne.

Pamiętała, jakim spojrzeniem ją wtedy obrzucił. Jej rozkaz go zabolął, ale próbował to ukryć. Chętnie by się zbuntował, ale z góry wiedział, że z matką nie wygra. Miał wygląd człowieka pokonanego, jak jego ojciec — wielki, zwalisty plantator truskawek. Spokorniały, przegrany. Mówił jak ojciec i poruszał się jak on, ale miał szerokie czoło, małe uszy i wyraziste oczy po niej, po matce. Nie cały wdał się w Carla. Miała poczucie, że jest również i jej synem.

— Odnieś mi zaraz tę wędkę! — powtórzyła, wskazując wędkę nożem do ziemniaków.

Przecucia jej nie omyliły, teraz widziała to jasno. Jej syn odniósł wędkę, po kilku miesiącach poszedł na wojnę, wrócił z niej szczęśliwie i ten Japończyk go zabił. Od razu ich przejrzała; nie dała im się nabrać jak jej mąż.

Nie wywiązali się z płatności — oznajmiła prokuratorowi. Po prostu się nie wywiązali, więc sprzedała farmę Ole Jurgensenowi i odesłała im do Kalifornii, co się należało, nie miała zamiaru ich okradać. Zwróciła wpłacone raty co do centa. W Boże Narodzenie 1944 roku przeniosła się do Amity Harbor. Myślała, że sprawa się na tym skończyła. Tymczasem wygląda na to, że jednak się myliła: gdy chodzi o pieniądze, człowiek nigdy się od natarczywców nie uwolni. Wcześniej czy później wystąpią z roszczeniami. Etta oświadczyła sądowi, że Kabuo Miyamoto właśnie przez te rozliczenia zamordował jej syna. I dlatego jej syna nie ma już wśród żywych.

Alvin Hooks obszedł stół i podjął miarową niespieszną przechadzkę, której od początku rozprawy używał jako elementu strategii oskarżenia.

— Jeśli dobrze rozumiem, pani Heine — zaczął — w grudniu 1944 roku przeniosła się pani do Amity Harbor?

— Tak.

— Pani małżonek właśnie niedawno zmarł?

— Tak.

— I doszła pani do wniosku, że sama nie podoła prowadzeniu farmy?

— Tak.

— Więc przeprowadziła się pani do Amity Harbor — skonstatował Alvin Hooks. — Dokładnie dokąd, pani Heine?

— Na Main Street — odparła Etta. — Do mieszkania nad sklepem Lottie Opsvig.

— Nad sklepem odzieżowym Lottie Opsvig?

— Tak.

— Do samodzielnego mieszkania?

— Tak.

— Czy dużego?

— Nie. Ma tylko jedną sypialnię.

— Mieszkanie z jedną sypialnią nad sklepem — podsumował Alvin Hooks. — Wynajęła więc pani mieszkanie z jedną sypialnią. Czy wolno mi zapytać o pani miesięczny czynsz?

— Dwadzieścia pięć dolarów.

— Wynajęła pani mieszkanie za dwadzieścia pięć dolarów miesięcznego czynszu — oznajmił prokurator. — Czy nadal tam pani mieszka?

— Tak.

— I pani czynsz wynosi wciąż dwadzieścia pięć dolarów?

— Nie. Obecnie trzydzieści pięć. Komorne od czterdziestego czwartego poszło do góry.

— Od czterdziestego czwartego — powtórzył za nią Alvin Hooks. — Czyli od roku, w którym pani się tam wprowadziła? Od roku, w którym odesłała pani państwu Miyamoto kwotę im należną i zamieszkała w Amity Harbor?

— Tak.

— Pani Heine — rzekł Alvin Hooks, przerywając przechadzkę. — Czy państwo Miyamoto od tamtej pory kontaktowali się z panią kiedykolwiek?

— Tak.

— Kiedy dokładnie?

Zastanawiając się nad odpowiedzią, Etta zagryzła wargę i objęła twarz palcami.

— W czerwcu 1945 roku — powiedziała w końcu. — Ten człowiek — wskazała na Kabuo Miyamoto — zapukał do moich drzwi.

— Oskarżony?

— Tak.

— W roku 1945 zapukał do drzwi pani mieszkania w Amity Harbor?

— Tak.

— Czy wcześniej zatelefonował? Oczekiwała go pani?

— Nie. Po prostu się zjawił, jakby nigdy nic.

— Zjawił się nie zapowiedziany? Jak grom z jasnego nieba, by się tak wyrazić?

— Tak. Jak grom z jasnego nieba.

— Interesuje mnie, jak oskarżony określił cel swojej wizyty, pani Heine?

— Powiedział, że chce porozmawiać o ziemi. O mojej ziemi, którą odsprzedałam Ole Jurgensenowi.

— Co dokładnie powiedział, pani Heine? Czy pamięta pani jego słowa? Czy może je pani przytoczyć, by zaspokoić ciekawość sądu?

Etta położyła ręce na kolanach i spojrzała na Kabuo Miyamoto. Poznała po jego oczach — jej nie zwiódł — że niczego nie zapomniał. Stał w progu jej mieszkania, porządnie ubrany, ze splecionymi przed sobą rękami, i ani okiem mrugnął. Był lipiec, w mieszkaniu panował żar; odnosiło się wrażenie, że w drzwiach jest o wiele chłodniej. Przyglądali się sobie przez chwilę, po czym Etta założyła ręce na piersiach i zapytała przybysza, czego sobie życzy.

— Czy pani mnie pamięta, pani Heine? — zapytał.

— Oczywiście.

Nie widziała go od dnia wyjazdu Japończyków w 1942 roku — czyli od z górą trzech lat — ale pamiętała doskonale. Był tym chłopakiem, który próbował ofiarować wędkę jej synowi, tym, którego widywała przez okno w kuchni ćwiczącego na polu drewnianym mieczem,

najstarszym dzieckiem Miyamotów. Pamiętała jego twarz, lecz zapomniała imienia; tym, z którym jej syn się wałęsał.

— Wróciłem przed trzema dniami — powiedział. — Domyślam się, że Carla nie ma jeszcze w domu.

— Mój mąż nie żyje — odrzekła — a syn walczy z Japońcami. — Zmierzyła wzrokiem stojącego w drzwiach mężczyznę. — Jeszcze trochę, a dostaną łupnia — dodała.

— Jeszcze trochę — przyznał. Rozplótł ręce i założył je za siebie. — Przykro mi z powodu pana Heinego. O jego śmierci dowiedziałem się we Włoszech. Matka mi pisała.

— A tak, doniosłam o tym listownie pana rodzinie, odsyłając, co się im należało — odrzekła Etta. — Napisałam im, że Carl nie żyje, więc jestem zmuszona sprzedać posiadłość.

— Owszem — powiedział Kabuo. — Ale mój ojciec zawarł pewną umowę z pani mężem, prawda, pani Heine? Czyż nie...

— Mój mąż zmarł — przerwała mu Etta. — Musiałam coś zdecydować. Nie mogłam przecież sama prowadzić farmy, prawda? Sprzedałam ją Olemu i basta. Jeśli chce pan rozmawiać o tym kawałku ziemi, musi się pan udać do pana Jurgensena. Mnie to już nic nie obchodzi.

— Ja już rozmawiałem z panem Jurgensenem, proszę pani. Przyjechałem na wyspę w ubiegłą środę i pierwsze kroki skierowałem na nasze pole. Widzi pani, chciałem się trochę rozejrzeć. Spotkałem tam pana Jurgensena na traktorze i chwilę porozmawialiśmy.

— No i dobrze — burknęła. — Więc już się pan z nim rozmówił.

— Rozmawiałem z nim. Powiedział, że powinienem rozmówić się z panią.

Etta jeszcze ciaśniej splótła na piersiach ręce.

— Dobre sobie! To chyba jego ziemia, nie? Niech pan idzie i mu to oświadczy. Niech mu pan powie, że ja tak powiedziałam.

— Pan Jurgensen nie wiedział o umowie między pani mężem a moim ojcem. Nie powiedziała mu pani, że nie wpłaciliśmy raptem jednej raty. Nie powiedziała mu pani, że pan Heine...

— On nie wiedział! — prychnęła. — Czy Ole tak panu powiedział? Nie wiedział, też coś! Czy miałam mu powiedzieć: „Słuchaj, Ole, ci ludzie zawarli bezprawny układ z moim mężem, który oddał im siedem akrów ziemi”? Tak miałam mu powiedzieć? Nie wiedział! To najlepszy dowcip, jaki w życiu słyszałam! Miałam powiedzieć człowiekowi, który chce kupić moją ziemię, że na przeszkodzie sprzedaży stoi nielegalnie zawarty kontrakt? A gdybym to nawet zrobiła, to

co? Pozostaje przecież faktem, że nie dotrzyмалиście terminów płatności. Takie są fakty. Przypuśćmy — tylko przypuśćmy — że postąpilibyście tak wobec banku. Co by się stało, jak się panu zdaje, gdybyście nie uiścili opłat? Czekano by uprzejmie, aż to łaskawie zrobicie? Nie, bank przejąłby waszą ziemię, ot co! Ja postąpiłam dokładnie tak samo. Nie zrobiłam niczego nagannego.

— Nie zrobiła pani niczego nielegalnego — sprostował Kabuo. — Co się tyczy naganności, to całkiem inna sprawa.

Etta zamruwała powiekami, zrobiła krok do tyłu i położyła rękę na klamce.

— Proszę się wynosić! — syknęła.

— Pani sprzedała naszą ziemię — powiedział Japończyk. — Sprzedała pani bez naszej wiedzy naszą własność, pani Heine. Wykorzystując naszą nieobecność, pozwoliła sobie pani...

Zatrzasnęła mu drzwi przed nosem, żeby tego dłużej nie słuchać. „Carl narobił bałaganu — pomyślała — a teraz ja muszę po nim sprzątać”.

— Pani Heine — zapytał oskarżyciel, kiedy skończyła opowiadać o tym incydencie. — Czy widywała pani później oskarżonego? Czy kontaktował się z panią ponownie w sprawie tej ziemi?

— Czy go widywałam? — powtórzyła. — Oczywiście! W mieście, w sklepie Petersena, w różnych miejscach... Tak, widywałam go od czasu do czasu.

— Czy z panią rozmawiał?

— Nie.

— Nigdy?

— Nigdy.

— Więc nie doszło między państwem do następnych rozmów?

— Nie przypominam sobie. Chyba że zechce pan nazwać rozmowę wilcze spojrzenia. —

Etta ponownie zerknęła na oskarżonego.

— Wilcze spojrzenia, pani Heine? Co pani przez to rozumie?

Etta wygładziła na sobie sukienkę i jeszcze bardziej się wyprostowała.

— Za każdym razem, gdy go spotykałam — powiedziała — gapił się na mnie takimi zmrużonymi ślepiami. No wie pan, jakby pożerał mnie wzrokiem...

— Rozumiem — rzekł Alvin Hooks. — Jak długo to trwało?

— Trwa do dzisiejszego dnia. Ani razu, ilekroć mnie spotkał, nie zdarzyło mu się spojrzeć na mnie po ludzku. Zawsze mrużył te swoje ślepie i robił zbójcką gębę.

— Czy rozmawiała pani kiedykolwiek na ten temat z synem, pani Heine? Czy powiedziała mu pani, że Kabuo Miyamoto zjawił się u pani i miał pani za złe sprzedaż ziemi należącej do pani rodziny?

— Mój syn był o wszystkim poinformowany. Powiedziałam mu o tym, jak tylko wrócił.

— Skąd, jeśli można wiedzieć?

— Z wojny. W kilka miesięcy później, zdaje się, że w październiku.

— I wtedy powiedziała mu pani o wizycie oskarżonego?

— Tak.

— Czy przypomina sobie pani, jak zareagował?

— Owszem. Powiedział, że się tym zajmie. Powiedział, że jeśli Kabuo Miyamoto będzie nadal patrzył na mnie spode łba, on się tym zajmie.

— Rozumiem — rzekł Alvin Hooks. — I zajął się?

— Tak. O ile wiem, tak.

— Obserwował oskarżonego?

— Tak, obserwował go.

— Pani Heine, czy określiłaby pani wzajemny stosunek pani syna i oskarżonego jako nieprzyjazny? Obaj byli przecież rybakami, co ich łączyło. W dzieciństwie, jak sama pani powiedziała, mieszkali po sąsiedzku. Ale potem powstał ten rodzinny... spór o ziemię. Więc moje pytanie brzmi: czy oskarżony i syn pani pozostawali w przyjaznych czy nieprzyjaznych stosunkach po roku 1945?

— Oskarżony nigdy nie był przyjacielem mojego syna! Przecież to jasne! Byli wrogami.

— Wrogami? — upewnił się Alvin Hooks.

— Carl mówił mi nieraz, że Kabuo lepiej by zrobił, gdyby zapomniał o tych siedmiu akrach i przestał patrzeć na mnie wilkiem.

— Jak dokładnie zareagował, kiedy powiedziała mu pani, że oskarżony krzywo na panią patrzy?

— Powiedział, że Kabuo lepiej zrobi, jeśli przestanie krzywo na mnie patrzeć. Powiedział, że musi go mieć na oku.



— Musi go mieć na oku — powtórzył z naciskiem Alvin Hooks. — Czy spodziewał się jakiegoś zagrożenia ze strony pana Miyamoto?

— Sprzeciw! — wykrzyknął Nels Gudmundsson. — Pan prokurator prosi świadka, żeby snuł spekulacje na temat stanu umysłu syna i jego uczuć, co...

— Przepraszam, przepraszam — wycofał się Alvin Hooks. — Proszę nam w takim razie powiedzieć, pani Heine, co pani zaobserwowała. Proszę nam powiedzieć, co pani syn powiedział bądź uczynił... Czy zauważyła pani coś, co by wskazywało, że dostrzega zagrożenie ze strony Kabuo Miyamoto?

— Powiedział, że będzie go miał na oku — powtórzyła Etta. — No wie pan, że będzie na niego uważał.

— Czy powiedział wprost, że powinien uważać na oskarżonego, ponieważ grozi mu z jego strony jakieś niebezpieczeństwo?

— Tak, mówił, że musi go mieć na oku. Ile razy mu się skarżyłam, że ten człowiek patrzy na mnie wilkiem, tak właśnie mówił: że musi na niego uważać.

— Pani Heine — ciągnął prokurator. — Czy pani zdaniem stosunki łączące pani rodzinę z rodziną oskarżonego można by zasadnie określić mianem waśni rodowej? Czy byliście państwo wrogo do siebie nastawieni?

Etta spojrzała prosto na Kabuo Miyamoto.

— Tak — potwierdziła. — Jesteśmy wrogami. Dręczą nas o te siedem akrów od blisko dziesięciu lat. Mój syn przypłacił to życiem...

— Sprzeciw! — zawołał Nels Gudmundsson. — Świadek snuje spekulacje względem...

— Podtrzymuję sprzeciw — oznajmił sędzia Fielding. — Świadek zechce się ograniczyć do odpowiedzi na zadawane pytania bez wdawania się w spekulacje. Proszę członków ławy przysięgłych, żeby pominęli ostatnie słowa świadka. Uwaga pani Heine zostanie ponadto wykreślona z protokołu. Proszę kontynuować, panie Hooks.

— Dziękuję, ale nie mam już do świadka więcej pytań, Wysoki Sądzie — oświadczył Alvin Hooks. — Chciałbym tylko wyrazić pani swoje uznanie, pani Heine, za poświęcenie, jakiego wymagało z pani strony fatygowanie się do nas w taką pogodę. Dziękuję, że mimo śnieżycy zechciała się pani stawić i złożyć zeznania. — Okręcił się na czubku buta i wycelowawszy palec w Nelsa Gudmundssona, powiedział: — Świadek należy do pana.

Nels Gudmundsson kiwnął głową i zmarszczył czoło.

— Mam tylko trzy pytania — wymamrotał nie podnosząc się z krzesła. — Dokonałem przed chwilą pewnych obliczeń, pani Heine. Jeśli nie omyliłem się w rachunkach, rodzina Miyamoto nabyła od państwa siedem akrów ziemi za cztery tysiące pięćset dolarów, czy tak?

— Usiłowała je za tyle nabyć — uściśliła Etta — ale nie spłaciła tej sumy.

— Drugie pytanie — ciągnął Nels. — Jaka była cena za akr, kiedy w roku 1944 zaproponowała pani Ole Jurgensenowi sprzedaż farmy?

— Tysiąc dolarów.

— Z czego wnoszę, że zamiast czterech i pół tysiąca mogła pani dostać za działkę o powierzchni siedmiu akrów siedem tysięcy dolarów, nieprawdaż? Czyli odsyłając państwu Miyamoto ich wkład i sprzedając działkę Ole Jurgensenowi zyskałaby pani dwa i pół tysiąca dolarów?

— Czy to pana trzecie pytanie? — zapytała Etta.

— Tak — potwierdził obrońca. — To moje trzecie pytanie.

— Dobrze pan policzył. Dwa i pół tysiąca.

— Dziękuję, to mi wystarczy. Jest pani wolna, pani Heine.

Ole Jurgensen wyszedł z miejsc dla publiczności podpierając się laską. Alvin Hooks przytrzymał przed nim wahadłową bramkę i Ole powłókł się, szurając nogami, w stronę krzesła dla świadka; laskę trzymał w prawej ręce, a lewą przyciskał do krzyża. Kroczył nieco bokiem, niczym ranny krab. Podszedłszy do Eda Soamesa, który czekał na niego z egzemplarzem Biblii, przekładał przez chwilę laskę z ręki do ręki, zanim się zdecydował powiesić ją na przegubie dłoni. Od czasu udaru, jaki powalił go w czerwcu, drżały mu ręce.

Pracował w polu ze swoimi zbieraczami, sortując truskawki, kiedy nagle poczuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg; tamtego dnia od rana czuł się zresztą podle, miał mdłości i zawroty głowy. Szarpnął się w ostatniej desperackiej próbie otrząśnięcia się ze słabości, jaka go dopadła, tymczasem niebo jakby kleszczami ścisnęło mu głowę, ziemia zadrżała i Ole Jurgensen przewrócił się na skrzynię. Leżał na truskawkach i mrugając oczami wpatrywał się w chmury, dopóki nie podnieśli go, chwyciwszy pod pachy, dwaj zbieracze, Indianie z Kanady. Zawieźli gospodarza do domu na przyczepie traktorowej i złożyli na ganku niczym nieboszczyka. Liesel szarpała go za ramię, dopóki nie zachrząkał i czegoś nie zabełkotał, co usłyszawszy, zaczęła go

wypytywać rozhisteryzowanym głosem o przyczynę niedyspozycji. Dopiero gdy stało się jasne, że jej nie odpowie, zamilkła, pocałowała męża w czoło i pobiegła po doktora Whaleya.

Od tamtego dnia Ole Jurgensen szybko niedołązniął. Nogi mu zesztyniały, oczy łzawiły, kosmyki brody sięgnęły trzeciego guzika kamizelki, skóra stała się różowa i szorstka. Kiedy usiadł na miejscu dla świadka i oparł się oburącz na główce łaski, wyglądał jak drżący, niezdarny starzec.

— Panie Jurgensen — zaczął Alvin Hooks. — Przez wiele lat był pan sąsiadem państwa Heine w Dolinie Centralnej, czy tak?

— Tak jest — odrzekł Ole Jurgensen.

— Ile dokładnie?

— Od samego początku. Pa-a-amiętam, jak czterdzieści lat temu Carl... st-a-ary Carl... wykarczował działkę obok mojej.

— Czterdzieści lat — zdumiał się Alvin Hooks. — Przez czterdzieści lat był pan plantatorem truskawek?

— Tak jest, proszę pana. Na-awet wię-ęcej.

— Ile akrów ziemi pan posiadał, panie Jurgensen?

Ole zamyślił się nad odpowiedzią. Oblizywał wargi i wbił spojrzenie w sufit, a jego dłonie przesuwaly się po lasce w górę i w dół.

— Na początku trzy-y-ydzieści pięć — rzekł w końcu. — Potem dokupiłem jeszcze trzy-y-ydzieści od Etty, co sama z tego miejsca niedawno powiedziała. Tak że razem uzbierało się sześćdziesiąt pięć akrów. Całkiem spo-o-ora fa-a-arma.

— Istotnie — przyznał prokurator. — A więc nabył pan trzydzieści akrów ziemi od pani Etty Heine?

— Tak jest.

— Kiedy dokładnie, panie Jurgensen?

— Tak jak po-o-owiedziała. W tysiąc dziewięćset czterdziestym czwa-a-artym.

— I otrzymał pan od niej na piśmie akt własności tej ziemi?

— Tak jest.

— Czy nazwałby pan tę umowę jasną, nie wzbudzającą wątpliwości, panie Jurgensen? Idzie mi o to, czy nie zawierała na przykład zapisu o długu hipotecznym bądź jakichś innych warunków? Serwitutów? Zastawu? Tego rodzaju obciążeń?

— Nie. Niczego takiego. Ko-o-ontrakt był jak się patrzy. Wszystko jak się należy.

— Rozumiem — pokwitował tę wiadomość Alvin Hooks. — Zatem nie był pan wówczas świadom istnienia roszczeń, jakie mogliby zgłaszać do którejś części nowo nabytej przez pana ziemi państwo Miyamoto?

— Nie, ani trochę. Pytałem nawet o to Ettę, bo, widzi pan, Miyamotowie mieli do-o-om na jej ziemi, wiedziałem też, że państwo Heine sprzedali im siedem akrów. Na co mi odpowiedziała, że nie spłacili rat, więc ona ma prawo odebrać swoją wła-a-asność. Dodała, że po śmierci Carla nie ma innego wyjścia. Zapewniła mnie, że umowa jest w najzupełniejszym porządku. Rodzina Miyamoto siedzi w obozie, powiedziała, i mo-o-oże nigdy stamtąd nie wrócić. Powiedziała, że odda, co się im należy. Miyamotoowie nie mogą sobie rościć żadnych praw, proszę pana, ani mowy!

— Więc nie słyszał pan nic o roszczeniach, jakie rodzina Miyamoto mogłaby wysuwać do siedmiu akrów nowo nabytej przez pana ziemi?

— Nie. Nic o tym nie słyszałem, dopóki ten człowiek — wskazał nosem oskarżonego — nie przyszedł do-o-o mnie i o tym mi nie powiedział.

— Ma pan na myśli obecnego tu Kabuo Miyamoto?

— Tak jest. Jego, zgadza się.

— A kiedy oskarżony się u pana zjawił, panie Jurgensen?

— Niech pomyślę... Przyszedł do-o-o mnie latem czterdziestego piątego, tak, zgadza się. Przyszedł i po-o-owiada, że pani Heine chce go okraść. Pan Heine, powiada, nigdy by do tego nie do-o-opuścił.

— Nie bardzo rozumiem — zafrasował się Alvin Hooks. — Więc oskarżony zjawił się u pana latem 1945 roku i oskarżył panią Heine o kradzież?

— Tak, proszę pana. Tak to zapamiętałem.

— I co pan mu na to odpowiedział?

— Powiedziałem mu, że nic po-o-odobnego, że ona mi tę ziemię sprzedała, a jego nazwiska na umowie nie ma.

— I co nastąpiło dalej?

— Zapytał, czybym mu tej dzia-a-alki nie odsprzedał.

— Czyby mu pan nie odsprzedał całych trzydziestu akrów? — upewnił się Alvin Hooks.

— Nie, jemu nie chodziło o całe trzydzieści akrów. Interesowało go tylko te siedem od północnego zachodu, gdzie kiedyś mieszkała jego rodzina. Przed wojną znaczy.

— Czy rozmawiali o tym panowie? Czy rozważał pan możliwość odsprzedaży?

— On nie miał pie-e-eniędzy — oświadczył Ole. — A zresztą nie myślałem wtenczas o sprzedaży, bo to było przed tym... a-a-atakiem. Miałem piękną farmę, sześćdziesiąt pięć a-aakrów, ani mi było w głowie odsprzedawanie jej komuś.

— Panie Jurgensen, czy nabywając tych trzydzieści akrów od pani Heine, kupił pan również jej dom?

— Nie. Sam dom sprzedała osobno. Bjornowi Andreasonowi. Bjorn mieszka w nim do dzi-i-isiejszego dnia.

— A dom, w którym mieszkała kiedyś rodzina oskarżonego, panie Jurgensen?

— Ten ja kupiłem.

— Rozumiem. I co pan z nim zrobił?

— Przeznaczyłem go na mieszkanie dla zbieraczy — wyjaśnił Ole. — Moja fa-arma tak się rozrosła, że musiałem zatrudniać zarządcę na okrągły rok. Mieszka w tym domu, gdzie oprócz tego mam jeszcze pokój dla sezonowych zbieraczy.

— Panie Jurgensen — kontynuował Alvin Hooks. — Nie przypomina pan sobie, czy oskarżony nie powiedział panu czegoś jeszcze podczas wizyty u pana latem czterdziestego piątego?

Ole Jurgensen oderwał prawą dłoń od główki laski, wsunął do bocznej kieszeni marynarki i zaczął w niej grzebać.

— Tak, jedną rzecz — wymamrotał. — Zapowiedział, że któregoś dnia odzyska swoją ziemię.

— Powiedział, że ją odzyska?

— Tak jest. I był zły.

— A co pan mu na to odpowiedział?

— Spytałem go, dlaczego złości się na mnie. Ja wiem o tej ziemi tylko jedno: że nie myślę jej nikomu sprzedawać. — Ole wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł usta. — Poradziłem mu, żeby pogadał z Ettą Heine. Powiedziałem, że przeprowadziła się do Amity Harbor, podałem mu jej adres i poradziłem, żeby się z nią rozmówił.

— I wtedy oskarżony odszedł?

— Tak.

— Czy widywał go pan później?

— Owszem. To mała wysepka. Człowiek stale tu kogoś spotyka.

— Rozumiem, panie Jurgensen — przytaknął Alvin Hooks. — A więc, jak pan powiedział, miał pan atak. To się zdarzyło w czerwcu bieżącego roku?

— Tak, proszę pana, dwudziestego ósmego czerwca.

— Rozumiem. I w następstwie tego ataku stał się pan niezdolny do pracy? W stopniu tak znacznym, iż uznał pan, że nie będzie pan w stanie prowadzić dalej farmy?

Ole Jurgensen nie od razu odpowiedział. Jego prawa, zaciśnięta na chusteczce dłoń wróciła na rękojęść laski. Ssał wewnętrzną stronę policzka, głowa mu się trzęsła. Usiłował przemówić.

— Ja... ja... — zaczął. — Po prostu nie mogłem, rozumie pan.

— Nie był pan w stanie prowadzić dalej farmy?

— N-n-nie.

— I co pan zrobił?

— Wystawiłem ją na sprzedaż. Siódmego wrze-e-eśnia. Zaraz po Święcie Pracy.

— Bieżącego roku?

— Tak, proszę pana.

— Czy zgłosił pan sprzedaż swojej posiadłości w agencji handlu nieruchomościami?

— Tak jest.

— Czy może u pana Klause Hartmanna?

— Tak.

— Czy ogłaszał się pan również w inny sposób?

— Wywiesiłem ta-a-ablicę na stodole. To wszystko.

— I co nastąpiło dalej? — zapytał Alvin Hooks. — Czy ktoś przychodził oglądać pańską farmę?

— Przyszedł Ca-a-rl Heine. Syn Etty Heine.

— Kiedy to było?

— Siódmego września. Przyszedł i oświadczył, że chce kupić moją farmę.

— Proszę nam o tym opowiedzieć — poprosił Alvin Hooks. — Carlowi Heinemu dobrze się wiodło jako rybakowi, miał ładny dom na Mili Run Road, po co mu była pańska farma?

Ole Jurgensen zamrugnął powiekami i przytknął chusteczkę do oczu. Przypomniał sobie, jak ów młody mężczyzna zajechał na jego podwórko błękitnym belairem, płosząc kury. Ole siedział na ganku i od razu się domyślił, kim jest przyjezdny i po co przyjechał. Młody Carl Heine zjawiał się u niego z żoną i dziećmi każdego roku w porze zbioru truskawek. Szli z lubiankami w pole i razem zbierali owoce. Ole wzbraniał się brać od Carla pieniądze, ten mu je wciskał siłą, a kiedy Ole kręcił przecząco głową, kładł banknoty na stoliku obok wagi i przyciskał kamieniem.

— Nieważne, że ta ziemia należała kiedyś do mojego ojca — mówił. — Teraz należy do pana, więc powinniśmy zapłacić.

Tamtego ranka stanął przed Jurgensenem, wielki mężczyzna z posturą po ojcu i rysami matki, w gumowych butach rybaka, bo przecież był rybakiem, przypomniał sobie Ole, a swoją łódkę nazwał imieniem żony: „Susan Marie”.

Liesel poczęstowała gościa szklanką mrożonej herbaty. Z miejsca, w którym siedzieli, rozciągał się widok na truskawkowe pola; w oddali widniał dom Bjorna Andreasona, w którym młody Carl kiedyś mieszkał.

Tak sobie gawędzili — powiedział sądowi Ole. Carl zapytał o urodzaj na truskawki, Ole odwzajemnił się pytaniem o ławice łososi. Liesel zapytała o zdrowie Etty, a potem zagadnęła gościa, czy podoba mu się zawód rybaka.

— Wcale — odpowiedział Carl.

Ole pomyślał, że to dziwne wyznanie w ustach młodego człowieka. Złożenie takiego wyznania nie mogło nie ranić jego dumy. Ole pojął, że składając je, do czegoś się przyznawał, a robił to nie bez powodu. Chciał coś w ten sposób podkreślić.

Młody człowiek postawił szklankę przed noskami swoich kaloszy i nachylił się nad nimi, opierając łokcie na kolanach, jakby chciał coś wyznać. Przez chwilę wpatrywał się w deski podłogi ganku.

— Chciałbym kupić waszą farmę — oświadczył.

Liesel poinformowała go, że Bjorn Andreason nabył już dom jego ojca, starego Heinego, czego nie da się cofnąć. Wyjaśniła mu również, że ona i Ole nie chcieliby całkiem opuszczać farmy, więc i z tym musiałyby się pogodzić. Młody Carl Heine pokiwał głową i poskrobał się w porośniętą szczecina szczękę.

— Przykro mi — mruknął. — Nie najlepiej się czuję ze świadomością, że wykorzystuję pańską chorobę, panie Jurgensen.

Ale skoro, jak się domyślam, tak czy tak pan sprzedaje, więc byłbym... zainteresowany.

— Bardzo mnie to cieszy. Mieszkał pan tutaj, zna pan tę ziemię. Robimy godziwą rzecz. Jestem naprawdę szczęśliwy — powiedział Ole i podał młodemu człowiekowi rękę.

Carl Heine uścisnął ją z powagą.

— Ja to odczuwam podobnie — przyznał.

W kuchni omówili szczegóły transakcji. Fundusze Carla były unieruchomione w kutrze i domu przy Mili Run Road, więc mógł na razie dać w zadatku jedynie tysiąc dolarów, które też położył na stole: dziesięć studolarowych banknotów. Powiedział, że w listopadzie sprzeda „Susan Marie”, a następnie dom.

— Pańska żona będzie kontenta — oświadczyła z dwuznacznym uśmiechem Liesel. — Rybak nigdy nie nocuje w domu.

\*\*\*

Ole Jurgensen oparł się na lasce i przypomniał sobie drugiego gościa, jaki tamtego dnia złożył mu wizytę: Kabuo Miyamoto.

— Oskarżony? — upewnił się Alvin Hooks. — Siódmego września bieżącego roku?

— Tak jest, proszę pana.

— Tego samego dnia, kiedy zjawił się u pana Carl Heine, by się wywiedzieć o sprzedaż pańskiej ziemi?

— Zgadza się.

— Po południu tego samego dnia?

— Gdzieś tak po-po-ołudniu — przytaknął Ole. — Właśnie siadaliśmy do lunchu, kiedy zapukał do drzwi.

— Czy powiedział, po co przychodzi, panie Jurgensen?

— Po to samo, co syn Etty. Chciał kupić moją ziemię.

— Zechce nam pan o tym opowiedzieć. Co dokładnie panu oznajmił?

Siedzieli właśnie na ganku — powiedział Ole. Oskarżony przeczytał ogłoszenie na stodole i przyszedł kupić farmę. Ole przypomniał sobie przyrzeczenie, jakie Kabuo złożył kiedyś



w rozmowie z nim na polu: że któregoś dnia odzyska ziemię swojej rodziny. Ole zdążył już zapomnieć o tym ślubowaniu; ostatecznie od tamtej pory minęło dziewięć lat.

Przypomniawszy sobie również, że ten Japończyk kiedyś u niego pracował: zatrudnił go w 1939 roku do sadzenia malin. Pamiętał, jak wbijał cedrowe paliki, stojąc bez koszuli na skrzyni furgonetki i machając bijakiem. Mógł mieć wtedy szesnaście, siedemnaście lat.

Przypomniawszy też sobie, że widywał go nieraz o świcie na polu, ćwiczącego drewnianym mieczem. Ojcem chłopca, o ile sobie przypominał, był niejaki Zenechee, jakoś tak. Nigdy nie potrafił wymówić tego imienia. Wtenczas na ganku zapytał gościa o ojca i dowiedział się, że już dawno umarł.

Potem Japończyk wyraził zamiar kupna siedmiu akrów, które kiedyś należały do jego rodziny.

— Obawiam się, że nie są już na sprzedaż — wtrąciła się do rozmowy Liesel. — Widzi pan, sprzedaliśmy już tę ziemię. Dziś rano zgłosił się kupiec. Przykro nam, panie Kabuo.

— Tak jest — potwierdził Ole. — Przykro nam.

Japończyk zeszywniał. W okamgnieniu zniknął z jego twarzy wyraz uprzejmości i Ole nie był już w stanie odgadnąć jego uczuć.

— Sprzedaliście? — zapytał. — Sprzedaliście ziemię?

— Tak — przytaknęła Liesel. — Niestety. Przykro nam, że spotyka pana zawód.

— Całą działkę?

— Tak — przytaknęła Liesel. — Bardzo nam przykro. Nie zdążyliśmy jeszcze nawet zdjąć tablicy.

Twarz Kabuo Miyamoto stężała.

— Kto ją kupił? Chciałbym porozmawiać z tym człowiekiem.

— Carl, syn Ety Heine — powiedziała Liesel. — Zjawił się u nas około dziesiątej rano.

— Carl Heine. — W głosie Japończyka zadrgała gniewna nuta.

Ole zasugerował, żeby Kabuo rozmówił się z Carlem w tej sprawie. Może uda im się dojść do porozumienia. Liesel pokręciła głową i wytarła ręce w fartuch.

— Sprzedaliśmy ziemię — powtórzyła tonem usprawiedliwienia. — Rozumie pan, Ole i Carl dobili targu, przyjęliśmy zadatek, jesteśmy związani umową. Trudno, ziemia została sprzedana. Przykro nam.

— Powinienem być przyjąć wcześniej — burknął Japończyk i wstał.

Nazajutrz przyjechał do nich ponownie Carl Heine — Liesel powiadomiła go przez telefon o wizycie Kabuo Miyamoto — żeby zdjąć tablicę ze stodoły. Ole stał pod drabiną oparty na lasce i relacjonował mu przebieg rozmowy z Japończykiem. Przypomina sobie, że Carl dopytywał się ciekawie o jej szczegóły. Potakiwał głową i słuchał uważnie. Ole opowiedział mu nawet, jak z twarzy Kabuo zniknęła uprzejmość, ustępując miejsca nieprzeniknionej masce, gdy się dowiedział, że ziemia, której tak pragnął, została już sprzedana. Carl przysłuchiwał się tej relacji, kiwając co chwila głową.

— Dziękuję, że mi to pan powiedział — mruknął, zszedłszy z drabiny ze zdjętą tablicą.

Po ogłoszeniu południowej przerwy w rozprawie Kabuo Miyamoto już po raz siedemdziesiąty siódmy zjadł lunch w celi — jednym z dwóch bliźniaczych pomieszczeń, znajdujących się w piwnicy gmachu sądu, bez krat w oknach, gdyż pozbawionych okien. W celi stała niska prycza z demobilu, kibel, umywalka i nocny stoliczek. W rogu betonowej podłogi ziała dziura, a w drzwiach znajdowało się zakratowane okienko o powierzchni małego lufcika. Poza tymi dwoma otworami nie było w tej izbie żadnych prześwitów czy szczelin, przez które mogłoby wsączać się światło. Pod sufitem wisiała naga żarówka, którą Kabuo mógł wedle uznania zapalać i gasić, wkręcając ją lub wykręcając. Jednak już pod koniec pierwszego tygodnia w areszcie odkrył, że woli przebywać w ciemności. Wzrok szybko mu się do niej przyzwyczał, a i ciasnota celi mniej wówczas dokuczała, a wraz z nią świadomość uwięzienia.

Usiadł na brzegu pryczy, mając przed sobą rozstawiony na nocnym stoliku lunch — kanapkę z masłem orzechowym i marmoladą, dwa paski marchwi, kisiel z limety i mleko w blaszanym kubku — który przyniesiono na tacy identycznej jak tace w barach samoobsługowych. Światło wyjątkowo zostawił zapalone, żeby widzieć, co je; poza tym chciał się przejrzeć w lusterku do golenia. Żona powiedziała mu, że wygląda jak żołnierz generała Tojo; chciał się przekonać, czy tak jest istotnie.

Niemal dotykając kolanami stojącej przed nim tacy, przyglądał się swojemu odbiciu w kieszonkowym lusterku. Jego dawna chłopięca twarz całkiem się prawie zatarła przez lata wojny; widok nałożonej na nią obcej twarzy już Kabuo nie dziwił. Tylko na początku przeżył szok, gdy po powrocie do domu ujrzał w swoich oczach tę niepokojącą bezdenną pustkę, jaką widywał w oczach znajomych weteranów wojny. Wydawało się, że takie oczy nie tyle rejestrują przedmioty, na które patrzą, co omijają obecny kształt świata i wpatrują się w inny, stale majaczący gdzieś w oddali, bardziej przy tym rzeczywisty od realnego. Kabuo nosił w pamięci wiele obrazów z wojny; majaczyły pod powierzchnią codziennego życia jak pod wodą. Pamiętał, jak spod hełmu żołnierza, któremu przestrzelił pachwinę, leżącego na zboczu lesistego wzgórza, szumiącego nie milkącym brzęczeniem pszczół, wyjrzała twarz młodziutkiego chłopca. Chłopak spojrział na zbliżającego się do niego z boku Kabuo i drżącym głosem wycedził coś po niemiecku przez zaciśnięte zęby, ale potem wpadł w panikę i sięgnął po karabin, więc Kabuo wystrzelił i trafił go z bliskiej odległości prosto w serce. Chłopiec jednak nadal nie umierał, leżał na wznak między dwoma drzewami, a Kabuo zastygł o dwa kroki od niego z karabinem przy ramieniu. Chłopiec

chwycił się obiema rękami za pierś, z wysiłkiem oderwał od ziemi głowę i ze świstem wciągnął w płuca rozgrzane powietrze upalnego popołudnia. Potem znów coś wybełkotał przez zaciśnięte zęby i Kabuo zrozumiał, że prosi go o pomoc; nikogo innego w pobliżu nie było, więc nie miał wyboru i musiał błagać o ratunek tego Amerykanina, który go zastrzelił. Potem głowa mu opadła i zamilkł, przez jego klatkę piersiową przebiegł dreszcz, z ust pociekła strużka krwi i spłynęła po policzku. Wtedy Kabuo podszedł i ukucnął przy jego prawym boku, a chłopiec położył rękę na jego bucie, zamknął oczy i skonał. Jego usta jeszcze przez chwilę wykrzywił skurcz; Kabuo wpatrywał się w jego twarz dopóty, dopóki skurcz nie zelżał. A potem z ust Niemca wionęła woń śniadania.

Siedząc w celi więziennej, Kabuo wpatrywał się bacznie w swoje odbicie w lusterku. Nie sprawował już nad nim kontroli; jego twarz uformowały przeżycia żołnierza. Wobec świata był więźniem własnej twarzy — i tak się zresztą czuł. Kiedy myślał o tamtym niemieckim chłopcu, konającym na stoku wzgórza, mimo upływu lat wciąż łomotało mu serce, dzwoniło w uszach i drżały mu kolana, jakby wciąż kucnął tam pod drzewem i podnosił manierkę do ust. Cóż miał powiedzieć mieszkańcom San Pedro, by im wyjaśnić przyczynę chłodu, jaki od niego bił? Świat wydawał mu się męczącym nierzeczywistym majakiem, który nie pozwalał mu się w pełni skupić na wspomnieniu o tamtym chłopcu, chmarze much unoszących się nad jego wykrzywioną zdumieniem twarzą, strużce krwi przesączającej się przez koszulę i wsiąkającej w leśną ściółkę, smrodzie z żołądka i dolatujących z daleka karabinowych wystrzałach. Kabuo tylko na pozór zszedł z tamtego wzgórza: w istocie na nim pozostał. Potem zabił jeszcze trzech ludzi; przyszło mu to co prawda już łatwiej, ale morderstwa pozostały przecież morderstwami. Więc jak ma się teraz wytłumaczyć mieszkańcom San Pedro z wyrazu swojej twarzy?

Siedząc nieruchomo na pryczy i wpatrując się w lusterko, nabrał po jakimś czasie dystansu do własnego oblicza i dostrzegł to, co zobaczyła na nim Hatsue. Pojął, że usiłował objawić przysięgłym swoją niewinność, chciał, by dojrzeli męki jego sumienia; siedział sztywno wyprostowany w nadziei, że jego rozpaczliwe opanowanie odzwierciedli stan jego ducha. Ojciec nauczył go, że im bardziej ktoś jest opanowany, tym bardziej się odkrywa, tym jaśniej — zabawny paradoks — ukazuje się prawda o jego życiu wewnętrznym. Kabuo doszedł więc do przekonania, że jego rezerwa wobec świata tłumaczy się sama, że sędzia, przysięgli, publiczność na sali rozpoznają twarz wojennego weterana, który poświęcił spokój własnej duszy, by oni mogli się cieszyć dobrym samopoczuciem. Tymczasem teraz, przyglądając się w lusterku swojej

twarży, stwierdził, że musiał na nich zrobić odwrotne wrażenie: człowieka hardego, wyzywającego. Nie reagował na zewnętrzne wydarzenia, nie dawał przysięgłym szansy odczytywania z nieruchomej twarzy stanu swojego serca.

Składane przed sądem zeznania Ety Heine wzbudziły w nim jednak szalony gniew. Czuł, jak pęka jego starannie ulepiona maska, kiedy ta kobieta wyrażała się tak obraźliwie o jego ojcu. Miał ochotę zaprzeczyć jej słowom, przerwać zeznania i wykrzyknąć prawdę o swoim ojcu, silnym i męznym człowieku, aż do przesady uczciwym, a przy tym uprzejmym i skromnym, zdołał jednak powstrzymać tę chęć.

Siedząc teraz w swojej więziennej celi, przyglądał się w lusterku masce, którą przybrał, żeby przypominała o wojnie i męstwie, na jakie musiał się zdobyć, by stawić czoło jej następstwom, a tymczasem świadczyła jedynie o jego pysze i zagadkowej wyniosłości nie tylko w obliczu sądu, ale i perspektywy śmierci, na którą przecież ten trybunał mógł go skazać. Z kieszonkowego lusterka patrzyła na niego twarz, jaką nałożyła mu wojna, sprawiwszy, że zajrzał w głąb swojej duszy, a choć starał się, jak mógł, pozbyć tej nowej twarzy, ponieważ była dla niego ciężarem, ona już się z nim zrosła i nie dawała się zmienić. W głębi ducha wiedział, że jest winny morderstwa, bo zabijał na wojnie, i ta właśnie wina 'nie znajdował innego słowa — dręczyła go nieustannie i sprawiała, że podejmował wysiłek, by ją ukryć. Tymczasem samo już owo staranie świadczyło o winie, a Kabuo nie wiedział, jak mógłby zaprzestać tych wysiłków. Nie był w stanie kontrolować swojej twarzy, kiedy siedział z rękami opartymi o stół oskarżenia, zwrócony plecami do swoich współziomków. Zdawał sobie sprawę, że na jego twarzy odbija się jego przeznaczenie, jak to stwierdził Nels Gudmundsson na samym początku procesu.

— Z jednej strony istnieją fakty — powiedział — i przysięgli ich, owszem, wysłuchają, ale jeszcze baczniej przyglądają się oskarżonemu. Obserwują, jak zmienia się pańska twarz, kiedy słucha pan zeznań świadków. W gruncie rzeczy szukają odpowiedzi na pytanie: winny czy niewinny, w pana postawie na sali sądowej, w pana wyglądzie, w pańskim zachowaniu.

Kabuo lubił swojego obrońcę. Polubił go od razu, tamtego wrześnieowego popołudnia, kiedy Nels Gudmundsson stanął w drzwiach jego celi, trzymając pod pachą składaną szachownicę i pudło po hawańskich cygarach, w którym przechowywał szachowe figury. Poczęstował Kabuo cygarem, dobytym z kieszonki koszuli, sam zapalił, po czym wyjął dwa batoniki i rzucił je od niechcienia na pryczę obok więźnia. Taki miał zwyczaj okazywania współczucia.

— Nels Gudmundsson, pański adwokat — przedstawił się. — Zostałem wyznaczony przez sąd na pańskiego obrońcę. Otóż...

— Ja tego nie zrobiłem — oświadczył z miejsca Kabuo. — Nie jestem niczemu winien.

— Proszę posłuchać, tym zajmiemy się później, zgoda? Od pięćdziesięciu lat, jeżeli nie dłużej, usiłuję znaleźć człowieka, który miałby trochę wolnego czasu na partyjkę szachów. Wydaje mi się, że w panu go wreszcie znalazłem.

— Istotnie — przytaknął Kabuo. — Ale...

— Służył pan w wojsku — nie pozwolił mu dokończyć Nels. — Domyślam się, że nauczył się pan jako tako grać w szachy, warcaby, rumika, brydża, kierki, domino i loteryjkę. A pasjansę? — zaciekawiał się. — Pasjansę mogłyby zapewnić panu obecnie doskonałą rozrywkę.

— Nigdy nie lubiłem stawiać pasjansów. Poza tym uważam, że człowiek, który zaczyna w kryminale stawiać pasjansę, sam się prosi o depresję.

— Nigdy się nad tym głębiej nie zastanawiałem — przyznał Nels. — Musimy więc jak najszybciej stąd pana wyciągnąć — dodał z uśmiechem.

Kabuo przytaknął.

— Potrafi to pan?

— W tej chwili nie pójdą na żadne ustępstwa, Kabuo. Obawiam się, że posiedzi pan w kozie aż do zakończenia procesu.

— W ogóle nie powinno do niego dojść — stwierdził Kabuo.

— Pan Alvin Hooks nie zgodziłby się z panem — zastrzegł się Nels. — Ze wszystkich sił stara się zmontować sprawę. Ten facet jak najpoważniej traktuje morderstwa pierwszego stopnia i jak najpoważniej będzie się domagał kary śmierci. Powinniśmy się do niego dostroić i również wziąć się do rzeczy poważnie. Czeka nas obu niezgorzsa harówka, więc co by pan tymczasem powiedział na partyjkę szachów?

„Kara śmierci” — powtórzył sobie w duchu Kabuo. Jako buddysta wierzył w prawo karmy, toteż nie zdziwił się, że przyjdzie mu zapłacić za popełnione na wojnie morderstwa: do człowieka wszystko wraca, nic się nie zdarza przypadkiem. Poczul lęk przed śmiercią. Pomyślał o Hatsue, o dzieciach i przeleciało mu przez myśl, że będzie się musiał rozstać właśnie z nimi, najukochańszymi, żeby spłacić dług wobec zmarłych, pogrzebanych we włoskiej ziemi.

— Niech pan siada tu na pryczy — zwrócił się do adwokata, próbując się opanować. — Przyniesiemy stolik i postawimy na nim szachownicę.

— Świetnie — ucieszył się Nels. — Doskonale!

Zaczął niezgrabnie ustawiać bierki. Dłonie miał pokryte brunatnymi plamami, żylaste i obciążone przezroczystą niemal skórą.

— Woli pan białe czy czarne? — zapytał.

— Oba kolory mają swoje zalety — odparł Kabuo. — Niech pan wybiera, panie Gudmundsson.

— Większość graczy woli zaczynać — stwierdził Nels. — Ciekaw jestem, swoją drogą, z czego to wynika.

— Pewnie upatrują przewagę w prawie do pierwszego ruchu. Wierzą w przewagę ataku.

— A pan nie? — zainteresował się Nels.

Kabuo zdjął z szachownicy po jednej bierce z każdego koloru i schował je za plecami.

— To najlepszy sposób na rozwiązanie tego problemu — powiedział. — Wystarczy zgadnąć.

Podsunał adwokatowi zaciśnięte pięści.

— Lewa — wskazał staruszek. — Skoro zdajemy się na przypadek, strona lewa jest równie dobra jak prawa. Przy takim podejściu obie są równe.

— A może nie chce pan losować? — zapytał Kabuo. — Może woli pan białe? Albo czarne?

— Proszę otworzyć ręce — nakazał Nels i wetknął cygaro między zęby, umieszczając je w prawym kąciku ust, z powodu, jak się domyślił Kabuo, protezy dentystycznej.

Pierwszy ruch przypadł adwokatowi. Okazało się, że staruszek nawet nie próbuje dokonać roszady. Nie interesowała go gra końcowa. Jego strategia polegała na poświęcaniu materiału w zamian za przewagę pozycyjną. Szafował w debiucie pionkami i zdołał przeprowadzić miażdżący atak. Wygrał, mimo że Kabuo w porę przejrzał jego zamiary. Obrona oka — ‘ zała się beznadziejna. Partia zakończyła się szybko i nieoczekiwanie.

Kabuo odstawił lusterko na tacę. Zjadł pół kisielu, schrupał marchew i skończył kanapkę, następnie wylał do zlewu mleko i wypił dwa kubki wody. Potem umył ręce, zdjął buty i wyciągnął się na pryczy. Po chwili wstał, żeby wykręcić żarówkę.

Położywszy się z powrotem, zamknął w ciemności oczy i pogрузzył się w snach na jawie.

Śnił nie zasypiając, zapadał w stan pół snu, pół jawy, w jakim często spędzał czas w więziennej celi. Mógł dzięki temu wyrwać się z jej czterech ścian i bujać na swobodzie.

Przemierzał w wyobraźni leśne ścieżki San Pedro, spacerował skrajem jesiennych pastwisk pokrytych chrzęszczącym nabłonkiem szronu, penetrował stare ścieżyny, które odsłaniały się niespodziewanie w chaszczach jeżyn bądź wśród poletek żarnowca. Nosił w pamięci wiele takich zatartych drożyn polnych i z dawna zapomnianych dróg dojazdowych, które zanikały w dolinach zarośniętych pióropuszcami paproci i kotlinkach wypełnionych żmijownikiem. Czasem owe dukty doprowadzały do urwistych cypli nad morzem lub schodziły na plażę, gdzie leżały cedry, młode olchy i klony podmyte przez zimowe sztormy, wczepione suchymi gałęziami w piasek i żwir. Na powalone drzewa fale ciskały wodorosty, skręcając je w grube szlamiaste motki. Potem wyobraźnia niosła Kabuo jeszcze dalej — wypływał na morze, wyrzucał sieć, łowił łososie, smagany wiatrem stał na dziobie „Islandera”, patrzył na lśniące fosforycznie wody oceanu i srebrzące się w poświacie księżyca baranki fal. Wyciągnięty na pryczy więzienia okręgowego, znowu czuł wokół siebie morze, a pod nogami kołysanie pokładu łodzi, sunącej po spienionej powierzchni. Zamknąwszy oczy wdychał chłodny zapach soli i woń łososia w ładowni, słyszał turkot sieciowego wału i niski warkot silnika. Chmary morskiego ptactwa zrywały się z wody i w mglistym brzasku zimnego świtu odprowadzały do portu kuter, w którego ładowni leżało pół tysiąca łososi, a w takielunku zawodził wiatr. W przetwórni Kabuo brał do rąk każdą rybę, zanim przerzucił ją przez burtę — lśniące czawycze, smukłe i gibkie, długie jak jego własne ramię i ważące jedną czwartą tego, co on, o błyszczących szkliszcie, zawsze otwartych oczach. Znowu czuł je w dłoniach, widział pikujące mewy. Kiedy odbijał od nabrzeża przetwórni i płynął w stronę portu, mewy towarzyszyły mu, krążąc wysoko nad łodzią na szeroko rozpostartych skrzydłach. Potem opadały go gęstym stadem, gdy szorował pokład „Islandera”. Słyszał ich skwirzenie i patrzył, jak krążą nisko, polując na odpadki. Marlin Teneskold lub William Gjovaag strzelali do nich z dwururki, a wtedy ptaki rozpierzchały się po wodzie. Wystrzały odbijały się echem od wzgórz Amity Harbor, co przypomniało Kabuo, jakie widoki w tym roku stracił — złote, a potem czerwone brzozy i olchy, rdzawe klony, miedziane odcienie pierwszych dni października, dojrzałe dynie, piękne przyrosty cedrów, kosze młodej cukini, tłoczony w prasach jabłecznik. Przypomnił sobie zapach usychających liści w nieruchomym powietrzu szarego poranka, kiedy po nocnym połowie wchodził na ganek domu, chrzęst liści pod stopami, warstwy liści gnijących po deszczu. Tęsknił za jesiennymi deszczami, kroplami wody, ściekającymi po plecach, zmieszany z morską wodą z jego włosów — tęsknił za rzeczami, za którymi nie spodziewał się tęsknić.



W sierpniu zabrał rodzinę na wycieczkę na wyspę Lanheedron. Łódź przycumowali do boi, a potem Kabuo usiadł do wiosel bączka i popłynęli na plażę Sugar Sand. Jego córki, stojąc w wodzie, dźgały patykami meduzy i zbierały jeżowce, zwane piaskowymi dolarami. Potem poszli całą rodziną — Kabuo niósł najmłodsze dziecko na ręku — w górę strumienia, który przecinał plażę, minęli jakąś kotlinkę i stanęli pod wodospadem spadającym z omszałej skalnej ściany. W cieniu choin kanadyjskich zjedli lunch, a potem zbierali dzikie maliny. Hatsue znalazła między brzoza kilka trujących grzybów i pokazała je córkom. Choć są śnieżnobiałe i piękne, wyjaśniła, nie wolno ich zjadać, bo mogłyby się to skończyć fatalnie. Pokazała im również rosnącą w pobliżu paproć kłączową; jej czarne łodygi, powiedziała, wplecione w kosze z igiel sosny, nadają im połysk.

Kabuo przyglądał się żonie z zachwytem. Zebrała łodygi dzikiego imbiru do przyprawiania ryżu i liście krwawnika na herbatę. Na plaży wykopała małże, złobiąc w piasku rowki spiczastym patykiem. Znalazła „szkło morskie” i skamieniałą nogę kraba odcisniętą w kawałku skały; opryskała najmłodsze dziecko morską wodą. Wieczorem dziewczynki pomogły ojcu zbierać na plaży chrust na ognisko. O zmroku zepchnęli bączek na wodę. Starsza córka złowiła dorsza w kępach morskoczynów u brzegu wyspy. Kiedy Kabuo patroszył rybę na pokładzie, Hatsue złapała na wędkę drugiego. Kolację zjedli na morzu — dorsz, małże, ryż z imbirem, herbata z krwawnika. Młodsza córka i niemowlę zasnęły na koi, starsza objęła ster. Państwo Miyamoto poszli na dziób kutra. Stali tam przytuleni — Kabuo za plecami żony, trzymając się olinowania, ona wtulona w jego ramiona — dopóki na południu nie ukazały się światła Amity Harbor; Kabuo przejął wtedy ster z rąk córki, żeby wprowadzić „Islandera” w kanał portowy. Dziewczynka oparła głowę na ramieniu ojca i o północy wpłynęli do portu.

Następnie przypomniał sobie pola truskawkowe sprzed internowania i ujrzał je w wyobraźni jak żywe — morze truskawek, rzędy i rzędy owoców, zawity niczym siatka tętnic labirynt rozłogów wczepionych w grunty dziesiątka farm znanych mu od dziecka jak własnych pięć palców. Pochylony wśród rzędów bujnych roślin, zrywał owoce, słońce piekło w kark, a on kuczał w tym czerwono-zielonym morzu, napełniając dwanaście sosnowych łubianek w skrzynce, i wdychał zapach truskawkowych pól, otulający go niczym mgłą.

Potem ujrzał swoją żonę z czasów, gdy była jeszcze panną: Hatsue, szczupła jak zawsze i gibka, zbiera truskawki na farmie rodziny Ichikawa, a on zbliża się do niej niby przypadkiem, nieumyślnie, niosąc skrzynkę z owocami. Pochłonięta pracą, dziewczyna nie zwraca na niego

uwagi, aż raptem, nie przerywając swojego zajęcia, podnosi oczy — jej palce wśród truskawek wyglądają jak obsypane rubinami — i podczas gdy ich spojrzenia spotykają się, napelnia na oślep jedną z lubianek; trzy inne, nasypane kopiaisto dojrzałym owocem, stoją już na skrzynce. Kabuo przysiada w pobliżu, aby zrywając truskawki zerkać na dziewczynę: Hatsue kuca tak nisko, że niemal dotyka kolanami brody, włosy splotła w długi gruby warkocz, ale niesforne kosmyki wymykają się z więzów starannej fryzury i wiją u nosa i policzków; na czole dziewczyny lśnią kropelki potu. Hatsue ma szesnaście lat. Kuca nisko nad ziemią, przyciskając do piersi uda. Ma na sobie sandałki i czerwoną muślinową sukienkę z wąskimi ramiączkami.

Znowu zobaczył w wyobraźni jej muskularne nogi, opalone na brązowo łydki, giętki kręgosłup, kropelki potu na szyi. Wieczorem tamtego dnia poszedł ścieżką przez las, żeby się gapić na dom Hatsue, stojący wśród pól otoczonych wysokimi cedrami, oświetlonych sierpem księżyca. W oknie migotała pomarańczowym płomykiem lampa naftowa, a jej blask trójkątną smugą padał na ganek przez uchylone drzwi. Grały świerszcze, kumkały żaby, gdzieś w oddali ujadał pies, nocny wiatr wydymał schnące na sznurze pranie. Kabuo znowu wciągnął w płuca woń zielonych rozłogów truskawek, zapach morza i nasiąkłej deszczem ściółki pod cedrami. Hatsue zbliżała się do niego z wiadrzem kuchennych odpadków, zmierzając do kupy kompostu — niemal słyszał skrzypienie rzemyków w jej sandałkach — a z powrotem przeszła między rzędami malin. Patrzył, jak jedną ręką zgarnia na plecach włosy, a drugą szuka najdojrzalszych owoców. Jej pięty klaskały o podeszwy sandałków. Wkładała maliny do ust, a pędy roślin odginały się bezszelestnie, kiedy zerwała owoc. Kabuo pożerał dziewczynę wzrokiem i wyobrażał sobie, że jej pocałunek miałby tej nocy smak malin:

Przypomniawszy sobie, jak na lekcjach historii gryzła koniec ołówka, zanurzając rękę w bujnych włosach na karku, jak szła korytarzem, przyciskając książki do piersi, ubrana w plisowaną spódniczkę, sweterek w dwubarwne romby i białe skarpetki do kostek, zawinięte równo nad błyszczącymi sprzączkami bucików. Spojrzała na niego, kiedy ją mijał, po czym szybko odwróciła wzrok.

Przypomniawszy sobie Manzanar, piasek w barakach, piasek w krytych papą szopach i stolówce, nawet chleb zgrzytał w zębach piaskiem. Pracowali w obozowym ogrodzie, uprawiali psiankę i sałatę. Płacono im mamie, godziny wlokły się w nieskończoność, ale powiedziano im, że ciężka praca to ich obowiązek. Kabuo i Hatsue z początku niewiele ze sobą rozmawiali, potem gawędzili o zapachu dojrzewających truskawek na polach San Pedro, które musieli opuścić. W

Kabuo obudziła się miłość, pokochał tę dziewczynę za coś więcej niż tylko urodę i wdzięk, a kiedy spostrzegł, że dzieli jego pragnienia, zaczął myśleć o niej poważnie. Pierwszy raz pocałowali się na skrzyni ciężarówce, którą wracali na noc do obozu. Smak ciepłych i wilgotnych ust dziewczyny sprowadził ją w oczach Kabuo — choć pocałunek był krótki — ze świata istot anielskich w świat żywych ludzi, co tylko pogłębiło jego miłość. Odtąd, ilekroć podczas pracy w ogrodzie przechodził obok ukochanej, obejmował ją w pasie, a ona zaciskała palce na jego dłoni, która w Manzanarze stała się szorstka i twarda. Odwzajemniał jej uścisk, po czym wracali do pielienia chwastów. Wiatr miotał im w twarze piasek pustyni, na pergamin wysuszał skórę i zmieniał włosy w sztywne druty.

Kabuo pamiętał wyraz przestachu na twarzy Hatsue, kiedy oznajmił, że zaciągnął się do wojska. Przestraszyła się — jak mu powiedziała — nie tyle tego, że wyjeżdża, choć już to było straszne, lecz tego, że może nie wrócić lub wrócić odmieniony. Niczego jej nie obiecywał, nie zapewniał, że wróci, nie przyrzekał, że wróci jako taki sam człowiek. Honor wymaga, by poszedł na tę wojnę, wyjaśnił, nie ma wyboru, musi spełnić swój obowiązek. Hatsue nie przyjmowała jego argumentów do wiadomości, upierała się, że ich miłość jest ważniejsza od obowiązku, wyrażała nadzieję, że Kabuo podzieli jej zdanie. On oświadczył jednak, że choć kocha ją z całego serca, nad życie, musi spełnić nakaz honoru. Gdyby nie poszedł na wojnę, sprzeniewierzyłyby się samemu sobie, okazałyby się niegodzien Hatsue.

Pogniewała się na niego i zaczęła go unikać; przez następne trzy dni nie odzywali się do siebie. W końcu Kabuo podszedł do niej o zmierzchu w ogrodzie i powiedział, że kocha ją najbardziej na świecie i ma jedynie nadzieję, że Hatsue zrozumie, dlaczego musi ją opuścić. Nie prosi jej o nic więcej, tylko o to, by brała go takim, jaki jest, bo tak już został wychowany. Hatsue wysłuchała go, trzymając w ręku gracę na długim trzonku, a wysłuchawszy powiedziała, że nauczyła się od pani Shigemury, iż charakter człowieka określa jego los. Kabuo postąpi tak, jak mu nakazuje jego natura, ona, Hatsue, będzie posłuszna własnej.

Skinął głową, zmuszając się, by nie okazać po sobie zawodu, po czym odwrócił się i oddalił między rzędami psianki. Ledwo uszedł kilkanaście kroków, dziewczyna zawołała go i zapytała, czy ożeni się z nią przed wyjazdem.

— Dlaczego chcesz za mnie wyjść? — zapytał, na co odrzekła:

— Żeby zachować cząstkę ciebie. — Odrzuciła gracę, podeszła do Kabuo i objęła go. — Taki już mam charakter — wyszeptała. — Odtąd moim przeznaczeniem będzie kochać ciebie.

Ich związek był typowym małżeństwem wojennym, teraz to dostrzegają, zawartym w pośpiechu, z braku innego wyjścia, w obopólnym przeświadczeniu, że zawierając je czynią rzecz słuszną. Znali się ledwie kilka miesięcy, choć Kabuo już wcześniej podziwiał Hatsue z daleka, lecz gdy się nad tym zastanawiał, dochodził do wniosku, że byli sobie przeznaczeni. Rodzice obojga wyrazili zgodę na ich małżeństwo i Kabuo wyjechał na wojnę w radosnym przekonaniu, iż Hatsue będzie na niego czekała, że znajdzie ją po powrocie nie zmienioną. A tymczasem wrócił jako morderca i spełniła się obawa dziewczyny, że jej najmilszy przestanie być sobą.

Przypomniawszy sobie również twarz ojca oraz miecz, który Zenhichi przed Pearl Harbor przechowywał w drewnianej skrzyni. Jak głosiło rodzinne podanie, miecz — *katana* — wykuty przez płatnerza Masamune, należał do rodziny Miyamoto od sześciu stuleci. Ojciec Kabuo trzymał go w pochwie owiniętej w szmaty. Był to oręż pozbawiony zbędnych ozdób, nader skuteczny w walce. Jego piękno zawierało się w prostocie, w elegancji nieznacznej krzywizny; nawet drewniana pochwa była oszczędna i prosta w formie. Ojciec Kabuo wyniósł go pewnej nocy z domu i zakopał — wraz z drewnianymi mieczami treningowymi, *bokken*, do ćwiczeń *kendo*, swoim sznurem *sageo*, pasem *obi*, spodniami *hakama* — na polu truskawek. Pieczołowicie zawinięte, złożył te rzeczy w wykopanym dole razem z dynamitem, który mu służył do karczunku, skrzynią pełną książek i zwojów napisanych po japońsku oraz fotografią Kabuo, zrobioną w Ognisku Japońskim w San Pedro, na której chłopiec jest ubrany w feudalny kostium-aktora *bugeisha* i dzierży *bokken*.

Kabuo zaczął treningi *kendo*, kiedy miał siedem lat. Ojciec zabrał go pewnej soboty do budynku Ogniska, gdzie w kącie sali gimnastycznej urządzono *dojo*. Uklękli przed wnęką w głębi pomieszczenia i kontemplowali półkę, na której stały równym rzędkiem miseczki z surowym ryżem. Kabuo nauczył się kłaniać w pozycji siedzącej. Kiedy siedział na piętach, ojciec wyjaśnił mu szeptem sens *zenshin*, czyli, jak to malec zrozumiał, nakazu czujności wobec każdego zagrożenia. Ojciec powtórzył dwukrotnie:

— *Zenshin! zenshin!* — po czym zdjął ze ściany drewniany kij i zanim Kabuo zmiarkował, co się dzieje, dźgnął go mocno w splot słoneczny. — *Zenshin!* — zawołał, gdy syn rozdziawił usta, nie mogąc złapać tchu. — A mówiłeś, że rozumiesz?

Zenhichi uświadomił chłopcu, że jeśli zechce uczyć się *kendo*, będzie się od niego więcej wymagało niż od zwykłego człowieka. Czy nadal pragnie podjąć naukę? Wybór należy do niego; powinien się dobrze zastanowić.

Pewnego lipcowego dnia, wczesnym rankiem, tuż po zakończeniu zbiorów — Kabuo miał wtedy osiem lat — ojciec zaprowadził go na pole i włożył mu do ręki treningowy miecz, *bokken* — zakrzywiony kij z wiśniowego drzewa mniej więcej metrowej długości. *Bokken* należał do pradziadka Kabuo, który był samurajem przed reformami ery Meiji, a później, gdy zabroniono nosić miecze, został na dziesięć dni rolnikiem na rządowych ryżowiskach na Kiusiu, dopóki nie przystał do grupy dwustu innych zbuntowanych samurajów w Kumamoto. Okrzyknąwszy się Ligą Boskiego Wiatru, zaatakowali gołymi mieczami cesarski garnizon, pościwszy uprzednio przez trzy dni. Uzbrojeni w karabiny obrońcy garnizonu pierwszą salwą położyli trupem niemal wszystkich napastników. Ci, którzy przeżyli, w liczbie dwudziestu dziewięciu (wśród nich pradziadek Kabuo), popełnili samobójstwo na polu walki.

— Pochodzisz z rodu samurajów — oznamił synowi po japońsku Zenhichi. — Twój pradziad zginął, bo nie potrafił się tego wyrzec. Jego nieszczęście polegało na tym, że przyszło mu żyć w czasach, kiedy samurajowie przestali być potrzebni. Nie potrafił się do tego przystosować i zalała go złość do świata. Pamiętam, ile w nim było złości. Żył pragnieniem zemsty na reformach ery Meiji. Kiedy zabroniono publicznego noszenia mieczy, zaczął zabijać ludzi, których ledwo znał — urzędników rządowych, ojców rodzin, naszych sąsiadów, z których dziećmi często się bawiliśmy. Zupełnie zszedł zmysły, mówił o konieczności takiego duchowego oczyszczenia, by nie imać się go kule, wystrzelone ze strzelb popleczników reform Meiji. Wciąż gdzieś wychodził nocami, nie wiedzieliśmy dokąd. Moja babka z niepokoju obgryzała paznokcie do krwi. Krzyczała na niego, kiedy wracał nad ranem do domu, ale dziadek pozostawał głuchy na jej krzyki, nie składał też żadnych wyjaśnień. Stale chodził z czerwonymi oczami i twarzą zastygłą w surowym grymasie. W milczeniu opróżniał swoją miseczkę ryżu, a w domu nosił miecz. Szeptano, że dołączył do innych samurajów, których era Meiji pozbawiła sensu istnienia. Uzbrojeni w miecze, włóczyli się w przebraniu po ulicach i zabijali rządowych urzędników. Stali się bandytami, złodziejami i wyrzutkami społeczeństwa. Pamiętam, że dziadek był uszczęśliwiony, kiedy się dowiedział o zabójstwie Okubo Toshimichi, człowieka odpowiedzialnego za skonfiskowanie zamku jego pana i wygubienie jego wojska. Szczerzył w uśmiechu zęby i pił.

Dziadek był doskonałym szermierzem — dodał Zenhichi — ale gniew go w końcu wyniszczył. Ironia losu polega na tym, że kiedy byłem chłopcem w twoim wieku, a on zadowolonym i pokojowo nastawionym człowiekiem, stale mi przypominał, do czego

mężczyźnie powinien służyć miecz. „Miecz samuraja ma dawać, a nie odbierać życie” — powtarzał. Przeznaczeniem miecza jest obrona życia, a nie odbieranie go.

Możesz osiągnąć mistrzostwo we władaniu *bokken*, jeśli się skoncentrujesz — powiedział ojciec Kabuo. — Masz to we krwi. Musisz się tylko zdecydować na naukę już teraz, kiedy masz osiem lat.

— Chcę się uczyć — odparł Kabuo.

— Wiem — powiedział ojciec. — Lecz spójrz tylko na swoje ręce.

Kabuo poprawił uchwyt.

— Stopy — powiedział ojciec. — Przednia bardziej do środka. Za mocno stoisz na tylnej.

Zaczęli ćwiczyć uderzenie z góry na dół, przesuwając się wzdłuż rzędów truskawek; chłopiec nacierał, mężczyzna się cofał, obaj byli tym zupełnie pochłonięci.

— *Bokken* uderza — instruował ojciec. — Cięcie w biodra i brzuch. Musisz napiąć mięśnie brzucha, kiedy zbliża się cios. Źle, spinasz kolana! Powinny się rozluźnić, kiedy zadajesz cios. Łokieć luźny, w przeciwnym razie nie wykończysz należycie ciosu, *bokken* jest odcięty od siły całego ciała. Biodra niżej, kolana i łokcie luźne, brzuch napięty. Tnij. Obróć się, jeszcze raz. Uderzaj...

Zenhichi pokazał synowi, jak trzymać miecz, by nadgarstki zachowały giętkość i swobodę ruchów. Minęła godzina i przyszła pora brać się do pracy w polu, więc odłożyli *bokken*. Później Kabuo codziennie rano ćwiczył ciosy *kendo* — cięcie z góry na dół, które rozszczepia głowę przeciwnika aż do nasady nosa, na pół rozłupując czaszkę i pozostawiając jedno oko po każdej stronie; cztery ciosy po przekątnej — z prawej i z lewej, z dołu i z góry — te przecinały przeciwnika poniżej żeber lub odrąbywały mu zgrabnie ramię; poziomy cios zadawany z lewej strony mógł przeciąć człowieka powyżej bioder; wreszcie najbardziej popularny z ciosów *kendo*, poziome uderzenie, jakie szermierz praworęczny mógł wyprowadzić z wielką siłą w lewy bok głowy przeciwnika.

Kabuo ćwiczył te uderzenia, póki nie weszły mu w krew, a *bokken* nie stał się przedłużeniem jego ramion. Nim skończył szesnaście lat, nie było w Ognisku Japońskim nikogo, kto mógłby się z nim równać, nawet z grona kilku dorosłych mężczyzn, dla których *kendo* było życiową pasją. Nawet jego ojciec musiał uznać wyższość syna, co zresztą uczynił bez uczucia wstydu. W „Klubie Kendo” mówiło się, że Zenhichi, mimo swego wieku, pozostaje nadal najlepszym szermierzem, szlachetniejszej od syna próby, ale Kabuo odznacza się większą

walecznością i dla osiągnięcia końcowego zwycięstwa gotów jest — w stopniu większym niż ojciec — czerpać z mrocznych pokładów własnej duszy.

Kabuo zrozumiał, jak trafna i przenikliwa była ta ocena starszych kendoków, jak głęboko zajrzeli w jego serce, dopiero kiedy zabił na wojnie czterech niemieckich żołnierzy. Był urodzonym wojownikiem, odziedziczył skłonność do walki po swoich przodkach i miał ją przekazać następnym pokoleniom. Pojął, że historia jego pradziadka, obłąkanego samuraja, była opowieścią o nim samym. Kiedy czasami chwytała go wściekłość na tych, którzy ograbili jego rodzinę z truskawkowej ziemi, zbierał swój gniew w splocie słonecznym, stawał na podwórku z kijem do *kendo* i ćwiczył się w czarnej choreografii morderczego kunsztu. Od końca wojny widział wokół siebie tylko ciemność, tak w świecie zewnętrznym, jak we własnej duszy — wszędzie, poza wonią truskawek, cudownym zapachem Hatsue i trójki ich dzieci, chłopca i dwóch dziewczynek, trzech darów bożych. Kabuo czuł, że nie zasługuje na szczęście, jakie mu daje rodzina, toteż późno w nocy, kiedy nie mógł zasnąć, wyobrażał sobie, że napisze do swoich bliskich list, w którym wypowiada się z popełnionego grzechu, a potem ich opuści, by cierpieć gdzieś w samotności dopóty, dopóki cierpienie nie przemoże w nim skłonności do gniewu. Może wygaśnie w nim w końcu wrodzona porywczność, uwolni się od niej i będzie mógł kontemplować własne przeznaczenie i kolejne wcielenie w wielkim kole życia.

Siedząc tu, w więzieniu, oskarżony o morderstwo Carla Heinego, wyobrażał sobie, że oto znalazł cierpienie, o którym myślał i którego pragnął. Kabuo Miyamoto cierpiał bowiem w więziennej celi męki strachu przed grożącą karą. Kto wie, może jest mu przeznaczone odplacić za życie, które odebrał w gniewie innym ludziom? Na tym przecież polega prawo przyczyny i skutku, w tym się wyraża nietrwałość wszelkiego istnienia. Życie jest tak nieodgadniona zagadką! Wszystko jest w tajemniczy sposób połączone i podlega przeznaczeniu — medytował nad tym w swej mrocznej celi i rozumiał to coraz jaśniej. Nietrwałość, przyczyna i skutek, cierpienie, pożądanie, bezcenny dar życia. Każda czująca istota natęża się i prze, żeby się przebić przez skorupę swego odrębnego „ja”. Kabuo miał dość wolnego czasu i dostatecznie cierpiał, by wstąpić na stromą ścieżkę; wyzwolenia, której przebycie miało mu zabrać wiele wcieleń. Musi poczynić jak największe postępy i zaakceptować fakt, że góra jego grzechów, wynikłych z porywczego charakteru, jest zbyt wysoka, by zdołał wdrapać się na nią w tym życiu. Będzie się na nią wspinał w następnym i w następnym wcieleniu, coraz więcej i więcej cierpiąc.

Wiał uporczywy północny wiatr, miotając śniegiem na budynek sądu. Do dwunastej w południe miasteczko pokryła gruba na niemal dziesięć centymetrów warstwa puchu tak zwiewnego, że trudno właściwie powiedzieć, by osiadł. Wirował po ulicach Amity Harbor tumanami lodowatej mgły, podobnej do tchnienia duchów, kurzawy pylnych diabłów, białych jak kość słoniowa mroźnych oparów, spiralnych smug siwego dymu. Do południa wichura do cna wywiała z miasteczka zapach morza, a jego przestwór zasnuła mgła. Śmiałkowie, którzy odważyli się wyjść z domu, stwierdzali, że ich pole widzenia jest dramatycznie zawężone, zamazane, mętne i nieprzejrzyste, a w nozdrza szczypie ich mróz. Brnąc ze zwieszonymi głowami w stronę sklepu spożywczego Petersena, wzbijali śniegowcami tumany śniegu, a gdy podnosili wzrok, by przyjrzeć się zbieletemu światu, wiatr smagał płatkami zmrużone oczy, czyniąc z nich zupełnych krótkowidzów.

Ishmael Chambers włóczył się bez celu w śnieżnej zawiei, zachwycając się śnieżycą i oddając wspomnieniom; proces Kabuo Miyamoto odświeżył w jego pamięci minione zdarzenia.

Niemal cztery lata pieścili się z Hatsue w dziupli cedru z leniwą błogością młodziutkich kochanków. Wyciągnięci na paltach rozesłanych na poduszce mchu — w dni powszednie po zmroku, w soboty i niedziele popołudniami — starali się przebywać w pniu drzewa najdłużej jak się dało. Cedr wydzieliał aromat, którym przesiąkała ich skóra i ubrania. Wchodzili do wnętrza dziupli, wciągali głęboko powietrze, po czym kładli się i dotykali jedno drugiego; żar owych pieszczot, woń cedru, wrażenie całkowitego odosobnienia, spotęgowane przez padający na zewnątrz deszcz, wilgotna miękkość ich warg i języków stwarzały chwilowe złudzenie, że reszta świata zniknęła — istnieli tylko oni dwoje. Ishmael przytulał się do dziewczyny, zamykał ją w objęciach, a ona przywierała do niego, unosząc biodra nad materac z mchu i rozchylając pod spódnicą nogi. Dotykał jej piersi i paska majtek, a Hatsue gładziła jego brzuch, piersi i plecy. Wracając samotnie do domu przez las, zatrzymywał się czasem w ustronnym miejscu i onanizował się, bo nie miał innego sposobu uwolnienia się od żądz. Masturbując się, myślał o Hatsue. Zaciskał powieki i opierał głowę o drzewo; później czuł się i lepiej, i gorzej zarazem.

Czasem w nocy zamykał oczy i wyobrażał sobie, jak by to było, gdyby się pobrali. Myśl, że mogliby wyjechać razem gdzieś, gdzie nic by nie stało na przeszkodzie ich małżeństwu, nie wydawała mu się wcale nierealną mrzonką. Lubił sobie marzyć, że mieszkają we dwoje gdzieś w Szwajcarii, Włoszech lub we Francji. Zatracił się w miłości do Hatsue; uznał, że było to uczucie



zapisane w gwiazdach. Przeznaczenie sprawiło, że jako mały chłopiec spotkał tę dziewczynę na plaży, aby spędzić z nią następnie resztę życia. Nie mogło być inaczej.

W dziupli swojego cedru rozmawiali o różnych rzeczach z przejęciem i emfazą nastolatków. Ishmael stwierdził przy okazji, że Hatsue miewa zmienne nastroje. Czasami stawała się oziębła i milcząca; wtedy czuł, że oddała się od niego tak daleko, iż dosięgnięcie jej wydawało mu się niepodobieństwem. Nawet trzymając ją w objęciach miał wrażenie, że w jej sercu istnieją zakątki, do których nie ma dostępu. Co jakiś czas brał się na śmiałość i wyznawał dziewczynie, jak bardzo go boli, kiedy nie jest z nim bezgranicznie szczerą. Zaprzeczała temu, wyjaśniając, że nic nie może poradzić na tę uczuciową rezerwę. W dzieciństwie, oświadczyła, wpojono jej nawyk wystrzegania się wylewnych uczuć, lecz to nie znaczy, że ich nie doświadcza. Jej milczenie przemówi do niego, dodała, gdy się nauczy go słuchać. Zapewnienia Hatsue nie rozwiały jednak podejrzeń Ishmaela, że sam kocha goręcej, niż jest kochany; wątpliwości te przyczyniały mu ciągłego strapienia.

Stwierdził, że jego ukochana żywi przekonania religijne, z których istnienia zdawał sobie jaśniej sprawę, kiedy byli oboje młodszy. Wyciągał ją na rozmowy na owe tematy i dziewczyna wyznała mu kiedyś, że stara się pamiętać o niektórych podstawowych zasadach swojej wiary. Istotą życia jest przemijalność; Hatsue codziennie o tym rozmyślała. Człowiek powinien działać rozważnie, ponieważ każdy czyn — wyjaśniła przyjacielowi — odciska się na przyszłych losach duszy. Zwierzyła mu się, że dręczą ją wyrzuty sumienia, ponieważ spotyka się z nim potajemnie i oszukuje rodziców. Nie ulegało dla niej wątpliwości, że poniesie dotkliwe konsekwencje takiego postępowania, nikt bowiem nie może tak długo żyć w kłamstwie i nie zapłacić za to w ten czy inny sposób. Ishmael oponował, utrzymując, że Bóg nie może oceniać ich miłości w kategoriach występku lub zła. Bóg — odparła mu na to — jest sprawą osobistą każdego człowieka; tylko ona sama może wiedzieć, czego oczekuje od niej Bóg. Ważne są pobudki czynów — dodała — a jakie nią mogą kierować pobudki, gdy ukrywa przed rodzicami to, że spędza czas z Ishmaelem? Kwestia uświadomienia sobie motywów własnego postępowania dręczyła Hatsue najbardziej.

W szkole Ishmael udawał wobec ukochanej zupełną obojętność. Traktował ją jak powietrze, korzystając z umiejętności, jakiej z wolna od niej samej nabywał, Hatsue była bowiem mistrzynią w sztuce stwarzania pozorów. Ubrana w kraciatą bluzeczkę z równymi zakładkami, bufiastymi rękawami i marszczonym kołnierzykiem, ze wstążką we włosach, w plisowanej spódnicy, mijała go na korytarzu, przyciskając do piersi książki, i szła dalej z najnaturalniej

obojętną miną, co z początku boleśnie chłopaka raniło. Jak ona może udawać taką oziębłość, zastanawiał się, naprawdę jej nie czując? Stopniowo nauczył się jednak znajdować przyjemność w tych spotkaniach, choć jego własna poza na obojętność wydawała mu się nieco wysilona i za każdym razem dręczył go niepokój, z trudem maskowany, że mógłby napotkać wzrok przyjaciółki. Od czasu do czasu mówił nawet Hatsue „cześć”, co miało w jego zamyśle stanowić część strategii odgrywania obojętności.

— Trudna klasowa — zwracał się do niej na przykład po lekcji. — Jak ci poszło?

— Sama nie wiem. Prawie się nie uczyłam.

— Napisałaś wypracowanie dla Sparlinga?

— Usiłowałam. Napisałam na stronę.

— Ja trochę dłuższe.

Potem odchodził, zbierał swoje książki i opuszczał klasę w towarzystwie Sheridana Knowlesa, Dona Hoyta albo Denny’ego Horbacha.

Podczas Święta Truskawki w roku 1941 patrzył, jak burmistrz Amity Harbor koronuje Hatsue na Truskawkową Królową, wkładając jej na głowę koronę i wieszając szarfę na lewym ramieniu. Hatsue wraz z czterema innymi dziewczętami przeszła następnie wśród zebranych tłumów, rzucając dzieciom cukierki z truskawkowym nadzieniem. Ojciec Ishmaela — w jednej osobie właściciel, wydawca, redaktor, reporter, fotograf i drukarz „Kuriera San Pedro” — okazywał szczególne zainteresowanie dla tych dorocznych uroczystości; dostarczały mu tematu do wstępniaka, ilustrowanego portretem ukoronowanej ślicznotki i nie upozowanymi fotografiami rozłożonych na zielonej trawce rodzin („Państwo Maltonowie z Protection Point bawią się na sobotnim Święcie Truskawki”), przychylnego komentarza lub felietonu podkreślającego wysiłek organizatorów („...Ed Bailey, Lois Dunkirk i Carl Heine, Sr., bez których zaangażowania ta piękna uroczystość nie mogłaby dojść do skutku...”). Arthur Chambers przechadzał się po terenie pikniku w muszce, szelkach i nasuniętym na czoło kapeluszu o okrągłym denku, dźwigając zawieszony na szyi na grubym rzemiennym pasku ciężki niczym kowadło aparat fotograficzny. Ishmael stał obok ojca, kiedy ten robił zdjęcie Hatsue Imady. Mrugnął nawet do przyjaciółki, gdy Arthur wlepił oko w wizjer; odpowiedziała mu lekkim uśmiechem.

— Dziewczynka z sąsiedztwa — stwierdził Arthur. — South Beach może być dumne!

Ishmael nie odstępował tego popołudnia ojca; wzięli udział w zawodach przeciągania liny i wyścigu na trzech nogach. Platformy festiwalowe — wiozące dwór Truskawkowej Królowej, upozowany teatralnie pod baldachimem z gałązek wiśni i świerku, upiętych na drucianych stelażach, udekorowane paprociami, cyniami i niezapominajkami — przeciągały niczym okręty przed Komitetem Święta Truskawki, w którego skład wchodził burmistrz, przewodniczący izby handlowej, naczelnik straży pożarnej oraz Arthur Chambers. Ishmael stał obok ojca, kiedy Hatsue przejeżdżała na platformie przed trybuną, po królewsku pozdrawiając widzów trzymanym w ręku berłem, ozdobionym marszczoną bibułą. Chłopak pomachał ukochanej i posłał jej uśmiech.

Nadszedł wrzesień; Ishmael i Hatsue zaczęli ostatni rok nauki w szkole średniej. Wyspa zapadła w szarzielony letarg, letnicy wyjechali, niebo zaciągnęło się chmurami, nastaly mgliste noce, we dnie mgły snuły się nisko w dolinach między wzgórzami, polne drogi stały się błotniste, opustoszały plaże, wśród kamieni wały się opróżnione skorupy małży, sklepy w Amity Harbor ucichły i zamknęły podwoje. Na początku października wyspa San Pedro zrzuciła letnią maskę wesołka i odsłoniła oblicze ociężałego, leniwego śpiocha, szykującego się do zimowego snu na łożu z wilgotnych zielonych mchów. Samochody, niczym niemrawe żuki, wlokły się po żwirowych i błotnistych drogach, nad którymi zwieszały się gałęzie drzew, z prędkością trzydziestu paru kilometrów na godzinę. Wczasowicze ze Seattle odeszli we wspomnienia, wzbogaciwszy konta bankowe tubylców. Rozpalano piece, znoszono z pięterek książki, reperowano koldry. Rynsztoki napełniły się rdzawymi igłami sosen i zapchały olszynowymi liśćmi, w studzienkach odpływowych bulgotały jesienne deszcze.

Pewnego popołudnia Hatsue opowiedziała Ishmaelowi o naukach, jakich jej udzieliła pani Shigemura, i przykazaniu, jakie od niej dostała, gdy miała trzynaście lat, aby mianowicie wyszła za mąż za chłopca własnej rasy, Japończyka z zacnej rodziny. Nie po raz pierwszy wyznała przyjacielowi, jak jest nieszczęśliwa, oszukując bliskich. W obecności rodziców i sióstr nie mogła ani na chwilę zapomnieć o tajemnicy, jaką w sobie nosiła, więc czuła się tak, jakby ich zdradzała, a zdrada jest złem, nie znajduje na to innego określenia. Na zewnątrz dziupli deszcz kapał z baldachimu cedrowych gałęzi i wsiąkał w poszycie z bluszczu. Hatsue przyciskała policzki do podkurczonych kolan i wyglądała przez otwór w pniu drzewa. Włosy splecione w warkocz spływały po jej plecach.

— My nie robimy nic złego — upierał się Ishmael. — Co w tym widzisz złego? Jeśli to jest coś złego, wszystko jest bez sensu. To świat jest zły, Hatsue. Nie zadręczaj się niepotrzebnie.

— To nie takie proste, Ishmaelu. Widzisz, ja codziennie okłamuję własną rodzinę. Czasem mam wrażenie, że od tego zwariuję, że to nie może tak dalej trwać.

Później leżeli obok siebie na mchu, podłożywszy pod głowy ręce, i patrzyli w mroczną powalę dziupli.

— To nie może tak dłużej trwać — powtórzyła Hatsue. — Czy ciebie to nie dręczy?

— Owszem. Masz rację.

— Więc co zrobimy? Jaką masz na to odpowiedź?

— Nie wiem — przyznał. — Obawiam się, że żadnej.

— Słyszałam, że podobno jeden rybak twierdzi, jakoby widział niemiecką łódź podwodną w pobliżu Amity Harbor. Prawie kilometr płynął za jej peryskopem. Myślisz, że to prawda?

— Ależ skąd! Ludzie są teraz gotowi we wszystko uwierzyć, ze strachu, jak sędzę. Powoduje nimi wyłącznie strach, nic więcej. Po prostu się boją.

— Ja też się boję. Wszyscy się dziś boją.

— Mam zamiar zaciągnąć się do wojska — oświadczył. — Muszę się zmierzyć z tym wyzwaniem.

Leżeli w dziupli cedru i myśleli o wojnie, choć taka była jeszcze daleka. Nie docierała do nich, więc uważali się nadal za szczęśliwców, jeśli nie liczyć niedogodności ich sekretnej przyjaźni. Od niektórych realiów rzeczywistości chroniło ich pochłonięcie sobą, namiętnością ciał, ich zmieszanyimi zapachami i poruszeniami. A jednak Ishmael Chambers nie mógł w nocy zasnąć, ponieważ na świecie toczyła się wojna. Starał się wtedy myśleć o Hatsue i zasypiał z obrazem ukochanej, choć potem wojna i tak wdzierała się w jego sny, prześladowając go koszmarami.

Hatsue Imada stała po skończonym nabożeństwie w przedsionku buddyjskiej kaplicy w Amity Harbor i zapinała płaszcz, kiedy matka Georgii Yamashity oznajmiła zebrany nowinę o ataku na Pearl Harbor.

— To bardzo zła wiadomość — dodała. — Lotnictwo japońskie zbombardowało port. To wróży nam jak najgorzej. W radiu o niczym innym nie mówią, tylko o Pearl Harbor.

Hatsue zgarnęła pod szyją klapy płaszcz i zerknęła na rodziców. Jej ojciec, który pomagał właśnie matce wkładać palto, wpatrywał się w panią Yamashitę mrugając powiekami.

— To niemożliwe — oświadczył.

— Niestety! — westchnęła pani Yamashita. — Posłuchajcie radia. Dziś rano lotnictwo japońskie zbombardowało Hawaje.

Wraz z państwem Yamashita, Ichihara, Sasaki i Hayashida stali w kuchni obok sali zebrań i słuchali stojącego na ladzie radia. Nikt nic nie mówił, po prostu stali, zwróciwszy uszy ku odbiornikowi. Słuchali tak przez dziesięć minut, trwając w bezruchu, ze spuszczonymi głowami. W końcu ojciec Hatsue zaczął krążyć po pomieszczeniu, drapać się w głowę i trzeć nerwowo podbródek.

— Wracajmy lepiej do domu — powiedział.

Pojechali do domu, gdzie znowu słuchali radia — oboje państwo Imada oraz ich pięć córek. Nie wyłączali aparatu przez całe popołudnie, aż do późnego wieczora. Co jakiś czas dzwonił telefon i ojciec Hatsue omawiał najnowsze wydarzenia z panem Oshiro albo panem Nishi. Co najmniej kilka razy sam telefonował, żeby wymienić poglądy z innymi rozmówcami. Odłożywszy słuchawkę, drapał się w głowę, po czym wracał na fotel przy radioodbiorniku.

Pan Oshiro zadzwonił, by powiadomić ojca Hatsue, że niejaki Otto Willets, rybak, przystawił drabinę do ściany kina pana Shigeru Ichiyamy w Amity Harbor i wykręcił żarówki z gąbłoty. Dwaj inni biali mężczyźni trzymali drabinę, miotając przekleństwa pod adresem państwa Ichiyama, których nie było w tym czasie w kinie. Kiedy Otto Willets i jego kompani to odkryli, pojechali furgonetką na Lundgren Road pod dom państwa Ichiyama i tak długo trąbili, póki Shig nie wyszedł na ganek i nie zapytał, czego sobie życzą. Willets nazwał go wtedy parszywym Japońcem i oświadczył, że powinien był mu potłuc wszystkie żarówki w gąblocie. Czy to on nie

wie, że obowiązuje zaciemnienie? Shig odrzekł, że istotnie o tym nie wiedział, jest wdzięczny, że go o tym informują i że wykręcili za niego żarówki. Obelgi Ottona Willetsa puścił mimo uszu.

O dwudziestej drugiej pan Oshiro zadzwonił ponownie. W obawie przed japońskim atakiem uzbrojeni w strzelby mężczyźni rozstawili się wokół Amity Harbor i zajęli stanowiska za powalonymi pniami drzew wzdłuż plaż na północ i na południe od miasteczka. Zorganizowano oddziały samoobrony; właśnie w tej chwili odbywa się spotkanie w pensjonacie Masonów. Państwo Otsubo przejeżdżali tamtędy o dwudziestej i widzieli co najmniej czterdzieści samochodów i furgonetek zaparkowanych wzdłuż drogi koło domu Masonów. Poza tym, jak opowiadają, trzy lub cztery łodzie rybackie wypłynęły z portu, żeby patrolować wody wokół wyspy. Pan Oshiro widział jedną z nich, czarną sylwetkę na tle nocnego nieba, jak dryfowała z wyłączonym silnikiem i zgaszonymi światłami pozycyjnymi poniżej urwistego cypla w pobliżu jego domu nad zatoką Crescent Bay. Ojciec Hatsue zapytał pana Oshiro po japorisku, czy rzeczywiście pojawiły się na wodach wokół San Piedro łodzie podwodne i czy pogłoski o inwazji na Oregon i Kalifornię są prawdziwe.

— Niczego nie można wykluczyć — odparł pan Oshiro. — Przygotuj się na najgorsze, Hisao.

Ojciec Hatsue wyjął z szafy strzelbę i nie załadowaną postawił w kącie salonu, wsunął do kieszeni koszuli pudełko ze śrutem na wiewiórki, zgasił wszystkie światła, z wyjątkiem jednej lampy, i powiesił prześcieradła we wszystkich oknach.

Co jakiś czas opuszczał swoje stanowisko przy radiu, odchyłał róg jednego z prześcieradeł i wyglądał na truskawkowe pola. Potem wychodził na ganek, nasłuchiwał i wypatrywał na niebie samolotów. Nie dojrzał żadnego, choć przy takim zachmurzeniu trudno byłoby dojrzeć przelatującą maszynę.

Do łóżek położyli się późno, ale i tak nie mogli zasnąć. Rano w autobusie szkolnym Hatsue spojrzała w oczy Ishmaelowi Chambersowi, kiedy go mijała, zмирzając na swoje miejsce. Odwzajemnił spojrzenie i kiwnął jej głową, raz jeden. Kierowca autobusu Ron Lamberson miał wetkniętą pod fotel gazetę z Anacortes. Na przystankach otwierał szybko drzwi przed czekającymi dziećmi i łapczywie zagłębiał się w lekturze.

— No i macie! — zawołał przez ramię do milczących pasażerów, gdy autobus zjeżdżał krętą ulicą Mili Run Road. — Japończycy atakują wszędzie, nie tylko w Pearl Harbor. Dokonują nalotów na całym Pacyfiku. Roosevelt zamierza jeszcze dzisiaj wypowiedzieć wojnę, ale czym

się mamy bronić? Zniszczyli nam całą flotę, psia ich mać! FBI aresztuje japońskich zdrajców na Hawajach i gdzie indziej. Wyłapują ich również w Seattle. Aresztują szpiegów i inną hołotę. Rząd zamroził japońskie konta w bankach. Ale co najważniejsze, zarządzono na dzisiejszą noc zaciemnienie na całym wybrzeżu. Marynarka wojenna ostrzega przed nalotami. Nie chcę was straszyć, dzieci, ale mogą się zdarzyć i u nas... Na przykład na radiostację nadawczą marynarki na Agatę Point. Radia mają być wyłączone od siódmej wieczór aż do jutra rana, żeby Japonce nie mogli nas namierzyć. Okna trzeba zasłonić czarnymi kocami, nie wolno wychodzić z domu i każdy ma siedzieć cicho.

W szkole przez cały dzień słuchano radia. Zanotowano już dwa tysiące ofiar śmiertelnych. Głosy spikerów były poważne, pełne smutku i z trudem hamowanego podniecenia. Uczniowie siedzieli w ławkach nie otworzywszy nawet książek. Najpierw słuchali oficera marynarki, który tłumaczył im drobiazgowo, jak gasić bomby zapalające, a potem radiowych relacji o kolejnych atakach japońskich, przemówienia prezydenta Roosevelta w Kongresie oraz oświadczenia prokuratora generalnego Biddle'a, informującego, że w stanach Waszyngton, Oregon i Kalifornia aresztowano członków japońskiej piątej kolumny. Pan Sparling z surową miną krążył po klasie i zgnębionym, zgaszonym głosem opowiadał uczniom o jedenastu miesiącach, jakie spędził we Francji w czasie pierwszej wojny światowej. Wyraził nadzieję, że chłopcy z jego klasy spełnią swój patriotyczny obowiązek i będą się bili zażarcie. Spodziewał się, że dostąpią zaszczytu spotkania Japońców oko w oko i odpłacenia im z nawiązką za ich podłość.

— Wojna to brudna rzecz — dodał. — Ale to oni ją zaczęli. W niedzielny poranek zbombardowali Hawaje. Pomyślcie tylko: w niedzielny poranek!

Pokręcił z niedowierzaniem głową, podkręcił radio i z posępną miną oparł się plecami o tablicę, założywszy ręce na wąskiej klatce piersiowej.

Przed trzecią po południu ojciec Ishmaela wydrukował i rozkolportował pierwszy wojenny dodatek nadzwyczajny w dziejach swojego pisma, jednostronicową ulotkę z tytułem na całą szerokość kolumny:

**ZARZĄDZONO OBRONĘ WYSPY!**

Zaledwie kilka godzin po wybuchu zbrojnego konfliktu między Japonią a Stanami Zjednoczonymi wyspa San Piedro przygotowała się wczoraj późnym wieczorem — na razie prowizorycznie — na nalot bombowy bądź inne poważne zagrożenia.

Komendant samoobrony pan Richard A. Blackington zwołał wczoraj po południu zebranie lokalnego oddziału obrony terytorialnej. Do pensjonatu państwa Masonów stawili się wszyscy dowódcy odcinków. Wprowadzono system ostrzegania przed nalotami lotniczymi na czas zaciemnienia, którego szczegółowy opis znajdzie Czytelnik w innym miejscu niniejszego komunikatu. System ów ma wykorzystywać dzwony kościelne, syreny zakładów przemysłowych oraz klaksony samochodów.

Dowódcy odcinków samoobrony, wychodząc z założenia, że należy być przygotowanym na każdą ewentualność, ostrzegają mieszkańców naszej wyspy, aby byli przygotowani do wyłączenia światel elektrycznych natychmiast po ogłoszeniu alarmu przeciwlotniczego.

Obserwatorzy Komendy Przechwytywania będą pełnili służbę dwadzieścia cztery godziny na dobę. Tymczasem przedstawiciele zamieszkałej na naszej wyspie społeczności japońskiej złożyli ślubowanie na wierność Stanom Zjednoczonym.

W radiostacji marynarki wojennej na przylądku Agatę Point, na linii kolejowej Crow Marine Railway oraz w stoczni potrojono strażę. Urząd Telefonów i Telegrafów Pacyfiku i elektrociepłownia okręgu Puget Sound zapowiedziały podjęcie kroków mających na celu obronę własnych instalacji.

Podjęto przygotowania do sprowadzenia na wyspę zmagazynowanego na zimę w Anacortes letniego sprzętu przeciwpożarowego.

Do zebranych członków komitetu samoobrony przemówił w imieniu komandora L. N. Channinga z radiostacji nadawczej na Agatę Point podporucznik marynarki R. B. Clawson. Oznajmił, że jednostki kontrwywiadu wojskowego i marynarki wojennej w pełni panują nad sytuacją i podejmują stosowne kroki celem ochrony przed miejscowymi sabotażystami i szpiegami. „W radiostacji natychmiast po otrzymaniu wiadomości o nalocie na Pearl Harbor wprowadzono przygotowany zawczasu na wypadek wojny stan pogotowia — dodał podporucznik Clawson. — Mimo to cywilni mieszkańcy wyspy muszą uczynić wszystko, co możliwe, nie czekając na pomoc sił marynarki i wojska, by obronić własne domy, urzędy i zakłady przemysłowe przed sabotażem czy skutkami bombardowań”.

We wczorajszym zebraniu wzięli udział następujący członkowie komitetu samoobrony:

Pan Bill Ingraham, łączność; p. Ernest Tingstaad, transport; pani Thomas McKibben, środki medyczne; pani Clarence Wukstich, zaopatrzenie i zaprowiantowanie; p. Jim Milleren,



jednostki pomocnicze policji; p. Einar Petersen, drogi i środki techniczne; p. Larry Phillips, pomocnicze oddziały straży pożarnej; p. Arthur Chambers, służby informacyjne.

Obecni byli ponadto: burmistrz O. W. Hotchkins, przewodniczący lokalnego oddziału komitetu samoobrony, jego zastępca p. Bart Johansson oraz p. S. Austin Coney, organizator Dowództwa Sił Przechwytywania na naszej wyspie.

U dołu strony zamieszczono złożone szesnastopunktowym groteskiem obwieszczenie komitetu obrony:

PO USŁYSZENIU CIĄGŁEGO DZWONIENIA DZWONÓW KOŚCIELNYCH, BUCZENIA KLAKSONÓW SAMOCHODOWYCH I SYREN NA LINII KOLEJOWEJ CROW MARINĘ ORAZ W STOCZNI NATYCHMIAST WYŁĄCZ WSZYSTKIE ŚWIATŁA ELEKTRYCZNE, W TYM WSZYSTKIE PUNKTY STAŁEGO OŚWIETLENIA NOCNEGO, TAKIE JAK OŚWIETLENIE WYSTAW SKLEPOWYCH ZNAJDUJĄCYCH SIĘ POD TWOIM NADZOREM. NIE ZAPALAJ ŚWIATŁA AŻ DO USŁYSZENIA SYGNAŁU ODWOŁANIA ALARMU, CZYLI PODWOJONEGO SYGNAŁU OSTRZEGAJĄCEGO PRZED NALOTEM BOMBOWYM.

Dodatek nadzwyczajny przynosił ponadto oświadczenie komendanta samoobrony pana Richarda Blackingtona zalecające bicie w dzwony kościelne i używanie klaksonów jedynie w taki sposób, by nie kolidowało to z systemem ostrzegania przed nalotem lotniczym. Pani Thomas McKibben, odpowiedzialna za zaopatrzenie w środki medyczne, zwracała się z prośbą do wszystkich mieszkańców wyspy posiadających samochody kombi, mogące służyć w charakterze ambulansów, o kontakt pod numerem telefonu 172 w Amity Harbor; prowadziła również rejestrację pielęgniarek i osób przeszkolonych w udzielaniu pierwszej pomocy. Szeryf Gerald Lundquist prosił z kolei mieszkańców wyspy, aby niezwłocznie zgłaszali do jego biura wszelką podejrzaną działalność bądź dostrzeżone przypadki sabotażu.

Arthur Chambers zamieścił ponadto w wojennym dodatku nadzwyczajnym do swojego pisma artykuł zatytułowany „Przywódcy lokalnej społeczności japońskiej deklarują wierność Stanom Zjednoczonym”, w którym plantatorzy truskawek Masato Nagaishi, Masao Uyeda i Zenhichi Miyamoto oświadczyli, że zarówno oni sami, jak i pozostali zamieszkujący wyspę Japończycy są gotowi bronić flagi Stanów Zjednoczonych. Złożyli to zapewnienie w imieniu

japońskiej Izby Handlowej, Towarzystwa Przyjaźni Japońsko-Amerykańskiej oraz Japońskiego Ośrodka Kulturalnego, ich zaś oświadczenie — stwierdzał w swym komentarzu redaktor „Kuriera” — było „jasne i niedwuznaczne”. Arthur Chambers zwracał również uwagę na obietnicę pana Uyedy: „Stwierdziwszy przypadki sabotażu lub szpiegostwa, pierwsi doniesiemy o nich władzom”. W stałej rubryce pod tytułem „Szczere rozmowy”, której tekst Arthur wystukał na maszynie przy świecy o drugiej nad ranem, podpierając się ze zmęczenia nosem, znalazły się słowa:

Jeśli istniała kiedyś społeczność, nad którą zawisło wielkie niebezpieczeństwo, wynikłe z przyczyn od niej niezależnych, jest nią z pewnością wyspa San Pedro tego poniedziałkowego ranka 8 grudnia 1941 roku.

W istocie przyszedł czas na szczerą rozmowę o sprawach dla nas wszystkich najważniejszych.

Na naszej wyspie mieszka sto pięćdziesiąt rodzin, w sumie około ośmiuset osób, połączonych więzami krwi z narodem, który wczoraj targnął się w bestialski sposób na wszystko, co święte i godziwe. Naród ów podjął przeciwko naszemu krajowi działania wojenne i doczekał się naszej stanowczej i szybkiej reakcji. Stany Zjednoczone stawiają mężnie czoło zagrożeniu, wobec którego stanęliśmy na Pacyfiku, kiedy zaś opadnie bitewny kurz, nasza ojczyzna wyjdzie z tej wojny zwycięska!

Tymczasem jednak stają przed nami poważne wyzwania, wymagające wielkiego hartu ducha. Jednak wśród uczuć, jakie powinniśmy w sobie wzbudzić — kładziemy na to nacisk szczególny — nie powinna się pojawić ślepa, zapiekła nienawiść do wszystkich bez wyjątku, którzy wywodzą swój ród z Japonii. Wzgląd na to, że niektóre z tych osób są pełnoprawnymi obywatelami Stanów Zjednoczonych, lojalnymi wobec swej ojczyzny, bądź że nie utrzymują żadnych kontaktów z krajem swojego pochodzenia, może zostać z łatwością zmieciony wybuchem zbiorowej hysterii.

W tej sytuacji redakcja „Kuriera” czuje się w obowiązku oświadczyć, że mieszkańcy naszej wyspy, w których żyłach płynie krew japońska, nie ponoszą najmniejszej odpowiedzialności za zbrodnię w Pearl Harbor. Niechaj to zostanie stwierdzone jasno i dobitnie. Ludzi ci ślubowali wierność Stanom Zjednoczonym i od dziesięcioleci pozostają uczciwymi obywatelami San Pedro. Są naszymi sąsiadami! Oddali sześcioro swoich synów armii Stanów

Zjednoczonych. To nie oni, krótko mówiąc, są naszymi wrogami, nie bardziej niż nasi współobywatele niemieckiego czy włoskiego pochodzenia. Nie powinniśmy o tym zapominać, a pamięć o tym winna kierować naszym postępowaniem w stosunku do wszystkich naszych sąsiadów.

Redakcja „Kuriera” oczekuje zatem od mieszkańców naszej wyspy zachowania maksymalnego spokoju w tym trudnym, niebezpiecznym czasie. Przeżyjmy go tak, abyśmy — gdy zagrożenie minie — mogli spojrzeć jeden drugiemu w oczy z uczuciem, że zachowaliśmy się szlachetnie i nie zgrzeszyliśmy wobec uczciwości. Pamiętajmy o tym, o czym się wszak tak łatwo zapomina w wojennej gorączce, że uprzedzenie i nienawiść nigdy nie bywają dobrymi doradcami i nie tworzą fundamentów społeczeństwa sprawiedliwości!

Ishmael siedział w dziupli cedru i po raz drugi czytał napisane przez swojego ojca słowa, kiedy do środka wsunęła się Hatsue w palcie i chustce na głowie i usiadła na mchu obok niego.

— Mój ojciec nie kładł się przez całą noc — pochwalił się chłopak. — Przygotowywał dodatek nadzwyczajny.

— A mój nie może podjąć oszczędności z banku. Zostało nam tylko kilka dolarów, a reszty nie możemy wyjąć. Moi rodzice nie mają obywatelstwa.

— Więc co zrobicie?

— Pojęcia nie mam.

— Mam odłożone dwadzieścia dolarów, jeszcze ze zbiorów. Mogę ci dać, jeśli chcesz. Przyniosę je jutro do szkoły.

— Obejdzie się, nie trzeba. Ojciec na pewno coś wymyśli. Nie mogłabym przyjąć od ciebie tych pieniędzy.

Ishmael położył się na boku, przodem do dziewczyny, i oparł na łokciu.

— To wszystko jest zupełnie niepojęte — stwierdził.

— Jak ze złego snu — przyznała. — Ale to jest nieuczciwe, najzwyczajniej w świecie nieuczciwe! Jak można było nam zrobić coś takiego? Jak można tak było postąpić?

— To nie był nasz pomysł — przypomniał Ishmael. — Zmusili nas do tego Japończycy. W dodatku w niedzielę rano, kiedy się nikt nie spodziewał napaści. To było podle, jeżeli chcesz wiedzieć. Oni...

— Spójrz na moją twarz — przerwała mu. — Przyjrzyj się moim oczom, Ishmaelu. Oto masz twarz narodu, który to uczynił, nie rozumiesz? Moja twarz... właśnie tak wygląda Japończyk! Moi rodzice przyjechali na San Pedro z Japonii! Ledwo mówią po angielsku. Moja rodzina wpadła w straszne kłopoty. Czy ty to rozumiesz? Grozi nam niebezpieczeństwo!

— Chwileczkę, przecież ty nie jesteś Japonką. Jesteś...

— Słyszałeś, co mówią. Aresztują ludzi. Nazywają nas szpiegami. Zeszłej nocy kilku mężczyzn podjechało pod dom państwa Ichiyama i obrzucało ich obelgami. Siedzieli w samochodzie i trąbili. Jak to możliwe, żeby działy się takie rzeczy? Jak mogło do tego dojść?

— Kto taki? O kim ty mówisz?

— Pan Willets, Otto Willets, wujek Giny Willets, oraz paru innych mężczyzn. Wściekli się, bo państwo Ichiyama zostawili w kinie zapalone światła.

— To jakiś obłąd — mruknął chłopak. — Czysty obłąd!

— Najpierw wykręcili żarówki, a potem podjechali pod dom pana Ichiyamy i wyzywali go od parszywych Japońców.

Ishmael nic na to nie odpowiedział, kręcił tylko głową.

— Kiedy po szkole wróciłam do domu — ciągnęła Hatsue — tata rozmawiał przez telefon. Wszyscy się martwią o nadajnik marynarki wojennej, ten na przylądku Agatę. Uważają, że zostanie dziś w nocy zbombardowany. Mężczyźni mają zamiar go bronić. Chcą się zasadzić ze strzelbami w lesie wzdłuż plaży. Do państwa Shirasaki, którzy mają farmę na Agatę Point, przyszło kilku żołnierzy z obsługi nadajnika. Zabrali im radio, aparat fotograficzny i telefon, pana Shirasaki aresztowali, a reszcie rodziny zabronili wychodzić z domu.

— Pan Timmons się tam wybierał — przytaknął Ishmael. — Widziałem, jak wsiadał do samochodu. Powiedział, że najpierw zajędzie do Masonów, gdzie zorganizowano punkt dowodzenia. Wyznaczają tam ochotnikom odcinki plaży do obserwacji. Moja matka farbuję prześcieradła do zaciemniania i przez cały dzień słucha radia.

— Wszyscy słuchają radia. Moja też od naszego nie odchodzi. Siedzi przy radiu, wszystkiego słucha, a od czasu do czasu rozmawia ze znajomymi przez telefon.

— Wojna — westchnął Ishmael. — Wprost trudno mi uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

— Lepiej już chodźmy — powiedziała Hatsue. — Zaczyna się ściemniać.

Przekroczyli wąski strumień, płynący poniżej ich cedru, i zaczęli schodzić w dół zbocza. Zapadał zmierzch, wiatr od morza owiewał im twarze. Przystanęli na ścieżce, objęli się i pocałowali, a potem jeszcze raz, z większą namiętnością.

— Nie pozwólmy, żeby ta wojna nas zmieniła — szepnął Ishmael. — Nie obchodzi mnie, co się stanie ze światem, ale nie pozwólmy, żeby nas zmieniła.

— Nie zmieni — zapewniła go Hatsue. — Zobaczysz!

We wtorek chłopak pomagał ojcu w redakcji. Odbierał telefony w biurze na Andreason Street i robił notatki w żółtym kalendarzu. Ojciec poprosił go, żeby zadzwonił do niektórych osób; przygotował synowi listę pytań, jakie ma im zadać.

— Pomożesz mi? — zapytał Ishmaela. — Sam nie dam sobie z tym wszystkim rady.

Ishmael zadzwonił między innymi do bazy marynarki. Niejaki podporucznik Clawson poinformował go, że pilot samolotu rozpoznawczego, przeprowadzający rutynowy lot patrolowy, zauważył coś, co wcześniej nie zwróciło jego uwagi: otóż na wyspie San Pedro na plantacjach truskawek należących do Japończyków rzędy roślin wskazywały kierunek na nadajnik radiowy na Agatę Point, mogły więc łatwo naprowadzać na cel japońskie myśliwce „Zero”.

— Ależ te pola istnieją od trzydziestu lat! — zauważył chłopak.

— Nie wszystkie, nie wszystkie — odparł podporucznik Clawson.

Potem zadzwonił szeryf. Wielu japońskich farmerów, oznajmił, trzyma w szopach i stodołach dynamit, który może zostać wykorzystany w celach sabotażu. Niektórzy, jak słyszał, mają nawet krótkofalówki. Szeryf zamierzał zwrócić się do tych Japończyków z prośbą, aby w geście dobrej woli złożyli te niebezpieczne przedmioty w jego biurze w Amity Harbor. Dodał, że byłby wdzięczny, gdyby ogłoszenie tej treści ukazało się na łamach „Kurier”. Podziękował Ishmaelowi za pomoc.

Arthur zamieścił komunikat szeryfa. Wydrukował również obwieszczenie prokuratora okręgowego, zabraniające zamieszkałym na wyspie San Pedro osobom narodowości japońskiej korzystania z promów po czternastym grudnia. W przeglądzie wiadomości Arthur informował czytelników, że Larry Phillips wyznaczył dwudziestu czterech mężczyzn do cywilnych jednostek pomocniczych straży pożarnej, w tej liczbie George’a Tachibanę, Freda Yasui i Edwarda Wakayamę.

— Owszem, to prawda, celowo wybrałem tych trzech — przyznał, odpowiadając na pytanie syna. — Miałem na względzie swoje... przywracanie równowagi. Dziennikarstwo na tym właśnie polega: jest zonglerką wieloma szpilkami.

— Wcale nie — zaprotestował Ishmael. — Dziennikarstwo polega na dostarczaniu faktów, suchych faktów!

Uczył się o dziennikarstwie w szkole, z podręcznika, i odniósł wrażenie, że ojciec narusza podstawowe zasady swojego zawodu.

— Których, możesz mi powiedzieć? — zapytał Arthur. — Które fakty powinniśmy drukować, synu?

W następnym numerze Arthur przypomniał czytelnikom o obowiązku wyłączania o zmierzchu oświetlenia wystaw. Zbliżało się Boże Narodzenie, więc pokusa pozostawienia oświetlonych witryn była silna. Ogłosił ponadto, że w sylwestra zostanie urządzona publiczna zabawa pod hasłem „Pamiętaj o Pearl Harbor — to mogło zdarzyć się tutaj!” Dla osób w mundurach wstęp wolny. Wszystkich mieszkańców wyspy zachęca się do wzięcia udziału w potańcówce. Dalej Arthur informował czytelników, że gdy pani Lars Heineman z działającego na San Pedro funduszu zapomogowego Czerwonego Krzyża określiła potrzeby swojej organizacji na kwotę pięciuset dolarów, Towarzystwo Przyjaźni Japońsko-Amerykańskiej wpłaciło natychmiast sumę pięćdziesięciu pięciu dolarów, najhojniejszy jak dotąd datek. W innym artykule donosił o przyjęciu, jakie w sali Ogniska Japońskiego w Amity Harbor urządzono na cześć Roberta Sakamury, który został powołany do wojska. Wygłoszono przemówienia i podjęto gości poczęstunkiem; oddano honory fladze Stanów Zjednoczonych, a wieczór zakończono chóralnym odśpiewaniem hymnu państwowego.

„Kurier San Pedro” przypominał czytelnikom o obowiązku przestrzegania tajemnicy wojskowej i nieudzielania nikomu informacji, które mogłyby zostać wykorzystane przez wroga. Doradzał również mieszkańcom wyspy, aby „nie rozmawiali nierozważnie o zaobserwowanych ruchach wojsk bądź floty wojennej”. Arthur informował też o wstrzymaniu z powodu działań wojennych budowy pierwszego na wyspie kurortu dla wędkarzy na przylądku Protection Point. Nick Olafsen zmarł w trakcie przyżmowania drewna. Państwo George’owie Bodine cudem uniknęli śmierci, kiedy wybuchł ich piecyk gazowy; pani Bodine ma jednak złamaną nogę i rękę. Stowarzyszenie Rodziców i Nauczycieli rozpoczęło kampanię prasową na rzecz opakowań prezentów bożonarodzeniowych. Działająca na wyspie organizacja farmerów „Grange”

zaangażowała się w obronę San Pedro, zobowiązując się ponadto w liście skierowanym do ministra rolnictwa do podjęcia „produkcji owoców i warzyw, możliwych do uprawy na naszej wyspie, na potrzeby naszych walczących sił zbrojnych”. Armia zwracała się za pośrednictwem „Kuriera” z prośbą do właścicieli mułów i koni na San Pedro o zarejestrowanie posiadanych zwierząt u przedstawiciela okręgu, nazywając spełnienie tej prośby „obowiązkiem patriotycznym”; prosiła również mieszkańców wyspy o sprawdzenie stanu ogumienia posiadanych samochodów i uważną jazdę, aby oszczędzać opony, dawał się bowiem odczuć brak gumy.

Marynarka wojenna zalecała wypiarzom w zamieszczonym na łamach „Kuriera” obwieszczeniu, by „ukręcali łeb plotkom, nie przekazując ich dalej”. Urządzono kolejną potańcówkę na cele dobroczynne, na którą jako gości honorowych zaproszono żołnierzy z obsługi nadajnika na przylądku Agatę Point. Komitet funduszu samoobrony wystąpił do rady szkolnej z prośbą o udostępnienie auli szkoły średniej na dwie kolejne potańcówki; rada poprosiła w odpowiedzi o zapewnienie na piśmie, że podczas tych imprez nie będzie się paliło papierosów ani spożywało alkoholu. W sklepie z towarami żelaznymi Fiska urządzono biuro werbunkowe. Nagłe ocieplenie zmieniło tymczasem drogi na wyspie w błotniste grzęzawiska, w których samochody tonęły po osie. Osiemdziesięciosześcioletnia Eve Thurmann utknęła na Piersall Road w swoim buicku rocznik 36; do sklepu Petersena dotarła po przejściu blisko czterech kilometrów ubłocona po kolana. „Kurier” przypominał czytelnikom, że na latarniach rozlepiono afisze, wymieniające zasady, jakie obowiązują podczas nalotu lotniczego: zachowaj spokój i zimną krew, nie wychodź z domu, zgaś wszystkie światła, połóż się na podłodze, nie zbliżaj się do okien, nie korzystaj z telefonu. Ray Ichikawa zdobył piętnaście punktów dla drużyny koszykówki szkoły średniej z Amity Harbor w zwycięskim meczu przeciwko drużynie z Anacortes. Kilku mieszkańców West Port Jensen utrzymuje, że widziało jakieś tajemnicze stworzenie wygrzewające się w słońcu na płyciźnie; twierdzą, że miało łabędzią szyję, łeb niedźwiedzia polarnego i olbrzymią paszczę, z której buchały kłęby pary. Kiedy wypłynęto łodziami, żeby przyjrzeć się z bliska potworowi, ów zniknął pod wodą.

— Tego chyba nie wydrukujesz, prawda? — zapytał Ishmael ojca. — Potwór morski w pobliżu West Port Jensen, też coś!

— Zasadniczo masz rację — zgodził się z nim Arthur. Ale czy pamiętasz te historyjki o niedźwiedziu, jakie drukowałem w ubiegłym roku? O tym miśku, na którego zaczęto nagle

zwałać odpowiedzialność za wszystkie nieszczęścia: zabite psy, stłuczone szyby w oknach, skradzione kury, zadrapano samochody? Tajemniczy stwór — to jest wiadomość, synu! Fakt, że ludzie widują potwora, to jest wiadomość ze wszech miar godna druku.

W kolejnym numerze Arthur wydrukował ogłoszenie władz cywilnych, w którym zachęcano mieszkańców wyspy do nabywania wojennych obligacji. Poinformował ponadto, że komitet obrony cywilnej prowadzi rejestrację łodzi zdolnych do użytku na wypadek ewakuacji. Nie omieszkał też donieść czytelnikom, że William Blair, syn Zachariasza i Edith Blairów z Amity Harbor, ukończył pierwszy przyspieszony kurs Akademii Marynarki Wojennej USA i odpłynął do Europy. Napisał również o tym, że wyspa San Pedro została pewnego dnia pozbawiona na cztery godziny prądu, ponieważ kilka wojskowych balonów zaporowych zerwało się z uwięzi i przerwało linię elektryczną. Richard Blackington, dowódca obrony cywilnej, wyznaczył dziewięciu obwodowych strażników, odpowiedzialnych za skuteczne zaciemnienie wyspy podczas nalotów lotniczych, po odbyciu zaś kursu w zakresie obrony przed bronią chemiczną w Anacortes zajął się rozpowszechnianiem ulotek na ten temat. Mieszkające na San Pedro dzieci policzono w klasach i zarejestrowano na wypadek rozłączenia z rodzinami. Arthur wydrukował w „Kurierze” tablicę opublikowaną przez Ministerstwo Wojny, ukazującą oznakowania skrzydeł i ogonów samolotów wojskowych. Zamieścił też zdjęcie Amerykanów japońskiego pochodzenia, którzy we Fresno w Kalifornii stali w ogonku po karty rejestracyjne, potrzebne do uzyskania obywatelstwa.

Czterech dalszych mieszkańców wyspy pochodzenia japońskiego — donosił we wstępniaku — zaciągnęło się do armii Stanów Zjednoczonych. Richard Enslow, nauczyciel stolarki, zrezygnował z pracy w szkole średniej i wstąpił do marynarki. Pani Ida Cross z South Beach, która zrobiła na drutach i wysiała pocztą skarpetki dla marynarzy, otrzymała w tych dniach list z podziękowaniami od stacjonującego w pobliżu Baltimore strzelca z obsługi działka przeciwlotniczego. Straż przybrzeżna zabroniła połowów na wodach na zachód od wyspy i w nocy podpłynęła od nawietrznej do kutrów, które łowiły w pobliżu zakazanego obszaru. Pod koniec stycznia mieszkańcy wyspy odczuli przejściowe braki paliwa. Komitet obrony cywilnej wydał nakaz ograniczenia używania piecyków olejowych. Zwrócił się również z prośbą do farmerów o dostarczenie dziesięciu tysięcy jutowych worków napełnionych piaskiem. Stu pięćdziesięciu wyspiarzy wzięło udział w organizowanych przez Czerwony Krzyż kursach



pierwszej pomocy. Sklep Petersena zlikwidował dostawy do domów, tłumacząc to brakiem paliwa i rąk do pracy.

„Wygląda na to, że faworyzujesz Japońców, Art” — napisał pewnego dnia anonimowy czytelnik „Kuriera”. „Tydzień w tydzień piszesz o nich na pierwszej stronie i piejesz o ich patriotyzmie i lojalności, nie zająknąwszy się ani słówkiem o ich zdradzie. Czas, żebyś wreszcie przejrzał na oczy i uświadomił sobie, że toczy się wojna! Po czyjej ty właściwie, swoją drogą, stoisz stronie?”

W styczniu piętnastu czytelników „Kuriera” zrezygnowało z prenumeraty, w tej liczbie państwo Walkerowie Coleman ze Skiff Point i Herbertowie Langlie z Amity Harbor. „Japonce są naszymi wrogami” — napisał do redaktora Herbert Langlie. „Pańskie pismo jest obrazą dla wszystkich białych Amerykanów, którzy przysięgli, że wytępią spośród siebie tę groźną zarazę. Proszę o skreślenie mnie z dniem dzisiejszym z listy prenumeratorów i natychmiastowy zwrot nadpłaconej gotówki”.

Arthur spełnił żądanie czytelnika. Zwracał pieniądze każdemu klientowi, który wycofał się z prenumeraty, dołączając utrzymany w ciepłym tonie liścik.

— Któregoś dnia do nas wróć — zapowiedział synowi.

Na tym się jednak nie skończyło: pewien duży magazyn z Anacortes odwołał cotygodniową reklamę na ćwierć kolumny; w jego ślady poszedł następnie sklep odzieżowy Lottie Opsvig z Main Street, skład drewna Larsena i jedna kawiarnia z Anacortes.

— Nie ma się czym przejmować — bagatelizował te straty Arthur. — Zawsze możemy wydawać cztery strony zamiast ośmiu, jeśli będziemy do tego zmuszeni.

Wydrukował list Walkera Colemana oraz drugi, podobny w tonie, pióra Ingmara Sigurdsona. Lillian Taylor, nauczycielka angielskiego w szkole średniej, nadesłała pełne oburzenia potępienie „ducha małostkowości, jaki przebija z listów panów Walkera Colemana i Ingmara Sigurdsona, dwóch powszechnie znanych obywateli naszej wyspy, którzy najwyraźniej postradali rozum, ogarnięci niezdrowym szałem wojennej hysterii”.

Arthur i ten list wydrukował.

W dwa tygodnie później, na początku lutego, pod dom rodziny Imadów podjechał czarny ford. Hatsue stała właśnie w progu drewnutni i składała do fartucha cedrowe szczapki ze stosu nakrytego nawoskowanymi płachtami, kiedy zauważyła ze zdziwieniem, że reflektory forda są zaciemnione — usłyszała warkot auta wcześniej, niż je zobaczyła. Samochód stanął i wysiadło z niego dwóch mężczyzn w garniturach i krawatach. Cicho zamknęli drzwiczki i spojrzeli jeden na drugiego. Wyższy wygładził marynarkę, której rękawy nie sięgały nawet do połowy mankietów koszuli. Dziewczyna przyglądała się zza sterty szczapek, jak mężczyźni wchodzą na ganek, zdejmując kapelusze i pukają do drzwi. Otworzył im ojciec Hatsue. Miał na sobie sweter, na nogach sandały, na nosie okulary, a w lewej ręce trzymał złożoną gazetę. Zza jego ramienia wyglądała żona.

— Państwo pozwolą, że się przedstawimy — odezwał się niższy z przyjezdnych, wyjmując jakąś odznakę z kieszeni marynarki. — Federalne Biuro Śledcze. Czy pan Hi-sej-ou Imada?

— Tak — odpowiedział ojciec Hatsue. — Czy coś się stało?

— Właściwie nie — uspokoił go agent FBI. — Poproszono nas tylko, byśmy przeszukali pański dom. Pojmuje pan, mamy go przeszukać. Jeśli nas pan zaprosi, usiądziemy sobie i wszystko wyjaśnimy.

— Oczywiście, proszę wejść — powiedział Hisao.

Hatsue puściła brzeg fartucha i drewno na podpałkę posypało się na stertę szczapek. Obaj mężczyźni obejrżeli się szybko w jej stronę; większy chciał już nawet zbiegać ze schodków. Hatsue wysunęła się z mrocznej drewnutni i stanęła w blasku padającego z ganku światła.

— Ty też chodź do środka — nakazał jej niższy mężczyzna.

Stłoczyli się wszyscy w ciasnym saloniku. Hatsue i jej siostry przycupnęły na kanapie, Hisao przyniósł z kuchni krzesła dla agentów FBI; wyższy mężczyzna nie odstępował go na krok.

— Proszę, niech panowie siadają — zaprosił Hisao.

— Jest pan naprawdę uprzejmy — stwierdził ten mniejszy, po czym wyjął z kieszeni marynarki jakąś kopertę i podał ją Hisao. — Oto nakaz rewizji wydany przez prokuratora

okręgowego Stanów Zjednoczonych. Musimy przeszukać ten lokal... Taki dostaliśmy rozkaz, pojmujecie pan? Rozkaz to rozkaz.

Hisao trzymał kopertę w palcach, jakby w ogóle nie zamierzał jej otwierać.

— Jesteśmy lojalnymi obywatelami — powiedział i na tym poprzestał.

— Wiemy, wiemy — mruknął agent FBI. — Mimo to musimy się tu trochę rozejrzeć.

Kiedy to mówił, wyższy mężczyzna wstał, podciągnął mankiety i otworzył oszkloną szafkę. Wyjął z niej arkusze papieru nutowego, które Fujiko trzymała na dolnej półce, a potem bambusowy flet *shakuhachi*. Obróciwszy go w palcach — jak na tęgiego, zwalistego mężczyznę dłonie miał wyjątkowo drobne — położył instrument na stole, po czym zaczął kartkować czasopisma ze stojaka obok pieca na drewno. Przejrzał też gazetę, którą czytał Hisao.

— Otrzymujemy skargi od miejscowych obywateli, że niektórzy zamieszkujący wyspę San Pedro cudzoziemcy, przybyli z krajów nam wrogich, posiadają przedmioty pochodzące z przemytu — oświadczył niższy z agentów. — Nasz zawód wymaga od nas przeszukania tego lokalu celem ich znalezienia. Prosilibyśmy więc pana o okazanie nam wszelkiej możliwej pomocy.

— Tak, oczywiście — zgodził się skwapliwie Hisao.

Wyższy z agentów FBI wszedł do kuchni, zajrzał pod zlew i otworzył drzwiczki piekarnika.

— Będziemy też zmuszeni przeszukać państwa rzeczy prywatne — dodał niższy; wstał, wyjął kopertę z rąk Hisao i wsunął ją na powrót do kieszeni marynarki. — Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu?

Otworzył *tansu* — szafkę z szufladami, stojącą w kącie saloniku — i wyjął jedwabne kimono Fujiko i mieniący się złocistym brokatem pas.

— Piękna rzecz — oświadczył, podnosząc kimono do światła. — Z ojczystego kraju, jak się domyślam? Pierwszorzędna robota!

Wyższy mężczyzna wszedł do spiżarni obok saloniku, po czym wyniósł stamtąd strzelbę Hisao i cztery pudełka z nabojami.

— Gość ma w domu cały arsenał — mruknął do kolegi. — Znalazłem tam poza tym wielki stary miecz.

— Połóż to wszystko na stole i ometkuj, Wilson — nakazał niższy. — Wziąłeś metki?

— Mam je w kieszeni.

Najmłodsza z córek Imadów ukryła twarz w dłoniach i zaczęła pochlipywać.

— Nie trzeba płakać, mała — uspokoił ją niższy z agentów. — Wiem, że to może być trochę nieprzyjemne, ale zapewniam cię, że nie ma powodu do płaczu. Zaraz skończymy i zostawimy was w spokoju.

Wyższy mężczyzna, Wilson, wrócił do spiżarni po miecz Hisao. Potem zainteresował się sypialniami.

— Wie pan co? — zwrócił się jego kolega do Hisao. — Posiedzimy tu sobie, póki Wilson się ze wszystkim nie uwinie, a potem przejdziemy się na mały spacer. Ometkujemy te rzeczy i załadujemy do samochodu, a potem oprowadzi mnie pan po budynkach gospodarczych. Musimy sprawdzić wszystko, nie ma rady.

— Rozumiem — powiedział Hisao.

On i Fujiko trzymali się za ręce.

— Niech się państwo nie denerwują — uspokoił ich agent FBI. — Za małą chwileczkę kończymy.

Stał koło stołu i przywiązywał metki do leżących na nim przedmiotów. W pewnej chwili znieruchomiał, tupnął nogą i świsnął na flecie, który właśnie opatrywał przywieszką.

— Wilson! — zawołał. — Przestań mi natychmiast gmerać w damskiej bieliźnie! — Zachichotał i wziął do ręki strzelbę Hisao. — Musimy to zarekwirować — stwierdził tonem usprawiedliwienia. — Cały ten kram, pojmuje pan. Potrzymają to trochę, Bóg raczy wiedzieć po co, a potem odeślą panu co do sztuki. Odeślą, zapewniam. Jest z tym trochę bałaganu, ale cóż poradzić?

— To bardzo cenny flet — powiedział Hisao. — Czy naprawdę musicie zabierać kimono i nuty?

— Niestety, takie zalecenie. Mamy rekwirować wszystkie klamoty pochodzące z waszej dawnej ojczyzny.

Hisao zmarszczył czoło i zmilczał. Tymczasem Wilson wynurzył się z sypialni ze skupioną miną; w ręku trzymał pamiętnik Hatsue.

— Zboczeniec — prychnął jego kolega. — Wstydzilibyś się!

— Pieprz się — burknął Wilson. — Przeszukałem szuflady. Następnym razem sam się w tym babrz, jak ci się nie podoba.

— Hi-sej-ou i ja wychodzimy — oświadczył niższy. — Ty posiedź tu z paniami. Przy okazji możesz dokończyć metkowanie. Tylko bądź grzeczny — napomniął.

— Zawsze jestem grzeczny — oświadczył Wilson.

Hisao i agent FBI wyszli na dwór. Wilson usiadł i zaczął przyczepiać metki. Skończywszy to zadanie, wziął się za przeglądanie pamiętnika Hatsue. Przewracając kartki przygryzał dolną wargę.

— Truskawkowa królowa — mruknął w pewnej chwili i podniósł wzrok na dziewczynę. — Musiało cię to mile połechtać.

Nie odpowiedziała.

— Ładne zdjęcie — zauważył Wilson. — Jesteś na nim bardzo podobna. Naprawdę dobrze wyszłaś.

Hatsue milczała. Wolalaby, żeby Wilson zostawił w spokoju jej pamiętnik. Zastanawiała się właśnie, czy nie poprosić grzecznie, żeby go odłożył, kiedy do mieszkania wrócili Hisao i agent FBI, który dźwigał przed sobą jakąś skrzynię.

— Dynamit — oznajmił. — Spójrz no tylko, Wilson!

Postawił skrzynię ostrożnie na stole, po czym zaczęli obaj grzebać w laskach dynamitu; naliczyli dwadzieścia cztery. Wilson zagryzał policzek i mrużył oczy.

— Proszę mi uwierzyć — zapewniał Hisao. — Dynamit służy mi do usuwania pniaków, do karczowania ziemi.

Niższy agent pokiwał z powagą głową.

— Niewykluczone, niewykluczone — mruknął. — Mimo to sprawa jest śmierdząca. Te zabaweczki — wskazał palcem skrzynię — to zakazany towar. Miał go pan oddać władzom.

Zabrali strzelbę, naboje, miecz oraz skrzynkę z dynamitem i załadowali do bagażnika forda. Wilson wrócił następnie z workiem na ubrania i zapakował do niego pamiętnik, kimono, arkusze papieru nutowego i na koniec bambusowy flet.

Załadowawszy wszystkie zarekwirowane przedmioty, agenci FBI usiedli jeszcze na chwilę przy stole w saloniku.

— No i co my mamy z panem zrobić? — odezwał się niższy, zwracając się do Hisao.

Ojciec Hatsue milczał. Siedział w sandałach oraz swetrze i mrugał powiekami; okulary trzymał w ręku. Czekał, co powie agent FBI.

— Musimy pana aresztować — oznajmił Wilson. — Przejedzie się pan z nami do Seattle.

Odpiął od pasa kajdanki; nosił je przypięte obok kabury pistoletu.

— To zbyteczne — zaproponował niższy. — Ten pan jest dobrze wychowany. To dżentelmen. Nie ma potrzeby zakładać mu bransoletek. — Obrócił się do Hisao. — Pojedziemy do Seattle, zadadzą panu kilka pytań, pan im na nie odpowie i sprawa skończona, pojmuje pan?

Obie młodsze dziewczynki płakały. Najmłodsza ukryła twarz w dłoniach. Hatsue objęła siostrzyczkę, przytuliła jej głowę i głaskała ją delikatnie po włosach. Hisao wstał z krzesła.

— Proszę, nie zabierajcie go — odezwała się Fujiko. — Mój mąż nie zrobił nic złego! On...

— Bo to wiadomo? — mruknął Wilson. — Nikt tego nie zaświadczy, no nie?

— To potrwa najwyżej parę dni — uspokoił panią Imadę niższy z agentów. — Widzi pani, podobne sprawy troszeczkę się przeciągają. Musimy zabrać pani męża do Seattle, musi tam zostać zarejestrowany i tak dalej. To może potrwać parę dni, powiedzmy tydzień.

— Tydzień? — powtórzyła Fujiko. — Ale co my takiego zrobiliśmy? Dlaczego panowie...

— Potraktujcie to jako ofiarę na rzecz wojny — przerwał jej kolega pana Wilsona. — Powiedzcie sobie, że toczy się wojna, pojmuje pani, więc każdy musi złożyć jakąś ofiarę na jej ołtarzu. Być może będzie wam łatwiej, jeśli spojrzycie na to od tej strony.

Hisao zapytał, czy może zmienić sandały i włożyć palto. Chciałby też zapakować węzełek z rzeczami osobistymi, jeśli mu panowie pozwolą.

— Ależ proszę — powiedział agent Wilson. — Oczywiście, z miłą chęcią pójdziemy panu na rękę.

Pozwolili mu się pożegnać z żoną i córkami.

— Zadzwońcie do Roberta Nishi — zalecił Hisao. — Powiedzcie mu, że zostałem aresztowany.

Kiedy Fujiko zadzwoniła do państwa Nishi, okazało się jednak, że Roberta Nishi również aresztowano. Do więzienia w Seattle zabrano ponadto Ronalda Kobayashi, Richarda Sumidę, Saburo Odę, Taro Katę, Junkoh Kitano, Kenziego Yamamoto, Johna Masui; aresztowano ich tej samej nocy.

Aresztantów wywieziono następnie w wagonach o zabitych deskami oknach — pakowano ich do pociągu na bocznicach kolejowych — do obozu pracy w Montanie. Hisao pisał codziennie list do rodziny; jedzenie nie było najlepsze, donosił, ale traktowani byli nie najgorzej.

Kopali rowy pod wodociągi, dzięki którym można będzie dwukrotnie zwiększyć pojemność obozu. Hisao dostał pracę prasowacza i składacza odzieży w pralni. Robert Nishi pracował w obozowej kuchni.

Matka Hatsue odczytywała listy od Hisao swoim pięciu córkom, a potem opowiadała im po raz kolejny o swojej przeprawie z Japonii na pokładzie okrętu „Korea Maru”. Opowiadała im o hoteliku w Seattle, gdzie pracowała jako sprzątaczką, o prześcieradłach, na które biali ludzie wymiotowali krwią, o zapchanych ubikacjach, o smrodzie alkoholu i potu. Opowiadała o kuchni na nabrzeżu, gdzie siekała cebulę i smażyła kartofle dla *hakujin* sztauerów, którzy traktowali ją jak powietrze. Poznała już wcześniej trudy życia, nie rozpieszczęło jej ono — przypomniawsza córkom. Wiedziała, co to znaczy żyć tak, jakby się nie żyło, jakby się było niewidzialnym. Chciała nauczyć córki, jak przeżyć w takich warunkach i zachować godność. Hatsue siedziała nieruchomo i wsłuchiwała się uważnie w słowa matki, próbując odgadnąć, co pragnie im przekazać. Miała osiemnaście lat i odbierała je inaczej niż kiedyś. Fujiko przepowiadała, że wojna z Japonią zmusi jej córki do określenia, kim naprawdę są — a są Japonkami. Czyż nie okazało się po raz kolejny, że *hakujin* w istocie nie życzą sobie ich obecności w swoim kraju? Chodziły słuchy, że wszyscy zamieszkali na wybrzeżu Japończycy zostaną zmuszeni do wyjazdu. Nie ma sensu ukrywać własnego pochodzenia ani udawać, że nie są Japonkami — *hakujin* poznają to po ich twarzach. Będą musiały zaakceptować fakt, że są japońskimi dziewczętami w Ameryce, toczącej wojnę z Japonią. Czy mogą temu zaprzeczyć? Sztuka polega na tym, żeby mieszkając tutaj nie zniechęcać siebie za to, że wszystko, co cię otacza, staje się przedmiotem nienawiści. Nie dopuścić, aby cierpienie przeszkadzało ci żyć godnie — oto na czym polega sztuka. W Japonii, ciągnęła Fujiko, człowiek uczy się nie skarżyć i nie poddawać trudnościom. Wytrwałość uznawana jest od wieków za wyraz stanu duszy, mądrości i postawy danego człowieka. Należy zaakceptować starość, śmierć, niesprawiedliwość, udrękę — bo to wszystko stanowi część życia. Tylko głupia dziewczyna może temu przeczyć, ujawniając przy okazji własną niedojrzałość i okazując jak na dłoni, że wrosła w świat *hakujin*, zamiast żyć podług norm własnego narodu. A jej narodem, stwierdziła Fujiko, jest Japonia — dowiodły tego dobitnie wydarzenia ostatnich tygodni; w przeciwnym razie czyż aresztowano by ich ojca? Wydarzenia ostatnich dwóch miesięcy powinny nauczyć córki Fujiko, jaki mrok zalega w sercach *hakujin*, i więcej: w jakiej ciemności, będącej wszakże składnikiem samego życia, tonie cały świat. Zaprzeczanie istnieniu ciemnej strony życia przypominałoby udawanie, że zimowe mrozy są

tylko przelotnym złudzeniem, fazą przejściową na drodze do lepszej „rzeczywistości” długiego, ciepłego i rozkosznego lata. Tymczasem lato nie jest przecież bardziej rzeczywiste od śniegu, topniejącego na wiosnę. Teraz, ciągnęła Fujiko, zabrali waszego ojca i każą mu składać upraną bieliznę w obozie w Montanie, a my musimy sobie jakoś radzić, musimy przetrwać.

— Rozumiecie, o czym mówię? — zapytała po japońsku. — Nie mamy wyboru. Musimy przez to przejść.

— Nie wszyscy biali nas nienawidzą — stwierdziła Hatsue. — Przesadzasz, mamó, i dobrze o tym wiesz. Zdajesz sobie sprawę, że oni wcale się od nas tak bardzo nie różnią. Jedni nas nienawidzą, to prawda, ale inni nie, więc nie możesz powiedzieć, że wszyscy.

— Wiem, co masz na myśli — odrzekła Fujiko. — Racją, nie wszyscy nas nienawidzą. Ale co się tyczy drugiej kwestii — ciągnęła po japońsku — czy nie uważasz, że jednak się od nas różnią, i to zasadniczo, Hatsue?

— Nie — zaprzeczyła dziewczyna. — Wcale tak nie uważam.

— Owszem, różnią się — powtórzyła Fujiko — i mogę ci nawet powiedzieć, pod jakim względem. Widzisz, biali ulegają iluzji własnego „ja”, nie umieją się przed nią obronić. Tymczasem my, Japończycy, wiemy, że nasze „ja” jest tylko złudzeniem. Nieustannie poskramiamy nasze „ja”, i tym właśnie się od nich różnimy. To jest właśnie ta zasadnicza różnica, córko. Pochylamy głowy i kłaniamy się w milczeniu, ponieważ rozumiemy, że sami z siebie, jako jednostki, jesteśmy niczym, plewami na wietrze. *Hakujin* natomiast ufa, że jego odrębność jest wszystkim, że indywidualność jest fundamentem istnienia. Wciąż tropi i próbuje uchwycić tę swoją osobność, podczas gdy my szukamy związku z odwiecznym życiem... Powinnaś dostrzegać, Hatsue, że *hakujin* i my, Japończycy, podróżujemy zupełnie różnymi drogami.

— Ci sami ludzie, którzy niby to szukają związku z odwiecznym życiem — odcięła się dziewczyna — zbombardowali Pearl Harbor. Jeśli są tacy skłonni pochylać głowy i kłaniać się, czemu napadają na cały świat i podbijają inne kraje? Nie czuję z nimi związku! Ja należę tutaj, jestem stąd!

— To prawda, tutaj się urodziłaś — przyznała jej matka. — Ale w twoich żyłach płynie krew Japonki.

— Nie chcę nią być! — zawołała dziewczyna. — Nie chcę mieć z nimi nic wspólnego! Słyszysz? Nie chcę być Japonką!



Fujiko skinieniem głowy przyjęła deklarację najstarszej córki.

— Przyszły na nas trudne czasy — stwierdziła. — Nikt już nie wie, kim naprawdę jest. Wszystko stało się zamglone i zagmatwane. Mimo to powinnaś się nauczyć nie mówić nic takiego, czego miałabyś później żałować. Nie powinnaś mówić niczego, co nie płynie z głębi twego serca, co zagościło w nim tylko na chwilę. Sama to zresztą wiesz. Już lepiej milczeć.

Hatsue zrozumiała od razu, że matka ma rację. Fujiko przemawiała z niewzruszonym spokojem, z jej głosu biła potęga prawdy. Dziewczyna zamilkła zawstydzona. Kimże jest, by wyrażać swe uczucia? Jej uczucia dla niej samej stanowiły tajemnicę, przelatywało ich przez jej serce tysiąc naraz, nie potrafiła uchwycić jednej nitki z tego kłębowiska, a cóż dopiero wyrażać jasne sądy! Matka miała rację: już lepiej milczeć. Tego jednego Hatsue była pewna.

— Obawiam się — podjęła Fujiko — że życie wśród *hakujin* skaziło cię, zbrukało twą duszę, Hatsue. Ta nieczystość cię spowija, obserwuję to każdego dnia, nie odstępuję cię ani na chwilę. Jest niczym mgłą, która przesłania ci duszę. Odbija się na twojej twarzy, gdy się przestajesz pilnować. Dostrzegam ją w ochocie, z jaką popołudniami wymykasz się z domu, żeby się włóczyć po lasach. Nie umiem sobie do końca wytłumaczyć, co się za tym kryje, ale widzę, jak jesteś zbrukana codziennym przebywaniem wśród białych. Nie proszę cię, abyś ich całkiem unikała, to byłby absurd. Musisz żyć tu, gdzie mieszkasz, to oczywiste, a że to świat *hakujin*, musisz się nauczyć w nim żyć, musisz na przykład chodzić do szkoły. Ale nie pozwól, żeby życie wśród *hakujin* spowodowało, że się z nimi utożsamisz, bo twoja dusza zgnije. Jej fundament zmurszeje i rozsypie się. Masz osiemnaście lat, jesteś już dorosła, nie mogę dłużej towarzyszyć wszystkim twoim krokom. Niedługo pójdziesz własną drogą, córko. Mam nadzieję, że twoja przyrodzona niewinność nigdy cię nie opuści, że nie zapomnisz, kim jesteś.

Hatsue zrozumiała, że jej strategia poniosła fiasko. Już od czterech lat chodziła na „spacery”, przynosząc z nich — by ukryć prawdziwy cel swych wypraw — wąsy paproci, rukiew wodną, raki, grzyby, borówki, jeżyny i czernice, a nawet kiście bzu czarnego na dżem. Na zabawach, na które chodziła z koleżankami, stała w kącie i odmawiała wszystkim chłopcom, proszącym ją do tańca; Ishmael stał tymczasem w grupce swoich kolegów. Koleżanki usiłowały umawiać Hatsue na randki; zachęcały ją, by uczyniła użytek ze swojej urody, wychyliwszy się ze skorupki chorobliwej nieśmiałości. Wiosną ubiegłego roku szeptano nawet czas jakiś, że Hatsue spotyka się potajemnie z zabójczo przystojnym młodzieńcem, którego miała ponoć odwiedzać w Anacortes; plotki te jednak z wolna ucichły. Dziewczynę aż kusilo, żeby wyznać prawdę

siostram i koleżankom ze szkoły, bo trudno jej było dźwigać swój sekret w samotności, a zresztą, podobnie jak większość młodych dziewcząt, czuła potrzebę rozmawiania z rówieśniczkami o swojej miłości, nie uległa jednak tej pokusie. Podtrzymywała mniemanie, że wstydzi się chłopców i dlatego nie umawia się na randki.

I oto okazało się, że jej matka najwyraźniej zna, a przynajmniej przeczuwa prawdę. Czarne włosy Fujiko były upięte na karku w surowy, lśniący kok. Dłonie spłotła majestatycznie na kolanach (listy od męża rozłożyła na stoliku do kawy); siedziała z wielkim dostojeństwem na brzeżku krzesła i ze spokojem wpatrywała się w córkę.

— Wiem, kim jestem — zapewniła ją Hatsue. — Dokładnie to wiem — powtórzyła, ale były to jedynie kolejne czcze słowa; takie, których miała później żałować. Lepiej było milczeć.

— Szczęśliwa jesteś — stwierdziła po japońsku Fujiko. — Przemawiasz z wielką pewnością siebie, moja pierworodna córko. Słowa same wylatują z twoich ust.

Po południu tego dnia Hatsue wybrała się na spacer po lesie. Luty miał się już ku końcowi, nastąpiła pora przyćmionego światła. Wiosną baldachim liści przesywały oślepiające promienie słońca, w których tańczył i migotał leśny kurz — kawałki gałązek, nasiona, igły sosen, pył z kory — ale teraz, w lutym, las jakby poczerniał, a drzewa wyglądały niczym zmokłe kury i pachniały pleśnią. Hatsue ruszyła w głąb lasu, gdzie cedry ustępują miejsca omszałym, obrośniętym porostami jodłom. Czuła się tu jak u siebie w domu, znała każdy zakątek — martwe i umierające cedry z przerośniętymi hubą, obnażonymi rdzeniami, zwalone, pokonane drzewa wysokie jak kamienice, wykroty ocienione klonami, psie grzybki, bluszcz, golterię, liście wanilii, nisko położone, podmokłe zagłębienia zarośnięte diabelskimi widłakami. Przez ten las Hatsue wracała przed laty do domu z lekcji u pani Shigemury; to tu praktykowała owo wyciszenie ducha, jakiego oczekiwała od niej nauczycielka. Siadywała wśród wysokich na blisko dwa metry paproci kłaczowych lub na skraju porośniętych ziołami kotlinek i szeroko otwartymi oczami chłonęła piękno tych ustroni. Odkąd sięgała pamięcią, ten milczący las, który do tej pory zachował dla niej urok tajemniczości, stanowił treść i osnowę jej życia.

Patrzyła na równe rzędy drzew, na kolumnady pni wyrastających z gleby utworzonej przez drzewa, co przed dwoma wiekami runęły na ziemię i z upływem lat same stały się próchnicą. Poszycie lasu przypominało mapę z zarysami powalonych drzew, które przeżywszy pół tysiąca lat padły ze starości — tu kopczyk, ówdzie zapadlina, tam wypukłość lub rozkładający się wzgórek; lasy kryły szkielety drzew tak starych, że nikt z żyjących ludzi nie

oglądał ich nigdy na oczy. Hatsue natrafiała na przewrócone pnie, których pierścienie wskazywały, iż drzewa te przeżyły ponad sześćset lat. Widywała myszaki, przemykające nomice, gnijące gdzieś pod cedrem spatynowane poroże jelenia wirginijskiego. Wiedziała, gdzie rośnie wietlica, bajeczne orchidee i olbrzymie brodawkowate purchawki.

Wyciągnąwszy się w głuszy na zwalonej kłodzie, wspięła się spojrzeniem na masztowe pnie. Zimny wiatr kołował wierzchołkami drzew, przyprawiając ją o chwilowy zawrót głowy. Patrzyła z zachwytem na zawity rysunek kory daglezi zielonej i wspinała się wzrokiem po jej bruzdach aż do wznoszącej się blisko siedemdziesiąt metrów wyżej korony. Świat był tajemniczy i nieodgadniony, ale ten las nappełniał serce dziewczyny uczuciem prostoty, jakiego nie doznawała nigdzie indziej.

W ciszy uspokojonego umysłu ułożyła sobie listę spraw, które na co dzień odbierały jej spokój: jej ojca aresztowało FBI za przechowywanie dynamitu w szopie; chodziły słuchy, że niedługo wszyscy mieszkańcy San Piedro o japońskich rysach zostaną aż do końca wojny przesiedleni; miała chłopca *hakujin*, którego mogła widywać tylko potajemnie i który za kilka miesięcy miał zostać wcielony do wojska i wysłany za morze, żeby zabijał członków jej narodu. Na domiar złego, jakby dla dopełnienia tych nierozwiązalnych problemów, jej matka przed kilkoma zaledwie godzinami zajrzała w głąb jej duszy i obnażyła ukrytą tam niepewność. Dziewczyna miała wrażenie, jakby matka odkryła zatokę dzielącą jej codzienne życie od jej prawdziwej istoty. Bo kimże ona właściwie była? Była stąd, a zarazem nie stąd, i choćby jak najusilniej starała się zostać Amerykanką, było oczywiste — na co słusznie wskazała matka — że miała twarz wrogów Ameryki i twarzy tej nigdy nie zmieni. Pośród *hakujin* nigdy nie będzie się czuła u siebie, choć kochała z całego serca te ojczyste lasy i pola. Jedną nogą tkwiła w domu rodziców, skąd nie było wcale tak daleko do tej Japonii, jaką oni przed laty opuścili. Hatsue czuła — i nie myślała temu przeczyć — jak tamten daleki kraj zza oceanu pociąga ją i w niej żyje pomimo jej chęci i woli. Tymczasem ona wrosła już przecież głęboko w tę wyspę i marzyła jedynie o truskawkowej farmie, na której pragnęła wieść proste życie, w zapachu pól i cedrów, do końca swoich dni. Był wreszcie Ishmael Chambers. Stanowił część jej życia, podobnie jak drzewa, których wonią przesiąkł, i plaże usiane małżami. A jednak to on uczynił w jej duszy tę wyrwę. Nie był Japończykiem, spotkali się będąc jeszcze dziećmi, ich miłość wyrosła z bezmyślności, narodziła się pod wpływem impulsu, Hatsue zakochała się w tym chłopcu, zanim jeszcze poznała samą siebie. Teraz przyszło jej co prawda do głowy, że może nigdy nie pozna

siebie samej, bo chyba mało komu się to udaje, a może jest w ogóle niemożliwe. I oto nagle odkryła coś, co od dawna starała się przeniknąć i zrozumieć, a mianowicie, że ukrywała swą miłość do Ishmaela Chambersa nie dlatego, by w sercu pozostała Japonką, ale dlatego, że nie mogłaby z pełnym przekonaniem ogłosić światu, iż to, co do niego czuje, jest w ogóle miłością.

Zrobiło jej się słabo. Popołudniowe spacerowanie nie zdołały ukryć spotkań z chłopcem, których jej matka, wiedzioną intuicją, od dawna się domyślała. Hatsue pojęła, że nie udało jej się nikogo oszukać, nie zdołała także, jak się okazało, oszukać samej siebie, zawsze jej doskwierała dwuznaczność tej sytuacji. Jakże Ishmael i ona mogli w ogóle twierdzić, że się kochają? Po prostu razem wyrosli, przeżyli razem dzieciństwo, byli sobie bliscy, łączyła ich zażyłość, i na tym usnuli tę złudę miłości. Z drugiej jednak strony, czymże jest owo uczucie, miłość, jeśli nie tym instynktownym pragnieniem, jakiego doznawała, by leżeć na wyściółce z mchu w dziupli cedrowego drzewa z chłopcem, którego znała od najmłodszych lat? Z istotą należącą do tej krainy, tych lasów i plaż, pachnącą tak jak te bory. Jeśli pochodzenie jest kwestią geografii, a nie więzów krwi — jeśli tak naprawdę liczy się miejsce, w którym się mieszka — Ishmael stanowił jej część, żył w niej, nie inaczej niż japońskie dziedzictwo. Dziewczyna zdawała sobie sprawę, że to najprostszy rodzaj miłości, jej forma najczystsza, nie tknięta przez Umysł, który wszystko deformuje, jak to głosiła — o ironio! — pani Shigemura. Hatsue uznała w duchu, że była jedynie posłuszna własnemu instynktowi, który nie czyni takich rozróżnień, jakich domaga się japońska krew. Dziewczyna nie była w stanie odgadnąć, czym jeszcze mogłaby być miłość.

W godzinę później podjęła ten temat w dziupli cedrowego drzewa.

— Znamy się od tak dawna — powiedziała do Ishmaela. — Prawie nie pamiętam czasów, kiedy cię nie znałam. Trudno mi sobie przypomnieć cokolwiek sprzed naszego poznania. Nie wiem nawet, czy w ogóle istniał taki czas.

— Ja mam podobne wrażenie — przyznał. — Pamiętasz to moje oszklone pudełko, przez które oglądaliśmy podwodny świat?

— Oczywiście!

— To musiało być jakieś dziesięć lat temu. Pamiętam, że trzymaliśmy się go, pływając w oceanie.

— O tym właśnie chciałabym z tobą porozmawiać — powiedziała Hatsue. — Szklane pudełko w oceanie, czy to może być solidny fundament znajomości? Co nas w ogóle łączyło? Prawie się nie znaliśmy.

— Zналиśmy się, zналиśmy się od zawsze! Nigdy nie byliśmy nieznajomymi jak ludzie, którzy się poznają, a potem zaczynają ze sobą chodzić.

— No właśnie, to kolejna sprawa. My przecież ze sobą nie chodzimy, Ishmaelu... Ściśle mówiąc: nie możemy ze sobą chodzić. Jesteśmy uwięzieni w dziupli tego drzewa.

— Za trzy miesiące robimy maturę. Uważam, że po maturze powinniśmy się przenieść do Seattle. Tam będzie inaczej, zobaczysz.

— Tam również aresztują ludzi o skośnych oczach, Ishmaelu. Dobrze wiesz, że po Pearl Harbor białe i Japonka nie mogą się razem pokazać na ulicy, nawet w Seattle. Poza tym w czerwcu masz się zaciągnąć do wojska. Klamka zapadła. Spójrzmy prawdzie w oczy: nie przeniesiemy się do Seattle.

— Więc co zrobimy? Może mi powiesz, jakie mamy inne wyjście, Hatsue?

— Sama nie wiem, Ishmaelu. Chyba żadnego. Mamy związane ręce.

— Musimy po prostu uzbroić się w cierpliwość — powiedział. — Wojna nie będzie trwać wiecznie.

Siedzieli w milczeniu we wnętrzu cedru: Ishmael wsparty na łokciu, Hatsue z głową na jego piersi i nogami opartymi o szkliste drewno.

— Przyjemnie tu — stwierdziła. — Tu zawsze jest tak przyjemnie.

— Kocham cię — powiedział Ishmael. — Zawsze cię będę kochał; niezależnie od tego, co się stanie, ja nie przestanę cię kochać.

— Wiem. Staram się tylko patrzeć na rzeczy realnie. Uważam, że to wszystko nie jest takie proste. Zależy od całego splotu okoliczności...

— One się tak naprawdę nie liczą. Niczego nie zmieniają. Przecież wiesz, że miłość wszystko zwycięża. Nic jej nie pokona. Nic jej nie może zniszczyć. Jeśli tylko kochamy się naprawdę, nic nam nie zagraża. Miłość zwycięża wszystko!

Mówił o tym z takim żarem i pewnością siebie, iż Hatsue pozwoliła mu się przekonać i uwierzyła, że miłość zwycięża wszystko. Pragnęła w to uwierzyć, uległa entuzjazmowi przyjaciela. Zaczęli się całować na wyściełającym dno dziupli mchu; dziewczyna wyczuła w tym jednak jakiś fałsz, próbę ukrycia prawdy i oszukania samych siebie przez zetknięcie warg.

— Przepraszam — szepnęła, odsuwając się od Ishmaela. — To wszystko jest zbyt skomplikowane. Nie potrafię zapomnieć o świecie, który nas otacza.

Tulił ją w ramionach i głaskał po włosach. Nie odzywali się więcej. Hatsue czuła się bezpieczna, jakby zapadała w zimowy sen w sercu tego boru, jakby czas miał zaraz stanąć, a świat zamarznąć — takie krótkotrwałe bezpieczeństwo małej stacyjki kolejowej, którą trzeba o świecie opuścić. Zasnęli z głowami na mchu. Obudził ich gęstniejący w dziupli mrok; wlewające się do wnętrza światło zmieniło się z zielonkawego na szare. Pora wracać do domu.

— Wszystko się jakoś ułoży — zapewnił ukochaną Ishmael. — Zobaczysz, wszystko się ułoży!

— Nie widzę takiej możliwości — odrzekła.

Ich problem rozwiązano za nich — 21 marca rząd Stanów Zjednoczonych ogłosił, że zgodnie z rozporządzeniem o przemieszczeniu mieszkańcy wyspy pochodzenia japońskiego mają osiem dni na przygotowanie się do wyjazdu.

Państwo Kobayashi, którzy obsadzili rabarbarem wartości tysiąca dolarów pięć akrów w Center Valley, zawarli umowę z Torvalem Rasmussenem, przewidującą, że w zamian za plony Torval będzie miał pieczę nad ich plantacją. Państwo Masui opęli truskawki i przy księżycu opalikowali groch, aby zostawić gospodarstwo w jak najlepszym stanie Michaelowi Burnsowi i jego niewydarzonemu bratu Patrickowi, którzy zgodzili się zaopiekować ich farmą. Państwo Sumida postanowili wyprzedać dobytek i zamknąć szklarnię; w czwartek i piątek urządzili całodzienną wyprzedaż i przyglądali się z bólem serca, jak ich narzędzia ogrodnicze, nawóz, krzesła z cedrowego drewna, pojniki dla ptaszków, ławki ogrodowe, papierowe latarnie, fontanny w kształcie kotów, chochoły, łubianki i drzewka *bonsai* kupował za bezcen i wynosił, kto chciał. W niedzielę zawiesili kłódki na drzwiach szklarni i poprosili Piersa Petersena, żeby pilnował ich gospodarstwa. Dali mu za to stadko niosek i parę kaczek krzyżówek na dokładkę.

Len Kato i Johnny Kobashigawa objeżdżali wyspę trzytonową ciężarówką i zwozili do sali Ogniska Japońskiego meble, skrzynie i wszelakie sprzęty, a gdy zapełniła się po dach łózkami, kanapami, piecykami, lodówkami, szafkami, biurkami, stołami i krzesłami, w niedzielę o szóstej wieczorem zamknięto ją na klucz i zabito deskami drzwi. Szeryf San Pedro odebrał przysięgę od trzech emerytowanych rybaków, Gillona Crichtona, Sama Goodalla i Erica Hoffmana seniora, ustanawiając ich swoimi zastępcami i powierzając zadanie strzeżenia złożonego w Ognisku depozytu.

W zatęchłych biurach przetwórci W. W. Beasona w starym basenie portowym tuż za rogatkami Amity Harbor zainstalował się Urząd do Spraw Przemieszczenia Ludności. Zmieściła

się tam nie tylko komendantura transportu wojskowego, ale i urzędnicy Administracji Zabezpieczenia Farm oraz Federalnego Urzędu Zatrudnienia. We czwartek późnym popołudniem do biura War Relocation Authority — jego pracownicy zbierali się właśnie do wyjścia — wpadł jak burza Kaspars Hinkle, trener licealnej drużyny baseballowej, i cisnął na biurko sekretarza swój trenerski notes. Jego pierwszy łapacz, drugi bazowy, dwóch zapolowych, oświadczył — że już nie wspomni o dwóch najlepszych miotaczach — mieli na cały sezon opuścić drużynę! Czy nie można by powtórnie rozpatrzyć tej sprawy? Żaden z tych dzieciaków nie jest przecież szpiegiem!

W sobotę wieczorem, 28 marca, odbył się w auli szkoły średniej w Amity Harbor bal maturalny pod hasłem: Żonkilowy zawrót głowy. Orkiestra swingowa z Anacortes, „Eleganci”, grała wyłącznie rytmiczne melodie taneczne. W przerwie przed mikrofonem na podium dla orkiestry stanął kapitan szkolnej drużyny baseballowej i wręczył listy pochwalne siedmiu członkom drużyny, którzy wyjeżdżali o świcie w najbliższy poniedziałek.

— Bez was nasze szanse są kiepsciutkie — oświadczył. — W tej chwili nie jesteśmy nawet w stanie skompletować drużyny. Ale jeśli uda nam się jakimś cudem odnieść zwycięstwo, dedykujemy je wam, chłopaki!

Miłośniczka zwierząt Evelyn Nearing — wdowa, która mieszkała bez światła elektrycznego i wucetu w chacie z cedrowych bali na przylądku Yearsley — zgodziła się wziąć pod opiekę kozy, świnię, psy i koty kilku japońskich rodzin. Państwo Odowie wypuścili swój sklepik spożywczy państwu MacPhersonom, odsprzedali ponadto Charlesowi MacPhersonowi samochód i dwie furgonetki. Arthur Chambers zawarł umowę z Nelsonem Obada, który jako specjalny korespondent miał nadsyłać do „Kuriera” relacje z obozów internowania. W wydaniu z 26 marca Arthur zamieścił trzy artykuły na temat zbliżającego się przemieszczenia: „Mieszkańcy wyspy pochodzenia japońskiego akceptują wojskowy nakaz ewakuacji”, „Członkinie komitetu rodzicielskiego pochodzenia japońskiego odbierają podziękowania za wkład pracy na rzecz komitetu”, „Rozkaz o ewakuacji uderza w szkolną drużynę baseballową”, a w stałym felietonie „Szczerze rozmowy”, zatytułowanym „Po co ten pośpiech?”, potępił w ostrych słowach władze War Relocation Authority za „bezcelowy i okrutny pośpiech przy wysiedlaniu naszych współobywateli, Amerykanów pochodzenia japońskiego”. Nazajutrz o wpół do ósmej rano odebrał anonimowy telefon.

— Poplecznikom Japońców wyrzniemy jaja! — zagroził piskliwym tenorem jakiś męski głos. — Wypcha się je i...

Arthur odłożył słuchawkę i dalej spokojnie wystukiwał na maszynie artykuł do następnego wydania gazety: „Chrześcijanie szykują się do uczczenia świąt Wielkiejnocy”.

W niedzielę po południu Hatsue oznajmiła matce, że wybiera się na spacer; ostatni przed wyjazdem — podkreśliła. Powiedziała, że chce posiedzieć w lesie i przemyśleć sobie niektóre sprawy. Ruszyła w stronę przylądka Protection, ale w lesie zatoczyła koło i ścieżką prowadzącą na South Beach dotarła do cedrowego drzewa. Ishmael już na nią czekał; leżał na mchu, podłożywszy sobie pod głowę zwiniętą kurtkę.

— Więc jutro wyjeżdżamy — oświadczyła bez wstępów Hatsue, przyklękając w otworze dziupli.

— Coś wymyśliłem — powiedział. — Kiedy zajedziesz na miejsce, napiszesz do mnie. Jak tylko wyjdzie gazetka szkolna, wyślę ci egzemplarz, do którego wsunę mój list, podając adres zwrotny na kółko dziennikarstwa. Jak ci się podoba ten plan? Sądzisz, że może się udać?

— Wolałabym, żebyśmy nie musieli układać żadnych planów. Dlaczego w ogóle musimy to robić?

— Napiszesz do mnie do domu — ciągnął chłopak — podając adres zwrotny na nazwisko Kenny’ego Yamashity. Moi rodzice wiedzą, że się z nim przyjaźnię, więc będziesz mogła spokojnie do mnie pisać.

— A jeśli zechcą obejrzeć list Kenny’ego? Jeśli cię zapytają, co u niego słyhać?

Ishmael zastanawiał się nad tym przez chwilę.

— Rzeczywiście, mogą chcieć obejrzeć list Kenny’ego... A gdybyś tak zebrała kilka listów i włożyła do jednej koperty? Jeden od Kenny’ego, jeden od ciebie, jeden od Helen, jeden od Toma Obaty? Mogłabyś im powiedzieć, że prosiła cię o to redakcja gazetki szkolnej. Zadzwoń wieczorem do Kenny’ego i uprzedzę go, więc twoja prośba nie wzbudzi podejrzeń. Zbierzesz od nich listy, swój włożysz na końcu, przyślesz je pod moim adresem, ja twój wyjmuję, a pozostałe zanoszę do szkoły. Powinno się udać.

— Upodobniłeś się do mnie — stwierdziła. — Oboje nauczyliśmy się kręcić.

— Nie uważam, żeby to było kręctwo z naszej strony — zaprotestował. — Zostaliśmy do tego zmuszeni, i tyle.



Hatsue rozpięła pasek jesionki w jodełkę, kupionej u Penneya w Anacortes. Pod spodem miała sukienkę z szerokim wyszywanym kołnierzykiem. Tego dnia nie zaplotła warkoczy i nie zawiązała wstążek, rozczesane włosy rozpuściła luźno na plecach. Ishmael wtulił nos w ich pasma.

— Pachną cedrem — szepnął.

— Jak ty sam — zauważyła. — Wiesz, będzie mi brakowało twojego zapachu, jak zresztą tego wszystkiego...

Zamilkli i leżeli na mchu jedno obok drugiego, nie dotykając się — Hatsue z falą włosów przerzuconych przez ramię, Ishmael z dłońmi na kolanach. Na zewnątrz zerwał się marcowy wiatr, zaszeleścił w paprociach i zaszumiał do wtóru ciurkającemu nie opodal strumykowi, a drzewo stłumiło te dźwięki. Dziewczyna poczuła, że znajduje się w centrum wszechświata; w tym miejscu, w dziupli tego drzewa, czuła się całkiem bezpieczna.

Zaczęli się całować i pieścić, ale pustka, jaka ją wypełniła, zajmowała całą jej uwagę i nie pozwalała odegnąć natrętnych myśli. Hatsue położyła palec na ustach Ishmaela, zamknęła oczy i ruchem głowy rozsypała włosy na wy ściółce mchu. Ishmael pachniał tym drzewem i tą krainą, którą miała nazajutrz opuścić. Dziewczyna zdała sobie naraz sprawę, jak bardzo będzie za nią tęskniła. Przepelnił ją ból rozłąki; zrobiło jej się żal tego chłopca, żal samej siebie. Zaczęła płakać tak cicho, jakby łzy płynęły spodem jej oczu, jakby łkała tylko skurczem w gardle, napięciem w klatce piersiowej. Przytulona do ukochanego, z nosem pod jego jabłkiem Adama, chlipała cicho w wonną szyję Ishmaela.

Chłopak wsunął ręce pod sukienkę Hatsue, przesunął je wolno w górę ud, aż po wklęsłość kibici, gdzie jego dłonie znieruchomiały. Trzymał ją delikatnie za wcięcie talii, a po chwili ujął niżej, za biodra, i mocno przytulił. Poczowała, jak ją unosi, wyczuła w jego spodniach stwardniały członek i przycisnęła do niego łono. Czubek penisa napierał przyjemnie na jej ciało przez gładki chłodny jedwab. Całowali się teraz zachłannie, a Hatsue zaczęła się poruszać, jakby chciała wchłonąć w siebie tę twardą obrzmiałość, która ją bodła przez jedwab jej majtek i bawełniane spodnie Ishmaela. Potem dłonie chłopaka zaczęły wędrować pod sukienką w górę, aż dotarły do zapinki biustonosza. Dziewczyna wygięła plecy nad mchem, by zrobić miejsce dla jego palców, a Ishmael rozpiął zapinkę i zsunął z ramion ukochanej ramiączka biustonosza, muskając przy tym pocałunkami płatki jej uszu. Następnie jego dłonie zawróciły, wynurzyły się spod sukienki i pod falą włosów objęły Hatsue za szyję, a potem pod łopatkami. Pozwoliła swemu ciału spoczywać

całym ciężarem na dłoniach przyjaciela, uniosła tylko piersi na spotkanie jego ust. Całował je przez sukienkę, a potem zaczął rozpinąć jednaście guziczków, na które była zapięta, poczynając od najwyższego, tego pod wyszywanym kołnierzykiem, co trochę trwało. Hatsue zacisnęła wargi na dolnej wardze Ishmaela, podczas gdy on ostrożnie rozpinał guziki sukienki. Kiedy się wreszcie rozchyliła, zsunął biustonosz z piersi ukochanej i pieścił językiem jej sutki.

— Pobierzmy się — wyszeptał. — Chcę się z tobą ożenić, Hatsue!

Czuła się w środku nazbyt pusta, by mu odpowiedzieć; nie była w stanie wydobyć z siebie głosu, bo spoczywał pogrzebany pod jej płaczem i nie miała sposobu wydostania go stamtąd. Przesunęła więc tylko palcami po plecach Ishmaela i wokół jego bioder, a potem obiema dłońmi ujęła przez spodnie długą i twardą obrzmiałość i poczuła, że chłopak niemal przestał oddychać. Zacisnęła palce i pocałowała go.

— Pobierzmy się — powtórzył, a ona od razu wiedziała, o czym myśli. — Ja po prostu... Pragnę cię poślubić.

Nie powstrzymywała go, wciąż tylko cicho płakała, kiedy wsunął rękę pod jej majtki, a potem zsuwał je ostrożnie z jej nóg. Całując dziewczynę, opuścił do kolan spodnie i czubek nabrzmiałego członka dotykał teraz jej nagiej skóry.

— Powiedz tylko „tak” — wyszeptał, ujmując w dłonie twarz Hatsue. — Powiedz tylko „tak”, powiedz „tak”! O Boże, Boże, powiedz „tak”, „tak”!

— Ishmaelu — szepnęła, a wtedy on wdarł się w nią, głęboko, miała wrażenie, że twardy penis wypełnił ją całą, i nagle, jak w przeblysku olśnienia, zrozumiała, że ich miłość jest pomyłką. To odkrycie nią wstrząsnęło, choć jednocześnie uświadomiła sobie, że wiedziała o tym od początku, tylko z jakiegoś powodu aż do tej chwili nie dopuszczała tego do świadomości. Szarpnęła się i zepchnęła z siebie chłopaka.

— Nie chcę! — zawołała. — Nie chcę, Ishmaelu, słyszysz?

Odsunął się; wiedziała, że jest przyzwoitym i dobrym młodzieńcem. Podciągnął spodnie, zapiął rozporek i pomógł jej wciągnąć majtki. Poprawiła biustonosz, zapięła zapinkę, a potem guziczki sukienki, włożyła jesionkę, usiadła i zaczęła starannie wyczesywać z włosów mech.

— Przykro mi — powiedziała. — Lecz to nie było właściwe.

— Dla mnie było. Czuję, jakbyśmy się pobrali, połączyli się węzłem małżeńskim, związali jedynym rodzajem ślubu, jaki mogliśmy zawrzeć.

— Przykro mi — powtórzyła, wyskubując z włosów mech. — Nie chciałabym, żebyś był nieszczęśliwy.

— Już jestem nieszczęśliwy! Jestem zrozpaczony, bo rano wyjeżdżasz.

— Ja też czuję się z tego powodu nieszczęśliwa. Tak bardzo, aż mi od tego słabo, nigdy się gorzej nie czułam. Niczego już nie rozumiem.

Odprowadził ją do domu. Na skraju pola jej rodziców przystanęli na chwilę za pnem cedru. Zmierzchało już; marcowa szarość spowijała cały świat — drzewa, gnijące drewno, bezlistny klon, leżące na ziemi kamienie.

— Do widzenia — wyszeptała Hatsue. — Napiszę do ciebie.

— Nie odchodź jeszcze — poprosił. — Zostań jeszcze chwilę!

Kiedy się w końcu pożegnali, zmrok dobrze już zgęstniał.

Dziewczyna wyszła z lasu na otwartą przestrzeń z mocnym postanowieniem, że się za siebie nie obejrzy, ale po przejściu kilkunastu kroków obejrzała się jednak wbrew sobie; nie mogła się powstrzymać. Powinna była pożegnać się z kochankiem na zawsze, powiedzieć mu, że już nigdy się nie spotkają, wyjaśnić, że postanowiła się z nim rozstać, bo w jego ramionach nie czuje się pełna. Jednak nie powiedziała mu tego, nie powiedziała, że byli zbyt młodzi, nie patrzyli na życie realnie, dali się unieść dziecięcemu porywowi, lasom i plażom, nie powiedziała mu, że ich miłość była od początku złudzeniem, że ona, Hatsue, nie odnalazła w niej siebie. Zamiast powiedzieć mu to wszystko, patrzyła na chłopaka bez zmrużenia powiek, niezdolna do zranienia go tak boleśnie, jak zranić powinna, bo w pewien sposób nadal go kochała — kochała za to, jaki był, za jego uprzejmość, powagę i dobre serce. Ishmael stał pod drzewem i odprowadzał ją spojrzeniem pełnym rozpacz; takim go miała zapamiętać. Po upływie dwunastu lat wciąż go takim widziała: stał na skraju truskawkowych pól, w mroku milczących cedrów, przystojny chłopiec z wyciągniętą ręką, wzywający ją do powrotu.

W poniedziałek o siódmej rano wojskowa ciężarówka zawiozła Fujiko i jej pięć córek na przystań promową w Amity Harbor, gdzie jakiś żołnierz wręczył im metki, które miały przyczepić do walizek i palt. Czekwały na zimnie wśród swoich tobołków, oglądane przez sąsiadów *hakujin*, którzy przyglądali się ciekawie gromadzie Japończyków stłoczonych na molo pod strażą żołnierzy. Fujiko dojrzała wśród gapiów Ilse Severensen, która ze splecionymi na poręczy rękami opierała się o balustradę; kiedy ją mijaly, pomachała im dłonią. Ilse, imigrantka ze Seattle, od dziesięciu lat kupowała u Fujiko truskawki i traktowała ją jak ciemną chłopkę, której powołaniem było dodawanie wyspie lokalnego kolorytu na użytek przyjaciół Ilse, zjeżdżających do niej w odwiedziny z miasta. Jej przesadna uprzejmość zalatywała protekcyjnością, ponadto pani Severensen nie omieszkiwała przepłacać nieco za owoce, robiąc przy tym minę osoby spełniającej czyn miłosiermy, toteż Fujiko nie potrafiła się tego ranka zdobyć na wyrażenie jej wdzięczności czy choćby tylko spojrzenie w oczy, nie podniosła głowy i nie oderwała wzroku od ziemi, mimo że pani Ilse pomachała do niej i przyjaźnie zawołała jej imię.

O dziewiątej wprowadzono Japończyków na pokład promu „Kehloken”, czemu ich biali sąsiedzi przyglądali się ze wzgórza. Mała córeczka Gordona Tanaki upadła na molo i zanosła się płaczem, zarażając szlochaniem więcej osób, szczególnie gdy ze wzgórza doleciał krzyk Antonia Danganara, Filipińczyka, który przed zaledwie dwoma miesiącami poślubił Eleanor Kitano.

— Eleanor! — zawołał, a gdy podniosła wzrok, rzucił w jej stronę bukiet czerwonych róż; kwiaty poszybowały z wiatrem i wylądowały na falach pod palami mola.

Z Anacortes przewieziono deportowanych pociągiem do obozu przejściowego, urządzonego w stajniach na terenach targowych w Puyallup. Ulokowano ich w końskich boksach i kazano spać na wojskowych pryczach. O dwudziestej pierwszej zamykano stajnie, o dwudziestej drugiej musieli gasić światło — jedną nagą żarówkę na rodzinę. W stajniach panował przejmujący ziąb, a kiedy zaraz pierwszej nocy spadł deszcz, musieli przesuwac połówki, bo okazało się, że dach przecieka. Nazajutrz o szóstej rano poczłapali po błocie do obozowej kantyny, gdzie dano im konserwowe figi i biały chleb do jedzenia, a do picia kawę w blaszanych kubkach. Fujiko przez cały czas starała się zachowywać z godnością, choć gdy przyszło jej wypróżniać się na oczach innych kobiet, poczuła się bliska załamania. Grymas

natężenia, wykrzywiający jej twarz, kiedy się załatwiała, okropnie ją upokorzył. Siedziała na kiblu ze spuszczoną głową, wstydząc się dźwięków, jakie wydawało jej ciało. Dach w latrynie również przeciekał.

Po trzech dniach załadowano internowanych do pociągu, który powłókł się ospale w stronę Kalifornii. Wieczorem żołnierze żandarmerii wojskowej, patrolujący wagony, kazali opuścić zasłonki w oknach, więc całą noc jechali w zupełnej ciemności, stłoczeni na twardych ławkach, usiłując się nie skarżyć. Pociąg to zatrzymywał się, to ruszał, szarpał i wybijał drzemiących z płytkiego snu; tymczasem pod drzwiami ubikacji cały czas stała kolejka. Wiele osób, w tym Fujiko, cierpiało na rozstrój żołądka, którego się nabawili w obozie przejściowym w Puyallup. Podskakując na kolejowej ławce, Fujiko miała wrażenie, że jej mózg tłucze się we wnętrzu czaszki, lekki niczym wydmuszka, odbył piekło ją niemiłosiernie, a na czoło występowały kropelki zimnego potu. Starła się nie poddawać zmęczeniu i nie skarżyć przed córkami; nie chciała, żeby wiedziały, jak cierpi i jak bardzo pragnie położyć się gdzieś i wyspać. Kiedy bowiem udawało jej się nawet zdrzemnąć na chwilę, do jej świadomości docierało nadal uporczywe bzyczenie much plujek i płacz niemowlęcia państwa Takami, które miało dopiero trzy tygodnie i gorączkowało. Zawodzenie tego dziecka okropnie jej grało na nerwach, więc przez całą podróż zatykała palcami uszy, choć niewiele to pomagało. Im dłużej nie mogła zasnąć, tym bardziej malało jej współczucie dla niemowlęcia oraz całej rodziny Takami, aż zaczęła mu w duchu życzyć śmierci, jeśli po niej miałyby nastąpić cisza. Nienawidziła siebie za te myśli i starała się z nimi walczyć, ale tymczasem rósł w niej jedynie gniew, że dziecka nie można po prostu wyrzucić za okno, żeby reszta mogła zaznać trochę wytchnienia. Kiedy w końcu stwierdziła, że nie zniesie już ani chwili dłużej tej tortury, rozdzierający płacz niemowlęcia nagle ucichał. Fujiko uspokajała się, opuszczała powieki i z niezmierną ulgą zasypiała, a wtedy niemowlę państwa Takami znowu zaczynało krzyczeć i płakać — i nie dawało się uciszyć.

Pociąg zatrzymał się na stacyjce o nazwie Mojave pośrodku nagiej bezkresnej pustyni. O wpół do dziewiątej rano zapakowano deportowanych do autobusów i powieziono na północ piaszczystymi drogami, żeby po czterech godzinach kazać im wysiadać w miasteczku o nazwie Manzanar. Fujiko zamykała oczy i wyobrażała sobie, że burza piaskowa, chłuszcząca ściany autobusu, jest zacinającym na San Pedro deszczem. Zdrzemnęła się, a gdy się obudziła, ujrzała przed sobą ogrodzenie z drutu kolczastego i majaczące w kurzawie rzędy baraków. Spojrzała na zegarek: wskazywał dwunastą trzydzieści. Przyjechali w samą porę, by ustawić się w kolejce po

racje obiadowe. Jedli na stojąco, z wojskowych menażek, zwrócenii plecami do wiatru. Fujiko zgrzytał w zębach piasek, kiedy jadła swój przydział złożony z masła orzechowego, białego chleba, konserwowych fig i fasoli.

Po południu pierwszego dnia zaszczepiono internowanych na dur brzuszny. Czekali do szczepienia w kolejce, stojąc w kurzawie obok swych bagaży, a zaraz potem ustawili się w rzędku po kolację. Wieczorem rodzinę Imadów umieszczono w baraku czwartym na bloku jedenastym, gdzie przypadło im pomieszczenie o wymiarach pięć na siedem metrów, którego umeblowanie stanowiły naga żarówka, mały piecyk naftowy, sześć połówek z Korpusu Obrony Cywilnej, sześć sienników i tyleż wojskowych kocy. Fujiko usiadła w palcie na skraju łóżka polowego, trzymając się za brzuch, gdyż skręcały ją skurcze po obozowym wikcie i szczepionce przeciwko durowi, a tymczasem jej córki ubiły słomę w siennikach i rozpałiły naftowy piecyk. Nawet gdy się rozgrzał, nie przestała dygotać, choć położyła się na pryczy w ubraniu i przykryła kocami. O północy nie mogła już dłużej wytrzymać i wraz z trzema córkami, które również poczuły się źle, wyszła po ciemku z baraku i powlokła się w stronę obozowej latryny. Ku swemu zdziwieniu natknęły się tam — mimo nocnej pory — na kolejkę złożoną z pięćdziesięciu co najmniej skulonych kobiet i dziewcząt, okutanych w palta i obróconych plecami w stronę wiatru. Jakąś biedaczką u czoła kolejki szarpały straszne torsje; jej wymiociony śmierdziały figami z puszek, które wszyscy przecież jedli. Nieszczęsna przeproszała gorąco po japońsku za swoje zachowanie, ale po chwili zaczęła wymiotować następną, więc umilkła.

Podłogę latryny powlekała maź ekskrementów; wszędzie dokoła walały się umazane kałem chusteczki. Dwanaście kibli, ustawionych parami tyłem do siebie, było tak przepełnionych, że niemal się przelewały. Kobiety mimo to przykucaly nad nimi w półmroku, na oczach gromady obcych ludzi, starających się nie oddychać. Kiedy przyszła kolej Fujiko, wypróżniła się, zwiesiwszy głowę, obejmując rękami brzuch. W latrynie stało koryto do mycia rąk, ale nie było mydła.

W nocy przez dziury po sękach w ścianach i podłodze wdzierał się do środka pustynny kurz. Rano wszystkie koce były przyprószone piaskiem. Poduszka Fujiko pozostała biała tylko w miejscu, gdzie spoczywała jej głowa, poza tym pokrywała ją warstewka drobnych żółtych ziarenek. Matka Hatsue czuła je na twarzy, we włosach, a nawet w ustach. Noc była zimna i w sąsiednim pomieszczeniu za przepierzeniem z cienkich sosnowych desek płakało czyjeś dziecko.

Drugiego dnia pobytu w obozie rodzinie Imadów dano miotłę, szmatę na kiju i wiadro. Blokowy — okutany w zakurzony płaszcz mieszkaniec Los Angeles, który utrzymywał, że w poprzednim życiu był adwokatem, obecnie zaś chodził nie ogolony, w jednym bucie nie zasnuowanym i przekrzywionych na nosie okularach w drucianej oprawce — pokazał im, gdzie przed barakiem znajduje się kran. Fujiko i jej córki zamiotły swoją izdebkę i zrobiły przepierkę w żelaznym saganie. Podczas gdy one sprzątały, przez szczeliny nadal wiało piaskiem, który osiadał na świeżo zamiecionych sosnowych deskach. Hatsue wyszła na szalejącą piaskową zadymkę i po jakimś czasie wróciła z kilkoma kawałkami papy, które wiatr cisnął na zwoje kolczastego drutu, rozciągniętego wzdłuż pasa przeciwpożarowego. Poutykały te strzępy wokół futryny drzwi i przytwierdziły do ścian pineskami pożyczonymi od państwa Fujitów, zakrywając niektóre dziury po sękach.

Nie było sensu skarżyć się na te niewygody — wszyscy je cierpieli. Więźniowie snuli się jak duchy pod wieżyczkami strażniczymi, a wiatr od wznoszących się na horyzoncie gór przekraczał bez przeszkód druty kolczaste i miotał im w twarze pustynny piasek. Obóz został tylko w połowie ukończony, nie dla wszystkich starczyło baraków, więc niektórzy musieli po przyjeździe dopiero je budować, żeby mieć gdzie spać. Na obszarze niecałych trzech kilometrów kwadratowych pustyni, przemielonej na miał gąsienicami wojskowych buldożerów, stłoczono tysiące i tysiące ludzi, nie było więc mowy o prywatności czy odosobnieniu. Baraki były do siebie podobne jak dwie krople wody; nad ranem drugiej nocy pobytu w obozie w drzwiach izdebki kobiet Imada stanął jakiś podpity mężczyzna, rozejrzał się i zaczął wylewnie przeproszać, tłumacząc, że zgubił drogę; gdy zaś on przeproszał, do środka wpadały tumany piasku. Pokoje nie miały sufitów, Fujiko i jej córki mogły więc słyszeć odgłosy sprzeczek w sąsiednich klinkach. Trzy pomieszczenia dalej pewien mężczyzna robił wino własnej roboty, używając do tego celu ryżu z kantyny i soku morelowego z puszki; trzeciej nocy usłyszały jego płacz, kiedy żona mu tego zabroniła. Tej samej nocy jedyne okienko w izdebce rodziny Imadów omiotły światła reflektorów zapalonych na wieżyczkach strażniczych. Rano okazało się, iż któremuś ze strażników ubrdało się, że zauważył próbę ucieczki, więc zaalarmował obsługę karabinu maszynowego na wieży. Czwartej nocy młody mężczyzna z baraku numer 17 zastrzelił w łóżku żonę, a następnie popełnił samobójstwo; udało mu się jakoś przemycić pistolet.

— *Shikata ga nai* — stwierdzili ludzie. — Nic nie poradysz, będzie, co ma być.

Nie przewidziano schowków na ubrania — internowani żyli dosłownie na walizkach. Od podłogi ciągnęło, więc aż do położenia się spać nosili zakurzone buty. Pod koniec pierwszego tygodnia Fujiko całkiem straciła z oczu swoje córki, nie tylko dlatego, że więźniowie upodobnili się do siebie, przywdziawszy ubrania z zapasów Ministerstwa Wojny — szynele, robione na drutach czapki, płócienne getry, wojskowe nauszники i wełniane spodnie koloru khaki. Tylko dwie najmłodsze córki jadły razem z matką; trzy starsze biegały po obozie z gromadami młodzieży i jadały przy osobnych stołach. Gdy Fujiko je rugała, wysłuchiwały jej potulnie i znów gdzieś znikwały. Wychodziły z baraku wcześniej rano, a wracały późnym wieczorem, zakurzone od stóp do głów. Obóz internowanych przypominał wielki zlot młodzieży — wszędzie szwendali się młodzi ludzie, spacerowali po drogach pożarniczych, kryli się przed wiatrem pod osłoną baraków. Idąc pewnego ranka po śniadaniu do łaźni, Fujiko zauważyła swoją średnią, zaledwie czternastoletnią córkę, stojącą w grupce czterech młodzieńców ubranych w szpanerskie kurtki wzorowane na kurtce generała Eisenhowera. Fujiko wiedziała, że młodzieńcy pochodzą z Los Angeles; większość internowanych stamtąd właśnie pochodziła. Przybysze z Los Angeles nie należeli do zbyt serdecznych i z jakichś niejasnych powodów spoglądali na panią Imadę z góry; w ich towarzystwie trudno jej było wtrącić słowo. Fujiko stała się milcząca i zamknięta w sobie. Czekała na wiadomość od Hisao, tymczasem przyszedł całkiem inny list.

\* \* \*

Kiedy siostra Hatsue Sumiko ujrzała kopertę z adresem zwrotnym „Szkoła średnia w San Pedro, kółko dziennikarstwa”, nie zdołała się oprzeć pokusie i rozerwała ją. Sumiko była przed internowaniem uczennicą drugiej klasy liceum i choć dobrze wiedziała, że list przyszedł do Hatsue, pokusa jego otwarcia okazała się nieodparta — przynosił przecież nowiny z domu!

Dziewczyna przeczytała list od Ishmaela Chambersa po raz pierwszy pod obitym papą budynkiem YMCA, po raz drugi — smakując co ciekawsze sformułowania — za obozowym chlewikiem.

*4 kwietnia 1942 r.*

*Najdroższa!*

*Każdego popołudnia chodzę do naszego cedru. Zamykam oczy i czekam. Wciągam w nozdrza Twój zapach, marzę o Tobie i pragnę Twojego powrotu. Myślę o Tobie nieustannie i tęsknię do chwili, gdy będę mógł wziąć Cię w ramiona i poczuć przy piersi. Tęsknota za Tobą mnie zabija. Czuję się tak, jakby pozbawiono mnie cząstki mnie samego.*



*Jestem samotny i nieszczęśliwy. Wciąż o Tobie myślę. Mam nadzieję, że zaraz mi odpiszesz — Pamiętaj tylko o adresie zwrotnym Kenny'ego Yamashity, żeby moi rodzice czegoś się nie domyślili.*

*Życie stało się tu okropnie smutne, właściwie bez sensu. Mam tylko nadzieję, Najdroższa, że w czasie naszej rozłąki zaświeci Ci czasem promyk szczęścia. Jeśli o mnie chodzi, nie zaznam go, dopóki nie zamknę Cię znowu w ramionach. Teraz już wiem, że nie potrafiłbym bez Ciebie żyć. Po tych wspólnie przeżytych latach stwierdzam, że stałaś się częścią mnie. Bez Ciebie na dobrą sprawę nie istnieję.*

*Twój na zawsze*

*Ishmael*

Po półgodzinnej walce z samą sobą, którą stoczyła przechadzając się po obozie, i czterokrotnym jeszcze odczytaniu listu Ishmaela Sumiko z ciężkim sercem zaniósła go matce.

— Proszę — powiedziała. — Czuję się jak ostatnia świnia, ale nie mogę ci tego nie pokazać.

Fujiko przeczytała list Ishmaela Chambersa stojąc z dłonią przyciśniętą do czoła na środku łataney papą izby. Czytając, poruszała bezgłośnie wargami i z przejęcia mrugała powiekami. Skończywszy, opadła na krzesło, a ręka, trzymająca list, zwisała jej bezwładnie. Po chwili westchnęła i zdjęła okulary.

— Niedoczekanie! — szepnęła po japońsku.

Zmęczonym ruchem położyła okulary na kolanach, na nich list i przycisnęła ręce do oczu.

— To ten chłopiec z sąsiedztwa — powiedziała do córki. — Ten, który uczył ją pływać.

— Ishmael Chambers — potwierdziła Sumiko. — Wiesz, kto to jest...

— Twoja siostra popełniła straszny błąd — stwierdziła Fujiko — jakiego ty, mam nadzieję, nie popełnisz.

— Ani myślę — uspokoiła matkę Sumiko. — Zresztą, choćbym nawet chciała, w tym miejscu to i tak niemożliwe, nie sądzisz?

Fujiko podniosła okulary i trzymała je w palcach.

— Powiedziałaś komuś o tym liście, Sumi? — spytała. — Pokazywałaś go komuś?

— Nie. Tylko tobie.

— Musisz mi coś obiecać, córeczko. Musisz mi przyrzec, że nikomu o tym nie powiesz... ale to nikomu. I bez tego dość już tutaj krąży płótek. Musisz mi obiecać, że nikomu nie piśniesz ani słóweczkiem o tym liście, dobrze?

— Dobrze, obiecuję.

— Twojej siostrze powiem, że znalazłam ten list. Nie musisz brać na siebie winy.

— Dobrze — zgodziła się Sumiko. — Zgoda.

— A teraz wyjdź. Idź na dwór i zostaw mnie samą.

Dziewczyna wyszła, żeby włóczyć się bez celu po obozie, a Fujiko włożyła na nos okulary i po raz drugi przeczytała list. Z jego treści wynikało niezbitie, że Hatsue była związana z tym chłopcem od dłuższego czasu, od kilku zapewne lat. Nie ulegało wątpliwości, że dotykał jej ciała, że zawiązała się między nimi erotyczna zażyłość w tej dziupli, której używali jako miłosego gniazdka w leśnej głuszy. Spacerzy Hatsue stanowiły tylko przykrywkę — co zresztą Fujiko niejasno podejrzewała — dla spotkań z kochankiem. Wracała z nich do domu z wąsami czepnymi *fuki* w rękach i wilgotnym krocem. „Obłudnica!” — oburzyła się w duchu Fujiko.

Przez chwilę wspominała własne życie miłosne. Przypomniała sobie, jak poślubiła mężczyznę, którego wcześniej nie widziała na oczy, i spędziła z nim noc poślubną w hoteliku, gdzie ściany — zamiast tapetami — wyklejono stronami kolorowych magazynów *hakujin*. Tej pierwszej nocy nawet nie pozwoliła się mężowi dotknąć — Hisao był brudny, ręce miał szorstkie, całego zaś majątku posiadał ledwo kilka centów. Pierwsze godziny małżeńskiego związku strawił na gorącym przeproszaniu Fujiko, tłumaczeniu jej opłakanego stanu swych finansów, błaganiu, żeby zgodziła się razem z nim pracować, oraz podkreślanii własnych talentów i zalet charakteru — był mianowicie ambitny, pracowity, nie uprawiał hazardu, nie pił, nie hołdował złym nawykom i oszczędzał pieniądze, ale czasy przyszły takie, że potrzebuje kogoś do pomocy u swojego boku. Powiedział, że zdaje sobie sprawę, iż będzie musiał zasłużyć na jej miłość, i jest gotów udowodnić z czasem, ile jest wart, jeśli tylko Fujiko zechce uzbroić się w cierpliwość.

— Nie odzywaj się nawet do mnie! — chlupnęła.

Tej pierwszej nocy Hisao spał na krześle, a Fujiko nie zmrużyła wcale oka, zastanawiając się nad sposobami wywikłania się z rozpaczliwej sytuacji, w jakiej się znalazła. Nie miała dość pieniędzy na bilet powrotny do domu, a zresztą — co czuła przez skórę — nie mogłaby wrócić do swojej rodziny w Japonii: jej rodzice sprzedali ją i dali procent oszukańczemu *baishakunin*,

który ich zapewniał, że kandydat na małżonka zbił w Ameryce majątek. Fujiko nie spała, rozmyślała nad swoim położeniem i jej gniew się wzmagał; o świcie osiągnął takie natężenie, że nieszczęsną ogarnęła chęć mordy.

Rano Hisao stanął w nogach łóżka i zapytał żonę, czy dobrze spała.

— Nie rozmawiam z tobą — odburknęła. — Mam zamiar napisać do domu, żeby mi przysłali pieniądze na powrót, i wracam najszybciej, jak się da.

— Zaoszczędzimy je wspólnie — zaproponował błagalnie. — Wrócimy do Japonii razem, skoro tego pragniesz. Możemy...

— Gdzie twoje dwanaście akrów w górach? — natarła na niego z furią. — *Baishakunin* zawiózł mnie na miejsce, żebym sobie obejrzała tę piękną posiadłość: drzewka brzoskwiniowe, hurma, wierzby płaczące, skalniaki. Wszystko bujda, jak się okazało!

— Bujda, masz rację — przyznał. — Nie mam pieniędzy, to prawda. Jestem biedakiem, który urabia sobie ręce po łokcie. *Baishakunin* cię okłamał, przykro mi z tego powodu, ale...

— Proszę, żebyś się do mnie nie odzywał! — prychnęła. — Nie chcę za ciebie wychodzić!

Zajęło jej trzy miesiące, zanim się przemogła i zaczęła z nim spać, a potem stopniowo nauczyła się go kochać — jeśli miłość jest tu słowem na miejscu. Leżąc w ramionach Hisao, Fujiko zdała sobie bowiem sprawę, że miłość ma niewiele wspólnego z fantazjami, jakie sobie roiła jako dorastająca w pobliżu Kurę panienka. Okazała się mniej romantyczna i o wiele bardziej przyziemna, niż to sobie wyobrażała w dzieciństwie. Fujiko płakała, kiedy traciła cnotę, po części dlatego, że poświęcenie dziewictwa na ołtarzu potrzeb Hisao nie spełniało jej pragnień i nadziei. Była jednak teraz mężatką, żoną człowieka solidnego, do którego powoli przywykała. Przeżyli już razem wiele trudnych chwil, a Hisao ani razu się nie skarżył.

A teraz stała z tym listem w ręku — listem do jej córki od chłopca *hakujin*, w którym pisał o pieszczotach w dziupli cedrowego drzewa, o swej samotności i rozpacz, o tym, jak okropnie tęskni za Hatsue i czeka na list od niej, opatrzony fałszywym adresem zwrotnym: „pamiętaj tylko o adresie zwrotnym Kenny’ego Yamashity” — przypominał. Fujiko zastanawiała się, czy jej córka kocha tego chłopca i czy w ogóle ma jakieś pojęcie o miłości. Teraz zrozumiała, dlaczego Hatsue stała się taka posępna i milcząca od dnia wyjazdu z San Pedro — bardziej posępna i milcząca niż jej siostry. Wszyscy byli przygnębieni i dziewczyna wykorzystwała to powszechne nieszczęście, skryła się za nim ze swoim prywatnym bólem jak za parawanem.

Rzucano się jednak w oczy, że chodziła bardziej od innych przybita, była bardziej apatyczna i zajmowała się tym, co do niej należało, z mechanicznością człowieka w głębokiej rozpacz. Pytana o przyczynę ponurego nastroju, odpowiadała, że tęskni za ojcem, za wyspą San Pedro. Nie przyznała się jednak nikomu, że tęskni za swoim *hakujin* przyjacielem, za swoim sekretnym kochankiem. Głębia oszustwa córki stanęła przed Fujiko z całą wyrazistością i nieszczęsna matka zawrzała oburzeniem z powodu tak ciężkiej zdrady. Jej gniew wtopił się w nastrój ogólnego przygnębienia, jaki narastał w Fujiko od dnia bombardowania Pearl Harbor; chyba po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu poczuła się zupełnie załamana.

Przypomniała sobie, że niezależnie od okoliczności powinna zachowywać się z godnością. Na samym początku pobytu w Ameryce zapomniała o tej cennej nauce, jaką — jeszcze w Kurę — wszczepiła jej babka, ale z czasem sobie o niej przypomniała. Babka miała na to specjalne słowo — *giri*. Nie miało dokładnego odpowiednika w języku angielskim, a oznaczało, że każdy powinien robić to, co do niego należy, ze spokojem i stoicyzmem. Fujiko usiadła i postarała się wzbudzić w sobie ducha spokojnej godności, jakiego miała potrzebować do rozmowy z córką. Zamknęła oczy i oddychała głęboko.

Postanowiła, że rozmówi się z Hatsue, ledwo dziewczyna wróci ze swojej bezcelowej wałęsaniny po obozie. Trzeba położyć kres temu romansowi.

Kilka godzin przed obiadem do drzwi izdebki rodziny Imadów zapukało kilku znajomych chłopców z San Pedro; Fujiko rozpoznała w nich synów państwa Tanaków, Kado, Matsui i Miyamoto. Mieli ze sobą narzędzia oraz kawałki drewna; oznajmili, że są gotowi zbudować pani Imadzie wszystko, co jej potrzebne — półki, szafkę, krzesła. Z wdzięcznością przyjęła ich propozycję, przydadzą się jej te sprzęty, powiedziała, więc chłopcy zabrali się żwawo do pracy. Mierzyli, przycinali i piłowali, schowawszy się przed wiatrem pod osłoną baraku. Po jakimś czasie wszedł do izby Kabuo Miyamoto, żeby przybić wsporniki pod półkę. Fujiko siedziała na pryczy, chowając za plecami list od Ishmaela Chambersa.

— Pod barakiem kuchennym leży trochę blachy — oznajmił Kabuo. — Moglibyśmy ją pani przybić na te dziury po sękach w podłodze. Nadadzą się lepiej niż papa.

— Papa się drze — przyznała Fujiko po angielsku, bo w tym języku ją zagadnął. — Poza tym nie powstrzymuje zimna.

Kabuo kiwnął głową i wrócił do pracy; jego młotek stukał rytmicznie.

— Jak się miewa twoja rodzina? — spytała Fujiko. — Matka, ojciec, pozostali?

— Ojciec choruje — odparł. — Obozowe jedzenie popsuło mu żołądek. — Urwał, żeby wygrzebać następny gwóźdź z kieszeni. — A jak się miewa rodzina Imadów?

— Jesteśmy zakurzone. Łykamy kurz.

W drzwiach stanęła Hatsue. Twarz miała zarumienioną z zimna. Zerwała z głowy chustkę. Kabuo Miyamoto przerwał na chwilę pracę i zagapił się na dziewczynę, a ona potrząsnęła głową, żeby rozpuścić włosy.

— Cześć — przywitał się. — Miło cię widzieć.

Hatsue jeszcze raz potrząsnęła głową, sprawnym ruchem dłoni wygładziła włosy na plecach, a potem wsadziła ręce w kieszenie palta i usiadła obok matki.

— Cześć — odpowiedziała, poprzestając na tym oschłym przywitaniu.

Przez jakiś czas obie kobiety przyglądały się w milczeniu plecom Kabuo Miyamoto, który kucając na piętach stukał z uwagą młotkiem. Po chwili do pokoju wszedł chłopak z naręczem świeżo przyciętych sosnowych deseczek. Kabuo kładł je po kolei na wspornikach i sprawdzał poziomą, czy równo leżą.

— W porządku — oznajmił. — Powinny się nadać. Przepraszam, że są trochę toporne.

— Bardzo ładne półeczki — zaoponowała Fujiko. — To bardzo uprzejmie z waszej strony. Dziękujemy.

— Zrobimy wam jeszcze sześć krzeseł — oświadczył Kabuo, spoglądając na Hatsue. — Do tego dwie szafki i stół, żebyście miały na czym jeść. Przyniesiemy je za kilka dni, jak tylko spravimy się z robotą.

— Dziękujemy — powiedziała Fujiko. — Jesteś bardzo miły.

— To dla nas przyjemność — oświadczył młodzieniec. — Żaden kłopot.

Trzymając w ręku młotek uśmiechnął się do Hatsue, a dziewczyna opuściła wzrok na kolana. Kabuo wsunął trzonek młotka w płócienną szlufkę przy spodniach, wziął poziomą oraz taśmę mierniczą i pożegnał się.

— Do widzenia, pani Imada. Do zobaczenia, Hatsue. Miło mi było panie widzieć.

— Jeszcze raz dziękujemy — powiedziała Fujiko. — Naprawdę bardzo jesteśmy wam wdzięczne.

Ledwo drzwi się za chłopakiem zamknęły, sięgnęła za siebie i pokazała córce list.

— Proszę — powiedziała. — Poczta do ciebie. Nie rozumiem, jak mogłaś mnie tak oszukiwać, Hatsue. Nigdy tego nie pojmę!

Postanowiła omówić tę bolesną sprawę od ręki, lecz teraz uświadomiła sobie nagle, że głębia odczuwanego żalu mogłaby jej przeszkodzić w wyrażeniu tego, co wyrazić pragnęła.

— Nie napiszesz więcej do tego chłopca i nie będziesz odbierała jego listów — oświadczyła podchodząc do drzwi.

Hatsue siedziała z listem w ręku, w jej oczach wzbierały łzy.

— Przepraszam — wybąkała. — Wybacz mi, mamó. Oszukiwałam cię, zawsze o tym wiedziałam!

— Oszustwo, jakiego się wobec mnie dopuściłaś, to tylko połowa twego błędu, córko — stwierdziła po japońsku Fujiko. — Bo ty oszukiwałaś również samą siebie!

Potem Fujiko wyszła na dwór, na szalejący wiatr. Skierowała kroki do baraku pocztowego i poprosiła urzędnika, żeby zatrzymywał całą pocztę przychodzącą do jej rodziny. Od tej pory ona sama, Fujiko, będzie przychodziła po listy. Cała poczta ma być oddawana wyłącznie do jej rąk.

Po południu usiadła w kantynie i napisała list do rodziców Ishmaela Chambersa. Napisała im o dziupli w lesie i o podwójnym życiu, jakie Ishmael i Hatsue prowadzili od kilku lat. Wyjawiała im treść listu, jaki ich syn napisał do jej córki. Jej córka, zapewniła, nie będzie odpisywała na listy syna państwa Chambersów ani teraz, ani w przyszłości. Cokolwiek zaszło między nimi, skończyło się oto raz na zawsze. Fujiko przeprosiła rodziców Ishmaela za postępowanie córki; wyraziła też nadzieję, że syn państwa Chambersów ułoży sobie życie i zapomni o Hatsue. Dodała, iż rozumie, że młodzi popełnili tę nieostrożność z dziecięcej nierozwagi. Mimo to ponoszą winę i muszą się nad sobą zastanowić, wejrzeć we własne serca, przeprowadzić rachunek sumienia. Nie jest zbrodnią, pisała Fujiko, gdy człowiek odkrywa, że pociąga go osoba odmiennej płci, ani to, że bierze ów pociąg za miłość. Hańbą jest natomiast ukrywanie swych prawdziwych uczuć przed najbliższą rodziną. Fujiko wyraziła nadzieję, że rodzice Ishmaela zrozumieją jej stanowisko. Nie życzy sobie dalszej korespondencji między ich synem a swoją córką. Jasno przedstawiła Hatsue swoje zdanie, prosząc ją zarazem, żeby nie odpisywała Ishmaelowi ani nie odbierała w przyszłości listów od niego. Dodała na zakończenie, że podziwia rodzinę państwa Chambersów i ma ogromny szacunek dla „Kuriera San Piedro”. Życzyła obojgu wszystkiego najlepszego.

Pokazała list Hatsue, kiedy był już złożony i gotowy do włożenia do koperty. Dziewczyna przeczytała go powoli dwa razy, podpierając dłonią policzek. Skończywszy, położyła list na

kolanach i obojętnie spojrzała na matkę. Dziwne, ale jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć; dziewczyna wyglądała jak człowiek psychicznie wyczerpany, zbyt wycieńczony, aby cokolwiek odczuwać. Fujiko stwierdziła, że córka postarzała się przez te trzy tygodnie, jakie minęły od wyjazdu z San Pedro. Stała się nagle dorosłą zmęczoną, doświadczoną przez życie kobietą.

— Nie musisz tego wysyłać — powiedziała do matki. — I tak nie miałam mu zamiaru odpisywać. W pociągu przez całą drogę myślałam tylko o Ishmaelu Chambersie. Zastanawiałam się, czy do niego napisać... Czy go jeszcze kocham...

— Miłość! — prychnęła Fujiko. — Co ty wiesz o miłości! Przecież...

— Mam osiemnaście lat — przerwała jej Hatsue. — Jestem na to dostatecznie dorosła. Przestań mnie traktować jak małą dziewczynkę. Musisz wreszcie zrozumieć, że już nie jestem dzieckiem!

Fujiko zdjęła ostrożnie okulary i, jak miała to w zwyczaju, zaczęła pocierać oczy.

— I co postanowiłaś podczas tej jazdy pociągiem? — zapytała.

— Początkowo nic — przyznała Hatsue. — Nie mogłam pozbierać myśli. Miałam w głowie kompletny zamęt, mamó. Byłam zbyt przygnębiona, żeby myśleć jasno.

— A teraz? Co postanawiasz dzisiaj?

— Zerwać z nim. Razem dorastaliśmy, jako dzieci bawiliśmy się razem na plaży i zrodziło się między nami coś poważniejszego, ale to mąż nie dla mnie. Od początku zdawałam sobie z tego sprawę. Ile razy się spotykaliśmy, zawsze dręczyło mnie przeczucie, że coś jest nie tak. Wiedziałam, wyczuwałam to jakimś szóstym zmysłem, że coś jest nie w porządku. Czułam to w głębi duszy; zdawało mi się, że go kocham, i jednocześnie nie mogłam go kochać, żyłam w ciągłym rozdarciu, dzień w dzień, od samego początku.

To dobry chłopiec, mamó, znasz przecież jego rodziców, naprawdę świetny chłopak. Ale to przecież nie ma znaczenia, prawda? Miałam zamiar powiedzieć mu, że między nami wszystko skończone, ale nie mogłam, bo przecież wyjeżdżałam... Wszystko się poplątało, nie chciało mi to przejść przez gardło, a poza tym rzeczywiście nie wiedziałam, co naprawdę czuję. Byłam kompletnie skołowana. Miałam za dużo spraw do przemyślenia. Musiałam sobie to wszystko poukładać.

— I poukładałaś, Hatsue? Poukładałaś je?

Dziewczyna milczała przez chwilę. Przyglądała dłonią włosy i pozwoliła ręce opaść, a potem powtórzyła ten sam gest drugą ręką.

— Poukładałam — szepnęła. — Muszę mu powiedzieć prawdę. Muszę z tym skończyć.

Fujiko wzięła list z kolan córki i przedarła na pół.

— Sama do niego napisz — powiedziała po japońsku. — Wyznaj mu prawdę. Napisz mu wszystko, co mi przed chwilą powiedziałaś. Wyznaj mu prawdę, żebyś mogła dalej żyć. Oddal od siebie jak najprędzej tego chłopca *hakujin*.

Rano matka przypomniała Sumiko, jak ważną jest rzeczą, by nie wspominała nikomu o całym zdarzeniu. Dziewczyna obiecała, że dochowa tajemnicy. Fujiko zaniósła na pocztę list Hatsue i kupiła znaczek. Sama polizała i zakleiła kopertę, a potem, pod wpływem nagłego impulsu — zwykłego kaprysu, bo czegoż by więcej? — przykleiła znaczek do góry nogami przed wrzuceniem listu do skrzynki.

Kiedy Kabuo Miyamoto przyniósł gotową szarkę, Fujiko zaprosiła go na herbatę. Siedział z nimi ponad dwie godziny, podobnie jak następnego wieczoru, kiedy przyniósł stół, i następnego, gdy dostarczył krzesła. Czwartego dnia stanął w progu z czapką w rękę i spytał Hatsue, czy nie wybrałaby się z nim na spacer przy księżycu. Tym razem mu odmówiła i nie odzywała się do Kabuo przez następne trzy tygodnie, nie uszło jednak jej uwagi, że jest uprzejmym i przystojnym młodzieńcem o jasnym spojrzeniu, do tego synem plantatora truskawek — a zresztą czyż miała rozpaczać po Ishmaelu Chambersie do końca swoich dni? W kilka zaś miesięcy później, gdy pamięć o Ishmaelu stępiła się i ćmiła tylko czasem dogasającym bólem, Hatsue przysiadła się do Kabuo Miyamoto w stołówce podczas obiadu i sama go zagadnęła. Zachwyciły ją jego nienaganne maniery przy stole i ujmujący uśmiech. Rozmawiał z nią przyjaźnie, zapytał o jej marzenia, a kiedy zwierzyła mu się, że marzy o plantacji truskawek na wyspie, wyznał, że i on niczego innego nie pragnie, i powiedział, że siedem akrów ziemi, należące do jego rodziny, zostanie wkrótce przepisane na jego nazwisko. Po wojnie zamierzał uprawiać truskawki w rodzinnych stronach, na wyspie San Pedro.

Kiedy się pierwszy raz pocałowali, dziewczynę ogarnął smutek, silniejszy niż dotąd, gdy stwierdziła, że jego usta smakują inaczej niż wargi Ishmaela. Kabuo pachniał ziemią i był bardzo silny; w jego objęciach nie mogła się prawie ruszyć i szarpnęła się, gdy brakło jej tchu.

— Musisz być delikatniejszy — szepnęła.

— Postaram się — odpowiedział.



U schyłku lata 1942 roku Ishmael Chambers wraz z siedmiuset pięćdziesięcioma innymi rekrutami zaczął szkolenie w ośrodku szkoleniowym piechoty morskiej na wyspie Parris w Karolinie Południowej. W październiku zaczął gorączkować, zachorował na czerwonkę i trafił na jedenaście dni do szpitala, gdzie znacznie spadł na wadze, a czas zabijał lekturą wychodzących w Atlancie gazet i grą w szachy. Leżąc na łóżku z podkurczonymi kolanami i rękami pod głową, słuchał w radio komunikatów wojennych i z senną obojętnością studiował w gazetach mapki ilustrujące ruchy wojsk. Przez sześć dni zapuszczał wąsy, następnie je zgolił, a potem znowu zaczął zapuszczać. Przesypiał prawie wszystkie popołudnia, budząc się jedynie po to, by obserwować zapadający zmierzch i dogasanie dziennego światła za oknem z prawej strony, od którego dzieliły go trzy łóżka. Inni rekruci, którzy trafiali do szpitala, szybko wychodzili — on zostawał. Przywożono też rannych z frontów wojny, ci jednak leżeli na dwóch innych, zamkniętych piętrach. Przez otwarte okno wpadał zapach gnijących liści, mokrej od deszczu ziemi i zaoranych pól. Ishmaelowi, wałęsającemu się w bieliźnie po oddziale, przyszło do głowy, że jest czymś właściwym to, że leży w szpitalu o tysiące kilometrów od domu i jest taki samotny w chorobie. Ostatecznie tęsknił do takiego cierpienia przez ostatnie pięć miesięcy, od dnia, w którym dostał list od Hatsue. Choroba, która go zmoęła, nie była zbyt dokuczliwa, więc dopóki nie próbował się za wiele ruszać i nie przemęczał niepotrzebnie, mógłby z nią żyć i żyć. Pogrzyżył się w sennej apatyczności, niemal się w niej okopał.

W październiku poszedł na kolejne szkolenie, tym razem na kurs dla radiooperatorów, a potem — jako częśćka drugiej dywizji piechoty morskiej — został przetransportowany do punktu dyslokacyjnego na North Island w Nowej Zelandii. Przydzielono go do kompanii B drugiego pułku trzeciego batalionu, gdzie wkrótce spotkał weteranów z Guadalcanal; zastąpił radiooperatora, który poległ na Wyspach Salomona. Pewnego wieczoru niejaki porucznik Jim Kent opowiadał, jak poległy radiooperator, szeregowiec Gerald Willis, potraktował kiedyś trupa młodego Japończyka, który leżał na ziemi w podwiniętych do kostek, ubłoconych spodniach. Otóż wyjął on z rozporzka zabitego kuśkę, podłożył pod nią kamień, wyciągnął się w pewnej odległości na ziemi i zaczął pruć do fajfusa żółtka seriami z karabinka, póki nie odstrzelił żołądździ. Chodził potem dumny jak paw i dobre pół godziny chwalił się, jakie ma celne oko. Opisywał kumplom, jak wyglądał po udanym strzale fiut Japończyka i co zostało z samej żołądździ. Szeregowy Willis zginął w dwa dni później podczas patrolu od ognia własnych moździerz,

który na jego zresztą wezwanie położono (współrzędne podał właściwe), kryjąc oddział porucznika Kenta. Siedmiu żołnierzy z plutonu zginęło przy tej okazji; sam Kent zapadł w jakiejś dziurze i dzięki temu ocalał. Na jego oczach szeregowego Wiesnera przecięła seria z broni maszynowej, kiedy rzucał granat w stronę bunkra, i wypruła mu kichy. Kawalek bebechów — niebieski, lśniący i jeszcze ciepły — wylądował ponoć na przedramieniu opowiadającego.

Szkolono ich, nie pozwalając na chwilę wytchnienia; ćwiczyli manewr lądowania w zatoce Hawke przy wzburzonym morzu. Niektórzy przypłacili te ćwiczenia życiem. Ishmael początkowo traktował je poważnie, ale starym wygom z jego drużyny kompletnie one zwisały, a może ich nudziły, a może i jedno, i drugie, więc zaraził się w końcu ich nonszalancją i tumiwizmem. W wolnych chwilach złapał piwo — czasami dżin — z podobnymi sobie frontowymi żółtodziobami, i w Wellington grywał z nimi w bilard. Nawet dobrze już po północy, zalany w pestkę, oparty na kiju bilardowym w ciemnej od dymu knajpie, gdzie jego kumple zagrzewali wrzaskami bilardzistów, zagłuszając zespół muzyczny, który grał jakieś nie znane mu taneczne kawałki, Ishmael czuł dziwną rezerwę wobec tej całej hałastry. Nie pociągało go takie życie, uchlewanie się, bilard i krzykliwe towarzystwo, im bardziej się zaś upijał, tym jaśniej pracował jego mózg i tym większą czuł do wszystkich niechęć. Nie bawił go śmiech kompanów, nie znosił ich luzactwa ani w ogóle całego ich stylu. Co oni tu robią, o pierwszej nad ranem, w kraju odległym o tysiące kilometrów od rodzinnych domów, dlaczego zalewają pały i wrzeszczą z takim szalonym entuzjazmem? Po jednej z takich popijaw wrócił na piechotę — o wpół do piątej rano, w straszliwą ulewę — do hoteliku, w którym mieszkał w Wellington, padł na łóżko, sięgnął po papeterię i napisał list do rodziców, a potem jeszcze jeden, do Hatsue. Skończywszy, podarł oba, wcisnął strzępki papieru do kieszeni płaszcza, zaśmiecając przy tym podłogę, i zasnął nie zdjawszy butów. Obudził się kwadrans po szóstej i powłókł do ubikacji w głębi korytarza, żeby puścić pawia.

Pierwszego listopada Druga Dywizja opuściła Wellington pod pozorem kolejnych manewrów w Hawke Bay, lecz zamiast w tej zatoce wylądowała w Noumea na francuskiej wyspie Nowa Kaledonia. Trzynastego pułk Ishmaela Chambersa zaokrętowano na „Heywooda”, okręt transportowy, zdążający w towarzystwie przeszło połowy Trzeciej Floty — fregat, niszczycieli, lekkich i ciężkich krążowników oraz kilku pancerników — ku nieznanemu celowi. Drugiego dnia kompanię Ishmaela zebrano na górnym pokładzie i oznajmiono, że kierują się w stronę atolu Tarawa dla dokonania desantu na Betio, silnie bronioną wyspę. Major stał przed

frontem żołnierzy, podpierając prawy łokieć lewą dłonią i ssąc cybuch fajki. Przedstawił im plan: najpierw marynarka zbombarduje wysepkę — niecałe cztery kilometry kwadratowe koralowego piasku — a potem wedrą się na nią oddziały desantowe i zlikwidują niedobitków. Dodał, że japoński komendant przechwalał się, iż Betio nie zdołaloby zdobyć nawet milion żołnierzy, choćby ją szturmowali przez sto lat. Major wyjął fajkę z ust i wyraził pogląd, że ta przechwałka japońskiego komendanta jest śmiechu warta. Przepowiedział, że bitwa potrwa najwyżej dwa dni i obędzie się bez strat po stronie atakujących. To wymarzone zadanie dla artylerii okrętowej, powtórzył, której działa wykonają całą brudną robotę.

Dziewiętnastego w nocy — nad horyzontem wschodził właśnie sierp księżyca — flota stanęła siedem mil od atolu Tarawa. Ishmael zjadł ostatni posiłek w mesie „Heywooda” w towarzystwie Ernesta Testaverde’a, chłopaka, którego zdążył polubić, przeciwpancerniaka z Delaware. Wpałaszowali stek, jajka, pieczone kartofle i popili kawą, po czym Testaverde odstawił tacę, wyjął z kieszeni papeterię i pióro i zabrał się za pisanie listu do domu.

— Ty też lepiej napisz — doradził Ishmaelowi. — Masz ostatnią szansę, pojmujesz.

— Ostatnią? — powtórzył Ishmael. — W takim razie nie warto. Nie mam nikogo takiego, do kogo pragnąłbym napisać ostatni list. Ja...

— Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi — przerwał mu Testaverde. — Więc na wszelki wypadek napisz.

Ishmael zszedł na dół po bloczek listowy, potem usiadł na górnym pokładzie, oparł się plecami o jakiś wspornik i ułożył list do Hatsue. W polu widzenia miał ze dwudziestu innych chłopaków, podobnie jak on pochłoniętych pisaniem. Było ciepło jak na tak późną noc. Żołnierze rozpięli kołnierzyki i podwinęli rękawy wojskowych koszul; wyglądali na całkiem rozluźnionych. Ishmael napisał Hatsue, że wyląduje niedługo na pewnej wyspie na środkowym Pacyfiku po to, żeby zabić jak największą liczbę jej pobratymców. Jak to się jej podoba? — zapytywał. Co o tym myśli? Dalej napisał, że przeżywa jakieś duchowe odrętwienie, nie czuje nic, prócz chęci położenia trupem tylu Japońców, ilu tylko zdoła. Pragnie ich śmierci, bo jest na nich wściekły, dodał, czuje nienawiść do wszystkich żółtków. Opisał dziewczynie natężenie swojej nienawiści, podkreślając, że to ona, Hatsue, ponosi za nią największą odpowiedzialność. Prawdę mówiąc, jej teraz głównie nienawidzi. Nie miał takiego zamiaru, ale skoro to ostatni, pożegnalny list, czuje potrzebę wyjawienia całej prawdy: nienawidzi jej i doznaje ulgi, że może jej o tym napisać.

„Nienawidzę cię z całego serca” — stwierdzał. „Nienawidzę cię, Hatsue, i aż do śmierci będę nienawidził!” Napisawszy te słowa, wyrwał kartkę, zmiął w garści i cisnął do morza. Przyglądał się przez chwilę, jak papier unosi się na falach, po czym wyrzucił za burtę cały bloczek papeterii.

O trzeciej dwadzieścia rano, gdy z otwartymi oczami leżał na koi, w pomieszczeniach mieszkalnych oddziałów desantowych rozległ się krzyk:

— Wszyscy na stanowiska desantowe na górnym pokładzie!

Usiadł i przyglądał się, jak Ernest Testaverde sznuruje buty, a potem zaczął wiązać własne; w pewnej chwili przerwał tę czynność, żeby się napić z manierki.

— Zaszło mi w ustach — wyjaśnił koledze. — Chcesz łyknąć przed śmiercią trochę wody?

— Wiąż buty — mruknął Ernest — i dymaj na stanowisko!

Poszli na górę, wlokąc ze sobą sprzęt; Ishmael zdążył już całkiem oprzytomnieć. Na górnym pokładzie „Heywooda” kucalo bądź klęczało ponad trzystu żołnierzy, poprawiając w ciemności ekwipunek — racje żywnościowe, manierki, saperki, maski przeciwgazowe, amunicję, hełmy. Kanonada się jeszcze nie zaczęła, więc nie czuło się atmosfery wojny; można by sądzić, że to kolejne nocne ćwiczenia na morzach tropikalnych. Ishmael usłyszał pisk bloczków na żurawikach, z których zjeżdżały barki desantowe. Następnie żołnierze zaczęli złazić po siatkach desantowych z plecakami i hełmami na głowach, starając się zgrać moment zeskoku z kołysaniem łodzi.

Ishmael patrzył, jak kilku sanitariuszy marynarki pakuje w pośpiechu apteczki polowe i nosze. Nie oglądał czegoś podobnego na manewrach, więc wskazał te przygotowania Ernestowi, lecz ten wrzucił tylko ramionami i wrócił do liczenia pocisków przeciwpancernych. Ishmael włączył radiostację, wsłuchiwał się przez chwilę w szum w słuchawkach, po czym wyłączył aparat i dalej czekał. Nie chciał brać go zbyt wcześnie na plecy, żeby się niepotrzebnie nie nadźwigać, gdy stanie w kolejce do opuszczenia okrętu. Siedział przy radiostacji, gapił się na morze i usiłował wypatrzeć w ciemności Betio, na próżno jednak. Barki desantowe, które opuściły „Heywooda” w ciągu ostatniej półgodziny, przypominały ciemne plamki na powierzchni oceanu; naliczył ich trzydzieści sześć.

Niejaki porucznik Pavelman z San Antonio urządził dla trzech drużyn z trzeciego plutonu odprawę na górnym pokładzie, nakreślając żołnierzom szczegółowo zadania kompanii B w

ogólnym planie działań. Na trójwymiarowym modelu wyspy, wykonanym z trzech kwadratowych kawałków gumy, wskazał linijką jej cechy topograficzne, czynił to jednak w sposób mało atrakcyjny. Na pierwszy ogień, powiedział, idą czołgi desantowe, za nimi falami dingi. Przewidziano osłonę lotniczą — bombowce nurkujące i myśliwce „Hellcats” ostrzelają cele naziemne, a B-24 nadlecą prosto nad punkty natarcia z wysp Ellice. Kompania B ma osiągnąć brzeg w miejscu zwanym Beach Red Two — kontynuował. Drużyna mózdzierzy odda się do dyspozycji bombardiera plutonu porucznika Pratta w celu zorganizowania stanowiska ogniowego. Jednocześnie drugi pluton natrze na prawo od Pratta, przedrze się przez obwałowanie pod osłoną lekkich karabinów maszynowych, po czym zbierze się wyżej i posunie dalej w głąb wyspy. Porucznik Pavelman oznajmił, że dokładnie na południe od Beach Red Two znajdują się bunkry i schrony; wywiad marynarki uważa ponadto, że w tym zapewne rejonie, prawdopodobnie na wschodnim skraju lotniska, zlokalizowany jest bunkier japońskiego dowództwa. Drugi pluton ma go odszukać i zlokalizować otwory wentylacyjne, żeby je wskazać zespołom saperów, które będą się posuwały jego śladem. W trzy minuty po wylądowaniu drugiego powinien osiągnąć plażę trzeci pluton — Ishmaela — który połączy się następnie z drugim plutonem, bądź też, jak zakłada porucznik Bellows, wzmocni ten z plutonów, który dokona największego wyłomu. Trzeci pluton może liczyć na wsparcie kompanii K, która ma wylądować tuż za nim wraz z grupą dowodzenia i plutonem cekaemów. Wylądują w czołgach desantowych, których będzie można następnie użyć do ataku na obwałowanie. Plan, dodał porucznik Pavelman, zakłada szybkie i miażdżące natarcie piechoty, wspieranej postępującymi za nią odwodami.

— Czytaj: frajerów prosimy przodem! — zawołał kpiąco któryś z żołnierzy, ale nikt się jakoś nie zaśmiał.

Pavelman kontynuował matowym głosem odprawę: plutony strzelców, wyjaśnił, będą posuwały się naprzód ostrożnie, ale stanowczo, za nimi będzie postępowała druga fala wsparcia, dowództwo i trzecia fala odwodów, następnie wsparcie trzeciej fali, dalsze kompanie piechoty, wsparcia oraz dowództwo, dopóki nie zostanie utworzony solidny przyczółek. Potem porucznik Pavelman założył ręce za pas i poprosił kapelana Thomasa, by odmówił z żołnierzami psalm dwudziesty trzeci i odśpiewał hymn „Jezus przyjacielem naszym”. Kiedy skończyli, na pokładzie zapadła cisza, po czym kapelan wezwał żołnierzy, by pojednali się w duchu z Bogiem i Jezusem.

— Wszystko pięknie — odezwał się w ciemności czyjś głos — tylko że, widzi pan, ja jestem ateistą, wyjątkiem od reguły, która zakłada, że ateści nie siedzą w okopach i nie biorą udziału w potyczkach, i mam zamiar pozostać ateistą do samego końca, kurna mać!

— Masz prawo — odparł łagodnie kapelan Thomas. — Mimo to niech cię Bóg błogosławi, bracie.

Ishmael zastanawiał się, co ta odprawa mu pomoże, kiedy już wyląduje na plaży. Słuchał porucznika Pavelmana z całą uwagą, lecz nie znajdował związku między jego słowami a żadnym określonym kierunkiem, w jakim powinien ruszyć, gdy wyląduje na Betio. Po co tam w ogóle jechał? Co ma tam robić? Kapelan rozdawał cukierki i rolki wojskowego papieru toaletowego; Ishmael wziął po jednej sztuce obu artykułów, głównie dlatego, że inni też brali. Kapelan, któremu u pasa wisiał kolt kaliber 45, podsunął mu torebkę, prosząc, żeby sobie nie żałował.

— Dobre cukiereczki — zachęcił. — Częstuj się, synu.

Cukierki okazały się miętowe. Ishmael wetknął jeden do ust, zarzucił na plecy radiostację i wstał. Całkowita waga ekwipunku, jaki na sobie dźwigał, przekraczała, z grubsza licząc, czterdzieści kilogramów.

Złazenie po siatce desantowej z takim obciążeniem nie należało do zadań łatwych, na szczęście Ishmael miał okazję opanować ten manewr na ćwiczeniach i nauczył się odpoczywać. W połowie drogi wypluł miętówkę i odchylił się do tyłu, zawisając nad wodą. W uszach narastał mu jakiś gwizd, z każdą chwilą głośniejszy. Chłopak obejrzał się i w tym samym momencie do morza, jakieś trzydzieści metrów za rufą okrętu, chlupnęła pocisk. Fontanna słonej wody chlusnęła na łódź, oblewając siedzących w niej żołnierzy, a ciemności nocy rozjarzył fosforyzujący zielonkawy blask. Żołnierz złączący obok Ishmaela, szeregowy Jim Harvey z Carson City w Newadzie, zaklął pod nosem i mocniej przywarł do siatki.

— Gówno! — mruknął. — Jebani artylerzyści! Nie wierzę w to całe gówno.

— Ja też nie — przyznał Ishmael.

— A zapewniali, że ich wytluką — narzekał Jim. — Że zrobią miazgę z armat tych żółtków, zanim nas tam pošlą. Jezu przenajświętszy!

— Z wysp Ellice jadą grube ryby — przypomniał Walter Bennett, wczepiony w siatkę poniżej nich. — Na pewno posiekają Japońców ciężkimi mitraliezami, zanim zdążymy wylądować na plaży.

— Srali muszki będzie wiosna! — burknął jakiś inny głos. — Nie będzie żadnej siekaniny. Jesteś marzycielem, Walter.

— Jebany japoński pocisk — pomstował Jim Harvey. — Ja pierdolę...

Tymczasem nadleciał ze świstem drugi pocisk i wpadł do morza czterdzieści metrów od burty okrętu, wzbijając nową fontannę.

— Zajebańcy! — ryknął szeregowy Harvey. — A zapewniali, że zmiękczą tych skurwysynów! Myślałem, że mamy tylko po nich posprzątać!

— Napierdalają ich już od paru dni — wyjaśnił spokojnie niejaki Larry Jackson. — Całe to pitolenie o zmięczaniu przeciwnika możesz o kant dupy potłuc. Spierdolili robotę, a teraz nas posyłają pod ogień tych zasranych żółtków.

— Chryste Jezu! — stęknął Jim Harvey. — Jebany burdel! Co to ma, kurwa mać, w ogóle znaczyć?

W kutrze desantowym, wiozącym żołnierzy trzeciego plutonu, Ishmael leżał pod nadburciem ze sklejki, które jakaś załoga zmajstrowała widocznie w wolnej chwili w Noumei, i słuchał niosącego się po wodzie gwizdu pocisków. Plecak z radiostacją ciążył mu niemiłosiernie, hełm zjechał na czoło. Jednym uchem przysłuchiwał się gadaniu Jima Harveya, który tym grubym językiem dodawał sobie otuchy:

— Te chuje wałą w tych żółtych zajebańców już od paru dni, co nie? Został tam tylko piach, gówno i kupa japońskich szczątków. Wszyscy tak mówią. Madsen słyszał, jak mówili to przez radio, Bledsoe siedział z nim wtedy w pokoju. To nie jest pierdolenie w bambus, te chuje naprawdę utłukli Japońców na miazgę...

Morze, wbrew planom dowództwa, okazało się wzburzone, rozhuśtane krótką, poszarpaną falą. Kuter podskakiwał na niej i wibrował. Ishmael źle znosił kołysanie, więc uzależnił się od dramaminy. Połknął dwie tabletki, popił wodą z manierki, po czym wystawił nad nadburcie głowę w hełmie, którego pasek rozpiął, i stwierdził, że w lewo od nich płyną trzy inne kutry. Mógł dojrzeć żołnierzy w najbliższym z nich; jeden zapalił papierosa, widać było czerwony punkcik żaru, choć palący otulał papierosa dłonią. Ishmael schował się na powrót pod burta, zamknął oczy i zatkał palcami uszy. Próbował o niczym nie myśleć.

Trzy godziny stali w pewnej odległości od Betio. Ruszyli o godzinie 07.30, kiedy wszystkie jednostki desantowe były gotowe do ataku. Fale przelewały się przez burty i spryskiwały wodą skulonych na kutrze żołnierzy. Wyspa ukazała się ich oczom jako czarna

kreska na horyzoncie. Ishmael wstał, żeby rozprostować nogi. Betio płonęła. Jakiś chłopak obok Ishmaela, który miał zegarek wodoodporny, próbował ustalić częstotliwość salw okrętów wojennych ostrzeliwujących wyspę. Jacyś dwaj żołnierze, siedzący pod przeciwległą burtą, pomstowali na niejakiego admirała Hilla, dowodzącego całą akcją, który tak ją spierdolił, że oto szli do natarcia za dnia, zamiast pod osłoną nocy. Artyleria okrętowa zalewała jednak wyspę lawiną ognia — nad Betio unosiły się gęste kłęby czarnego dymu — więc humory trzeciego plutonu jęły się z lekka poprawiać.

— Z żółtków zostanie miazga! — zapewniał szeregowy Harvey. — Te pięciocalowe działa załatwią się z nimi na glanc. Sraka się w piździelcach zagotuje!

W kwadrans później dostali się w silny prąd u wejścia do atolu Tarawa. Przewalając się z burty na burtę, przepłynęli obok dwóch niszczycieli, „Dashiella” i „Ringgolda”, ostrzeliwujących salwami plażę. Równie ogłuszającego huku Ishmael w swym życiu nie słyszał. Zapiął pasek hełmu i uznał, że wystarczy już tego wyglądania ponad burtą. Raz jednak wyjrzał i zobaczył daleko w przodzie trzy amfibie gąsienicowe, które akurat wjechały na plażę. Ściągnęły na siebie zmasowany ogień. Jedna wpadła w lej po bombie, druga stanęła w płomieniach i znieruchomiała. Bombowce nurkujące gdzieś zniknęły, a B-24 w ogóle się nie pojawiły. Najlepszym rozwiązaniem było skulić się i nie dać się trafić. Ishmael miał szczęście dostać się na wojnę w takim jej wydaniu, o jakim zwykle marzą mali chłopcy — jako radiooperator piechoty morskiej brał udział w desancie na wyspę, co zresztą mógł za chwilę opłacić narobieniem w portki. Zacisnął zwieracz odbyticy.

— Do kurwy nędzy! — kłął Jim Harvey. — A niech tych skurwysynów, tych złamasów jasny szlag trafi! Co za pieprzone partacze!

Dowódca ich drużyny, Rich Hinkle z Yreka w Kalifornii, który na Nowej Zelandii odkrył w Ishmaelu doskonałego partnera do szachów, miał zginąć pierwszy. Ich kuter utknął nagle na rafie koralowej — od plaży dzieliło go jeszcze jakieś czterysta metrów — i żołnierze przez dobre pół minuty siedzieli i spoglądali niepewnie jeden na drugiego, podczas gdy pociski z karabinów maszynowych grzechotały o lewą burtę.

— Za chwilę przygrzeją nam z grubszej rury! — wrzasnął Hinkle, przekrzykując ów grzechot. — Lepiej stąd spierdalajmy! Dalej, chłopcy, ruszcie dupy, trzeba zepchnąć tę krype!

— Pan pierwszy — zaproponował któryś.



Hinkle przewiął się przez prawą burtę i chlupnął do wody. Reszta ruszyła w jego ślady, w tym Ishmael Chambers. Przepychał właśnie nad burtą swój czterdziestokilogramowy plecak, kiedy Hinkle upadł, trafiony w twarz. Idącemu za nim chłopakowi pocisk ściał czubek głowy. Ishmael zrzucił radiostację do laguny, a potem sam wpadł z pluskiem do wody.

Starał się nie wynurzać najdłużej, jak się da, a gdy w końcu wychylił głowę dla zaczerpnięcia tchu, zobaczył wzdłuż brzegu rozbłyśki broni strzeleckiej, więc czym prędzej znowu się zanurzył. Kiedy wynurzył się po raz drugi, stwierdził, że wszyscy, ale to dosłownie wszyscy — amunicyjni, saperzy, strzelcy — rzucają swój sprzęt do wody i, podobnie jak on, chowają się pod powierzchnię.

Wraz z kilkudziesięcioma innymi żołnierzami opłynął kuter. Sternik wciąż czynił wysiłki, żyłując silnik i kląć jak szewc, żeby sprowadzić łajbę z rafy, a porucznik Bellows wrzeszczał na żołnierzy, którzy nie chcieli wyskoczyć za burtę.

— Pierdol się, Bellows! — odpowiedział mu któryś.

— Skikaj pierwszy! — poradził inny.

Ishmael poznał po głosie, choć załamywał się histerycznym piskiem, szeregowego Harveya.

Kuter desantowy dostał się pod tak silny ogień, że gromadka kryjących się za nim żołnierzy wolała rzucić się do brzegu. Ishmael trzymał się środka grupy, płynął żabką, starał się w miarę możliwości nie wychylać głowy, a w ogóle udawał martwego żołnierza piechoty morskiej, niegroźnego trupa, który unosi się z prądem w lagunie Betio. Woda sięgała im teraz do piersi. Niektórzy żołnierze trzymali karabiny nad głową; trafieni, padali do morza zaróżowionego od krwi poprzedników. Ishmael widział padających kolegów, widział powierzchnię wody, sieczoną pociskami karabinów maszynowych, i skulił się jeszcze bardziej. Idący z przodu szeregowy Newland dotarł do płycizny i rzucił się biegiem w stronę obwałowania. Za nim pobiegł jakiś żołnierz, którego Ishmael nie znał, i padł trafiony w strefie kipieli, potem jeszcze któryś. Czwarty wystartował Erie Bledsoe, dostał w kolano i runął w płytką wodę. Ishmael poczekał, aż piąty i szósty śmiałek ściągnie na siebie ogień, a wtedy zebrał się w sobie i pomknął w stronę brzegu. Trzem udało się dopaść go cało; kucnęli za pnem palmy kokosowej i obejrżeli się na Erica Bledsoe. Pocisk urwał mu nogę w kolanie.

Patrzyli bezradnie, jak Erie Bledsoe wykrwawia się na śmierć. Leżał w kipieli przyboju kilkadziesiąt metrów od nich i błagał o ratunek.

— Kurwa! — jęczał. — Pomóżcie mi, chłopaki! Pomóżcie mi, kurwa!

Erie, podobnie jak Ernest Testaverde, urodził się i wychował w stanie Delaware; w Wellington często się razem upijali. Robert Newland chciał lecieć rannemu na ratunek, ale zabronił mu tego porucznik Bellows, wykazując, że pod tak skoncentrowanym ostrzałem o żadnej akcji ratunkowej nie może być mowy, przyniosłaby tylko dwa trupy zamiast jednego. Wszyscy się z nim milcząco zgodzili. Ishmael dźwignął się na nogi i oparł o obwałowanie. Nie miał najmniejszej ochoty gnać biegiem przez plażę, by odciągnąć w bezpieczne miejsce rannego kolegę, choć coś go do tego popychało. Co mógł jednak zrobić? Całe jego wyposażenie utonęło w lagunie. Nie mógłby nawet zaoferować Ericowi Bledsoe bandaża, nie mówiąc już o uratowaniu mu życia. Erie na jego oczach przekręcił się w wodzie twarzą do słońca. Nogi miał tylko częściowo zanurzone w kipieli, więc było widać wyraźnie, w którym miejscu jedna z nich została odstrzelona. Kołysała się na fali przyboju kilka kroków od rannego, który wykrwawiał się na śmierć, a Ishmael przyglądał się temu bezradnie, kucając pod obwałowaniem.

O dziesiątej wciąż tam jeszcze tkwił, nie uzbrojony i bezczynny, wraz z setką innych szczęśliwców, którym udało się dotrzeć do brzegu i zaleć pod zmasowanym ogniem nieprzyjaciela. Na plaży leżeli zabici i ranni żołnierze piechoty morskiej, a ich koledzy, schowani pod obwałowaniem, starali się nie słuchać ich jęków i wołań o pomoc. A potem, ni stąd, ni zowąd, pojawił się nad ich głowami jakiś sierżant z kompanii J. Stał na obwałowaniu z papierosem w kąciku ust i obrzucił kucających stekiem wyzwisk. Nazwał ich bandą jebanych cykorów, scharakteryzował jako „zasranych tchórzy, którym po tej pierdolonej bitwie należałoby odrąbać jaja, po kawałku, żeby lepiej poczuli”; opisał jako skurwieli, którzy „pozwalają innym odwalać brudną robotę, byle ocalić nędzne tyłki”, jako gówniarzy, „jebanych w dupę brandzlerów, co raz w roku walą swoje centymetrowe, sflaczałe fiuty”. Wymyślał im w tym duchu, podczas gdy żołnierze błagali go, żeby się krył i ratował życie. Nie usłuchał ich i oberwał w plecy; wylatując przodem, kula rozerwała mu koszulę na piersiach i wyrwała bebechy. Sierżant nie zdążył się nawet zdziwić, po prostu runął twarzą na piasek, przykrywając własnym ciałem swe wnętrzności. Nikt się nie odezwał.

W końcu jakiś pojazd gąsienicowy zrobił wyłom w obwałowaniu i kilku śmiazków spróbowało się weń wdrzeć; natychmiast zginęli. Ishmael otrzymał rozkaz odkopania półgąsienicowego transportera opancerzonego, dostarczonego na Betio przez transporter czołgów; pojazd najzwyczajniej ugrzązł w piasku. Klęcząc na kolanach, Ishmael nerwowo rył

saperką. Pracujący obok niego żołnierz zwymiotował nagle w piasek, a potem padł i zemdlął; hełm przykrył mu twarz. Radiooperator z kompanii K stał pod obwałowaniem i głośno przeklinał, wyrzekając na zakłócenia w eterze; narzekał, że po każdej salwie dział okrętu wojennego zanikają mu w słuchawkach nawet szумы. Z nikim nie mógł nawiązać łączności.

Wczesnym popołudniem Ishmael zdał sobie sprawę, że słodkawa woń, dolatująca z plaży, jest trupim odorem zabitych kolegów z piechoty morskiej. Wtedy i on zwymiotował, a potem do dna osuszył manierkę. O ile się mógł zorientować, z jego drużyny nikt poza nim nie ocalał; od ponad trzech godzin nie widział żadnego z kolegów. Po jakimś czasie dostał karabinek, paczkę nabojów i maczetę polową od drużyny zaopatrzenia, która posuwała się wzdłuż obwałowania z rozkazem o przegrupowaniu. Ishmael rozłożył karabinek, zupełnie zapiaszczony, i wytarł go najdokładniej, jak to było w danych warunkach możliwe. Siedział u podnóża obwałowania, rozpiąwszy pasek hełmu, i rąbkiem koszuli wycierał kabłąk spustowy, kiedy na plażę wjechała następna fala transporterów pływających, ściągając na siebie natychmiast ogień moździerzy. Ishmael przyglądał się przez chwilę z zaciekawieniem, jak z pojazdów wyskakują żołnierze i padają na piasek jedni martwi, drudzy ranni, nieliczni uciekający z krzykiem — po czym opuścił głowę, by tego wszystkiego nie widzieć, i wrócił do czyszczenia karabinka. Siedział w tym samym miejscu, skulony, z karabinkiem w ręku, z maczetą wiszącą w pochwie u pasa, kiedy w cztery godziny później zapadła ciemność.

Wzdłuż plaży przeszedł jakiś pułkownik ze świtą, zachęcając podoficerów, by przegrupowywali oddziały i tworzyli improwizowane drużyny. O dwudziestej pierwszej, oświadczył — czyli za niecałe dwadzieścia minut — każdy żołnierz ma przeleźć przez koronę obwałowania. Każdego, kto zostanie po tej stronie, czeka sąd wojenny. Pora, dodał, by zacząć się zachowywać, jak przystało na piechotę morską. Kiedy pułkownik przeszedł, niejaki porucznik Doerper z kompanii K zapytał Ishmaela, gdzie się podziewa jego drużyna i co on sam, u ciężkiej cholery, robi tu, pod obwałowaniem? Ishmael opowiedział porucznikowi, jak stracił swój ekwipunek, przełaząc przez burtę kutra desantowego, i jak potem wszyscy dokoła niego ginęli bądź otrzymywali rany. Nie miał pojęcia, gdzie się podziewa reszta oddziału. Porucznik Doerper słuchał niecierpliwie, po czym nakazał Ishmaelowi, by przeszedł się wzdłuż obwałowania, pozbierał siedzących pod nim żołnierzy, utworzył z nich drużynę i zgłosił się do stanowiska dowodzenia, które porucznik Freeman założył za półgąsienicowym transporterem opancerzonym zakopanym w piachu. Nie ma czasu na długie ceregiele — dodał porucznik.

Ishmael przedstawił swoją misję dwudziestu kilku chłopakom, zanim udało mu się skompletować drużynę. Jeden poprosił, by się odpiardolił, drugi zasłaniał się raną nogi, która go czyni niezdolnym do walki, trzeci powiedział, że zaraz przyjdzie, ale nie ruszył się z miejsca. W pewnej chwili zaczęto do nich strzelać od strony wody; Ishmael domyślił się, że to pewnie jakiś japoński snajper wypłynął w morze i strzela z karabinu maszynowego, pozostawionego na unieruchomionym na lagunie transporterze pływającym. Obwałowanie przestało tym samym stanowić bezpieczną osłonę.

Ishmael biegł przygięty do ziemi i rozmawiał gorączkowo z napotkanymi żołnierzami; po drodze natknął się na Ernesta Testaverde'a, który ostrzeliwał się zza pni palm kokosowych trzymając karabin wysoko, a głowę tuż przy ziemi.

— Hej! — zawołał Ishmael. — Jezu Chryste!

— Chambers — mruknął Ernest. — Ja pierdołę!

— Gdzie reszta chłopaków? — zapytał Ishmael. — Co z Jacksonem?

— Widziałem, jak dostał. Zresztą wszyscy amunicyjni i saperzy oberwali, zanim dopadli plaży. Walter dostał. Jim Harvey dostał. Widziałem, jak padał Hedges. Murray i Behring dostali. Wszyscy oberwali jeszcze w wodzie.

— Podobnie jak Hinkle — dorzucił Ishmael. — Ericowi Bledsoe urwało nogę. Fitz dostał już na plaży, widziałem, jak padał. Bellows się przedarł, ale nie wiem, co się z nim teraz dzieje. Newlandowi też się udało. Nie wiesz, gdzie się podziali?

Ernest Testaverde nie odpowiedział. Rozpiął pasek hełmu i odłożył karabinek.

— Bledsoe? — zapytał. — Jesteś pewien?

Ishmael przytaknął.

— Nie żyje.

— Urwało mu nogę? — upewniał się Ernest.

Ishmael usiadł plecami do obwałowania. Nie chciał rozmawiać o Ericu Bledsoe ani przypominać sobie, jak umierał. Nie widział sensu rozprawiania o tym, zresztą wszystko straciło dla niego sens. Nie potrafił myśleć spokojnie o niczym, co się wydarzyło od momentu, gdy kuter desantowy utknął na rafie koralowej. Sytuacja, w jakiej się znalazł, przypominała kleistą grząskość snu, w którym pewne zdarzenia powtarzają się w kółko i w kółko. Okopał się pod obwałowaniem i teraz znowu pod nim tkwił. Flary co jakiś czas oświetlały wyspę jaskrawym światłem, w którego blasku mógłby wróżyć sobie z dłoni. Był nieludzko zmęczony i chciało mu

się pić, w głowie miał pustkę, a poziom adrenaliny zupełnie mu opadł. Chciał żyć, tyle wiedział, reszty nie był pewny.

Nie potrafił sobie przypomnieć, co go tu przywiodło, dlaczego wstąpił do piechoty morskiej, o co w tym wszystkim w ogóle chodzi.

— Mhm — przytaknął. — Bledsoe nie żyje.

— Szlag by to trafił! — zaklął Ernest Testaverde. Kopnął dwa razy najniższą kłodę w obwałowaniu, a potem jeszcze i jeszcze raz. Ishmael Chambers odwrócił głowę.

O dwudziestej pierwszej przeleźli przez obwałowanie razem z trzystu innymi żołnierzami. Dostali się pod bezpośredni ogień moździerzy i karabinów maszynowych, strzelających z przetrzebionego gaju palm kokosowych. Ishmael nie zauważył, kiedy Ernest Testaverde został trafiony; dowiedział się później, że znaleziono go z dziurą w głowie wielkości męskiej pięści. Sam oberwał w lewe ramię, dokładnie w środek bicepsa. Kula rozerwała mięsień — pojedyncza kula z wielkokalibrowego nambu — roztrzaskała kość na setkę odłamków, a te wbiły się w nerwy, naczynia krwionośne i utkwiły w mięśniach ramienia.

W dziewięć godzin później, kiedy się rozwidniło, Ishmael zdał sobie sprawę z obecności dwóch sanitariuszy, którzy klęczeli nad leżącym obok żołnierzem. Wyglądało na to, że biedak dostał w głowę; mózg wyciekł i rozpląnął się wokół hełmu. Ishmael odtoczył się za trupa i wyjął z apteczki przy pasku tabletki sulfonamidyny i rolkę bandaży. Obandażował sobie ramię, żeby zatamować krwawienie.

— Nic się nie bój — powiedział jeden z sanitariuszy. — Wrócimy tu niedługo z drużyną noszowych. Plaża jest już bezpieczna. Już po strachu, stary! Ani się obejrzysz, jak odstawimy cię na okręt.

— Jebane Japonce! — mruknął Ishmael.

Ocknął się na pokładzie jakiegoś okrętu. Leżał w środku jednego z licznych rzędów rannych. Żołnierz na noszach po jego lewej ręce skonał, bo szrapnel przebił mu wątrobę. Po drugiej stronie Ishmaela dogorywał chłopak z zajęczymi zębami, który dostał w uda i pachwinę; przez spodnie koloru khaki przesiąkała krew. Biedak nie mógł mówić, z bólu wyginał tylko plecy, oddychał płytko, chrapliwie i co chwila jęczał. Ishmael zapytał, czy dobrze się czuje, ale nie dostał odpowiedzi. Kiedy noszowi przyszli, żeby go zabrać na operację, chłopak już nie żył; umarł kilka minut wcześniej.

Ishmael stracił rękę na okrętowym stole operacyjnym; obciął mu ją oficer sanitarny, który wykonał w swojej karierze medycznej cztery amputacje, wszystkie w ostatnich kilku godzinach. Do przepiłowania kości użył ręcznej piłki i źle przyżgnął kikut, toteż rana goiła się wolniej, niż powinna, a tkanka bliznowata powstała gruba i chropowata. Operowanego nie uspiono jak należy, obudził się za wcześnie i ujrzał swoją rękę, ciśniętą w kąt na stos krwawych opatrunków. Jeszcze teraz, po upływie dziesięciu lat, Ishmaelowi śnił się czasami ten widok: palce jego własnej dłoni, skurczone pod ścianą, białe i obce, a jednak je rozpoznał, choć były tylko walającym się na podłodze odpadkiem. Ktoś zauważył, że ranny patrzy na swoją amputowaną kończynę, więc kazał zawinąć ją w ręcznik i wrzucić do płóciennego worka. Ktoś inny zrobił Ishmaelowi następny zastrzyk z morfiny. Zasypiając chłopak wymamrotał:

— Japonce... pierdolone żółtki... — Nie bardzo wiedział, jak skończyć zdanie, co chce właściwie wyrazić, więc wybełkotał tylko, ponieważ nic innego nie przyszło mu do głowy: — Pierdolona japońska bladź...

Do popołudnia pierwszego dnia procesu wszystkie drogi na wyspie zawiąło śniegiem. Samochód jednego z mieszkańców San Pedro wpadł w poślizg na spadzistej ulicy, okręcił się bezszelestnie i ześlizgując bokiem, wjechał reflektorem w drzwi sklepu spożywczego Petersena, które ktoś szczęśliwie w tym właśnie momencie otworzył, więc nic się nie stało ani autu, ani sklepikowi. Na tyłach szkoły podstawowej w Amity Harbor pewna siedmiolatka została staranowana przez kolegę, zjeżdżającego z górki na kawałku tekturowego pudła, kiedy się pochylała, chcąc ulepić śnieżkę. Doznała złamania prawej ręki — złamania typu zielonej gałązki. Erik Karlsen, kierownik szkoły, otulił ją kocem i posadził przy kaloryferze, a sam wyszedł, żeby zapalić silnik samochodu. Potem z największą ostrożnością, wpatrując się w półkregi przetarte przez wycieraczki na oblodzonej, podgrzewanej szybie, zjechał z First Hill i zawiózł ranną uczennicę do lekarza.

Na Mili Run Road pani Larsen ze Skiff Point wjechała do rowu należącym do jej męża samochodem marki DeSoto. Arne Stolbaad napchał do pieca za dużo drewna i zapalił mu się dym w kominie. Sąsiad wezwał oddział ochotniczej straży pożarnej, lecz wóz strażacki nie zdołał podjechać pod wzgórze Indian Knob, dopóki jego kierowca Edgar Paulsen nie założył łańcuchów na koła. Ogień w kominie Arne Stolbaada tymczasem sam wygasł, więc gdy strażacy przyjechali w końcu do pożaru, Arne wyraził im tylko swe zadowolenie, że przy okazji wypalił kreozot z przewodu kominowego.

O trzeciej po południu wyjechało z Amity Harbor pięć szkolnych autobusów; ich wycieraczki zdrapywały z szyb lód, a światła reflektorów tonęły w śnieżnej zadymce. Wracający do domów uczniowie szkoły średniej rzucali w przejeżdżające pojazdy śnieżkami. Autobus z South Beach ześliznął się ze skarpy na środku wyspy. Uczniowie wygramolili się z unieruchomionego wozu i poszli dalej pieszo. Przedzierali się przez śnieżną zamieć pod opieką kierowcy Johnny'ego Katayamy, idącego z tyłu grupy, a gdy któreś z dzieci skręcało w stronę domu, wręczał mu pół listka miętowej gumy do żucia.

Po południu pewien chłopiec złamał sobie nogę w kostce; zjeżdżając na sankach, wpadł na pień cedru. Nie umiał skręcać, drzewo wyrosło przed nim jak spod ziemi, więc wystawił nogę, żeby zamortyzować zderzenie.

Emerytowany dentysta, stary Doc Cable, pośliznął się na ścieżce do drewnutni; upadł, usłyszał chrupnięcie w okolicy kości ogonowej, skrzywił się z bólu i zwinął na śniegu w pozycji

embrionalnej. Po jakimś czasie pozbierał się z ziemi, powłókł do domu i przez zaciśnięte zęby oznajmił żonie, że się potłukł. Sarah położyła go na kanapie z butelką gorącej wody w nogach. Doc Cable połknął dwie aspiryny i zasnął.

Dwaj chłopcy urządzili sobie zawody w rzucaniu śnieżkami na nabrzeżu w Port Jefferson Harbor. Początkowo celowali w beczkę cumowniczą, potem w pale sąsiedniego molo. W pewnej chwili jeden z nich — Scott, syna Dana Danielsa — wziął krótki rozbieg, posłał kulę w stronę morza, pośliznął się i wpadł do wody. Wynurzył się po paru sekundach i w parującym ubraniu pognął do domu przez gęsto sypiący śnieg; zanim tam dotarł, włosy zamarzyły mu w lodowe sople.

Mieszkańcy San Pedro rzucili się na sklep Petersena i w mig wykupili wszystkie konserwy. Nanieśli przy tym na butach tyle śniegu, że jeden z pomocników sklepowych, Earl Camp, musiał przez całe popołudnie myć podłogę szmatą na kiju i wycierać ręcznikiem. Einar Petersen zdjął z półki pudło z solą i rozsypał jego zawartość przed drzwiami, a mimo to dwóch klientów i tak się pośliznęło. Einar postanowił podejmować kupujących gorącą kawą na koszt firmy, więc poprosił jedną z kasjerek, Jessicę Porter, która miała dwadzieścia dwa lata i ładną buzię, żeby stanęła za składanym stolikiem i zabawiła się w kelnerkę.

W sklepie z artykułami żelaznymi Fiska mieszkańcy San Pedro wykupili łopaty do śniegu, świece, naftę, zapalki, ocieplane rękawice i baterie do latarek. Bracia Torgersonowie wyprzedali przed piętnastą cały posiadany zapas łańcuchów na koła, podobnie jak większość łopatek do zdrapywania lodu i odmrażaczy. Tom za darmo wyciągał z rowów samochody swą świeżo malowaną dwutonową ciężarówką holowniczą; Dave sprzedawał benzynę, baterie, olej silnikowy i radził klientom, żeby jak najprędzej wracali do domów i nie ruszali się z nich. Dziesiątki mieszkańców wyspy wysłuchało ponurej prognozy pogody, jaką Dave ogłaszał, nalewając benzynę i zakładając łańcuchy na koła.

— Trzydniowa — przepowiadał. — Lepiej się przygotujcie!

Po południu gałęzie cedrów uginały się już pod śnieżnym puchem; silniejsze podmuchy wiatru strącały na ziemię wirujące okiście. Truskawkowe pola San Pedro zmieniły się w białe równiny, czyste i nieskazitelne niczym niedostępna pustynia. Odgłosy życia nie tyle przycichły, co całkiem ustały — zamilkły nawet mewy. Słyszać było jedynie szum wiatru, dudnienie przy boju i szmer spływających z plaży fal.



Na wyspie zapanował nastrój przygnębienia i napiętego oczekiwania. Kto wie, co mogło się teraz wydarzyć, kiedy zaczęły się grudniowe sztormy? Domy wyspiarzy mogły zostać zalane, nad powierzchnię wody mogły wystawać wkrótce jedynie spadziste daszki plażowych kabin i najwyższe piętra co okazalszych budynków. Jeśli wichura się nasili, linie elektryczne mogą zostać zerwane, a wtedy wyspiarzom przyjdzie siedzieć po ciemku. Nie będzie można spuszczać wody w sedesach, hydrofony przestaną ciągnąć, trzeba będzie siedzieć przy piecach i lampach naftowych. Z drugiej jednak strony burzowe zamiecie mogły oznaczać wakacje, wesołe ferie zimowe. Szkoły zostaną zamknięte, drogi staną się nieprzejezdne, nikt nie będzie musiał chodzić do pracy. Będzie się zjadało późne a sute śniadania, po czym — ciepło się ubrawszy — całymi rodzinami wychodziło na śnieg, z miłą świadomością, że w każdej chwili można wrócić do ciepłych, przytulnych domów. Z kominów będą się snuły smużki dymu, o zmroku będą się zapalały światełka lamp. W ogródkach zaciągną wartę krzywe śniegowe bałwany. Jedzenia nie zabraknie, więc nie ma powodu do obaw.

Starsi mieszkańcy wyspy zdawali sobie jednak sprawę, że wyniku zamieci niepodobna przewidzieć, nie od ich woli zależy. Ta, która się właśnie rozpętała, może się okazać równie groźna jak wcześniejsze, co przyczyniły im cierpień, a nawet powodowały ofiary śmiertelne, ale może też zacichnąć najbliższej gwiazdzistej nocy, przysparzając jedynie dzieciom radości igraszek na śniegu. Kto to mógł wiedzieć? Kto to mógł przewidzieć? Jeżeli na ich wyspę ma spaść katastrofa, mówili sobie, cóż, trudno, nic na to nie poradzą. Mogą zrobić tylko tyle, ile w ludzkiej mocy. Cała reszta — podobnie jak oblewające ich morze, które bez trudu pochłaniało padający śnieg, pozostając nieujarzmione — nie zależała od nich, nie mieli na nią wpływu.

Kiedy popołudniowa przerwa w rozprawie dobiegła końca, Alvin Hooks ponownie wezwał na miejsce dla świadka Arta Morana. Szeryf opuścił salę rozpraw na przeszło dwie godziny, żeby skontaktować się z oddziałem straży pożarnej i wezwać swoich ochotniczych zastępców, na których mógł polegać w trudnych chwilach. Zazwyczaj ich rola ograniczała się do pilnowania porządku podczas Świąta Truskawki i podobnych publicznych imprez; teraz mieli podzielić między siebie obszar wyspy w zależności od miejsca zamieszkania i nieść pomoc podróżnym, uwięzionym na drogach.

Art już po raz drugi tego dnia wiercił się niespokojnie na miejscu dla świadka, gdyż w tej chwili całą jego uwagę pochłaniała zamieć. Rozumiał, że interes oskarżyciela wymagał jego

powtórnego zjawienia się w sądzie, ale wcale nie był tym zachwycony. W trakcie piętnastominutowej przerwy zjadł kanapkę w gabinecie Alvina, rozłożywszy na kolanach papier śniadaniowy, a na brzegu biurka położywszy jabłko. Hooks przypomniał szeryfowi, że ma opowiedzieć wszystko po kolei, nie opuszczając nawet drobnych, z pozoru nieistotnych okoliczności. Usiadłszy na miejscu dla świadka, Art poprawił węzeł krawata, sprawdził, czy w kącikach ust nie przyłgnał mu żaden okruch, i zaczął się wiercić niecierpliwie, gdy oskarżyciel prosił sędziego o dopuszczenie jako dowodów rzeczowych czterech kawałków cumy.

— Szeryfie Moran — zwrócił się doń wreszcie Hooks. — Trzymam oto w ręku cztery kawałki linki, używanej przez rybaków jako cumy. Zechce się im pan łaskawie przyjrzeć.

Art wziął do ręki kawałki linki i udał, że bacznie je ogląda.

— Jestem gotów — oświadczył po chwili.

— Czy je pan poznaje?

— Tak.

— Czy to o tych czterech kawałkach linki wspomina pan w swoim raporcie, szeryfie Moran? Czy to owe właśnie wzmiankowane tam cumy?

— Owszem, te same, o których pisałem w raporcie, panie Hooks. Te samiutkie.

Sędzia dopuścił kawałki linki jako materiał dowodowy i Ed Soames przyczepił do nich etykiety. Oskarżyciel wręczył następnie cumy szeryfowi i poprosił, żeby zechciał opowiedzieć sądowi, gdzie je znalazł.

— No cóż — zaczął Art Moran. — Ten tutaj, oznaczony literą A, pochodzi z łodzi oskarżonego. Ściśle mówiąc, z knagi na lewej burcie, trzeciej knagi od rufy. Pasuje do jego innych cum, rozumie pan. Do wszystkich z wyjątkiem cumy z drugiej knagi na lewej burcie, licząc od rufy. Tej oto, oznaczonej literą B. Ta jedna była nowiutka, panie Hooks, reszta nieźle już zużyta. Wszystkie cztery to liny z manili o trzech pokrętkach, na których końcu były związane pętle, również dobrze zużyte. Pan Miyamoto używał takich właśnie cum, z pętlami, dobrze wysłużonych — prócz tej jednej. Ta była zupełnie nowa, ale miała już wplecioną bulinę.

— A gdzie pan znalazł dwie pozostałe, szeryfie? — zapytał Alvin Hooks.

— Na łodzi Carla Heinego, proszę pana. Ta tutaj, oznaczona literą C... — Szeryf uniósł linkę, aby mogli ją sobie obejrzeć przysięgli. — ...jest dokładnie taka sama jak wszystkie inne, jakie znalazłem na łodzi pana Heinego, czyli zmarłego. Widzi pan? To nowiutka lina z manili o trzech pokrętkach, z uchem wplecionym w jeden koniec, wplecionym ręcznie, panie Hooks, co,

jak powszechnie wiadomo, należało do zwyczajów Carla Heinego. Wszystkie jego liny mają wplecione pętle, żadna nie ma węzła.

— A gdzie pan znalazł czwartą linkę, którą trzyma pan w ręku, szeryfie?

— Również na łodzi Carla Heinego, ale ta nie pasuje do innych. Znalazłem ją na prawej burcie, druga knaga od rufy. Dziwna rzecz, ale ta linka pasuje do tych, jakie znalazłem na pokładzie łodzi oskarżonego. Jest dość zniszczona i ma zawiązane ucho, tak jak tamta, którą panu pokazywałem, podobnie zresztą jak wszystkie jego cumy. Jest tak podobna do pozostałych, że niewątpliwie pochodzi z tego samego kompletu. Jest również w tym samym stopniu zniszczona.

— Więc ta cuma wygląda tak samo jak wszystkie inne z łodzi oskarżonego?

— Dokładnie.

— Ale znalazł ją pan na łodzi zmarłego?

— Zgadza się.

— Na prawej burcie, druga knaga od rufy?

— Tak jest.

— Tymczasem na łodzi oskarżonego — czy dobrze pana zrozumiałem, szeryfie? — również na lewej burcie, druga knaga od rufy, założona była nowa cuma, czy tak?

— Zgadza się, panie Hooks. Nowiuteńka.

— Szeryfie — ciągnął Alvin Hooks — założmy, że oskarżony przycumował do łodzi Carla Heinego, czy owe dwie wzmiankowane knagi stanęłyby wówczas w jednej linii?

— Ma się rozumieć. A gdyby on... czyli obecny tu pan Miyamoto... chciał odbić w pośpiechu od łodzi nieboszczyka, mógł zostawić cumę przywiązaną do tej drugiej knagi.

— Rozumiem — przytaknął Alvin Hooks. — Wnioskuje pan zatem, że zostawił cumę, a wróciwszy do portu zastąpił ją nową... dowód rzeczowy B, tą, którą trzyma pan w ręku?

— Zgadza się — potwierdził Art Moran. — Dokładnie tak. Przycumował do łodzi Carla i zostawił na niej cumę. Uważam, że to całkiem oczywiste.

— A niech mi pan powie, szeryfie — dociekał Alvin Hooks — co w ogóle skłoniło pana do przeszukania łodzi oskarżonego? Dlaczego przyszło panu do głowy, żeby rozejrzeć się właśnie na jego łodzi, i to tak bacznie, że dostrzegł pan nową linkę cumowniczą?

Art wyjaśnił, że śledztwo w sprawie śmierci Carla Heinego doprowadziło go naturalną kolejną rzeczą do krewnych nieboszczyka; musiał im zadać kilka pytań. Najpierw udał się do Etty

Heine, której wyjaśnił, że musi przeprowadzić formalne dochodzenie, nawet gdyby chodziło jedynie o zwykły wypadek na morzu. Zapytał ją, czy Carl miał jakichś wrogów.

Rozmowa z Ettą, ciągnął szeryf, doprowadziła go do Ole Jurgensena, od niego zaś udał się prosto do gabinetu sędziego Lew Fieldinga — po nakaz rewizji. Powziął bowiem zamiar przeszukania „Islandera”, zanim kuter Kabuo Miyamoto wypłynie wieczorem na łososiowe łowiska.

Szesnastego września szeryf zapukał do drzwi biura sędziego o siedemnastej pięć i zapytał Eda Soamesa, urzędnika sądowego, gdy ów mu otworzył, czy może się widzieć z sędzią Lew Fieldingiem. Ed był już w płaszczu i trzymał w ręku pudełko, w którym przynosił drugie śniadanie. Wyjaśnił przybyszowi, że właśnie wychodził; pan sędzia wciąż pracuje u siebie w gabinecie.

— Chodzi o Carla Heinego? — zapytał domyślnie.

— Już słyszałeś, co? Ale mylisz się, nie chodzi o tę sprawę. A jeśli polecisz teraz do kawiarni i naopowiadasz, że po to przyszedłem, to wiesz, co ci powiem, Ed? Popelnisz gruby błąd.

— Nie jestem taki głupi — obruszył się Ed. — To nie w moim stylu!

— Jasne — przyznał Art. — To nie w twoim stylu.

Soames zapukał do drzwi gabinetu, pchnął je i oznajmił, że przyszedł szeryf Moran w sprawie, którą pragnie zachować w tajemnicy.

— Proszę — odrzekł sędzia. — Niech wejdzie.

Ed przytrzymał ręką drzwi, ustąpiwszy na bok, żeby przepuścić szeryfa.

— Dobranoc, panie sędzio — powiedział. — Do zobaczenia rano.

— Dobranoc, Ed — odparł sędzia. — Czy mógłby pan, wychodząc, zamknąć drzwi na klucz? Szeryf będzie dzisiaj moim ostatnim gościem.

— Tak jest — powiedział Ed Soames i zniknął.

Szeryf usiadł, zakładając nogę na nogę. Kapelusz położył na podłodze. Sędzia czekał cierpliwie, póki nie usłyszał zgrzytu klucza w zamku. Wtedy po raz pierwszy spojrzał szeryfowi w oczy.

— Chodzi o Carla Heinego — stwierdził.

— O Carla Heinego — przytaknął Art Moran.

Lew Fielding odłożył pióro.

— Człowiek żonaty, ojciec dzieciom — skonstatował.

— Właśnie — powiedział Art. — Poszedłem tam dziś rano, żeby zawiadomić Susan Marie. — Westchnął ciężko. — Mój ty Boże!

Lew Fielding pokiwał głową. Wsparty łokciami na biurku, podpierał rękami brodę i patrzył chmurnie. Jak zwykle wyglądał na człowieka, który zмага się z sennością; jego oczy przypominały załzawione ślepie basseta. Na policzkach miał popękane naczynka, czoło poryte zmarszczkami, a siwe brwi krzaczaste i nastroszone. Art pamiętał czasy, gdy sędzia był rzeźkim mężczyzną, pamiętał, jak podwinąwszy rękawy koszuli, w spodniach na szelkach, nisko pochylony, mrużył oczy celując podkówną na Świącie Truskawki.

— Jak ona się czuje? — zapytał teraz. — Mam na myśli Susan Marie.

— Nieszczególnie — odrzekł Art Moran.

Lew Fielding patrzył na szeryfa i milczał. Art podniósł kapelusz, położył go sobie na kolanach i zaczął się bawić rondem.

— Właściwie przyszedłem po to, by prosić pana sędziego o nakaz rewizji. Chciałbym przeszukać łódź Kabuo Miyamoto, a może i jego dom, jeszcze nie wiem.

— Kabuo Miyamoto — powtórzył sędzia. — Co pan spodziewa się u niego znaleźć?

— A więc tak — zaczął szeryf, pochylając się do przodu. — Mam następujące przesłanki, panie sędzio. Dokładnie pięć. Po pierwsze, wiem od ludzi, że Miyamoto łowił zeszłej nocy, czyli tej, kiedy zdarzył się ten wypadek, na tym samym łowisku co Carl. Po drugie, mam oświadczenie Etty Heine, że Kabuo Miyamoto i jej syn byli od dawna zaciekłymi wrogami... poszło o jakiś stary spór o ziemię. Po trzecie, mam kawałek cumy, którą ktoś zostawił na jednej z knag łodzi Carla. Wygląda na to, że ktoś wchodził na jej pokład, więc chciałbym sobie obejrzeć cumy Miyamoto. Po czwarte, Ole Jurgensen twierdzi, że oni obaj, czyli Carl i Kabuo, odwiedzili go ostatnio w sprawie zakupu jego posiadłości, którą koniec końców Ole sprzedał Carlowi. Wedle tego, co zeznał mi Ole, Miyamoto wypadł od niego wściekły jak jasna cholera. Powiedział, że ma zamiar porozmawiać z Carlem. No i niewykluczone, że porozmawiał... na pełnym morzu. Tyle że sprawy... zaszły za daleko.

— A piąta? — zapytał Lew Fielding.

— Piąta?

— Powiedział pan, że ma pan pięć przesłanek do podejrzeń. Usłyszałem dotychczas cztery. Jak więc brzmi piąta?

— Aha! — przypomniał sobie Art Moran. — Horace przeprowadził... dość dokładną sekcję zwłok. Carl miał z boku głowy paskudną ranę. I Horace zrobił na jej temat ciekawe spostrzeżenie, które pasuje mi do tego, co usłyszałem od Olego. Od Etty zresztą również, jeśli o

to chodzi. Horace stwierdził mianowicie, że widział podobne rany podczas wojny. Powiada, że Japończycy zadawali je kolbami karabinów. Podobno te żółtki od małego uczą się walki na kije, *kendo*, jak to nazwał. Jeden z tych ciosów *kendo* mógł, jak się domyślam, pozostawić taką właśnie ranę, jaką otrzymał Carl. Z początku nie zwróciłem na to uwagi. Nawet o tym nie pomyślałem, kiedy niektórzy rybacy mówili mi w porcie, że Miyamoto łowił zeszłej nocy na Ship Channel Bank, czyli w tym samym miejscu co Carl. Wtedy jeszcze nie skojarzyłem tych faktów. Skojarzyłem je dopiero tego popołudnia, kiedy Etta powiedziała mi o kłopotach, jakie miała z rodziną Miyamoto, a tym bardziej po zeznaniu Ole Jurgensena. Uznałem więc, panie sędzio, że powinienem pójść tym tropem i przeszukać łódź Miyamoto. Ot tak, na wszelki wypadek. Żeby sprawdzić, czy nie znajdę tam aby jakichś śladów... Sędzia Lew Fielding szczypał się w czubek nosa.

— Bo ja wiem, Art... — mruknął. — Ma pan zatem złożone bez zastanowienia oświadczenie koronera co do przypadkowego zapewne podobieństwa między raną na głowie Carla Heinego a ranami zadawanymi przez japońskich żołnierzy, jakie Horace kiedyś widział w czasie wojny, ale czy to nas rzeczywiście kieruje w stronę Kabuo Miyamoto? Dalej, ma pan oświadczenie Etty Heine, w której walory charakteru nie będę tu wnikał, wystarczy, jeśli powiem, że nie mam do niej za grosz zaufania. Baba wprost zijeje nienawiścią, Art; nie wierzę ani jednemu jej słowu. Co najmniej pięćdziesięciu rybaków wyszło tej nocy w gęstej mgle na łowiska, każdy gotów skoczyć drugiemu do gardła, jeśli stwierdzi, że podbiera mu rybę. Ma pan wreszcie zeznanie Ole Jurgensena... to, muszę przyznać, brzmi interesująco. Przyznaję, że jest się nad czym zastanawiać, ale...

— Czy wolno mi coś zauważyć, panie sędzio? — wtrącił Art Moran. — Jeśli będzie się pan zbyt długo nad tym zastanawiał, okazja przeszukania przejdzie nam koło nosa. Kutry wychodzą wkrótce w morze.

Sędzia podciągnął rękaw i zerknął na zegarek.

— Piąta dwadzieścia — rzekł. — Ma pan rację.

— Mam tu gotowe pisemne oświadczenie — oznajmił szeryf, wyjmując dokument z kieszeni. — Napisałem je co prawda na chybcika, ale niczego mu nie brakuje, panie sędzio. Wyłożyłem całą sprawę jasno i wyraźnie. Szukam narzędzia zbrodni, to wszystko, skoro istnieje szansa na jego znalezienie.

— No cóż — mruknął Lew Fielding — nieszczęścia nie będzie, jak sądzę, byle poprowadził pan sprawę zgodnie z przepisami. — Pochylił się nad biurkiem w stronę szeryfa. — Dla porządku dopełnijmy jeszcze i tej formalności: czy przysięga pan, że wszystkie podane w tym oświadczeniu fakty są zgodne z prawdą, tak panu dopomóż Bóg? Przysięga pan?

Szeryf przysięgł.

— W porządku. Przyniósł pan nakaz?

Szeryf wyjął formularz z drugiej kieszeni koszuli. Sędzia rozłożył go pod stojącą na biurku lampą i wziął do ręki pióro.

— Podpiszę to — oświadczył. — Ale pozwalam panu jedynie na przeszukanie łodzi pana Miyamoto, domu nie. Nie ma potrzeby niepokoić jego żony i dzieci, nie widzę powodu do pośpiechu w tej kwestii. Proszę zatem pamiętać, że chodzi o przeszukanie ograniczone. Szuka pan narzędzia zbrodni, Art, niczego więcej. Nie życzę sobie, by wkraczał pan tak obcesowo w życie rodzinne tego człowieka.

— Rozumiem — przytaknął szeryf. — Narzędzie zbrodni.

— Jeśli nie znajdzie pan niczego podejrzanego na łodzi, proszę wpaść do mnie z rana. Wtedy pomówimy o domu.

— Dobrze — powiedział Art Moran. — Dziękuję, panie sędzio.

Zapytał, czy może skorzystać z telefonu. Wykręcił numer swojego biura i zamienił kilka słów z Eleanor Dokes.

— Powiedz Martinsonowi, że ma spotkać się ze mną w porcie — powiedział. — Niech weźmie ze sobą latarkę.

W tamtych czasach, w roku 1954, rybacy z San Pedro wierzyli w znaki i wróżby, o jakich szczerom lądowym nawet się nie śniło. Pajęczyna przyczyn i skutków, acz niewidzialna, była w ich mniemaniu wszechobecna i wszechwładna; człowiek mógł jednej nocy wyciągnąć sieć brzuchatą od łososi, a drugiej pustą, zawierającą jedynie morszczyny. Fale pływów, prądy i wiatry — to jedna sprawa; szczęście — całkiem inna, toteż żaden prawdziwy rybak nie wymówił na pokładzie kutra słów takich jak „koń”, „świnia” czy „wieprz”, mogłoby to bowiem ściągnąć złą pogodę lub spowodować, że wkręciłaby się w śrubę lina. Odwrócenie pokrywy luku sprowadzało sztorm z południowego zachodu, a wniesienie na pokład czarnej walizki oznaczało niechybnie zatarcie przekładni i splątanie sieci. Rybak, który skrzywdził mewę, narażał się na gniew okrętowych duchów, ponieważ w mewach mieszkały dusze ofiar wypadków na morzu.



Parasole również sprowadzały nieszczęście, podobnie jak pęknięte lustra i nożyczki, niebacznie przyjęte od kogoś w prezencie. Tylko zupełny żółtodziób mógłby obcinać paznokcie na pokładzie sejnera, siedząc na sieciach, podać koledze z załogi kawałek mydła, zamiast je wrzucić do zlewu, bądź otworzyć konserwę z owocami od spodu puszki. Skutkiem takiej nieostrożności był nieudany połów i pogorszenie pogody.

Kiedy Kabuo Miyamoto, niosąc w rękach akumulatory „Islandera”, zbliżał się wieczorem tamtego dnia do swojej łodzi, zacumowanej przy południowym nabrzeżu, zobaczył stadko mew — trzydzieści do czterdziestu sztuk, jak mu się początkowo zdawało — siedzących na wale sieciowym, stabilizatorach i dachu nadbudówki, lecz gdy wszedł na pokład, ptaki wzbiły się z trzepotem skrzydeł w niebywałej liczbie co najmniej pół setki sztuk, dosłownie jakby wybuch wyrzucił je z kokpitu. Zatoczyły na niebie kilka szerokich kręgów, pokrywających całą przestrzeń portu, po czym usiadły na wodzie.

Serce Kabuo zabiło mocniej. Nie był szczególnie przesądny, ale czegoś podobnego nigdy jeszcze nie widział.

Wszedł do kabiny i zdjął pokrywę studzienki akumulatorowej. Zapalił silnik kutra, pozwolił mu się rozgrzać, po czym przesunął wajchę na główną pompę, żeby uruchomić pokładowy wąż. Stojąc na pokrywie luku zmywał mewie odchody ze szpigatów. Mewy wytrąciły go z równowagi, wprawiły w stan niepokoju. Stwierdził, że inne kutry wychodzą już z portu; pyrkotały obok boi Amity Harbor w drodze na łowiska łososi. Spojrzał na zegarek, dochodziła piąta czterdzieści. Przyszło mu na myśl, żeby tego wieczora spróbować szczęścia na Ship Channel Bank, od przylądka Elliot miałyby sprzyjające prądy.

Podniósłszy wzrok zobaczył samotną mewę. Siedziała dumnie na lewej burcie kilka metrów od rufy — perłowszara, o białych skrzydłach, młoda mewa o szerokiej, lśniącej pierś. Sprawiała takie wrażenie, jakby się rybakowi przyglądała.

Kabuo sięgnął powoli za siebie i odkręcił zawór na pełny regulator. Struga wody chlusnęła mocniej o tylny pokład i odbiła się rykoszetem w stronę rufy. Kabuo przez chwilę przyglądał się mewie kątem oka, aż nagle odwrócił się i skierował na nią dyszę węża. Strumień wody uderzył zaskoczonoego ptaka prosto w pierś; usiłując się wyrwać spod smagnięć wodnego bicia, mewa roztrzaskała sobie łepkę o nadburcie kutra „Channel Star”, przycumowanego na sąsiednim miejscu postojowym.

Kabuo stał z węzłem w ręku przy lewej burcie i przyglądał się umierającemu ptakowi, kiedy obok jego łodzi pojawili się szeryf Art Moran i jego zastępca Abel Martinson, obaj z latarkami w rękach.

Szeryf przejechał kantem dłoni po gardle, jakby je sobie podcinał.

— Niech pan wyłączy silnik! — krzyknął.

— Po co?! — odkrzyknął Kabuo.

— Mam nakaz! — wrzasnął szeryf, wyjmując z kieszeni koszuli jakiś papier. — Chcemy przeszukać pańską łódź!

Kabuo zamrugał powiekami, a potem twarz mu stężała. Zakręcił zawór węża i spojrzał szeryfowi prosto w oczy.

— Ile wam to zajmie?

— Bo ja wiem? — Szeryf wrzucił ramionami. — Trochę może zająć.

— Czego szukacie?

— Narzędzia zbrodni — wyjaśnił Art Moran. — Podejrzewamy, że jest pan winien śmierci Carla Heinego.

Kabuo ponownie zamrugał powiekami i rzucił szlauch na pokład.

— Ja nie zabiłem Carla — rzekł twardo. — Ja tego nie zrobiłem, szeryfie!

— Więc nie będzie pan miał nic przeciwko temu, żebyśmy przeszukali pańską łódź, prawda?! — zawołał Art Moran i wszedł na pokład.

On i Abel Martinson obeszli kabinę i zeszli do kokpitu.

— Proszę, niech pan to sobie przeczyta. — Szeryf wręczył rybakowi nakaz rewizji. — My tymczasem trochę się tutaj rozejrzemy. Jeśli nie znajdziemy nic podejrzanego, będzie pan mógł wypłynąć.

— A więc mogę wypłynąć od razu — stwierdził Kabuo Miyamoto — bo na pewno nie znajdziecie tu nic podejrzanego!

— To świetnie! — ucieszył się Art. — A teraz zechce pan wyłączyć silnik.

Wszyscy trzej weszli do kabiny. Kabuo wyłączył silnik. Kiedy motor stanął, zapadła błoga cisza.

— Proszę bardzo — burknął Kabuo.

— Niech się pan odpręży — poradził Art. — Czemu nie usiądzie pan sobie na koi?

Miyamoto usiadł i przeczytał nakaz. Abel Martinson przeglądał zawartość skrzynki z narzędziami. Wyjmował po kolei każdy klucz i badał go w świetle latarki. Potem przesunął snopem światła po podłodze kuchni, uklęknął i płaskim śrubokrętem podważył pokrywę studzienki. Promień latarki prześliznął się po akumulatorach i zagłębił w ciemnej wnęce.

— D-6 — stwierdził zastępca szeryfa.

Kabuo zbył jego stwierdzenie milczeniem, więc Abel zamknął pokrywę studzienki, odłożył śrubokręt i zgasił latarkę.

— Silnik jest pod koją? — zapytał.

— Tak — przytaknął Kabuo.

— Zechce pan wstać i usunąć materac — polecił Abel. — Zajrzę tam, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Kabuo wstał, zrolował posłanie i otworzył klapę nad silnikiem.

— Proszę — mruknął.

Abel ponownie zapalił latarkę i wsadził głowę do maszynowni.

— W porządku — oznajmił po chwili. — Proszę, może pan położyć materac z powrotem.

Potem Abel Martinson wyszedł na tylny pokład, a Kabuo i szeryf za nim. Art Moran brał każdą rzecz do ręki — sztormiak, gumowe rękawiczki, pływaki, liny, szlauch, koło ratunkowe, szczotkę, wiadra — poruszał się bez pośpiechu, wszystko dokładnie oglądał. Obszedł uważnie łódź, sprawdził cumy na wszystkich knagach, przyklękając, aby się lepiej przyjrzeć. Na chwilę przykucnął przy kotwicy i nad czymś się w milczeniu zastanawiał. Potem wrócił na rufę i zatknął latarkę za pasek spodni.

— Widzę, że wymieniał pan niedawno cumę — stwierdził, zwracając się do Kabuo Miyamoto. — Na drugiej knadze lewej burty. Jest nowiutka, jak mi się zdaje?

— Mam ją już od jakiegoś czasu — odburknął Kabuo.

Szeryf przyjrzał mu się spod oka.

— No tak. — Kiwnął głową. — Rozumie się! Abel, pomóż mi podnieść pokrywę ładowni.

We dwóch odsunęli pokrywę i zajrzeli do środka. Z ładowni uderzył ich w nozdrza zapach łososi.

— Nic tu nie ma — stwierdził Abel. — Co teraz?

— Wskakuj tam — polecił Art Moran — i rozejrzyj się trochę.

Zastępca szeryfa spuścił się do ładowni, przyklęknął, zapalił latarkę i rozejrzył się wokół siebie.

— Nic tu nie widzę! — zawołał.

— Bo i nic tam nie ma — wtrącił Kabuo. — Mamujecie tylko swój i mój czas, panowie. Powinienem wychodzić na łowisko!

— Zdaży pan — uspokoił go Art.

Kabuo zauważył, że Abel trzyma się rantu włazu i wpatruje w zawieszoną pod prawą burtą osękę na długim trzonku.

— Spójrz no na to — powiedział zastępca szeryfa do swojego szefa.

Wylazł z ładowni, zdjął z uchwytów solidne, przeszło metrowej długości narzędzie, okute z jednej strony stalowym hakiem z ostrzem, i podał je Artowi Moranowi.

— Na tej osęce jest krew — stwierdził.

— Rybia krew — wyjaśnił Kabuo. — Kłuję tym ryby.

— Ale dlaczego na tęym końcu trzonka? — zaciekawił się Art. — Rozumiałbym, gdyby na haku, ale na tęym końcu? Skąd rybia krew na rękojeści?

— Nie ma w tym nic dziwnego — powiedział Kabuo Miyamoto. — Człowiek powala sobie ręce krwią, to i ubrudzi trzonek. Każdy rybak to panu potwierdzi, szeryfie.

Szeryf wyjął chusteczkę z tylnej kieszeni spodni i ujął przez nią osękę.

— Zabieram ten bosak do badania — oświadczył, podając narzędzie swojemu zastępcy. — Nakaz mi na to pozwala. Zastanawiam się, czy nie powinienem pana poprosić, żeby nie wypływał pan dzisiejszej nocy na łowisko, żeby pan został na łodzi, dopóki się do pana nie odezwę. Wiem, że zależy panu na tym połowie, ale wydaje mi się, że dzisiejszej nocy powinien pan jednak zostać na łodzi. Niech pan wraca do domu. Tak będzie lepiej. Niech pan czeka w domu, aż się do pana odezwę. Jeśli pan odmówi, będę zmuszony od razu pana aresztować w związku ze śmiercią Carla Heinego.

— Ja go nie zabiłem — powtórzył Kabuo Miyamoto. — Nie stać mnie też na to, żeby mój kuter przez całą noc stał beczynnym w porcie.

— W takim razie zostaje pan aresztowany — oświadczył Art Moran. — Ani myślę bowiem pozwolić, żeby pan wypłynął w morze. Za pół godziny mógłby pan być w Kanadzie.

— Ani mi to w głowie — odrzekł Kabuo. — Z łowiska wróciłbym do domu. A pan przekonałby się do tego czasu, że na tej osęce jest krew ryby, a nie Carla Heinego. Wypłynę po moje łososie i zgłoszę się do pana z samego rana.

Szeryf pokręcił głową, opuścił ręce i zatknął kciuki za sprzączkę pasa.

— Nic z tego — powiedział. — Zostaje pan aresztowany. Przykro mi, ale nie mam innego wyjścia.

Uświadomił sobie, że od wszczęcia przezeń śledztwa upłynęło raptem pięć godzin. „Sherlock Holmes” — przypomniał sobie. Horace Whaley śmiał się, kiedy zrobiło mu się słabo na widok trupa Carla, jego odsłoniętej czaszki, tkwiących w mózgu odłamków kości. Art przypomniał sobie pieluchę, przewieszoną przez ramię Susan Marie, i jej palec w białej rękawiczce, zachęcający go, żeby poczęstował się miętówką. Żona Carla Heinego zemdląła na schodach, nogi jej się rozjechały, butelka ze smoczką przewróciła się u jej stóp. Niech będzie, zabawił się w Sherlocka Holmesa, zgoda. Prawdę mówiąc, spodziewał się odkryć tylko tyle, że Carl Heine utonął. Wypadł do morza, jak tylu rybaków przed nim, i utonął. Ryzyko zawodowe. Art Moran wierzył w przeznaczenie. Zdarzające się co pewien czas nieszczęścia stanowiły, w jego mniemaniu, nieodłączną część życia. Przez lata pracy na urzędzie szeryfa dość się napatrzył na nieszczęścia, stały mu one jak żywe przed oczami, wnosił więc na podstawie tych bolesnych doświadczeń, że zdarzą się i następne; taki był po prostu naturalny bieg rzeczy. Pod tym względem życie na wyspie nie różniło się od życia w innych zakątkach świata: i tu zdarzały się czasem katastrofy.

Art Moran uświadomił sobie po raz pierwszy, że prowadzi sprawę o morderstwo. Mógł się spodziewać, że życie prędzej czy później postawi przed nim takie zadanie. Odczuwał satysfakcję, że w obliczu podobnego wyzwania zachował się jak zawodowiec; poprowadził śledztwo tak, że lepiej nie można. Horace Whaley nie będzie się z niego naśmiewał, że bawi się w Sherlocka Holmesa!

Musiał jednak przyznać, że Horace, choć arogant, miał jednak rację. Radził mu szukać Japończyka i zakrwawionej kolby karabinu i taki Japoniec istotnie się znalazł. Co więcej, wskazywały nań jednomyślne zeznania wszystkich mieszkańców wyspy, z którymi rozmawiał.

Szeryf zajrzał w spokojne oczy Kabuo Miyamoto, żeby się przekonać, czy nie uda mu się odczytać z nich prawdy. Natrafił jednak na twarde nieprzeniknione spojrzenie i taki wyraz

dumnej nieruchomej twarzy, z którego żadną miarą nie dawało się nic wyczytać. Na szeryfa patrzyły oczy człowieka, który nie zwykł okazywać uczuć, człowieka, który coś ukrywa.

— Jest pan aresztowany w związku ze śmiercią Carla Heinego — powtórzył Art.

Siódmego grudnia o wpół do dziewiątej rano salę rozpraw, królestwo sędziego Fieldinga, wypełnili mieszkańcy San Piedro, z radością witając ciepło bijące od kaloryferów. Wilgotne palta zostawili w szatni, ale i tak wnieśli zapach śniegu na włosach, spodniach, swetrach oraz butach. Ed Soames po raz kolejny podniósł temperaturę grzejników; zrobił tak, ponieważ przewodniczący ławy przysięgłych doniósł mu, iż niektórzy jej członkowie okrutnie zmarzli tej nocy w hotelu „Amity Harbor”. Postękiwania bezsilnych kaloryferów, połączone z wyciem wichury za oknami, nie pozwoliły im przez całą noc zmrużyć oka. Odizolowani na pierwszym piętrze budynku, zastanawiali się, jak wyznał Edowi przewodniczący, czy śnieżycą w ogóle pozwoli na kontynuację procesu. Większość przysięgłych spędziła bezsenną noc we wstrząsanym wichurą hotelu, na domiar złego trzęsąc się z zimna.

Ed Soames przeprosił przysięgłych za żaloszny stan lokum, w którym ich umieszczono, i zachęcił do korzystania podczas przerw w rozprawie z gorącej kawy, przygotowanej w stojącym w przedpokoju kotle. Jak poprzedniego dnia wskazał im szafkę, w której na mosiężnych haczykach wisiało czternaście kubków. Pokazał, gdzie stoi cukiernica i przeprosił za to, że nie udało mu się zdobyć śmietanki — Petersen wyprzedził cały jej zapas. Ed wyraził nadzieję, że przysięgli potrafią się bez niej obyć.

Kiedy przewodniczący ławy oświadczył, że przysięgli są już gotowi, Soames wprowadził ich na salę. Reporterzy zajęli miejsca, wprowadzono oskarżonego, Eleanor Dokes usiadła na miejscu dla stenotypistki. Ed Soames poprosił zebranych o powstanie, a kiedy to uczynili, ze swojego gabinetu wyłonił się Lew Fielding i podszedł do stołu sędziowskiego z taką miną, jakby na sali nie było żywej duszy. Sprawiał wrażenie znudzonego, jak zwykle zresztą. Usiadł, podparł głowę ręką i skinął na Alvina Hooksa.

— Kolejny dzień procesu również należy do pana, panie prokuratorze — powiedział. — Bierzmy się zatem do dzieła. Proszę wezwać świadka.

Alvin Hooks wstał i podziękował sędziemu. Świeżo ogolony, w świetnie skrojonym garniturze z serży, choć o przesadnie szerokiej w ramionach marynarce, wyglądał dziarsko i schludnie.

— Sąd stanowy wzywa doktora Sterlinga Whitmana — ogłosił.

Na widowni podniósł się jakiś mężczyzna, którego nikt z miejscowych nie znał, podszedł do miejsca dla świadka i został zaprzysiężony przez Eda Soamesa. Niezwykle wysoki, blisko dwumetrowego wzrostu, wydawał się nie mieścić w garniturze; mankiety koszuli wystawały mu z rękawów, a marynarka marszczyła się pod pachami.

— Dziękujemy, doktorze Whitman — zaczął Alvin Hooks — że stawił pan czoło rozpętanym żywiołom, aby złożyć zeznanie. Domyślam się, że tylko garstka śmiazków odważyła się wejść na pokład promu o szóstej dwadzieścia pięć, żeby się przenieść z lądu stałego na wyspę San Pedro. Czy mój domysł jest trafny?

— Istotnie — przytaknął doktor Whitman. — Była nas, pasażerów, tylko szóstka.

— Musiał to być mrozący krew w żyłach wojaż w tumanach śnieżycy — odpowiedział Alvin Hooks.

— Istotnie — przyznał doktor Whitman.

Zdecydowanie za wielki jak na miejsce dla świadka, wyglądał w nim niczym bocian bądź żuraw, wciśnięty do pudełka od butów.

— Doktorze Whitman — zaczął oskarżyciel. — Jest pan specjalistą hematologiem i pracuje pan w szpitalu ogólnym w Anacortes, czy tak?

— Tak.

— Od jak dawna pan tam pracuje?

— Od siedmiu lat.

— Na czym dokładnie, panie doktorze, polega pańska praca?

— Od sześciu i pół roku jestem hematologiem. Hematologiem w ścisłym tego słowa znaczeniu.

— Hematologiem — powtórzył Alvin Hooks. — A czym dokładnie zajmuje się hematolog?

Doktor Whitman podrapał się w potylicę, a następnie za lewym uchwytem oprawki okularów.

— Specjalizuję się w patologii i terapii krwi — odparł. — Zajmuję się głównie badaniem i analizą krwi. Jestem konsultantem lekarzy leczących.

— Rozumiem. Zatem od sześciu i pół roku trudni się pan zawodowo — pozwoli pan, że ujmę to po laicku — badaniami krwi? A także analizą wyników tych badań, czy tak, panie doktorze?



— Można to i tak ująć.

— Doskonale — ucieszył się oskarżyciel. — Czy wyraziłbym się zatem ściśle, określając pana mianem eksperta w dziedzinie badania krwi, doktorze Whitman, zważywszy na pańskie blisko siedmioletnie doświadczenie? Czy powiedziałby pan, że osiągnął stopień eksperta od oznaczania grupy ludzkiej krwi?

— Zdecydowanie — odrzekł Sterling Whitman. — Oznaczanie grupy krwi to... umiejętność dla każdego hematologa zupełnie podstawowa, rutynowa procedura.

— Doskonale. A zatem wieczorem... ściśle biorąc, późnym wieczorem... szesnastego września tego roku szeryf okręgowy dostarczył panu osękę rybacką, nieprawdaż, prosząc, by zbadał pan plamę krwi, jaką na niej odkrył, czy tak, doktorze Whitman?

— Owszem.

Alvin Hooks obrócił się na pięcie i wezwał spojrzeniem Eda Soamesa, żeby mu podał wymieniony przedmiot.

— Doktorze Whitman — podjął po chwili. — Okazuję panu narzędzie, które zostało dopuszczone jako dowód w sprawie i oznaczone numerem 4-B. Wręczę je teraz panu z prośbą, aby mu się pan uważnie przyjrzał.

— Bardzo proszę — zgodził się Sterling Whitman.

Następnie obejrzał skrupulatnie podaną mu osękę o długiej rękojeści, zakończoną z jednej strony stalowym ostrzem z zadziorem, z drugiej opatrzoną przywieszką.

— Jestem gotów — oznajmił.

— Doskonale — ucieszył się Alvin Hooks. — Czy poznaje pan zatem tę osękę, doktorze?

— Owszem. To ta sama, którą szeryf Moran dostarczył mi wieczorem szesnastego września. Na trzonku widniała plama krwi. Szeryf prosił, żebym ją zbadał.

Alvin Hooks odebrał od niego osękę i położył ją z powrotem na stole z dowodami rzeczowymi, żeby mogli jej się przyjrzeć sędziowie przysięgli. Następnie wyjął spod swoich papierów jakąś teczkę i podszedł do świadka.

— Doktorze Whitman — rzekł. — Wręczę panu obecnie dokument, oznaczony jako proponowany dowód rzeczowy numer 5-A. Zechce mi pan powiedzieć, czy go pan poznaje, czy mógłby go pan sądowi opisać?

— Oczywiście. To mój raport z badania osęki. Raport, jaki napisałem na prośbę szeryfa Morana.

— Proszę go uważnie przejrzeć. Czy znajduje się w takim samym stanie jak wówczas, kiedy go pan sporządził?

Sterling Whitman zaczął przewracać kartki.

— Tak jest — stwierdził po chwili. — Na to wygląda.

— Czy poznaje pan swój podpis?

— Tak.

— Dziękuję, doktorze. — Alvin Hooks odebrał od świadka teczkę. — Oskarżenie wnosi o dopuszczenie dowodu rzeczowego numer 5-A, Wysoki Sądzie.

Nels Gudmundsson odchrząknął.

— Nie mam zastrzeżeń — powiedział.

Lew Fielding dopuścił dowód rzeczowy. Ed Soames opieczętował go starannie, po czym Alvin Hooks zwrócił teczkę Sterlingowi Whitmanowi.

— Doktorze Whitman — rzekł — zwracam panu oto dokument, który odtąd figuruje jako dowód rzeczowy numer 5-A: pański własny raport, dotyczący, między innymi, owej rybackiej osęki. Czy zechciałby pan streścić na użytek sądu wnioski, do jakich pan doszedł w następstwie przeprowadzonych badań?

— Naturalnie — powiedział Sterling Whitman, skubiąc nerwowo mankiet koszuli. — Po pierwsze stwierdziłem, że krew na osęcie, dostarczonej mi przez szeryfa Morana, jest krwią ludzką, zareagowała bowiem natychmiast na ludzkie przeciwciała. Po drugie stwierdziłem, że należy do grupy, którą nazywamy B Rh plus. Udało mi się to ustalić ponad wszelką wątpliwość i bez większego kłopotu w badaniu mikroskopowym.

— Czy ustalił pan może jakiś inny znaczący fakt?

— Owszem — przytaknął hematolog. — Szeryf prosił mnie, żebym sprawdził w naszych szpitalnych archiwach grupę krwi rybaka o nazwisku Carl Heine. Uczyniłem to; na szczęście mieliśmy jego dane w kartotece. Pan Heine został po zakończeniu wojny przyjęty do naszego szpitala na serię badań, których wyniki przechowujemy. Przejrzałem je i włączyłem do mego raportu. Pan Heine miał grupę krwi B Rh plus.

— B Rh plus — powtórzył Alvin Hooks. — Chce pan więc powiedzieć, że krew nieboszczyka odpowiadała krwi na osęcie?

— Nie inaczej.

— Ale przecież chyba wielu ludzi ma grupę krwi B Rh plus, doktorze Whitman? — zainteresował się Alvin Hooks. Czy może pan stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że interesująca nas krew należała do Carla Heinego?

— Nie, tego nie jestem w stanie stwierdzić jednoznacznie. Pozwolę sobie jednak nadmienić, że B Rh plus to względnie rzadka grupa krwi. Występuje statystycznie rzadko. W najlepszym razie ma ją dziesięć procent mężczyzn rasy kaukaskiej.

— Jeden na dziesięciu mężczyzn rasy kaukaskiej? Nie więcej?

— Nie, tylko tyle.

— Rozumiem — skostatował Alvin Hooks. — Jeden na dziesięciu.

— Zgadza się — potwierdził Sterling Whitman.

Prokurator przeszedł przed ławą przysięgłych i zbliżył się do stołu, za którym siedział oskarżony.

— Doktorze Whitman — rzekł. — Nazwisko oskarżonego brzmi Kabuo Miyamoto. Ciekaw jestem, czy pojawia się ono w pańskim raporcie?

— Owszem.

— W jakim kontekście?

— Szeryf Moran zapytał mnie, czy nie mógłbym przy okazji sprawdzić również akt pana Miyamoto, przejrzałem je więc na jego życzenie. Podobnie jak w przypadku Carla Heinego zachowały się one w szpitalnej kartotece. U Kabuo Miyamoto stwierdzono w czasie badań lekarskich grupę krwi 0 Rh minus. Pan Miyamoto ma grupę krwi 0 Rh minus.

— 0 Rh minus? — upewnił się oskarżyciel.

— Tak.

— Tymczasem krew na osęcie, którą dostarczył panu szeryf Moran, tej, którą znalazł na łodzi oskarżonego, tej samej wreszcie, którą przed chwilą trzymał pan w ręku, należała do grupy B Rh plus, czy tak, doktorze?

— Tak jest, B Rh plus.

— A więc nie była to krew oskarżonego?

— Nie.

— Ani krew łososia?

— Wykluczone.

— Nie była to zatem krew ryby ani żadnego innego zwierzęcia?

— Z całą pewnością nie.

— Była to natomiast krew tej samej grupy, jaką miał nieboszczyk Carl Heine junior?

— Tak.

— Grupy krwi, którą określiliby pan jaką rzadką?

— Istotnie.

— Dziękuję panu, doktorze Whitman. To wszystko.

Ze swojego miejsca powstał teraz ociężałe Nels Gudmundsson, żeby wziąć świadka w krzyżowy ogień pytań. Po pierwszym dniu procesu adwokat zdążył się stać pośmiewiskiem reporterów, którzy uśmiechali się w skrytości ducha, ilekroć odchrząkiwał lub czynił niezdarne wysiłki, aby wstać bądź usiąść. Był zabawnym starym człowiekiem, nosił szelki, jego niewidzące oko błąkało się bezużyteczne w oczodole, do tego niestarannie się golił — otarte, zaczerwienione fałdy skóry na podbródku porastała rzadka siwa szczecina. Choć jednak budził ich skrytą wesołość, reporterzy spowaźnieli, kiedy przechodził przed nimi i mogli dojrzeć z bliska pulsujące żyłki na skroniach starca oraz błysk inteligencji w zdrowym oku.

— No cóż, doktorze Whitman — zaczął Nels. — Nie ma pan nic przeciwko temu, żebym zadał panu kilka pytań?

Sterling Whitman odparł, że absolutnie nie; ostatecznie po to właśnie przybył na San Pedro.

— Chciałbym więc pana zapytać o tę rybacką osękę. Stwierdził pan, że odkrył na niej krew?

— Tak — przytaknął hematolog. — Istotnie, tak zgodnie z prawdą zeznałem.

— W którym dokładnie miejscu odkrył pan tę plamę krwi? — Nels wziął ze stołu osękę i podszedł do świadka. — W którym miejscu, doktorze Whitman. Na tylcu trzonka? Na haku?

— Na tylcu trzonka — odpowiedział lekarz. — Tutaj — wskazał palcem — po przeciwnej stronie niż hak.

— Dokładnie tu? — upewnił się Nels, dotykając wskazanego miejsca. — Odkrył pan krew na tej drewnianej rękojeści?

— Tak.

— Nie wsiąkla w nią? — zainteresował się obrońca. — Czy ten gatunek drewna nie wchłania krwi, doktorze?

— Częściowo wsiąkla, faktycznie — przyznał Sterling Whitman. — Udało mi się jednak uzyskać próbkę krwi.

— W jaki sposób? — zapytał Nels, wciąż trzymając przed sobą osękę.

— Zdrapałem ją. Zwykle tak postępujemy z zakrzepłą krwią. Należy ją zdrapać.

— Rozumiem. Czy posłużył się pan w tym celu jakimś ostrzem?

— Tak.

— Zeskrobał pan trochę zakrzepłej krwi, by uzyskać preparat, który następnie umieścił pan pod mikroskopem?

— Istotnie.

— I co pan ujrzał? Krew i ostrużyny drewna, jak się domyślam?

— Tak.

— Czy coś jeszcze?

— Nie.

— Zatem nic więcej. Jedynie krew i ostrużyny drewna?

— Tak.

— Nie stwierdził pan na tej osęce odłamków kości, pasemek włosów ani odprysków czaszki, doktorze?

Sterling Whitman pokręcił stanowczo głową.

— Niczego podobnego — rzekł. — Stwierdziłem tylko to, co powiedziałem, co poświadczyłem w zeznaniach i napisałem w raporcie. Tylko krew i strużyny drewna.

— Czy nie wydaje się to panu nieco dziwne, doktorze? Gdyby tą osęką rzeczywiście zadano ranę głowy, czy nie spodziewałby się pan odkryć na niej śladów takich jak — dajmy na to — pasemka włosów, odłamki kości czaszki, fragmenty skóry? A więc wszystkiego tego, co normalnie kojarzymy z raną głowy? Śladów wskazujących, iż narzędzia, o którym mowa, istotnie użyto do zadania takiej rany?

— Szeryf Moran prosił mnie o wykonanie dwóch testów krwi — odrzekł świadek. — Przeprowadziłem je i ustaliłem...

— Wiemy, wiemy — przerwał mu Nels Gudmundsson. — Już pan to zeznał. Krew na osęce należała do grupy określanej jako B Rh plus; tego faktu nikt nie podaje w wątpliwość, panie doktorze. Chciałbym się jedynie dowiedzieć od pana, jako od człowieka, który od ponad sześciu lat zarabia na życie badaniem krwi pod mikroskopem, czy według pańskiej wiedzy nie

należałoby spodziewać się na tej osęcie, gdyby jej użyto do zadania wspomnianej rany głowy, nie tylko śladów krwi, ale i włosów, kości bądź fragmentów skóry z czaszki? Co pan na to, doktorze? Czy nie brzmi to logicznie?

— Nie wiem — przyznał Sterling Whitman.

— Nie wie pan? — zdziwił się Nels Gudmundsson. Nadal trzymał osękę, położył ją tylko między sobą a hematologiem na poręczy miejsca dla świadków.

— Panie doktorze — podjął. — Koroner, który przeprowadzał sekcję zwłok nieboszczyka, wspomniał w swoim raporcie, jeśli dobrze pamiętam, o „wtórnym, lekkim skaleczeniu prawej dłoni, biegnącym ukośnie od zagięcia między kciukiem a palcem wskazującym do zewnętrznej strony nadgarstka”. Innymi słowy, o pospolitym skaleczeniu. Czy byłoby możliwe, doktorze Whitman, by takie skaleczenie — założywszy, że skaleczona dłoń zacisnęła się na rękojeści tej oto osęki — mogło spowodować wsiąknięcie w drewno wspomnianej przez pana krwi o grupie B Rh plus? Pytam, czy byłoby to możliwe, panie doktorze.

— I owszem, niewykluczone — odrzekł Sterling Whitman. — Nie mogę jednak stwierdzić na ten temat nic więcej. Moim zadaniem było wyłącznie przeprowadzenie badania krwi, o jakie mnie prosił szeryf Moran. Stwierdziłem na tej osęcie krew grupy B Rh plus. Skąd się tam wzięła, nie mnie wyrokować.

— No cóż — powiedział Nels Gudmundsson. — Cieszę się, że pan to powiedział. Ponieważ, według własnych pana słów, jeden na dziesięciu mężczyzn typu kaukaskiego ma krew grupy B Rh plus, wszak się nie mylę? Na wyspie takiej jak nasza oznacza to prawdopodobnie około dwustu mężczyzn, prawda, doktorze? Czy to poprawny rachunek?

— Z grubsza poprawny, jak sądzę. Dziesięć procent męskiej populacji rasy kaukaskiej. Co...

— A czy procent ten nie jest nawet wyższy wśród mężczyzn japońskiego pochodzenia, doktorze? Czy procent osób z grupą krwi B Rh plus nie jest wyższy wśród zamieszkałych na wyspie Amerykanów japońskiego pochodzenia?

— Istotnie, wyższy. Coś około dwudziestu procent. Ale...

— Dwadzieścia procent, dziękuję, doktorze. Mówimy więc o wcale pokaźnej liczbie mieszkańców wyspy, mężczyzn z grupą krwi B Rh plus. Przyjmijmy wszakże, na użytek dyskusji, że krew na osęcie należała rzeczywiście do Carla Heinego — choć mogła być, jak już

wiemy, krwią kilkuset innych mężczyzn — przyjmijmy więc na chwilę takie hipotetyczne założenie. Moim zdaniem owa plama krwi na osęcie mogła powstać w następstwie co najmniej dwóch okoliczności: mogła mianowicie pochodzić z rany na głowie nieboszczyka bądź z tego banalnego skaleczenia na jego dłoni; zatem albo z jego głowy, albo ręki, doktorze, jedno z dwojga. Uwzględniając zaś fakt, że plama krwi znajduje się na rękojeści osęki, czyli w miejscu, którego człowiek na ogół dotyka ręką, oraz biorąc pod uwagę to, że znalazł pan na trzonku owego narzędzia jedynie krew, nie zaś odłamki kości, strzępki skóry i włosy, dochodzę do przekonania... A panu osobiście jakie wyjaśnienie się nasuwa, doktorze, jakie wydaje się panu bardziej prawdopodobne? Czy że krew na niniejszej osęcie, jeśli w ogóle jest krwią Carla Heinego, pochodziła raczej z jego głowy czy jego ręki?

— Pojęcia nie mam — odrzekł Sterling Whitman. — Jestem hematologiem, nie detektywem.

— Toteż nie pytam pana jako detektywa — zastrzegł się Nels. — Chciałbym się po prostu dowiedzieć, która możliwość wydaje się panu bardziej prawdopodobna.

— Z jego ręki, jak przypuszczam — oświadczył doktor Whitman. — Więcej, jak mi się zdaje, przemawia za tą ewentualnością.

— Dziękuję panu — powiedział Nels Gudmundsson. — Ja również doceniam to, że stawiał pan czoło żywiołom i zjawiał się tutaj, aby nam złożyć powyższe zeznanie. — Odwrócił się od hematologa, podszedł do Eda Soamesa i oddał mu osękę. — Może pan odłożyć ten dowód rzeczowy, panie Soames. Bardzo panu dziękuję. Nie będzie nam więcej potrzebny.

Trzej rybacy — Dale Middleton, Vance Cope i Leonard George — zeznali przed sądem, że wieczorem 15 września widzieli łódź Carla Heinego „Susan Marie” z wyrzuconą siecią na łowisku Ship Channel Bank. W tym samym rejonie, mniej więcej w tym samym czasie, widzieli też łódź Kabuo Miyamoto, „Islandera”. Ship Channel, wyjaśnił Leonard George, nie różni się od innych łowisk, na których wyspiarze łowią łososia: ograniczony akwen zmuszał do połowu w zasięgu wzroku innych rybaków i poruszania się z wielką ostrożnością, w przeciwnym razie w nocnej mgle, typowej wczesną jesienią dla tych stron, można było wpłynąć w czyjąś sieć i zniszczyć ją, gdy wkręciła się w śrubę. Właśnie z powodu tej wymuszonej bliskości Leonard mógł dojrzeć między dwudziestą a dwudziestą trzydzieści — mimo mgły — oba kutry, „Susan Marie” i „Islandera”, na Ship Channel Bank. Przypominał sobie, że kiedy przepływał w pobliżu,

„Islander” zmieniał właśnie kurs, w dziesięć zaś minut później, gdy natknął się na „Susan Marie”, Carl Heine wyrzucał sieć, odpływając od światła sieciowego. Łowili, krótko mówiąc, na tym samym obszarze; Carl nieco dalej na północ w dole prądu, o niecały kilometr bliżej szlaków żeglugowych, od których Ship Channel Bank wzięł swą nazwę.

Nels Gudmundsson zapytał Leonarda George’a, czy jest rzeczą normalną, by łodzie rybackie stawały na morzu burtami do siebie.

— Zdecydowanie nie — odrzekł Leonard. — Właściwie nie ma powodów, żeby jeden miał przybijać do drugiego. Chyba że komuś zatrze się silnik i ktoś chce mu dostarczyć jakąś część; chyba tylko w takim wypadku, innej racji nie widzę. Może gdyby ktoś był ranny albo miał awarię, albo coś. Ale na ogół nie stajemy burta w burcie. Każdy robi swoje, patrzy swego.

— Czy rybacy na morzu się kłócą? — zapytał Nels. — Słyszałem, że podobno tak. Przynajmniej ci, którzy łowią sieciami skrzelowymi. Czy na morzu zdarzają się kłótnie, panie George?

— Też by nie! — prychnął Leonard. — Kiedy któregoś zakorkują, wtenczas...

— Zakorkują? — przerwał mu Nels. — Czy mógłby nam pan pokrótce wytłumaczyć, co to znaczy?

Leonard George wyjaśnił, że sieć skrzelowa jest tak skonstruowana, iż ma górę i dół. Dół sieci nazywa się podborą, czyli liną ciężarkową — wplata się w sieć bryłki ołowiu, żeby ją obciążyć — a góra nadborą, którą utrzymują na wodzie korkowe pływaki, toteż na powierzchni sieć skrzelowa wygląda jak lina z korka, ograniczona z jednej strony rufą kutra, z drugiej światłem ostrzegawczym. Kiedy jakiś rybak postawi sieć w górze prądu przed łodzią innego, „zakorkuje go”, czyli kradnie mu rybę, odławiając ją, zanim dopłynie do tego drugiego. Leonard powiedział, że stawia to „zakorkowanego” w kłopotliwej sytuacji: musi wybierać sieć, opływać takiego podkradacza i wyrzucać sieć gdzieś w górze prądu, a wtedy ten drugi — jako „zakorkowany” — może się zdecydować na przeskoczenie pierwszego i traci obaj czas na próżne podchody, zamiast łowić. A jednak nikt nie przybija do cudzej łodzi — podkreślił Leonard. To się po prostu nie zdarza; przynajmniej on o czymś podobnym nie słyszał. Człowiek patrzy swego, chyba że znalazł się w ciężkich tarapatach i potrzebuje pomocy.

Po porannej przerwie w rozprawie Alvin Hooks wezwał na świadka starszego sierżanta Victora Maplesa. Sierżant Maples miał na sobie zielony mundur wyjściowy i naszywki czwartej dywizji piechoty. Nosił odznakę strzelca wyborowego pierwszej klasy i baretki bojowe piechoty.



W mosiężnych guzikach kurtki jego munduru, w naszywkach na kołnierzyku i baretkach na piersi połyskiwały przyćmione światła sali rozpraw. Sierżant Maples miał co najmniej kilkanaście kilogramów nadwagi, a mimo to prezentował się pięknie. Zbędne kilogramy rozłożyły się na jego figurze w miarę równomiernie. Potężny ów mężczyzna, ostrzyżony na języka, miał krótkie, grube ręce, byczy kark i nalaną twarz niedorostka.

Starszy sierżant Maples wyjaśnił sądowi, że w roku 1946 został przydzielony do Fort Sheridan w stanie Illinois, gdzie zajmował się szkoleniem oddziałów szturmowych. Wcześniej szkolił żołnierzy w Camp Shelby w stanie Missisipi, a w latach 1944-1945 brał udział w kampanii włoskiej. Był ranny w bitwie nad rzeką Arno — niemiecka kula trafiła go w krzyż, o włos mijając kręgosłup — i został odznaczony Medalem Purpurowego Serca. Walczył również w Livorno oraz Lucianie i widział w akcji na Linii Gotyckiej 442 pułk, złożony z Amerykanów japońskiego pochodzenia, ten, do którego przydzielono oskarżonego.

Sierżant Maples wyszkolił w swoim czasie w walce wręcz tysiące żołnierzy. Walka wręcz stanowiła jego specjalność — wyjaśnił. Pracował również na innych odcinkach szkolenia podstawowego, ale w końcu trafił z powrotem na swoje poletko. Opowiedział sądowi o zaskoczeniu, jakie przeżył na początku 1943 roku, kiedy w Camp Shelby zaczął szkolenie 442 pułku, złożonego z żołnierzy pochodzenia japońskiego. Poborowi ci wyszli z obozów internowania, przeznaczono ich zaś do walki na europejskim teatrze wojny. W pamięci sierżanta Maplesa zapisał się szczególnie jeden z nich, oskarżony Kabuo Miyamoto.

Zapamiętał go — spośród tysięcy rekrutów, jacy przeszli przez jego ręce — z powodu pewnego... szczególnego incydentu. Któregoś popołudnia, gdzieś tak w lutym, otoczyło sierżanta Maplesa na placu musztry w Camp Shelby dziesięć drużyn rekrutów, złożonych z samych żołnierzy japońskiego pochodzenia, toteż wyjaśniając im tajniki posługiwania się bagnetem, stwierdził z niejakim zdumieniem, że otacza go setka skośnookich twarzy. Sierżant Maples objaśnił rekrutów o tym, że armia Stanów Zjednoczonych nie myśli szafować ich życiem, dopóki nie staną na polu bitwy, toteż podczas musztry prawdziwe bagnety zastąpią drewniane kije, ćwiczących będą ponadto obowiązywały hełmy.

Sierżant zademonstrował pchnięcia bagnetem, po czym poprosił o wystąpienie kogoś na ochotnika. To właśnie wtedy, oznajmił sądowi, stanął twarzą w twarz z oskarżonym Miyamoto. Z kręgu rekrutów wystąpił młody człowiek, skłonił się sierżantowi i dopiero potem zameldował się, salutując:

— Na rozkaz, panie sierżancie!

— Po pierwsze — pouczył go Maples — nie musisz mi salutować ani nazywać mnie panem. Jestem takim samym jak ty poborowym, zwykłym sierżantem, żadnym tam wyższym oficerem. Po drugie, w naszej armii nie obowiązują ukłony. Oficerom się salutuje, ale żeby się zaraz kłaniać? To nie po wojskowemu! W amerykańskiej armii takiego zachowania nie praktykujemy.

Sierżant Maples wręczył ochotnikowi drewniany kij i rzucił mu hełm ćwiczebny. W głosie tego rekruta zadźwięczał zaczepny ton, który nie uszedł uwagi sierżanta Maplesa. Coś mu się już obilo o uszy na temat tego młodzieńca, który zdążył zyskać sobie reputację wyjątkowo bitnego żołnierza, prawdziwego zabijaki, i z całą powagą podchodził do szkolenia. Maples zetknął się już z wieloma takimi zuchami, ale nigdy nie tchórzył przed ich młodzieńczą brawurą; rzadko kiedy czuł przed nimi respekt, nie zwykł traktować ich jak równych sobie.

— W prawdziwej walce twój przeciwnik nie będzie stał jak cztery litery — powiedział, patrząc w skośne oczy ochotnika. — Co innego dźgać kukłę czy worek, co innego trenować z wyszkolonym człowiekiem, który umiejętnie naśladuje ruchy żywego przeciwnika. W niniejszym ćwiczeniu — zwrócił się do zebranych rekrutów — obywatel ochotnik będzie próbował unikać pchnięć atrapą bagnetu, jakie za chwilę mu zadam.

— Tak jest, panie sierżancie! — zawołał Kabuo Miyamoto.

— Skończ wreszcie z tym „panem sierżantem”! — zezłościł się Maples. — Żebym tego więcej nie słyszał!

Wyznał następnie sądowi, jaki był zdumiony — wprost bezgranicznie zdumiony — kiedy okazało się, że nie jest w stanie oskarżonego trafić. Kabuo Miyamoto prawie się nie poruszał, a mimo to zdołał uniknąć wszystkich pchnięć bagnetu. Stu japońskich rekrutów przyglądało się temu w milczeniu, nie zdradzając sympatii dla żadnego z walczących. Sierżant Maples fechtował drewnianym kijem, dopóki Kabuo Miyamoto nie wytracił mu go z rąk.

— Przepraszam — powiedział. Przyklęknął, podniósł kij, podał go sierżantowi i ponownie mu się uklonił.

— Nie potrzebujesz mi się kłaniać! — warknął sierżant. — Już ci to raz mówiłem!

— Robię to z przyzwyczajenia — wyjaśnił Kabuo Miyamoto. — Przywykłem składać pokłon partnerowi, z którym ćwiczę.

A potem uniósł nagle swój drewniany kij i z lekkim uśmiechem spojrzął w oczy sierżantowi Maplesowi.

Sierżant Maples nie uchylił się przed nieuniknionym, podjął walkę. Trwała wszystkiego trzy sekundy. Zaraz za pierwszym wypadem sierżant został zbity z nóg i poczuł, jak koniec kija przygważdża mu głowę do ziemi. Po chwili kij się cofnął, oskarżony Miyamoto uklonił się sierżantowi i pomógł mu wstać.

— Przepraszam, panie sierżancie. Proszę, oto pańska broń, panie sierżancie — powiedział i podał sierżantowi kij.

Po tym doświadczeniu sierżant Maples nie omieszkiał skorzystać z okazji, żeby nauczyć się walki *kendo* od takiego mistrza. Nie był głupi — scharakteryzował tak sądowi samego siebie bez cienia ironii — i nauczył się od Miyamoto wszystkiego, czego tylko mógł, nawet znaczenia ukłonów. Z czasem sam został mistrzem i po wojnie uczył technik *kendo* komandosów w Fort Sheridan. Z punktu widzenia eksperta starej japońskiej sztuki walki na kije sierżant Maples stwierdzał, że oskarżony mógł bez wysiłku zabić rybacką osęką mężczyznę znacznie od siebie rosiejszego. Prawdę mówiąc, sierżant znał niewielu ludzi, którzy byliby w stanie obronić się przed atakiem Kabuo Miyamoto — mężczyzna, który nie przeszedł treningu *kendo*, miał znikome szanse powstrzymania takiego napastnika. Wedle doświadczenia sierżanta Maplesa Kabuo Miyamoto był nie tylko doskonale technicznie wyszkolonym kendoką, ale i człowiekiem skorym do posługiwania się przemocą. Jak wynika z jego akt, okazał się wybornym żołnierzem. Nie, sierżant Maples nie zdziwiłby się wcale, gdyby się dowiedział, że Kabuo Miyamoto zabił osęką człowieka. Był niewątpliwie zdolny do takiego czynu.

Kiedy zaczynał się proces Kabuo Miyamoto, Susan Marie Heine była wdową już od blisko trzech miesięcy, ale jeszcze do swojego nowego stanu nie przywykła i wciąż spędzała długie godziny — szczególnie nocą — na rozmyślaniu o Carlu, który odszedł z jej życia na zawsze. Na sali rozpraw siedziała między matką i siostrą, cała w czerni, w ocieniającej oczy, obszytej kordonkiem woalce. W żałobie było jej bardzo do twarzy, toteż reporterzy gazet spozierali ukradkiem w stronę urodziwej blondynki, pogrążonej w nastroju cichego przygnębienia, i zastanawiali się, czy byłoby rzeczą stosowną zamienienie z nią paru czulszych słów pod pozorem zawodowego zainteresowania. Grube włosy młodej wdowy były splecione w warkocz i upięte w koronę pod kapelusikiem, więc jej alabastrowa szyja, którą tak zawsze podziwiał Art Moran, kiedy Susan Marie częstowała go kawą na kościelnych zebraniach towarzyskich, bielą obnażoną przed oczami osób wypełniających salę rozpraw. Ta szyja, warkocz i białe dłonie, złożone skromnie na podołku, stanowiły jaskrawy kontrast z czarnym żałobnym strojem Susan Marie i nadawały młodej kobiecie wygląd obyczajnej niemieckiej baronowej, która co prawda straciła niedawno męża, lecz nie zapomniała w obliczu tego nieszczęścia o elegancji ubioru, choćby jego przeznaczeniem było przede wszystkim wyrażanie smutku. Od postaci Susan Marie bił zaś smutek prawdziwy. Ci, którzy ją lepiej znali, stwierdzali, że zmieniła się nawet jej twarz. Obserwatorzy mniej wnikliwi przypisywali tę zmianę utracie apetytu po śmierci męża (na policzkach pani Heine pojawiły się cienie); wnikliwsi dostrzegali w tym jednak głębszą zmianę, sięgającą duszy. Pastor z luterńskiego kościoła na First Hill przez cztery kolejne niedziele upraszał swych parafian, aby modlili się nie tylko za duszę Carla Heinego, ale i o „uwolnienie Susan Marie od rozpacz, którą koi jedynie czas”. Dla osiągnięcia tego drugiego celu kobiety z kościelnego koła pomocy przez miesiąc przynosiły Susan Marie i jej dzieciom gorące dania na fajansowych talerzach, natomiast Einar Petersen zadbał o dostarczanie do jej kuchni niezbędnych produktów spożywczych. Mieszkańcy wyspy dostawami żywności wyrażali młodej wdowie współczucie z powodu śmierci męża.

Alvin Hooks doskonale zdawał sobie sprawę z wartości, jaką przedstawia dla oskarżenia Susan Marie Heine. Powołał już na świadka koronera okręgowego, matkę ofiary oraz przygiętego do ziemi Szweda, od którego nieboszczyk zamierzał odkupić starą farmę ojca; przesłuchał kilku drugorzędnych świadków — Sterlinga Whitmana, Dale’a Middletona, Vance’a Cope’a, Leonarda George’a, sierżanta Victora Maplesa — a oto teraz miał zgłosić żonę zamordowanego, kobietę,

która oddała nieocenione usługi oskarżeniu dzięki temu jedynie, że zasiadała wśród publiczności i sędziowie mogli na nią patrzeć. Szczególnie męska część składu ławy przysięgłych nie byłaby skłonna skrzywdzić takiej niewiasty wydaniem wyroku uniewinnającego. Do skazania oskarżonego przekonywała ich nie tyle tym, co miała do powiedzenia, ile całą swoją osobą.

W czwartek po południu Kabuo Miyamoto stanął w progu jej domu i zapytał, czy może się widzieć z Carlem. Dzień dziewiąty września należał do rzadkich we wrześniu na San Pedro pogodnych dni; wyjątkowo tego roku trafiło się takich kilka z rzędu. Panowałby prawdziwy upał, gdyby nie rześki wiatr od morza, który targał na olchach listki, a nawet je strącał na ziemię, ucichał na chwilę, po czym zrywał się ze wzmożoną siłą, przynosił od morza woń soli oraz wodorostów i pobudzał drzewa do szelestu, głuszącego huk fal na plaży. Jeden z takich nagłych porywów szarpnął koszulę stojącego na ganku Kabuo Miyamoto, zadarł mu na szyi kołnierzyk i wydał rękawy, jakby nadmuchiwał balony. W następnej chwili zamarł i wzdęcia płótna opadły. Susan Marie poprosiła gościa, żeby wszedł do mieszkania i zaczekał w pokoju, a ona pójdzie zaraz poszukać męża.

Odniosła wrażenie, że Japończyk nie miał tego dnia ochoty wchodzić pod jej dach.

— Mogę poczekać na ganku, pani Heine — powiedział. — Jest ładna pogoda. Poczekam na dworze.

— Wykluczone! — zaprotestowała, usunęła się na bok i gestem zaprosiła przybysza do saloniku. — Proszę wejść i rozgościć się. Odpocznie pan trochę od tego słońca. W domu jest chłodno i przyjemnie.

Popatrzył na nią, zamrugał powiekami i zrobił krok do przodu.

— Dziękuję — powiedział. — Macie państwo piękny dom.

— Carl go sam zbudował — pochwaliła się Susan Marie. — Proszę, niech pan wejdzie i usiądzie.

Japończyk minął ją, skręcił w lewo i przysiadł na brzegu kanapy. Siedział sztywno wyprostowany, a zachowywał się tak oficjalnie, jakby sądził, że rozgoszczenie się w tym domu przyniosłoby mu ujmę. Ze starannością, która dla Susan Marie ocierała się o sztuczność, splótł dłonie i czekał.

— Pójdę poszukać Carla — oznajmiła gospodyni. — To długo nie potrwa.

— Świetnie. Dziękuję pani.

Zostawiła go samego. Carl z synami usuwał pędy malin na południowym skraju pola; ojciec wycinał suche pędy, chłopcy ładowali je na taczkę. Susan Marie stanęła u końca rzędu roślin i zawołała:

— Masz gościa, Carl! Przyszedł Kabuo Miyamoto. Czeka na ciebie.

Obrócili się wszyscy trzej w jej stronę. Nadzy do pasa chłopcy wydawali się maleńcy przy swoim ojcu, rudobrodym olbrzymie, który kuczał z nożem w ręku między ścianami malin.

— Kabuo? — Carl złożył nóż i wsunął go do pochwy u pasa. — Gdzie czeka?

— W saloniku. Chodź!

— Powiedz, że już idę! — Chwytał malców i posadził w taczce na stercie suchych pędów. — Uważajcie na kolce. Jedziemy!

Susan Marie wróciła do domu i poinformowała gościa, że jej mąż wkrótce nadejdzie; pracował w polu przy malinach.

— Nie miałby pan ochoty na filiżankę kawy? — spytała.

— Nie, dziękuję.

— To dla mnie żaden kłopot — zapewniła. — Proszę się napić.

— To bardzo uprzejmie z pani strony. Jest pani bardzo miła.

— Więc napije się pan? Mąż i ja mieliśmy się właśnie napić.

— Jeśli tak, zgoda. Dziękuję pani. Dobrze, chętnie się napiję.

Siedział na brzegu zniszczonej kanapy dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej Susan Marie zostawiła go przed kilkoma minutami. Bezruch gościa zaczynał jej działać na nerwy; miała go właśnie poprosić, żeby się oparł wygodniej i poczuł jak u siebie w domu, kiedy do pokoju wszedł Carl. Kabuo Miyamoto wstał.

— Serwus — przywitał go Carl. — Siemasz, Kabuo.

— Siemasz, Carl.

Podali sobie ręce. Mąż Susan Marie był o pół głowy wyższy od Japończyka — barczysty brodacz o szerokiej piersi, opiętej przepoconym podkoszulkiem.

— Co byś powiedział, gdybyśmy wyszli na dwór i przeszli się po polu? — zapytał. — Lepiej nie siedzieć w domu przy takiej pogodzie.

— Zachęcająca propozycja — przytaknął Miyamoto. — Chętnie się przejdę.

Carl obejrzał się na żonę.

— Wychodzimy na chwilę — oświadczył. — Niedługo wrócimy. Idziemy się przejść.

— Dobrze. Zaparzę tymczasem kawę.

Po wyjściu obu mężczyzn Susan Marie weszła na górę, żeby sprawdzić, jak się miewa jej najmłodsza pociecha. Gdy pochyliła się nad łóżeczkiem, owiał ją ciepły oddech śpiącej dziewczuszki. Potarła nosem policzek córeczki. Przez okno widziała synów, bawiących się na podwórku. Siedzieli na trawie obok przewróconej taczki i wiązali supły na wyrwanych pędach malin.

Susan Marie wiedziała, że Carl rozmawiał z Ole Jurgensenem i wpłacił zaliczkę za jego farmę w Island Center, wiedziała, jak mu zależało na odzyskaniu ojcowizny i jak marzył o uprawie truskawek. Mimo to nie miała najmniejszej ochoty wyprowadzać się z domu przy Mili Run Road, bo lubiła jego bursztynowe światło, lakierowane sosnowe deski, odsłonięte belki więźby dachowej w pokoju na pięterku i widok na morze, jaki się rozciągał nad poletkiem malinowych krzewów. Patrząc teraz na te pola przez okno pokoju córeczki, uświadomiła sobie jeszcze wyraźniej niż dotąd, że nie pragnie się stąd ruszać. Jej ojciec uprawiał zboże i wyrabiał gont, lecz z trudem wiązał koniec z końcem. Ona sama narąbała w życiu tysiące deszczulek; blond włosy spadały jej na oczy, gdy pochylała się nad cedrowym pniem z toporkiem i klinem. Pamiętała, jak jej młodsza siostra (Susan Marie była średnią z trzech córek) umarła pewnej zimy na gruźlicę; pochowali ją na wzgórzu Indian Knob w luterańskiej części cmentarza. Ziemia była zmarznięta na grudę i mężczyźni srodze się namęczyli, zanim udało im się wykopać grób Ellen. Zajęło im to prawie całe grudniowe przedpołudnie.

Susan Marie poznała Carla Heinego, bo zapragnęła go poznać. Na wyspie San Pedro dziewczyna z jej urodą mogła sobie na taki krok pozwolić, jeśli tylko przystąpiła do rzeczy z należytą skromnością. Susan Marie miała dwadzieścia lat i pracowała jako sprzedawczyni za dębowym kontuarem w aptece Larsena. Pewnego sobotniego wieczoru, pół godziny przed północą, na wzgórzu nad pawilonem tanecznym w West Port Jensen stała pod koroną cedrowych gałęzi, a dłonie Carla, mocne dłonie rybaka, pieściły jej piersi pod bluzką. Las był oświetlony lampionami, a nisko w dole, widoczne w prześwitach między drzewami, migotały światła pokładowe zacumowanych w zatoce statków wycieczkowych. W ich blasku, docierającym aż do miejsca, w którym stali, dziewczyna mogła widzieć twarz Carla Heinego. To była ich trzecia wspólna potańcówka i Susan Marie wiedziała już na pewno, że bardzo jej się podoba twarz tego młodzieńca, duża, ogorzała, budząca zaufanie. Ujęła ją teraz w dłonie i przyjrzała się z bliska

znajomemu obliczu krajana z wyspy, dobrze znanemu, a jednak tajemniczemu. Nic dziwnego, ostatecznie Carl wrócił z wojny.

Zaczął całować jej szyję, więc dziewczyna musiała odchylić głowę, żeby zrobić miejsce dla warg tego ryżego brodacza. Spoglądała w gałęzie cedrów i wdychała ich zapach, a młodzieniec całował jej obojczyki, a potem bruzdę między piersiami. Susan Marie pozwoliła mu na to; dotąd pamiętała, że pozwoliła nie przez rezygnację, jak to się zdarzyło z tamtymi dwoma chłopcami — pierwszym pod koniec klasy maturalnej, drugim latem poprzedniego roku — ale dlatego, że w skrytości ducha pragnęła gorąco, żeby ją całował ten brodaty rybak, weteran wojenny, który czasami, gdy bardzo nalegała, opowiadał, rzeczowo i bez ubarwiania, o swoich przeżyciach.

Głaskała go po włosach, a na piersiach czuła dziwne łaskotanie kłaczkowatej brody.

— Carl! — wyszeptwała i poprzestała na tym, bo nic innego nie przychodziło jej do głowy.

Potem przestał ją całować, oparł się rękami o pień cedru za plecami Susan Marie, zamykając jej głowę z obu stron muskularnymi ramionami, przez jakiś czas przyglądał się dziewczynie z czułością i powagą, bez śladu zawstydzenia, założył jej za ucho pasemko blond włosów, pocałował w usta, a potem — wciąż patrząc jej w oczy — rozpiął dwa guziczki bluzki i znowu ją zaczął całować, przyciskając delikatnie do drzewa, a ona napała na niego miednicą, czego nigdy wcześniej nie odważyła się zrobić z żadnym mężczyzną. To wyznanie, ujawnienie pożądania przejęło ją samą najgłębszym zdumieniem.

Nie była jednak bynajmniej zaskoczona tym, że w wieku dwudziestu lat przyciska się do Carla Heinego pod cedrem na wzgórzu nad pawilonem tanecznym w West Port Jensen. Ostatecznie sama do tego doprowadziła, sama to spowodowała. Już mając siedemnaście lat odkryła, że działa na mężczyzn, a zawdzięcza tę zdolność swemu wyglądowi. Patrząc w lustro stwierdzała, że rozwinęły jej się piersi i biodra ponętnej, dojrzałej kobiety. Początkowe zdumienie tymi zmianami własnego ciała szybko ustąpiło miejsca rozradowaniu. Przybyło jej jędrnych krągłości, a gdy wkładała kostium kąpielowy, na obnażone barki spadały lśniące pukle jasnych włosów. Piersi tylko nieznacznie odchyłały się jedna od drugiej i ocierały o wewnętrzne strony ramion, kiedy szła. Urosły duże, a gdy minęło pierwsze zawstydzenie ich rozmiarem, dziewczyna zaczęła znajdować przyjemność w tym, że chłopcy w jej obecności wyraźnie się peszyli. Mimo to Susan Marie nigdy nie flirtowała ani nie zdradzała się ze świadomością własnej urody. Przed poznaniem Carla chodziła z dwoma chłopcami, żądała jednak, aby zachowywali się



przyzwoicie i powściągliwie. Nie chciała, żeby ją kojarzono głównie z parą piersi, ale z drugiej strony była dumna ze swego wyglądu. Zachowała tę dumę do wieku dwudziestu pięciu lat, kiedy urodziła drugie dziecko i piersi przestały być dla niej tak ważne jako najbardziej rzucające się w oczy punkty jej erotycznego powabu. Dwaj synowie wymiętosili je dżiastami i wargami, więc nabrała do własnych piersi innego stosunku. Zaczęła nosić biustonosze z wszytym u dołu drucianym usztywniaczem, aby podtrzymywały ich obfite kształty.

Już w trzy miesiące po ślubie zyskała pewność, że szczęśliwie wybrała sobie męża. Carl był milczący i poważny, typowy wojenny weteran, a przy tym odpowiedzialny i delikatny. Nocami wypływał na połów; wracał do domu o świcie, zjadał śniadanie, brał prysznic, po czym kładli się razem do łóżka. Dłonie miał gładkie, bo wyszorowane pumeksem, więc choć należały do silnego rybaka, ich dotyk był bardzo przyjemny. W blasku słońca, prześwitującego przez zaciągnięte zasłony, młodzi małżonkowie wypróbowali wszystkie pozycje miłosne po kolei. Susan Marie stwierdziła, że poślubiła mężczyznę, który jako kochanek dążył przede wszystkim do zaspokojenia partnerki. Wsłuchiwał się w mowę jej ciała i gdy stawała na granicy rozkoszy, hamował swe ruchy, by ją tym bardziej rozpalic. Susan Marie przewracała go wtedy na plecy, okraczała biodra i kołysała się z odrzuconą w tył głową, a on, napięciem mięśni brzucha unosząc tułów, całował i pieścił jej piersi. Często w tej właśnie pozycji osiągała orgazm, kontrolując własne doznania, przesuwając się w górę i w dół na członku Carla, który starał się powściągać wytrysk aż do momentu, gdy ona szczytowała, czym sprawiał, że po orgazmie nie miała dosyć i dążyła do następnego, czego pastor kościoła luterńskiego z First Hill nie mógłby ani pochwalić, ani zganić, ponieważ — Susan Marie była tego pewna — nie miał pojęcia, że podobne przeżycia są w ogóle możliwe.

Carl spał do pierwszej po południu, potem się posilał i wychodził do pracy w gospodarstwie. Był uszczęśliwiony, kiedy mu powiedziała, że jest w ciąży. Nie przestali się kochać, dopóki nie zabroniła mu tego na początku dziewiątego miesiąca. W jakiś czas po przyjściu na świat ich pierworodnego syna Carl kupił łódź rybacką. Nazwał ją imieniem żony, czym sprawił jej wielką przyjemność. We trójkę wypłynęli na zatokę i tak długo płynęli na zachód, aż wyspa San Pedro skurczyła się do rozmiarów czarnej kreseczki na horyzoncie. Siedząc na koi, Susan Marie karmiła syna i przyglądała się głowie stojącego za kołem sterowym męża, jego krótko przystrzyżonym, zmierzwionym włosom, umięśnionym plecóm i szerokim barkóm. Potem zjedli puszkę sardynek, dwie gruszki i torebkę orzeszków laskowych. Kiedy

niemowlę zasnęło na koi, Susan Marie sama przejęła ster. Carl stanął za nią i zaczął pieścić jej ramiona, plecy, a w końcu pośladki. Mocniej ścisnęła koło, gdy uniósł jej spódnicę i zsunął majtki, a potem zamknęła oczy, pochyliła się, wyciągnęła za siebie ręce i gładziła biodra męża, kołysząc się w przód i w tył.

Takie chwile najżywiej utkwily jej w pamięci, doszła więc do przekonania, że ich małżeństwo opierało się głównie na seksie. Łączyło ich przede wszystkim łóżko, co niekiedy napełniało Susan Marie niepokojem. Czy ich małżeństwo przetrwa, jeśli coś się popsuje w tych sprawach? Co będzie, gdy się postarzeją, gdy ich namiętność wystygnie, gdy osłabnie i wygaśnie wzajemne pożądanie? Susan Marie wolała o tym nie myśleć, nie zastanawiać się, co będzie, gdy pewnego dnia z jej męża zostanie tylko pracowity milkliwy ponurak.

Patrzyła, jak Carl i Kabuo Miyamoto idą skrajem pola, a potem znikają jej z oczu za wyniosłością pagórka. Pochyliła się nad łóżeczkiem córeczki, pogłaskała ją po włoskach, tak ślicznych i aksamitnych w dotyku, po czym zeszła na dół.

Po dwudziestu minutach Carl wrócił do domu sam jeden; przebrał się w świeży podkoszulek, ukucnął na ganku i objął głowę rękami.

Susan Marie wyniosła na ganek dwie filiżanki kawy i usiadła po prawej stronie męża.

— Czego chciał? — zapytała.

— Właściwie niczego. Mieliśmy parę spraw do obgadania. Nic ważnego. Takie tam drobiazgi.

Susan Marie podała mu filiżankę.

— Gorąca — ostrzegła. — Uważaj.

— Dziękuję.

— Dla niego też zrobiłam. Myślałam, że zostanie.

— Chodziło naprawdę o drobiazg. Zresztą to długa historia.

Susan Marie objęła męża.

— O co chodzi? — spytała.

— Nic takiego — odparł z westchnieniem. — Kabuo chce dostać siedem akrów z tej działki Jurgensena. Miałbym się zgodzić, żeby Ole jemu je sprzedał albo żeby ja sam mu je odsprzedał. Żeby mu je odstąpił, rozumiesz.

— Siedem akrów?

— Tych, które kiedyś uprawiała jego rodzina. Chce je odzyskać. To ta sprawa, o której furt mówi moja matka.

— A! Takie też miałam przeczucie, kiedy go tu zobaczyłam. Więc o to chodzi... — zakończyła chmurnie.

Carl milczał. Powściągliwość w podobnych sytuacjach była dlań typowa. Nie lubił niczego wyjaśniać ani długo się nad czymś rozwodzić; w ogóle miał w duszy zakamarki dla Susan Marie niedostępne. Przypisywała to przeżyciom wojennym i godziła się na ogół z tą milkliwością męża, ale czasem ją ona drażniła.

— I coś mu powiedział? — spytała. — Czy odszedł stąd zagniewany, Carl?

Odstawił filiżankę i wsparł się łokciami na kolanach.

— Licho by to wzięło! — burknął. — A co mu miałem powiedzieć? Muszę się liczyć z moją matką, przecież ją znasz. Gdybym mu odstąpił ten kawałek... — Wzruszył ramionami i sposepniał. Susan Marie dostrzegła zmarszczki, jakie morski wiatr wyrzeźbił w kącikach jego niebieskich oczu. — Powiedziałem mu, że będę się musiał nad tym zastanowić, z tobą się naradzić. Powiedziałem mu też, że moja matka się go boi. Boi się jego spojrzeń spode łba. Aż złodowaciał, gdy to ode mnie usłyszał. Był nadal uprzejmy, ale zrobił się zimny jak lód. Unikał mojego wzroku. Odmówił, kiedy poprosiłem, żeby zaszedł do nas na kawę. Może go uraziłem? Sam nie wiem... Wygląda na to, że znaleźliśmy się w kropce. Nie byłem w stanie szczerze z nim pogadać, Susan. Po prostu nie wiedziałem, jak się do tego zabrać, co mu powiedzieć...

Susan Marie domyśliła się, że Carl ma jeden ze swoich złych momentów, więc po namyśle zmilczała. Nigdy nie miała pewności, czy Carl i Kabuo są przyjaciółmi czy wrogami. Tego dnia po raz pierwszy widziała ich razem i odniosła wrażenie, że przetrwała między nimi jakaś doza serdeczniejszych uczuć, że po latach zachowali przynajmniej wspomnienie dawnej przyjaźni, choć pewności w tej mierze mieć, prawdę mówiąc, nie mogła. Niewykluczone, że ich zażyłość i uściski rąk były jedynie wyrazem zwykłej powierzchownej ogłady, a w głębi duszy nienawidzili jeden drugiego. Susan Marie wiedziała tylko tyle, że matka Carla szczerze nie cierpiała rodziny Miyamoto; często o nich mówiła przy stole podczas niedzielnych obiadów, miała na ich punkcie wręcz obsesję. Carl zwykle zapadał w takich momentach w milczenie bądź też zgadzał się z matką na odczepnego, a potem starał się zmienić temat. Susan Marie przywykła z czasem do tych uników męża i jego niechęci do omawiania tej sprawy; przywykła, ale nie

przestała nad tym boleć. Chętnie wyjaśniłaby tę drażliwą kwestię, kiedy nadarzyła się okazja i siedzieli na ganku jedynie we dwoje.

Zerwał się wiatr, zatargał wierzchołkami olch i owiał Susan Marie niezwykłym w jesieni gorącem. Carl wyznał jej parę razy — powtórzył to nie dalej jak kilka dni temu — że po powrocie z wojny miewa trudności z mówieniem. Odnosiło się to nawet do jego dawnych przyjaciół, toteż w końcu stał się odludkiem, który lepiej się czuje na roli i na morzu niż wśród ludzi, lepiej rozumie parę własnych rąk niż język i serce. Susan Marie ogarnęło współczucie dla męża, pogłaskała go czule po ramieniu i cierpliwie czekała.

— Ja wiem — mruknął po chwili — że jeśli o ciebie chodzi, mógłbym mu odstąpić cały ten kawał ziemi i niech sobie robi, co chce. Domyślam się, że nie masz żadnej ochoty się tam przenieść.

— Tu jest tak pięknie, Carl! Rozejrzyj się tylko dokoła!

— Wolę się tam rozglądać. Chodzi o sześćdziesiąt pięć akrów ziemi, Susan!

Dobrze go rozumiała. Należał do ludzi, którzy potrzebują rozległych przestrzeni, żeby rozwinąć skrzydła. Ostatecznie dorastał jako syn rolnika; morze, choć bezkresne, nie mogło mu zastąpić zielonych pól. Potrzebował przestrzeni większej niż pokład łodzi; niewykluczone też, że zapomniałby o wojnie — o zatopieniu „Cantona”, o tonących na jego oczach kolegach — gdyby na dobre porzucił kuter i zaczął, jak ojciec, uprawiać truskawki. Susan Marie przeczuwała, że to najlepsza kuracja na przygnębienie jej męża, i dlatego skłonna była, mimo wszystko, przenieść się z nim w głąb wyspy.

— Przypuśćmy, że sprzedałbyś mu te siedem akrów — powiedziała. — Czy twoja matka urządziłaby aż tak straszne piekło?

Pokręcił stanowczo głową.

— Tu naprawdę chodzi nie tylko o nią. Rzecz w tym, że Kabuo jest Japończykiem. Generalnie nie czuję nienawiści do Japońców, ale też nie powiem, żebym za nimi przepadał. Nie umiem tego lepiej wytłumaczyć... Fakt pozostaje jednak faktem: Kabuo jest Japończykiem.

— Nieprawda! — zaoponowała. — Tobie nie o to chodzi, Carl. Sama słyszałam, jak się o nim dobrze wyrażałeś. Ostatecznie byliście przyjaciółmi...

— Byliśmy — powtórzył z naciskiem — ale to było dawno. Przed wojną. Dziś już nie czuję do niego sympatii. Nie podobała mi się jego reakcja na moje oświadczenie, że będę się

musiał zastanowić nad jego propozycją. Jakby się spodziewał, że mu po prostu oddam te siedem akrów, albo uważał, że jestem mu je winien, albo...

Zza domu doleciał ich płacz syna, wyraźnie sygnał bólu, a nie sprzeczki między braćmi czy złości. Zanim Susan Marie zdążyła się podnieść, Carl już biegł w tamtą stronę. Chłopiec leżał na ziemi i trzymał się rękami za lewą stopę. Rozciął ją sobie na ostrej krawędzi przewróconej taczki. Susan Marie przyklękła, obsypywała pocałunkami twarz synka i tuliła go do siebie. Przypomniała sobie, jak jej mąż się zmienił, gdy troskliwie oglądał krwawiącą nogę chłopca; nagle przestał przypominać weterana wojennego. Zawieźli chłopca do doktora Whaley'a, a potem Carl, jak co dnia, wypłynął na połów. Nie rozmawiali więcej o Kabuo Miyamoto; Susan Marie miała wkrótce stwierdzić, że i ten temat stał się w ich małżeństwie tematem zakazanym, bo w ogóle miała zakaz otwierania ran Carla i opatrywania ich, chyba że sam poprosił.

Po śmierci męża zrozumiała jasno, że ich małżeństwo stało seksem. Tak było aż do końca, do dnia, gdy odszedł z jej życia na zawsze; rano, gdy dzieci jeszcze spały, zamknęli na zasuwkę drzwi łazienki i rozebrali się do naga. Carl wszedł pod prysznic, a kiedy zapach łososi spłynął do kanalizacji, Susan Marie dołączyła do męża. Myła jego potężnego członka i czuła, jak tężeje w jej palcach. Potem zawisała mężowi na szyi i zaplotła nogi na jego plecach. Carl uniósł ją, podjawszy krzepko pod uda, pochylił głowę i zaczął całować jej piersi. Kochali się stojąc w wannie pod strumieniem wody; blond włosy lepiły się do twarzy Susan Marie, a jej ramiona oplatały głowę męża. Potem umyli jedno drugie, bez pośpiechu, przyjaźnie, jak niektóre dobre małżeństwa, po czym Carl położył się do łóżka i spał do pierwszej po południu. O drugiej zjadł lunch, złożony z sadzonych jajek, karczochów, konserwowych gruszek i chleba z miodem z koniczyny. Potem poszedł zmienić olej w traktorze. Susan Marie widziała go z okna w kuchni: zbierał do jutowego worka wczesne spady spod jabłoni. Za kwadrans czwarta wrócił do domu, pożegnał się z dziećmi — siedziały na ganku, popijały sok z jabłek, pogryzały sucharki i bawiły się w toczenie kamyków — potem wszedł do kuchni, objął żonę i powiedział, że jeśli połów nie okaże się wyjątkowo dobry, wróci do domu wcześniej rano, być może jeszcze przed czwartą. A potem pojechał do portu w Amity Harbor i więcej go nie zobaczyła.

Nels Gudmundsson stanął w pewnej odległości od miejsca dla świadka, gdy przyszła jego kolej zadawania pytań Susan Marie Heine: nie chciał wyjść na lubieżnika, zbliżając się za blisko do niewiasty o tak tragicznej, porywającej urodzie. Był przeczulony na punkcie swego wieku i sądził, że przysięgli uznaliby go za odrażającego starego satyra, gdyby nie trzymał się na stosowny dystans od pięknej wdowy i ośmielił się zdradzić czymkolwiek, że jest jeszcze czuły na cielesne powaby. Miesiąc wcześniej pewien lekarz w Anacortes oznajmił Nelsowi, że jego gruczoł krokowy znacznie się powiększył, więc trzeba go będzie usunąć; niestety, po takiej operacji pacjent przestanie produkować płyn nasieniowy. Lekarz zadawał Nelsowi różne krępujące pytania i biedak chcąc nie chcąc musiał odkryć przed nim prawdę, której się bardzo wstydził: że nie jest już mianowicie w stanie osiągnąć erekcji. Udawało mu się to jedynie sporadycznie, ale członek i tak wiądnął mu zaraz w dłoni, zanim zdążył zaznać przyjemności. Jego prawdziwą troską była jednak nie tyle impotencja, ile fakt, że w obecności niewiast takich jak Susan Marie wpadał w głębokie przygnębienie. Taksując ją wzrokiem, gdy siedziała na miejscu dla świadka, poczuł się jak człowiek z kretesem przegrany. Nie mógł już zachwalić żadnej kobiecie — nawet dawnym znajomym i rówieśniczkom — swoich walorów kochanka, ponieważ takowych najzwyczajniej w świecie nie miał. Musiał wreszcie przyznać uczciwie sam przed sobą: jako kochanek na dobrą sprawę już nie istniał.

Patrząc na Susan Marie Heine przypomniał sobie najlepsze lata swojej erotycznej aktywności, od których dzieliło go już — wręcz nie do wiary! — pół wieku z okładem. Obecnie miał siedemdziesiąt dziewięć lat i tkwił niczym w pułapce w jakimś obcym, rozsypującym się ciele. Miał kłopoty ze snem i oddawaniem moczu. Jego ciało go zdradziło i większość czynności, które niegdyś przyjmował jako oczywiste, znajdowało się całkowicie poza jego zasięgiem. Taka niedołężność potrafi przyprawić człowieka o zgorzknienie, Nels przyjął jednak zasadę, żeby nie toczyć niepotrzebnych bojów z nieuniknionymi prawami życia. Prawdę mówiąc, osiągnął coś w rodzaju mądrości — gdyby ktoś chciał to koniecznie określić tym słowem — choć zdawał sobie jednocześnie sprawę, że większość starych ludzi wcale nie grzeszy mądrością, nosi jedynie cienką warstwę ochronną z tanich banałów, rodzaj zbroi przeciw światu. Tego rodzaju mądrości, jakiej młodzi zwykle szukają u starych, nie można zresztą w ogóle osiągnąć w tym

życiu, choćby się żyło sto i więcej lat. Nels chętnie podzieliliby się z młodymi tą wiedzą, gdyby nie obawa, że go to narazi na drwiny lub wzbudzi ich litość.

Żona Nelsa zmarła na raka okrężnicy. Nie żyli ze sobą najlepiej, a mimo to odczuwał jej brak. Bywało, że siedział w mieszkaniu i płakał, chcąc się uwolnić od nadmiaru żalu i wyrzutów sumienia. Co jakiś czas próbował się onanizować — bez powodzenia zresztą — w nadziei, że zdobędzie na nowo tę zapomnianą już część samego siebie, nad której utratą głęboko bolał i za którą tęsknił. W rzadkich chwilach optymizmu ogarniało go przekonanie, że mu się jeszcze powiedzie, łudził się nadzieją, że jego młodość leży wciąż pogrzebana w głębi zgrzybiałego ciała. Na ogół jednak godził się z myślą, że młodość minęła bezpowrotnie, i oddawał się na pocieszenie różnego rodzaju zajęciom, które jednak prawdziwej pociechy mu nie przynosiły. Lubił jeść, lubił grać w szachy. Nie czuł niechęci do swojej pracy i miał świadomość, że wykonuje ją wcale nieźle. Był pozeraczem słowa drukowanego, choć skądinąd uznawał swój nawyk czytania za obsesyjny, wręcz neurotyczny; często też powtarzał sobie, że gdyby czytywał rzeczy mniej powierzchowne od gazet i magazynów, większą odniósłby z lektury korzyść. Niestety, nie potrafił się skoncentrować na prawdziwej „literaturze”, choć szczerze jej dzieła podziwiał. Nie chodziło nawet o to, że na przykład *Wojna i pokój* go nudziła, raczej o to, że nie potrafił skupić na fabule uwagi. Kolejny objaw zniedołężnienia: oczy dostarczały mu połowicznego tylko obrazu świata, a czytanie pobudzało jedynie neurastenię, sprawiając, że wzmagало się pulsowanie w skroniach. Czuł ponadto, że i umysł go zawodzi — choć tego akurat nikt sam ocenić nie potrafi. Niewątpliwie pamięć nie służyła mu już tak jak za młodych lat.

Obrońca wsunął kciuki pod szelki i z przesadną obojętnością przyjrzał się świadkowi.

— Pani Heine — zaczął. — Obecny tu oskarżony stanął w drzwiach pani domu we czwartek dziewiątego września, czy tak? Tak pani zeznała, jeśli się nie mylę?

— Nie myli się pan, panie Gudmundsson. Istotnie tak było.

— I chciał rozmawiać z pani mężem?

— Tak.

— Dla odbycia zaś tej rozmowy wyszli na dwór, nie przeprowadzili jej w domu?

— Zgadza się — przytaknęła Susan Marie. — Rozmawiali na dworze. Przez jakieś trzydzieści, czterdzieści minut, przechadzając się po naszym polu.

— Rozumiem. Pani im nie towarzyszyła?

— Nie.

— Czy słyszała pani jakiś fragment tej rozmowy?

— Nie.

— Inaczej mówiąc, nie poznała pani bezpośrednio jej treści, zgadza się, pani Heine?

— Wiem tylko tyle, ile mi powtórzył mąż. Nie, nie słyszałam ich rozmowy na własne uszy, to prawda.

— Dziękuję pani. Przyznaję bowiem, że nie dawało mi to spokoju. Zastanowiło mnie mianowicie, iż złożyła pani zeznania dotyczące tej rozmowy, nie usłyszawszy na własne uszy ani jednego z niej słowa.

Skubiąc fałdę skóry na podbródku, Nels Gudmundsson łypnął zdrowym okiem w stronę Lew Fieldinga. Sędzia, który podpierał głowę ręką, ziewnął i z obojętną miną odwzajemnił jego spojrzenie.

— A zatem — podjął Nels — podsumujmy fakty, pani Heine.

Pani małżonek i oskarżony Kabuo Miyamoto spacerowali i rozmawiali, a pani została w domu. Zgadza się?

— Tak.

— Po trzydziestu, czterdziestu mniej więcej minutach mąż pani wrócił do domu, czy tak?

— Tak, istotnie.

— Zapytała go pani o treść rozmowy z oskarżonym?

— Tak.

— Na co odpowiedział, że rozmawiali o wspomnianym już kawałku ziemi, tym, który pani teściowa sprzedała Ole Jurgensenowi przed dziesięcioma z górą laty, tym, na którym kiedyś stał dom rodzinny oskarżonego. Czy to, co przed chwilą powiedziałem, jest zgodne z prawdą, pani Heine?

— Tak, to prawda.

— Państwo wpłaciliście wcześniej zadatek na poczet zakupu tej ziemi, czy tak, proszę pani?

— Tak. Mój mąż go wpłacił.

— Policzmy zatem: w poniedziałek, szóstego września, wypadła Dzień Pracy, we wtorek, siódmego, pan Jurgensen wystawił swoją ziemię na sprzedaż... czy to zatem we środę, ósmego września, pani mąż podpisał umowę kupna posiadłości pana Jurgensena?

— Na to wygląda — przyznała Susan Marie. — To musiało być w środę ósmego.



— Oskarżony zaś odwiedził państwa następnego dnia? We czwartek, dziewiątego września?

— Tak.

— Doskonale! — ucieszył się Nels Gudmundsson. — Zeznała pani, że po południu dziewiątego września oskarżony zjawił się u państwa w domu, a potem obaj z pani mężem spacerowali i rozmawiali, ale pani nie była przy tej rozmowie obecna. Czy dobrze to zrozumiałem, pani Heine?

— I owszem.

— Po odejściu oskarżonego — ciągnął Nels — pani i mąż usiedliście na ganku, żeby porozmawiać?

— Tak.

— I mąż pani objawił wówczas niechęć do wyjawienia treści swojej rozmowy z oskarżonym?

— Istotnie.

— Nalegała pani na to?

— Tak.

— On zaś poinformował panią tylko, że zgłosił oskarżonemu gotowość przemyślenia całej sprawy? Obiecał zastanowić się nad tym, czy sprzedać owe siedem akrów, czy też ich nie sprzedawać, czy tak? Bądź też wyrazić zgodę na sprzedanie tej działki panu Miyamoto bezpośrednio przez pana Ole Jurgensena?

— Tak.

— Wyraził też pani swoją obawę dotyczącą reakcji jego matki na sprzedaż przezeń ziemi oskarżonemu? Czy dobrze panią zrozumiałem, pani Heine?

— Owszem.

— Mimo to pani mąż rozważał kwestię sprzedaży?

— Tak.

— I dał to oskarżonemu do zrozumienia?

— Tak.

— Innymi słowy, pan Miyamoto opuszczał dziewiątego września posiadłość państwa usłyszawszy od małżonka pani, że w najgorszym razie istnieje możliwość, iż sprzeda mu on owe siedem akrów, czy tak?

— Istotnie.

— Czy mąż powiadomił panią, że ośmielił pana Miyamoto, by wierzył w taką możliwość?

— Ośmielił? — zdziwiła się Susan Marie. — Nic mi o tym nie wiadomo.

— Ujmę to więc inaczej — rzekł Nels. — Mąż pani nie wyraził stanowczej odmowy na propozycję oskarżonego? Nie oświadczył mu, by nie żywił nawet nadziei na odzyskanie ziemi, należącej niegdyś do jego rodziny?

— Istotnie nie.

— Inaczej mówiąc, ośmielił pana Miyamoto, by ów wierzył, że w najgorszym razie istnieje taka możliwość.

— Tak się domyślam.

— Przypuszczam, że jest pani zdana na domysły, pani Heine, skoro nie była pani obecna przy ich rozmowie i opowiedziała sądowi tylko to, co usłyszała od męża. Czyli słowa niekoniecznie w stu procentach prawdziwe, jeśli wziąć pod uwagę, iż mąż pani zdawał sobie sprawę z pani niechętnego stosunku do perspektywy przeprowadzki, jak to pani nam sama wyznała, mógł więc w zmienionym świetle przedstawić ton i treść swojej rozmowy z panem Miyamoto...

— Sprzeciw! — zawołał Alvin Hooks. — obrońca snuje spekulacje!

— Podtrzymuję sprzeciw — oświadczył sędzia. — Proszę nie puszczać wodzy fantazji, panie Gudmundsson. Pańskim zadaniem jest zadawanie świadkowi pytań odnoszących się bezpośrednio do jego zeznań. Powinien się pan powstrzymywać od wszelkich spekulacji... ale pan to przecież doskonale wie. Proszę kontynuować.

— Przepraszam, Wysoki Sądzie — pokajał się Nels. — Poprawię się. Proszę o wybaczenie, pani Heine. Pani mąż i oskarżony, jeśli dobrze zrozumiałem, dorastali razem jako chłopcy?

— O ile wiem, tak.

— Czy mąż pani wspominał kiedykolwiek o Kabuo Miyamoto jako o swoim sąsiedzie, koledze z dzieciństwa?

— Owszem.

— Czy opowiadał pani, jak chodzili razem na ryby, kiedy mieli po dziesięć, jedenaście lat, grali w szkole średniej w tej samej drużynie baseballowej i futbolowej, przez kilka lat jeździli tym samym szkolnym autobusem? Czy snuł przed panią tego rodzaju wspomnienia, pani Heine?

— Chyba tak — przytaknęła Susan Marie.

— Hmm — mruknął Nels, pociągnął się za fałdę skóry na szyi i podniósł wzrok do sufitu. — Pani Heine — podjął po chwili — wspomniała pani w swoich zeznaniach o „złych spojrzeniach”, jakimi pan Miyamoto miał podobno obrzucać teściową pani. Czy pani pamięta?

— Tak.

— Nie wspomniała pani natomiast, by oskarżony spoglądał spode łba na panią. Czy się nie mylę? Dobrze to zapamiętałem?

— Nie, nie myli się pan.

— Ani na pani męża? Nie powiedziała pani, by spoglądał spode łba na pani męża, prawda? A może na te „złe spojrzenia” skarżyła się wyłącznie pani teściowa?

— Nie mogę odpowiadać za żadne z nich — odrzekła Susan Marie. — Nie siedziałam w ich skórze.

— Oczywiście, że nie — zgodził się z nią Nels. — Nie mam też najmniejszego zamiaru żądać, by przemawiała pani w ich imieniu. Tyle tylko, że wcześniej... czy aby nie wtedy, kiedy zadawał pani pytania szanowny pan prokurator?... była pani uprzejma oświadczyć coś w tym guście, pani Heine. Pomyślałem, że spróbuję przy okazji upiec własną pieczeń...

Uśmiechnął się niewinnie.

— Dość — przerwał mu sędzia Fielding. — Wystarczy, panie Gudmundsson. Albo zadaje pan pytania, albo proszę natychmiast siadać.

— Panie sędzio — replikował Nels. — Pragnę podnieść, że dopuszczono tu sporo dowodów ze słyszenia.

— I owszem — przyznał sędzia. — Niemało dowodów ze słyszenia, dowodów, przeciwko którym pan wszelako nie protestował. Ponieważ pan doskonale wie, że pani Heine jest upoważniona z mocy prawa do przytaczania sensu i treści rozmów, jakie prowadziła ze swoim zmarłym mężem. Niestety polega na tym, że on sam nie może zabrać głosu. Pani Heine została zobowiązana przysięgą do mówienia prawdy. Jako sąd nie mamy innego wyjścia niż ufać, że to, co nam oświadcza, jest zgodne z prawdą. — Obrócił się wolno w stronę ławy przysięgłych. — W braku oględniejszej nazwy regulacja prawna, o której tu mowa, jest znana jako „Ustawa o

Nieboszczyku” — wyjaśnił. — Zazwyczaj prawo zabrania dopuszczenia takiego dowodu i umieszczenia go w protokole... inaczej mówiąc, pozwala mi orzec o jego niedopuszczalności jako pogłoski... ponieważ osobnik, o którym mowa, nie żyje. Jednakże w sprawach o przestępstwa kryminalne „Ustawa o Nieboszczyku” nie zabrania dopuszczenia takiego dowodu, co panu Gudmundssonowi dobrze skądinąd wiadomo. Wszelako „Ustawa o Nieboszczyku” ustanawia pewne... wątpliwe, szczerze mówiąc, z prawnego punktu widzenia reguły. To właśnie, jak sądzę, usiłuje wykazać pan Gudmundsson.

— Istotnie — przyznał Nels Gudmundsson. — To właśnie usiłuję wykazać.

Skłonił głowę przed sędzią, zerknął na przysięgłych, po czym odwrócił się i spojrzał na Kabuo Miyamoto, który siedział wyprostowany za stołem oskarżenia, położywszy na nim równo dłonie niczym grzeczny chłopiec. W tym momencie światła w sali rozpraw zamigotały i zgasły. Przewrócone przez wicher drzewo zerwało przewody elektryczne na Piersall Road...

— Wyborna koordynacja w czasie, ponieważ nie mam więcej pytań do pani Heine, Wysoki Sądzie — zażartował Nels Gudmundsson, kiedy pogasły światła w sali sądu okręgowego wyspy San Piedro. — Jeśli o nas chodzi, świadek jest wolny.

Przez cztery wysokie okna, zaparowane wilgocią z kaloryferów, wsączało się do sali rozpraw bure, przygaszone tumanami śnieżycy światło dnia, zastępując blask elektrycznych lamp i okrywając publiczność zmierzchowym welonem. Zebrani popatrywali na siebie i zerkali na sufit.

— Doskonale — stwierdził sędzia Fielding. — Idźmy więc dalej. Proszę o spokój! Kontynuujemy rozprawę, brak oświetlenia nam w tym nie przeszkodzi. Czy ma pan jeszcze jakieś pytania do świadka, panie Hooks?

Alvin Hooks wstał i oświadczył sądowi, że oskarżenie nie ma więcej pytań.

— Prawdę mówiąc — dodał, puszczając oko do Nelsa Gudmundssona — koordynacja w czasie jest daleko doskonalsza, niż to mógł podejrzewać mój czcigodny kolega z obrony, pani Heine jest bowiem naszym ostatnim świadkiem. Oskarżenie publiczne wysiada jednocześnie z publiczną siecią energetyczną.

Niektórzy spośród przysięgłych drgnęli i uśmiechnęli się z uznaniem.

— Oskarżenie wysiada — powtórzył machinalnie Lew Fielding. — Doskonale, wybornie... Zresztą miałem właśnie zamiar ogłosić przerwę obiadową. Dowiemy się, co słyhać w elektrowni, i od tego uzależnimy dalsze poczynania. Zobaczymy, czy cokolwiek zobaczymy, że się tak wyrażę. Tymczasem proszę panów Hooksa i Gudmundssona do swojego gabinetu.

Podniósł młotek i stuknął nim apatycznie w płytkę z włoskiego orzecha.

— Idźcie państwo na lunch — poradził. — Jeśli w ogóle wznowimy posiedzenie, zacniemy punktualnie o trzynastej, czyli pierwszej po południu według mojego zegarka, który wskazuje obecnie godzinę — zerknął na tarczę — jedenastą pięćdziesiąt trzy. Nawiasem mówiąc, elektryczne zegary w tym gmachu przestały pełnić funkcję czasomierzy, proszę więc na nie nie baczyc.

Ed Soames przytrzymał przed nim drzwi i sędzia Fielding zniknął w gabinecie. Publiczność opuściła salę. Reporterzy zebrali notatki. Soames wyszedł za sędzią z zamiarem zapalenia dwóch świec, które leżały w głębi szuflady biurka. Sędzia Fielding będzie potrzebował

ich blasku; w jego gabinecie, do którego wsączało się przez okna bardzo wątle światło, panował mrok ciemniejszy niż po zmierzchu. Gdy Ed zapalił świece, weszli panowie Nels Gudmundsson i Alvin Hooks i zajęli miejsca naprzeciwko sędziego Fieldinga, po przeciwnej stronie biurka. Oświetleni migoczącymi płomykami — sędzia w jedwabnej todze, Nels w muszce o nieco teatralnym kroju, Alvin Hooks, wymuskany elegant, w niedbałej pozie, z nogą założoną na nogę — wyglądali jak trzej dżentelmeni przygotowujący się do seansu spirytystycznego. Ed Soames zapytał od drzwi — przeprosiwszy, że przeszkadza — czy pan sędzia niczego już nie potrzebuje, bo jeśli nie, on zatroszczy się teraz o przysięgłych.

— Świetnie — ucieszył się Lew Fielding. — Niech pan zobaczy, co tam słychać w kotłowni. Proszę sprawdzić, czy istnieją widoki na podtrzymanie przy życiu tych kwękających grzejników. Zechce pan też zadzwonić do elektrowni i wywiedzieć się, co u nich słychać. A, i proszę zebrać wszystkie świece, jakie tylko uda się panu znaleźć. — Zwrócił się do siedzących naprzeciwko prawników. — Czy nie zapomniałem o czymś, panowie?

— O hotelu — podpowiedział mu Alvin Hooks. — Powinien pan polecić, aby sprawdzono i tamtejszą kotłownię, w przeciwnym razie sędziowie przysięgli nam uświerkną. Już ostatnią noc ledwo przeżyli, a bez prądu ich sytuacja pogorszy się dramatycznie.

— Oczywiście — zapewnił Ed Soames. — Zrobi się.

— Doskonale, Ed — ucieszył się sędzia, po czym zwrócił się do prokuratora. — Bardzo to przezornie z pana strony, Alvin.

— No cóż, jestem człowiekiem przezornym.

Soames spochmurniał i wyszedł z gabinetu. Sala rozpraw świeciła pustką; tylko Ishmael Chambers siedział w rzędach krzeseł z miną człowieka, który ma zamiar czekać aż do skutku. Eleanor Dokes pomagała sędziom przysięgłym wkładać palta w ciasnym przedpokoju.

— Pan sędzia będzie się naradzał przez całą przerwę obiadową — poinformował Ishmaela Ed Soames. — Nie ma sensu czekać, i tak pana nie przyjmie. Komunikat podamy o trzynastej.

Dziennikarz wstał i wsunął notes do kieszeni.

— Nie czekam na niego — mruknął. — Po prostu się zamyśliłem.

— Będzie się pan musiał zamyślać gdzie indziej — oświadczył Ed — bo zamykam salę.

— Przepraszam, już wychodzę.

Zbierał się jednak powoli, w roztargnieniu. Ed Soames przyglądał mu się ze zniecierpliwieniem. „Dziwoląg” — stwierdził w duchu. „Zupełnie nie ten człowiek, co jego ojciec”. Przyszło mu do głowy, że brało się to może z braku jednej ręki. Ed przypomniał sobie ojca Ishmaela i pokręcił w zamyśleniu głową. Z Arthurem Chambersem łączyły go stosunki dość przyjazne, ale z tym chłopakiem w ogóle nie umiał rozmawiać.

###

Postawiwszy kołnierz palta, Ishmael brnął przez śnieżycę w kierunku redakcji; pusty, spięty spinaczem rękaw łopotał za nim, targany wiatrem od morza, który spadał ze świstem w dół Hill Street. Młody człowiek musiał nisko pochylać głowę, bo gdy ją podnosił, płatki śniegu zalepiały mu oczy, zdołał jednak dojrzeć, że w całym miasteczku zgasło światło. Na ulicy stały cztery porzucone pod dziwacznymi kątami samochody, a na skrzyżowaniu Hill i Ericksen Street czyjeś auto wpadło w poślizg i uderzyło w zaparkowaną furgonetkę, wgniatając karoserię od strony kierowcy.

Ishmael otworzył drzwi biura, a następnie zamknął je za sobą barkiem. Nie zdjęwszy palta ani zaśnieżonego kapelusza, podniósł słuchawkę telefonu, żeby zadzwonić do matki. Mieszkała samotnie osiem kilometrów za miastem, więc chciał sprawdzić, jak sobie daje radę w tej zadymce, a przy okazji dowiedzieć się, czy i na południu wyspy sytuacja jest równie zła jak w Amity Harbor. Jeśli matka rozpałała w piecu i zawiesiła zasłonę w drzwiach do spizarki, przynajmniej w kuchni powinna mieć ciepło.

Usłyszawszy w słuchawce telefonu martwą ciszę, Ishmael uświadomił sobie z przestrawieniem, że i prasa drukarska jest nieczynna. Temperatura w biurze spadała, ciepło elektrycznych grzejników szybko się ulatniało. Ishmael siedział przez chwilę z ręką w kieszeni palta i wpatrywał się w wirujące za oknem tumany śniegu. Rwał go kikut po amputowanym ramieniu, a właściwie — takie miał przynajmniej wrażenie — jakby cała ręka, tyle że na wpół zdrętwiała: zjawisko kończyny fantomowej. Najwidoczniej nie w pełni dopuszczał do świadomości myśl, że naprawdę nie ma już ręki; jakby wciąż nie wierzył w ten oczywisty fakt. Dawniej, zaraz po wojnie, amputowane ramię przyczyniało mu srogich cierpień, tak że pewien lekarz ze Seattle zasugerował nawet odnerwienie współczulne kończyny; Ishmael nie zgodził się

jednak na ten zabieg z jakichś niejasnych dla siebie samego powodów. Wolał czuć w ramieniu choćby ból niż w ogóle nic w nim nie czuć.

Wsunął prawą rękę pod palto, objął dłonią kikut i zaczął się zastanawiać, czym się powinien przede wszystkim zająć w sytuacji, gdy nie ma prądu. Przede wszystkim musi sprawdzić, jak się miewa matka. Musi się połączyć z Anacortes przez amatorską krótkofalówkę Toma Torgersona i omówić sprawę wydrukowania tam gazety. Musi porozmawiać z Nelsem Gudmundssonem i AWinem Hooksem. Musi się dowiedzieć, czy prom z Anacortes kursuje normalnie i czy w elektrowni potrafią przewidzieć, kiedy im się uda naprawić zerwane przewody. Przydałoby się też ustalić, w których miejscach zerwało linie, dotrzeć tam i porobić zdjęcia. Należałoby się również pofatygować do stacji morskiej straży granicznej i zdobyć pełny raport sztormowy; dowiedzieć się, jaka jest prędkość wiatru, wysokość fali, ile spadło śniegu. Powinien zawieźć matce trochę jedzenia i bańkę nafty. Miała w szopie grzejnik na naftę, więc mogłaby nagrzać sobie sypialnię, byle wymienić w nim knot. Trzeba będzie wstąpić do sklepu Fiska.

Ishmael zawiesił sobie aparat na szyi i wyszedł na ulicę z zamiarem pstryknięcia kilku zdjęć. Należyte ustawienie aparatu — nawet przy dobrej pogodzie — było dla jednorękiego kaleki zadaniem niełatwym, szczególnie tak wielkiego, nieporęcznego i ciężkiego aparatu skrzynkowego z harmonijkowym miechem. Ishmael serdecznie tej maszyny nie znosił. Ilekroć mógł, mocował aparat na trójnogu; gdy to nie było możliwe, opierał go na kikucie amputowanej ręki, skręcał głowę do lewego barku, wycelowywał obiektyw i pstrykał. Taki sposób fotografowania niezmiernie go jednak krępował. Nienaturalnie skręcony, z aparatem kiwającym się niebezpiecznie przy uchu, czuł się jak cyrkowy dziwoląg.

Zrobił trzy zdjęcia samochodu, który wpakował się w kufer furgonetki. Osłonięcie obiektywu przed śniegiem okazało się zadaniem niewykonalnym, więc zaniechał tych prób. Nie zastanawiał się jednak ani przez chwilę, czy taskać ze sobą aparat: podobnie sroga śnieżycy nieczęsto się zdarza — ostatnia równie gwałtowna nawiedziła San Pedro w roku 1936 — i z pewnością wyrządzi szkody, o jakich niepodobna nie wspomnieć w miejscowej prasie. Ta psia pogoda nie przysłała Ishmaelowi procesu Kabuo Miyamoto, który stanowił wydarzenie z gruntu innego rodzaju, o znacznie większym ciężarze gatunkowym, jednakże w oczach współziomków reportera pogoda taka jak obecna spychała na dalszy plan absolutnie wszystko, nawet proces o morderstwo. Obywateli San Pedro interesowały przede wszystkim zniszczenia w porcie, drzewa przewrócone na domy, przerwane rurociągi i unieruchomione w zaspach



samochody. Ishmael, choć przecież również tubylec, nie pojmował, jak takie przemijające i od przypadku zależne zdarzenia mogą ludziom przesłaniać całą resztę świata. Można by sądzić, że wyspiarze nie przestawali czekać, kiedy ich powszednie życie zburzą wypadki na tyle niezwykle, by zechciano o nich pisać na czołówkach dzienników. A wszak proces Kabuo Miyamoto był pierwszym na wyspie procesem o morderstwo od lat dwudziestu ośmiu — Ishmael ustalił to wertując stare roczniki „Kuriera” — i w odróżnieniu od śnieżycy dotyczył spraw od człowieka zależnych, za które odpowiedzialność ponosili ludzie, a nie zrządzenie losu i kaprysy żywiołów, wiatru i morza. Przebieg tej sprawy, jej znaczenie i wynik leżały całkowicie w rękach ludzi. Ishmael zamierzał dać reportaż z procesu Kabuo Miyamoto na pierwszą kolumnę, jeśli oczywiście zdoła jakimś cudem wydrukować mimo śnieżycy czwartkowe wydanie.

Dobrnął wreszcie do stacji benzynowej Toma Torgersona. Na dachach i maskach stojących rzędem wzdłuż płotu rozbitych aut osiadał śnieg, a Tom parkował już następny samochód po stłuczce.

— Wszędzie ich pełno — oznajmił Ishmaelowi, wychylając się z okna samochodu holowniczego. — Naliczyłem piętnaście na Island Center Road i z dziesięć na Mili Run. Samo dotarcie do nich zabierze mi ze trzy dni.

— Słuchaj, wiem, że jesteś cholernie zajęty — powiedział Ishmael — ale chciałbym, żebyś mi założył łańcuchy na mój wóz. Stoi zaparkowany w górze Hill Street, więc nie dam rady go do ciebie przyprowadzić. Zresztą stoją tam jeszcze cztery zakopane auta, które i tak byś musiał odholować. Czy nie mógłbyś więc kopnąć się tam w pierwszej kolejności? Łańcuchy leżą na podłodze pod tylnym siedzeniem. Poza tym potrzebowałbym twojej krótkofalówki, żeby się porozumieć z Anacortes, jeśli nie uda mi się znaleźć działającego telefonu. Bez prądu nie wydrukuję mojej gazetki.

— Na całej wyspie nie ma prądu i nie działają telefony — poinformował go Tom Torgerson. — Przewrócone drzewa przerwały linie w dwudziestu różnych miejscach. Ekipa naprawcza próbuje właśnie zreperować uszkodzenie na Piersall. Może do rana im się uda, ale wątpię, żeby wcześniej. Dobra, pošlę kogoś do twojego wózka, ale osobiście nie dam rady, szkoda mówić. Robi u mnie dwóch chłopaków z ogólniaka, pošlę któregoś, zgoda?

— Świetnie — ucieszył się Ishmael. — Kluczyki są w stacyjce. Czy będę mógł liczyć na twoją krótkofalówkę?

— Przeniosłem ją w zeszłym tygodniu do domu — odrzekł Tom. — Jeśli chcesz się tam pofatygować, bardzo proszę. Jest podłączona, Lois ci pokaże.

— Jadę do stacji straży przybrzeżnej, może oni pomogą mi się połączyć, skoro twój aparat jest nieosiągalny.

— Jak mówię, możesz z niego skorzystać, bardzo proszę, tylko musisz się jakoś dostać do mojej chałupy.

Ishmael dobiegł do sklepu z towarami żelaznymi Fiska na Main Street, gdzie kupił czterolitrową bańkę nafty oraz knot do grzejnika matki. Fisk sprzedał cały zapas baterii i wszystkie, prócz jednej, szufle do śniegu; jego zapas świec uszczupłał o trzy czwarte, a nafty o cztery piąte. Kelton Fisk odznaczał się wysoko rozwiniętym poczuciem obywatelskiego obowiązku, toteż już o dziesiątej przed południem zaczął reglamentować chodliwe towary; sprzedawał na przykład tylko po cztery litry nafty na rodzinę. Stał przed Ishmaelem na szeroko rozstawionych nogach za beczułkowatym piecykiem, rąbkiem flanelowej koszuli przecierał okulary i wyliczał drobiazgowo towary, jakie mu wyszły od ósmej, chociaż Ishmael wcale go o to nie pytał. Przypomniał ponadto klientowi, że knot, który właśnie nabył, należy przyciąć po ośmiokrotnym użyciu.

Następnie Ishmael Chambers wstąpił do restauracji „Amity Harbor” i poprosił Elenę Bridges, żeby mu zapakowała do papierowej torby dwie kanapki z serem; nie miał czasu rozsiadać się, by je zjeść na miejscu. Restauracja, choć tonęła w półmroku, była pełna ludzi i rozbrzmiewała gwarem rozmów. Goście siedzieli przy stolikach i przy barze okutani w palta i szaliki, z torbami zakupów spożywczych u stóp. Spoglądali na szalejącą za oknami zamieć i cieszyli się, że udało im się znaleźć schronienie przed śnieżycą. Później, kiedy się już najedzą, niełatwo im się będzie wydostać z tego przytuliska. Czekając na kanapki, Ishmael przysłuchiwał się rozmowie dwóch pochylonych nad barem rybaków. Siorbali podgrzaną na kuchence gazowej zupę pomidorową i zastanawiali się, kiedy elektrownia zdoła włączyć prąd. Jeden z nich rozważał, czy przypyływ, gnany wichurą o prędkości stu kilometrów na godzinę, nie zatopi nabrzeży portowych. Drugi martwił się, czy wiatr z północnego zachodu nie powali wielu drzew, nawykłych do wiatrów z południa, a w ich liczbie, jak się poważnie obawiał, jodły, która rosła na urwistym cyplu za jego chatą. Z rana wyszedł i przywiązał łódź do boi cumowniczej potrójnymi linami; z okna pokoju mógł obserwować przez lornetkę, jak się miota, gdy na zatoce zrywał się silniejszy wiatr. Jego towarzysz zaklął i wyraził żal, iż nie zabezpieczył w ten sam sposób swojej

łodzi. Może wszak jakoś wytrzyma, przycumowana co prawda kiepskimi cumami, ale opatrzona tuzinem odbijaczy, sześcioma na każdej burcie. Przystawienie jej teraz, przy takiej wichurze, byłoby zadaniem nazbyt ryzykownym.

Za kwadrans pierwsza Ishmael stanął przed biurem elektrowni na rogu Second Street i Main. W jednej kieszeni paltła miał torbę z kanapkami, w drugiej nowy knot do piecyka, na szyi dyndał mu aparat fotograficzny, w ręku trzymał bańkę z naftą. Komunikat, wywieszony w gablocie informacyjnej dla obywateli San Pedro, wymieniał Piersall Road, Alder Valley Road, South Beach Drive, New Sweden Road, Mili Run Road, Woodhouse Cove Road i co najmniej kilka innych jeszcze dróg, gdzie przewrócone drzewa zerwały trakcję elektryczną. W ogłoszeniu przewidywano, że prąd w mieście Amity Harbor zostanie włączony przed ósmą rano następnego dnia, i zwracano się do mieszkańców z prośbą o uzbrojenie się w cierpliwość. Ekipy naprawcze — informowano — wspierane przez oddziały ochotniczej straży pożarnej, będą pracowały bez chwili przerwy przez całą noc. Robi się wszystko, co można, i najszybciej, jak to możliwe.

Ishmael wrócił do budynku sądu. Usiadł na ławce w korytarzu na pierwszym piętrze i zjadł kanapkę z serem; aparat położył obok siebie, bańkę z naftą postawił na podłodze. Podłoga korytarza była śliska z powodu naniesionego śniegu, toteż ludzie poruszali się ostrożnie i niezgrabnie niczym stawiający pierwsze kroki łyżwiarze. Jedyne oświetlenie zapewniało światło przesączające się przez oszklone drzwi biur, oświetlonych z kolei przez wpadające przez okna bure światło dzienne. Podobnie było w ogólnej szatni, wilgotnym, śliskim i mrocznym pomieszczeniu, pełnym ociekających wodą palt, torebek, kapeluszy i rękawiczek, gdzie Ishmael zostawił na półce bańkę z naftą oraz aparat. Był zupełnie pewien, że nikt nie ukradnie aparatu, co się zaś tyczy nafty, podobnej pewności już nie miał. Obawiał się, że wobec braku prądu kradzieży tak poszukiwanego towaru nie da się wykluczyć.

Oświadczenie sędziego Fieldinga dla zebranej w komplecie ławy przysięgłych było zwięzłe. Rozprawę odracza się do godziny ósmej rano następnego dnia, kiedy elektrownia przewiduje włączenie prądu. Z powodu wzburzenia morza kursy promu między wyspą San Pedro a lądem stałym zostały zawieszane, więc sędziowie przysięgli będą zmuszeni spędzić najbliższą noc w dotychczasowej siedzibie, czyli w zimnych i ciemnych pokojach hotelu „Amity Harbor”. Niech się więc postarają urządzić jak najwygodniej, on, sędzia Fielding, nie ma bowiem wpływu na zaistniałe okoliczności, lepszymi zaś kwaterami miasteczko nie dysponuje. Wyraził ponadto nadzieję, że rozpiętane żywioły nie odciągną uwagi przysięgłych od poważnej i trudnej

sprawy, jaką przyszło im rozpatrywać. Dodał, iż sędziowie mają obowiązek z męstwem stawić czoło burzy oraz przerwie w dostawie energii elektrycznej i skupić całą moc umysłu na faktach, ustalonych w trakcie procesu, i na zeznaniach świadków. Następnie splótł palce i pochylił się nad ławą sędziowską, toteż przysięgli mieli możliwość dojrzeć w mroku jego zarośniętą, zmęczoną twarz.

— Niepokoi mnie perspektywa ponownej rozprawy — rzekł z westchnieniem. — Sądzę, że przy odrobinie wysiłku z naszej strony zdołamy tego uniknąć, nieprawdaż? Mam nadzieję, że spędzicie państwo względnie przyjemną noc w hotelu, lecz jeśli się zdarzy inaczej, znieście mężnie wszelkie niewygody i powróćcie tu jutro w pełni skoncentrowani na sprawie, która nas zajmuje. Pamiętajcie, że to proces o zabójstwo, więc śnieg nie śnieg, na nim przede wszystkim musimy skupić wszystkie siły naszych umysłów i serc.

O wpół do trzeciej po południu Ishmael Chambers włożył do bagażnika swojego kabrioletu marki DeSoto bańkę z naftą, knot do piecyka i dwie torby z zakupami spożywczymi. Ponieważ łańcuchy na koła zakładał mu sezonowy pracownik Toma Torgersona, uczeń szkoły średniej, więc Ishmael przykucnął, by sprawdzić, czy zostały założone jak należy. Zanim ruszył powoli po śniegu, zdrapał lód z okien samochodu i włączył ogrzewanie tylnej szyby. Wiedział, że sztuka jazdy w takich warunkach polega na tym, aby nie tykając stopą pedału hamulca, starać się jechać powoli i bez zrywów, zwalniając pedał gazu na szczytach wzniesień i stopniowo nabierając prędkości na zjazdach. Na First Hill usłyszał zgrzyt łańcuchów, wgrzyzających się w śnieg; zjechał ze wzgórza ostrożnie, na pierwszym biegu, nisko pochyłony nad kierownicą. Dojechawszy do Main Street, nie zatrzymał się, lecz skręcił od razu w lewo, wpadając przy tym w lekki poślizg, w kierunku Center Valley Road. Jego niepokój zmalął, gdy się okazało, że śnieg jest ubity kołami innych aut, a drogi właściwie przejezdne i bezpieczne, byle wykazać ostrożność i zachować czujność. Największe niebezpieczeństwo stanowili inni, mniej ostrożni kierowcy, nie śnieg. Ishmael postanowił, że musi często spoglądać w lusterko wsteczne i w miarę możliwości zjeżdżać na bok, gdyby go ktoś chciał wyprzedzić.

Z Amity Harbor wyjechał Lundgren Road, ponieważ droga ta wznosiła się pod równym, niezbyt stromym kątem, w odróżnieniu na przykład od Mili Runs's czy Piersall, a biegła bez gwałtownych zakrętów i serpentyn, wreszcie ponieważ komunikat wywieszony na drzwiach elektrowni nie wymieniał jej wśród dróg zablokowanych powalonymi drzewami. Przed domem George'a Freemana leżała przewrócona daglezwia. Wysoki na cztery metry wykrot drzewa sterczał

nad skrzynką na listy, a wierzchołek zdruzgotał cedrowy płotek. George, w wełnianej czapce na czubku łysiejącej czaszki, już — mimo zadymki — naprawiał szkody, piłując gałęzie kabłąkową piłą.

Ishmael przejechał ostrożnie dolny odcinek Lundgren Road, po czym skręcił w Scatter Springs Drive. Na pierwszym zakręcie czyjś hudson utkwiał maską w rowie, na drugim sedan packard clipper dachował i leżał podwoziem do góry w rosnących przy drodze jeżynach. Ishmael zatrzymał się, ustawił statyw aparatu na poboczu drogi i zrobił zdjęcia przewróconego auta. Równe linie olch i klonów na drugim planie, wyraźnie zarysowane wśród śnieżnych bezkresów, surowe światło, przefiltrowane przez zamieć, porzucony bezradny wóz ze sterczącymi do nieba kołami, na których zebrały się już białe puszyste zaspasy, i kabiną zarytą w zlodowaciałych chaszczach, tak że widać było jedynie dolne połowy okien — cóż za pyszna scena rodzajowa z burzy śnieżnej! Ishmael sfotografował ją — po pierwsze — dla jej patetyzmu, po drugie zaś dlatego, że, jego zdaniem, wyrażała kwintesencję śnieżnej zamieci: oto świat, w którym packard clipper utracił cały sens i został pozbawiony funkcji, jaką pierwotnie pełnił. Nie przedstawiał obecnie większej praktycznej wartości niż wrak okrętu na dnie oceanu.

Ishmael ucieszył się stwierdziwszy, że szyba przy siedzeniu kierowcy jest opuszczona, a w aucie nikogo nie ma. Wydało mu się, że poznaje wóz Charliego Torvala, który mieszkał przy New Sweden Road, a zarabiał na życie budową grodzi na statkach, nabrzeży i zakotwiczaniem boi cumowniczych. Posiadał mnóstwo sprzętu do nurkowania, barkę, na której zamontował dźwig, oraz — jeśli Ishmaela nie myliła pamięć — tego właśnie brązowego packarda. Niewykluczone w takim razie, że poczułby się dotknięty, gdyby zdjęcie jego przewróconego wozu ukazało się w „Kurierze”. Ishmael postanowił, że zapyta Charliego o zgodę, zanim da fotografię do druku.

Na trzecim zakręcie Scatter Springs Drive — ostrym wirażu, po którym droga wychodziła z cedrowego boru i zbiegała w dół przez odkryte pola nad doliną — Ishmael ujrzał trzech mężczyzn, którzy usiłowali ruszyć zakopanego w śniegu na środku drogi plymoutha. Jeden z nich skakał na zderzaku, drugi kuczał i obserwował buksujące koła, trzeci siedział za kierownicą przy otwartych drzwiach i dusił pedał gazu. Ishmael przejechał obok nie zatrzymując się, po czym z lekkim poślizgiem, który go wprawił w nastrój radosnego podniecenia, skręcił w Center Valley Road. Od pewnego czasu rósł w nim jakiś dziwny entuzjazm dla tej jazdy i związanych z nią niebezpieczeństw.

Zdawał sobie sprawę, że jego kabriolet raczej nie jest samochodem na śnieg. Ishmael zamontował na kierownicy gałkę z wiśniowego drzewa, by zmniejszyć trudności, jakie prowadzenie wozu nastęrcza jednorękiemu, poza tym nie dokonał jednak w aucie żadnych przeróbek, bo i nie miał takiego zamiaru. DeSoto, wymarzony samochód na wyspę, miał napęd na cztery koła, półautomatyczną skrzynię biegów, hipoidalną oś tylną i ruchomą kolumnę kierownicy. Ojciec Ishmaela kupił go przed piętnastu laty, w roku 1939, w pewnym salonie w Bellingham i dał za niego swojego forda model A plus pięćset dolarów gotówką. Był to pojazd skromny, kanciasty, niezgrabny jak nie przymierzając dodge, o masce nieproporcjonalnie długiej, z okratowaniem wlotu chłodnicy umieszczonym nisko nad zderzakiem. Ishmael pozostawał mu wierny po części z przyzwyczajenia, po części przez pamięć o ojcu. Siedząc za kierownicą wyczuwał pośladkami zagłębienia fotela, które wygniótł jeszcze Arthur Chambers.

Truskawkowe pola doliny centralnej leżały pod dwudziestocentymetrową warstwą śniegu i wyglądały w tumanach zamieci jak krajobrazy ze snu, pozbawione ostrzejszych konturów. Na Scatter Springs Drive drzewa rosły szpalerem tak blisko drogi, że niebo między ich koronami wyglądało jak spłowiała szara wstążka, tymczasem tu, w dolinie, otwierał się nad głową cały jego dramatyczny przestwór, skłębiony i surowy. Spoglądając w przecieraną wycieraczkami szybę, Ishmael miał przed oczami miliardy płatków, spadających z zasnutego chmurami, burzliwego nieba, i pędzonych przez wicherę skośnymi torami na południe. Wiatr miotał śniegiem o ściany stodół oraz domów i wdierał się ze świstem przez gumową uszczelkę w bocznym okienku auta Ishmaela, od lat obluzowanym. Obluzowało się jeszcze za życia ojca i stanowiło jedną z tych drobnych osobliwości wozu, dla których Ishmael nie miał ochoty się z nim rozstawać.

Minął dom Ole Jurgensena, z którego komina wysnuwał się siwy dym i natychmiast zniknął, roztrącony wicherą; najwidoczniej Ole siedział sobie w ciepłe przy piecu. Śnieg zatarł całkowicie granice między polami, sprawiając, że poletko, do którego od tak dawna wzdychał Kabuo Miyamoto, zniknęło bez śladu w otaczających je parcelach. Wszelkie prawa własności, jakie rościł sobie do krajobrazu człowiek, zostały zawieszony, anulowane i unieważnione przez śnieg. Świat stał się na powrót jednolity, a myśl, że jeden człowiek mógłby zamordować drugiego dla jakiegoś spłachetka ziemi, wydawała się całkowicie absurdalna — choć Ishmael miał świadomość, że takie zbrodnie się w rzeczywistości zdarzały. Ostatecznie walczył na wojnie.

Przejeżdżając skrzyżowanie Center Valley Road i South Beach Drive zobaczył na zakręcie jakiś samochód, który nie zdołał pokonać nachylenia szosy, obiegającej w tym miejscu przysypany śniegiem cedrowy zagajnik. Ishmael poznał willysa kombi, należącego do Fujiko i Hisao Imadów. Rzeczywiście, po chwili dojrzał samego Hisao. Staruszek usiłował odkopać prawe tylne koło samochodu, które ześliznęło się do przydrożnego rowu.

Hisao Imada był człowiekiem skromnej postury, a okutany w zimowe ubrania wyglądał na jeszcze mniejszego; kapelusz nasadził głęboko na głowę, a szyję okrył szalikiem, widać więc było tylko jego usta, oczy i nos. Ishmael wiedział, że Japończyk nie poprosi go o pomoc, po części dlatego, że wyspiarze nigdy o nią nie prosili, a po części dlatego, że taki już miał charakter. Ishmael postanowił zaparkować u podnóża zbocza, obok skrzynki na listy Gordona Ostroma, zostawić wóz na poboczu szosy, podejść kilkadziesiąt metrów w górę South Beach Drive i namówić Hisao Imadę, aby pozwolił się podwieźć.

Znał tego człowieka od dziecka. Kiedy miał osiem lat, widywał go, jak idzie za pługiem, który ciągnął biały koń o siodłowatym grzbiecie. Hisao miał przytroczoną do pasa maczetę do wycinania chaszczy. Rodzina Imadów mieszkała w dwóch namiotach i zajmowała się karczunkiem świeżo nabytej działki. Wodę czerpali ze strumienia, a grzali się przy ognisku, podtrzymywanym przez córki (wśród nich Hatsue), które w kaloszach ściągały gałęzie i nosiły naręcza chrustu. Hisao był szczupły i żyłasty, pracował metodycznie, nigdy nie zmieniając tempa. W podkoszulku na wąskich ramiączkach, z ostrym jak brzytwa narzędziem u pasa, przypominał Ishmaelowi piratów, o których chłopiec czytał w książkach z obrazkami, jakie ojciec wypożyczał dla niego w bibliotece publicznej w Amity Harbor. Od tamtego czasu minęło już jednak lat z górą dwadzieścia, toteż zbliżając się zaśnieżoną szosą do Hisao Imady, Ishmael Chambers dostrzegł przede wszystkim drobnego starego człowieka, zagubionego w śnieżnej zadymce, skostniałego z zimna i bezskutecznie machającego łopata pod drzewami, które w każdej chwili mogły na niego runąć.

Ishmael zauważył coś jeszcze: po przeciwnej stronie samochodu zapamiętała machała łopata Hatsue. Przekopała się przez pokrywę śniegu i rzucała pod koła czarną ziemię cedrowego boru.

W kwadrans później cała trójka ruszyła szosą w dół do samochodu Ishmaela. Prawą tylną oponę willysa Hisao Imady przebiła leżąca na ziemi gruba gałąź, która zaklinowała się pod obiema osiami, zmiąwszy na domiar złego tylny odcinek rury wydechowej. Dla Ishmaela

stało się od razu jasne, że samochód nie nadaje się do jazdy, ale Hisao potrzebował nieco czasu, by się pogodzić z tą oczywistością. Nadal machał zawzięcie łopata, jakby chciał za pomocą owego narzędzia odmienić los uszkodzonego auta. Ishmael przez dobrych dziesięć minut pomagał mu z grzeczności, po czym zaproponował Hisao podwiezienie. Ponawiał tę propozycję przez następne pięć minut, póki Hisao nie przystał na takie rozwiązanie jako na zło konieczne. Otworzył drzwiczki auta, włożył do środka łopata, a wyjął torbę z zakupami oraz bańkę z naftą. Hatsue po drugiej stronie samochodu przez cały czas kopała w milczeniu i rzucała ziemię pod koła.

W końcu Hisao obszedł auto i powiedział coś do córki po japońsku. Przerwała pracę i wyszła na szosę, więc Ishmael miał okazję lepiej się jej przyjrzeć. Rozmawiał z nią tylko raz, poprzedniego dnia rano w korytarzu na piętrze gmachu sądu, gdzie siedziała na ławce tyłem do okna, pod drzwiami urzędu podatkowego. Włosy, podobnie jak teraz, miała uczesane w czarny kok. Cztery razy powtórzyła Ishmaelowi, żeby odszedł i zostawił ją w spokoju.

— Cześć, Hatsue — powiedział. — Mogę was podrzucić do domu, jeśli chcecie.

— Ojciec mówi, że się zgadza — odrzekła. — Mówi, że jest ci wdzięczny za pomoc.

Ze szpadlem w ręku podążyła następnie za obu mężczyznami w dół zbocza, do samochodu Ishmaela. Kiedy ujechali spory kawałek drogi po nadmorskiej równinie, Hisao przerwał milczenie i wyjaśnił w łamanej angielszczyźnie, że córka na czas procesu zamieszkała w jego domu, więc Ishmael tam może ich wysadzić. Następnie opowiedział, jak gałąź spadła na drogę tuż przed maską samochodu; chcąc ją ominąć, Hisao nadepnął hamulec. Auto wjechało na złamaną gałąź, zarzuciło nim i wpadło do rowu.

Ishmael słuchał Hisao, potakiwał uprzejmie i wtrącał ciche przerywniki, świadczące o nie słabnącym zainteresowaniu:

— Rozumiem, rozumiem... Tak, oczywiście... Rozumiem...

Tylko raz podczas jazdy zaryzykował i zerknął w prostokątne lustro wsteczne na panią Miyamoto; podejmował to ryzyko przez całe dwie sekundy. Hatsue z niezwykle, przesadnym natężeniem wpatrywała się w boczne okienko, chcąc zapewne podkreślić własne skupienie na zamieci. Ishmael zdążył też zauważyć, że jej czarne włosy zamokły na śniegu; dwa kosmyki zburzyły ład nienagannej fryzury, wymknęły się i przykleiły do zmarzniętego policzka kobiety.

— Zdaję sobie sprawę, że ta zamieć przyczyniła państwu kłopotów, ale czy nie uważacie, że jest niezwykle piękna? — zagadnął ojca i córkę Ishmael Chambers.



Gałęzie jodeł ugięły się pod ciężarem śnieżnych okiści, płoty i skrzynki na listy były nakryte puszystymi czapami, droga zacierała się w bieli pól i nie widziało się nigdzie ludzi. Hisao Imada zgodził się z kierowcą. — Istotnie, piękna — przytaknął cicho.

W tej samej chwili jego córka obróciła nagle głowę i jej oczy napotkały w lusterku wbity w nią wzrok Ishmaela. Redaktor stwierdził, że spojrzenie młodej kobiety jest równie tajemnicze jak poprzedniego dnia na korytarzu w sądzie, kiedy usiłował przed rozprawą zamienić z nią kilka słów. Wciąż nie potrafił odgadnąć, co ono wyrażało — czy naganę, czy smutek, czy ukryty gniew, czy może owe wszystkie trzy uczucia naraz? A może jakiś zawód...?

Po tylu latach znajomości nie potrafił określić znaczenia wyrazu jej twarzy. Gdyby nie Hisao, pomyślał, zapytałby Hatsue bez ogródek, co chce mu oznajmić tym surowym objętym spojrzeniem, milcząc jak zaklęta. Jaką on jej wyrządził krzywdę? Za co jest na niego taka zła? Skoro już o tym mowa, to raczej on miał powody do złości. Co prawda złość na nią zaczęła mu stopniowo mijać już przed laty, aż w końcu całkiem minęła, miejsca po niej nie zajęło zaś żadne inne uczucie. Ishmael nie znalazł w swej duszy niczego, co mogłoby zastąpić wygasły gniew. Kiedy przypadkiem spotykał Hatsue Miyamoto — co czasem się zdarzało: między rzędami półek w sklepie spożywczym Petersena, na ulicy w Amity Harbor — odwracał wzrok odrobinę tylko wolniej od tempa, z jakim ona odwracała wzrok od jego postaci. Oboje starannie siebie unikali. Pewnego dnia przed trzema laty uświadomił sobie, jak jego dawną przyjaciółkę pochłania jej obecne życie. Klęczała przed sklepem z towarami żelaznymi Fiska i wiązała na kokardkę sznurowadła bucików córki. Torebkę postawiła obok siebie na chodniku. Nie zdawała sobie sprawy, że Ishmael ją obserwuje. Patrząc, jak klęczy i sznurowuje buty córeczki, zdał sobie jasno sprawę, jak wygląda obecnie jej życie. Była kobietą zamężną i matką; co noc spała w jednym łóżku z Kabuo Miyamoto. Ishmael uczynił, co w jego mocy, by o tym fakcie zapomnieć. Pozostało mu jedynie niejasne uczucie czekania na Hatsue; marzył, że ukochana kiedyś do niego wróci. Nie próbował się nawet zastanawiać, co mogłoby spowodować taki cud, po prostu nie umiał się wyrzec czekania ani pożegnać ze złudzeniem, że upływające lata są tylko okresem przejściowej rozłąki w ich wspólnym życiu.

Hatsue odwróciła tymczasem na powrót głowę do bocznego okienka samochodu i powiedziała:

— Napisz o tym.

Tylko tyle.

— Tak? Słucham cię? — ożywił się Ishmael.

— Proces przeciwko mojemu mężowi jest nieuczciwy — stwierdziła. — Powinieneś o tym napisać w swojej gazecie.

— Co w nim widzisz nieuczciwego? — zapytał. — Co dokładnie jest w nim nieuczciwe? Chętnie o tym napiszę, jeżeli mi powiesz.

Patrzyła w okno na padający śnieg, a kosmyki mokrych włosów lepiły się do jej policzka.

— Wszystko jest nieuczciwe, wszystko od początku! — powtórzyła z uporem. — Kabuo nikogo nie zabił. On nie jest do tego zdolny. Sprowadzili tego sierżanta, żeby zeznał, iż Kabuo ma duszę mordercy. To zwykła manipulacja! Słyszałeś, co mówił ten człowiek? Że Kabuo jest urodzonym mordercą, strasznym człowiekiem o morderczych instynktach. Słyszałeś? Napisz o tym w swojej gazecie, napisz o zeznaniach tego sierżanta, napisz, jakie to wszystko podle i nieuczciwe. Cały proces jest nieuczciwy!

— Rozumiem cię — odparł. — Tyle że, widzisz, ja nie jestem znawcą prawa. Nie wiem na przykład, czy sędzia powinien wyłączyć zeznanie sierżanta Maplesa. Mam jednak nadzieję, że ława przysięgłych wyda sprawiedliwy wyrok. Niewykluczone, że napiszę artykuł wstępny, w którym stwierdzę, że wszyscy mamy nadzieję, iż prawo stanie na wysokości zadania, a sąd wyda sprawiedliwy wyrok.

— Nie powinno w ogóle dojść do tego procesu! — zawołała Hatsue. — Cała ta sprawa jest z gruntu nieuczciwa, nieuczciwa!

— Mnie również martwi, kiedy dzieją się rzeczy nieuczciwe — zapewnił Ishmael. — Zastanawiam się tylko czasem, czy niesprawiedliwość nie jest aby... atrybutem istnienia. Wręcz pytam sam siebie czasami, czy my w ogóle mamy prawo domagać się sprawiedliwości, czy nam się ona należy, bo...

— Nie mówię o całym kosmosie — przerwała mu Hatsue. — Mówię o konkretnych osobach: o szeryfie, o prokuratorze, o sędzi, o tobie samym wreszcie, czyli o tych, którzy mają jakiś wpływ na społeczeństwo, ponieważ wydają gazety, aresztują i skazują ludzi i w ogóle decydują o ich losie. Przecież ludzi nic nie zmusza do nieuczciwości, prawda? To nie jest żaden „atrybut istnienia”, kiedy ludzie są wobec innych zwyczajnie nieuczciwi!

— Istotnie — przyznał chłodno. — Masz rację, ludzi nic nie zmusza do nieuczciwości.

Wysadzając ojca i córkę przed skrzynką na listy państwa Imadów, miał poczucie, że zdobył psychiczną przewagę nad panią Miyamoto. Rozmawiał z nią, a ona była zmuszona

odpowiadać, czegoś od niego chciała. Zdradziła się ze swoim oczekiwaniem. Ishmael uznał, że napięcie, jakie między nimi istniało, wrogość, jaką czuł do Hatsue, było czymś lepszym od całkowitej obojętności. Ostatecznie był to jakiś rodzaj uczucia, coś, co ich łączyło. Siedział za kierownicą i patrzył, jak Hatsue znika w śnieżnej zadymce, niosąc szuflę na ramieniu. Przyszło mu na myśl, że jej mąż odchodzi obecnie z jej życia podobnie, jak on sam kiedyś z niego odszedł. Obie te rozłąki zostały wymuszone okolicznościami, zdarzeniami, na które nikt nie miał wpływu. Ani Ishmael, ani Hatsue nie chcieli wojny; żadne z nich nie pragnęło tak brutalnej ingerencji w ich życie. Tymczasem teraz jej męża oskarżono o zabójstwo i ten fakt całkowicie odmienił ich wzajemną relację.

Latarnia morskiej straży granicznej na skalnym cyplu Point White mieściła się w żelbetowej wieży trzydzieści metrów nad poziomem morza. W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat przed jej wzniesieniem na przylądku rozbiło się aż jedenaście statków: dwa pocztowe parowce, siedem szkunerów do przewozu drewna, norweski frachtowiec oraz czteromasztowy bark z ładunkiem węgla, płynący w sztormową pogodę z Newcastle do Seattle. Po wrakach nie pozostał żaden ślad — rozpadły się z upływem lat i spłynęły do oceanu. Na miejscu katastrof pozostało jedynie bezładne gruzowisko obrośniętych wąsonogami skał, sterczących z ciągnącego się aż po horyzont nieprzerwanego przestworu oceanu, szarego i zamglonego na linii horyzontu.

Czasem, gdy zdarzał się przyływ wyjątkowo wysoki, fale niebezpiecznie podmywały latarnię, obrzucając jej cokół słonymi glonami, które go obrastały niczym morski mech. Pod miedzianą kopułą latarni kryło się szesnaście odblaskowych pryzmatów i cztery rtęciowe zwierciadła projekcyjne. Strażnicy smarowali mechanizm zegarowy, soczewki reflektorów wykonywały dwa obroty na minutę, a katastrofy jak się zdarzały, tak się zdarzały. Wyglądało na to, że nie ma sposobu, by im skutecznie zapobiegać. Promień latarni ginął w gęstej mgłę i łodzie nadal rozбивały się o brzeg. Kiedy straż przybrzeżna zainstalowała wzdłuż plaż na wyspie tablice odbijające sygnały syren okrętowych i zakotwiczyła w pewnej odległości jedna od drugiej ponumerowane pływy torowe, mieszkańcy wyspy uznali, że te środki zapobiegawcze okażą się wreszcie skuteczne. Łudzili się tą nadzieją do następnego wypadku. Holownik ciągnący prom motorowy z San Francisco rozbił się na skałach o milę na północ od latarni; podobny los spotkał holownik ciągnący barkę z dłużycą, a także parowy statek ratowniczy z Victorii. Wyspiarze przyjmowali wieści o kolejnych wrakach ze swego rodzaju posępną rezygnacją. Niejeden uważał, że katastrofy morskie są wynikiem boskich przeznaczeń, a w każdym razie należą do sfery zdarzeń nieuniknionych. Po każdej następnej gromadzili się na plaży i przyglądali ze zgrozą wrakowi ostatniego rozbitka. Niektórzy przynosili nawet ze sobą lornetki i aparaty fotograficzne. Starzy, doświadczeni rybacy rozpalali ogniska z wyrzuconych przez fale drewek i grzali się przy ogniu, patrząc, jak sprawnie morze czyni wyłomy w kadłubach rozbitych statków. Toczyli żaźarte spory i pokazywali sobie nawzajem palcami ten lub ów fragment wraku. Nie mając po temu, na dobrą sprawę, żadnych danych, wyciągali rozliczne wnioski z katastrofy: składali winę na błąd pilota, jego niedoświadczenie, mylnie odczytane mapy, sprzeczne sygnały, mgłę, wiatr,

pływy, wreszcie niekompetencję kapitana. Kiedy po kilku dniach statek się przełamywał, jego fragmenty zatonięły bądź ekipa ratownicza rezygnowała z dalszej akcji po wyładowaniu części ładunku, wyspiarze przyglądali się temu w milczeniu, kręcąc głowami i surowo zaciskając wargi. Jeszcze przez kilka tygodni omawiali szczegóły zdarzenia, po czym temat katastrofy zniknął z ich dialogów. Rozmyślali o niej tylko w samotności.

W dogasającym blasku dnia Ishmael Chambers zasiadł w gabinecie starszego podoficera z obsługi latarni morskiej, rosłego byczka nazwiskiem Evan Powell. Pomieszczenie oświetlała lampa naftowa, ogrzewał zaś żeliwny piecyk na drewno. Zasilana generatorem latarnia co pół minuty rozjarzała swoim blaskiem okno biura. Podoficer Powell utrzymywał biurko w nienagannym porządku: stały na nim suszka do kalendarza, bliźniacze podstawki do piór, bliska przepelnienia popielniczka oraz telefon. Powell siedział za biurkiem w fotelu z odchylanym oparciem, trzymał w palcach zapalonego papierosa, drapał się po twarzy i kasłał.

— Przeziębilem się — ochryplym głosem wyjaśnił gościowi — ale jeszcze jakoś dycham. Pomogę panu, jeśli zdołam, panie Chambers. Potrzebuje pan materiałów do gazety?

— Rzeczywiście. Piszę artykuł o tym sztormie. Ciekawym, czy nie ma pan tutaj jakichś archiwów, może starych meldunków o pogodzie, danych, na które mógłbym rzucić okiem. Chętnie przejrzałbym dawne raporty, dokonał jakichś porównań. Co do mnie, nie pamiętam podobnego sztormu, co oczywiście nie znaczy, że nigdy takiego nie było.

— Przechowujemy całą furę różnych danych — pochwalił się Powell. — Latarnia istnieje tu dłużej niż placówka straży przybrzeżnej. Nie orientuję się, jak daleko wstecz sięgają wiarygodne zapisy, ale oczywiście może pan do nich zajrzeć, jeśli pan ma ochotę. Tych papierzyšków mamy tu od groma. Sam jestem ciekaw, co uda się panu wygrzebać.

Pochylił się nad biurkiem, rozgniółł papierosa w popielniczce, podniósł słuchawkę telefonu, wykręcił jedną cyfrę i wyciągnął z kieszeni chusteczkę.

— Z kim mówię...? Słuchaj, znajdź mi Levanta i kaź mu tu do mnie przyjść. A, i niech weźmie ze sobą dwie lampy naftowe. Powiedz mu, żeby się pospieszył!

Podoficer Powell nakrył dłonią mikrofon, wydymuchał nos i spojrział na Ishmaela.

— Ile ma pan czasu? — zapytał. — Mogę panu oddać Levanta najwyżej na parę godzin.

— Wystarczy. Nie chciałbym sprawiać nikomu kłopotu swoją osobą. Proszę mi tylko wskazać kierunek poszukiwań.

Evan Powell odstłonił słuchawkę.

— Słuchaj, Smoltz — powiedział. — Daj mi tu migiem Levanta. Znajdź go i powiedz, że chcę go zaraz zobaczyć.

Odłożył słuchawkę i wysmarkał nos.

— W taką pogodę nie ma mowy o żegludze — oświadczył. — Godzinę temu sięgaliśmy ledwo do Neah Bay. Przewiduję, że śnieg nie przestanie padać do jutrzejszego popołudnia.

Wszedł Levant, radiooperator. Dostatecznie wysoki, by grać w drużynie koszykówki — mierzył ponad metr dziewięćdziesiąt — miał sterczące jabłko Adama i czarne kręcone włosy. W rękę trzymał lampę naftową i latarkę.

— To jest pan redaktor Ishmael Chambers — przedstawił mu gościa podoficer Powell. — Wydaje gazetę tu, w miasteczku, i chce zerknąć na nasze meldunki meteo. Chcę, żebyś mu w tym pomógł, udostępnił dane, jakich będzie potrzebował, i zaopatrzył go w dwie latarnie.

— Czy coś jeszcze? — zapytał Levant.

— A nie zapomnij mi o nasłuchu — przypomniał Powell. — Pamiętaj, że masz jeszcze dwie godziny służby.

— Proszę posłuchać — odezwał się Ishmael. — Wystarczy mi wskazać drogę do archiwum. Nie chciałbym zabierać czasu...

Levant zaprowadził go do pomieszczenia na pierwszym piętrze, zavalonego po sufit drewnianymi skrzyniami, pełnymi dokumentów, i workami marynarskimi. Pachniało tam zetłalym papierem, atramentem do powielaczy i dobrze zleżałym kurzem.

— Wszystko tu jest ściśle datowane — poinformował Levant, znalazłszy kawałek wolnego miejsca na postawienie lampy. — W ten sposób porządkujemy te archiwa: według dat. Połączenia radiowe, wiadomości o przepływających statkach, meldunki o pogodzie, prace konserwacyjne — wszystko jest skrupulatnie datowane. Każda najdrobniejsza notatka, jak przypuszczam, jest opatrzona datą.

— Ma pan dyżur przy nasłuchu radiowym? — zainteresował się Ishmael. — Jest pan radiooperatorem?

— Obecnie tak, gdzieś tak od paru miesięcy. Chłopaków, co tu ostatnio pracowali, przeniesiono, a mnie awansowano na ich stanowisko.

— Czy do pańskich obowiązków należy również prowadzenie akt? Czy radiooperator zajmuje się tym wszystkim?

— Jeden kumpel stenografuje transmisje radiowe — wyjaśnił Levant. — Zapisuje je, archiwizuje i ładują w jednej z tych szaf. Widzi mi się, że do niczego więcej się nie nadają. Zajmują miejsce i tyle. Nikt do nich nie zagląda.

Ishmael wziął do ręki tekturową teczkę i zbliżył do płomienia lampy.

— Wygląda na to, że trochę tu zabawię — rzekł. — Dlaczego nie miałby pan w tym czasie zająć się własnymi sprawami? Odszukam pana, gdybym czegoś potrzebował.

— Przyniosę panu drugą lampę — zaofiarował się Levant.

Ishmael został sam w pomieszczeniu wypełnionym skrzyniami morskich akt i parą własnego oddechu, kłębiącą się w świetle lampy naftowej. Pokój pachniał morską wodą, śniegiem i przeszłością — woń minionych czasów wprost kręciła w nosie. Redaktor Chambers próbował się skupić na zadaniu, które go tu przywiodło, lecz obraz Hatsue na tylnym siedzeniu samochodu, kiedy ich spojrzenia spotkały się na mgnienie w lusterku wstecznym, sprawił, że w jego pamięci odżyły wspomnienia.

Przypomniawszy sobie, że gdy się spotkali pierwszy raz po wojnie, usiłowała być miła, lecz on nie był w stanie odpowiedzieć jej tym samym. Stał za nią w kolejce w sklepiku Petersena, z butelką mleka i paczką krakersów, i szczerze jej nienawidził. Hatsue trzymała dziecko na ręku; w pewnej chwili odwróciła się i powiedziała z oficjalną uprzejmością, jak jej było przykro, gdy się dowiedziała, że stracił rękę na wojnie. Była piękną — zresztą jak zawsze — dojrzałą kobietą, z surowszym niż kiedyś wyrazem oczu. Ishmael patrzył na jej twarz i czarny warkocz na plecach i cierpiał męki. Był blady i wyglądał na chorego (rzeczywiście, przeziębził się i miał lekką gorączkę). Stał za nią w wełnianej kraciastej kurtce z rękawem spiętym spinaczem i wpatrywał się twardo w niemowlę na ręku pani Miyamoto. Eleanor Hill, sprzedawczyni, udawała, że nie spostrzegła, iż Hatsue wspomniała o tym, o czym inni — w tej liczbie ona sama, Eleanor — nie ośmieliliby się powiedzieć głośno: mianowicie, że Ishmael stracił rękę.

— Japonce mnie tak urządzili — burknął, nie odrywając oczu od niemowlęcia. — Przez nich straciłem rękę, przez J a p o n i c ó w.

Hatsue przyglądała mu się przez chwilę, po czym odwróciła się na powrót do Eleanor Hill i otworzyła portmonetkę.

— Przepraszam — usprawiedliwił się natychmiast. — Nie to chciałem powiedzieć! Nie to miałem na myśli!

Ponieważ nie okazywała, że go słyszy, odstawił mleko i krakersy i dotknął jej ramienia.

— Przepraszam — powtórzył, lecz Hatsue nie odwróciła się do niego, usunęła się tylko spod jego ręki. — Jest mi ogromnie przykro. Jestem żaloszny. Sam nie wiem, co mówię. Rozumiesz? Nie zwracaj uwagi na moje słowa. Ja tylko tak... bo ja...

Eleanor Hill udawała usilnie, że Ishmael Chambers, weteran wojenny, nie stoi przed ladą i nie wypowiada w jej obecności słów, które właśnie wyrzekł. Zawsze się z tym spotykał — zawsze, ilekroć próbował powiedzieć coś o sobie, zrzucić ciężar z serca. Miał do wyjaśnienia same trudne sprawy, a nie znajdował chętnych słuchaczy. Owszem, mógł pogadać z innymi chłopakami, którzy wrócili z wojny, ale z tych rozmów niewiele wynikało.

— Przepraszam, Hatsue — powtórzył. — Przepraszam cię za wszystko. Za wszystko!

Wyszedł ze sklepu, nie kupiwszy w końcu mleka i krakersów. Wrócił do domu i napisał do Hatsue długi list z przeprosinami. Wyjaśniał w nim, że nie jest ostatnio sobą, że mówi czasem rzeczy, których wcale nie chciał powiedzieć, że bardzo żałuje, iż użył w jej obecności pogardliwego określenia „Japoniec”, i obiecuje, że to się więcej nie powtórzy. List przeleżał dwa tygodnie w szufladzie biurka, zanim go wyrzucił.

Nic nie mógł poradzić na to, że wie, gdzie ona mieszka, jakim jeździ samochodem, a kiedy spotkał jej męża, Kabuo Miyamoto, poczuł gwałtowny skurcz serca. Cały stężał, a potem przez wiele nocy nie mógł zasnąć. Męczył się do drugiej nad ranem, po czym zapalał światło i usiłował czytać jakąś książkę lub magazyn. W końcu wstawał świt i młodzieniec rezygnował z prób zaśnięcia, wychodził z domu i włóczył się po wyspie. Podczas jednej z takich przechadzek natknął się na Hatsue — wygrzebywała grabkami małże na plaży w Zatoce Fletchera. Obok niej, w cieniu parasolki, spało na kocu dziecko. Ishmael podszedł i przykucnął obok wiaderka, do którego wrzucała wykopane z piasku małże.

— Czy możemy porozmawiać, Hatsue? — zapytał błagalnie.

— Jestem mężatką — odrzekła, nie podnosząc na niego wzroku. — Nie powinniśmy przebywać razem tylko we dwoje. To będzie źle widziane. Ludzie wezmą nas na języki, Ishmaelu.

— Nikogo tu nie ma — stwierdził — a ja muszę z tobą porozmawiać, Hatsue! Przynajmniej tyle jesteś mi winna, nie uważasz?

— To prawda — przyznała. — Masz rację.



Odwróciła się do śpiącego niemowlęcia. Słońce padało na jego twarzączkę, więc przesunęła parasol.

— Mam wrażenie, że umieram — poskarżył się Ishmael. — Od dnia, kiedy wyjechałaś do Manzanaru, ani przez chwilę nie czułem się szczęśliwy. Wydaje mi się, jakbym nosił w duszy jakiś straszny ciężar, jakby kulę z ołowiu albo coś. Czy ty to rozumiesz, Hatsue? Czasem mam wrażenie, że zwariuję i zamkną mnie w wariatkowie w Bellingham. Właściwie już jestem bliski obłądu, nie śpiam po nocach. Wciąż o tobie myślę. Czasem wydaje mi się, że dłużej tego nie zniosę, a jednak znoszę. Nie potrafię przestać o tobie myśleć!

Hatsue grzbietem dłoni odgarnęła włosy z oczu.

— Przykro mi — szepnęła. — Nie chcę, żebyś cierpiał z mojego powodu. Nigdy nie pragnęłam twojego nieszczęścia, ale nie wiem, co mogłabym dla ciebie zrobić. Nie wiem, jak ci pomóc...

— Pomyślisz pewnie, że już zwariowałem, ale wiesz, czego pragnę? Pragnę tylko wziąć cię jeszcze raz w ramiona, przytulić i poczuć znowu zapach twoich włosów. Myślę, że to by mi pomogło, Hatsue.

Przez chwilę przyglądała mu się uważnie, ściskając w ręku grabki.

— Posłuchaj — odezwała się w końcu. — Przecież wiesz, że mi nie wolno. Nie wolno mi cię więcej dotknąć, Ishmaelu. Między nami wszystko skończone. Musimy o wszystkim zapomnieć i żyć każde własnym życiem. Ja nie uznaję półśrodków. Jestem kobietą zamężną, mam dziecko, dlatego nie mogę pozwolić, abyś mnie obejmował. Dlatego chcę, żebyś teraz wstał, odszedł z tego miejsca i zapomniał o mnie na zawsze. Musisz mnie uwolnić, Ishmaelu!

— Wiem, że jesteś zamężna, i chcę o tobie zapomnieć, wierz mi! Myślę, że gdybyś pozwoliła mi się objąć, poszłoby mi to łatwiej, Hatsue. Przytul mnie choć raz, jeden raz, a odejdę i nigdy więcej się do ciebie nie odezwę.

— Nie — powiedziała. — To niemożliwe. Będziesz musiał poszukać jakiegoś innego sposobu, bo ja ciebie nigdy nie przytulę.

— Nie mówię o kochaniu się — wyjaśnił. — Nie proszę cię, żebyś spróbowała mnie pokochać. Zwracam się do ciebie jak do drugiego człowieka, ponieważ jestem bezgranicznie nieszczęśliwy i nie wiem, do kogo się zwrócić o pomoc. Chcę tylko znaleźć się na chwilę w twoich ramionach, Hatsue!

Westchnęła i odwróciła się od niego.

— Odejdź — poprosiła. — Szczerze ci współczuję. Naprawdę boli mnie, że jesteś nieszczęśliwy, ale nie zamierzam cię przytulać, Ishmaelu. Będziesz musiał dalej żyć, nie zaznawszy moich objęć. A teraz odejdź, proszę, i zostaw mnie samą.

Minęły lata i oto mąż Hatsue stanął przed sądem, oskarżony o zamordowanie człowieka. Ishmaelowi przysła nagle do głowy myśl, że wśród dokumentów, pokrywających się kurzem w archiwum morskiej straży granicznej, może znajdować się coś, co ma związek ze sprawą Kabuo Miyamoto. Niewiele myśląc, odsunął na bok stare meldunki o pogodzie i z rosnącym podnieceniem zaczął grzebać w aktach.

Po upływie kwadransa znalazł to, czego szukał: notatki z 15 i 16 września 1954 roku; znajdowały się w szafce stojącej na prawo od drzwi, w trzeciej szufladzie od dołu. Bezwietrznie, pływy umiarkowane — czytał — gęsta mgła, ciepło. Jeden statek o pierwszej dwadzieścia po północy, grecki parowiec „West Corona” pod liberyjską banderą. Podał pozycję na zachód od wyspy, płynął do Seattle. Połączenia radiowe były stenografowane: „Corona” zgłosiła pozycję na północny zachód od tablicy dźwiękowej numer 56 i czekała na potwierdzenie pozycji radiowym sygnałem z latarni. Weszła w cieśninę, sondując głębokość, ale pilot nie miał zaufania do odczytów echosondy, więc o pierwszej dwadzieścia sześć po północy, w gęstej mgle, poprosił latarnię przez radio o pomoc. Z powodu zakłóceń atmosferycznych sygnał był słaby, więc pełniący służbę radiooperator poradził nawigatorowi „Corony”, żeby wziął odczyt z tablicy dźwiękowej numer 56, zainstalowanej na północnym brzegu wyspy Lanheedron, i według niej określił swoją pozycję. Nawigator „Corony” nadał sygnał rogiem mgłowym i zmierzył czas, jaki upłynął do powrotu echa. Następnie przeprowadził obliczenia i podał swoją pozycję radiooperatorowi: „Corona” zeszła z toru wodnego — raportował — na południe od boi numer 56, więc będzie musiała skręcić ostro na północny wschód, przecinając Ship Channel Bank.

Ship Channel Bank! Czyli akwen, na którym Dale Middleton, Vance Cope i Leonard George widzieli Carla Heinego owej nocy, gdy po wyrzuceniu sieci wpadł do morza. Tej samej nocy ogromny frachtowiec przeciął łowisko, ciągnąc za sobą kilwatek dostatecznie wielki, by wyrzucić za burtę nawet rosłego mężczyznę.

O pierwszej czterdzieści dwie na polecenie pilota „Corona” skorygowała kurs, podczas gdy nawigator jeszcze dwukrotnie określił pozycję według tablicy dźwiękowej. Potem na wszelki wypadek dokonał jeszcze trzech odczytów — z tablic numer 58, 59 i 60 — zanim radiooperator „Corony” uznał, że statek wrócił bezpiecznie na tor wodny. W pobliżu zatoki White Sand złapał

sygnał radiowy z latarni, więc z ufnością skierował statek na południe. „Corona” dostroiła się do sygnału radiowego latarni i popłynęła w kierunku Seattle.

Wszystkie notatki zostały sporządzone w trzech egzemplarzach przez typowe wojskowe kalki. Widniały na nich podpisy pomocnika radiooperatora, marynarza Philipa Milhollanda, który stenografował połączenia radiowe. Ishmael wyjął z teczki trzy środkowe arkusze z notatkami Milhollanda, złożył je na pół, a potem jeszcze raz na pół, by się zmieściły do kieszeni palta, przyklepał kieszeń, postarał się opanować, wziął do ręki jedną z lamp i opuścił pomieszczenie archiwum.

W pokoiku na dole Levant siedział przy przenośnym piecyku naftowym i przerzucał od niechcenia stronice „Saturday Evening Post”.

— Skończyłem — oznajmił Ishmael. — Jeszcze tylko jedno: czy nie znalazłbym tu gdzieś Philipa Milhollanda? Chciałbym z nim zamienić dwa słowa.

Levant pokręcił głową i odłożył gazetę na podłogę.

— Zna pan Milhollanda? — zapytał.

— Trochę — powiedział Ishmael. — Daleka znajomość.

— Wyjechał. Przenieśli ich, jego i Roberta Millera, na przylądek Flattery, a nas awansowali na ich miejsce.

— Nas, to znaczy kogo?

— Mnie i Smoltza. My razem zaczynaliśmy.

— Kiedy to się stało? Kiedy Milholland wyjechał?

— Jeszcze we wrześniu. My ze Smoltzem objęliśmy psią wachtę szesnastego września.

— Psią to znaczy nocną?

— Zgadza się, nocną — przytaknął Levant. — Ja i Smoltz robimy na nocną zmianę.

— A więc Milholland wyjechał — stwierdził Ishmael. — Piętnastego września, powiada pan?

— Piętnastego nie mógł wyjechać, bo piętnastego na noc miał jeszcze wachtę. Więc musiał wyjechać szesnastego. Zgadza się, on i Miller wyjechali na przylądek Flattery szesnastego września.

„Nikt o tym nie wie!” — przemknęło Ishmaelowi przez myśl. Człowiek, który słyszał transmisje radiowe „Corony”, nazajutrz wyjechał. Radiooperatorzy odbyli wachtę w nocy z piętnastego na szesnasty, przespali się trochę rano i opuścili San Pedro. Zapisane rozmowy

radiowe powędrowały do papierowej teczki, a ta do szafy z aktami, stojącej w pomieszczeniu nabitym po sufit dokumentami przybrzeżnej straży granicznej. Czy ktoś mógłby je tutaj odnaleźć? Ishmael ocenił, że równie dobrze mogłyby przepaść na wieki i nikt nie dowiedziałby się prawdy o śmierci Carla Heinego: mianowicie, że tej samej nocy, kiedy utonął, a jego zegarek stanął o pierwszej czterdzieści siedem, przez łowisko Ship Channel Bank o pierwszej czterdzieści dwie — czyli zaledwie pięć minut wcześniej! — przepłynął wielki frachtowiec, pchając przed sobą falę dziobową dość wysoką, by przewrócić małą łódź rybacką, falę zdolną wyrzucić za burtę nawet roslęgo mężczyznę. Nie, jedna osoba już знаła tę prawdę: on sam, Ishmael Chambers. I to było sedno sprawy.

Matka paliła w kuchni drewnem, Ishmael poznał to po kolorze dymu, kłębamii unoszącego się z komina — widmowo białego na tle gęsto sypiącego śniegu. Kiedy z bańką nafty szedł wzdłuż ściany domu, zobaczył matkę przez okno: stała przy zlewie w palcie i chustce na głowie. Na szybie osiadły od środka kropelki pary, więc dojrzał tylko mglisty zarys stojącej nad zlewem postaci, pokawałkowanej i wykoślawionej, rozmytej plamy barwnej. A potem zaparowaną szybę przetarła nagle kolistym ruchem całkiem już wyraźna dłoń i w przejrzystym kręgu ukazało się oko. Poznawszy Ishmaela, matka pomachała mu ręką. Szedł ostrożnie do kuchennych drzewi, niosąc wysoko bańkę z naftą. Matka odśnieżyła ścieżkę do drewnutni — szufla nadal stała oparta o płot — ale śnieg już ją na powrót zasypywał.

Ishmael przystanął na chwilę w drzwiach kuchni, postawił na ziemi bańkę i pomacał tkwiące w kieszeni palta notatki Philipa Milhollanda. Potem wysunął rękę, ale zaraz włożył ją z powrotem do kieszeni i jeszcze raz dotknął złożonych we czworo kartek. Dopiero wtedy podniósł bańkę i wszedł do środka.

Matka miała na sobie śniegowce z rozpiętymi sprzączkami. W drzwiach do saloniku przybiła gwoździkami wełniany koc. Przez zaparowane okna wpadało mętne światło. W kuchni było ciepło; na stole, obok lampy naftowej, leżały porządnie ułożone paczka świec, dwie latarki i pudełko zapalek. Matka postawiała na ogniu garnek ze śniegiem, który szumiał i syczał.

— W samochodzie mam trochę jedzenia. — Ishmael zamknął za sobą drzwi i postawił bańkę pod ścianą. — Przyniosłem też nowy knot do piecyka. — Położył knot na stole obok świec. — Zmarzłaś zeszłej nocy?

— Ani trochę. Bardzo się cieszę, że cię widzę, synu. Usiłowałam się do ciebie dodzwonić, ale telefon milczy. Linie muszą być przerwane.

— Są rzeczywiście. Wszędzie na wyspie.

Matka naląła do stojących w zlewie kubków wodę ze stopionego w czajniku śniegu, wytarła ręce i odwróciła się do Ishmaela.

— Nie zasypało tam kogo? — zapytała.

— Widziałem po drodze z pięćdziesiąt porzuconych przy szosie samochodów. Przy Scatter Springs zarył się w jeżynach kołami do góry wóz Charliego Torwała. Wszędzie leżą zwalone drzewa. Na całej wyspie nie ma prądu. Mają spróbować przed świtem przywrócić

elektryczność w Amity Harbor, bo jak zwykle zaczną od miasta. Jeśli to się uda, powinnaś przenieść się do mnie. Zamkniemy dom i przeniesiemy się do miasta. Nie widzę powodu, żeby tu siedzieć i marznąć. Ja...

— Ja nie marznę — przerwała mu matka i zdjęła z głowy chustkę. — Prawdę powiedziawszy, zrobiło się tu nawet trochę za gorąco. Dopiero co odgarnęłam śnieg i naniosłam drew do pieca. Jest mi tu całkiem wygodnie, martwię się tylko, żeby kanalizacja nie zamarzła. Trzeba mi jeszcze pękniętej rury do kompletu!

— Spuścimy wodę — oświadczył Ishmael. — Nie powinnaś mieć żadnych kłopotów. W instalacji na ścianie w piwnicy jest zawór, jeszcze ojciec go zainstalował, pamiętasz? — Usiadł przy stole, objął dłonią kikut amputowanego ramienia, potarł i ścisnął otrocko. — Zaczyna boleć, jak się robi zimno — wyjaśnił matce.

— Jest dwanaście stopni mrozu — stwierdziła. — Czy te produkty w samochodzie nie zamarzną? Nie lepiej je tu przynieść?

— Racja. Chodźmy.

— Później, kiedy ręka przestanie cię boleć.

Przenieśli do domu dwie torby z jedzeniem i aparat fotograficzny Ishmaela. Kwietne klomby leżały pod śniegiem, który skrzył się również na ostrokrzewie, morwie i rododendronach. Matka zwierzyła się Ishmaelowi, że martwi się o swoje kwiaty; nie jest pewna, czy mniej odporne przetrzymają mrozy. Zdarzało jej się już tracić kwiaty nawet w mniej srogiej pogodzie — dodała. Ishmael poznał po śladach koła, które pchała taczka, zwożąc drewno na opał do kuchni. Wokół pniaka pod drewnianą, na którym rąbała polana, leżały drzazgi drewna.

Pani Chambers miała dopiero pięćdziesiąt sześć lat i należała do tych wiejskich wdów, które całkiem dobrze dają sobie radę, mieszkając samotnie. Ishmael wiedział, że wstaje kwadrans po piątej, ściele łóżko, karmi kury, myje się pod prysznicem, ubiera, robi sobie na śniadanie sadzone jajko z tostem i parzy mocną herbatę. Wstawszy od stołu zmywa, po czym bierze się za sprzątanie. Ishmael wyobrażał sobie, że około dziewiątej, kiedy nie ma już nic pilnego do roboty, zagłębia się w lekturze, pielęgnuje kwiaty bądź wsiada w samochód i jedzie po zakupy do sklepu Petersena. Jak matka w rzeczywistości spędza czas, prawdę mówiąc, nie miał pojęcia. Wiedział, że dużo czyta — Szekspira, Henry'ego Jamesa, Dickensa, Thomasa Hardy'ego — ale nie sądził, aby czytanie mogło wypełniać bez reszty jej dni. W środowe wieczory, dwa razy w miesiącu, uczestniczyła w zebraniach kółka czytelniczego, w którego skład wchodziło oprócz niej pięć

innych pań. Klubowiczki lubiły dyskutować o *Benito Cereno*, *Kwiatach zła*, *Bądźmy poważni na serio* i *Jane Eyre*. Helen Chambers przyjaźniła się z Lillian Taylor; łączyła je miłość do kwiatów, *Czarodziejskiej góry* i *Pani Dalloway*. Zbierały w ogrodzie nasiona przekwitłych kwiatów, a potem siadały przy ogrodowym stoliku, selekcjonowały nasiona i wsypywały je do papierowych torebeczek. O piętnastej piły czystą wodę z cytryną i zjadały kanapki bez skórek.

— Jesteśmy wytwornymi starszymi paniami! — doleciał kiedyś Ishmaela wesoły okrzyk Lillian. — Co byś powiedziała, Helen, gdybyśmy tak założyły malarskie kitle, niebieskie berety i zajęły się akwarelami? Czy jesteś gotowa zostać poplamioną farbami staruszką?

Helen Chambers była prosta w obejściu i zarazem dystygowana niczym Eleanor Roosevelt. Jej prostota osiągała rangę piękności; wygląd pani Helen mógł naprawdę robić wrażenie. Miała szeroki nos i szlachetne czoło. Na wyprawy do sklepiku w miasteczku wkładała płaszcz z wielbłądziej wełny, a do niego sztywny słomkowy kapelusz, ozdobiony wstążką i koronką. Śmierć męża wzmogła jej zainteresowanie książkami, jeszcze silniej rozbudziła miłość do kwiatów i potrzebę kontaktów z ludźmi. Stojąc w kościele u boku syna, witała przyjaciół i znajomych serdecznie i ze szczerą radością, jakiej on nie potrafił w sobie wzbudzić. Po nabożeństwie często zjadali razem lunch. Kiedy prosiła, żeby odmówił modlitwę dziękczynną, Ishmael tłumaczył, że pozostaje zatwardziałym agnostykiem — jak jego ojciec — i podejrzewa, że Bóg to ludzki wymysł.

— Przypuśćmy, że musiałbyś w tej chwili wybierać — odrzekła mu kiedyś. — Przypuśćmy, że ktoś przystawiłby ci pistolet go głowy i kazał wybierać: jest Bóg czy Go nie ma?

— Ale nikt mi nie przystawia pistoletu — odparł — więc nie muszę wybierać, prawda? W tym właśnie rzecz. Nie muszę wiedzieć na pewno, czy Bóg jest, czy Go nie ma, skoro...

— Tego się nigdy nie wie, synu. Czy w to wierzysz?

— Ja w ogóle w nic nie wierzę. Zwyczajnie nie mam do tego skłonności. Poza tym nie wiem, co rozumiesz przez słowo „Bóg”. Jeśli mi powiesz, kim On jest, mam, powiem ci, czy On moim zdaniem istnieje czy nie.

— Każdy wie, czym jest Bóg — odrzekła. — Ty to również przeczuwasz, czyż nie?

— Nie mam żadnych przeczuć na temat Boga. Nie czuję, żeby On był, nie czuję, że Go nie ma. Trudno, tak już jest, nic na to nie poradzę. Czy nie uważasz, że podobne uczucie powinno się człowiekowi po prostu przydarzać? Nie mogę go przecież w sobie wzbudzić, prawda? Być

może Bóg po prostu wybiera sobie niektórych ludzi, a reszta... zwyczajnie nie jest w stanie Go poczuć.

— Czułeś Go, będąc dzieckiem, Ishmaelu. Pamiętam, że wtedy Go czułeś.

— To było dawno. Uczucia dziecka to całkiem inna kwestia.

Siedząc teraz w kuchni matki z notatkami Philipa Milhollanda w kieszeni, Ishmael starał się odnaleźć w sobie przeczucie Boga, jakie miał, kiedy był mały, nie udawało mu się go jednak wskrzesić. Po powrocie z wojny próbował poczuć Boga, poszukać u Niego pociechy. Nic z tego jednak nie wyszło i w końcu zaniechał prób. Nie mógł dłużej ignorować faktu, że wyczuwa w całej tej sprawie żalosne oszustwo.

Wiatr załomotał oknem za jego plecami i zaciął o szyby śniegiem. Matka powiedziała, że ugotowała smaczną zupę z pięciu gatunków fasoli, cebuli, selera, łopatki wieprzowej oraz dwóch małych rzep, i zapytała, czy Ishmael jest już głodny. Co do niej, mogła jeść lub nie, jedzenie nie było dla niej ważne. Ishmael dołożył do pieca dwa jodłowe polana, postawił na ogniu czajnik z wodą i wrócił na swoje miejsce przy stole.

— Faktycznie masz tu ciepło — zauważył. — Nie musisz się martwić, że zmarzniesz.

— Zostań — zaproponowała. — Przenocuj. Mam trzy zapasowe kołdry. W pokoju będziesz miał chłodno, ale w łóżku powinno ci być ciepło. Po co masz wychodzić na taką śnieżycę? Zostań, będzie ci wygodnie.

Zgodził się zostać i matka nastawiła zupę. Pomyślał, że rano zakrzątnie się wokół druku gazety, a tymczasem nacieszy się ciepłem rodzinnego domu. Siedział z ręką w kieszeni płaszcza i zastanawiał się, czy nie powinien po prostu opowiedzieć matce o zapisku Philipa Milhollanda, który wykrał z archiwum latarni morskiej, a potem wrócić do miasteczka i wręczyć te trzy kartki sędziemu Fieldingowi. Nie zrobił jednak tego. Siedział i patrzył, jak za oknami kuchni zapada wieczorny zmierzch.

— Domyślam się — odezwała się matka — że ten proces o morderstwo bardzo cię pochłania.

— O niczym innym nie myślę — przyznał.

— Uważam, że to hańba — stwierdziła. — Parodia sprawiedliwości. Aresztowali tego biedaka tylko dlatego, że jest Japończykiem!

Ishmael zmilczał. Matka zapaliła świecę i postawiła ją na stole na spodeczku.



— A co ty o tym myślisz? — spytała. — Nie przysłuchiwałam się rozprawie, więc jestem ciekawa twojego zdania.

— Faktycznie, nie opuściłem ani minuty — odrzekł wymijająco.

Poczuł, że robi mu się zimno; nagłość tego chłodu bynajmniej go nie zaskoczyła. Zaciśnął palce na notatce Milhollanda.

— Jestem zmuszony sądzić, że jest winien — skłamał. — Wszystkie dowody świadczą przeciwko niemu. Oskarżyciel ma w zasadzie wygraną sprawę.

Opowiedział matce o krwi na osęce, o ranie na lewej stronie głowy Carla Heinego, o sierżancie, który zeznał, że Kabuo Miyamoto jest mistrzem w zadawaniu śmiertelnych ciosów kijem, o zeznaniu Ole Jurgensena, o długoletniej waśni rodzinnej o ziemię, o zeznaniach trzech rybaków, którzy stwierdzili niezależnie od siebie, że w noc morderstwa widzieli Kabuo Miyamoto na tym samym łowisku co Carla Heinego, wreszcie o podejrzanej lince cumowniczej. Opisał następnie postawę oskarżonego, który siedział na sali sztywny, jakby kij połknął, niewzruszony i beznamiętny. Nie wyglądał wcale na skruszonego winowajcę; nie poruszał głową, spojrzenie miał nieruchome, wyraz twarzy nieodgadniony. Sprawiał wrażenie człowieka dumnego i hardego w obliczu grożącego mu stryczka. Ishmael wyznał matce, że postawa Kabuo Miyamoto przypomniła mu o pogadance, jakiej wysłuchał na ćwiczeniach na wyspie Parris. Pewien pułkownik wyjaśniał rekrutom, że japoński żołnierz raczej zginie w walce, niż się podda. Wierność wobec ojczyzny i duma z tego, że jest Japończykiem, nie pozwalały mu na tak tchórzliwy czyn. Śmierć na polu walki nie przejmowała go lękiem, inaczej niż żołnierza amerykańskiego. Dla Japończyka życie po klęsce nie przedstawiało żadnej wartości. Wiedział, że splamiony hańbą porażki nie mógłby wrócić do domu. Nie mógłby też stanąć z podniesionym czołem przed swoim stwórcą, ponieważ jego religia żądała, aby umierał z honorem. Dobrze to sobie zapamiętajcie — ciągnął ów pułkownik: Japoniec woli umrzeć niż ponieść szwank na honorze, więc żołnierz amerykańskiej piechoty morskiej powinien mu w tym dopomóc. Inaczej mówiąc: nie bierzcie jeńców, najpierw strzelajcie, potem zadawajcie pytania. Wbijcie to sobie do głów: nieprzyjaciel nie ceni ani własnego, ani cudzego życia. Nie przestrzega też żadnych reguł. Podniesie ręce, udając, że się poddaje, zbliżasz się do niego, a okazuje się, że facet jest podłączony do bomby pułapki! Przebiegość i zdradliwość to typowe cechy Japończyka. Nigdy nie poznasz po jego gębie, co taki zółtek naprawdę myśli.

— To była oczywiście czysta propaganda — zakonkludował Ishmael. — Chcieli, żebyśmy zabijali nieprzyjaciół bez cienia skrupułów, żebyśmy ich uznali za jakiś gatunek podludzi. Choć to było chamskie i kłamliwe, muszę jednak z przykrością stwierdzić, że tamte opinie wciąż mi dźwięczą w uszach, kiedy patrzę na Kabuo Miyamoto, gdy tak siedzi nieruchomo z kamiennym wyrazem twarzy i martwym spojrzeniem. Jego twarz mogłaby im wręcz posłużyć do jednego z tych wojennych filmów propagandowych...

— Ja go znam — stwierdziła matka Ishmaela — i wiem, że to człowiek wyjątkowy, a z jego twarzy bije siła ducha. Walczył na wojnie, podobnie jak ty, synu, czy już o tym zapomniałeś? Zapomniałeś, że narażał życie dla ojczyzny?

— Zgoda, walczył, ale jaki to ma związek z zabójstwem Carla Heinego? Przyznaję ci rację, to człowiek, jak powiedziałaś, „wyjątkowy”. Zgoda, walczył na wojnie, ale jaki to ma związek z tą konkretną sprawą? Przyznaję, że nie rozumiem...

— Co najmniej taki jak twoja propagandowa pogadanka. Skoro pamiętasz o tamtych oszczerstwach i łączysz je w jakiś sposób z wyrazem twarzy Kabuo Miyamoto, powinieneś również pamiętać i o tym drugim fakcie, przez zwykłą po prostu uczciwość. W przeciwnym razie przestaniesz być obiektywny, staniesz się stronnicy w sposób krzywdzący dla oskarżonego. Ulegniesz uprzedzeniom.

— Wyraz twarzy oskarżonego nie ma tu nic do rzeczy! — bronił się Ishmael. — W ogóle niczyje wrażenia nie mają tu nic do rzeczy, zresztą podobnie jak uczucia. Liczą się tylko fakty, a te świadczą przeciwko niemu.

— Sam powiedziałeś, że proces jeszcze się nie skończył — zauważyła matka. — Obrona nie przedstawiła jeszcze swoich argumentów, a ty już jesteś gotów ferować wyrok skazujący. Wysłuchałeś kompletu argumentów oskarżenia, ale to jeszcze nie jest cała prawda, Ishmaelu, tak nigdy nie bywa. Nie mówiąc już o tym, że nagie fakty są tak przeraźliwie zimne. Sądziś, że można polegać tylko na suchych faktach?

— A na czym innym możemy polegać? Reszta jest dwuznaczna, złożona z samych emocji i przeczuć. Faktów można się przynajmniej trzymać, uczucia są ulotne.

— Ulotnij się więc razem z nimi — poradziła. — Jeśli jeszcze pamiętasz, jak to się robi, synu. Jeśli jeszcze potrafisz je w sobie odnaleźć. Jeśli nie zamieniłeś się jeszcze całkiem w sopel lodu.

Wstała i podeszła do pieca. Ishmael siedział za stołem i milczał. Podpierał ręką czoło i oddychał przez nos. Poczł się nagle wewnętrznie pusty — pustka wybuchła w nim ogromna, niczym bania z eterem, aż zabolaly go zebra — bardziej pusty niż przed chwilą, przed ostatnimi słowami matki. Co ona mogła wiedzieć o bezkresnej pustce, w jakiej zawsze tonął? Co ona w ogóle o nim wie? Owszem, znała go, gdy był dzieckiem, lecz to coś zupełnie innego niż akceptacja ran jego dorosłego życia. Koniec końców nic o nim nie wiedziała, a on nie umiał się przed nią odsłonić. Nie miał ochoty tłumaczyć się ze swojego chłodu ani w ogóle odkrywać przed nią serca. Wystarczyło mu, że patrzył na jej rozpacz po śmierci męża, dzięki której rozumiała, że cierpienie może przyłgnąć do człowieka na zawsze, co Ishmael dawno już odkrył. Najpierw przylega, a potem zagnieżdża się w duszy, mości w niej legowisko i zalega. Żywi się tym, co w człowieku ciepłe, aż zostanie w nim tylko sam chłód, z którym taki nieszczęśnik musi nauczyć się żyć.

Matka stała się zimna po śmierci Arthura; rozpacz po stracie męża na zawsze w niej zamieszkała. Ishmael uświłdomił sobie jednak, że wcale jej to nie przeszkodziło cieszyć się życiem. Stała oto przy piecu i nalewała chochlą zupę z błogim spokojem człowieka, który ma pewność, że coś takiego jak łaska istnieje. Cieszył ją zapach zupy, ciepło bijące od pieca i cień jej własnej postaci, jaki świeca rzucała na ścianę. Ta tonąca w półmroku kuchnia w domu jego matki była jedynym naprawdę ciepłym i zacisznym miejscem na świecie, a mimo to Ishmael czuł w sobie straszną pustkę.

— Jestem nieszczęśliwy — wyszeptał. — Poradz mi, co robić.

Matka nie od razu mu odpowiedziała. Najpierw postawiła przed nim na stole talerz zupy, potem drugi dla siebie, następnie krajalnicę z bochenkiem chleba, maselniczkę i łyżki.

— Jesteś nieszczęśliwy — stwierdziła siadając. Oparła łokcie na stole i podparła rękami brodę. — Muszę ci powiedzieć, że to rzuca się w oczy.

— Poradz mi, co robić — powtórzył.

— Mam ci poradzić, co masz robić? — zapytała. — Ja ci tego nie powiem, Ishmaelu. Próbowałam zrozumieć, co to znaczy pójść na wojnę, stracić rękę, nie ożenić się i nie mieć dzieci. Próbowałam cię zrozumieć, wierz mi, próbowałam się wczuć w twoje położenie. Muszę jednak wyznać, że choć się bardzo starałam, nie potrafiłam cię zrozumieć. Ostatecznie inni chłopcy też wrócili z wojny i jakoś ułożyli sobie życie. Znaleźli sobie dziewczęta, pożenili się, założyli rodziny, mają dzieci, choć też dużo przeszli. Tymczasem ty... tyś jakby odrętwiał,

Ishmaelu. Od powrotu z wojny żyjesz jak odrętwiały. Nie wiem, jak ci pomóc, nie wiem, co o tym sądzić. Modliłam się za ciebie i rozmawiałam z pastorem...

— Na atolu Tarawa też się niektórzy modlili — wtrącił — a jednak zginęli, mamó. Podobnie jak ci, którzy się nie modlili. Modlitwy niczego nie zmieniały.

— Mimo to modliłam się za ciebie. Chciałam, żebyś był szczęśliwy, synku, ale nie wiedziałam, jak ci pomóc.

W milczeniu zjedli supę, zagryzając chlebem. Czajnik pyrkotał na ogniu, świeca rzucała na stół krąg światła, a za szybą zaporowanego okna śnieg jaśniał odbitym blaskiem księżyca, który co chwila wyglądał zza chmur. Ishmael spróbował się cieszyć drobnymi radościami życia: ciepłem, światłem i chlebem. Nie miał ochoty opowiadać matce o Hatsue Miyamoto ani o tym, że przed laty pragnął ją poślubić, ani o dziupli w pniu cedrowego drzewa, gdzie tak często się spotykali. Nikomu o tym nie opowiadał. Uczynił, co w jego mocy, aby o wszystkim zapomnieć. A teraz proces Kabuo odświeżył tamte bolesne wspomnienia.

— Twój ojciec walczył pod Bellau Wood — odezwała się nagle matka. — Trwało lata, zanim się uporał z tamtymi przeżyciami. Śniły mu się po nocach koszmary, męczył się okropnie, zupełnie jak ty teraz. Ale to mu przecież nie przeszkodziło żyć!

— Nie uporał się z tamtymi przeżyciami — mruknął Ishmael. — To w ogóle nie jest możliwe.

— Nie przeszkodziło mu to jednak żyć — powtórzyła z uporem. — Nie odwrócił się plecami do życia. Nie pozwolił, żeby go zjadło uzalanie się nad samym sobą. Robił, co do niego należało.

— Ja też to robię. Prowadzę przecież dalej jego gazetę, prawda? Widzisz, ja...

— Nie o to mi chodzi! Nie do tego zmierzam. Wiesz równie dobrze jak ja, co chcę powiedzieć. Powiedz mi: dlaczego ty się nigdy z nikim nie umówisz, nigdzie się nie wybierzesz? Jak możesz tak żyć sam jak palec? Jesteś przecież atrakcyjnym mężczyzną! Mnóstwo kobiet...

— Nie wracajmy już do tego — poprosił i odłożył łyżkę. — Porozmawiajmy lepiej o czymś innym.

— A o czym tu innym rozmawiać? Jeśli mam ci odpowiedzieć na pytanie, co masz zrobić, żeby przestać być nieszczęśliwym, proszę, oto moja odpowiedź: ożeń się i postaraj o kilkoro dzieci.

— Nic z tego — mruknął. — To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

— Wyobraź sobie, że jest! Jestem o tym absolutnie przekonana!

\* # #

Po kolacji Ishmael zapalił naftowy piecyk i wstawił go do sypialni matki. Szafkowy zegar rodziców mimo upływu lat wciąż tykał z maniakalną wytrzymałością. Przypomnił Ishmaelowi niedzielne poranki, kiedy ojciec czytał mu w łóżku, a w tle grzmiało owo tykanie. Czytając na zmianę, przeczytali w ten sposób *Ivanhoe*, a potem *Davidą Copperfielda*. Ishmael stwierdził w świetle latarki, że matka sypia pod pikowanymi narzutami, które zaczynały już żółknąć. Ze zdziwieniem odkrył, że przy jej łóżku stoi zabytkowy gramofon firmy RCA, który do niedawna stał w dawnym gabinecie ojca. Matka słuchała symfonii *Jowiszowej* Mozarta w wykonaniu wiedeńskiej orkiestry symfonicznej z roku 1947. Zobaczywszy tę płytę na talerzu gramofonu, Ishmael wyobraził sobie, jak matka leży wieczorem w łóżku, popija herbatę ze stojącej na nocnym stoliku filiżanki i słucha tej melancholijnej muzyki.

Odkręcił krany nad zlewem oraz wanną i wyszedł na dwór, żeby sprawdzić, jak się mają kury. Było ich dwanaście, samych czerwonych niosek. Zbite w gromadkę, siedziały w końcu kurnika, który przed laty zbudował Arthur Chambers. Ishmael przesunął po nich promieniem latarki, a potem podniósł leżące na ziemi jajko. Było twarde jak kamień, więc domyślił się, że mieszczący się w środku embrion zamarzł. Ishmael ogrzewał je przez chwilę w dłoni, po czym poturlał ostrożnie w stronę kur. Poruszyły się spłoszone i zatrzepotały skrzydłami.

Wrócił do domu i przeszedł przez zimne pokoje, nie zdjęwszy palta ani kapelusza. Oddech wychodził mu z ust kłębamii pary i rozwiewał się w ciemności. Ishmael oparł się o słupek balustrady schodów i oświetlił je od dołu promieniem latarki. Stopnie były wydeptane w płytkie półksiężyce, poręcz też straciła dawny połysk. Pokój na pięterku, w którym mieszkał jako chłopiec, służył matce jako garderoba, pomieszczenie do szycia i prasowania. Ishmael wszedł na górę, usiadł na swoim starym łóżku i spróbował sobie przypomnieć, jak wyglądało tu dawniej. Pamiętał, że w pogodne dni zimowe, gdy klony stały bezlistne i nagie, z mansardowego okna facjatki widział zielonkawę wody oceanu.

Miał zbiór guzików i proporczyków, tysiąc drobnych monet w kamiennym dzbanie i akwarium, a w kącie wisiał na drucie cynowy model fordą. W rogu szafki trzymał oszklone pudełko do nurkowania, na którym leżała zwykle rękawica baseballowa. W niektóre noce przez mansardowe okno wpływała poświata księżycą i kładła na ścianach i podłodze niebieskawę,

tajemnicze cienie, które nie dawały chłopcu zasnąć. Siedział i słuchał cykania świerszczy, rzęgotu żab, a niekiedy stojącego przy łóżku radia. Najczęściej słuchał transmisji z meczów drużyny baseballowej Seattle Rainiers, która grała w lidze Pacyfiku. Dotąd miał w uszach głos sprawozdawcy Leo Lassena, ledwo słyszalny wśród trzasków zakłóceń atmosferycznych: „White stoi na pierwszej mecie. Tańczy, tańczy, szuka się do zdobycia pierwszych punktów, czym doprowadza Gittelsohna do białej gorączki... Strange po rozgrzewce stanął na mecie domowej... Czy państwo słyszą, jak ta cudowna, wspaniała publiczność, zebrana na stadionie Sieka, wita huraganem braw Strange’a, swojego ulubieńca? Strange przybiera pozycję... ach, jaka szkoda, że państwo tego nie widzą! Wierzchołek Mount Rainier wznosi się za ogrodzeniem prawego zapola niczym gigantyczny stożek lodów. Gittelsohn bierze zamach i...!! White pędzi co sił w nogach. Nie, nie zdąży odrzucić piłki! White dopadł drugiej mety! Jaka szkoda, że państwo tego nie widzą! White stoi na drugiej mecie! Zdobył drugą metę! Co tu się dzieje, Boże święty, istny szal na trybunach!”

Ojciec Ishmaela także lubił baseball. Ishmael zasiadał obok niego przy radiu w saloniku i słuchali jak zahipnotyzowani gorączkowego sprawozdania Leo Lassena, który relacjonował przebieg meczu rozgrywanego wiele mil od ich domu, gdzieś w Seattle, Portland lub Sacramento. Komentator zniżał głos, przyspieszał, to znów zwalniał swą narrację, przeciągał zgłoski, wpadał w ton wujcia safandudy, który zanudza opowieściami o ostatnim meczu golfowym, prześlizgiwał się z cudowną zręcznością nad przejęzyczeniami, to znów odkrywał nagle głębokie znaczenia w zwyczajnej grze słów. Arthur klepał poręcz fotela, gdy jego drużyna zwyciężała; smutniał, gdy popełniała błędy i zaczynała przegrywać. W przerwach meczu wyciągał wygodnie nogi, spletał dłonie na kolanach i topił wzrok w gadającym radioodbiorniku. W końcu zasypiał ze zwieszoną głową i trwał w tej pozycji, dopóki nie wyrwał go z drzemki ekstatyczny krzyk rozemocjonowanego grą Leo Lassena: Freddy’emu Muellerowi wyszło uderzenie za dwie mety...!

Ishmael zachował w pamięci obraz ojca drzemiącego w kręgu światła stołowej lampy, który obejmował również odbiornik radiowy i rozłożone na stole pisma — „Harpera” bądź „Scientific Agriculture”. W czasie ostatnich zmian w meczu pozostałą część pokoju (pod rusztem kominka żarzyło się jeszcze kilka dogasających węgielków) spowijały ciepłe, ciche cienie. Na lśniących mosiężnych haczykach w przedpokoju wisały palta, a książki ojca, uszeregowane według rozmiarów, stały porządnie w dwóch oszklonych dębowych biblioteczkach, podobnych

do sarkofagów. Kiedy w meczu zdarzyło się coś ważnego — udany bieg do mety domowej, zdobyta meta, uderzenie za dwie mety, chwycony przed metą pałkarz — ojciec ocykał się, mrugał powiekami i sięgał z nawyku po leżące na gazecie okulary. Siwe kosmyki włosów lepiły mu się do czaszki, a broda zadzierała się z lekka. Z uszu i z nosa wystawały mu szare kłaczki, takie same jak w krzaczastych brwiach. Gdy mecz dobiegał końca, Arthur wyłączał radio i ostrożnie wkładał okulary, zawijając ich druciki za uszy. Były to staromodne, druciane okulary, okrągłe jak księżyc w pełni, więc kiedy je wkładał, upodabniał się nagle do uczonego profesora, odznaczającego się jednak zdrowym wyglądem ludzi, którzy pracują na świeżym powietrzu. Podnosił z kolan gazetę i jakby nigdy nic wracał do lektury.

Ojciec Ishmaela zmarł w szpitalu dla weteranów wojennych w Seattle; miał raka trzustki z przerzutami do wątroby. Ishmael nie był przy jego śmierci. Na pogrzeb Arthura Chambersa, który odbył się pewnego ciepłego, bezchmurnego czerwcowego dnia na cmentarzu wojskowym w San Pedro, przybyło stu siedemdziesięciu mieszkańców wyspy. Ishmael przypomniał sobie, że Masato Nagaishi złożył mu po pogrzebie kondolencje w imieniu Towarzystwa Przyjaźni Japońsko-Amerykańskiej i Ogniska Japońskiego.

— Chciałbym, aby pan wiedział — oświadczył pan Nagaishi — że wszyscy mieszkańcy San Pedro pochodzenia japońskiego są niezmiernie zasmuceni śmiercią pańskiego ojca. Żywiliśmy dlań zawsze najgłębszy szacunek jako dla dziennikarza, sąsiada i uczciwego, współczującego człowieka, naszego przyjaciela i przyjaciela wszystkich ludzi. — Masato Nagaishi, rosły mężczyzna o szerokiej twarzy, łysy jak kolano i często mrugający powiekami za szklami okularów, ujął dłoń Ishmaela i krzepko ją uściśnął. — Jesteśmy pewni, że pójdzie pan w ślady ojca — oznajmił z przekonaniem, potrząsając ręką młodego Chambersa. — Jesteśmy przekonani, że uszanuje pan jego spuściznę. Tymczasem łączymy się z panem w żalu po jego stracie. Bolejemy wraz z panem i czcimy pamięć pańskiego ojca. Współczujemy panu w żałobie.

Ishmael otworzył szafę i przyjrzał się upchniętym wewnątrz pudłom. Od ponad ośmiu lat nie przeglądał rzeczy, które w nie zapakował. Stracił już zainteresowanie dla ich zawartości — książek, grotów strzał, szkolnych wypracowań, kolekcji porporczyków, dzbana pełnego drobniaków, zbioru guzików, oszklonego pudełka do nurkowania i kamyków zebranych na plaży. To wszystko należało do reliktyw na zawsze minionej przeszłości. Przyszło mu natomiast do głowy, żeby wygrzebać list, który Hatsue napisała do niego z Manzanaru, i po latach przeczytać

go znowu. Od momentu ich spotkania na zaśnieżonej drodze, gdy podwiózł ją i jej ojca, zaczął folgować własnym zachciankom. W głębi duszy myślenie o Hatsue sprawiało mu przyjemność.

List był schowany w pudle dokładnie tam, gdzie go ukrył: między kartkami książki o żeglarstwie, którą dostał na trzynaste urodziny. Jako nadawca figurował na kopercie Kenny Yamashita, a znaczek, rzecz dziwna, przyklejono „do góry nogami”. Skruszała ze starości koperta była sucha i chłodna w dotyku. Ishmael wetknął latarkę pod pachę i z kopertą w ręku usiadł na brzegu łóżka. List został napisany na papierze ryżowym, który z upływem lat nadwątlał i łatwo się kruszył, toteż Ishmael ujął go w palce z wielką delikatnością, na jaką skądinąd ten list w pełni, jego zdaniem, zasługiwał. Umieścił go przed reflektorem latarki i ujrzał w kręgu światła staranne pismo Hatsue.

*Drogi Ishmaelu!*

*Nielatwo mi pisać do Ciebie — nie wyobrażam sobie bolesniejszego zadania niż napisanie tego listu. Z oddalenia setek kilometrów wszystko mi się wydaje inne, niż było wtedy, kiedy się widzieliśmy ostatnio na San Pedro. Korzystając z dzielącego nas oddalenia, spróbowałam sobie wszystko jeszcze raz przemyśleć i oto do jakich doszłam wniosków:*

*Nie kocham Cię, Ishmaelu. Nie widzę uczciwszego sposobu oznajmienia Ci tego niż takie bezceremonialne oświadczenie. Od samego początku, kiedy byliśmy jeszcze dziećmi, miałam niejasne wrażenie, że coś jest nie tak. Czułam to przy każdym spotkaniu, gdzieś głęboko w duszy. Kochałam Cię, a jednocześnie nie kochałam, co wprawiało mnie w zakłopotanie i zamęt. Teraz wszystko mi się wyjaśniło i czuję, że powinnam napisać Ci prawdę. Kiedy spotkaliśmy się ostatni raz w dziupli naszego cedru i poczułam, jak się o mnie ocierasz, zrozumiałam nagle, że wszystko jest nie tak, jak być powinno. Zrozumiałam, że nigdy nie będzie między nami prawdziwej bliskości i że wkrótce będę Ci musiała to wyznać. Wyznaję Ci to teraz, w tym liście. Piszę do Ciebie po raz ostatni, Ishmaelu. Nie jestem już Twoja.*

*Życzę Ci szczęścia. Serce masz szlachetne, jesteś łagodny i dobry. Jestem pewna, że dokonasz w życiu wielkich rzeczy, ale teraz jestem zmuszona Cię pożegnać. Postaram się ułożyć sobie życie najlepiej, jak umiem, i Tobie też tego życzę.*

*Bądź zdrów*

*Hatsue Imada*



Ishmael przeczytał list jeszcze dwa razy, po czym zgasił latarkę. Myślał o tym, że Hatsue doznała olśnienia w momencie, kiedy w nią wszedł, jakby inwazja jego penisa odsłoniła przed nią prawdę, której inaczej nie była w stanie odkryć. Zamknął oczy i wrócił pamięcią do dziupli cedru i tej krótkiej chwili, kiedy poruszał się w ciele Hatsue, co okazało się doznaniem przyjemniejszym, niż sobie wyobrażał. Nie miał pojęcia, czego dozna, kiedy się w nią wdrze — tak głęboko, że aż poczuł ciepło jej wnętrza — a ledwo zdążył się zdumieć ogromem przeżywanej rozkoszy, dziewczyna nagle się cofnęła. Nie miał wytrysku, przebywał we wnętrzu jej ciała wszystkiego kilka sekund. W tym krótkim czasie jeśli w liście napisała prawdę — Hatsue odkryła, że już go nie kocha, natomiast on pokochał ją tym bardziej. Czy najdziwniejsze nie było właśnie to, że zagłębiwszy się w jej ciele, pozwolił Hatsue odkryć prawdę? Marzył o tym, żeby znowu się w niej znaleźć; pragnął, by sama go o to poprosiła, tymczasem ona nazajutrz wyjechała!

W latach pobytu w Seattle spał z trzema kobietami, z których dwie wzbudziły w nim przelotnie nadzieję na prawdziwą miłość, ale w końcu nic z tego nie wyszło. Jego kochanki pytały go często o amputowaną rękę, więc opowiadał im o swych wojennych przeżyciach, ale potem szybko tracił do nich szacunek, a nawet budziło się w nim coś w rodzaju odrazy. Przekonał się bowiem, że jako wojenny inwalida bez ręki pociąga pewien rodzaj kobiet, które przekroczywszy dwudziesty rok życia wyobrażały sobie zaraz, że są szalenie dojrzałe i brały siebie bardzo poważnie. Sypiał z nimi jeszcze przez parę tygodni po podjęciu decyzji o ich porzuceniu — przepełniony gniewem i nieszczęśliwy, bo dokuczała mu świadomość własnej samotności i egoizmu. Spółkował z nimi często i brutalnie, nie pozwalając zasnąć do północy, brał je też wieczorem, przed kolacją. Doskonale wiedział, że gdy poprosi aktualną kochankę, aby zniknęła na zawsze z jego życia, będzie jeszcze bardziej samotny niż przedtem, więc w obu przypadkach zwlekał przez kilka tygodni przed ostatecznym zerwaniem, tylko po to, żeby mieć kogoś na noc, żeby się zagłębiać w czyimś ciele, żeby słyszeć, jak ten ktoś jęczy i dyszy, gdy on, zamknawszy oczy, wykonuje miednicą posuwiste ruchy. A potem ojciec przyjechał do miasta, żeby umrzeć, i Ishmael całkiem zapomniał o kobietach. Arthur Chambers skonał pewnego popołudnia, kiedy Ishmael siedział w redakcji „Seattle Times”, wystukując pięcioma palcami jakąś notatkę na maszynie. Pojechał na San Pedro tylko na pogrzeb ojca i dla zamknięcia jego spraw, tymczasem został na wyspie i podjął wydawanie gazety. Wynajął mieszkanie w Amity

Harbor i zaczął prowadzić życie samotnika, na ile to w ogóle możliwe dla dziennikarza na małej wysepce.

Średnio co dwa tygodnie onanizował się w chusteczkę i do tego się ograniczało jego życie erotyczne.

Postanowił napisać do „Kuriera San Pedro” artykuł, na którym tak zależało Hatsue. Ojciec by tak prawdopodobnie nie postąpił; no cóż, trudno — nie był swoim ojcem. Arthur Chambers, rzecz oczywista, już kilka godzin temu pojechałby prosto do Lew Fieldinga i przedstawił mu notatkę straży granicznej, sporządzoną nocą piętnastego września. On, Ishmael, nie umiał się na to zdobyć, jeszcze nie w tej chwili. Raport pozostanie w jego kieszeni. Jutro napisze artykuł, jakiego oczekiwała od niego Hatsue, czym ją zobowiąże wobec siebie, więc gdy po procesie zbliży się do niej jako sojusznik, będzie musiała go wysłuchać. To był sposób pewny, skuteczna metoda. Siedząc w swoim dawnym, zimnym pokoju z listem Hatsue w ręku, Ishmael wyobrażał sobie, jak to się odbędzie.

O ósmej rano w trzecim dniu procesu Nels Gudmundsson powołał pierwszego świadka obrony. Z ostatniego rzędu miejsc dla publiczności — sala rozpraw, oświetlona kilkunastoma wysokimi świecami, przypominała kaplicę lub wnętrze świątyni — wyszła żona oskarżonego Hatsue Miyamoto. Włosy miała upięte w kok i wsunięte pod skromny, pozbawiony wszelkich ozdób kapelusz, który rzucał cień na jej oczy. Przechodząc przez wahadłową bramkę, której skrzydło Nels Gudmundsson uprzejmie przed nią otworzył, zatrzymała się na chwilę i spojrzała na męża, który siedział w lewo od niej ze splecionymi na stole dłońmi. Nie zmieniając spokojnego wyrazu twarzy, skinęła mu w milczeniu głową, a on odpowiedział jej w podobny sposób, po czym rozplótł dłonie, położył je płasko na stole i utkwiał uważne spojrzenie w oczach żony. Wydawało się przez chwilę, że Hatsue Miyamoto podejdzie do męża, tymczasem ona zbliżyła się bez pośpiechu do Eda Soamesa, który ze Starym Testamentem w ręku czekał cierpliwie przed miejscem dla świadka.

Kiedy usiadła, Nels Gudmundsson odkasznął trzy razy w zaciśniętą pięść i odchrząknął, by oczyścić gardło. Następnie, założywszy na powrót kciuki pod szelki, łzawiąc ze zdrowego oka, przeszedł przed podium ławy przysięgłych. Jak zawsze, gdy był niewyspany, pulsowały mu żyłki na skroniach. Podobnie jak większość zebranych miał za sobą ciężką noc bez prądu i ogrzewania. Nad ranem, zdrętwiały z zimna, zapalił zapałkę i oświetlił tarczę kieszonkowego zegarka; było wpół do trzeciej. Następnie podreptał w skarpetkach do łazienki i stwierdził, że woda w sedesie zamarzła. Postępując i wydychając z ust kłęby pary, rączką przepychacza rozbił lód, oparł się o ścianę — lumbago męczyło go niemiłosiernie — i z trudem oddał mocz. Potem wrócił do łóżka, zwinął się niczym jesienny liść pod wszystkimi kocami, jakie znalazł w domu, i przeleżał w tej pozycji do świtu, nie mogąc zasnąć. Teraz, w sali rozpraw, sędziowie przysięgli mogli zobaczyć, że jest nie ogolony i nie uczesany. Postarzał się co najmniej o dziesięć lat. Lewa, ślepa źrenica adwokata sprawiała tego ranka wrażenie wyjątkowo rozbieganej. Kręciła się po własnej, dziwacznej orbicie, jakby całkiem wyrwała mu się spod kontroli.

Wszystkie miejsca na sali były zajęte, jak zresztą od pierwszego dnia procesu. Wielu spośród widzów siedziało w paltach, śniegowcach i wełnianych szalikach. Woleli nie zostawiać ich w szatni, tak się spieszyli, by dopaść wolnych miejsc. Wnieśli na salę zapach mokrego śniegu, który topniał i wsiąkał w wełniane okrycia. Radzi, że znaleźli się w suchym pomieszczeniu, czekali niecierpliwie na rozwój wydarzeń. Poupychawszy w kieszeniach

rękawiczki i wełniane czapki, zasiedli wygodnie, świadomi wyjątkowego przywileju, jakim była możliwość chwilowej ucieczki od śnieżycy. Zachowywali się — jak zwykle — z nabożnym szacunkiem, ponieważ prawo traktowali serio i korzyli się przed jego majestatem, bijącym zza stołu, za którym z półprzymkniętymi oczami siedział nieprzenikniony i zamyślony Lew Fielding, oraz z podium, na którym, pogrążeni w zadumie, zasiadali w rzędach sędziowie przysięgli. Co się tyczy reporterów, ci skupili uwagę na żonie oskarżonego, która tego dnia miała na sobie plisowaną spódnicę i bluzkę z długimi zaszewkami na ramionach. Jej dłoń na Biblii była bardzo zgrabna, a twarz wyjątkowo gładka. Jednemu z reporterów (zaraz po wojnie mieszkał w Japonii, gdzie uczył inżynierów samochodowych, jak pisać podręczniki) jej niewzruszony spokój przypominał pewną gejszę, która w Nara odprawiała ceremonię parzenia herbaty. Widok twarzy Hatsue z profilu przypominał mu zapach sosnowego igliwia, jakim posypano dziedziniec przed herbaciarnią.

W duszy Hatsue nie było jednak prawdziwego spokoju. Jej opanowanie było wyćwiczoną maską, wiedziała bowiem, że jej mąż stanowił dla niej zagadkę od dnia powrotu z wojny przed dziewięcioma laty. Przyjechał na San Pedro i wynajęli chatę przy Bender Spring Road, wysadzaną olszyną, kończącej się ślepo drodze, skąd nie widzieli żadnych innych domów. Kabuo prześladowały w nocy niespokojne sny; zrywał się z łóżka, w pantoflach i szlafroku siadał przy stole w kuchni i pił herbatę, patrząc tępo w przestrzeń. Hatsue stwierdziła wkrótce, że jest żoną weterana wojennego i ten fakt całkowicie odmienia ich małżeństwo. Wojna wzbudziła w Kabuo nieustanne poczucie winy, które cieniem kładło się na jego duszy. Dla Hatsue oznaczało to konieczność okazywania mężowi miłości w zupełnie inny sposób, jakiego sobie nawet nie wyobrażała przed pójściem Kabuo na wojnę. Nie było w tym nic z miłosierdzia, nie chodziła na paluszkach wokół jego obolałej duszy, nie pielęgnowała jego smutku, nie falgowała zachciankom, za to całkowicie się z jego przygnębieniem zespoliła, nie po to, by męża pocieszać, ale żeby dać mu czas na odzyskanie dawnej równowagi ducha. Bez użalania się nad sobą uznała swoją powinność żony wobec towarzysza życia i z ochotą usunęła się na drugi plan. Poświęcenie się jego cierpieniu nadało jej życiu nowy kształt i wymiar, bez porównania ważniejszy od wymarzonego ideału żony plantatora truskawek; choć przynosiło przecież nie samą satysfakcję, ale wymagało znacznego wysiłku. O trzeciej nad ranem siadywała naprzeciwko Kabuo przy kuchennym stole; on patrzył w milczeniu w przestrzeń, opowiadał lub płakał, a ona brała do własnego serca taką część jego smutku, jaką była w stanie pomieścić.

Początek jej ciąży przypadł na okres nieco dla Kabuo pomyślniej szy. Dostał pracę w fabryce konserw, gdzie u boku swego brata Kenji pakował łososie. Zaczął nawet przebąkiwać o kupnie farmy i obwoził Hatsue po wyspie, ilekroć usłyszał o ziemi na sprzedaż. Oferowane działki miały jednak zawsze jakieś wady — a to zły system odwodnienia, a to niedostateczne nasłonecznienie, a to zbyt gliniastą glebę. Pewnego deszczowego popołudnia Kabuo zatrzymał samochód na poboczu drogi i poważnym tonem oznajmił żonie, że jak tylko nadarzy się okazja, zamierza odkupić dawną farmę rodziców. Po raz nie wiadomo który opowiedział Hatsue, jak to nie zdążyli wpłacić ostatniej raty, by wejść automatycznie w posiadanie siedmiu akrów ziemi, jak to Etta Heine oszukała jego rodziców i sprzedała ich ziemię Ole Jurgensenowi, o tym wreszcie, że działka miała przejść na jego nazwisko, ponieważ był najstarszym synem i pierwszym z członków rodziny Miyamoto, który miał otrzymać obywatelstwo. Stracili wszystko z powodu Manzanaru. Ojciec umarł na raka żołądka, matka wyjechała do Fresno do córki, która wyszła tam za mąż za sprzedawcę mebli. Kabuo uderzył pięścią w kierownicę i przeklął niesprawiedliwość świata.

— Okradli nas — powiedział gniewnie — i uszło im to płazem!

W pół roku po jego powrocie z wojny Hatsue obudziła się którejś nocy i stwierdziła, że Kabuo nie leży w łóżku; nie znalazła go również w domu. Pełna niepokoju, przez godzinę i kwadrans siedziała w ciemnej kuchni. Zaczynał deszcz, noc była wietrzna, a ich auto z garażu zniknęło.

Czekała. Dotykała ręką wzdętego brzucha i wyobrażała sobie kształt dziecka. Miała nadzieję, że się poruszy pod jej dłonią. Dach nad spizarnią przeciekał, więc wstała po jakimś czasie, żeby opróżnić rondel, który podstawiła pod kapiące krople. Kabuo wrócił około czwartej nad ranem z dwoma jutowymi workami, przemoczony do nitki, w ubłoconych spodniach. Zapaliwszy w kuchni światło, zobaczył siedzącą nieruchomo za stołem i przyglądającą mu się w milczeniu Hatsue. Patrząc na nią, postawił jeden z worków na podłodze, drugi na krześle, po czym zdjął kapelusz.

— Mój ojciec zakopał to po Pearl Harbor — oznajmił i zaczął wyjmować przedmioty z worka i układać je pieczołowicie na stole.

Były tam drewniane miecze, spodnie *hakama*, *bokken*, *naginata*, jakieś spisane po japońsku zwoje.

— To własność mojej rodziny — wyjaśnił Kabuo, ocierając z czoła krople deszczu. — Mój ojciec ukrył to na naszej truskawkowej farmie. Spójrz tylko na to zdjęcie.

Przedstawiało młodziutkiego Kabuo, ubranego jak aktor *bugeisha*, trzymającego oburącz kij do *kendo*. Na fotografii miał ledwo szesnaście lat, ale wyglądał jak groźny i dziki wojownik. Hatsue długo przyglądała się zdjęciu, szczególnie oczom i ustom Kabuo, chcąc się przekonać, czy nie uda jej się czegoś z nich wyczytać.

— Mój pradziadek — powiedział Kabuo, zdejmując płaszcz — był samurajem i dzielnym żołnierzem. Popęcił samobójstwo, *sepuku*, na polu bitwy pod Kumamoto, zadając sobie śmierć własnym mieczem. — Kabuo odegrał pantomimicznie scenę wypruwania sobie wnętrzości, wbijając wyimaginowany miecz głęboko pod lewy bok i przeciągając go równym ruchem ku prawemu. — Przybył na pole bitwy uzbrojony jedynie w miecz samuraja, mając przeciw sobie karabiny cesarskiego garnizonu. Spróbuj to sobie wyobrazić, Hatsue: stanął do bitwy z nagim mieczem przeciwko karabinom! Wiedział, że zginie.

Kabuo ukląkł obok mokrego worka i wyjął z niego krzewinę truskawki. Deszcz bębnił o dach i ścianę domu. Kabuo wyjął jeszcze jedną roślinkę i zbliżył obie do światła nad stołem, żeby Hatsue mogła się im lepiej przyjrzeć, jeśli ma ochotę. Wyciągnął je do niej, a ona dostrzegła przede wszystkim, jak nabrzmiały mu na rękach żyły, jakie mocne ma palce i jakie grube nadgarstki.

— Mój ojciec sadził przodków tych truskawek — powiedział z przejęciem Kabuo. — Jako dzieci żywiliśmy się ich owocami. Czy ty mnie rozumiesz?

— Wracaj do łóżka — poprosiła. — Wykap się, wysusz i kładź się do łóżka.

Wstała i odeszła od stołu. Zdawała sobie sprawę, że patrząc na nią z boku, Kabuo może zauważyć odmieniony kształt jej figury.

— Niedługo zostaniesz ojcem — przypomniała, obracając się w drzwiach. — Mam nadzieję, że to cię uczyni szczęśliwym, Kabuo. Mam nadzieję, że zapomnisz o swoich przeżyciach. Nie znam innego sposobu, w jaki mogłabym ci pomóc.

— Odzyskam farmę — zapowiedział Kabuo, przekrzykując bębnienie deszczu. — Zamieszkamy tam i zaczniemy uprawiać truskawki. Nasze życie się poprawi. Zamierzam odzyskać moją farmę!

To było wiele lat temu — dziewięć lub niemal tyle. Prowadzili oszczędne życie, odkładali, ile się dało, aż zbierali sumę wystarczającą na kupno własnego domu. Hatsue chciała

się jak najprędzej wyprowadzić z walącej się rudery, jaką wynajmowali na końcu Bender's Spring Road, lecz Kabuo przekonał ją, że lepszym rozwiązaniem będzie wydzierżawienie kutra. Za parę lat, tłumaczył, podwoją kapitał, staną się właścicielami łodzi i zostanie im jeszcze dość pieniędzy na zakup ziemi. Ole Jurgensen się starzeje i niedługo zacznie się wyprzedawać — dodał.

Kabuo tyrał jak wół, lecz nie urodził się, prawdę mówiąc, na rybaka. Rybołówstwo bywało intratnym zajęciem, a jemu ogromnie zależało, żeby się dorobić, był ambitny, silny, pracowity, ale w końcu okazało się dobitnie, że nie ma serca do morza. Nie podwoili kapitału, daleko im było do tego, i nie stali się pełnoprawnymi właścicielami „Islandera”. Kabuo tyrał tylko coraz ciężiej i mierzył swe życiowe sukcesy liczbą łososi, jakie udało mu się przynieść do domu. Każdej nocy, gdy nie wychodził w morze, czuł, że wymarzona plantacja truskawek coraz bardziej się od niego oddala. Obwinał się za to i stawał się szorstki dla żony, co tylko przyczyniało nowych cierpień w ich małżeństwie. Hatsue czuła, że Kabuo ma jej za złe to, że nie jest skłonna się nad nim użalać. Z coraz większym trudem odróżniała te jego złe nastroje od prawdziwego, głębokiego cierpienia, spowodowanego wojennymi przeżyciami. Poza tym miała teraz trójkę dzieci, którymi musiała się zająć i dać im choć część tego, co kiedyś dawała mężowi. Miała nadzieję, że dzieci złagodzą napięcie Kabuo. Liczyła na to, że dzięki nim osłabnie jego obsesyjne marzenie o innym życiu. Ona sama już się z tym marzeniem pożegnała. Owszem, byłoby przyjemnie mieszkać w lepszym domu i w czerwcowy poranek móc wyjść na powietrze przepojone zapachem truskawek. Ten jednak dom i takie życie, jakie wiedli, było tym, co miała, więc nie było sensu wzdychać nieustannie do lepszego. Starła się to oględnie powiedzieć mężowi, lecz Kabuo twierdził, że inne, lepsze życie czeka tuż za rogiem, że to tylko kwestia obfitszych połowów łososia, dalszej utraty sił przez Ole Jurgensena, oszczędzania, cierpliwego czekania...

Hatsue siedziała na miejscu dla świadka wyprostowana, ze złożonymi na kolanach dłońmi.

— Chciałbym, aby wróciła pani pamięcią — zaczął Nels — do wydarzeń, jakie miały miejsce około trzech miesięcy temu, na początku września bieżącego roku. Czy miałyby się z prawdą stwierdzenie, że w owym czasie małżonek pani zaczął się interesować kupnem ziemi w centralnej dolinie wyspy? Czy przypomina to sobie pani, pani Miyamoto?

— O tak — przytaknęła. — Był bardzo zainteresowany nabyciem ziemi w tym rejonie. Zawsze się interesował ziemią w tamtych stronach. Kiedyś jego rodzina miała tam plantację truskawek i jego marzeniem było, żeby znowu zacząć je uprawiać. Jego rodzice ciężko pracowali na kupno tej działki, ale stracili wszystko w czasie wojny, zabrano im ich ziemię.

— Proszę, aby zechciała pani teraz wyteżyc pamięć i wrócić, jeśli to możliwe, do wydarzeń z wtorku, siódmego września. Niejaki pan Ole Jurgensen, jak pani zapewne pamięta, emerytowany plantator truskawek z Island Center, zeznał, że mąż pani zjawił się u niego owego dnia, aby się wywiedzieć o warunki kupna siedmiu akrów ziemi, tych samych, o których pani przed chwilą wspomniała. Czy coś pani na ten temat wiadomo, pani Miyamoto?

— Owszem.

Nels kiwnął głową, przysiadł na brzeżku stołu obrony i jął ugniatać palcami czoło.

— Czy mąż wspominał pani o tej wizycie? Czy opowiedział o swojej rozmowie z panem Jurgensenem na temat kupna owych siedmiu akrów?

— Tak, mówił mi o tym.

— Czy powiedział coś więcej na temat tej rozmowy? Czy coś pani z tego pamięta?

Hatsue opowiedziała, jak po południu siódmego września przejeżdżała z dziećmi obok dawnej farmy Ole Jurgensena i zobaczyła tablicę o jej sprzedaży. Zawróciła auto i pojechała Mili Run do Amity Harbor, gdzie z budki telefonicznej przy sklepie Petersena zadzwoniła do męża, żeby mu o tym powiedzieć. Potem wróciła do domu i czekała. Przyjechał po godzinie, przywożąc złe nowiny: farmę Ole Jurgensena kupił już Carl Heine.

— Rozumiem — rzekł Nels. — Czy te złe wieści mąż przekazał pani wieczorem siódmego września?

— Po południu. Pamiętam, że rozmawialiśmy o tym późnym południem, przed jego wypłynięciem na połów.

— Późnym popołudniem — powtórzył Nels. — Czy mąż pani sprawiał wrażenie zawiedzionego tym, że nie udało mu się nabyć owych siedmiu akrów? Czy wydał się pani zawiedziony, pani Miyamoto?

— Nie, wcale. Przeciwnie, promieniał nadzieją. Nigdy wcześniej go takim nie widziałam. Dla niego liczyło się głównie to, że Ole Jurgensen zdecydował się wreszcie wycofać z uprawy truskawek i sprzedać posiadłość. Coś nareszcie drgnęło — powiedział mi Kabuo. Przedtem nie



było żadnych widoków, teraz się pojawiły. Wiele lat czekał na tę okazję i w końcu się doczekał. Był bardzo poruszony. Jak powiedziałam, promieniał nadzieją.

— Przejdźmy zatem do następnego dnia — zaproponował Nels, podnosząc głowę. — Czy nazajutrz, ósмого września, mąż wrócił do tego tematu? Czy nadal, jak to pani ujęła, „promieniał nadzieją”?

— O tak! — przytaknęła. — Zdecydowanie tak. Rozmawialiśmy o tym ponownie następnego dnia. Mąż postanowił pójść do Carla Heinego i rozmówić się z nim w sprawie kupna tych siedmiu akrów.

— Lecz poszedł nie od razu, wybrał się do pana Heinego dopiero nazajutrz. Odczekał dzień, czy tak?

— Istotnie — przyznała Hatsue. — Był bardzo zdenerwowany. Chciał sobie ułożyć, co ma powiedzieć.

— Mamy więc czwartek dziewiąty września — przypomniał Nels Gudmundsson. — Minęły dwa dni, odkąd pani mąż rozmawiał z panem Ole Jurgensenem, dwa długie dni. Co się zdarzyło tamtego dnia, może sobie pani przypomina?

— Zdarzyło?

— Mąż pani pojechał na rozmowę z Carlem Heinem, wszak się nie mylę? Zgodnie ze złożonym wczoraj zeznaniem pani Susan Marie Heine mąż pani zjawił się w ich domu w czwartek po południu, dziewiątego września, i chciał rozmawiać z Carlem Heinem. Według pani Heine rozmawiali ze sobą ponad pół godziny, przechadzając się po ich posiadłości. Pani Heine im, co prawda, nie towarzyszyła, nie słyszała więc na własne uszy, o czym rozmawiali, powtórzyła jednak w zeznaniu treść rozmowy, jaką jej tamtego dnia przekazał mąż po odjeździe pani małżonka. Oświadczyła mianowicie, że rozmawiali na temat owych siedmiu akrów i rozważali możliwość odsprzedania ich przez Carla Heinego pani mężowi. Wzięta w krzyżowy ogień pytań, pani Susan Marie Heine zeznała, że Carl nie dał pani mężowi jednoznacznie odmownej odpowiedzi, co się tyczy możliwości odsprzedania owych siedmiu akrów, nie odebrał mu nadziei na odzyskanie rodzinnej własności. W jej mniemaniu Carl pozostawił mężowi pani nadzieję, iż takiej możliwości w istocie nie wyklucza. Czy taka interpretacja wydaje się pani poprawna, pani Miyamoto? Czy po południu dziewiątego września, po swojej rozmowie z Carlem Heinem, mąż pani nadal sprawiał wrażenie „promieniającego nadzieją”?

— I to bardziej niż przedtem — odrzekła Hatsue. — Po rozmowie z Carlem wrócił do domu pełen najlepszych nadziei, wyjątkowo ożywiony. Powiedział mi, że odzyskanie rodzinnej ziemi stało się realniejsze niż kiedykolwiek przedtem. Przyznaję, że wtedy i we mnie wstąpiła nadzieja. Pomyślałam, że istotnie otwiera się przed nami szansa.

Nels dźwignął się z miejsca i zaczął się wolno przechadzać przed ławą przysięgłych, pogrążony w głębokiej zadumie. Zaległa głucha cisza; słychać było tylko dzwonienie szyb w oknach, na które napierał wiatr, i syk pary w kaloryferach. Bez górnego oświetlenia sala rozpraw — i tak już ciemna — wydawała się jeszcze mroczniejsza. W powietrzu wisiał zapach śniegu.

— Twierdzi więc pani, pani Miyamoto, że i w panią wstąpiła nadzieja — podjął Nels. — A przecież, jak pani zapewne wiadomo, matka zmarłego i siedzący tu oto małżonek pani nie byli w najlepszych stosunkach. Można by powiedzieć, że doszło między nimi do ostrej wymiany zdań. Co dawało więc państwu podstawę do nadziei, jeśli wolno mi spytać? Skąd taki państwa optymizm?

Hatsue odparła, że rozumie jego wątpliwość. Sama ją zgłosiła w rozmowie z Kabuo. Czy tacy ludzie, zapytała męża, zgodzą się odsprzedać mu ziemię, którą kiedyś tak skwapliwie ukradli? „Etta i Carl to dwa zupełnie różne charaktery” — odrzekł jej na to Kabuo. Tym razem decyzja należała do Carla, nie do jego matki, a Carl był jego dawnym przyjacielem. Postąpi, jak nakazuje przyzwoitość.

— Pani Miyamoto — podjął Nels. — Pani mąż odbył tę rozmowę z Carlem Heinem po południu we czwartek dziewiątego września. W następny czwartek, szesnastego września, znaleziono pana Heinego nieżywego, zaplątanego w sieć w zatoce White Sand. Pomiędzy tymi dwoma wydarzeniami upłynął prawie cały tydzień: sześć dni i siedem nocy. Moje pytanie brzmi: czy w ciągu tego tygodnia mąż rozmawiał z panią o Carlu Heinem bądź owych siedmiu akрах? Czy mówił coś o próbie ich odkupienia? Czy przypomina sobie pani, aby mąż wspominał o tej sprawie bądź podjął jakieś kroki celem odzyskania ziemi, należącej ongiś do jego rodziny, w tygodniu, jaki upłynął między dziewiątym a szesnastym września?

Kabuo uznał, odpowiedziała Hatsue, że on sam nie ma już nic do zrobienia. Następny krok należy do Carla; to Carl powinien teraz wykazać się inicjatywą, przemyśleć sobie przedstawioną propozycję i coś postanowić. Teraz wszystko zależało od uczciwości Carla, od tego, czy zechce naprawić krzywdę wyrządzoną przez jego matkę. Czy czuje się odpowiedzialny za postęпки własnej rodziny? Czy właściwie rozumie swe zobowiązania? Byłoby zresztą

niehonorowo, dodał Kabuo, nękać go po raz kolejny zadawaniem tego samego kłopotliwego pytania. Kabuo nie zamierzał uciekać się do błagań, zdawać na łaskę Carla. Nie chciał okazywać słabości ani upokarzającej gorliwości. Nie, w podobnej sprawie najlepiej uzbroić się w cierpliwość. Nic nie zyska narzucając się czy zbytnio obnażając. Lepiej poczekać. Zaczeka tydzień, powiedział Kabuo żonie, a potem postanowi, co dalej.

Rankiem szesnastego — Hatsue gotowała właśnie wodę na herbatę — wpadł do domu jak bomba i oznajmił, że spotkał Carla na morzu w gęstej mgle i pomógł mu wymienić rozładowany akumulator. Pogadali i doszli do porozumienia w sprawie tych siedmiu akrów. Uzgodnili cenę: osiem tysięcy czterysta dolarów, z czego osiemset gotówką. Ziemia rodziny Miyamoto znowu — po tylu latach — miała wrócić do Kabuo!

Jednakże później tego samego dnia, o pierwszej po południu, sprzedawczyni w sklepie Petersensa, Jessica Porter, powiedziała Hatsue o strasznym wypadku, jaki się wydarzył Carlowi Heinemu zeszłej nocy podczas połowu. Znalaziono go martwego w zatoce White Sand, zaplątanego we własną sieć.

Przystępując do zadawania pytań świadkowi, Alvin Hooks przysiadł na rancie stołu oskarżenia i skrzyżował przed sobą wyglansowane buty, jakby odpoczywał pod sklepem na rogu ulicy. Splótnszy na kolanach palce, skrzywił w prawo głowę i przypatrywał się przeciągle Hatsue Miyamoto.

— Ciekawe rzeczy nam tu pani opowiada — zaczął. — Szczególnie co się tyczy wydarzeń z ranka szesnastego września. Jak to mianowicie gotowała pani właśnie wodę na herbatę, a oskarżony wpadł do domu niczym bomba, okropnie podniecony, i opowiedział pani o swojej rozmowie na morzu, w trakcie której doszedł do porozumienia z panem Carlem Heinem. Uważam, że to naprawdę nader zajmujące!

Urwał i jeszcze przez chwilę przyglądał się świadkowi. Potem zaczął kiwać głową, poskrobał się w nią i podniósł wzrok do sufitu.

— Pani Miyamoto — odezwał się z westchnieniem — czy trafnie określiłem stan pani męża, mówiąc, że był „okropnie podniecony” rankiem szesnastego września, tego samego więc dnia, w którym zamordowano Carla Heinego? A może zinterpretowałem pani zeznanie niewłaściwie? Czy mąż pani wrócił tego dnia do domu „okropnie podniecony”?

— Owszem, tak bym to określiła — przytaknęła Hatsue. — Był niewątpliwie okropnie podniecony.

— Jakby nie był sobą? Jakby jego umysł znajdował się w stanie... wzburzenia? Czy nie wydał się pani... zmieniony?

— Podniecony — sprostowała Hatsue. — Nie wzburzony. Był podniecony z powodu odzyskania ziemi swojej rodziny.

— W porządku, zatem: „podniecony” — zgodził się Alvin Hooks. — I opowiedział pani, jak to zatrzymał kuter na morzu, żeby pomóc Carlowi Heinemu przy... rozładowanym akumulatorze czy czymś takim. Zgadza się, pani Miyamoto?

— Tak.

— Powiedział pani, że przycumował do kutra Carla Heinego i wszedł na pokład jego łodzi, żeby pożyczyć mu akumulator?

— Owszem.

— I w trakcie tego wielkodusznego z jego strony manewru on i Carl przedyskutowali kwestię owych siedmiu akrów, o które aż do tej pory toczyli spór, czy tak? W następstwie zaś zawartej umowy Carl Heine zgodził się odsprzedać pani mężowi ten kawałek ziemi? Za osiem tysięcy czterysta dolarów czy coś około tego? Czy wiernie to zrekapitulowałem?

— Owszem. Istotnie tak było.

— Pani Miyamoto — ciągnął Alvin Hooks. — Czy nie wspomniała pani aby przypadkiem o tym szczęśliwym zdarzeniu jakiejś osobie trzeciej? Czy nie zatelefonowała pani na przykład do jakiejś przyjaciółki bądź krewnej, by podzielić się z nią nowiną tak radosną? Nie zawiadomiła pani rodziny i znajomych, że mąż pani zawarł z Carlem Heinem tak korzystne porozumienie — na pełnym morzu, w samym środku nocy — wobec czego wkrótce przeniosą się państwo na plantację truskawek i zaczną nowe życie? Czy zrobiła pani którąś z wymienionych przeze mnie rzeczy?

— Nie. Niczego takiego nie zrobiłam.

— A czemuż to? — zdziwił się prokurator. — Dlaczego nie podzieliła się pani z nikim nowiną tak niezwykłą? Sądziłbym, że pospieszy ją pani zakomunikować na przykład matce, siostrze lub innej bliskiej osobie.

Hatsue poprawiła się na krześle i w zakłopotaniu wygładziła bluzkę.

— No więc... — zaczęła. — Dowiedzieliśmy się, że Carl Heine... zginął zaledwie w parę godzin po powrocie Kabuo do domu. Jego wypadek... całkiem zmieniał nasze położenie. Oznaczał praktycznie, że nie było żadnej radosnej nowiny do rozgłaszania. Wszystko wracało do punktu wyjścia.

— Wszystko wracało do punktu wyjścia — powtórzył Alvin Hooks i splótł na piersiach dłonie. — Kiedy dowiedzieli się państwo o śmierci Carla Heinego, postanowili zatem nikomu o niczym nie mówić. Czy mam rację? To pani chciała powiedzieć?

— Pan to źle interpretuje — wyszeptała Hatsue. — My po prostu...

— Ja niczego nie interpretuję, łaskawa pani, ani źle, ani dobrze — skorygował Alvin Hooks. — Pragnę jedynie ustalić fakty. Wszyscy do tego dążymy, pani Miyamoto, to jest nasz cel główny i jedyny. Pani ma je nam pod przysięgą przedstawić, więc zapytuję panią jeszcze raz i proszę o jasną odpowiedź: czy postanowiliście państwo nie mówić nikomu o nocnym spotkaniu na morzu męża pani i Carla Heinego? Czy postanowiliście państwo nie wspominać nikomu o tym fakcie?

— Nie było o czym wspominać... Co miałabym oznajmić rodzinie? Przecież wszystko wróciło znów do punktu wyjścia.

— Rzekłbym, że nawet gorzej — oświadczył Alvin Hooks. — Nie dość bowiem, że transakcja nabycia przez pani męża rzeczonyj nieruchomości spaliła na panewce, to jeszcze, jeśli wolno mi zauważyć, zginął człowiek. Zechce to sobie pani dobrze uświadomić — zginął człowiek, strzaskano mu czaszkę. Czy nie przyszło pani do głowy, pani Miyamoto, żeby zgłosić się z posiadaną informacją do szeryfa? Czy nie pomyślała pani, że należałoby jednak podzielić się z szeryfem okręgu Island County posiadaną wiedzą na temat nocnych przeżyć pani męża na łowisku, owej przygody z akumulatorem, i tak dalej i temu podobne?

— Owszem, myśleliśmy o tym — przyznała Hatsue. — Rozmawialiśmy o tym tamtego dnia przez całe popołudnie. Zastanawialiśmy się, czy powinniśmy pójść do szeryfa i o wszystkim mu opowiedzieć, czy w ogóle powinniśmy o tym mówić. W końcu zdecydowaliśmy jednak, żeby tego nie robić. Widzi pan, ten wypadek... wyglądał podejrzanie, wyglądał na morderstwo, oboje z Kabuo zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Rozumieliśmy, że nasze oświadczenie mogłoby się skończyć dochodzeniem przed sądem. I dokładnie tak się stało, widzi pan? Oskarżyliście mojego męża o morderstwo!

— No cóż, potrafię, rzecz prosta, wczuć się w wasze pobudki — powiedział Alvin Hooks. — Rozumiem, że mogliście się państwo obawiać, że mąż pani zostanie oskarżony o morderstwo. Ale jeśli, jak pani utrzymuje, wydarzenia rzeczywiście wyglądały tak, jak je nam tu pani przed chwilą opisała, o co, Bogiem a prawdą, mogliście się martwić? Proszę mi wytłumaczyć, pani Miyamoto, dlaczego nie udaliście się państwo z miejsca do szeryfa i nie opowiedzieliście mu wszystkiego, co wam wiadomo.

— Baliśmy się. Wydawało się nam, że bezpieczniej będzie milczeć. Zgłoszenie się dobrowolne uznaliśmy po namyśle za błąd.

— No cóż, muszę powiedzieć, że zakrawa mi to na ironię — rzekł Alvin Hooks. — Bo oto wydaje mi się, że błędem było właśnie niezgłoszenie się, wejście na drogę matactwa, świadome ukrywanie informacji podczas prowadzonego przez szeryfa śledztwa.

— Być może — przyznała Hatsue. — Już sama nie wiem.

— To był błąd, zapewniam panią — powtórzył Alvin Hooks, celując w nią palcem. — Bardzo poważny błąd w ocenie sytuacji! Czy z perspektywy czasu nie odnosi pani takiego wrażenia? Oto mamy zgon w podejrzanych okolicznościach, szeryf rozpoczyna śledztwo, a

państwo nie zgłaszacie informacji, które mogłyby mu pomóc. Nie czynicie tego wtedy, a i później demonstrujecie postawę wykrętną. Prawdę mówiąc, stawia to państwa w podejrzanym świetle, pani Miyamoto, stwierdzam to z przykrością, ale cóż poradzić? Skoro nie zgłosiła pani we właściwej chwili posiadanej informacji o kluczowym znaczeniu, jak możemy ufać pani teraz? Czy pani rozumie, co mówię? Proszę mi powiedzieć, na jakiej podstawie mielibyśmy pani zaufać.

— Ależ my nie mieliśmy czasu, żeby się zgłosić! — zawołała Hatsue, pochylając się do przodu. — O wypadku Carla dowiedzieliśmy się po południu, a już w kilka godzin później mąż został aresztowany. Po prostu nie zdążyliśmy!

— Ależ, pani Miyamoto! — uniósł się zdziwieniem Alvin Hooks. — Jeśli naprawdę sądziliście państwo, że to był wypadek, dlaczego nie zgłosiliście się natychmiast, tego samego zaraz popołudnia, i nie powiedzieliście naszemu zacnemu szeryfowi, co państwu wiadomo na temat owego wypadku? Dlaczego nie okazaliście mu państwo pomocy w prowadzonym śledztwie? Nie podzieliliście się posiadanymi informacjami? Dlaczego nie powiedzieliście mu państwo, że pani małżonek wszedł na pokład kutra Carla Heinego, aby mu pomóc wymienić... o cóż to chodziło?... wyładowany akumulator, czy tak? Mam nadzieję, że zrozumie mnie pani, jeśli oświadczę, że kompletnie tego nie pojmuję. Jestem do reszty zbity z tropu, rzekłbym wręcz: skołowany. Nie wiem już zupełnie, w co wierzyć. Jestem kompletnie zagubiony, przyznaję to z ręką na sercu.

Podciągnął nogawki spodni, wyprostował się, obszedł róg stołu, usiadł na krześle i złożył przed sobą dłonie.

— Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie — oświadczył nieoczekiwanie. — Jeśli o mnie chodzi, świadek jest wolny i może wracać na swoje miejsce.

— Chwileczkę! — zawołała Hatsue Miyamoto. — Ja...

— Dość, proszę zamilknąć! — przerwał jej surowo sędzia Fielding.

Wpatrywał się bez mrugnięcia powieką w żonę oskarżonego, a ona patrzyła na niego jak zahipnotyzowana.

— Odpowiedziała już pani na wszystkie postawione pytania, pani Miyamoto. Rozumiem, że jest pani wzburzona, wszelako ani stan pani umysłu, ani stan emocjonalny nie stanowią przedmiotu, który mógłbym zgodnie z prawem rozpatrywać. Pani chęć szerszego wypowiedzenia się, podzielenia się w tym momencie swoimi odczuciami z obecnym tu panem Alvinem

Hooksem, jest najzwyczajniej w świecie niedopuszczalna, jakkolwiek nie winię pani za wzburzenie emocjonalne. Odpowiedziała już pani na postawione pytania i teraz, obawiam się, musi pani opuścić miejsce dla świadka. Lękam się, że nie ma pani innego wyjścia.

Hatsue obróciła się w stronę męża. Skinął głową, ona odpowiedziała mu skinieniem, opanowała się, wstała i bez słowa wróciła na swoje miejsce w końcu sali. Kilku widzów spośród publiczności, wśród nich Ishmael Chambers, odwróciło się mimo woli i przyglądało się jej z zaciekawieniem, ale nie zwracała na nich najmniejszej uwagi. Poprawiła kapelusz, patrzyła prosto przed siebie i milczała.

Nels Gudmundsson powołał na świadka Jozajasa Gillandersa, przewodniczącego Związku Rybaków San Pedro, blisko pięćdziesięcioletniego mężczyznę o sumiastych wąsach i wodnistych, mętnych oczach pijaczyny. Jozajasz, przysadziste, potężne chłopisko, od trzydziestu lat wypływał na połowy swoją łodzią „Cape Eliza”. Wyspiarze znali go jako notorycznego pijusa, przybierającego pozę i maniery kapitana żeglugi wielkiej; nie rozstawał się na przykład nigdy z kapitańską niebieską czapką ze sztywnym daszkiem. Nosił bawełniane drelichy oraz szetlandzkie swetry i często — według jego własnego określenia — „zalewał się w trupa” z kapitanem Jonem Soderlandem w knajpie „San Pedro”, gdzie snuli na wypródki barwne opowieści, a ich głosy przybierały na sile z każdym następnym kuflem piwa. Kapitan Soderland gładził brodę, Jozajasz ocierał pianę z wąsów i serdecznie klepał kolegę po plecach.

Zasiadłszy na miejscu dla świadka, skrzyżował ramiona na szerokiej klatce piersiowej, nie wypuszczając z dłoni kapitańskiej czapki o sztywnym daszku, i wodził spojrzeniem za Nelsem Gudmundssonem, który mrugając powiekami przechadzał się przed nim nieco chwiejnym krokiem.

— Panie Gillanders — zaczął. — Od jak dawna jest pan przewodniczącym Związku Rybaków San Pedro?

— Od jedenastu lat — odpowiedział Jozajasz. — Ale łowię już od trzydziestu.

— Łososia?

— Przeważnie.

— Sieciami skrzelowymi, panie Gillanders? Od trzydziestu lat łowi pan w ten sposób na łowiskach wokół wyspy?

— Zgadza się. Będzie już trzydzieści.



— Czy miał pan kiedyś pomocnika na swoim kutrze „Cape Eliza”?

Jozajasz pokręcił przecząco głową.

— Nigdy. Pracuję w pojedynkę. Zawsze tak było i tak już zostanie. Łowią sam, bo tak najbardziej lubię.

— Panie Gillanders — ciągnął Nels — czy w ciągu tych trzydziestu lat pracy na morzu zdarzyło się panu wejść na pokład cudzego kutra? Innymi słowy, czy kiedykolwiek przycumował pan na morzu do innego kutra i dla jakiegokolwiek bądź przyczyny wszedł na jego pokład?

— Rzadko — odparł Jozajasz Gillanders i pogładził wąsy. — W najlepszym razie kilka razy przez te wszystkie lata... Tak, najwyżej kilka. Pięć, góra sześć.

— Pięć lub sześć razy — zrekapitulował Nels. — A czy przypomina pan sobie, panie Gillanders, jakie były powody tych spotkań na morzu? Czy przypomina pan sobie, z jakiego powodu w każdym z tych przypadków przycumowywał pan do łodzi innego rybaka? Czy zechciałby pan wyjaśnić to sądowi?

Jozajasz ponownie pogładził wąsy, taki miał bowiem zwyczaj, kiedy się nad czymś zastanawiał.

— Nie wdając się w zbędne szczegóły, powiedziałbym, że najczęstszym powodem była awaria. Ktoś miał problemy z silnikiem, nie mógł dalej płynąć i potrzebował pomocy. Albo na przykład... Teraz sobie przypomniałem: kiedyś jeden gość potrzebował pomocy, bo złamał sobie, o ile dobrze pamiętam, nogę w biodrze. Przycumowałem do niego i wszedłem na pokład. Pomogłem się nieborakowi pozbierać. Bez wdawania się w zbędne szczegóły powiedziałbym więc, że wchodzi się na pokład w razie pilnej potrzeby. Kiedy któryś z kolegów potrzebuje pomocy.

— Wchodzi się na pokład, kiedy kolega potrzebuje pomocy — powtórzył Nels. — Czy w ciągu tych trzydziestu lat pracy na morzu wszedł pan kiedykolwiek na pokład czyjegoś kutra z powodu innego niż sytuacja awaryjna, panie Gillanders? A więc z powodu innego niż konieczność udzielenia, jak pan to powiedział, pomocy któremuś z kolegów?

— Nigdy — stwierdził stanowczo świadek. — Jak połów, to połów. Każdy patrzy swego i nie zawraca drugiemu gitary. Każdy ma własną sieć do wybrania.

— Rozumiem — rzekł Nels. — A czy w ciągu tych trzydziestu lat pracy na kutrze oraz w czasie sprawowania urzędu przewodniczącego związku, a więc człowieka, jak zakładam, najlepiej zorientowanego w rozmaitych incydentach, jakie się zdarzają na morzu między

rybakami, słyszał pan kiedykolwiek o czymś wejściu na pokład cudzego kutra dla powodu innego niż taka pilna potrzeba? Czy przypomina pan sobie podobny przypadek?

— Nie zdarza się — stwierdził kategorycznie Jozajasz. — To niepisane prawo morza, panie Gudmundsson. Honorowy kodeks rybaków. Każdy patrzy swego nosa. Na morzu nie ma o czym gadać. Każdy jest zajęty swoją robotą, nie ma czasu na mielenie ozorem. Człowiek nie może rozsiąść się na pokładzie, popijać rum i opowiadać jeden drugiemu różne historyjki, kiedy inni wybierają sieci. Nie, rybak nigdy nie wejdzie na cudzy pokład bez wyraźnej potrzeby. Kolega potrzebuje pomocy, ma awarię silnika, złamał nogę — to co innego, wtedy tak, jak najbardziej.

— Zatem nie przypuszcza pan — zapytał Nels — żeby oskarżony, obecny tu pan Miyamoto, wszedł szesnastego września na pokład łodzi Carla Heinego dla powodu innego niż chęć przyjścia koledze z pomocą w potrzebie? Jak pan sądzi?

— Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś wszedł na cudzy pokład z jakiegoś innego powodu, jeśli o to panu chodzi, panie Gudmundsson. Jedyne powód, jaki mi się nasuwa, to taki, o jakim już wspominałem: awaria silnika, złamanie nogi...

Nels oparł się lekko o rant stołu obrony i palcem wskazującym usiłował opanować — bez powodzenia — nie kontrolowane ruchy gałki ocznej swego niewidzącego oka.

— Panie Gillanders — zapytał — czy cumowanie do siebie na morzu nie bywa niebezpieczne, nawet przy dobrej pogodzie, w pełnym blasku dnia?

— Odrobinę — przyznał Jozajasz.

— A cumowanie w nocy na otwartym morzu? Czy taki manewr można przeprowadzić szybko, na podobieństwo ataku przez zaskoczenie? Czy człowiek, który by chciał wtargnąć na pokład cudzego kutra, mógłby to zrobić wbrew woli jego właściciela? Czy to w ogóle możliwe, jak pan sądzi?

— Nigdy o czymś podobnym nie słyszałem. Owszem, jeśli obaj szyprowie by zgodnie do tego dążyli, wtedy owszem, czemu nie? Ale i wtenczas wymagałoby to trochę zachodu, uważnego manewrowania, pojmuje pan. Ale przycumować do cudzej łodzi wbrew woli jej kapitana... to mi się wydaje raczej niemożliwe, panie Gudmundsson. Przyznam, że nigdy nie słyszałem o takim przypadku.

— Nigdy pan nie słyszał, aby jeden rybak wszedł na pokład kutra drugiego rybaka wbrew woli jego właściciela? Uważa pan taki czyn za graniczący z niepodobieństwem? Czy wiernie zreferowałem pana wywód? Trafnie przedstawiłem wnioski?

— Z grubsza biorąc, tak — przytaknął Jozajasz Gillanders. — Tego się nie da zrobić. Ten drugi by na to nie pozwolił. Nie pozwoliłby się panu zrównać z jego łodzią, a tym bardziej przycumować.

— Chyba że zachodziłby przypadek pilnej potrzeby — przypomniał Nels. — Bo nie ma innych uzasadnionych powodów wchodzenia na cudzy pokład, czy tak, panie Gillanders?

— Zgadza się. Tylko w sytuacjach awaryjnych. Nigdy nie słyszałem o niczym innym.

— Przypuśćmy, że chciałby pan kogoś zabić — rzekł z naciskiem Nels. — Jak pan sądzi, czy próbowałby pan wejść na pokład kutra swej ofiary wbrew jej woli, by zadać jej cios osęką? Jest pan rybakim z wieloletnim doświadczeniem, dlatego zwracam się do pana, aby spróbował pan to sobie wyobrazić. Czy w pańskiej ocenie byłby to dobry, rozsądny plan? Czy uznałby pan za realną próbę przycumowania do kutra ofiary z zamiarem wejścia na pokład celem popełnienia morderstwa? Czy też spróbowałby pan innego sposobu, może jakiegoś podstępu, rezygnując z próby wdarcia się przemocą, wbrew woli ofiary, na pokład jej łodzi, na otwartym morzu, w środku nocy, na domiar złego w gęstej mgle? Co pan na to, panie Gillanders?

— Nie zdołałby pan wejść na pokład tego drugiego wbrew jego woli — powtórzył Jozajasz. — Po prostu nie wyobrażam sobie czegoś podobnego. Szczególnie gdy idzie o Carla Heinego. Diabło trudno byłoby wdrzeć się na pokład wbrew jego woli. Był twardym, wielkim i silnym mężczyzną. Nie może być, panie Gudmundsson, żeby obecny tu Kabuo Miyamoto mógł wejść siłą na jego pokład. To po prostu niemożliwe. Czyste niepodobieństwo.

— Czyste niepodobieństwo — powtórzył Nels. — Więc wedle pańskiej oceny, doświadczonego rybaka i przewodniczącego Związku Rybaków San Pedro, oskarżony nie mógł wejść na pokład łodzi Carla Heinego w celu zamordowania go, wdarcie się siłą na cudzy pokład na pełnym morzu jest bowiem praktycznie niemożliwe?

— Obecny tu Kabuo Miyamoto nie wszedł na pokład łodzi Carla Heinego wbrew woli tego ostatniego — orzekł kategorycznie Jozajasz Gillanders. — Samo przycumowanie już byłoby bardzo ryzykowne, a przy tym Carl nie należał do ułomków. Jeśli Kabuo w ogóle wszedł na jego pokład, musiało się coś zdarzyć, jakaś awaria, problemy z silnikiem albo coś. Może z akumulatorem, jak mówi jego żona. Carl mógł mieć problemy z akumulatorem.

— Świetnie — ucieszył się Nels. — A więc problemy z akumulatorem. Powiedzmy, że pan ma kłopoty z akumulatorem.

Nie może pan dalej płynąć, został pan bez prądu. Jest pan unieruchomiony. Co by pan zrobił, panie Gillanders? Czy, dajmy na to, zainstalowałby pan akumulator zapasowy?

— Nie wożę zapasowego akumulatora. To zupełnie tak, jakby pan woził zapasowy akumulator w samochodzie. To się rzadko zdarza, prawda?

— Jednakże, panie Gillanders — zauważył Nels Gudmundsson — z zeznania szeryfa, jak pan sobie zapewne przypomina, a także z jego pisemnego raportu wynika, że na pokładzie kutra Carla Heinego, dryfującego w zatoce White Sand, znajdował się jednak zapasowy akumulator. W studziencie akumulatorowej znajdowały się dwa czynne akumulatory, typu D-8 i D-6, a na podłodze w kabinie stał trzeci, co prawda rozładowany, ale można by go chyba uznać za zapasowy, prawda?

— Hm — mruknął Jozajasz. — To wszystko jest diabelnie tajemnicze. Trzy akumulatory, hm... diablo dziwna sprawa. Do tego zapasowy rozładowany... dziwne, bardzo dziwne. Wszyscy, których znam, używają dwóch akumulatorów: głównego i pomocniczego. Kiedy jeden wysiadzie, człowiek zawsze dotelepie się jakoś do portu na drugim. Poza tym jeszcze jedna dziwna rzecz: te dwa różne typy akumulatorów w studziencie, D-8 i D-6. Odkąd pływam, nigdy nie słyszałem o podobnej kombinacji. Każdy normalny człowiek używa tylko jednego rozmiaru akumulatorów. Nie wydaje mi się, żeby Carl Heine miał takie cudackie pomysły. Myślę, że obecna tu pani Miyamoto ma rację: Carl miał kłopoty z akumulatorem, prawdopodobnie wyjął rozładowaną ósemkę, odstawił do kabiny, i pożyczył szóstkę od Miyamoto, który do rana pływał na akumulatorze zapasowym. Wydaje mi się, że to najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie.

— Rozumiem — powiedział Nels. — Założmy teraz, że to pan został unieruchomiony na morzu i potrzebuje pomocy. Co by pan zrobił?

— Zawołałbym przez radio — odparł Jozajasz. — Albo przywołał kogoś, znajdującego się w zasięgu wzroku. Albo, gdybym miał wyrzuconą sieć i dobrze mi szło, zaczekałbym, aż ktoś się pojawi w polu widzenia, i wtedy bym go wezwał.

— Więc najpierw pomyślałby pan o radiu? — upewnił się Nels. — Wezwałby pan pomoc przez radio? Czy mając rozładowany akumulator dysponowałby pan jednak radiem? Co zasila pańską radiostację, panie Gillanders, kiedy siada panu akumulator?

— Ma pan rację — przyznał Jozajasz Gillanders. — Radio nie działa. Nie mogę wezwać pomocy przez radio. Tu mnie pan zażył.

— Więc co pan robi? Wzywa pan kogoś, dobrze, ale powiedzmy, że jest gęsta mgła, jak tamtej nocy, kiedy utonął Carl Heine? Ranek szesnastego września, jak pan zapewne pamięta, należał do wyjątkowo mglistych. Wówczas, jak rozumiem, nie pozostaje panu nic innego niż czekać na kogoś, kto będzie przepływał w pobliżu, i przywołać go, ktokolwiek to będzie, ponieważ szanse na dostrzeżenie następnego kutra są raczej mizerne, prawda? Nie może pan grymasić, musi pan korzystać z każdej nadarzającej się okazji, żeby nie popaść w sroższe tarapaty.

— Ma pan zupełną rację — przytaknął Jozajasz Gillanders. — Dryfując we mgle w takim miejscu jak Ship Channel Bank, w bezpośrednim sąsiedztwie szlaków żeglugowych, lepiej się szybko rozejrzeć za jakąś pomocą. To niebezpieczne miejsce, szczególnie kiedy człowiek stoi unieruchomiony. Bez przerwy przechodzą tamtędy wielkie frachtowce. Lepiej przywołać pomoc, jeśli tylko można, czyjąkolwiek, jak pan powiedział, skorzystać z pomocy pierwszego, jaki się wyłoni z mgły na wezwanie pańskiego rogu. Wyprzedzę pańskie pytanie — zapowiedział. — Widzi pan, Carl miał na łodzi róg na sprężone powietrze. Nie potrzebował sprawnego akumulatora, żeby wezwać pomocy. Zacząłby robić raban swoją ręczną pompką. Akumulator nie był mu potrzebny, żeby zadać w róg.

— Carl Heine dryfuje zatem we mgle — podsumował Nels — w bezpośredniej bliskości szlaków żeglugowych, bez silnika, bez świateł, bez radia, bez zapasowego akumulatora. Czy sądzi pan, że powitałby z radością nadchodzącą pomoc? Że byłby wdzięczny, gdyby inny rybak podpłynął do niego i zaproponował, że przycumuje do jego kutra i wybawi go z opresji?

— Jasna sprawa! Oczywiście, że powitałby takiego z radością. Facet stoi unieruchomiony na morzu, ani w tę, ani we w tę, nie może nawet wybrać sieci, wyciągnąć ryby. Może pan być pewien, że przyjmie z wdzięcznością każdą pomoc. Musiałby mieć nie po kolei w głowie, gdyby było inaczej.

— Panie Gillanders. — Adwokat zakasłał w dłoń. — Chciałbym, żeby wrócił pan teraz do pytania, jakie zadałem przed chwilką. Chciałbym mianowicie, aby zastanowił się pan nad kwestią morderstwa — morderstwa pierwszego stopnia, zbrodni z premedytacją. Zaplanował je pan wcześniej i oto przystępuje pan do zrealizowania następującego planu: podpływa pan na pełnym morzu do kutra ofiary, przycumowuje pan do niego wbrew jej woli, wskakuje na pokład i

wali napadniętego w głowę ręką osęki. Ponawiam moje pytanie: czy z punktu widzenia człowieka, który od trzydziestu lat pracuje na morzu, przewodniczącego związku rybaków, człowieka, który, jak się domyślam, wie o wszystkim, co zdarza się nocą na łowiskach wokół wyspy, uznałby pan nakreślony tu przeze mnie plan za rozsądny? Czy mógłby go ułożyć rybak, gdyby chciał pozbawić kogoś życia?

Jozajasz Gillanders pokręcił głową z miną człowieka osobiście urażonego.

— To, panie Gudmundsson — odrzekł z naciskiem — byłby najbardziej sfiksowany plan, jaki tylko potrafię sobie wyobrazić. Zdecydowanie najbardziej zwariowany, zapewniam pana. Pozwolę sobie zauważyć, że gdyby jeden gość chciał zabić drugiego, bez trudu znalazłby sposób mniej ryzykowny i niebezpieczny. Wejście na pokład wbrew czyjejś woli w ogóle, jak już nadmienilem, nie wchodzi w rachubę. Żeby skoczyć na gościa z osęką w garści? To po prostu śmiechu warte, proszę pana. Może się zdarzać w opowieściach o piratach i podobnych bajkach. Przypuśćmy, że zdołałby pan podejść dostatecznie blisko, żeby przycumować — co by się panu najpewniej nie udało — dlaczego, skoro już, nie miałby pan gościa zwyczajnie zastrzelić? Kropnąłby go pan i basta, a potem bez przeszkód przycumował do jego kutra, wyrzucił ciało za burtę i umył ręczki. Nieboszczyk idzie na dno jak kamień i wszelki ślad po nim ginie. Jeśli o mnie chodzi, użyłbym giwery i darował sobie sławę pierwszego rybaka w historii tego zawodu, któremu się udało wymuszone wejście na czyjś pokład. Nie, proszę pana, a jeśli ktoś w tym sądzie myśli, że obecny tu Kabuo Miyamoto wdarł się na łódkę Carla Heinego wbrew jego woli, trzasnął go w głowę osęką i wyrzucił ciało za burtę, musi być niespełna rozumu, oto moje zdanie. Trzeba mieć bowiem nierówno pod sufitem, żeby uwierzyć w podobną bajdułę.

— No cóż, dziękuję panu — powiedział Nels. — Nie mam więcej pytań, panie Gillanders. Chciałbym panu tylko podziękować, że zechciał się pan do nas pofatygować w taką piekielną śnieżycę.

— Faktycznie, sypie tęgo — przyznał Jozajasz. — Ale w tej sali jest ciepło jak w uchu, panie Gudmundsson, a nawet, powiedziałbym, gorąco, szczególnie jeśli siedzi się w skórze pana oskarżyciela, bo...

— Świadek należy do pana, panie Hooks — przerwał mu bezceremonialnie Nels Gudmundsson, usiadł obok swojego klienta i położył mu rękę na ramieniu. — Skończyłem, panie Hooks — oświadczył.

— A więc teraz, jak przypuszczam, moja kolej — stwierdził ze spokojem Alvin Hooks. — Mam do pana tylko kilka pytań, panie Gillanders. Jedyne kilka kwestii, które musimy rozpatrzyć mimo panującego w tej sali gorąca. Czy nie ma pan nic przeciwko temu?

Jozajasz wzruszył ramionami i splótł na brzuchu dłoń.

— Proszę, niech je pan rozważa — rzekł. — Zamieniam się w słuch, kapitanie.

Alvin Hooks wstał i swobodnym krokiem, z rękoma w kieszeniach spodni, podszedł do miejsca dla świadka.

— Panie Gillanders — zaczął — jest pan zatem rybakiem od trzydziestu lat.

— Zgadza się, proszę pana, od trzydziestu. Jak obszył.

— Trzydzieści lat to kawał czasu. Wiele nocy spędzonych samotnie na morzu, prawda? Moc długich godzin do przemyśleń.

— Owszem, szczur lądowy może je uważać za samotne, jak przypuszczam. Człowiek taki jak pan, który zarabia na życie gadaniem, mógłby się na łajbie czuć samotny. Co do mnie...

— Istotnie — nie pozwolił mu dokończyć Alvin Hooks. — Jestem szcurem lądowym, panie Gillanders, jak pan to trafnie zauważył. Należę do ludzi, którzy na morzu czuliby się samotni, chętnie przyznaję. Doskonale, a zatem uporaliśmy się już z zagadnieniem moich prywatnych niedostatków. Porozmawiajmy więc teraz o sprawie, jaka nas tutaj zgromadziła, odkładając na razie na bok inne kwestie. Czy nie ma pan nic przeciwko temu, proszę pana?

— Pan jest tutaj kapitanem — mruknął Jozajasz Gillanders. — Niech pan pyta, o co pan chce.

Alvin Hooks splótł na plecach ręce i przedfilował przed ławą przysięgłych.

— Panie Gillanders — rzekł. — Z pańskich dotychczasowych zeznań wnoszę, że żaden rybak nie wszedłby na pokład cudzego kutra poza przypadkami pilnej konieczności. Czy dobrze to ująłem, proszę pana? Czy trafnie oddałem pańską myśl?

— Tak jest. Trafnie ją pan oddał.

— Czy pomoc koledze, który znalazł się w tarapatach, jest zatem w pańskim zawodzie kwestią zasad, panie Gillanders? Inaczej mówiąc, czy uważałby pan za swój święty obowiązek pospieszenie z pomocą koledze, który znalazł się na morzu w sytuacji awaryjnej? Czy tak to się przedstawia?

— Jesteśmy ludźmi honoru — odrzekł z godnością Jozajasz Gillanders. — Łowimy osobno, lecz pracujemy wspólnie. Widzi pan, zdarzają się na morzu sytuacje, że jeden drugiego

potrzebuje. Każdy rybak wart tego miana przyjdzie drugiemu z pomocą. Święte prawo morza nakazuje odłożyć najpilniejszą robotę i odpowiedzieć na wołanie o pomoc. Nie znam takiego rybaka na tej wyspie, który nie uważałby za swoją powinność pospieszenie na pomoc koledze, który znalazł się w niebezpieczeństwie na morzu. Widzi pan, to jest prawo, nie spisane, co prawda, na papierze, ale równie ważne jak prawa zawarte w kodeksach. Rybak zawsze pomoże drugiemu rybakowi!

— Z drugiej jednak strony, panie Gillanders — zauważył Alvin Hooks — dowiedzieliśmy się z poprzedniego zeznania, że rybacy nie zawsze najlepiej ze sobą współżyją, są milczkami, samotnikami, kłócą się o pozycje kutrów na łowisku, o to, że jeden drugiemu podkrada rybę, i tak dalej. Nie uchodzą za ludzi szczególnie towarzyskich i wolą łowić samotnie, z dala od kolegów. Czy w świetle tych cech, które przed chwilą wyliczyłem — owej skłonności do samotnictwa, stronienia od towarzystwa, atmosfery rywalizacji — mógłby pan stwierdzić z ręką na sercu, że rybak zawsze pomoże w potrzebie drugiemu rybakowi? Nawet jeśli go nie lubi? Jeśli są skłóceni? Nawet jeśli są wrogami? Czy te wszystkie względy bywają istotnie odkładane na bok, tracą nagle znaczenie w obliczu zagrożenia na morzu? Czy może jednak ludzie nadal chowają do siebie urazę, nie zważają jeden na drugiego, czerpią wręcz satysfakcję z kłopotów, w jakie popadł nie lubiany kolega? Co pan mi na to odpowie?

— Odpowiem panu, że rybacy są ludźmi rzetelnymi. Nieważne, czy się wcześniej kłócili, czy nie; na morzu zapominamy o swarach i obowiązkowo pomagamy jeden drugiemu. Ba, choćby i najgorszemu wrogowi! Każdy zdaje sobie sprawę, że któregoś dnia to on może potrzebować pomocy. Widzi pan, od pecha i nieszczęścia człowiek nie ucieknie. Choćby się więc jeden z drugim nie wiedzieć jak ściał, choćby mu tamten zdrowo zalał za skórę, nie dopuści, żeby zdryfował. To byłaby najgorsza podłość, ot co! Pomagamy jeden drugiemu w potrzebie, żeby tam nie wiem co.

— Znakomicie! — ucieszył się Alvin Hooks. — Wierzimy panu na słowo, panie Gillanders, że na morzu nawet wrogowie pomagają sobie w niebezpieczeństwie, ale teraz pozwoli pan, że przejdziemy do innych zagadnień. Więc, jeśli dobrze zrozumiałem pańską tezę, twierdzi pan, że wymuszony abordaż na pełnym morzu nie wchodzi w rachubę, czy tak? Twierdzi pan, że jeden rybak nie wejdzie na pokład łodzi drugiego, jeśli nie ma na to zgody — więcej: współdziałania — obu stron? Czy rzeczywiście? Czy istotnie dobrze pana zrozumiałem?



— Dobrze mnie pan zrozumiał — przytaknął Jozajasz Gillanders. — Dokładnie tak powiedziałem: nie może być mowy o wejściu na cudzy pokład na siłę.

— Pan Gudmundsson — ciągnął Alvin Hooks — mój wielce czcigodny kolega z obrony, zwrócił się do pana z prośbą, aby wyobraził pan sobie scenariusz morderstwa dokonanego na morzu. Prosił, by wyobraził pan sobie wymuszone wejście na czyjś pokład, skok, uderzenie osęką. Pan odpowiedział na to, że to niemożliwe. Stwierdził pan, że takiej zbrodni nie można by popełnić.

— Bo faktycznie, całe to gadanie o wymuszonym abordażu to zwykłe morskie bajędy. Opowieści o piratach, i basta!

— Rozumiem — zgodził się z nim oskarżyciel. — Ja z kolei poprosiłbym, aby zechciał pan wyobrazić sobie inny scenariusz i ocenił, czy wydaje się panu prawdopodobny. Czy wydarzenia, jakie zaraz przedstawię, mogłyby zajść w rzeczywistości, czy też uznałby je pan za kolejną „morską bajędę”.

Alvin Hooks podjął swą przechadzkę, spozierając co chwila na sędziów przysięgłych.

— Punkt pierwszy — zaczął. — Obecny tu oskarżony, pan Miyamoto, postanawia zabić Carla Heinego. Czy to, jak dotąd, możliwe?

— Oczywiście. Skoro pan tak twierdzi.

— Punkt drugi — ciągnął Alvin Hooks. — Piętnastego września wypływa na połów. Mgła jeszcze nie zgęstniała, więc nie ma trudności z podpłynięciem do upatrzonej ofiary, Carla Heinego, na odległość wzroku. Płynie za nim na łowisko Ship Channel Bank... I co pan sądzi o moim scenariuszu?

— Ujdzie.

— Zatem punkt trzeci. Kabuo Miyamoto obserwuje, jak Carl Heine wyrzuca sieć. Sam stawia swoją w pobliżu, umyślnie w gorze prądu, i łowi aż do późnego wieczora. Nagle świat spowija gęsta mgła, prawdziwie nieprzejrzana. Nasz bohater traci z oczu łódź Carla Heinego, ale przecież zna jej położenie, wie, że znajduje się o dwieście metrów od niego, w dole prądu, niewidoczna we mgle. Jest już późno, druga nad ranem. Morze gładkie jak sadzawka. Nasz bohater dowiedział się z nasłuchu radiowego, że większość rybaków odplynęła na łowisko przy Elliot Head. Nie ma pewności, ilu ich zostało na Ship Channel Bank, ale zakłada, że nie więcej jak garstka. I oto pan Miyamoto przystępuje do działania. Wybiera sieć, wyłącza silnik, upewnia się, że ma pod ręką osękę, i dryfuje z prądem w stronę Carla Heinego; niewykluczone, że dmie

przy tym w róg mgłowy. Omal nie wpada na kuter Carla i częstuje go kłamstwem, mówiąc, że ma awarię silnika. Proszę nam teraz powiedzieć, czy — zgodnie z zapewnieniami, jakie składał pan tutaj przed chwilą — Carl Heine poczułby się zobowiązany do udzielenia mu pomocy?

— Morskie bajędy! — prychnął Jozajasz Gillanders. — Ale całkiem ciekawe, przyznaję. Niech pan wali dalej.

— Czy Carl Heine poczułby się zobligowany do udzielenia mu pomocy? Sam pan przecież wcześniej powiedział: pomaga się nawet wrogowi. Czy więc Carl Heine pospieszyłby z pomocą Kabuo Miyamoto?

— Bez dwóch zdań! Niech pan wali dalej.

— Czy przycumowaliby do siebie obie łodzie? Czy do pomyślnego cumowania na morzu — w sytuacji zagrożenia, choćby i pozornego — nie potrzeba obopólnej zgody? Co pan na to, panie Gillanders?

Jozajasz kiwnął głową.

— Zgadza się. Faktycznie.

— Czy więc w tym punkcie naszego scenariusza oskarżony — mistrz *kendo*, proszę pamiętać, człowiek wprawny w zadawaniu śmierci uderzeniami kija, doświadczony w tego rodzaju walce — nie mógł wskoczyć na pokład „Susan Marie” i zabić Carla Heinego potężnym ciosem w głowę, tak silnym, że roztrzaskał mu czaszkę? Wybrał ten sposób, zamiast posłużyć się pistoletem, którego wystrzał mógłby wszak zostać usłyszany przez jednego z łowiących w pobliżu rybaków. Czy moja wersja wydaje się panu — rybakowi z wieloletnim doświadczeniem — prawdopodobna? Czy każdy jej fragment brzmi panu prawdopodobnie?

— Mogło tak być — przyznał Jozajasz Gillanders — choć osobiście w to wątpię.

— Osobiście pan w to wątpi — zmartwił się Alvin Hooks. — Rozumiem więc, że jest pan przeciwnego zdania. Na czym je pan opiera, jeśli można wiedzieć? Nie zaprzeczył pan przecież prawdopodobieństwu mego scenariusza. Nie zaprzeczył pan, panie Gillanders, że to morderstwo z premedytacją mogło się dokonać dokładnie w taki sposób, jaki tu przed chwilą opisałem.

— Istotnie, nie zaprzeczyłem, ale...

— Nie mam więcej pytań — przerwał mu Alvin Hooks. — Świadek jest wolny i może wrócić na swoje miejsce w przytulnym cieple tej sali.

— Chwileczkę...! — zaprotestował Jozajasz Gillanders.

Sędzia podniósł jednak surowo rękę, więc Jozajasz, mnąc w dłoniach czapkę, opuścił miejsce dla świadka.

Sztormowa wichura tłukła w okna sali rozpraw z taką siłą, jakby miała za chwilę wyrwać je z ościeżnic. Choć wypełniający salę obywatele San Piedro od trzech dni i nocy słuchali tego uporczywego wycia, zamknięci we wstrząsanych porywami wichru domach lub walczący z nim w drodze do sądu i z powrotem, nie zdołali przywyknąć do owego wizgu i naporu. Przyzwyczajeni do wiatrów od morza, które każdej wiosny hulały po wyspie, zacinając deszczami i topiąc ją w błocie, wichury o takiej gwałtowności, tak lodowato zimnej dotąd nie zaznali. Wydawało się wręcz niemożliwe, by wiatr mógł dąć tak bez końca po całych dniach i nocach, przyprawiając ludzi o ciągłą irytację i zniecierpliwienie. Śnieg by jeszcze jakoś znieśli, choć sypał gęsty jak nigdy, ale tego zawrota chłuszczącej wichury mieli już serdecznie dość i marzyli tylko o tym, by wreszcie ucichła i zostawiła ich w spokoju. Byli naprawdę zmordowani jej uporczywym świstem.

Zamknięty w czterech ścianach celi, oskarżony Kabuo Miyamoto nie słyszał nawet szmeru wichury. Nie wiedziałby więc nawet, że szaleje na dworze, gdyby Abel Martinson nie prowadził go, zakutego w kajdanki, na górę do sali rozpraw. Dopiero wychodząc schodami na tonący w półmroku parter, Kabuo wyczuwał napór wichury na mury sądowego gmachu, a przez okna na klatkach schodowych widział gęste tumany miotane jej porywami śniegu. Zamknięty od siedemdziesięciu siedmiu dni w pomieszczeniu bez okien, chłonał z wdzięcznością to mętne szare światło śnieżycy. Całą poprzednią noc krążył w kółko po swojej betonowej, lodowatej celi okutany w koce, dzwoniąc zębami z zimna. Wyznaczony do pilnowania więźnia zastępcą szeryfa, emerytowany tracz nazwiskiem William Stenensen, tuż przed dwunastą zaświecił do celi latarką i zapytał, czy niczego mu nie trzeba. Kabuo poprosił o dodatkowe koce i szklanę herbaty, jeśli to możliwe.

— Dobra, przyniosę ci — przyrzekł William Stenensen. — Kurdemol, człowieku, gdybyś się sam nie wpakował w to gównno, żaden z nas nie musiałby tu marznąć po nocy!

Po jego odejściu Kabuo zamyślił się nad swoim położeniem, „tym gównem”, w które faktycznie wpakował się sam. Kiedy bowiem Nels Gudmundsson zapytał go po skończeniu partii szachów, jaką rozegrali dwa i pół miesiąca temu, o jego wersję wypadków, Kabuo powtórzył mu kłamstwo, jakim wcześniej poczęstował szeryfa Morana. Twierdził, że nic mu nie wiadomo na temat wypadku Carla, co powiększyło tylko jego kłopoty. Owszem, przyznawał, rozmawiał z Carlem Heinem o tych siedmiu aknach; tak, przemówił się z Ettą Heine; istotnie, pojechał do Ole

Jurgensena w sprawie kupna ziemi. Nie, nie widział Carla Heinego na Ship Channel Bank w nocy z piętnastego na szesnasty września. Nie ma pojęcia, co mu się przytrafiło; nie wie, dlaczego utonął. On sam, Kabuo, łowił do świtu, potem wrócił do domu, położył się spać i tyle. Nie ma w tej sprawie nic więcej do powiedzenia.

Początkowo Nels Gudmundsson sprawiał wrażenie usatysfakcjonowanego usłyszanym wyjaśnieniem; wydawało się, iż dał wiarę słowom klienta. Nazajutrz rano zjawił się jednak w celi z żółtą teczką pod pachą i cygarem w zębach i usiadł na pryczy. Popiół z cygara spadał na jego kolana, na co albo nie zwracał uwagi, albo czego w ogóle nie zauważał. Kabuo zrobiło się żal tego przygarbionego staruszka o trzęsących się rękach.

— Mam tutaj raport szeryfa — oznajmił z westchnieniem. — Przeczytałem go od deski do deski, Kabuo.

— I co stwierdza? — zapytał Miyamoto.

— Zawiera kilka faktów, które mnie zaniepokoiły — powiedział Nels, wyjmując z kieszeni płaszcz a pióro. — Mam nadzieję, że nie będzie miał pan nic przeciwko temu, jeśli poproszę, aby opowiedział mi pan jeszcze raz swoją wersję wydarzeń; jeszcze raz od początku. O tych siedmiu akarach i o wszystkim, co się w związku z nimi zdarzyło.

Kabuo podeszedł do drzwi celi i przytknął oko do judasza.

— Pan nie wierzy w to, co powiedziałem — stwierdził cicho. — Uważa pan, że kłamię?

— W laboratorium w Anacortes przebadano krew na pańskiej osęcie. Jest zgodna z grupą krwi Carla Heinego.

— Nic na to nie poradzę — odrzekł Kabuo. — Oświadczyłem już szeryfowi i powtarzam panu: nic mi o tej sprawie nie wiadomo.

— Inna kwestia — nie ustępował Nels, wycelowawszy w niego pióro. — Na kutrze Carla znaleziono jedną z pańskich cum. Była okręcona na knadze „Susan Marie”. Szeryf stwierdza w swoim raporcie, że to najwyraźniej jedna z pańskich cum, jest bowiem identyczna z pozostałymi pańskimi linkami cumowniczymi, z wyjątkiem jednej nowiuteńkiej.

— Ach tak — Kabuo przyjął tę nowinę do wiadomości bez dalszych komentarzy.

— Proszę posłuchać — powiedział Nels Gudmundsson. — Nie zdołam panu pomóc, jeśli nie poznam prawdy. Nie mogę zbudować obrony na odpowiedzi „ach tak”, udzielonej w sytuacji, gdy przedstawiłem panu dowód tak obciążający jak pańska linka cumownicza, znaleziona przez szeryfa okręgowego na łodzi rybaka zmarłego w podejrzanych okolicznościach. Co mogę zrobić,

jeśli będę otrzymywał same odpowiedzi typu „ach tak”? Jak mam panu pomóc, Kabuo? Albo będzie pan ze mną szczery, albo nie zdołam panu pomóc. Innego wyjścia nie ma.

— Powiedziałem panu prawdę — powtórzył więzień i odwrócił się do adwokata, starego człowieka z jednym okiem i trzęsącymi się rękami, którego mu przydzielono, ponieważ Kabuo Miyamoto nie zechciał podzielić opinii prokuratora i nie ustanowił własnego obrońcy. — Rozmawiałem z Carlem o ziemi, która należała kiedyś do mojej rodziny. Przed laty pospierałem się o to z jego matką. Pojechałem w tej sprawie do Ole Jurgensena, pojechałem zobaczyć się z Carlem i na tym koniec. Powiedziałem już wszystko, co miałem do powiedzenia.

— Ta linka cumownicza — powtórzył Nels Gudmundsson. — Ta linka i krew na osęce. Ja...

— Nie potrafię tego wyjaśnić — powtórzył z uporem Kabuo. — Nic mi o tym wszystkim nie wiadomo.

Nels pokiwał głową i utkwił w nim świdrujące spojrzenie, które jego klient wytrzymał.

— Grozi panu stryzyk, czy zdaje pan sobie z tego sprawę? — spytał bez ogródek Nels. — Żaden adwokat na świecie nie zdoła panu pomóc, jeśli nie wyjawi mu pan prawdy.

Następnego dnia rano Nels zjawił się znowu, tym razem z tekturową teczką. Trzymając ją pod pachą, zaczął przechadzać się po celi z cygarem w zębach.

— Przynoszę raport szeryfa — oświadczył — żeby się pan z nim zapoznał i przekonał się, co nas czeka. Problem polega na tym, iż po przeczytaniu może pan uznać, że trzeba wysmażyć jakąś nową bajeczkę. Uda pan na przykład, że odtąd będzie ze mną szczery, tymczasem spreparuje pan tylko kłamstwo nadające się lepiej do obrony. Przeczytawszy ten raport, Kabuo, może pan wymyślić coś, co pozostanie z nim w jakiej takiej zgodzie, a ja zacznę tę nową bajeczkę dalej obrabiać, głównie dlatego, że nie pozostawi mi pan innego wyboru. Szczerze mówiąc, nie uśmiecha mi się taka perspektywa. Wolałbym, żeby moje obawy się nie sprawdziły. Wolałbym mieć pewność, że mogę panu zaufać. Więc zanim pan przeczyta, co tu napisano, proponuję, żeby mi pan przedstawił taką wersję wydarzeń, która pozostanie w zgodzie z ustaleniami tego raportu, i oczyścił się w ten sposób w moich oczach. Proszę mi opowiedzieć historię, którą powinien był pan na samym początku opowiedzieć szeryfowi, kiedy jeszcze nie było za późno i szczerą prawdą mogła pana uchronić od mamra i ustrzec od większych kłopotów.

Kabuo milczał. Nels rzucił teczkę na siennik i stanął nad swoim klientem.

— Skłamał pan dlatego, że jest Japończykiem — stwierdził cicho, lecz tonem pytania. — Doszedł pan do wniosku, że ponieważ z pochodzenia jest Japończykiem, nikt i tak panu nie uwierzy.

— Miałem chyba prawo się tego obawiać, nie sądzi pan? Chyba pan nie zapomniał, iż nie dalej jak kilka lat temu rząd uznał, że nie można zaufać żadnemu z moich ziomków, i skazał nas na banicję?

— To prawda — przyznał Nels. — Jednakże...

— Jesteśmy podstępni i zdradzieccy — nie dał mu skończyć Kabuo. — Japońcom nie należy ufać, czyż nie? Ta wyspa aż kipi od złych uczuć, panie Gudmundsson. Ludzie często nie mówią otwarcie tego, co myślą, ale w sercach chowają nienawiść. Nie kupują od nas truskawek, nie prowadzą z nami interesów. Pamięta pan, jak ubiegłego lata „nieznany sprawca” powybił kamieniami wszystkie szyby w szklarni Sumidy? Teraz zaplątał się w sieć i utonął rybak powszechnie darzony sympatią, więc wszyscy radzi by uwierzyć, że zabił go jakiś Japonec. Chętnie zobaczyliby mnie na szubienicy, niezależnie od tego, jak wygląda prawda.

— Istnieje jeszcze prawo — przypomniał Nels. — Równe dla wszystkich. Ma pan prawo do sprawiedliwego procesu.

— Są ludzie, którzy mnie nienawidzą, bo nienawidzą każdego, kto wygląda jak jeden z żołnierzy, przeciwko którym walczyli. Właśnie dlatego tu siedzę.

— Proszę mi powiedzieć prawdę. Niech się pan zdecyduje na wyznanie prawdy, dopóki nie jest za późno.

Kabuo westchnął, wyciągnął się na pryczy i splótł pod głową ręce.

— Prawda — szepnął. — Prawda nie jest prosta.

— Mimo wszystko. Wiem, co pan czuje. Jednak pewne wydarzenia miały miejsce, inne nie. I tylko o tym mówimy.

Tamta noc przypominała Kabuo zawiły sen, cichy, owiany mgłą i statyczny. Często o niej rozmyślał w swojej ciemnej celi, widział przed oczami każdy najdrobniejszy szczegół, słyszał wyraźnie każde wypowiedziane wtedy słowo.

Sprawdził olej w silniku „Islandera”, naoliwił bęben sieciowy i na godzinę przed zapadnięciem zmierzchu wypłynął na Ship Channel Bank. Orientował się, że wielu rybaków łowiło tam z powodzeniem przez dwa kolejne wieczory. Rozmawiał o tym z Larsem Hansenem

oraz Janem Sorensenem i na podstawie tego, co mówili, postanowił, że też spróbuje szczęścia na tym łowisku. Poinformowali go mianowicie, że kizucze chodzą tamtędy wielkimi ławicami, szczególnie podczas przyływu. W czasie odpływu połowy też bywały tam obfite, choć już nie tak. Kabuo miał nadzieję, że uda mu się wyciągnąć dwieście albo i więcej sztuk w czasie przyływu i może ze sto w czasie odpływu — jeśli, oczywiście, dopisze mu szczęście. Zysk z połowu koło przylądka Elliot, gdzie łowił poprzedniej nocy, zaledwie pokrył koszty. Kabuo wyciągnął tylko osiemnaście łososi, a na domiar złego wyrzucił w ciemności sieć obok wielkiego kłębu morszczyku. Przyływ zniósł go na tę splątana, pływającą wyspę i Kabuo stracił cztery godziny, zanim się z niej wyplątał, starając się nie porwać sieci. Tej nocy musi mu pójść lepiej. Byle szczęście dopisało.

O zmierzchu wypłynął z portu i skierował się na otwarte morze. Z punktu obserwacyjnego za kołem sterowym „Islandera” widział zarysy porastających San Pedro cedrowych lasów, wyniosłe pofalowane wzgórza wyspy, ścielące się wzdłuż jej plaż pasma mgły, baranki fal pieniających się przy brzegu. Księżyc już wzeszedł i wisiał nisko nad urwistym cyplem Skiff Point ćwiartką swojej tarczy, bladą, przejrzystą i równie nierealną jak przepływające po niebie i przesłaniające ją obłoczki. Kabuo włączył radio i sprawdził barometr; jego wskazania nie zmieniały się, mimo zapowiedzi sztormowej pogody na północy i zacinających deszczów ze śniegiem. Podniósłszy wzrok znad tarczy barometru, ujrzał kilkadziesiąt metrów przed sobą stado morskich ptaków. Ich szare sylwetki wzbijały się nad poszarpaną falę i frunęły nisko nad wodą, wzorem kaczek uhl, choć stado było zbyt liczne jak na uhle. Kabuo nie wiedział, jakie to ptaki, może nurzyki, może jakieś inne. Opłynąwszy łukiem skały przed wejściem do portu, siedł pod wiatr z prędkością siedmiu węzłów, popychany prądem przyływu, i wkrótce dogonił inne kutry, „Kasilofa”, „Antarctic” i „Providence”, które także zmierzały na Ship Channel; połowa flotylli łodzi rybackich z San Pedro udawała się w tamtym kierunku, ciągnąc za sobą szerokie srebrzyste kilwatery.

Kabuo napił się zielonej herbaty z termosu i przejechał gałką po kanałach radia. Miał zwyczaj słuchać rozmów kolegów, samemu się nie odzywając. Lubił poznawać ludzi ze sposobu, w jaki się komunikują, a przy okazji zdobywał informacje na temat ryby.

Po zapadnięciu ciemności zjadł trzy ryżowe placki, płat dorsza i dwa jabłka — spady z dzikiej jabłonki, rosnącej przy Bender’s Spring. Nad wodą unosiła się nocna mgła, więc Kabuo zmniejszył obroty silnika i włączył szperacz. Perspektywa połowu w nieprzeniknionej mgle



niepokoiła go, jak zresztą zwykle. Rybak mógł w takiej ćmie do tego stopnia stracić orientację, że stawiał sieć w koło, nawet o tym nie wiedząc, lub na samym środku szlaku żeglugowego, którym chodziły wielkie frachtowce do Seattle. W takich warunkach lepiej było łowić na Elliot Head, gdyż łowisko w pobliżu tego przylądka leżało daleko od szlaków żeglugowych, na zawietrznej wyspy Elliot, osłonięte od wiatrów z otwartego morza.

Znalazłszy się o wpół do dziewiątej na ławicy, Kabuo przerzucił silnik na wolny bieg i stojąc w kokpicie obok bębna sieci pilnie nasłuchiwał. Mgła gęstniała coraz bardziej. Od znajdującej się daleko na wschodzie latarni morskiej dolatywało niskie monotonne buczenie sygnału mgłowego. Ten dobrze znajomy głuchy dźwięk kojarzył się rybakowi z ciemnymi, samotnymi nocami na morzu i napełniał go nieodmiennie przygnębiającym smutkiem. Kabuo wiedział, że tej nocy, jak mawiali starzy marynarze, może przeżyć „godzinę duchów”, ponieważ mgła była zestalona i gęsta jak śmietana. Można ją było rozczesywać palcami na pasma i smugi, które sklejały się zaraz w jednolitą całość, bez śladu szwów czy spoin. Dryfujący z prądem kuter poruszał się w tej mgle niczym w odrębnym niezemskim środowisku, zawieszonym między wodą a niebem. W takie noce można było stracić orientację na morzu równie łatwo jak w jaskini, gdy zgaśnie pochodnia. Kabuo dryfował z prądem i starał się przeniknąć wzrokiem mgielne tumany, świadom, że w pobliżu znajdują się inne kutry, podążające na oślep nad ławicę, a ich szyprowie, podobnie jak on, wyteżają wzrok w nadziei, że wpłyną przypadkiem na którąś z numerowanych pław, wytyczających granice szlaków żeglugowych, i wedle niej zdołają określić swą pozycję.

Po jakimś czasie zrezygnował z daremnego wślepiania się w mgłę, umieścił boję sieciową między półkluzami rufowymi, potarł zapałkę i zapalił lampę naftową. Zaczekał, aż knot zajmie się płomieniem, dopompował trochę powietrza, wyregulował dopływ paliwa, po czym ostrożnie umocował lampę na kardanie i wychylił się za rufę „Islandera”, żeby postawić boję na wodzie. Nachylił twarz tak nisko nad powierzchnią morza, że aż zdawało mu się, iż czuje zapach płynących w głębinie łososi. Zamknął oczy, zanurzył w wodzie rękę i, jak umiał, modlił się do morskich bogów, aby go wspomogli i napędzili mu do sieci rybę. Prosił ich o szczęśliwy połów, o rozproszenie mgły i ustrzeżenie od spotkania z frachtowcami, płynącymi szlakiem żeglugowym. Potem wyprostował się, węzłem refowym przywiązał linkę worka pławnego do liny sieci i zwolnił hamulec bębna sieciowego.

Postawił sieć na linii północ-południe i odpływał od niej na silniku najwolniej, jak się dało, dosłownie na oślep. Miał wrażenie — choć nie pewność — że szlak żeglugowy przebiega dalej na północ. Pływ, znoszący go na wschód, powinien napiąć sieć, ale tylko wtedy, jeśli postawił ją według właściwego namiaru, lecz jeśli zboczył — choćby nieznacznie — z kierunku prądu, skończy się na tym, że przyjdzie mu przez całą noc ciągnąć sieć, żeby się nie splątała. W tak gęstej mgle niepodobna określić właściwego ustawienia sieci. Kabuo nie widział dalej niż na dwadzieścia korkowych pływaków na sznurze. Zdawał sobie sprawę, że będzie musiał co jakąś godzinę napinać sieć i szukać jej we mgle szperaczem. Z miejsca za kołem sterowym w kabinie widział niecałe pięć metrów powierzchni morza przed dziobem. „Islander” dosłownie rozpoławiał, rozcinał mleczne opary. Mgła stawała się tak gęsta, iż Kabuo jął się wkrótce zastanawiać, czy nie popłynąć jednak na Elliot Head, obawiał się bowiem, że stawia sieć w szlaku żeglugowym do Seattle. Poza tym mógł mieć jedynie nadzieję, że inny rybak nie postawił sieci na południe od niego, szczególnie pod pewnym kątem do jego własnej. W takiej mgle z pewnością nie dojrzałyby w porę świateł drugiego kutra i wjechałyby dziobem „Islandera” w czyjąś sieć, co oznaczałoby długą przerwę w połowie. Wiele przykrych niespodzianek czyhało na niego tej nocy...

Długa na trzysta sążni sieć odwijala się z bębna i bez przeszkód sphywała do morza, aż w końcu cała zniknęła pod wodą. Kabuo przeszedł na rufę i węzem przepłukał szpigaty. Uporawszy się z tym, zgasił silnik, stanął na pokrywie luku, oparł się plecami o kabinę i wytyżył słuch, nasłuchując rogów mgłowych przepływających frachtowców, dolatywał go jednak tylko chlupot fal i buczenie latarni w oddali. Prąd przyływu znosił go powoli na wschód, co zresztą przewidział. Wyrzuciwszy sieć, nabrał nieco otuchy, bo choć nadal nie miał pewności, czy nie znajduje się na szlaku żeglugowym, wiedział już przynajmniej, że porusza się z taką samą prędkością jak każdy inny kuter, łowiący na tym spowitym mgłą łowisku. Wyobraził sobie, że w jej nieprzeniknionych tumanach tkwi kilkadziesiąt innych, cichych jak duchy łodzi i wszystkie razem poruszają się w niezmiennej wobec siebie odległości, unoszone prądem tego samego pływu. Wszedł do kabiny i zapalił światło na maszcie: czerwone nad białym, sygnał nocnego połowu. Zdawał sobie sprawę, że tak mdłe światelko na niewiele się zda w tych oparach, ale przynajmniej miał czyste sumienie, że niczego nie zaniedbał. Postawił sieć najlepiej, jak można; teraz pozostawało cierpliwie czekać.

Odniósł termos do kokpitu, przysiadł na lewej burcie i sączył zieloną herbatę, czujnie nasłuchując odgłosów we mgle. Od południa doleciał go warkot pracującego na wolnych obrotach silnika i turkot bębna sieciowego. W krótkofalówce chrobotwały od czasu do czasu ciche trzaski. Kabuo popijał herbatę i czekał na łososia. Podobnie jak w inne noce wyobrażał sobie śmigające w głębinie ryby, zdążające do morza, z którego wyszli ich przodkowie i do którego mieli wrócić potomkowie, które było ich kolebką i miało stać się grobem. Gdy je wyciągał — nieme, tkwiące skrzelami w okach sieci — rozumiał tragizm tego dążenia do miejsca narodzin i ogarniało go głębokie, choć milczące wzruszenie rybaka. Tłuste srebrne ryby oznaczały spełnienie jego marzeń i za to czuł dla nich wdzięczność, ale jednocześnie budziły jego litość. Dostrzegął jakiś tragizm w tej niewidocznej śmiertelnej pułapce, którą zastawił na ich drodze do celu, ku któremu gnał je nieodparty nakaz. Wyobrażał sobie zdumienie łososi, gdy wpadały na niewidzialną przeszkodę, która odbierała im życie na kilka dni przed końcem ich przymusowej wędrówki. Zdarzało się, że wyciągając sieć, napotykał w niej rybę, miotającą się tak gwałtownie, aż tłukła z łoskotem o pawęż „Islandera”. Podobnie jak pozostałe wędrowała do ładowni, by tam usnąć w ciągu kilku godzin.

Kabuo zakręcił termos i zaniósł go do kabiny. Jeszcze raz przejechał po kanałach radia. Tym razem wyłowił głos Dale’a Middletona, który gawędził z jakimś drugim rybakiem, w typowy dla wyspiarzy sposób przeciągając zgłoski:

— Spadam stąd i wyłączam się. Mam już powyżej uszu tych trzasków — oświadczył, na co ten drugi zapytał:

— Bo co?

Dale wyjaśnił, że ma już dość kręcenia się w pobliżu szlaku żeglugowego w mgle gęstej jak zupa z tuzina łososi, kilku koleni i paru morszczuków, i na dodatek wysłuchiwanie tego żalostnego biadolenia w radiu.

— Prawie nie widzę własnych palców u rąk — stwierdził. — Ani czubka własnego nosa.

Jakiś trzeci rozmówca zgodził się z nim, że połów jest do bani, łowisko jakby nagle wyschło, więc i on zaczyna się zastanawiać, czyby nie spróbować szczęścia przy Elliot Head. Cholera wie, może tam pójdzie im lepiej.

— Przynajmniej będziemy dalej od szlaku żeglugowego — odparł Dale. — Robię jeszcze jeden zaciąg i spadam stąd. Hej, Leonard, jak tam twoja sieć? Moja wygląda jak szmata od smaru. Jest ciemniejsza niż przypalony tost, kurna mać!

Omawiali jeszcze przez chwilę na falach eteru tę kwestię; Leonard stwierdził, że jego sieć jest dość czysta; Dale zapytał, czy smarował ostatnio bęben. Leonard zapewnił, że widział po lewej burcie znakowaną boję numer 57. Kręcił się wokół niej jakieś pół godziny, ale nie udało mu się znaleźć ani numeru 58, ani 56, więc nie zdołał określić pozycji. Jeśli o niego chodzi, kompletnie stracił rozeznanie w kierunkach, więc zamierza pozostać na miejscu, przynajmniej dopóty, dopóki nie wybierze sieci, potem się zobaczy. Dale zapytał, czy zrobił już jakiś zaciąg; za całą odpowiedź mógłby mu wystarczyć pełen rozczarowania ton głosu Leonarda. Dale ponownie opisał mgłę, jaka oblepia jego łódź, i stwierdził, że równie gęstej nie pamięta. Leonard w zasadzie się z nim zgodził, dodając jednak, że rok temu koło Elliot Head, na dodatek przy wzburzonym morzu, opadła go mgła wcale nie rzadsza.

— Teraz przy przyładku powinno być nie najgorzej — odrzekł Dale. — Dymajmy tam, szkoda czasu!

Kabuo nie wyłączył radia; chciał wiedzieć zawczasu, kiedy jakiś frachtowiec wpłynie w cieśninę i będzie wywoływał latarnię. Otworzył drzwi kabiny i stał nasłuchując; po chwili doleciały go głuche i smętne dźwięki ręcznych rogów mgłowych. Oznaczało to, że kutry schodziły z łowiska i płynęły na oślep na wschód; ich sygnały mgłowe docierały z coraz dalszej odległości, więc stawały się coraz słabsze. Pora wybierać sieć, postanowił Kabuo, a potem samemu przedzierać się omackiem na łowiska koło przyładka Elliot; wołał tę podróż odbywać w pojedynkę. Otaczające go łodzie płynęły „na nosa”, a on nie miał specjalnego zaufania do ich szyprów. Poczeka jeszcze godzinę, potem wybierze sieć i jeśli okaże się pusta, rusza na Elliot Head.

O dwudziestej drugiej trzydzięci przycisnął stopą pedał wału sieciowego w kokpicie i zaczął wybierać sieć; zatrzymywał ją co jakiś czas, żeby wyrzucić do morza warkocze morszczy. Z naprężonej sieci kapały na pokład krople słonej wody, spadały patyczki i pasma morszczy. Kabuo ucieszył się, stwierdziwszy, że w sieci tkwią również łososi, przeważnie wielkie kizucze o wadze ponad sześciu kilogramów, ponadto kilka pięciokilowych tuńczyków, a nawet trzy babki czarne. Niektóre ryby spadały na pokład prześliznąwszy się nad pawężą, inne sprawnie uwolnił. Potrafił to robić nader zręcznie. Zanurzał ręce w fałdach sieci i wymacał długie boki martwych i zdychających łososi. Wrzucił je do ładowni wraz z trzema morszczukami i trzema bladymi koleniami, które zamierzał zabrać do domu na posiłek dla rodziny. W pierwszym zaciągu naliczył pięćdziesiąt osiem łososi, za co podziękował z wdzięcznością losowi.

Przez chwilę klęczał nad lukiem ładowni, cieszył oko widokiem ryb i obliczał, ile za nie otrzyma w przetwórni. Pomyślał o długiej podróży, jaką odbyły, by on mógł je złowić, oraz o tym, że dzięki nim zdoła zapewne odkupić rodzinną farmę.

Jeszcze przez jakiś czas przyglądał się łososiom — co chwila któryś rozdymał skrzela i zaczynał się rzucać — po czym zasunął pokrywę luku i splukał osad ze szpigatów. Jak na pierwszy zaciąg połów okazał się całkiem udany, wystarczająco dobry, by warto zostać na łowisku. Otwierała się szansa, że — pomimo mgły — ta noc może się okazać wyjątkowo udana. Sprzyjało mu nieoczekiwane szczęście. Wymodlił je sobie i, jak dotąd, wszystko układało się po jego myśli.

Zbliżała się dwudziesta trzecia trzydzieści, jeśli jego zegarek wskazywał właściwą godzinę; słabnący przypływ wciąż niósł „Islandera” na wschód, więc Kabuo postanowił wrócić na silniku nieco na zachód, by spróbować zaciągu, kiedy się pływ odwróci. Przy odpływie łosie wejda na płyciznę, będą się na niej kłębiły tysiącnymi ławicami, niektóre zaś cofną się z odpływem, tak że sieć będzie się mogła napełniać z obydwu stron. Kabuo liczył po cichu na następną setkę ryb; wydawało się, że nie jest to wcale oczekiwanie nierealistyczne. Cieszył się, że wytrwał na łowisku mimo mgły, odczuwał z tego powodu swoistą rybacką dumę. Dryf zakończył się powodzeniem. W ładowni już była ryba, mogło jej jeszcze przybyć, a konkurentów ubyło. Kabuo obliczał, na podstawie niosącego się po wodzie buczenia syren mgłowych, że co najmniej dwie trzecie rybaków popłynęło na Elliot Head.

Stał za kołem sterowym w kabinie, odstawiwszy na stolik za plecami kubek z zieloną herbatą. Po raz kolejny przejechał gałką po kanałach radia. Nie natrafił na żadne rozmowy. Wszystkie gaduły wyniosły się prawdopodobnie na inne łowiska. Z nawyku skontrolował przyrządy pomiarowe silnika i sprawdził kurs na kompasie. Potem zwiększył obroty i zrobił ciasny — o mniej niż pięć stopni — zwrot na północ, w nadziei, że natknie się na oznakowaną boję.

Dziób „Islandera” przez kilkanaście minut kroił gęstą jak śmietana mgłę. Kabuo jednym okiem spoglądał na kompas, drugim na oświetloną szperaczem powierzchnię morza przed dziobem łodzi i posuwał się wolno naprzód, zawierzywszy swojemu szczęściu. Zdawał sobie sprawę, że porusza się w kierunku przeciwnym niż dryfujące nad ławicą łodzie. Rybacki obyczaj nakazywał nadawanie w takiej sytuacji sygnału rogiem mgłowym w odstępach minutowych i baczne nasłuchiwanie, czy z mgły nie nadejdzie przypadkiem odpowiedź. Kabuo zdążył

zasygnalizować swoją obecność dobrych kilka razy, kiedy z lewej strony od dzioba odpowiedziało mu buczenie rogu mgłowego. Ktokolwiek je nadał, znajdował się tuż nie opodal.

Kabuo przerzucił silnik na luz. Zaczęło mu walić serce. Ten drugi rybak był zbyt blisko, o trzydzieści kilka, w najlepszym razie pięćdziesiąt metrów od „Islandera”, z wyłączonym silnikiem, skryty we mgle. Kabuo ponownie włączył syrenę. W ciszy, jaka następnie zaległa, od lewej burty nadeszła odpowiedź. Tym razem odezwał się męski, spokojny głos, który Kabuo od razu rozpoznał.

— Tu jestem! — pobiegło po wodzie. — Dryfuję unieruchomiony!

Tak oto Kabuo Miyamoto natknął się na Carla Heinego, któremu wysiadł akumulator i który w środku nocy dryfował na pełnym morzu, oczekując pomocy innego rybaka. Po chwili w świetle szperacza „Islandera” ukazał się potężny mężczyzna w sztormiaku, stojący na dziobie łodzi z lampą naftową w jednej i rogiem mgłowym w drugiej ręce. Podniósł lampę i czekał, bez żadnego wyrazu na brodatej twarzy.

— Jestem unieruchomiony — powtórzył, kiedy Kabuo podpłynął od prawej burty i rzucił mu cumę. — Siadły mi oba akumulatory.

— Mam zapasowy! — zawołał Kabuo. — Przy wiążmy się do siebie!

— Bogu dzięki — ucieszył się Carl. — Miałem szczęście, że ciebie spotkałem.

— Wyrzuć odbijacze. Podchodzę!

Przy blasku szperacza „Islandera”, rozjaśniającego mgłę, przycumowali do siebie obie łodzie. Kabuo zgasił silnik, a Carl przestąpił przez burty kutrów i wszedł na jego pokład. Stał w drzwiach kabiny i pokręcił głową.

— Oba mi siadły — powtórzył. — Woltomierz zdechł około dziewiątej. Musiały się poluzować paski prądnic. Już je naciągnąłem, ale tymczasem zostałem unieruchomiony.

— Mam nadzieję, że nie stoimy na szlaku — powiedział Kabuo, zerkając na maszt „Susan Marie”. — Widzę, że wywiesiłeś latarnię.

— Przywiązałem ją za ledwie przed minutą. To wszystko, co mogłem zrobić. Wysiadło mi radio, nie mogłem wezwać pomocy. Od godziny tak dryfuję bezradny jak dziecko. W takiej mgle latarnia zda się psu na budę, mimo to ją wywiesiłem. Tamta i ta, którą trzymam w garści, to wszystkie światła, jakie teraz niosę. Najpewniej guzik by mi zresztą pomogły.

— Mam dwa akumulatory — odrzekł Kabuo. — Wyjmę jeden, żebyś mógł wystartować.

— Jestem ci wdzięczny — mruknął Carl. — Kłopot tylko w tym, że używam ósemek, a ty pewnie szóstek, jak się domyślam.

— Faktycznie — przytaknął Kabuo. — Ale powinny pasować, jeśli masz trochę luzu w studziencie. W najgorszym razie jakoś ją dopasujemy. Można by też przywiązać dłuższe kable. Powinno grać.

— Zmierzę — powiedział Carl. — Potem się zobaczy.

Wrócił na swoją łódź. Kabuo miał nadzieję, że pod tą niewzruszoną maską kryje się jednak zamiar przedyskutowania kwestii ziemi, która ich poróżniła. Carl musi zająć jakieś stanowisko, tak lub siak, choćby dlatego, że dryfowali razem na otwartym morzu, burta w burtę, i zmagali się z tym samym problemem.

Kabuo znał Carla od lat, wiedział, że przyjaciel z dzieciństwa unika sytuacji, które zmuszałyby go do zabrania głosu. Jeśli już koniecznie musiał się odezwać, starał się ograniczać swoje wypowiedzi do świata narzędzi i przedmiotów martwych. Kabuo pamiętał, jak w pożyczonej, rozlatującej się wiosłówce popłynęli kiedyś razem na ryby — było to na długo przed wojną, mieli wtedy po dwanaście lat. Słońce właśnie zachodziło, zapalając na wodzie, burzonej wiosłami Carla, ogniste blaski. Kabuo był tak wzruszony niezwykłą urodą świata, że nie mógł się powstrzymać, by głośno nie wyrazić zachwyty, jaki go ogarnął:

— Spójrz tylko na te kolory! — zawołał, zdając sobie sprawę, choć miał dopiero dwanaście lat, że takie uniesienia mężczyźnie nie przy stoją.

Carl zatrzymał wtedy swoje uczucia dla siebie, bo też nigdy ich nie okazywał, podobnie zresztą jak na ogół Kabuo, choć skrytość Japończyka wynikała z innych przyczyn. Prawdę mówiąc, byli bardziej do siebie podobni, niż to Kabuo gotów byłby przyznać.

Podważył wieko studzienki akumulatorowej i zdjął z zacisków kable. Wyjął jeden z akumulatorów — dwa razy większy i tyleż cięższy od akumulatora samochodowego — wyniósł go na pokład i oparł na burcie, żeby go przekazać Carlowi.

— Będzie pasował — orzekł Carl, odbierając akumulator z rąk Kabuo. — Kryza jest dość miękka. Da się odgiąć.

Kabuo schylił się i zdjął z uchwytu osękę.

— Wezmę to — powiedział. — Może się przydać jako młotek.

Weszli do kabiny „Susan Marie”, Carl przodem, niosąc akumulator, Kabuo za nim z lampą naftową i osęką. Nad podstawą kompasu wisiała na druciku kiełbasa, koja była porządnie

zasłana. Carl miał zawsze skłonność do porządku; Kabuo przypomniał sobie, jak przed laty dbał o swoją skrzynkę z narzędziami. Nawet jego ubrania, choćby i znoszone, zwracały uwagę schludnością i czystością.

— Daj no tę osękę — mruknął.

Przyklęknął przy studziencie akumulatorowej i uderzył osęką w metalową kryzę. Kabuo stał nad nim, podziwiając siłę i zręczność, z jaką Carl zabrał się do pracy. Każde jego uderzenie było celne, w każde wkładał całą siłę barków. Choć pracował metodycznie, bez pośpiechu, w pewnej chwili omsknęła mu się prawa ręka i do krwi rozciął sobie dłoń; nie przerwał jednak pracy, mocniej tylko ujął osękę. Dopiero osadziwszy akumulator w studziencie, przytknął skaleczoną dłoń do ust i wyssał krew.

— Spróbujmy zapalić — zaproponował.

— Jesteś pewien, że dobrze napiąłeś te paski? — upewnił się Kabuo. — Bo jeśli nie, nie ma sensu zapalać. Wyczerpiesz tylko akumulator i będziemy mieli nowy kłopot.

— Są dobrze napięte — zapewnił Carl. — Dociągnąłem je fest kluczem.

Wyciągnął ssanie i włączył silnik, który zakaszał dwa razy pod deskami podłogi, nim zaskoczył; Carl przymknął ssanie.

— Słuchaj, zatrzymaj sobie do rana ten akumulator — zaproponował Kabuo. — Nie mogę czekać, aż twój się naładuje. Będę pływał na tym, co mi został. Rano spotkamy się w porcie, wtedy mi go oddasz.

Carl postawił rozładowany akumulator obok koła sterowego, zapalił światło w kabinie i zerknął na woltomierz.

— Chyba masz rację — powiedział, ściskając chusteczkę w skaleczonej dłoni. — Ładuje się już, ale to rzeczywiście trochę potrwa. Może zdarzy nam się jeszcze spotkać przed świtem.

— Nie zwracaj sobie tym głowy, zajmij się spokojnie połowem — poradził Kabuo. — Spotkamy się w porcie.

Zamknął luk studzienki akumulatora i podniósł osękę.

— No, to znikam — rzekł po chwili milczenia. — Do zobaczenia.

— Zaczekaj — mruknął Carl, nie patrząc na Kabuo; wpatrywał się w swoją skaleczoną dłoń. — Wiesz równie dobrze jak ja, że mamy coś do obgadania.

— Faktycznie — odrzekł Kabuo.

Stał z osęką w ręku i czekał.



— Te siedem akrów — powiedział Carl. — Zastanawiam się, ile byś gotów za nie zapłacić, Kabuo. Pytam z czystej ciekawości.

— A ile byś chciał? Zaczniemy od tego, ile byś za nie chciał. Wolę od tej strony.

— Czy powiedziałem, że sprzedaję? Nie powiedziałem chyba, że sprzedaję? Ale gdybym miał tak: zamiar, musiałbym najpierw wiedzieć, że ziemia należy do mnie, a tobie cholemie na niej zależy. Chyba powinienem zdrzeć z ciebie skórę, ale wtedy mógłbyś zabrać swój akumulator i zostawić mnie na pastwę losu.

— O akumulator się nie martw — odrzekł z uśmiechem Kabuo. — To osobna sprawa. Na moim miejscu postąpiłbyś zresztą tak samo.

— Może i tak — przyznał Carl. — Ale muszę cię ostrzec, bracie, że tylko może. Nie tak łatwo już mnie nabrać. Dużo się zmieniło.

— W porządku. Skoro tak uważasz...

— Tam do licha! — mruknął Carl. — Nie to chciałem powiedzieć. Szlag by to trafił! Słuchaj, przepraszam cię. Przepraszam za ten cały pieprzony interes. Gdybym był na miejscu, sprawy by się tak nie ułożyły. Matka tym kierowała. Ja, jak wiesz, walczyłem akurat na morzu z wami, pieprzonymi Japońcami...

— Jestem Amerykaninem — przerwał mu Kabuo. — Nie gorszym od ciebie i innych. Czy nazywam cię nazistą, ty wielki nazistowski skurwielu? Zabijałem facetów, którzy wyglądali dokładnie tak jak ty, spasionych wieprzowiną niemieckich skurwieli. Mam na sumieniu ich krew, Carl, a nie tak łatwo ją zmyć. Więc nie mów mi o Japońcach, ty pieprzony nazistowski skurwysynu!

Wciąż trzymał w ręku osękę, czego stał się nagle świadomy. Carl postawił nogę na burcie „Susan Marie” i splunął do wody.

— Jestem draniem — przyznał w końcu, wpatrując się w mgłę. — Jestem wielkim Hunem, nazistowskim skurwysynem i wiesz, co ci jeszcze powiem, Kabuo? Wciąż mam tę twoją bambusową wędkę. Trzymam ją przez te wszystkie lata. Schowałem ją w stodole, kiedy matka kazała mi wrócić i ci ją oddać. Ciebie wsadzili do obozu, a ja złapałem smykałkę do morza. Ta cholerna wędka wciąż stoi u mnie w szafie.

— Niech stoi. Już o niej zapomniałem. Możesz ją sobie zatrzymać. Do diabła z wędką!

— Do diabła z wędką! Nie dawała mi spokoju przez te wszystkie lata. Co otworzę szafę, ta twoja pieprzona bambusowa wędka wciąż tam stoi.

— Możesz mi ją oddać, skoro ci zależy — powiedział Kabuo. — Ale, powtarzam, możesz ją zatrzymać. Przecież ci ją dałem, no nie?

— Dobra — zgodził się Carl. — A więc sprawa załatwiona. Tysiąc dwieście za akr i ani centa mniej. Tyle płacę Jurgensenowi, kapujesz. Taka jest zresztą aktualna cena ziemi pod truskawki. Sprawdź, jeśli nie wierzysz.

— To znaczy osiem tysięcy czterysta za całą działkę — obliczył Kabuo. — A ile być chciał gotówką?

Carl Heine po raz drugi splunął do morza, po czym odwrócił się i wyciągnął rękę. Kabuo odłożył osękę i podał mu swoją. Nie potrząsnęli sobie rąk, uścisnęli je tylko, jak rybacy, którzy wiedzą, że słowami nie zdołają nic więcej wyrazić, więc muszą się porozumieć w jakiś inny sposób. Stali na morzu w gęstej jak śmietana mgle, dryfowali z prądem pływu i wymieniali krzepki uścisk dłoni, pieczętowany krwią ze skaleczenia Carla. Żaden z nich nie chciał wyrazić zbyt wiele tym uściskiem, a jednocześnie pragnęli wyrazić nim wszystko. Cofnęli ręce szybciej, niżby chcieli, nie czekając, aż ogarnie ich zakłopotanie.

— Tysiąc gotówką — zaproponował Carl Heine. — Papiery możemy podpisać choćby jutro.

— Osiemset — rzekł Kabuo — i dobijamy targu.

Kiedy Kabuo Miyamoto skończył opowiadać, podniósł się Alvin Hooks, podszedł do miejsca dla świadka i stanął przed nim, skubiąc zawzięcie skórkę przy paznokciu.

— Panie Miyamoto — zaczął, wpatrując się w swe palce, ze szczególną zaś uwagą właśnie w skórki. — Przysięgam, że nie pojmuję, czemu od razu nie przedstawił nam pan tej wersji wydarzeń. Pomijając już inne względy, czy nie uważa pan, że zwykły obywatelski obowiązek nakazywał, by podzielił się pan z władzami tak ważną informacją? Nie sądzi pan, że należało pójść, nie zwlekając, do szeryfa i opowiedzieć mu o tej przygodzie z akumulatorem, jaka pana podobno spotkała na morzu? Co do mnie, uważam, iż tak właśnie należało postąpić. Należało pójść do szeryfa Morana i wszystko mu opowiedzieć, jak tylko dowiedział się pan o tym strasznym śmiertelnym wypadku Carla Heinego.

Oskarżony patrzył na sędziów przysięgłych, całkowicie ignorując Alvina Hooksa. Do nich też — jakby nikogo więcej na sali nie było — skierował swą cichą odpowiedź.

— Musicie państwo zrozumieć — powiedział — że o śmierci Carla Heinego dowiedziałem się dopiero o pierwszej po południu szesnastego września, a w kilka zaledwie godzin później zostałem aresztowany przez szeryfa Morana. Nie miałem czasu, by się zgłosić dobrowolnie i opowiedzieć mu o zdarzeniach, które przed chwilą przedstawiłem. Ja...

— Chwileczkę, panie Miyamoto — przerwał mu Alvin Hooks, stając między miejscem dla świadka a ławą przysięgłych. — Sam pan przed chwilą powiedział, że miał pan w istocie... jak pan to ujął?... „zaledwie kilka godzin” na odszukanie szeryfa. Usłyszał pan o tym potwornym nieszczęściu, minęło całe popołudnie, po czym pojechał pan do portu w Amity Harbor z zamiarem wypłynięcia na połów, z którego miał pan wrócić dopiero rankiem siedemnastego września. Gdyby więc zgłosił się pan wtedy, od chwili, gdy usłyszał pan o śmierci Carla Heinego, minęłoby już godzin co najmniej szesnaście! Pozwoli pan, że w świetle tych faktów zadam moje pytanie inaczej: czy pan, panie Miyamoto, w ogóle zamierzał się zgłosić dobrowolnie? Czy nosił się pan z zamiarem opowiedzenia swojej historii o akumulatorze w momencie pańskiego aresztowania?

— Myślałem o tym — przyznał Kabuo. — Próbowałem się zdecydować, co powinienem zrobić. Moje położenie nie było łatwe.

— Ach! — wykrzyknął Alvin Hooks. — Więc myślał pan o tym! Ważył pan w duszy decyzję, czy zgłosić się z własnej woli i opowiedzieć szeryfowi Moranowi o przygodzie z akumulatorem?

— Tak. Istotnie tak było.

— Tymczasem jednak, jak pan sam powiedział, szeryf Moran zjawił się u pana. Zjawił się na pańskim kutrze wieczorem siedemnastego września z nakazem rewizji, czy tak?

— Tak.

— A pan tymczasem wciąż się zastanawiał, czy mu opowiedzieć historię o akumulatorze, czy też nie?

— Istotnie.

— I jednak pan nie opowiedział?

— Zgadza się, nie opowiedziałem.

— Nie opowiedział pan szeryfowi historyjki o akumulatorze — zrekapitulował oskarżyciel. — Nawet w obliczu natychmiastowego aresztowania nie złożył pan żadnych wyjaśnień. Oto szeryf Moran stoi przed panem z pańską osęką w ręku, zapowiadając, że zamierza zbadać znajdującą się na niej krew, a pan nie wspomina mu o tym, że Carl rozciął sobie dłoń... bo według pańskiej, przedstawionej sądowi wersji Carl rozciął sobie dłoń, posługując się pańską osęką, czy tak? Co by wyjaśniało, skąd wzięła się na owym narzędziu jego krew?

— Tak było — przytaknął Kabuo Miyamoto. — Rzeczywiście, rozciął sobie rękę.

— Ale pan nie podał tej informacji szeryfowi. Nie mówiąc o tym, że nie wspomniał pan, iż w ogóle spotkał Carla Heinego na morzu. I czemuż to, panie Miyamoto? Właściwie dlaczego twierdził pan, że nic mu o tej sprawie nie wiadomo?

— Proszę mnie zrozumieć — powtórzył Kabuo. — Szeryf zjawił się u mnie z nakazem w ręku. Stwierdziłem, że jestem podejrzany o morderstwo. Uznałem, że najlepiej zrobię zachowując milczenie, przynajmniej do czasu, aż... dostanę adwokata.

— I dlatego nie opowiedział pan szeryfowi historyjki o akumulatorze — powtórzył po raz kolejny Alvin Hooks. — Nie opowiedział jej pan również po swoim aresztowaniu, nawet gdy już pan dostał adwokata. Zamiast tego twierdził pan... proszę mnie skorygować, gdybym coś przekręcił... otóż twierdził pan, że nic nie wie o śmierci Carla Heinego, nie widział go pan w nocy z piętnastego na szesnasty września na łowisku Ship Channel Bank. Te wszystkie pana zapewnienia, uporczywe zasłanianie się niewiedzą, są zawarte w raporcie szeryfa, dopuszczonym

jako dowód w obecnym procesie. Pańska wersja wydarzeń, przedstawiona bezpośrednio po aresztowaniu, różni się zatem od tej, jaką nam pan tu dzisiaj przedstawił. Pytam więc pana: która jest prawdziwa?

Kabuo zamrugał powiekami i zagryzł wargi.

— Ta, którą opowiedziałem przed chwilą. Jest prawdą, że pożyczyłem Carlowi akumulator, pomogłem mu zapalić silnik, omówiłem z nim warunki kupna siedmiu akrów ziemi, należących niegdyś do mojej rodziny, a potem odpłynąłem i zająłem się połowem.

— Pragnie pan zatem, jak rozumiem, wycofać się z wersji o całkowitej niewiedzy co do okoliczności śmierci Carla Heinego, jaką pan przedstawił szeryfowi Moranowi tuż po aresztowaniu, i zastąpić je nową, tą, z którą pan nas przed chwilą zapoznał? Chce pan, byśmy uwierzyli w tę nową opowieść?

— Tak, gdyż jest prawdziwa.

— Załóżmy... A więc dobrze. Rankiem szesnastego września wraca pan z nocnego połowu i powiadamia żonę o rozmowie, jaką odbył pan na morzu z Carlem Heinem. Czy tak było, panie Miyamoto?

— Tak.

— A potem? Co nastąpiło potem?

— Położyłem się spać i spałem do wpół do drugiej po południu, kiedy to obudziła mnie żona i poinformowała o śmierci Carla.

— Rozumiem. I co było dalej?

— Usiedliśmy, żeby się narodzić. Zjadłem lunch i zająłem się kilkoma rachunkami, jakie były do zapłacenia. Około piątej pojechałem do portu.

— Około piątej — powtórzył Alvin Hooks. — Czy wstąpił pan gdzieś po drodze? Może do jakiegoś urzędu dla załatwienia swoich spraw? Może odwiedził pan kogoś? Może z kimś pan rozmawiał?

— Nie. Wyjechałem z domu około piątej i pojechałem prosto do portu.

— A więc nie zajechał pan, powiedzmy, do sklepu po sprawunki? Nigdzie pan nie wstępował, panie Miyamoto?

— Nie.

— A w porcie — ciągnął Alvin Hooks. — Czy nie spotkał pan nikogo w porcie? Nie zatrzymał się pan przy niczym kutrze, nie porozmawiał z którymś z rybaków?

— Poszedłem prosto do swojej łodzi. Nie zatrzymywałem się po drodze.

— Poszedł pan prosto do swojej łodzi — powtórzył oskarżyciel. — I przebywał pan na jej pokładzie, zajęty przygotowaniami do nocnego połowu, kiedy zjawił się szeryf z nakazem rewizji?

— Zgadza się. Przeszukał moją łódź.

Alvin Hooks podszedł do stołu z dowodami rzeczowymi i wziął do ręki tekturową teczkę.

— Szeryf istotnie przeszukał pańską łódź — przyznał. — Rezultaty zaś tego przeszukania, panie Miyamoto, zawarte są w tym oto raporcie. W trakcie przesłuchania szeryfa Morana pański obrońca, pan Gudmundsson, odniósł się do tego raportu, w tym do punktu na stronie dwudziestej siódmej, gdzie stwierdza się...

Alvin Hooks przekartkował raport, znalazł szukaną stronę i trzykroć postukał w nią z emfazą palcem. Następnie zwrócił się w stronę ławy przysięgłych i pokazał sędziom raport szeryfa, jakby sugerował, aby go z daleka przeczytali.

— Otóż muszę stwierdzić, że pańskie oświadczenie jest wielce wątpliwe — oznajmił. — Raport szeryfa stwierdza bowiem, iż w pańskiej studziencie akumulatorowej znajdowały się dwa akumulatory typu D-6. „Dwa akumulatory typu D-6 w studziencie. Każdy o sześciu ogniwach” — napisano tu wyraźnie.

— Moja łódź pływa na akumulatorach typu D-6 — wyjaśnił Kabuo. — Wielu rybaków ich używa.

— Ależ wiem, wiem o tym! — zawołał Alvin Hooks. — Ale jak pan wyjaśni fakt, że znajdowały się tam dwa akumulatory? Dwa, panie Miyamoto! Jeśli pańska wersja jest prawdziwa, jeśli, jak pan twierdzi, pożyczył pan jeden ze swoich akumulatorów Carlowi Heinemu, czy w studziencie na pańskiej łodzi, gdy zajrzał do niej szeryf, nie powinien się znajdować tylko jeden akumulator? Zapytałem pana przed chwilą o przebieg tamtego popołudnia, a pan nie powiedział nam — na przykład — że wstąpił do sklepu z artykułami gospodarstwa domowego celem nabycia nowego akumulatora czy zdobył go w jakiś inny sposób. Nie zająknął się pan ani słówkiem o tym, że zabrało panu trochę czasu zainstalowanie w studziencie nowego akumulatora, panie Miyamoto. Więc pytam: jakim cudem szeryf znalazł na pańskim kutrze dwa akumulatory, skoro jeden pożyczył pan poprzedniej nocy Carlowi Heinemu?

Oskarżony znowu spojrział na ławę przysięgłych i chwilę milczał, zanim udzielił odpowiedzi na to pytanie. Jego twarz, podobnie jak poprzednio, nie wyrażała żadnych uczuć; niepodobna było odgadnąć, o czym myśli.

— Miałem zapasowy akumulator w komórce — wyjaśnił spokojnie. — Wziąłem go ze sobą do portu i założyłem, nim szeryf zjawił się z nakazem. To dlatego w trakcie przeszukania znalazł dwa akumulatory. Jeden z nich dopiero co zamontowałem.

Alvin Hooks odłożył teczkę z raportem szeryfa na stół z dowodami rzeczowymi. Założywszy ręce za siebie, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał, podszedł do podwyższenia, na którym zasiadali sędziowie przysięgli, zatrzymał się przed nim na chwilę, po czym odwrócił się do oskarżonego i wolno pokiwał głową.

— Panie Miyamoto — odezwał się tonem przygany — przypominam, że zeznaje pan pod przysięgą, która zobowiązuje pana do szczerości wobec sądu i uczciwego wyznania prawdy dotyczącej pańskiego udziału w śmiertelnym zejściu Carla Heinego. Tymczasem nie po raz pierwszy odnoszę wrażenie, że zamierza pan znowu zrewidować swoją wersję wypadków. Chce pan nam wmówić, że przyniósł pan akumulator z domu i włożył go do studzienki na godzinę przed rewizją, jaką na pańskiej łodzi przeprowadził szeryf... coś w tym rodzaju... a więc uzupełnia pan wcześniejsze wyjaśnienia. To wszystko pięknie, tylko dlaczego, na litość boską, nie powiedział nam pan tego wcześniej? Dlaczego zmienia pan swoją historyjkę o akumulatorze po każdym nowym pytaniu, jakie panu zadaję?

— To się zdarzyło blisko trzy miesiące temu — wyjaśnił spokojnie Kabuo. — Nie pamiętam wszystkich szczegółów.

Alvin Hooks ujął w dwa palce fałdkę skóry na podbródku.

— Nie wzbudza pan zaufania, panie Miyamoto — stwierdził z westchnieniem. — Siedzi pan tu przed nami z twarzą pokerzysty...

— Sprzeciw! — przerwał mu Nels Gudmundsson, ale i sędzia Fielding prostował się już na krześle i mierzył oskarżyciela karcącym spojrzeniem.

— Jak panu nie wstyd, panie Hooks? — zapytał. — Proszę albo zadawać pytania, które do czegoś zmierzają, albo siadać i zakończyć przesłuchanie!

Alvin Hooks przeszedł przez salę rozpraw, usiadł za stołem oskarżenia, wziął do ręki pióro i obracając je w palcach zapatrzył się w sypiący za oknem śnieg. Wyglądało na to, że śnieżycy zaczyna wreszcie słabnąć.

— Nie mam więcej pytań — oświadczył. — Świadek jest wolny.

Kabuo Miyamoto podniósł się na miejscu dla świadka i publiczność mogła sobie obejrzeć tego dumnego Japończyka w całej okazałości. Dostrzeżono jego potężną posturę, szeroką pierś i twarde jak postronki ścięgnięta szyi. Podczas gdy mu się przyglądano, on na długą chwilę zatopił spojrzenie ciemnych oczu w padającym za oknem śniegu. Niektórym spośród widzów przypomniały się oglądane kiedyś fotografie japońskich żołnierzy. Musieli przyznać, że stojący przed nimi mężczyzna odznacza się szlachetną postawą. Cienie na twarzy jeszcze zaostrzyły mu rysy. Od całej jego postaci biła duma i godność. Nie było w nim nic, co by świadczyło o słabości, żadnego miększego punktu. Patrzący uznali, że nie jest do nich podobny, a obojętny i wyniosły sposób, w jaki przyglądał się śnieżycy za oknem, tylko ich w tym wrażeniu utwierdził.



Alvin Hooks w końcowej mowie scharakteryzował Kabuo Miyamoto jako mordercę z zimną krwią, który postanowił zabić drugiego człowieka i precyzyjnie swój plan przeprowadził. Prokurator wyjaśnił sądowi, że do zbrodni popchnęły oskarżonego nienawiść i desperacja; po latach marzeń o utraconym niegdyś poletku truskawek dowiedział się na początku września, że ma je utracić na zawsze. Pojechał do Ole Jurgensena i usłyszał odeń, że działka została już sprzedana. Następnie pospieszył do Carla Heinego, który również odprawił go z kwitkiem. W czasie długich, samotnych godzin na morzu oskarżony rozważał zaistniałą krytyczną sytuację i w końcu doszedł do wniosku, że jeśli nie podejmie stanowczych działań, ziemia jego rodziny (bo z jego punktu widzenia działka należała do rodziny Miyamoto) przepadnie na zawsze. Ów silny, zimny i bezwzględny człowiek — szaleńczo odważny, od najmłodszych lat szkolony w sztuce walki na kije, w której, zgodnie ze złożonym przed sądem zeznaniem sierżanta Victora Maplesa, zdobył wybitną biegłość, pozwalającą z łatwością zadawać śmierć, do czego zresztą oskarżony, według oświadczenia tego samego świadka, miał skłonność wrodzoną — otóż mężczyzna ów postanowił wziąć sprawy we własne ręce. Postanowił mianowicie odebrać życie bliźniemu, który stanął na drodze pomiędzy nim a upragnionym kawałkiem ziemi. Wykalkulował sobie, że kiedy Carl Heine umrze, Ole Jurgensen jemu odsprzeda owe siedem akrów.

W tym celu popłynął za swoją ofiarą na łowisko Ship Channel Bank. Wyrzucił sieć w górze prądu i obserwował, jak gęstnieje mgła. Kabuo Miyamoto jest człowiekiem cierpliwym, więc z przeprowadzeniem swojego planu poczekał na zapadnięcie nocy. Wiedział, że Carl Heine znajduje się niedaleko, najwyżej sto kilkadziesiąt metrów od niego; słyszał we mgle silnik jego kutra. Nasłuchiwał, aż w końcu, około pierwszej trzydzieści po północy, zadał w róg mgłowy. W ten sposób zwabił swą ofiarę w śmiertelną pułapkę.

Carl, wyjaśnił Alvin Hooks, wynurzył się z mgły, ciągnąc za sobą sieć — szykował się właśnie do wybrania z niej ryby — i znalazł oskarżonego „unieruchomionego”, „w potrzebie pomocy”. Tu właśnie podstęp Kabuo Miyamoto ukazuje się w całej jego zdradzieckiej ohydzie — oskarżony bowiem perfidnie wykorzystał obowiązujący wśród rybaków kodeks, który nakazuje spieszyć koledze z pomocą w sytuacjach zagrożenia, wreszcie sentyment, jaki niewątpliwie musiał czuć do niego Carl, pomny na łączącą ich w młodości przyjaźń. „Słuchaj, Carl — powiedział zapewne — jest mi przykro z powodu waśni, jaka nas poróżniała, ale oto na

pełnym morzu dryfuję we mgle i proszę cię o pomoc. Błagam, żebyś do mnie przycumował i udzielił mi pomocy. Proszę, nie zostawiaj mnie w tak trudnym położeniu!”

Wyobraźcie sobie tego zacnego człowieka — wezwał przysięgłych oskarżyciel, zwracając się do nich z rozpostartymi ramionami, niczym kapłan zanoszący suplikacje do Boga — który zatrzymuje się o północy na otwartym morzu, aby udzielić pomocy zaprzysięgiemu wrogowi! Przybija do jego kutra, a gdy pochyla się, żeby przywiązać cumę — zwróćcie państwo uwagę, że na łodzi nie znaleziono śladów walki, co świadczy o tym, jak podstępnie podszedł swą ofiarę oskarżony! — Kabuo Miyamoto wskakuje na pokład łodzi z osęką w ręku i zadaje mu potężny cios w głowę. Zaczyna ów człowiek pada martwy — to jest prawie martwy, bo nieprzytomny i śmiertelnie ranny.

Wyobraźmy sobie jeszcze — ciągnął Alvin Hooks — jak oskarżony przerzuca ciało przez burtę, w ciemnościach nocy rozlega się plusk wody, a potem morze zamyka się nad Carlem Heinem, wdzierając się do jego kieszonkowego zegarka, którego wskazówki zatrzymują się o godzinie pierwszej czterdzieści siedem, rejestrując chwilę śmierci, oskarżony zaś ze spokojem przygląda się wodzie, która wygładza się i zabliznia bez śladu. Pod jej powierzchnią jednakże przetacza się prąd przyływu — silniejszy, niż się oskarżonemu zdawało — i niesie ciało Carla w fałdy jego własnej sieci, która wszak nadal unosi się za kutrem. Sprzączka sztormiaka zahacza o jej oka i Carl zawisa pod powierzchnią morza — tragiczny ślad zbrodni Kabuo Miyamoto, czekający na swego odkrywcę, jeden z trzech dowodów przestępstwa, jakich oskarżony nie przewidział: zwłoki, okrwawiona osęka i linka cumownicza, o której zapomniał, opuszczając w pośpiechu miejsce zbrodni.

Ten oto człowiek siedzi tu przed wami — przypomniał przysięgłym Alvin Hooks. Dowody zostały zaprezentowane, zeznania złożone, przedstawione wszystkie fakty, wygłoszone argumenty i prawda leży naga jak na dłoni. Nie pozostał już cień wątpliwości. Sędziowie winni są teraz spełnić swą powinność w imieniu mieszkańców okręgu Island County.

— Wasze zadanie nie jest łatwe — przyznał oskarżyciel. — Macie skazać człowieka za morderstwo pierwszego stopnia. Macie wymierzyć mu sprawiedliwość. Przyjrzyjcie mu się więc uważnie i niechaj prawda przemówi do was z jego postawy oraz ustalonych w trakcie tego procesu faktów. Przyjrzyjcie się bacznie, panie i panowie, oskarżonemu, który siedzi tu oto przed wami. Wejrzyjcie w jego oczy, przypatrzcie się jego obliczu i zapytajcie swych sumień, jaki obowiązek spoczywa na was jako przedstawicielach miejscowego społeczeństwa.

Nels Gudmundsson dźwignął się z miejsca ze starczą ociężałością, która w trakcie całego procesu tak przykre wrażenie czyniła na wypełniającej salę rozpraw publiczności. Ludzie przywykli w końcu do jego odchrząkiwań i świszczącego pokasływania w chusteczkę, nauczyli się przewidywać, kiedy zatknie kciuki pod szelki. Sędziowie przysięgli oswoili się z dziwnymi ruchami pobłyskującej matowo w świetle lamp szklistej gałki jego lewego oka. Patrzyli teraz, jak dźwiga się z miejsca, i wysłuchali odchrząkiwań, poprzedzających zabranie głosu.

Spokojnym, równym tonem Nels Gudmundsson przypomniał fakty, tak jak on je widział: Kabuo Miyamoto pojechał do Ole Jurgensena, żeby się dowiedzieć o warunki zakupu ziemi. Ole Jurgensen skierował go do Carla Heinego. Kabuo wybrał się do niego i wywnioskował z odbytej rozmowy, że Carl jest gotów rozważyć propozycję odsprzedaży, wobec tego czekał cierpliwie na jego ostateczną decyzję. Tymczasem zbieg okoliczności sprawił, że w nocy piętnastego września, przy gęstej mgle, spotkał unieruchomioną łódź Carla na łowisku Ship Channel Bank. Kabuo Miyamoto zrobił wszystko, co w jego mocy, żeby pomóc przyjacielowi z dzieciństwa, dawnemu koledze, z którym przed laty razem wędkowali. W trakcie tego przypadkowego spotkania na morzu — ciągnął Nels — podjęli rozmowę o owych siedmiu akrach ziemi i doszli do porozumienia. Potem Kabuo Miyamoto odpłynął i zajął się połowem, następnego zaś dnia został aresztowany.

Nie przedstawiono żadnych ważkich dowodów, przypomniał sędziom przysięgłym obrońca, które by wskazywały, że oskarżony istotnie planował morderstwo i wypłynął w morze z zamiarem dokonania tego krwawego aktu. Oskarżyciel publiczny nie przedstawił ani jednego dowodu świadczącego o premedytacji, ani jednego świadka, który by zeznał, że w dniach poprzedzających zgon Carla oskarżony zachowywał się podejrzanie, na przykład odgrażał się w knajpie, że się porachuje z Carlem Heinem lub że go „załatwi”. Oskarżenie nie przedstawiło rachunku ze sklepu, świadczącego o niedawnym nabyciu przez oskarżonego narzędzia zbrodni, żadnych podejrzanych zapisków z jego dziennika, nagrań podsłuchanych rozmów telefonicznych bądź nocnych narad z rodziną. Nie udowodniło nawet w sposób nie budzący wątpliwości, że zbrodnia, o którą się oskarża pana Kabuo Miyamoto, rzeczywiście została popełniona. Rodzą się zatem uzasadnione wątpliwości, to zaś zupełnie wystarcza, podkreślił z naciskiem adwokat, aby sędziowie przysięgli wydali werdykt uniewinniający.

— Oskarżyciel publiczny — mówił Nels Gudmundsson — przyjął najwyraźniej, że okażecie się państwo podatni na argumenty wypływające z uprzedzeń. Dlatego wezwał was, abyście przyjrzeni się uważnie twarzy oskarżonego, zakładając, że skoro jest on z pochodzenia Japończykiem, dostrzeżecie w niej oblicze wroga. Ostatecznie nie tak dawno temu nasz kraj toczył wojnę z Cesarstwem Wschodzącego Słońca i jego groźnymi, doskonale wyćwiczonymi żołnierzami. Wszyscy pamiętacie wojenne kroniki filmowe z tamtych lat. Pamiętacie grozę tamtych dni. Pan Hooks liczy na tę waszą pamięć. Liczy na to, że dacie się ponieść emocjom związanym z wojną sprzed dziesięciu lat. Liczy na to, że nie zapomnieliście o tamtej tragedii i uznacie, że Kabuo Miyamoto miał w niej jakiś udział. Przypominam wam zatem, panie i panowie — zawołał gromko Nels Gudmundsson — że Kabuo Miyamoto rzeczywiście miał udział w tamtej wojnie! Jest odznaczony medalami za odwagę porucznikiem armii Stanów Zjednoczonych. Walczył za swoją ojczyznę — Stany Zjednoczone Ameryki — na europejskim teatrze wojny. Jeśli dostrzegacie na jego twarzy brak emocji, jeśli dopatrujecie się w jego milczeniu dumy, wiedźcie, że to powściągliwość i duma weterana, który wrócił z wojny do domu i oto co go tu spotkało! Wrócił, by paść ofiarą uprzedzeń — nie miejcie bowiem złudzeń: ten proces na uprzedzeniach stoi! — w kraju, dla którego ryzykował życie.

Panie i panowie — ciągnął z żarem Nels Gudmundsson — nie wiem, czy naprawdę istnieje moc, zwana przeznaczeniem, lecz jeśli tak, przypuszczam, że Bóg wejrzał na Ziemię i dozwolił, dla Jemu tylko wiadomych powodów, by los oskarżonego spoczął w waszych rękach. Tajemniczy wypadek, który spowodował śmierć Carla Heinego, zdarzył się w najgorszym z możliwych dla oskarżonego momentów — ale się przecież zdarzył. Zdarzył się i oto Kabuo Miyamoto został oskarżony, a teraz siedzi tu przed wami i czeka waszego wyroku, ufając, że choć okoliczności sprzysięgły się przeciwko niemu, wy okażecie właściwą ludziom roztropność. Są na tym świecie siły, nad którymi nie sprawujemy kontroli, ale są i takie, które od nas zależą. Waszym zadaniem, kwestią, jaką musicie tu wspólnie rozstrzygnąć, jest baczenie, abyście nie przyłożyli ręki do umocnienia tej części naszego świata, w której rządzi ślepy przypadek. Niech się sprzymierzają we wzajemnym współdziałaniu przeznaczenie, zbieg okoliczności i ślepy traf — istoty ludzkie winny w swym postępowaniu kierować się rozumem. Niechaj zatem kształt oczu Kabuo Miyamoto ani kraj pochodzenia jego przodków nie wpływają na waszą decyzję. Macie go osądzić po prostu jako Amerykanina, równego wobec prawa ze wszystkimi obywatelami naszego państwa. Po to tu jesteście. Taka jest wasza powinność!

Jestem już starym człowiekiem — ciągnął Nels Gudmundsson. — Mam trudności z chodzeniem i zaniewidziałem na jedno oko. Cierpię na bóle głowy i zapalenie stawów. Na domiar złego omal tej nocy nie zamarzę, więc jestem dziś półżywy z niewyspania. Podobnie jak wy mam więc nadzieję, że dzisiejszą noc spędzę w ciepłe i że skończy się wreszcie ta śnieżycyca, która tak nam wszystkim załazi za skórę. Mam też głęboką nadzieję, że przeżyję bez większych przykrości jeszcze wiele lat, choć na spełnienie tego ostatniego życzenia marne, prawdę rzekłszy, mam widoki, jeśli bowiem nie odejdę z tego świata w ciągu najbliższej dekady, opuszczę go przed upływem następnej. Moje życie nieuchronnie zbliża się do końca.

Dlaczego mówię wam to wszystko? — zapytał Nels Gudmundsson, podchodząc do ławy przysięgłych i pochylając tułów w stronę sędziów. — Otóż dlatego, że jako człowiek stojący już nad grobem mam skłonność, w przeciwieństwie do was, patrzeć na życie z punktu widzenia śmierci. Jestem jak przybysz z Marsa, który przygląda się ze zdumieniem życiu na planecie Ziemia. I co widzę? Zawsze te same, przekazywane z pokolenia w pokolenie, ludzkie ułomności. Wciąż te same, ubolewania godne ludzkie wady. Nienawidzimy jeden drugiego, padamy ofiarą nieracjonalnych uprzedzeń i lęków, a nic nie zapowiada, nie ma po temu w dziejach ludzkości żadnych przesłanek, żeby to miało się zmienić. Zbaczam jednak z tematu, przyznaję. Chciałem tylko powiedzieć, iż żyjąc na takim świecie, my, ludzie, możemy polegać jedynie na sobie samych. Macie państwo jedynie uzgodnić decyzję, którą każdy z was z osobna musi podjąć sam. Czy sprzymierzycie się z bezdusznymi siłami, które bez skrupułów spiskują przeciwko sprawiedliwości, czy też stawicie czoło ich odwiecznym knowaniom i okażecie w obliczu tego spisku ślepych mocy prawdziwie ludzką twarz? W imię Boże zatem, na chwałę człowieczeństwa, czyńcie swoją powinność, panie i panowie sędziowie przysięgli! Uznajcie Kabuo Miyamoto za niewinnego zarzucanych mu czynów i pozwólcie mu wrócić do domu, do żony i dzieci! Uwolnijcie go, jak tego żąda sprawiedliwość!

Sędzia Lew Fielding spoglądał na salę z wysokości stołu sędziowskiego, przytykając do czubka nosa opuszek palca wskazującego, a brodę opierając na kciuku. Sprawiał wrażenie, jak zwykle zresztą, człowieka śmiertelnie strudzonego lub takiego, którego wbrew jego woli wyrwano ze snu, w każdym razie półprzytomnego: powieki miał przymknięte, usta rozchylone. Przez całe przedpołudnie czuł się nieszczęśliwie; dręczyło go uczucie, że nie najlepiej się spał jako sędzia, nie prowadził rozprawy dość sprawnie. Był człowiekiem, który stawiał sobie

wysokie wymagania zawodowe, dokładnym i surowym sędzią, trzymającym się ściśle litery prawa, choć cokolwiek śpiącym. Nigdy dotąd nie przewodniczył rozprawie o zabójstwo pierwszego stopnia, przygniatał go więc ciężący na nim obowiązek: jeśli ława przysięgłych uzna oskarżonego za winnego, do niego i tylko do niego będzie należała decyzja, czy oskarżony powinien zawisnąć na stryczku.

Sędzia Lew Fielding wstał, poprawił toę i zwrócił oczy na ławę przysięgłych.

— Proces dobiega oto do końca — oznajmił — i przyjdzie państwu za chwilę udać się do przeznaczonego dla was pokoju i uzgodnić werdykt o winie. Wobec tego, panie i panowie, sąd wzywa was do wzięcia pod uwagę następujących względów.

Przede wszystkim — ciągnął — aby uznać oskarżonego za winnego, musicie być przekonani ponad uzasadnioną wątpliwość do wszystkich tez oskarżenia. Ponad uzasadnioną wątpliwość, podkreślam. Jeśli bowiem zrodzi się w was uzasadniona wątpliwość, nie możecie uznać oskarżonego za winnego. Jeśli powstanie w was uzasadniona wątpliwość co do prawdziwości przedstawionych tez oskarżenia, winniście uznać oskarżonego za niewinnego. Taki obowiązek nakłada na was prawo. Choćbyście nie wiem jak silnie czuli się osobiście skłonni do podjęcia innej decyzji, uznać oskarżonego za winnego możecie tylko wtedy, kiedy jesteście pewni ponad wszelką uzasadnioną wątpliwość, że tak właśnie uczynić należy. Poza tym musicie pamiętać o wyjątkowości tego oskarżenia i odnieść się wyłącznie do jego meritum. Macie ustalić tylko jedno: czy oskarżony jest czy nie jest winny zabójstwa pierwszego stopnia — tyle i nic ponadto. Jeśli uznacie, że jest winien innego przestępstwa: napaści, nieumyślnego zabójstwa, zabójstwa w obronie własnej, zabójstwa drugiego stopnia; jeśli uznacie, że zgrzeszył nienawiścią, okrucieństwem, ślepą furią, odłóżcie te wnioski na bok jako dla waszej decyzji nieistotne. Pytanie brzmi tak: czy człowiek, który stoi tu oto przed wami, jest winien zabójstwa pierwszego stopnia. Zabójstwo zaś pierwszego stopnia, panie i panowie, zakłada zbrodniczy zamiar. Jest to oskarżenie, które zakłada taki stan umysłu, w którym winowajca planuje morderstwo z zimną krwią. Myśli o nim zawczasu i decyduje się świadomie na jego popelnienie. Ten warunek — dodał sędzia — nastęcza sędziom przysięgłym w tego rodzaju sprawach znaczne trudności. Premedytacja jest bowiem stanem umysłu i nie może być stwierdzona bezpośrednio. Można, o niej wnosić na podstawie dowodów pośrednich; może wynikać z postępowania i słów osób, które przed wami zeznawały, z ich zachowania, wypowiedzi, wreszcie z dowodów rzeczowych, przedstawionych w sprawie. Aby uznać oskarżonego za winnego, musicie stwierdzić, że

zaplanował on i zamierzył popełnienie czynów, o jakie został oskarżony. Inaczej mówiąc: że zaplanował popełnienie morderstwa, wyruszył na poszukiwanie swej ofiary ze świadomym zamiarem popełnienia zaplanowanego wcześniej czynu. Nie popełnił go w napadzie furii ani w następstwie przypadkowych działań, wynikłych z eskalacji agresji, lecz zaplanował go sobie na zimno i morderczy swój zamysł wykonał. Sąd wzywa was zatem raz jeszcze, byście rozważyli jedynie zabójstwo pierwszego stopnia, tylko i wyłącznie. Musicie być pewni ponad uzasadnioną wątpliwość jednej i tylko jednej rzeczy: że oskarżony w niniejszym procesie jest winien zabójstwa pierwszego stopnia, czyli zbrodni z premedytacją.

Zostaliście wybrani jako sędziowie przysięgli w tej sprawie — kontynuował sędzia Fielding — w przekonaniu, że każdy z was potrafi, nie kierując się strachem, stronniczością, uprzedzeniami czy sympatią, po dojrzałym namyśle i z czystym sumieniem, wydać sprawiedliwy wyrok na podstawie dowodów, przedstawionych w zgodzie z obowiązującą procedurą. Istota naszego systemu sądów przysięgłych zasadza się na wyrokowaniu w drodze starcia opinii i dyskusji między sędziami przysięgłymi, toczonej w granicach zdrowego rozsądku i wedle najgłębszego przekonania poszczególnych osób. Każdy sędzia przysięgły winien wsłuchiwać się bacznie w opinie i argumenty pozostałych. Nie było intencją prawodawcy, aby sędzia przysięgły wchodził do pokoju przysięgłych z silnym przekonaniem, iż werdykt o winie będzie zgodny z jego aktualną oceną rozpatrywanej sprawy. Nie leżało również w intencjach prawodawcy, by sędzia przysięgły zamykał uszy na uwagi i argumenty kolegów, bo wszystkich uznaje za równie jak on inteligentnych i uczciwych. Jednym słowem, winniście słuchać się wzajem uważnie. Zachowajcie bezstronność i kierujcie się rozsądkiem.

Sędzia Fielding urwał, dając słuchaczom czas na przetrwanie jego słów. Potem przesunął spojrzeniem po twarzach przysięgłych, wpatrując się im po kolei w oczy.

— Panie i panowie — podjął z westchnieniem. — Ponieważ mamy do czynienia z postępowaniem karnym, wasz werdykt: winny czy niewinny, musi być jednomyślny. Nie ma powodu do pośpiechu, żaden z was nie powinien czuć wyrzutów sumienia dlatego, że swoim wahaniem zatrzymuje pozostałych. Sąd dziękuje wam z góry za udział w obecnym procesie. Z powodu awarii zasilania przyszło wam spędzić kilka trudnych nocy w hotelu „Amity Harbor”. Niełatwo też było się wam skupić na procedurze sądowej, kiedy gnębiła was troska o stan waszych domostw i pomyślność waszych bliskich. Śnieżyca — zakończył sędzia — nie podlega

naszej kontroli, ale wynik tego procesu tak. Wynik tego procesu spoczął oto w waszych rękach.  
Możecie się teraz oddalić i zacząć naradę.



O trzeciej po południu sędziowie przysięgli opuścili salę rozpraw. Dwaj reporterzy odchyłili się niebezpiecznie na krzesłach i założywszy ręce za głowę, gawędzili ze sobą od niechcenia. Abel Martinson zapiął oskarżonemu kajdanki i przed sprowadzeniem go do piwnicy zezwolił Hatsue Miyamoto na krótką rozmowę z mężem.

— Uwolnią cię — zapewniła. — Zachowają się przyzwoicie, zobaczysz!

— Nie jestem tego pewien — odrzekł. — Ale kocham cię, Hatsue. Powiedz dzieciom, że je również kocham.

Nels Gudmundsson pozbiierał i wsadził do teczki swoje zapiski. Ed Soames, w przypływie wielkoduszności, zostawił salę otwartą. Zdawał sobie sprawę, że ludzie nie mają ciepłego kąta, gdzie mogliby się schronić. Wiele osób siedziało beczynn timer na ławkach lub skupiało się w przejściach między krzesłami, przyciszonym głosem wymieniając poglądy i dzieląc się domysłami na temat procesu. Ed z założonymi do tyłu rękoma stał przy drzwiach prowadzących do gabinetu sędziego Fieldinga w służalczej pozie wiernego lokaja, który obserwuje wszystko obojętnie, lecz bacznie, i co pewien czas spoglądał na zegarek.

Ishmael Chambers siedział na sali, zamyślony nad swoimi notatkami; od czasu do czasu podnosił oczy i szukał spojrzeniem Hatsue Miyamoto. Słuchając rano jej zeznań, uświadomił sobie wyraźnie, jak dobrze zna tę kobietę: wiedział, co wyraża każdy wyraz jej twarzy, co znaczy każde zawieszenie głosu. Zdał sobie sprawę, że nie pragnie niczego więcej niż tylko upić się jej zapachem i poczuć w dłoniach jej włosy. Było to pragnienie tak dojmująco silne jak pragnienie, by odzyskać rękę i zacząć nowe życie.

Notatka Philipa Milhollanda spoczywała w lewej kieszeni jego spodni; wystarczyło wstać, podejść do Eda Soamesa i zgłosić chęć pilnej rozmowy z sędzią Fieldingiem. Następnie wyjąłby notatkę, pokazał ją Edowi i obserwował wyraz jego twarzy podczas lektury; potem odebrałby mu kartki i wszedł do gabinetu sędziego. Lew Fielding mrugałby oczami za szklami okularów, przysunąłby bliżej stojący na biurku kandelabr (płomień cienkiej świecy zachwiałby się i zamigotał) i w końcu, kiedy waga notatki Philipa Milhollanda dotarłaby w pełni do jego świadomości, podniósłby na Ishmaela spojrzenie znad okularów. Frachtowiec wykonał ostry skręt o godzinie 01.42. Zegarek Carla Heinego stanął o pierwszej czterdzieści siedem. Fakty mówiły same za siebie.

Jak to powiedział Nels Gudmundsson w swym przemówieniu końcowym? „Oskarżyciel publiczny przyjął najwyraźniej, że okażecie się państwo podatni na argumenty wypływające z uprzedzeń... Liczy na to, że dacie się ponieść emocjom związanym z wojną sprzed dziesięciu lat”. Ale przecież dziesięć lat to okres wcale nie tak długi; jak człowiek może zapomnieć o swoich emocjach, kiedy one żyją nadal swoim własnym życiem, równie wyczuwalne jak kończyzna fantomowa, której tak długo nie pozwalał odnerwić? Z Hatsue sprawy miały się podobnie jak z taką kończyną. Ukochaną Ishmaela usunęła z jego życia historia — pani kapryśna i niewrażliwa na ludzkie pragnienia. Na domiar wszystkiego była jeszcze jego matka ze swą wiarą w Boga, który stoi z boku i przygląda się obojętnie, jak Erie Bledsoe wykrwawia się na śmierć w strefie przyboju, i był tamten chłopak na pokładzie okrętu szpitalnego, którego spodnie w pachwinie przesiąknęły krwią.

Ishmael znowu zerknął na Hatsue. Stała w grupce japońskich mieszkańców wyspy, którzy poszeptywali między sobą, spoglądali na zegarki i czekali. Przyjrzał się jej plisowanej spódnicy, bluzce z długimi zaszewkami na ramionach, związanym w kok włosom i skromnemu kapeluszu, który trzymała w dłoni, wreszcie samej dłoni, szczupłej i delikatnej, kostkom nóg, dopasowanym butom, prostym plecami i całej szlachetnej, pięknej postaci, która tak go zachwycała, kiedy był jeszcze chłopcem. Przypomniawszy sobie smak soli na ustach Hatsue, gdy je musnął przelotnie wargami, trzymając się pudełka z oszklonym dnem, a potem te wszystkie chwile w pachnącej dziupli cedru, gdzie pieścił jej ciało...

Wstał i ruszył do wyjścia, w tej samej zaś chwili pod sufitem zamrugały i zapłonęły lampy. Zebrani wydali cichy szmer radości — wstydlivy wiwat powściągliwych wyspiarzy. Jeden z reporterów w triumfalnym geście wyrzucił w górę ręce, a Ed Soames uśmiechnął się i pokiwał głową. Szare posępne światło, które dotąd wypełniało salę, ustąpiło miejsca blaskowi, który w porównaniu z poprzednim półmrokiem czynił wrażenie olśniewającego.

— Elektryczność! — mruknął do Ishmaela Nels Gudmundsson. — Nigdy nie sądziłem, że będzie mi jej tak brakowało!

— Niech pan idzie do domu i trochę się prześpi — poradził Ishmael. — I proszę włączyć grzejnik.

Adwokat zapiął zamki teczki i postawił ją na stole.

— Słuchaj — rzekł niespodziewanie — czy mówiłem ci już, jak lubiłem twojego ojca? Arthur był wspaniałym człowiekiem.

— Wiem o tym — zgodził się z nim Ishmael.

Nels pociągnął za fałdę skóry na podbródku i wziął do ręki teczkę.

— Hm — mruknął, zwracając na Ishmaela zdrowe oko, podczas gdy gałka drugiego zataczała błędne koła. — Pozdrów ode mnie matkę. To wspaniała kobieta. I módl się ze mną o sprawiedliwy wyrok.

— Dobrze, pozdrowię.

Ed Soames oznajmił, że sala rozpraw będzie otwarta do chwili, gdy ława przysięgłych uzgodni werdykt, bądź do osiemnastej, jeśli go do tego czasu nie uzgodni. O tej też godzinie Ed zapozna zebranych z aktualnym stanem rzeczy. W szatni Ishmael zetknął się z Hatsue, która również wkładała palto.

— Dziękuję za pomoc — przywitała go. — Powrót na piechotę zająłby nam cały dzień. Jesteśmy ci oboje z ojcem bardzo wdzięczni.

Wyszli na korytarz. Hatsue stanęła pod ścianą i wsadziła ręce w kieszenie palto.

— Chcesz, żebym cię podwiózł? — zapytał Ishmael. — Jadę do matki, czyli w twoją stronę. Mogę cię podrzucić.

— Nie, dziękuję. Ma nas kto podwieźć.

Ishmael stał i zapinał palto palcami jedynej ręki. Zapiął trzy górne guziki, po czym wsunął rękę do kieszeni spodni i dotknął notatki Philipa Milhollanda.

— Proces mojego męża nie jest uczciwy — stwierdziła Hatsue. — Powinieneś o tym napisać w tygodniku swojego ojca, Ishmaelu, na pierwszej stronie. Powinieneś wykorzystać jego gazetę do wykrzyczenia prawdy. Niech cała wyspa się dowie, że dzieje się niesprawiedliwość, i to tylko dlatego, że jesteśmy Japończykami.

— To nie jest pismo mojego ojca — sprostował. — To moje pismo, Hatsue. Ja je prowadzę. — Wyjął rękę z kieszeni i ruchem trochę niezgrabnym zapiął jeszcze jeden guzik. — Będę u mojej matki. Gdybyś chciała ze mną porozmawiać, wpadnij do niej.

Wyszędłszy na dwór stwierdził, że śnieg prawie przestał sypać — z nieba spadały już tylko pojedyncze płatki. Przez chmury przeświecało jaskrawe zimowe słońce; wiał porywisty północny wiatr. Wydawało się, że jest zimniej niż z rana; mroźne powietrze szczypało w policzki i nozdrza. Wichura i śnieżycy wyczyściły miasteczko do czysta. Pod nogami Ishmaela chrzęścił świeży śnieg, w uszach, głusząc inne dźwięki, gwizdał mu wiatr. Epicentrum śnieżnej burzy już przeszło; mieszkańcy Amity Harbor najgorsze mieli za sobą. Świat przedstawiał jednak obraz

bezładu i chaosu: samochody stały na ulicach zwrócone maskami w stronę krawężników, porzucone w miejscach, gdzie wpadły w poślizg; na zaśnieżonej Harbor Street leżała przewrócona jodła z połamanymi gałęziami, z których kilka przebiło nawierzchnię. Ishmael napotkał po drodze dwa zwalone w poprzek jezdni cedry, za którymi widniał niemal całkiem zalany wodą port. Najdalsze pale zostały wyrwane, wichura zmiotła też zewnętrzny falochron. Kilkanaście łodzi wpadło na zatopione molo, na którym się spiętrzyły, trzymane na uwięzi przez naprężone cumy.

Wykrot jodły sterczał nad ziemią niczym wysoka na siedem metrów ściana, udekorowana kępą zwieszających się ze szczytu ośnieżonych paproci i bluszczów. Baranki fal przetaczały się między przechylonymi łodziami, sprawiając, że unosiły się i falowały wraz z całym basenem portowym. Na dachach kabin, bębnach sieciowych i burtach kutrów bieleły czapy śniegu. Co pewien czas spienione grzywacze przewalały się nad łodziami, zalewając ko kpi ty. Gnany sztormowym wiatrem przyplływ wysoką falą wdzierał się do portu. Na nieskazitelnie czystym śniegu leżały zielone gałęzie i połamane konary drzew.

Ishmaelowi pierwszy raz w życiu przyszło do głowy, że obraz takiego zniszczenia może być piękny.

Rozszalałe, bezduszne morze, porywisty wiatr, śnieg, obalone drzewa, łodzie tłukące w zatopione nabrzeża — przedstawiały widok piękny w swoim surowym bezładzie. Ishmaelowi przypomniawszy się atol Tarawa, obwałowania wzdłuż plaż i przewrócone palmy, ścięte nawałą pocisków z okrętowych dział. Ten obraz zbyt często nawiedzał jego wspomnienia; przejmował odrazą, a zarazem fascynował. Ishmael pragnął o nim zapomnieć, a jednocześnie wciąż powracał doń pamięcią. Dlaczego, nie umiałby wyjaśnić.

Patrząc na zrujnowany port, rozumiał, że nosi w duszy niezatarte wspomnienie czegoś, o czym inni ludzie nie mają bladego pojęcia, i poza tym wspomnieniem nie ma zupełnie nic. Uświadomił sobie, że dwanaście ostatnich lat zeszło mu na czekaniu. Czekał, w ogóle nie zdając sobie z tego sprawy, aż czekanie nabrało jakiegoś głębszego sensu i znaczenia. Od dwunastu długich lat nie przestawał na coś czekać...

A teraz prawda leżała w kieszeni jego spodni, a on nie wiedział, co ma z nią począć. Nie wiedział, jak postąpić. Niechęć, jaką czuł do świata, wydała mu się nagle równie obca jak grzywacze fale, załamujące się na ośnieżonych łodziach i nabrzeżach zatopionego portu w Amity Harbor. Zewnętrzny świat nie przynosił odpowiedzi; Ishmael nie znajdował jej ani w

przechylonych dramatycznie kutrach, ani w powalonej przez śnieżycę jodle, ani w zaśmiecających ziemię, połamanych gałęziach cedrów. Czuł tylko zimną obojętność, która mrozem skuwała mu serce.

Za opóźnianie werdyktu w procesie Kabuo Miyamoto odpowiedzialny był początkowo siwobrody szkutnik z Woodhouse Cove Road Alexander Van Ness. Przez trzy godziny — aż do szóstej po południu — powtarzał z nieugiętym uporem, że pouczenie sędziego Fieldinga na temat „uzasadnionej wątpliwości” należy potraktować z najwyższą powagą, w nim zaś taka „uzasadniona wątpliwość” się zrodziła. Dwunastu sędziów przysięgłych posprzeczało się o znaczenie słowa „wątpliwość”, potem o znaczenie słowa „uzasadniona”, wreszcie o znaczenie obu tych słów razem wziętych.

— Wydaje mi się — zakonkludował Alexander Van Ness — że w ostateczności to kwestia odczucia, nie sądzicie państwo? Czuję, że nie mam całkowitej pewności, czuję, że mam wątpliwości, i rzecz się sprowadza do tego właśnie odczucia, prawda?

Za kwadrans osiemnasta pozostałych jedenastu sędziów przysięgłych pogodziło się w końcu z myślą, że Alexander Van Ness nie ustąpi i przyjdzie im spędzić jeszcze jedną noc w hotelu „Amity Harbor”, aby o ósmej rano następnego dnia podjąć spór z upartym szkutnikiem.

— Posłuchaj — perswadował mu doprowadzony do ostateczności Harold Jensen. — Przecież człowiek nigdy nie jest niczego tak do końca pewny! Uparłeś się jak osioł, Alex! My wszyscy kierujemy się zdrowym rozsądkiem, tylko ty jeden zaciąłeś się w niemądrym uporze.

— Rozumiem twoje przesłanki — dodał Roger Porter. — Wiem, co usiłujesz nam powiedzieć, Alex, sam w ten sposób rozumowałem. Zechciej jednak, proszę, wziąć pod uwagę niepodważalne dowody, choćby ten kawałek cumy z kutra oskarżonego, krew na jego osęce. W sprawie tej wymiany akumulatora też właściwie kręcił. I tak dalej, i temu podobnie. To wszystko budzi poważne podejrzenia. Facet mnie po prostu nie przekonał.

— Ani mnie — wtrąciła Edith Twardzik. — Nic a nic. To wszystko było grubymi niemi szyte. Napierw mówi jedno szeryfowi, później drugie nam. Człowiek nie może wciąż kręcić, a potem wymagać, żeby mu wierzano, panie Van Ness! Pan nie uważa, że ten człowiek jest kłamcą?

Alex Van Ness zgodził się z nią uprzejmie. Oskarżony rzeczywiście kłamał, ale to go czyniło co najwyżej łgarzem, nie zaś mordercą, a nie o mijanie się z prawdą został oskarżony.

— Zastanów się tylko — zachęcił Alexa Harold Jensen. — Co, według ciebie, popycha ludzi do kłamstwa? Uważasz, że kłamią ot, tak sobie, nawet jeśli nie popełnili czynów, dla których warto uciec się do kłamstwa? Kłamstwo zawsze stanowi przykrywkę dla czynu naganego, a człowiek posługuje się nim wtedy, kiedy nie chce, by wyszła na jaw prawda. Kłamstwa, jakimi nas raczył pan Kabuo Miyamoto, wskazują dowodnie, że ma coś do ukrycia, nie sądzisz?

— Zgoda — odrzekł Alexander Van Ness. — Pozostaje jednak pytanie: co stara się ukryć? Czy koniecznie popełnione morderstwo? Czy tylko to niechybnie z jego postawy wynika? Oświadczam państwu, że mam wątpliwości, i nic więcej. Nie twierdzę, że wy się mylicie, tylko że ja mam wątpliwości.

— Posłuchaj pan — prychnęła z irytacją Edith Twardzik. — Przypuśćmy, że bandyta przystawia pistolet do głowy pańskiego syna, a drugi do głowy pańskiej żony i oświadcza, że daje panu dokładnie minutę na zdecydowanie, czy ma zastrzelić pańskiego syna czy pańską żonę, a jeśli pan tego nie zdecyduje, zastrzeli oboje. Niezależnie od tego, co pan postanowi, z pewnością pozostaną panu jakieś wątpliwości. Zawsze jest coś, o co można się zamartwiać. Gdy pan się jednak zamartwia, bandzior szykuje się do pociągnięcia za oba spusty, i tylko to się liczy, prawda? Nigdy nie uda się panu do końca wyzbyć wątpliwości, więc musi im pan stawić czoło.

— To dobry przykład — przyznał Alex Van Ness. — Tyle że ja naprawdę nie jestem w takiej sytuacji.

— Więc niech pan spróbuje spojrzeć na to w następujący sposób — zaproponował Burkę Latham, marynarz pokładowy na szkunerze. — Załóżmy, że jakaś wielka kometa albo fragment księżycy może wpaść za chwilę przez dach i trafić pana w czubek głowy. Powinien się pan więc trochę przesunąć na wszelki wypadek. Powinien pan zwątpić, czy pańskie krzesło jest bezpieczne tam, gdzie stoi. We wszystko można wątpić, panie Van Ness, tylko że pańskie wątpliwości są nieracjonalne.

— Zachowaniem nieracjonalnym z mojego punktu widzenia byłaby zmiana krzesła — zauważył Alex Van Ness — ponieważ w każdym innym punkcie tego pokoju byłbym narażony na dokładnie takie samo niebezpieczeństwo, równe temu, na jakie pan się naraża, siedząc na swoim krześle, panie Burkę. Nie widzę powodu, żeby się tym trapić.

— Zwracam uwagę państwa, że nie mówimy już o rzeczywistych dowodach — zauważył Harlan McQueen — te zaś hipotetyczne przykłady donikąd nas nie zaprowadzą. Jak możemy

przekonać pana Van Nessa o nieracjonalności jego postawy, jeśli nie przedyskutujemy najpierw krok po kroku faktów przedstawionych przez oskarżyciela? Proszę mi powiedzieć, czy nie uważa pan, że ta linka cumownicza o czymś jednak świadczy?

— Istotnie — zgodził się Alex Van Ness. — Mówi mi ona, że Kabuo Miyamoto najprawdopodobniej przebywał na pokładzie kutra Carla Heinego. Co do tego nie mam większych wątpliwości.

— To już coś! — zauważyła z przekąsem Edith Twardzik. — To już jakiś postęp.

— A weźmy ten rybacki bosak — ciągnął Harlan McCJueen. — Znaleziono na nim ślady krwi tej samej grupy co krew Carla Heinego. Czy ten fakt pana nie przekonuje?

— Nie mam większych wątpliwości, że to była krew Carla — zgodził się Alex Van Ness. — Istnieje jednak możliwość, że pochodziła ona ze skaleczenia na jego dłoni. Sądzę, że takiej możliwości wykluczyć nie można.

— Jeśli o to chodzi, prawie wszystko jest możliwe. Ale niech pan popatrzy, ile już w tej sprawie mieliśmy tych możliwych przypadków. Coś za wiele, nie uważa pan? W życiu tak zwykle nie bywa. Życie nie jest wyłącznie splotem przypadków. Jeśli coś wygląda jak pies i porusza się jak pies — ciągnął Burkę Latham — wówczas najprawdopodobniej jest psem, i basta!

— Więc teraz znowu mówimy o psach? — zdumiał się Alex Van Ness. — Jakim cudem nagle zesliśmy na psy?

— A co pan powie na taki argument? — zwrócił się do niego Harlan McQueen. — Oskarżony dowiaduje się, że znaleziono zwłoki Carla. Czy poszedł do szeryfa i oznajmił mu, że poprzedniej nocy spotkał Carla na łowisku? Otóż nie! Nawet po swoim aresztowaniu powtarzał w kółko, że nic nie wie o całej tej sprawie. Dopiero potem, dużo później, zmienił pierwotną wersję i wyjechał z tą opowieścią o akumulatorze. Następnie, wzięty w krzyżowy ogień pytań, przeinaczył i tę wersję, twierdząc, że założył na swojej łodzi zapasowy akumulator. Co się tyczy tej kwestii, mamy więc jego wersję wydarzeń przeciwko wersji prokuratora. Osobiście muszę stwierdzić, że w wersję oskarżonego cokolwiek trudno mi uwierzyć.

— A ja tam nie wierzę w żadne jego słowo! — zawołała gniewnie Ruth Parkinson. — Skończmy z tym wreszcie, panie Van Ness! Niech pan przestanie upierać się przy swoim wbrew wszelkiemu rozsądkowi!

Alex Van Ness potarł podbródek i westchnął.

— Widzicie państwo, mnie można przekonać, proszę bardzo — rzekł. — Nie jestem takim zatwardziałym uparciuchem, żeby nie docierały do mnie racje rozumu. Jest was jedenaścioro przeciwko mnie jednemu. Zamieniam się cały w słuch i czekam na wasze argumenty. Ale nie myślę się spieszyć z zajmowaniem stanowiska, kiedy nadal dręczą mnie wątpliwości — jak sądzę, uzasadnione — bo mogę przez pośpiech skazać oskarżonego na stryżek albo pięćdziesiąt lat więzienia. Powinna pani usiąść wygodniej i rozluźnić się, pani Parkinson. Nie wolno nam popędzać tej narady.

— Siedzimy tu już od blisko trzech godzin — przypomniał Burkę Latham. — Twierdzi pan, że można posuwać się wolniej?

— Ta linka cumownicza i bosak rybacki — powtórzył Harlan McQueen. — Czy zgadza się pan z nami co do tych dowodów, panie Van Ness? Czy możemy zacząć dyskusję od tego punktu?

— Co do cumy zgoda, tu się z państwem zgadzam. Co do osęki... tu miałbym już pewne wątpliwości, ale założmy, że przymknąłbym na nie oko. Jakie dalsze argumenty państwo wysuniecie, jeśli zaczniemy dyskusję w tym punkcie?

— A choćby te rozbieżne wersje, jakie nam przedstawił. Oskarżyciel w gruncie rzeczy przyparł go do muru w sprawie tych dwóch akumulatorów na pokładzie jego kutra. Jeśli naprawdę pożyczył jeden Carlowi Heinemu, powinien mu przecież zostać tylko jeden!

— Powiedział, że zainstalował zapasowy. Wyjaśnił to dość dokładnie. On...

— Złożył to wyjaśnienie w ostatniej chwili — zauważył McQueen. — Wymyślił je od ręki, przyciśnięty do muru, nie uważa pan? Przygotował sobie swoją bajeczkę dość starannie, zapomniał tylko o tym drobnym szczególe.

— Ma pan rację — przyznał Alexander Van Ness. — Powinien mieć tylko jeden akumulator na pokładzie. Zgoda, przypuśćmy nawet, że Kabuo Miyamoto istotnie wszedł na pokład łodzi Carla Heinego na przykład w tym celu, żeby porozmawiać o kupnie owych siedmiu akrów. Skąd pewność, że to nie Carl zaatakował pierwszy? Może oskarżony działał w obronie własnej? Może zabił nieumyślnie, w trakcie rozgorzałej kłótni? Skąd pewność, że mamy do czynienia z morderstwem pierwszego stopnia, z góry zaplanowanym? Zgoda, niewykluczone, że Kabuo Miyamoto czymś zawinił, ale może wcale nie tym, o co został oskarżony? Skąd nasza pewność, że wszedł na pokład łodzi Carla Heinego z zamiarem pozbawienia go życia?



— Słyszałeś przecież, co zeznawali ci rybacy — przypomniał mu Roger Porter. — Nigdy, poza sytuacją zagrożenia, nie wchodzi na pokład cudzej łodzi. Kabuo Miyamoto nie mógł wejść na pokład kutra Carla Heinego tylko po to, żeby z nim pogadać. Rybacy nie załatwiają w ten sposób swoich spraw.

— Skoro wchodzi na cudzy pokład tylko w sytuacji zagrożenia — odparł Alex — opowieść o akumulatorze wydaje mi się prawdopodobna. Wyładowany akumulator — to właśnie sytuacja zagrożenia. Takie wyjaśnienie przemawia wręcz na korzyść oskarżonego.

— Co pan nam tu plecie?! — zirytowała się Edith Twardzik. — Harlan ma rację względem tej bajeczki o wyładowanym akumulatorze. Miyamoto nie mógł go pożyczyć Carlowi Heinemu, bo jemu samemu zostałyby wtenczas tylko jeden. Ta historyjka o akumulatorze po prostu nie trzyma się kupy!

— Bajeczka dobra dla naiwniaków — dodał Burkę Latham. — Moim zdaniem było dokładnie tak, jak to przedstawił oskarżyciel. Miyamoto upozorował awarię silnika, podryfował na Carla i załatwił go. To się musiało tak zdarzyć!

— Spodziewałbym się jednak po nim większej przebiegłości — powiedział Roger Porter. — Facet mi wygląda na niekiepskiego cwaniaka.

— Istotnie, to bajeczka dobra dla naiwniaków — przyznał Alex Van Ness. — Dla mnie zdecydowanie zanadto naciągana. Nie wydaje mi się, żeby dryfując z prądem w gęstej mgle można było wypłynąć prosto na człowieka, którego się zamierza zamordować. Jest środek nocy, mgła gęsta jak śmietana, a państwo uważacie, że można wypłynąć z prądem prościutko jak strzelił akurat na kuter, który się tropi? Dla mnie to jest zbytnio naciągane!

O osiemnastej Ed Soames ogłosił, że sędziowie przysięgli nie uzgodnili wyroku i odłożyli posiedzenie do rana. Sala rozpraw zostanie teraz zamknięta — dodał. Doradza zebranych, żeby udali się do domów, włączyli elektryczne grzejniki i położyli się na spoczynek. Mogą wrócić nazajutrz o dziewiątej, jeśli są ciekawi wyniku narady.

Sędziowie przysięgli zjedli kolację w hotelu „Amity Harbor”. Rozmawiali na tematy obojętne. Alexander Van Ness jadł z uwagą, często wycierał ręce w serwetkę, uśmiechał się do kolegów, lecz nie brał udziału w rozmowie.

Na południowym skraju wyspy nie włączono jeszcze prądu, więc jadąc zaśnieżoną drogą wzdłuż plaży Ishmael Chambers spoglądał w oświetlone świecami okna znanych mu od dzieciństwa domów — Englundów, Gunnara Torvala, Verdy Carmichael, Arnolda Krugera, Hansenów, Syvertsenów, Boba Timmonsa, państwa Crow, Dale’a Papineau, Virginii Gatewood i państwa Etheringtonów ze Seattle, którzy przed siedmioma laty postanowili przeprowadzić się na wyspę na stałe, czego teraz — jak przypuszczał — musieli gorzko żałować. Z okapów ich domu zwisały długie sople, a pod ścianą od północy piętrzyły się kopne zasy. Lepiej by zrobili, gdyby pozostali letnikami. Oboje państwo Crow odeszli już z tego świata. W ich domu mieszkał teraz syn Nicholas i nadal toczył zawziętą wojnę o miedź z Bobem Timmonsem, który cierpiął na zapalenie żył w nogach i krocząc sztywno zbierał pod cedrami połamane gałęzie. Nic się nie zmieniało, a jednocześnie zmieniło się wszystko. Dale Papineau nadal pił za dużo i wciąż cierpiął na brak gotówki. Verda Carmichael wyjechała.

Ishmael zastał matkę w kuchni. Siedziała przy stole, popijała herbatę z cukrem i koncentratem cytrynowym i czytała przy lampie ostatni rozdział *Rozważnej i romantycznej*. Była w palcie i zimowych butach, a jej nie umalowana twarz sprawiała wrażenie poszarzałej i zwiędłej, za co pani Chambers przeprosiła syna.

— Bardzo się postarzałam, wiem — przyznała. — Człowiek nic na to nie może poradzić.

Postawiła przed Ishmaelem talerz zupy, a on powtórzył jej najświeższe nowiny: sędziowie przysięgli nie uzgodnili werdyktu, w mieście włączono już światło, huragan dokonał w porcie prawdziwych spustoszeń. Matka z oburzeniem wyraziła obawę, że sędziowie mogą ulec nienawiści i poddać się uprzedzeniom. Spodziewa się, że w takim wypadku Ishmael napisze stosowny artykuł do „Kuriera”. Na jego tygodniku — dodała — spoczywa w takich okolicznościach szczególna odpowiedzialność, czego ojciec miał żywą świadomość. Ishmael kiwnął głową i zgodził się z matką. Oczywiście, kropnie ostry wstępniak. Potem zaproponował, żeby przenocowali w jego mieszkaniu w mieście, gdzie jest elektryczny grzejnik i gorąca woda. Pani Chambers jednak odmówiła i stwierdziła, że dobrze jej tu, na South Beach; do Amity Harbor mogą pojechać rano, jeśli najdzie ich taka ochota. Ishmael dołożył dREW do pieca i odwiesił palto do szafy w sieni. Notatka Philipa Milhollanda spoczywała nadal w kieszeni jego spodni.

O dwudziestej włączono prąd, więc Ishmael mógł włączyć ogrzewanie. Przeszedł się po domu, gasząc zbędne lampy i odkręcając zawory grzejników. Ponieważ wiedział, że rury zaczną teraz odmarzać, postanowił poczekać i nasłuchiwać, jak dom będzie wracał do normalnego funkcjonowania. Zaparzył herbatę i poszedł ze szklanką do dawnego gabinetu ojca, z którego za dnia roztaczał się widok na morze i na ukochane rododendrony Arthura Chambersa. Usiadł za biurkiem ojca, na jego krzesło, zapaliwszy tylko jedną lampę. Czekał, aż piec nagrzej z wolna dom. W pewnej chwili usłyszał, jak w rurach rusza woda i zaczyna kapać z kranów, które wcześniej poodkręcał. Odczekał trochę, a potem powtórnie obszedł dom, żeby sprawdzić, czy ciśnienie w rurach dostatecznie wzrosło, a następnie pozakręcał krany. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku.

O dziewiątej matka pocałowała go w policzek i oznajmiła, że kładzie się spać. Ishmael wrócił do gabinetu, gdzie czekała na niego herbata, i zaczął przeglądać bibliotekę ojca. Jego ojciec, podobnie jak matka, nie umiałby żyć bez książek, choć jego wyobrażenie dobrej literatury różniło się od upodobań żony. Ogólnie biorąc, znacznie mniej pociągały go powieści, choć przeczytał ich w życiu sporo. Książki Arthura stały porządnie za szkłem na półkach czterech dębowych, do sarkofagów podobnych bibliotek — dzieła zebrane Szekspira, eseje Jeffersona, prócz tego Thoreau, Paine, Rousseau, Crèvecoeur, Locke, Emerson, Hawthorne, Melville, Twain, Dickens, Tolstoj. Henri Bergson, William James, Darwin, Buffon, Lyell, Charles Lamb, sir Francis Bacon, lord Chesterton. Swift, Pope, Defoe, Stevenson, święty Augustyn, Arystoteles, Wergiliusz, Plutarch. Platon, Sofokles, Homer, Dryden, Coleridge, Shelley, Shaw. *Historia stanu Washington, Historia półwyspu Olympic, Historia Island County, Ogrody i ogrodnictwo, Naukowa uprawa roli, Pielęgnacja i uprawa drzewek owocowych oraz krzewów ozdobnych.*

Ojciec kochał drzewka owocowe. Krzątał się w milczeniu wokół swoich jabłonek i rododendronów, żywopłotów z melii i morwy, grządek warzywnych i kwiatnych rabat. W jesienne popołudnia można go było zobaczyć z grabiami lub drewnianym pobijakiem w ręku. Jednego roku pomalował okapy i okna mansardowe, wykładane deskami ściany domu i letnią werandę. Malował bez pośpiechu, czerpał z tej pracy przyjemność. Nigdy się zresztą nie spieszył. Sprawiał wrażenie człowieka, który nie dąży do żadnego celu. Wieczorami czytał, drzemał przy kominku albo pracował niespiesznie przy biurku. W jego gabinecie leżały dwa duże wschodnie dywany, utkane w jakiejś górskiej wiosce w Turcji, prezent od pewnego żołnierza, z którym walczył przed laty pod Belleau Wood. Utrzymane w rdzawych czerwieniach i ognistych

odcieniach pomarańczy, były obszyte plecionymi, starannie zawsze rozczesanymi frędzlami, miały motyw kwiatu lilii na bordiurze, ozdobne medalionowe wzory i maleńkie obrębki pośrodku motywu połączonych kół o ośmiu szprychach. Biurko ojca również przyciągało wzrok; Arthur zrobił je własnoręcznie. Rozległą powierzchnię blatu z drewna wiśni, rozmiarów stołu jadalnego angielskiego barona, pokrywała niemal w całości tafla przydymionego szkła. Ishmael pamiętał, jak wyglądało to biurko, gdy ojciec przy nim pracował. Na szkłe leżały porządnie rozłożone tekturowe teczki, po prawej ręce żółty prawniczy blok, obok wachlarz gęsto zabazgranych fiszek, pelurowy papier maszynowy — biały w deseń nawłoci, gruby słownik na podstawce i jeszcze grubszy tezaurus. Ciężka czarna maszyna do pisania marki Underwood stała tuż pod lampą, której blask padał na klawiaturę i na twarz ojca, mrugającego ospale oczami za szklami okularów o podwójnej ogniskowej, pogrążonego w słowach, zatopionego w tej kałuży ciepłego światła. Arthur Chambers miał twarz pracowitego odludka, o zawsze serdecznym wyrazie. Ishmael odwrócił się, żeby się jej przyjrzeć. W lewo od biblioteki wisiał na ścianie portret ojca; przedstawiał siedzącego w świątecznym ubraniu młodego drwala — Arthur na portrecie miał najwyżej dwadzieścia, dwadzieścia jeden lat — w koszuli o wysokim, sztywnym kołnierzyku. Ishmael wiedział, że ojciec został drwalem, urzeczony romantyzmem tego zawodu, który uważał początkowo za niemal heroiczny, uznał za swoje życiowe przeznaczenie i posłannictwo. Z czasem wyrósł z tej mrzonki i zaczął spędzać wieczory na lekturze. Sen odrywał go od książki, porywając w swoje czarne szpony, podczas gdy inni drwale pili w najlepsze na umór. W wolnych chwilach Arthur kształcił się i oszczędzał pieniądze z zapalem nowego Horatia Algera. Założył własną gazetę, poszedł na wojnę, wrócił z niej i dalej się rozwijał, nieustępliwie dążył do przodu. Zbudował dom, ściągając rzeczne kamienie i piłując deski — wciąż krzepki, mimo piątego krzyżyka na karku. Nie wzdrażał się przed pisaniem reportaży ze spotkań klubu ogrodników, sprawozdań z posiedzeń rady szkolnej, notatek z wystaw koni, ogłoszeń o złotych weselach — przycinał teksty równie starannie jak swoje żywopłoty, zaokrąglał, cyzelował, aż uzyskiwały kształt doskonały. Był felietonistą dobrotliwym, w najgorszym razie szczerze zatroskanym; nie znajdował przyjemności w rzucaniu słów potępienia. Zaznawszy miałości i nędzy świata, zdecydował się zamieszkać na wyspie mimo ciasnoty jej obszaru, zewsząd oblanego wodą, co nakładało na wyspiarzy obowiązki i ograniczenia nie znane mieszkańcom lądu stałego. Wróg na wyspie staje się wrogiem śmiertelnym — powtarzał często synowi. Tu nie można się wtopić w anonimowe tło, nie można zmienić sąsiadów, przenosząc się do innej dzielnicy. Wyspiarze byli

zmuszeni, z samej natury krajobrazu, do ciągłego śledzenia swoich kroków. Na małej wyspie, której brzegi zewsząd oblewa morze, nikt nie deptał bez potrzeby po cudzych uczuciach. Miało to swoje dobre, ale i złe strony; dobre, bo sprawiało, że ludzie na ogół troszczyli się o siebie nawzajem; złe, bo powodowało duchową ciasnotę, zmuszało do zamykania się w sobie, w smutnym świecie własnych rozmyślań. Mieszkańcy wyspy bali się otwierać przed sobą serca. Stale obserwowani, liczący się ze zdaniem innych, stawali się nadmiernie oficjalni we wzajemnych kontaktach, sztywni i skryci, odcinając się tym samym od dobrodziejstw płynących z wymiany myśli. Nie mogli rozmawiać otwarcie, bo żyli jak w potrzasku: w którąkolwiek zwrócili się stronę, zewsząd otaczała ich woda — bezkresny przestwór, w którym można było jedynie utonąć. Wstrzymywali więc oddech i ostrożnie stawiali kroki, co w końcu ukształtowało ich psychikę, zmieniając w ludzi o ciasnych umysłach i ograniczonych horyzontach, choć dobrych skądinąd sąsiadów.

Arthur przyznawał sam przed sobą, że ich właściwie nie cierpi, a z drugiej strony szczerze kocha. Czy taka dwoistość jest w ogóle możliwa? Dopatrywał się w swoich współziomkach samych najlepszych cech; ufał, że Bóg kieruje ich sercami, choć przecież wiedział, jak skłonni są do nienawiści.

Siedząc w gabinecie ojca, Ishmael pojął, jaką drogą doszedł do tego samego mniemania. Zdał sobie sprawę, jak bardzo jest do niego podobny, kiedy siedzi tak w zamyśleniu na tym samym krześle z poręczami i półkolistym oparciem, w którym pogrążał się w zadumie Arthur Chambers.

Pamiętał, jak pewnego popołudnia szwendał się za ojcem, buszującym po terenach wystawowych Święta Truskawki i polującym na dobre ujęcia i celne powiedzonka, godne zacytowania w druku. O trzeciej po południu słońce zaczęło zachodzić za tyczki na linii końcowej szkolnego boiska do futbolu. Skończyły się zawody w przeciąganiu liny, gonitwy w workach, wyścigi parami „na trzech nogach”, i na festiwalowe tereny spłynął nastrój sennego rozleniwienia. Tu i ówdzie widziało się dorosłych mężczyzn śpiących na trawie z twarzą pod gazetą. Wielu z piknikowiczów zanadto się przejadło, więc teraz siedzieli osowiali na słońcu, które oblewało całą scenę przejrzystym, czystym i przenikliwym światłem, typowym dla pełni lata na San Pedro. Stęchła woń pieczonego łososia wisiała w powietrzu, nieco gorzkawym i kwaśnym od gryzącego dymu ognisk z olszynowych liści, i spowijała wycieńczonych biesiadników niczym niewidzialny welon.

Ishmael dreptał obok ojca, zmierzającego w stronę wystawy truskawek. Przechodzili wzdłuż szeregu stoisk, na których sprzedawano babeczki, prażoną kukurydzę w torebkach i jabłka w karmelu. W pewnej chwili Arthur zatrzymał się i podniósł aparat do oka, chcąc sfotografować owoc, który był bohaterem dnia. Wpatrzony w celownik, nawiązywał jednocześnie rozmowę.

— Panie Fukida! — zawołał. — Zdaje się, że mamy w tym roku piękny urodzaj na truskawki. A jak się kształtują ceny?

Pan Fukida, żyłasty sędziwy farmer w kombinezonie i czapce z daszkiem, odpowiedział reporterowi w angielszczyźnie zbyt dokładnej, zanadto poprawnej:

— Ceny kształtują się bardzo korzystnie. Ponad wszelkie spodziewanie, prawdę mówiąc. Truskawki idą jak woda. Pani Chambers dopiero co nabyła osobiście szesnaście łubianek.

— Rozumiem — odrzekł Arthur. — Szesnaście łubianek. Nie wątpię więc, że zostaną poproszony o pomoc w ich spożyciu. Czy mógłbym pana prosić, panie Fukida, żeby przesunął się pan odrobineczkę w lewo? Zrobimy doskonałe zdjęcie: pan na tle swoich pięknie wyeksponowanych owoców!

Ishmael przypomniał sobie, że pan Fukida wyglądał tak, jakby w ogóle nie miał oczu. Jego powieki stykały się niemal ze sobą i tylko czasem wyciekała spomiędzy nich chudziutka łza. Ściekając zmarszczkami, kończyła swój żywot jako lśniąca błonka na kościach policzkowych, jedynych bardziej wyrazistych, rzucających się w oczy punktach wśród skądinąd mizernych rysów twarzy starego Japończyka. Pan Fukida pachniał imbirem i wywarem z cebuli, a gdy obnażał w uśmiechu zęby, wielkie niczym stare kamienie na plaży, zalatywało też od niego sproszkowanym czosnkiem.

— Pani Chambers zrobi pyszniętkie konfitury — oświadczył Arthur bez uczucia dumy. Kręcił z uznaniem głową, przyglądając się ze szczerym podziwem truskawkom ułożonym w stojących pionowo łubiankach, wielkim i soczystym, purpurowym i jędrnym, pełnym królewskiego dostojęstwa. — Godne monarszych stołów! — orzekł. — Chylę przed panem głowę, panie Fukida.

— Dobra ziemia. Dużo deszczu. Moc słońca. Sześcioro dzieci.

— Musi być jeszcze jakiś sekret, o którym pan nie wspomina. Sam kilka razy próbowałem uprawiać truskawki, dysponując mniej więcej tym samym zestawem składników.

— Ja mam więcej dzieci — stwierdził pan Fukida i uśmiechnął się tak szeroko, aż zabłysły w słońcu złote koronki na zębach. — Dużo dzieci, oto cały sekret! To najważniejszy składnik, panie Chambers.

— No cóż, próbowaliśmy — odrzekł Arthur. — Próbowaliśmy, Bóg widzi, nie szczędząc sił. Ale mój Ishmael, ten oto mały mój synek, stanie z powodzeniem za dwóch — co ja mówię: za trzech chłopaków! Wiążemy z nim wielkie nadzieje, trzeba panu wiedzieć.

— Jak najśluszej — przytaknął pan Fukida. — My również życzymy mu wszelkiej pomyślności. Ufamy, że serce ma wielkie, podobnie jak jego ojciec. Pański syn to bardzo dobry chłopiec.

Ishmael wszedł po wydeptanych schodach na górę do pokoiku, w którym mieszkał przez tyle lat, i wygrzebał z pudła w szafie podręcznik żeglarstwa. Tkwiła w nim zaadresowana równym pismem Hatsue Imady koperta z adresem zwrotnym Kenny’ego Yamashity i przyklejonym do góry nogami znaczkiem. A w środku list na ryżowym papierze, szybko blaknącym po upływie tylu lat, kruchym jak suche liście zimą. Ishmael mógłby swą jedyną ręką zgnieść list Hatsue w garsteczkę prochu i na zawsze zatrzeć jego treść. „Nie Kocham Cię, Ishmaelu... Kiedy spotkaliśmy się ostatni raz w dziupli naszego cedru i poczułam, jak się o mnie ocierasz, zrozumiałam nagle, że wszystko jest nie tak, jak być powinno. Zrozumiałam, że nigdy nie będzie między nami prawdziwej bliskości...”

Przeczytał list po raz drugi, tym razem dążąc z pośpiechem do końcowych słów: „Życzę Ci szczęścia. Serce masz szlachetne, jesteś łagodny i dobry. Jestem pewna, że dokonasz w życiu wielkich rzeczy, ale teraz jestem zmuszona Cię pożegnać. Postaram się ułożyć sobie życie najlepiej, jak umiem, i Tobie też tego życzę”.

Niestety, wojna, utrata ręki, odmiana losu — wszystko to sprawiło, że jego serce utraciło wiele z dawnej szlachetności. Przestał się rozwijać. Nie dokonał w życiu żadnych wielkich rzeczy, ot, pisywał o projektach naprawy dróg, spotkaniach klubu ogrodników, sportowcach szkolnych. Od wielu lat rozmieniał się na drobne, wypełniając miłąkami słowami kolumny ojcowskiego pisma, babrząc się w bezpiecznych tematach, składając rozkład jazdy promu, kalendarz przypraw i ogłoszenia drobne. Niewykluczone więc, że spojrzenie Hatsue, choć tak rzadko je obecnie na niego zwracała, wyrażało rozczarowanie — tak nisko upadł w jej oczach, zawiódł ją, nie spełnił oczekiwań. Ishmael przeczytał list jeszcze raz i pojął, że Hatsue go

dawniej podziwiała; musiał mieć w sobie coś, za co go ceniła, choć nie potrafiła kochać. To coś, wartościową część samego siebie, z latami zatracił, zaprzepścił.

Odłożył list do pudełka i zszedł po schodach na dół. Matka już spała. Pochrapывała cichutko, jakby w jej gardle coś szorstko grzechotało. W padającym z korytarza świetle wyglądała bardzo staro. Spała wciśnięta policzkiem w poduszkę, w szlafmicy naciągniętej głęboko na czoło. Jej twarz przypominała mapę zmarszczek; patrząc na nie, Ishmael poczuł boleśnie, jak bardzo mu jej będzie brakowało, kiedy odejdzie. Nie miało znaczenia, że nie zgadzał się z nią w kwestii Boga. Liczyło się tylko to, że była jego matką i nie przestała go kochać. Zrozumiał teraz, że jego wizyty na South Beach były potrzebne w równym stopniu im obojgu. Przez całe lata oszukiwał się, że jest inaczej. Zachowywał się tak, jakby jej śmierć pewnego dnia — bo przecież nadejdzie taki dzień, gdy będzie musiał spojrzeć w oczy prawdzie, że wraz ze śmiercią matki zostanie na świecie sam jak palec — nie stanowiła dla niego żadnego problemu.

W palcie wyszedł na mróz, pod roziskrzone gwiazdami niebo. Nogi zaniósły go same do cedrowego lasu, gdzie pod baldachimem gałęzi poczuł znajomy zapach miejsc swego dzieciństwa i czysty zapach świeżego śniegu, który tu, pod drzewami, leżał dziewiczy, nieskazitelnie biały. Gałęzie cedrów ugiwały się pod puszystymi okiściami, a wyżej czerniało czyste grudniowe niebo, roziskrzone zimnymi igiełkami blasku. Nogi zaniósły go następnie do miejsca, gdzie ścieżka schodziła na plażę — latem kwitł tam gąszcz wiciokrzewu, splątany z jeżynami i dziką różą. Ishmael przedarł się przez gęstwinę ośnieżonych paproci i wcisnął się do dziupli cedru, kryjówki z lat młodości.

Na chwilę usiadł we wnętrzu drzewa. Otulony paltem, wsłuchiwał się w nie zmaconą niczym ciszę świata pod śniegiem. Nie zakłócał jej żaden dźwięk. Cisza aż huczała mu w uszach i nagle zrozumiał, że już tu nie należy, że nie ma już dla niego miejsca w dziupli tego drzewa. Powinni ją teraz odkryć inni młodzi ludzie i pokochać jako swoją najtajniejszą tajemnicę, jak niegdyś on i Hatsue. Młodych dziupla mogła chronić do czasu przed prawdą, którą on dostrzegał już jasno: że świat jest milczący, zimny i nagi, i na tym właśnie polega jego okrutne piękno.

Ishmael Chambers wstał i poszedł przez las do domu rodziny Imadów. Dróżka widniała wyraźnie między rzędami przysypanych śniegiem truskawkowych krzewin. Krajobraz był skąpany w odbitym od śniegu blasku gwiazd, nierealnym jak światło pod wodą. W końcu Ishmael stanął na ganku domu Imadów, a potem znalazł się w ich saloniku, gdzie nigdy



wcześniej nie był, a gdzie teraz siedział z Hatsue i jej' rodzicami. Hatsue siedziała tuż obok niego, niemal go dotykając. Miała na sobie nocną koszulę i znoszony szlafrok ojca. Rozpuszczone na plecach włosy błyszczały w świetle lampy. Ishmael wyjął z kieszeni notatkę Philipa Milhollanda, sporządzoną szesnastego września. Przeczytał stenograficzny zapis i wyjaśnił państwu Imadom, dlaczego przyszedł do ich domu o wpół do jedenastej w nocy, żeby po tylu latach odbyć rozmowę z ich córką.

Nie mogli od razu przekazać tej ważnej wiadomości sędziemu Fieldingowi, ponieważ telefony na południowym wybrzeżu jeszcze nie działały. Siedzieli we czwórkę w ciepłym pokoju, nad filiżankami zielonej herbaty, przy mruczącym i trzeszczącym w kącie pękatym piecyku, i rozmawiali ściszymi głosami o procesie Kabuo Miyamoto, bo o niczym innym, od wielu już zresztą dni, rozmawiać nie byli w stanie. Zbliżała się północ, za oknami skrzył się w gwiezdnej poświacie skutym mrozem świat, gdy Ishmael oznajmił Hatsue i jej rodzicom, że jako były sprawozdawca sądowy gazety w Seattle przewiduje, iż notatka Philipa Milhollanda zmusi sędziego Fieldinga do ponownego rozpatrzenia sprawy i unieważnienia dotychczasowego postępowania sądowego.

Hatsue przypomniała sobie, że szeryf Art Moran wspomniał w swym zeznaniu o kubku znalezionym na podłodze w kabinie kutra Carla Heinego. Kuter zakołysał się tak gwałtownie na kilwaterze frachtowca — dowodziła — aż kubek spadł ze stołu, a skoro Carl go nie podniósł, oznaczało to, że to samo wahnięcie łodzi i jego wyrzuciło za burtę. Nie mogło być inaczej — oznajmiła. — Proces Kabuo musi zostać przerwany!

Rozlana kawa jeszcze niczego nie dowodzi, perswadowała córce Fujiko, a Hisao przyznał żonie rację. Tu trzeba dowodu mocniejszego niż rozlana kawa — stwierdził. Nad głową Kabuo zawisła straszna groźba. Przewrócony kubek do kawy nie wystarczy, by go uwolnić z więzienia.

Fujiko dołała Ishmaelowi herbaty i zapytała, jak się miewa jego matka. Powiedziała, że zawsze bardzo szanowała jego rodziców. Pogratulowała mu wysokiego poziomu „Kuriera”. Przyniosła talerz ciasteczek własnego wypieku i zachęciła gościa do ich skosztowania. A potem z głębi domu dobiegł głośny płacz dziecka Hatsue i Fujiko wyszła.

Wkrótce po północy Ishmael zaczął się zbierać do odejścia. Uścisnął rękę Hisao, podziękował za herbatę i poprosił, żeby w jego imieniu podziękował żonie. Hatsue odprowadziła go na ganek. Na nogach miała kalosze, ręce wsadziła głęboko w kieszenie starego szlafroka ojca; oddech obłoczkami pary owiewał jej nos i policzki.

— Jestem ci bardzo wdzięczna, Ishmaelu — szepnęła.

— Słuchaj, kiedy będziesz już staruszką i przypomnisz sobie dawne czasy, mam nadzieję, że i o mnie czasem wspomnisz. Bo ja...

Nie pozwoliła mu dokończyć.

— Na pewno wspomnę!

Nie wyjmując rąk z kieszeni szlafroka, przytuliła się do niego i musnęła mu policzek pocałunkiem.

— Ożeń się, Ishmaelu — wyszeptała. — Postaraj się o dzieci. Zaczynaj żyć!

\* \* \*

Rano matka obudziła go o wpół do siódmej i oznajmiła, że przyszła żona Kabuo Miyamoto i czeka w kuchni. Ishmael wstał, obmył zimną wodą twarz, ubrał się i umył zęby. Kiedy zszedł na dół, matka stała przy kuchennym piecu, a Hatsue piła przy stole kawę. Ujrzawszy ją, przypomniał sobie żywo delikatny pocałunek, jakim tej nocy musnęła jego policzek.

— Chcecie, żebym wyszła? — zapytała od pieca matka. — Mogę wyjść, żebyście mogli swobodnie porozmawiać.

— To raczej my przejdziemy do gabinetu — powiedział Ishmael. — Może porozmawiamy w gabinecie, pani Miyamoto?

— Niech pani weźmie ze sobą kawę — poradziła matka. — Momencik, tylko nakryję ją spodeczkiem, żeby nie wystygła.

Ishmael poprowadził Hatsue do gabinetu. Za oprawnymi w ołowiane ramki oknami jaśniało w oddali pomarańczowym blaskiem zimowego świtu niebo nad oceanem. Rododendrony uginały się pod śniegiem, z okapów zwisały sopele. Świat sprawiał wrażenie zastygłego w białym bezruchu.

Hatsue splótła włosy w długi gruby warkocz, lśniący i czarny. Miała na sobie wełniany sweter w paski, granatowe ogrodniczki i rybackie buty do kolan. W gabinecie stanęła przed portretem Arthura Chambersa z czasów, gdy pracował jako drwal.

— Jesteś bardzo podobny do ojca — orzekła. — Zawsze tak zresztą uważałam. Szczególnie oczy.

— Nie przyszedł tu po nocy, przez kopne śniegi, po to, żeby mi to oznajmić, prawda? Co cię sprowadza?

— Przez całą noc nie dawało mi to spokoju. Czy przypominasz sobie zeznanie mego męża? Powiedział, że Carl zawiesił lampę na maszcie. Przywiązał wysoko na maszcie naftową lampę, ponieważ zgasło mu światło.

Potarła dłonie, chcąc je rozgrzać.

— Przyszło mi na myśl — podjęła — że gdyby ta lampa nadal tam wisiała, oznaczałoby to, że akumulatory Carla n aprawdę się rozładowały! Przypuśćmy, że zobaczyłbyś wiszącą na maszcie kutra Carla Heinego naftową lampę, jak to powiedział Kabuo, czy nic by to dla ciebie nie znaczyło? Czy nie znaczyłoby na przykład, że światła na kutrze pogasły, więc Carl przywiązał na maszcie tę lampę jako awaryjny środek bezpieczeństwa? Czy nie sądzisz, że lampa stanowiłaby jakiś dowód?

Ishmael przysiadł na krawędzi ojcowskiego biurka. Drapiąc się w podbródek, zastanawiał się nad przypuszczeniem Hatsue. W raporcie Arta Morana, o ile sobie przypominał, nie wspomniano ani słowem o naftowej lampie, przywiązanej na maszcie łodzi Carla Heinego, ale Art mógł ją z powodzeniem przeoczyć. To byłoby do niego podobne. Tak czy owak warto to sprawdzić.

— Dobra — zdecydował. — Jedziemy do miasta. Trzeba się temu przyjrzeć.

Pojechali samochodem Ishmaela po zaśnieżonych, oślepiająco białych drogach, ozdobionych zielonymi gałęziami, które wicher odłamał z cedrów i choin. Śnieżycy już ustała. Nie opodal Lundgren Road zebrało się na szczycie wzgórza pięcioro dzieci z sankami i dętkami samochodowymi; spoglądały na stromy stok, zbiegający w nieckę okoloną smukłymi olchami i zagajnikiem niskich nagich klonów. Ishmael skręcił na zachód, w Indian Knob Hill Road. Minęli truskawkowe pola rodziny Masui, oborę mlecznych krów Thorsenów i kurniki Patsy Larsen. Hatsue położyła rękawiczki na kolanach i trzymała dłonie przy nawiewie ciepłego powietrza.

— Powinniśmy się najpierw zobaczyć z moim mężem — powiedziała. — Powinniśmy mu powiedzieć, co się wydarzyło. Chciałabym mu pokazać tę notatkę straży przybrzeżnej.

— Ława przysięgłych zbiera się o ósmej — przypomniał Ishmael. — Gdybyśmy zdołali do tego czasu obejrzeć łódź Carla, pojechalibyśmy do sądu i z notatką, i z wiadomością o lampie i moglibyśmy wstrzymać całą procedurę, przerwać proces.

Przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu, uważnie, po czym przerzuciła warkocz nad ramieniem. Spływał teraz z przodu po jej swetrze.

— Ty wiedziałaś wcześniej o tym frachtowcu — stwierdziła. — To nie była dla ciebie zupełna nowina, prawda?

— Dzień wcześniej — przyznał. — Łamałem się z tym przez cały jeden dzień. Nie wiedziałem, co zrobić.

Nic mu nie odpowiedziała, więc Ishmael odwrócił się w jej stronę, chcąc sprawdzić, co jej milczenie oznacza.

— Przepraszam — wybąkał. — To było niewybaczalne.

— Ja cię rozumiem — odrzekła.

Kiwnęła głową, potarła dłoń o dłoń i zapatrzyła się na cętkowany plamkami słońca śnieg.

— Taki piękny dzień! Wszystko wydaje się dziś takie czyste — powiedziała.

— To prawda — zgodził się z nią Ishmael.

Szeryf Art Moran siedział pochylony za biurkiem w swoim biurze w Amity Harbor i podgrzewał się piecykiem elektrycznym. Kiedy ujrzał w progu Ishmaela Chambersa w towarzystwie Hatsue Miyamoto, odłożył pióro, wstał, zakrył dłonią oczy i zawołał:

— Chwileczkę, pozwólcie mi zgadnąć! Przybywacie do mnie z jakąś ważną misją...

Hatsue wyjęła notatkę straży przybrzeżnej, położyła ją na biurku i wygładziła dłonią.

— Pan Chambers to odkrył — oznajmiła. — Przyniósł mi to dzisiejszej nocy.

— Tak?

— Tej nocy, kiedy zginął Carl Heine — wyjaśnił Ishmael — torem przez Ship Channel Bank przechodził wielki frachtowiec, dokładnie o tej samej...

— Bawisz się w detektywa? — zapytał Art. — Chcesz zostać drugim Sherlockiem Holmesem? Mamy przecież tę cumę i osękę z krwią Carla, czy to nie są przekonujące dowody? Czego jeszcze chcesz?

— Posłuchaj, Art — powiedział Ishmael. — Sugerowałbym, żebyś jednak przeczytał tę notatkę, jeśli potrafisz czytać pismo stenograficzne. Uważam, że skłoniłaby cię ona przynajmniej do rozważenia możliwości przejażdżki do portu i ponownego przyjrzenia się łodzi Carla. Choćby po to, by się upewnić, że nic nie uszło twojej uwagi. Masz bowiem na biurku nowy dowód, Art.

Szeryf skinął obojgu głową, po czym usiadł na powrót przy elektrycznym piecyku i wziął do ręki notatkę straży przybrzeżnej.

— I owszem, umiem czytać pismo stenograficzne — burknął.

Doczytał raport do połowy, obserwowany bacznie przez Ishmaela i Hatsue, gdy do biura wpadł Abel Martinson w wołokowych śniegowcach i wojskowej ocieplanej kurtce, której obszyty futrem kaptur opinał mu szczelnie głowę, tak że widać było tylko zaczerwieniony od mrozu nos i brodę zastępcy szeryfa.

— Właśnie włączyli telefony — zakomunikował od progu. — Mniej więcej na połowie wyspy. Działają już w mieście i na południe stąd, aż po latarnię morską.

— Posłuchaj, bracie — mruknął szeryf. — Jedziemy zaraz do basenu Beason's Cannery, do hangaru Sommensena, kapewu? Ty, ja i pan Ishmael Chambers. Pani Miyamoto poczeka na nas gdzieś w mieście. Może w kawiarni? Zamówiłaby sobie pani przy okazji śniadanko. Bo powiem pani, że jak na mój gust trochę za bardzo się pani w tę sprawę zaangażowała. Szczerze mówiąc, nie bardzo mi się to podoba.

— To ja zacząłem — sprostował Ishmael. — Pani Miyamoto nie ma z tym nic wspólnego. To moja sprawka.

— Mimo wszystko — nie dawał za wygraną Art Moran. — Proszę sobie gdzieś usiąść, pani Miyamoto, zamówić jajeczko, przeczytać gazetkę...

Abel pochuchał na kłódkę, zanim otworzył hangar Sommensena — wzniesioną przed ponad półwieczem, zapleśniałą budę, zbudowaną z nasączonych kreozotem bali. Mimo niedawnej śnieżycy cuchnęła solą i smołą, trochę też ropą i butwiejącym drewnem. Jej wrota otwierały się wprost na basen portowy, tak że łodzie mogły na czas remontu wpływać do środka. Błaznany dach chronił przed częstymi na wyspie deszczami, a dwa dźwigi, specjalne rusztowanie i szerokie nabrzeża czyniły z hangaru doskonałą warsztat do zimowych remontów kapitalnych. Od dwóch i pół miesiąca urząd szeryfa wynajmował go jednak od Arve Sommensena na przechowalnię dla zasekwestrowanych łodzi „Islandera” i „Susan Marie”, które stały obok siebie burta w burtę. Hangar zamknięto na kłódkę, a co jakiś czas sprawdzał go Abel Martinson, który klucz od kłódki nosił zawsze przy sobie. Zapewniał, że nikt się nie próbował do hangaru włamać. Oba kutry stały w nim nie tknięte od siedemnastego września.

Zastępca szeryfa otworzył wreszcie na oścież morskie wrota i do środka wpadło szare światło dnia. Ishmael natychmiast pobiegł spojrzeniem ku maszтови „Susan Marie”, a potem przesunął je wzdłuż salingu. Na maszcie kutra nie wisiła żadna naftowa lampa.

Weszli do nadbudówki łodzi Carla Heinego. Ishmael stanął w drzwiach i przyglądał się, jak szeryf omiata wnętrze promieniem latarki — kiełbasa nad podstawą kompasu, krótka koja, koło sterowe, studzienka akumulatorowa.

— Słuchaj, Art — zagadnął go Ishmael — w zeznaniu wspomniałeś o kubku do kawy, leżącym gdzieś tu na podłodze, pamiętasz? Nie przypominasz sobie, w którym dokładnie miejscu leżał?

— To ja go podniosłem — pochwalił się Abel. — Leżał tu, na samym środku.

— Poza tym panował tu idealny porządek, czy tak?

— Jak pan widzi — przytaknął Abel. — Niczego tu nie ruszaliśmy, z wyjątkiem tego kubka. Podniosłem go odruchowo. Coś leży na podłodze, tworzy bałagan, więc to podnoszę. Nie mogłem się powstrzymać.

— Wolałbym, żebyś następnym razem mógł — napomniął go Art Moran. — Podczas śledztwa nie wolno niczego dotykać.

— Wiem — pokajał się Abel. — W przyszłości będę się wystrzegał.

— Czy ten kubek leżący na podłodze — odezwał się Ishmael — nie świadczy o tym, że łódź się przechyliła? Czy ty...

— Nie było żadnych innych śladów — przerwał mu szeryf. — Kiedy facet wypada za burtę po gwałtownym przechyle, można się chyba spodziewać wyraźniejszych śladów niż tylko kubek na podłodze. Tymczasem zastaliśmy tu wszystko w największym porządku.

Wyszli z kabiny i stanęli po lewej stronie drzwi. Ishmael przesunął promieniem latarki w górę i w dół po drzewcu masztu.

— Pamiętacie opowieść Kabuo o lampie, którą Carl miał podobno zawiesić na maszcie? — zapytał. — Wyście ją zdjęli, chłopcy?

— Niech pan trzyma tę latarkę nieruchomo — poprosił Abel. — Kawalek nad salingiem... Teraz dobrze!

Zaświecił swoją latarkę i skierował ją w górę, tak że dwa promienie światła skrzyżowały się wysoko na maszcie. Widniały tam przecięte równo pod kątem krótkie odcinki sieciowych linek o splocie ósemkowym. Było ich dziesięć, może dwanaście. Ich końce zwisały swobodnie.

— To tam powiesił lampę — stwierdził Ishmael. — Zawiesił ją, kiedy wysiadło mu zasilanie i pogasły światła.

— Myśmy stamtąd żadnej lampy nie zdejmowali! — zaperzył się Art. — O czym ty gadasz?

Abel Martinson wdrapał się na daszek nadbudówki, postawił nogę na nawiewniku i jeszcze raz skierował w górę promień latarki.

— Pan Chambers ma rację! — zawołał.

— Słuchaj, bracie — powiedział szeryf. — Wleź no tam na górę, podciągnij się i przyjrzyj się temu z bliska. Tylko niczego mi nie dotykaj!

— Będziesz mnie musiał podsadzić — powiedział jego zastępca, wtykając latarkę do kieszeni. — Podsadź mnie, to może dam radę.

Szeryf podsadził Abła Martinsona, który podbił się w górę, dosięgnął salingu, przełożył nad nim rękę i zawisł na maszcie rozkołysanej łodzi, wolną ręką szukając latarki w kieszeni swojej ocieplanej kurtki.

— Wygląda mi na to, że na tych linkach jest rdza! — zawołał. — Możliwe, że z uchwytu jego lampy. W miejscu, gdzie tarł o te linki.

— Coś jeszcze? — zapytał szeryf.

— Widać przecięcie! — wykrzyknął Abel. — Ktoś przeciął te linki równo jak nożem. Chwilunię... mam coś jeszcze... jakby jakaś smużka na maszcie... Wygląda mi na krew.

— Ze skaleczonej ręki — podpowiedział Ishmael. — Carl przeciął sobie rękę. Wspominał o tym koroner w swym raporcie.

— Widzę krew na maszcie i drzewcu salingu — raportował Abel. — Niedużo, ale wygląda mi to na krew.

— Carl przeciął sobie rękę — powtórzył Ishmael. — Skaleczył się w rękę, kiedy poszerzał studzienkę, robiąc miejsce na akumulator Kabuo. Potem, kiedy miał już prąd, wdrapał się na maszt, żeby zdjąć lampę, bo nie była mu dłużej potrzebna.

Zastępca szeryfa zsunął się z masztu i wylądował z łoskotem na dachu nadbudówki.

— Co to wszystko właściwie znaczy? — zapytał.

— I jeszcze coś — dodał Ishmael. — Pamiętacie zeznanie koronera? Powiedział, że Carl miał w kieszeni szpulkę szpagatu, a u pasa pustą pochwę noża. Pamiętasz to zeznanie Whaleya, szeryfie? Zeznał, że pochwa noża była pusta i nie zapięta. Szpulka szpagatu i pusta pochwa noża. Co do mnie...

— Wdrapał się na maszt, żeby zdjąć lampę — zakonkludował Abel. — Ten frachtowiec przeszedł w pobliżu, łodzią zakołysało i fajtnął do morza. Nóż i lampa wypadły za burtę razem z nim... Ani noża, ani lampy nie znaleziono, co nie? No i...

— Przymknij no się na chwileczkę, synek — burknął Art Moran. — Nie słyszę własnych myśli.



— Walnął się w coś głową — dociekał dalej Abel. — Kilwater frachtowca zakołysał łodzią, gość zleciał, walnął się w coś głową i wypadł za burtę.

W dziesięć minut później na lewej burcie poniżej masztu odkryli nieduży odprysk w drewnianym nadburciu. W szczelinie utkwiły trzy krótkie włosy, które Art Moran wydłubał pieczołowicie scyzorykiem i wsunął do przegródki w portfelu, w której trzymał swoje prawo jazdy. Przyjrzeni się włosom w świetle latarki, po czym na chwilę zapadło milczenie.

— Zaniesiemy je Whaleyowi — postanowił szeryf. — Jeśli się okaże, że należały do Carla, sędzia Fielding będzie musiał zacząć wszystko od początku.

O dziesiątej Lew Fielding zasiadł na naradę z Alvinem Hooksem i Nelsem Gudmundssonem. Za kwadrans jedenasta sędziom przysięgłym oznajmiono, że zostają zwolnieni z dalszych obowiązków. Oskarżony został uwolniony od zarzutów, ponieważ wyszły na jaw nowe dowody w sprawie. Kabuo Miyamoto wypuszczono niezwłocznie na wolność. Opuścił celę bez łańcuchów na nogach i kajdan na rękach. Pod drzwiami celi długo całował żonę. Ishmael Chambers, który sfotografował tę scenę, przyglądał się pocałunkowi małżonków przez wizjer aparatu. Potem poszedł do redakcji, włączył ogrzewanie i wkręcił papier w maszynę do pisania. Przez jakiś czas siedział bez ruchu i wpatrywał się w pustą kartkę.

Spróbował sobie wyobrazić przebieg wydarzeń tamtej feralnej nocy. Zamknął oczy, by ujrzeć je plastyczniej.

Z piętnastego na szesnasty września „Susan Marie” utknęła unieruchomiona na morzu, bo obłuzowała się nakrętka koła pasowego alternatora. Dryfując w gęstniejącej mgle, Carl Heine musiał przeklinać w duchu swojego pecha. Był zbyt dumny, by podnieść alarm rogiem mgłowym, który woził na wypadek podobnych sytuacji, zapalił więc tylko dwie lampy naftowe, wsunął szpulkę szpagatu do tylnej kieszeni spodni i wdrapał się na maszt. Lampa objęła mu plecy, gumowany sztormiak ślizgał się po drzewcu. Bawełnianą nicią, której używał do naprawy sieci, bez większego trudu przywiązał lampę do masztu, dodając na wszelki wypadek dodatkowe linki, które związał w ósemki i mocno zacisnął. Przez chwilę wisiał na maszcie, przerzuciwszy przez saling ramię. Zdawał sobie sprawę, że w tak gęstej mgle lampa naftowa nie na wiele się przyda, mimo to przed zejściem na dół podkręcił jej płomień. Potem stał zapewne w kokpicie i pilnie nasłuchiwał, czy z mlecznego oparu nie doleczą go jakieś odgłosy.

Niewykluczone, że po jakimś czasie wziął drugą lampę i wyszukał w skrzynce na narzędzia klucz francuski, żeby naciągnąć paski alternatora. Przypuszczalnie przeklinał sam siebie za to, że tego zaniedbał, nie sprawdził wcześniej w rutynowej kontroli, przez co popadł w obecne tarapaty. Mógł im z łatwością zapobiec, gdyby przestrzegał elementarnych reguł sztuki marynarskiej. Niestety, zlekceważył je — i to kto: on, który chlubił się w duchu właśnie skrupulatnym ich przestrzeganiem! Naciągnął paski, zmacał kciukiem, czy dobrze napięte, po czym wyszedł na pokład i oparty o nadburcie wsłuchiwał się w docierające z tumanów mgły odgłosy morza. Słuchał buczenia syren łodzi, odpływających z ławicy, i cichego plusku wody o kadłub własnego kutra, dryfującego z prądem na południe. W jednej ręce trzymał lampę naftową, w drugiej tubę mgielną; jakiś opór wewnętrzny powstrzymywał go jednak przed jej użyciem. Przez dobrą godzinę zmagał się z decyzją, czy mimo wszystko się nią nie posłużyć, potem zaczął się zastanawiać, czy ma już w sieci rybę. W pewnej chwili doszedł go ponawiany z regularną częstotliwością sygnał rogu mgłowego jakiegoś przepływającego w pobliżu kutra. Carl jął bacznie nasłuchiwać; każdy następny sygnał docierał z mniejszej odległości. Zmierzył na zegarku dzielący je odstęp czasu: wynosił równo minutę. Kiedy niewidoczny kuter zbliżył się na odległość mniejszą niż sto metrów, Carl nadał sygnał ostrzegawczy swoim rogiem mgłowym.

Obie łodzie — „Islander” z ładownią wypełnioną rybą i ciemna „Susan Marie”, dryfująca pod lampą naftową na maszcie, gdy jej szyper z zaciśniętą szczęką stał nieruchomo na dziobie — podpłynęły do siebie we mgle. Potem Carl okręcił na knagach cumy Kabuo, bo te węzły umiał zawiązywać z zamkniętymi oczami, odebrał od swego wybawcy czynny akumulator, a że okazał się trochę za duży, musiał poszerzyć metalową kryzę. Skaleczył się przy tym w rękę i na osęce Kabuo pozostały ślady krwi. Potem dawni przyjaciele dobili targu w sprawie odsprzedaży ziemi, wyjaśnili sobie po męsku to, co wyjaśnienia wymagało, i Kabuo odpłynął, znikając w ciemnościach nocy.

Niewykluczone, że wkrótce potem, na powrót samotny we mgle, uznał owo spotkanie z Carlem za zrządzenie losu, szczęśliwy przypadek, na który od dawna czekał. Spełnienie jego marzeń stało się tak bliskie, niemal na wyciągnięcie ręki, że łowiąc ryby mógł już sobie wyobrazić swoje truskawkowe pola na falistych wzgórzach, dojrzewające wczesnym latem aromatyczne truskawki, szczęście dzieci, Hatsue i własne. Oto on, najstarszy syn rodziny Miyamoto, prawnuk japońskiego samuraja, pierwszy z rodzeństwa, który został obywatelem amerykańskim, a i w sercu czuł się Amerykaninem, nie zaparł się siebie, nie zrezygnował z

ziemi, należącej kiedyś do jego rodziny, nie wyrzekł się prawa, jakie do niej sprawiedliwie nabyli — najwyższego prawa, jakie jest na świecie, bo prawa zwykłej uczciwości, wyższego nad nienawiść, wojny, podłość i wrogość ludzką.

Rozmyślał o tym, wieszował sobie tego niespodziewanego a pomyślnego obrotu fortuny i czuł już w nozdrzach zapach dojrzewających truskawek. Jego łódź dryfowała w ciemności i nieprzeniknionej mgle, od strony latarni morskiej dolatywało niskie, ledwo słyszalne buczenie, a dźwięki rogu mgłowego parowca „Corona” zbliżały się i nabierały mocy. Niecały zaś kilometr na południowy zachód od „Islandera” Carl Heine stał w drzwiach nadbudówki swego kutra z kubkiem czarnej kawy w ręku, którą sobie niedawno zaparzył (czajnik odstawił na miejsce), i słuchał z troską tych samych przenikających mgłę sygnałów. Sieć była wydana i ciągnęła się — o ile mógł to stwierdzić — dokładnie za rufą. Na łodzi paliły się już wszystkie światła. Woltomierz wskazywał napięcie trzynastacie i pół wolta. „Susan Marie” płynęła równo i dziarsko, promień szperacza penetrował mgłę. Do drugiej rano pozostało jeszcze dwadzieścia minut — dość czasu, by napęlić ładownię łososiem. Wypita kawa pozwoli odegnąć senność.

Nie ulega wątpliwości, że Carl słuchał radia. Radiooperator z latarni morskiej udzielał rad nawigatorowi frachtowca, który ustalił pozycję, biorąc namiar na wyspę Lanheedron, po czym nagle postanowił wykonać ostry skręt i przeciąć ławicę Ship Channel Bank. Carl Heine naostrzył słuch, lecz dudnienie silników „Susan Marie” głużyło wszelkie inne dźwięki, musiał więc wyłączyć maszynę i znowu lec w dryfie. W zapadłej ciszy nasłuchiwał pilnie i w końcu doleciał go kolejny sygnał rogu mgłowego parowca, dobiegający tym razem ze znacznie bliższej odległości. Carl odstawił więc kubek na stół, po czym wyszedł na pokład i rozważył, czy jest dobrze przygotowany na przyjęcie fali kilwatera przechodzącego w pobliżu wielkiego statku. Po namyśle uznał, że tak: nic nie powinno spaść, wszystko znajdowało się na swoim miejscu — wszystko z wyjątkiem przywiązanej wysoko na maszcie lampy. Fala wielkiego frachtowca może ją roztrzaskać. Carl tak to zapewne ocenił.

Padł więc ofiarą swej nieprzepartej potrzeby porządku. Zapłacił tak wysoką cenę, bo odziedziczył po matce niejaką skłonność do skąpstwa. Była mglista noc, dryfował z prądem, „Corona” zbliżała się do „Susan Marie” od nawietrznej. Ocenił, że zabierze mu niecałe pół minuty wdrapanie się na maszt, dzięki czemu ocali lampę. Ryzyko wydawało się niewielkie. Zresztą czy człowiek w ogóle bierze kiedykolwiek pod uwagę możliwość nagłej śmierci lub wypadku?

Tak więc, ponieważ był tym, kim był — nieodrodnym synem swojej matki, człowiekiem z natury dbałym o porządek, na dodatek takim, który przeżył zatonięcie USS „Cantona”, uważał się więc za uodpornionego na wypadki na zwykłych łodziach rybackich — bez obawy wdrapał się na maszt. W trakcie tej wspinaczki otworzyła mu się ranka na dłoni, w którą się skaleczył, poszerzając osęką Kabuo Miyamoto metalową kryzę studzienki akumulatorowej. Przełożywszy ramię przez saling, zawisł na maszcie. Krwawiąc i wsłuchując się w mgłę, wyciągnął z pochwy nóż. Od strony lewej burty doleciał go ponownie dźwięk syreny frachtowca oraz ciche dudnienie jego silników, tak bliskie, że zaskoczony Carl aż się wzdrygnął, po czym zabrał się za przerzanie nożem pętli z ośmiu linek, którą sam zawiązał kilka godzin wcześniej. Odchylił się od masztu z uchwytem lampy w dłoni, chcąc zamknąć nóż...

W nieprzeniknionej mgłę, jaka tamtej nocy panowała, pewnie nawet nie dostrzegł ściany wody, którą pchnęła na niego „Corona”. Morze wyrosło nagle spoza mlecznej ropy i podbiło kuter tak gwałtownie, aż ze stołu w kabinie spadł na podłogę kubek, a wierzchołek masztu odchylił się dostatecznie mocno, by strząsnąć z siebie uczeplonego salingu, kompletnie zaskoczonego rybaka, który do ostatniej chwili nie pojmował, co się z nim dzieje, i nie przewidywał, że zbliża się śmierć. Zakrwawiona dłoń wypuściła maszt, gumowy sztormiak ześliznął się po drzewcu, ramiona mężczyzny rozkrzyżowały się, palce rozwarły, lampa i nóż spadły do morza, a w ślad za nimi runął w dół Carl Heine i roztrzaskał sobie czaszkę o lewą burtę „Susan Marie”. Słona woda wypełniła kopertę zegarka, którego wskazówki znieruchomiały o godzinie pierwszej czterdzieści siedem po północy. „Susan Marie” kołysała się na fali jeszcze przez dobrych kilka minut, gdy zaś łódź uspokajała się z wolna, ciało jej szypra zaplątywało się coraz bardziej w sieć, która w migotliwym falującym morzu, rozjaśnionym już brzaskiem wstającego dnia, zwisała za rufą rzęsiście oświetlonego kutra, dryfującego bezszelestnie w gęstej jak śmietana mgłę...

Wysoka fala kilwatera przetoczyła się, szybko przebyła kilkaset metrów i podniosła kuter Kabuo Miyamoto, a potem parła bez przeszkód dalej, aby tuż przed drugą rano rozbić się o brzeg wyspy Lanheedron. We mgłę rozległo się znowu buczenie syreny frachtowca i sygnał mgłowy latarni morskiej. Kabuo Miyamoto wyrzucił sieć, wyłączył radio i we mgłę gęstej niczym wata założył w miejsce cumy, pozostawionej na łodzi Carla, cumę zapasową, którą miał w kuchence. Gdy kucał, by zawiązać węzeł na lince z manili, słuchał być może niosącego się po wodzie buczenia parowej syreny przepływającego w pobliżu frachtowca. W takiej mgłę ów dźwięk

musiał brzmieć nierealnie, przeraźliwie smutno, gdy zaś narastał wraz ze zbliżaniem się statku, brzmiał zapewne jeszcze posępniej. Z ciągłym buczeniem syreny mgłowej frachtowiec minął „Islandera” od północy. Kabuo przypomniał sobie może w tamtej chwili, jak ojciec zakopał wszystkie posiadane japońskie przedmioty na ich ziemi, a może pomyślał o Hatsue, dzieciach i truskawkowej farmie, która wkrótce miała do nich wrócić.

Buczenie parowej syreny frachtowca zacichało z wolna na południu, nakładając się na sygnał syreny mgłowej latarni morskiej, wyższy i jeszcze bardziej ponury. Mgła otulała i głużyła buczenie syreny statku, obniżając jego ton, aż upodobił się do odgłosu jak nie z tego świata. Nie przypominał już sygnału parowej syreny, lecz kakofonię basowych pojęków, wydobywających się z samego dna oceanu. W pewnej chwili syrena okrętu złąła się z sygnałem latarni i oba dźwięki rozbrzmiały jednocześnie w źle zestrojonym akordzie. Jeszcze przez jakiś czas niosło się po wodzie słabnące, dysonansowe buczenie, aż w końcu i ono ucichło.

Kabuo Miyamoto wrócił do domu, przytulił żonę i powiedział jej o radosnej zmianie, jaka miała nastąpić w ich życiu. Psia wachta na latarni dobiegła końca. Philip Milholland włożył swój raport do teczki, a sam zwałił się na łóżko i zasnął kamiennym snem. On i radiooperator Robert Miller spali smacznie aż do popołudnia. Obudziwszy się, opuścili wyspę San Pedro, gdyż przeniesiono ich na inną placówkę. Tymczasem szeryf Art Moran aresztował podejrzanego Kabuo Miyamoto...

Trzymając palce nad klawiaturą maszyny do pisania, Ishmael myślał o tym, że dusza Kabuo Miyamoto pozostanie na zawsze tajemnicą, podobnie jak dusza Hatsue, dusza Carla Heinego, jak zresztą dusza każdego człowieka, ponieważ każdy obdarzony jest wolną wolą.

Redaktor Chambers przystąpił do rozwijania tej myśli, a gdy już ubrał ją w słowa, zrozumiał jeszcze i to, że przypadek rządzi każdym zakątkiem wszechświata — prócz zakamarków ludzkiej duszy.